



AMIE KAUFMAN
MEAGAN SPOONER

W SERCU ŚWIATŁA

TOM 3

moondrive

AMIE KAUFMAN
MEAGAN SPOONER

W
SERCU
ŚWIATŁA

TŁUMACZENIE MARIA BORZOBOHATA-SAWICKA

moondrive
KRAKÓW 2017

Dla Josie Spooner i Flic Kaufman, naszych sióstr i pierwszych uczestniczek zabaw – wiele lat temu ich wyobraźnia pomogła nam wkroczyć na drogę opowieści

Zmarszczka.

Bezruch drży i pęka, a tam, gdzie kiedyś nie było nic poza nami, pojawia się coś nowego. To jasne, twarde, zimne, nowe „coś” ślizga się po powierzchni bezruchu i trwa tylko przez krótką chwilę, po czym znowu znika.

My jednak się gromadzimy. I obserwujemy. I czekamy, ponieważ nigdy wcześniej nie widzieliśmy niczego nowego i chcemy to zobaczyć raz jeszcze.

SOFIA

Prześwitujące przez trawę cętkowane światło słoneczne wygląda pięknie, choć wiem, że nie jest prawdziwe. Nie ogrzewa mojej skóry. Nie będę miała od niego poparzeń ani piegów. Żdźbła nie uginają się pod moimi stopami, chociaż te zapadają się w marmurową posadzkę ukrytą pod holograficznymi obrazami. Rok temu westchnęłabym głośno na widok słońca i niebieskiego nieba, nawet tych holograficznych, ale dziś sprawiają, że ogarnia mnie tęsknota za domem. Ileż bym teraz dała, by podnieść głowę i ujrzeć sine chmury sunące po niebie w kierunku moczarów i ciągnącą się po horyzont pustkę, której nie zdołałby odtworzyć żaden holograficzny westybul biurowca.

W holoapartamencie panuje tłok. Wielu z obecnych tu ludzi zdaje się pracować w siedzibie głównej LaRoux Industries, pozostałych trudniej przyporządkować. Niektórzy noszą staromodne teczki w hołdzie złożonym latom dwudziestym dwudziestego wieku na Ziemi – to najnowszy trend wśród wyższej warstwy. Innym wystarczają palmtopy. Noszenie torebek i teczek to coś absurdalnie sztucznego, ponieważ wszystko, co można by włożyć do środka – pieniądze, dokumenty, telefony, karty identyfikacyjne – zostało zdigitalizowane setki lat temu.

Ten trend ułatwia mi jednak noszenie wszystkiego, czego potrzebuję, bez konieczności odpowiadania na pytania. Gdybym chciała być modna zaledwie kilka lat temu, musiałabym się wcisnąć w pseudowiktoriański przyodziewek, a narzędzia pracy ukryć pod niewygodną spódnicą. Teraz moja rozkloszowana sukienka jest lekka i w razie konieczności umożliwia ucieczkę, a co najważniejsze, delikatna, niewinna kremowa koronka sprawia, że wyglądam na młodszą niż moje siedemnaście lat. Przyciskam torebkę do ciała, biorę głęboki oddech i lustruję wzrokiem tłum ludzi.

W powietrzu wyczuwam napięcie, od którego przyspiesza mi tętno. Jest subtelne – tym, którzy pozostają w cieniu, udało się doskonale zamaskować. Prawie. Ja jednak dorastałam na planecie Avon i potrafię zlustrować tłum. Wiem, jak szybko protest potrafi się przerodzić w zamieszki. I jak spokojne miasteczko w jednej chwili staje się polem bitwy.

Nie mam pojęcia, czy pracownicy rozległej sieci bezpieczeństwa w LaRoux Industries zdają sobie sprawę z tego, że na dziś zaplanowano nielegalne protesty. Doniósł mi o tym jeden z moich kontaktów z organizacji Korynt przeciwko Tyranii – choć nazwa zrzeszenia jest idiotyczna, kieruje się ono romantyczną ideą walki z oprawcami. Kiedy rozglądam się po holoapartamencie wyposażonym

w dozowniki z lemoniadą i napojami gazowanymi przelatującymi na krążących pomiędzy gośćmi tacach, gdzie powietrze wypełniają odgłosy konwersacji i śmiech, myślę, że ci ludzie nie mają pojęcia, czym jest tyrania. Odrywam wzrok od pary z pobłażaniem obserwującej pięcio- lub sześćioletnie dziecko, które ugania się za kilkoma holograficznymi ptakami krążącymi w powietrzu. Istnieje powód, dla którego LaRoux Industries rok w rok znajduje się na czele listy najlepszych miejsc pracy w Galaktyce, więc gdybym to ja organizowała dzisiejszy protest, z pewnością nie wybrałabym do tego nowego holoapartamentu na dwudziestym piętrze wieżowca.

Holoapartament jest częścią nowego programu pomocy potrzebującym. Pracownicy mogą z niego korzystać za darmo, a reszta społeczeństwa za drobną opłatę. „Widzicie, jaki jestem hojny? – mówi LaRoux. – Na kilku piętrach siedziby głównej stworzyłem bezpieczne, radosne miejsce dla was i waszych dzieci”. Od tej jego kampanii, która ma na celu sprawić, by cała Galaktyka znów go pokocha i by ludzie zapomnieli o oskarżeniach wymierzonych w niego w transmisji z Avonu, przewraca mi się w żołądku – zwłaszcza że to wszystko działa.

Obecni tu ludzie wydają się radośni. Nikogo z nich nie obchodzi, że jeszcze rok temu, przed osławioną już mową Flynnna Cormaca, mieszkańcy Avonu umierali. Nikogo nie obchodzi, że Roderick LaRoux to potwór – głównie dlatego, że tylko niewielkie grupy osób tu i ówdzie uwierzyły w jakiegokolwiek słowo, które padło w czasie programu Flynnna. Ci ludzie przybyli tutaj, ponieważ informacja o tym, że brali udział w proteście, będzie dobrze wyglądać na ich profilach w mediach społecznościowych. Niektórzy z nich mają prawdopodobnie nadzieję, że zostaną aresztowani, by móc później zamieścić swoje policyjne zdjęcie w hiper necie.

Plus jest taki, że to wszystko rzeczywiście odwraca ich uwagę od celu, w jakim tu przybyłam.

Znam tylko nazwisko kontaktu, z którym mam się spotkać – Sanjana Rao – i chociaż kojarzy się ono z jakąś staroindyjską rodziną, równie dobrze może to być blondynka o niebieskich oczach, jeśli wziąć pod uwagę to, jak wszystkie rasy i rody wymieszały się przez kilkaset lat. Umówiliśmy się, że po przybyciu da mi znać na palmtopa, ale nie mogę się powstrzymać i próbuję wyłowić ją spośród tłumu.

Mój wzrok powraca do drzwi windy, tak sprytnie zamaskowanych w tej imitacji parku, że przypominają wejście na karuzelę. Przez cały rok deptania LaRoux po piętach nie znajdowałam się bliżej niego. Mam ochotę włamać się do ich zabezpieczonych wind i wjechać do luksusowego apartamentu na ostatnim piętrze budynku. Rok spalonych tożsamości i izolacji. Bolesna operacja usunięcia tatuażu, która i tak nie zdołała w całości wyczyścić mojego genotagu. Rok zamazywania śladów, wszelkich pozostałości dawnego życia, które wciąż noszę ze

sobą, na wypadek gdybym dziś, w tej chwili, musiała się spakować i znowu rzucić do ucieczki.

Jednak do samego LaRoux nie sposób dotrzeć. Gdyby było inaczej, ktoś zabiłby go już wiele lat temu – choć większość mieszkańców Galaktyki go kocha, na drodze do władzy stratował dość osób znających jego prawdziwe oblicze. Nie, bezpośredni atak nigdy się nie uda. Usunięcie LaRoux wymaga subtelności.

Zerkam na wewnętrzną stronę ramienia w odruchu, którego nie zdołałam się jeszcze pozbyć. Bystrzejszy człowiek bez trudu odgadłby, co oznacza to spojrzenie – nikt z osób urodzonych na Koryncie lub jednej ze starszych planet nie otrzymuje przy narodzinach genotagu – a jednak nie mogę się powstrzymać. Niewyraźne pozostałości mojego tatuażu z genotagiem zostały dobrze zamaskowane, chociaż muszę się pilnować, żeby nie potrzeć ręką o sukienkę i nie przenieść charakterystycznej smugi korektora na materiał. Mam ochotę wyjąć palmtopa i sprawdzić, czy nie przegapiłam wiadomości od doktor Rao, ale jeśli ktokolwiek mnie obserwuje, moje bezustanne zerkanie na ekran będzie dla niego jasnym komunikatem, że się denerwuję.

Dopiero kiedy podnoszę głowę, uświadamiam sobie, że rzeczywiście mam publiczność. I że nie jest nią mój kontakt.

Na podłodze siedzi młody mężczyzna oparty o drzewo – drzewo, którego oczywiście tu nie ma. Opiera się o marmurową kolumnę, jednak holograficzna powłoka pomieszczenia sprawia, że chłopak wygląda, jakby relaksował się w parku. Jego lap-ekran jest podłączony do pnia. Znajduje się tu bezprzewodowe pole siłowe, więc wiem, że chłopak nie ładuje urządzenia. To port danych, co samo w sobie jest dosyć dziwne, ponieważ wszelkie informacje dostępne w miejscu publicznym takim jak to można uzyskać z hipernetu. Ale nie to mnie niepokoi, nie to sprawia, że moje serce zamiera. Niepokoi mnie to, że ma na sobie szarozielony strój LaRoux Industries z lambdą wyszytą nad kieszenią na piersi. Pracuje dla LaRoux i nie spuszcza mnie z oczu.

Czuję suchość w ustach i zmuszam się do tego, by nie odwrócić wzroku zbyt gwałtownie. Zamiast tego przekrzywiam głowę, jak gdyby zdziwiona, i robię, co mogę, by sprawiać wrażenie zaintrygowanej, a nawet zawstydzonej.

Kiedy przyłapuję go na tym, że mnie obserwuje, na jego twarzy pojawia się szeroki uśmiech. Nawet nie udaje, że tego nie robił, i po prostu przytyka palce do skroni, po czym odrywa je, jak gdyby uchylał wyimaginowanego kapelusza. Nie przypomina typowego pracownika biura, ma nieco dłuższe włosy w odcieniu pomiędzy rudawozłotym a brązem, a kiedy tak siedzi oparty o kolumnę, w jego sylwetce jest coś zuchwałego.

Wciągam powietrze, by się uspokoić i zataić obawę, że on doskonale wie, iż nie powinno mnie tu być. Uśmiecham się i bez trudu przybieram maskę nieśmiałości i słodyczy. Ku mojej uldze jego uśmiech staje się jeszcze szerszy.

A więc to tylko flirt.

Mruga do mnie, po czym wciska jakiś guzik na lap-ekranie. Holograficzny ptak o jaskrawoczerwonym upierzeniu przecina mi drogę i zawisa w powietrzu. Nagle całe tło zastyga: ćwierkanie ptaków, szmer liści, a nawet śmiechy i rozmowy – wszystko znika. Po chwili, bez ostrzeżenia, cały holopark gaśnie, pozostawiając nas w przestronnym białym pomieszczeniu.

Jedyną rzeczą w holoapartamencie poza ludźmi, projektorami i kolumnami podobnymi do tej, o którą opiera się chłopak, jest ogromny metalowy pierścień o średnicy dwa razy większej niż ja sama. Ustawiony pionowo krąg, wykonany z jakiegoś dziwnego stopu połyskującego w jaskrawym białym świetle, u podstawy jest połączony z podłogą cokołem pokrytym panelami i narzędziami. Niektóre holograficzne technologie LaRoux objęto patentem, ale to urządzenie nie przypomina żadnego z projektorów, które dotąd widziałam – podczas gdy inne projektory migają, brzęczą i próbują poradzić sobie z tym, że przestały działać, metalowy pierścień pozostaje nieruchomy i milczący.

Przez tłum ludzi przebiega szmer dezorientacji, kiedy poszczególne grupy przerywają rozmowy, by się rozejrzeć, jak gdyby samo pomieszczenie skrywało w sobie jakąś odpowiedź. Teraz, kiedy maskujący hologram przestał działać, na pierwszy plan wychodzą inne cechy pomieszczenia – dozowniki z napojami są surowe i pozbawione upiększeń, a projektory i głośniki zaśmiecają niski sufit jak zniekształcone gwiazdy.

To, co się dzieje, nie jest częścią planu protestujących. Wszyscy, pracownicy i goście, kłębią się wokół, zagubieni. Gdyby ta sytuacja została zaplanowana, protestujący wykorzystaliby błąd do rozpoczęcia wiecu, tymczasem nawet ustawieni w kątach pomieszczenia ochroniarze wydają się podenerwowani. Rozglądam się z udawanym niepokojem i kryję za grupką stażystów, aby jak najciszej i pozornie bezcelowo przedostać się w stronę schodów ewakuacyjnych. Jeśli ktoś mnie złapie, w najgorszym wypadku pomyśli, że przyszłam tu jako uczestniczka protestu. Mam jednak nadzieję, że w ogóle mnie nie zauważą.

Zanim udaje mi się dotrzeć do wyjścia pożarowego, dostrzegam migotanie barw. Odwracam się w samą porę, by zobaczyć, jak chłopak z lap-ekranem wyciąga z urządzenia chip wielkości paznokcia i wkłada go do kieszeni. Spogląda w sufit, podnosi się i robi dwa powolne, spokojne kroki w bok, ustawiając się dokładnie w martwym punkcie kamery bezpieczeństwa.

Następnie ściąga uniform LaRoux Industries i przez chwilę ma na sobie tylko koszulkę odsłaniającą wytatuowane ramiona. Odwraca ubranie na lewą stronę, ukazując krzykliwą koszulkę w pasy wpisującą się w obecne trendy, po czym jak gdyby nigdy nic wtapia się w tłum. Nie jest już pracownikiem LaRoux Industries.

Jest jednak o wiele za sprytny, żeby być jednym z protestujących

błąkających się po pomieszczeniu, zdezorientowanych i zirytowanych tym, że nie udało im się zaistnieć w wiadomościach.

– Szanowni państwo, proszę o uwagę. – Z głośników wydobywa się głos jedwabisty jak krem i wzmocniony tak, by zagłuszyć szmer tłumu. – Wykryliśmy naruszenie zasad bezpieczeństwa. Sprawca znajduje się w tym pomieszczeniu. Prosimy zachować spokój i w maksymalnym stopniu współpracować z agentami bezpieczeństwa, a my dołożymy wszelkich starań, by rozwiązać ten problem tak szybko, jak to możliwe.

Ochroniarze wykonujący jakiś rozkaz przekazany im za pośrednictwem wszczepionych w uszy implantów zaczynają oddzielać od siebie poszczególne osoby, zapewne po to, by przesłuchać je indywidualnie. Jeden z ochroniarzy wciąż stoi przy drzwiach, blokując dostęp do klatki schodowej, a mnie drogę ucieczki. Korektor na moim ramieniu może zmylić nieuważnego pracownika recepcji, ale teraz nie mam szans, by udawać uczestniczkę protestu – naruszenie zasad bezpieczeństwa postawiło ich w gotowości. Wiedząc, że sprawców należy szukać przede wszystkim wśród buntowników z sąsiednich planet, pierwszą rzeczą, jaką zrobią strażnicy, kiedy mnie złapią, będzie sprawdzenie, czy mam tatuaż z genotagiem. Zamykam oczy, przywołując w myślach plan pomieszczeń, którego uczyłam się przez półtora tygodnia. Zablokują dostęp do wind na tym piętrze, ale jest jeszcze jedno wyjście pożarowe i dodatkowa klatka schodowa w głębi jednego z korytarzy odchodzącego z tego pomieszczenia. Skanuję tłum wzrokiem, aż udaje mi się znaleźć właściwe wyjście i strażnika kierującego zebranych w tamtą stronę.

Muszę jakoś odwrócić ich uwagę.

Mój wzrok pada na krzykliwą koszulę w czerwone i złote pasy. Kimkolwiek jest ten chłopak, nie pracuje w LaRoux Industries i jego także nie powinno tu być. I choć nie mogę być pewna, że wciskając tamten guzik, wyłączył holoprojektory, wiem, że jeśli znajdziemy się w jednej grupie, wyda się znacznie bardziej podejrzany ode mnie, zwłaszcza gdy odkryją, że w ciuchy ma wszyty uniform LRI. Przeklinam pod nosem i ruszam w stronę ochroniarza.

Wybacz, przystojniaku. Pewnie masz ochotę znaleźć się w centrum zainteresowania tak samo jak ja. Ale jeśli znajduje się tu ktoś, kto ma większe kłopoty ode mnie, jesteś nim właśnie ty, chłopaku z fałszywym uniformem LRI po wewnętrznej stronie koszuli.

– Tamten chłopak... – mówię cicho, dbając o to, by w moich oczach było widać strach. – Wydaje mi się, że potrzebuje pomocy.

Przy odrobinie szczęścia sprawdzą go, a mnie uda się wymknąć, kiedy odkryją, że nie powinno go tu być.

Wzrok strażnika natychmiast przenosi się na chłopaka w koszuli w paski, który obserwuje nas z odrobiną niepokoju wyczierającego z jego nonszalanckiej sylwetki. Kiedy strażnik robi kilka kroków w jego stronę, uśmiech chłopaka znika,

a ja powoli przesuwam się do tyłu, w stronę drzwi, których pilnował mężczyzna. Powoli, powoli, nie zwracaj na siebie uwagi.

Jakbym wypowiedziała te słowa na głos, strażnik wyciąga rękę i chwyta mnie za ramię.

– Pokaż który! – rozkazuje, a ja zamieram. Co gorsza, unosi dłoń i daje znać jednemu z pozostałych stojących w pobliżu goryli.

Teraz obserwuje mnie dwóch strażników, a drzwi zaraz znowu zostaną zablokowane. Cholera. Jeśli zmuszą mnie, żebym z nimi poszła, i odkryją jego fałszywą koszulę LRI, mogą uznać, że dostałam się tu razem z nim. Teraz muszę wydostać stąd nas oboje.

Dobra robota, Sofio.

Mózg podrzuca mi mnóstwo możliwości, a ja analizuję je w ułamku sekundy, odrzucając to, co niewykonalne, aż zostaje mi tylko jeden sposób, żeby skupić ich uwagę na chłopaku.

– Proszę, pospieszcie się! – krzyczę, napinając mięśnie twarzy, aż moje oczy zaczynają łzawić. – To mój narzeczony. Jest chory, a stres tylko pogarsza sprawę.

Mam nadzieję, że w ogólnym zamieszaniu i przy tak wielkiej liczbie osób do przesłuchania strażnik nie będzie miał ochoty zadawać zbyt wielu pytań.

Mężczyzna wpatruje się we mnie, a kiedy odwracam się, żeby pokazać mu chłopaka w pasiastej koszuli, podąża wzrokiem za moją ręką. Chłopak odpowiada nieufnym spojrzeniem i przenosi wzrok ze strażnika na mnie. Błagam cię, myślę, nic nie mów, dopóki nie uda mi się obok nich przemknąć.

– Jeszcze chwilę temu oboje czuliście się dobrze. – Strażnik wymienia spojrzenia z kolegą, który stoi teraz obok mnie. – To na pewno może poczekać.

Mówi pewnym, stanowczym głosem, ale jego dłoń wciąż znajduje się w ruchu – poprawia broń za paskiem i pociąga za rękaw munduru.

Podwajam starania i zmuszam głos, żeby się łamał.

– Proszę – powtarzam. – Zostanę tu. Odpowiem na wszystkie wasze pytania. Po prostu sprawdźcie, jak się czuje, a sami się przekonacie. Jeśli nie sprowadzicie lekarza, będzie miał atak.

Obaj ochroniarze muszą stać odwróceny w stronę chłopaka na tyle długo, żebym mogła się wyślizgnąć niezauważona i bez eskorty.

Najbliższy strażnik przestępuje z nogi na nogę, a ja wstrzymuję oddech. Mężczyzna dalej wymienia spojrzenia ze swoim towarzyszem, nie decyduje się jednak zrobić kroku.

– Wezwę dyżurującego ratownika medycznego – rzuca w końcu. – Chociaż moim zdaniem chłopakowi nic nie jest.

Głowę wypełnia mi galopada myśli. Przypatruję się strażnikowi, szukając czegoś, co mogłabym wykorzystać. To facet po czterdziestce – prawdopodobnie zbyt kumaty, żeby udało mi się wykręcić flirtem, zwłaszcza że użyłam już

historyjki o narzeczonym. Na jego ciuchach nie dostrzegam śladów tego, że ma zwierzęta albo dzieci, nic, co pomogłoby mi nawiązać z nim jakiegokolwiek porozumienie, nic, co pomogłoby mi się odwołać do jego człowieczeństwa. Już mam sięgnąć po ostatni środek – histeryczne łkanie małej dziewczynki – kiedy chłopak z laptopem upada na ziemię z jękiem.

Strażnicy rozdziawiają usta ze zdziwienia i przez krótką chwilę jestem równie wstrząśnięta, jak oni. Chłopak na ziemi podskakuje, a jego kończyny drgają. Wygląda, jakby miał atak, przed którym ich ostrzegałam. Przez krótką, bolesną chwilę zastanawiam się, czy moje kłamstwo nie nałożyło się na coś zbliżonego do prawdy, ale nie mogę sobie pozwolić na to, by się tego dowiedzieć. Właśnie zamierzam się rzucić przez drzwi wyjściowe, kiedy stojący obok strażnik dźga mnie pomiędzy łopatkami i popycha do przodu.

– Zrób coś! – W jego wzroku kryje się przerażenie.

Cholera. Cholera. CHOLERA. Tak czy siak, będzie lepiej, jeśli wyląduję w karetce z tamtym chłopakiem, niż jeśli znajdę się w pokoju przesłuchań siedziby głównej LRI. Sanitariusz przeskanuje chip identyfikacyjny na moim palmtopie, ale otrzyma informację, że mam na imię Alexis. Nie będą szukać genotagów. Upadnę na kolana u boku nieznanego, sięgnę po jego drgającą dłoń i splecę palce z jego palcami, jak gdybym nie dotykała go po raz pierwszy. Jeden ze strażników mówi coś pospiesznie do łaty na kamizelce, prosząc o wsparcie, lekarza, jakiegokolwiek pomoc.

Palce chłopaka zaciskają się wokół moich, co sprawia, że spoglądam mu w twarz – nagle wszystkie moje symulowane łzy i panika gwałtownie znikają. Z jego ust zaczyna się wydobywać piana, oczy uciekają w tył czaszki. Nie może być o wiele starszy ode mnie, zdecydowanie dzieje się z nim coś złego.

Jeden ze strażników próbuje mi zadawać pytania – co ostatnio jadł, kiedy przyjął ostatnią dawkę leków, na co choruje – żeby przekazać informacje jadącym już sanitariuszom. Jednak wypowiedane przez niego słowa giną w szumie innego narastającego odgłosu, który sprawia, że nerwowe konwersacje w pomieszczeniu milkną. Uruchamia się metalowy pierścień, ten, który ukrywały pozostałe holoprojektory.

Światelka u jego podstawy budzą się do życia, ukazując dane na wyświetlaczach. Panele świetlne na suficie migoczą, jak gdyby pierścień pobierał zbyt wiele mocy. Jednak to nie żadna z tych rzeczy sprawia, że w pomieszczeniu pełnym ludzi zapada cisza.

Iskierki niebieskiego światła zaczynają krążyć wokół krawędzi pierścienia, pojawiając się i znikając, jakby wnikały bezpośrednio w metal. Poruszają się coraz szybciej, w miarę jak dźwięki wydawane przez budzącą się do życia maszynę nasilają się i wyrównują w jeden głos, tak że wkrótce niebieski ogień pełza po całej krawędzi pierścienia.

Dłoń na moim ramieniu odwraca uwagę od urządzenia. Z walącym sercem spoglądam w dół.

Leżący przy mnie chłopak unosi brew.

– Zdradzisz, kiedy ślub, kochanie? – mówi ledwo dosłyszalnym głosem, nie poruszając ustami.

Mrugam.

– Co? – Jestem tak zdezorientowana, że tracę równowagę.

Chłopak spogląda na najbliższego strażnika, całkowicie pochłoniętego stojącą pośrodku pomieszczenia maszyną, po czym przenosi wzrok z powrotem na mnie. Ociera pozostałości piany z ust i unosi się na łokciach.

– Pomyślałem, że moglibyśmy rozpocząć miesiąc miodowy nieco wcześniej.

– Tym razem w jego szepcie słyhać niepokój. Znacząco wskazuje podbródkiem na drzwi ewakuacyjne.

Niezależnie od tego, kim jest i co tu robi, w tym momencie oboje pragniemy tego samego – wydostać się stąd. Mnie to wystarczy. Zawsze mogę go potem zgubić.

Podciągam go na nogi – ochroniarz nawet nie patrzy w naszą stronę – i prześlizguję się w stronę wyjścia. Docieramy do drzwi w chwili, kiedy rozbłysk niebieskiego światła pada na białe ściany przed nami. Kiedy chłopak w pasiastej koszuli szamocze się z drzwiami, oglądam się przez ramię.

Iskierki światła wokół krawędzi pierścienia docierają teraz do środka, jęzory błękitu pojawiają się i znikają niczym błyskawiczne gwiazdne race. Co jakiś czas spotykają się z ogromnym rozbłyskiem, aż w końcu cały pierścień jest wypełniony światłem i trzaska niczym zasłona energii.

Kiedy obserwuję to, co się dzieje, mężczyzna stojący przy pierścieniu bezdźwięcznie upada na podłogę. Czekam, aż znajdujący się przy nim ludzie zareagują, aż ruszą mu na pomoc i wyrwą się spod rzuconego na nich czaru, ale wszyscy pozostają nieruchomi, beczynni, jak maszyny, którym odcięto prąd. Z każdą mijającą sekundą coraz więcej osób nieruchomieje i milknie, zarówno strażnicy, jak i protestujący, w rozszerzającym się kręgu wokół urządzenia pośrodku pokoju. Co jakiś czas kolejne osoby upadają na podłogę, ale większość stoi nieruchomo, w wyprostowanej pozycji, rzucając długie cienie, które migoczą i dosięgają nas, podczas gdy maszyna niemal stoi w płomieniach.

Pomiędzy rozbłyskami światła rozpoznaję tych będących po drugiej stronie – widzę ich oczy.

W jednej chwili przenoszę się do bazy wojskowej na Avonie i obserwuję, jak ojciec zmienia się w mojej obecności. Widzę jego oczy, zmultiplikowane kilkadziesiąt razy w otaczających mnie twarzach, źrenice tak szerokie, że przypominają kałuże atramentu, jak bezgwiazdny bezmiar nocy nad moczarami. Wracam do chwili, kiedy ojciec wszedł do koszarów z bombą przymocowaną do

swojego ciała. Przypominam sobie, jaki był, kiedy widziałam go po raz ostatni – cień człowieka, skorupa pozbawiona duszy.

W białej przestrzeni holoapartamentu wciąż stoją setki ludzi – a oczy każdego zamieniają się w ciemność.

Na początku nie ma nic więcej. Po chwili pojawiają się takie symbole:

TEST.

Następnie rozbłyska więcej słów, a za nimi obrazy, dźwięki i kolory. Krok po kroku bezruch zalewa ten nowy rodzaj życia, a my zaczynamy rozumieć ciągi symboli i dźwięki, które przenikają ciszę. Te twarde, jasne, zimne rzeczy pojawiają się coraz częściej, pozostawiając ślad na bezruchu, zbierając materiał egzystencji w fale, kiedy prześlizgują się po powierzchni świata.

GIDEON

Pomyślałby kto, że na tym etapie będę potrafił uniknąć kłopotów. Ale oto jestem, z ustami wypełnionymi smakiem tabletki SysCleans, i pędzę korytarzem, myśląc o tym, że dałem się wciągnąć w tę beznadziejną sytuację przez dwa dołeczki w policzkach. Naprawdę czas, żebym zmądrzał.

Dziewczyna, za którą biegnę, jest szczupła i przynajmniej o głowę niższa ode mnie. Ma na sobie jedną z tych sukienek, które noszą teraz wszystkie bogate panny. Choć biegnie na obcasach, niezłe zasuwa. Oprócz dołeczków w policzkach ma jasnoblond włosy sięgające nieco poniżej podbródka, zmierzwione w artystycznym nieładzie, oraz duże szare oczy.

Wygląda na to, że na „zmądrzenie” będę musiał jeszcze trochę poczekać.

– Bardzo chciałbym wierzyć, że twój plan ma jakąś dalszą część, mądralo – dyszę, kiedy gnamy razem korytarzem.

– Coś ty tam zrobił? – Jej oczy stają się jeszcze większe, a prawdziwy lęk sprawia, że jej głos zaczyna drżeć.

Moje rozbawienie natychmiast znika. Miała lepszy widok na to, co się dzieje, a co całkiem nią wstrząsnęło – dziewczyną, która nawet nie mrugnęła, kiedy zacząłem toczyć pianę z ust.

– To nie ja. – Spoglądam przez ramię, spodziewając się, że zza rogu wyskoczą depczący nam po piętach strażnicy. – Ale miło mi, że tak pomyślałaś.

Już mam mówić dalej, kiedy chwyta mnie za koszulę i nie zatrzymując się, korzysta z pędu mojego ciała, żeby cisnąć mnie do wnęki mieszczącej awaryjny sprzęt przeciwpożarowy. Uderzam o ścianę, a ona o moje plecy. Domyślam się, że pchnęła mnie w tę stronę nie tylko po to, by zadać mi ból, że kierował nią inny powód, więc stoję bez ruchu. Chwilę później zza rogu dobiegają nas pełne wściekłości głosy. Niezły refleks, Dołeczku.

– Musimy odwrócić ich uwagę – szepcze. Jedną ręką obejmuje mnie za szyję i pociąga w dół, żeby móc powiedzieć mi to na ucho. Nie, wcale mnie to nie rozprasza. – Możesz ich odesłać w inne miejsce?

– Skąd pomysł, że to potrafię? – mówię i choć wyciągam już lap-ekran ze skórzanej teczki, jestem ciekawy, co o mnie myśli.

– Proszę – mruczy. – Może nie włączyłeś tamtej maszyny, ale wiem, że to ty odciąłeś projektory.

Hmm. Cóż, przynajmniej na mnie patrzyła, a to już coś. Powiniennem spróbować umówić się z nią potem na drinka. Jeśli nie umrzemy albo nas nie aresztują.

Odwracam się i staję z nią twarzą w twarz. Sądząc po tym, jak zaciska usta, ma ochotę ostudzić moje zapędy, jednak po chwili uświadamiam sobie, że robię to – przede wszystkim – dlatego, by zmieścić przed sobą ekran.

– Dajmy im coś do sprawdzenia – mamroczę, wyciągając z kieszeni chip aktywacyjny i wsuwając go do portu z boku ekranu.

– Co zrobisz? – pyta.

– A zrozumiałabyś, gdybym odpowiedział?

Włączam ekran, a kiedy wypisuję sobie zaproszenie do rdzenia systemu LaRoux Industries, jak zwykle rozlega się delikatne, ale gwałtowne buczenie i zaczynam polować na partnera do tańca. Ich zabezpieczenia nie są złe, ale nie są też dość dobre.

Prycha.

– Nie – przyznaje. – Nie tykam komputerów. Ludzie wydają mi się ważniejsi.

Muszę przyznać, że rozpracowała tamtych koleśki w holoapartamencie, jak gdyby wiedziała, gdzie szukać przycisków i dźwigni w ludzkich umysłach. I choć nie słyszałem jej słów, coś mi mówi, że próbowała mnie zrobić, dopóki strażnik nie dał jej do zrozumienia, że ma mi towarzyszyć. Nie mogę jej winić. Była w trudnej sytuacji, a w miłości, na wojnie i w przypadku nielegalnego wkroczenia na teren prywatny wszystkie chwytaki są dozwolone.

– Ludzie, mówisz? – Znajduję przydatny trop i rozpoczynam pracę.

– To takie komputery o organicznych obwodach.

Z jej tonu wnoszę, że dołeczki powróciły. Chciałbym powiedzieć, że nie jestem świadomy tego, jak jej ciało dość mocno przylega do mojego w zaciszu wnęki, ale to na nic. Przecież ona najwyraźniej chce, żebym to zauważył, a ja z natury jestem pomocny.

– A więc jeśli wolisz myśleć o ludziach... powiedz, co myślisz o mnie.

– Że niby co? Ujawniamy swoje tajemnice? – Zdezorientowana kręci głową.

– Naprawdę przyszedłem tu tylko po to, by się z kimś spotkać. Kiedy wysiadły projektory, a strażnicy zaczęli odciągać ludzi, wybrałam cię, żeby odwrócić ich uwagę, bo widziałam, jak zmieniasz koszulę. Pomyślałam, że ciebie pewnie też nie powinno tu być i że będziesz ze mną współpracował.

Nuda. To nie jest prawdziwa historia. Taka dziewczyna nie zjawia się w takim miejscu bez dobrego powodu. Nawet ja nie zjawiam się w takim miejscu bez dobrego powodu – to, że poniosłem dotkliwą porażkę i nie zyskałem nowych informacji na temat miejsca pobytu komendant Antje Towers, tylko dolewa oliwy do ognia. Ale polowanie na dawnego pionka LaRoux Industries będzie musiało poczekać. Parskam, dając Dołeczce do zrozumienia, że nie kupuję jej historyjki, i znajduję komponenty, których szukałem. Zaraz mogę zaczynać imprezę.

Dziewczyna milknie, skubiąc wargę, a ja zerkam na jej profil.

– Jak to zrobiłeś? – pyta. – Skąd wzięła się ta piana?

Przesuwam językiem po zębach, a posmak wypełniający usta każe mi się skrzywić.

– Pastylka SysCleans. Gdy wrzucisz ją do odkażonej wody, tworzy się zasadowy roztwór do czyszczenia obwodów. Gdy rozgryziesz ją bez wody, czego producenci nie polecają, niemal eksplodują ci usta.

– Aha – mruczy i choć najwyraźniej nie zamierza tego przyznać, widzę, że jest pod wrażeniem.

Założę się o swoje buty, że zachowa tę informację na przyszłość, na wypadek gdyby miała jej się przydać.

– Masz jakieś imię, przyszła żonko? – pytam, korzystając z przewagi.

– Alexis.

– Miło cię poznać, Alexis.

Nie będziesz miała nic przeciwko, jeśli zostanę przy „Dołeczku”, co? Przecież to i tak nie jest twoje prawdziwe imię.

– A ty?

– Sam Sidoti – mówię i tym razem to ona mierzy mnie spojrzeniem.

– Samantha Sidoti prowadzi wieczorne wiadomości na kanale SDM – zauważa. – Poza tym jest kobietą.

– Przyłapałaś mnie. – Podnoszę wzrok znad roboty, a kiedy ona spogląda na mnie przez ramię, odkrywam, że wywołanie tej małej zmarszczki na jej czole jest niemal równie zabawne, jak patrzeć na jej dołeczki. – Już prawie kończę. Chyba powinniśmy ułożyć jakiś plan i przygotować się na moment, kiedy nasi przyjaciele zaczną biec do miejsca, gdzie za mniej więcej minutę powstanie awaria. A może plan jest taki, że każde z nas pójdzie w swoją stronę?

Przez chwilę milczy i nie wiem, czy rozważa, co wybrać, czy nasłuchuje kroków.

– Jeśli się rozdzielimy, jest mniej prawdopodobne, że nas zatrzymają – mówi powoli, obserwując moje dłonie, kiedy wpisuję ostatnią komendę i przebiegam palcami po ekranie. Jej ton staje się stanowczy. – Ale mam kartę dostępu do schodów przeciwpożarowych, na których nie ma monitoringu. Możesz ze mną iść, jeśli chcesz.

No, no, interesujące. Wyłączam lap-ekran, przyciskając kciuk do czytnika linii papilarnych, po czym wyciągam chip i wsuwam go do kieszeni.

– Lubię dziewczyny, które angażują się w związek. W dzisiejszych czasach niełatwo takie znaleźć.

Przekrzywiam głowę z boku na bok i kilkakrotnie kręcę ramionami – od symulowania ataku ciało niezłe się spina – po czym obciążam koszulę.

– No i? – dopytuje. – Gotowe?

Unoszę rękę – nie mogę się powstrzymać, żeby trochę się nie popisywać –

w myślach odliczam do pięciu i pstrykam palcami.

Rozpętuje się piekło.

Dźwięk wyjącej syreny zalewa korytarz, więc choć widzę, że usta dziewczyny się poruszają, alarm uniemożliwia mi usłyszenie jej słów. Postanawiam myśleć, że komplementuje to, jak świetnie zhakowałem system. Szybko potrząsa głową, po czym przysuwa usta do mojego ucha i przez chwilę jestem zbyt skoncentrowany na ciepłe jej oddechu, żeby ją usłyszeć.

– Ty kretynie, musimy się stąd wydostać schodami przeciwpożarowymi!

Uśmiecham się szeroko.

– Zadbalem o to, by system odczytał, że pożar wybuchł na schodach – odkrzykuję. – Wszyscy będą się kierować na drugi koniec budynku.

Dziewczyna milknie, a ja mam chwilę, żeby rozkoszować się jej dość powściągliwym podziwem. Po chwili ruchem głowy daje mi znać, żebym ruszył za nią, i wymyka się na korytarz, skręca w prawo, a potem znowu w prawo.

Przy najbliższym rozwidleniu gwałtownie się zatrzymuje, bo przez jazgot syreny przedziera się krzyk. Z tego, co udaje mi się ustalić, krzyk dochodzi z holoapartamentu, w którym byliśmy wcześniej. Nie jest to jednak wzburzony okrzyk ani żądanie wolności wysunięte przez protestujących, którzy przypomnieli sobie, po co przyszli. To krzyk, który urywa się wraz z przenikliwym piskiem broni laserowej.

Dziewczyna spogląda mi w oczy, a jej źrenice są rozszerzone ze strachu, który odzwierciedla przyspieszone bicie mojego serca. Cokolwiek się tu dzieje, nie na to się przygotowaliśmy, planując nawet najgorszy możliwy scenariusz wydarzeń.

– Widziałeś...? – Podnosi głos, żeby przekrzyczeć hałas, ale w jej tonie słyszę wyższą nutę, niepokój. – Kiedy opuszczaliśmy tamto miejsce...

Widziałem ludzi nieruchomych jak posągi pośrodku pomieszczenia, zwróconych niczym wyznawcy w stronę ogromnego metalowego pierścienia wypełniającego się niebieskim ogniem. Wydaje mi się, że wiem, czym był ten pierścień, ale...

– Ci ludzie! – odkrzykuję. – Nie wiem, co tam się, u diabła, działo...!

– Ja wiem! – Jej odpowiedź prawie mi umyka, ale jej mina jest oczywista. Na krótką chwilę Dołeczek zrzuca maskę, a wiedza, którą ma, wstrząsa nią do głębi.

Biorę oddech i poruszam ustami, żeby zadać jej pytanie, ale ona nie daje mi takiej szansy. Zrywa się do biegu, wcześniej chwytając mnie za ramię, żeby mnie odwrócić i pociągnąć za sobą innym korytarzem.

Wszystkie ściany są takie same, pomalowane na kremową biel, podobnie jak wszystkie drzwi, co daje niepokojące wrażenie, że kręcimy się w kółko, ona jednak się nie waha, raz po raz skręcając i lawirując korytarzami. Mój wyjący alarm

przeciwożarowy zadziałał. Na korytarzach nie ma nikogo poza przypadkowym strażnikiem, którego bez problemu omijamy. Po jakimś kwadransie dziewczyna w końcu się zatrzymuje, unosi rękę i zamyka oczy, by zajrzeć do wewnętrznej mapy. Staram się czymś zająć – sprawdzam, czy w pobliżu nie ma żadnych niepożądanych gości. Po pół minuty moja towarzysza kiwa głową i daje znak, żebym ruszył za nią.

Chciałbym się dowiedzieć więcej – o wiele więcej – o tej dziewczynie, która ma przepustkę na schody przeciwożarowe, zabójczy uśmiech i która zapamiętała mapę wszystkich korytarzy dostępnych jedynie dla personelu.

Niestety kończy nam się szczęście. Wyglądamy za róg i dostrzegamy strażnika stojącego przy drzwiach opatrzonych neonowym znakiem wskazującym wyjście na schody przeciwożarowe. Mężczyzna jest pulchny, a jego koszula tak nowa, że wciąż ma fabryczne zagniecenia. Zgaduję, że facet pracuje tu od niedawna. Jego szeroko otwarte oczy świadczą o tym, że nie pisał się na doświadczenie czegoś takiego na tak wczesnym etapie swojej kariery. Nie wiem, co widzi moja towarzysza, ale bez względu na to, co to jest, uśmiecha się i znów chowa za róg.

Unosi dłoń, żeby przycisnąć mi ją do piersi, i przez krótką chwilę potrafię się skupić jedynie na tym punkcie, na ciepłe jej skóry przenikającym przez moją koszulę. Popycha mnie na ścianę. Zaczynam zauważać w tym pewien wzorzec. Najwyraźniej nie przywykła do pracy zespołowej.

– Zostań tu – nakazuje, po czym tą samą dłonią szuka czegoś w staniku.

Domyślam się, że to działanie, któremu mam się przyglądać, więc to robię. Wyciąga małą niebieską kapsułkę i rozgniata ją ręką. Kiedy przeczesuje palcami platynowe włosy, spostrzegam, że kapsułkę wypełniono farbą, bo ten krótki ruch wystarcza, by jej włosy pokryły się jasnoniebieskimi pasemkami.

– Dobra, to właśnie mój sekret – rzuca, przykucając, by wytrzeć rękę o wykładzinę.

– Tak?

Szczerzę się, a ona odpowiada wstydliwym uśmiechem, tym razem ukazując tylko jeden dołeczek. To chyba podoba mi się jeszcze bardziej. Podoba mi się, że – przynajmniej na razie – jej strach ustępuje, choć w jej spojrzeniu wciąż dostrzegam jego ślady.

– Patrz i ucz się. – Czystymi palcami szczypie się w policzki, tak że robią się zaczerwienione, i łapie kilka szybkich oddechów, po czym wypada za róg. Biegnie prosto na strażnika i rzuca się na niego z płaczem. Widziałem w życiu wielu artystów prezentujących wyższy poziom, ale ta dziewczyna jest naprawdę dobra.

Mężczyzna zdaje się oszołomiony tym, że trzyma w ramionach rozhisteryzowaną niebieskowłosą nastolatkę, i zarzuca ją wariacjami zdań w stylu: „Jesteś ranna?” i „Punkt ewakuacyjny znajduje się po tamtej stronie, panienko”.

Nie spuszczać ich z oka, ściągam koszulę, szybko odwracam na drugą stronę i znów wkładam, tak że logo LaRoux Industries, które wyszyłem, ponownie znajduje się na wierzchu.

Tymczasem Dołeczek bierze kilka gwałtownych oddechów i znów próbuje coś powiedzieć, tym razem nieco wyraźniej pomimo „przerażenia”.

– Tam – dyszy, wskazując na korytarz po przeciwległej stronie od tego, w którym się ukrywam. – Próbował wziąć mnie jako zakładniczkę. Ma broń! Proszę, musi mi pan pomóc. – Po tych słowach oddaje się rozpaczliwym jękiem, chociaż syrena nad naszymi głowami wyje tak głośno, że nie słyszę nic poza nią.

Z mowy ciała strażnika domyślam się, co mówi, kiedy udaje mu się wyswobodzić ramię z uścisku dziewczyny. „Zostań tu” i „Zajmę się tym”. Kiedy jednak zaczyna biec w kierunku, który mu wskazała, nie porusza się zbyt szybko. Prawdopodobnie wcale nie chce znaleźć tego uzbrojonego porywacza, i prawdę mówiąc, trudno mu się dziwić.

Nie wychodzę z ukrycia, dopóki strażnik nie znika za rogiem, po czym spiesznie podbiegam do swojej przyjaciółki, która szpera w torebce – kto jeszcze nosi torebki? – po czym wyjmuję kartę magnetyczną. Kiedy czytnik rozbłyskuje na zielono, na twarzy dziewczyny pojawia się lekki wyraz ulgi. Po chwili znajdujemy się na surowej klatce schodowej. Odgłos alarmu jest tu nieco przytłumiony, więc kiedy zaczynamy schodzić, nasze kroki niosą się echem.

– Coś ty tam, u diabła, zrobił?! – woła do mnie przez ramię po dłuższej chwili. – Widziałam, że majstrujesz coś na lap-ekranie i że podpiąłeś port danych do drzewa tuż przed tym, jak holoprojektory przestały działać, ale teraz mamy do czynienia z zupełnie innym poziomem systemu zabezpieczeń.

Kusi mnie, by jej powiedzieć, że nie mam pojęcia. Siedziałem na serwerach LaRoux i zauważyłem dziwne skoki energii, o których chciałem się dowiedzieć czegoś więcej, ale ledwie zacząłem. Nic, co uruchomiłem, nie powinno było wywołać tak panicznej reakcji. Dawniej niektóre z moich trików mogłyby spowodować zamieszanie. Ale ostatnimi czasy, o ile ktoś nie zajdzie mi za skórę... Tak czy siak, żadne z moich działań nie tłumaczyłoby wystrzałów dobiegających z holoapartamentu.

Zaczęliśmy dwadzieścia pięter wyżej – choć to liczba względna, ponieważ parter nie sięga prawdziwej powierzchni Koryntu – i zostały nam jeszcze trzy, więc oszczędzam oddech, bo przyda mi się w czasie biegu.

Nagle drzwi na parterze rozwierają się z trzaskiem i wybiega przez nie trzech strażników. Za bardzo się rozpędziliśmy, żeby natychmiast stanąć, więc przywieram do ściany i staram się znaleźć poza zasięgiem ich wzroku. Dziewczyna chwyta mnie za koszulę, by zahamować, po czym wpada na ścianę obok mnie. Stoimy w bezruchu, zastanawiając się, czy strażnicy nas dostrzegli i czy wbiegną po schodach.

Oczywiście, że tak. Czy cokolwiek poszło dzisiaj po mojej myśli? Nie ma mowy, żebyśmy dostali się do wyjścia niezauważeni, więc chowam torbę z wyświetlaczem za plecy i wychodzę im naprzeciw z nadzieją, że pomoże mi fałszywy uniform LaRoux Industries. Moja współpracowniczka trzyma się za mną i najwyraźniej żywi równie mocną nadzieję, że strażnicy nie zauważą, iż ona uniformu nie ma.

– Tylko mnie nie zastrzelcie, panowie! – wołam tonem, który wskazuje na to, że ta wizja mnie bawi. – Cholernie trudno będzie mnie zastąpić!

Trzy lufy unoszą się, po czym opadają, kiedy mężczyźni dostrzegają moją koszulę. Wygląda na to, że pomogła mi osiągnąć cel, przynajmniej z oddali.

– Co robicie na tej klatce schodowej?! – woła jeden z nich.

Cholera, dobre pytanie. Pracownik LRI powinien wiedzieć, którędy się ewakuować.

Wtedy zza moich pleców odzywa się Dołeczek *vel* Alexis – muszę się w końcu dowiedzieć, jak naprawdę ma na imię.

– Na górze powiedziano nam, że to może być problem techniczny. Nie ma tam dymu ani płomieni, więc sprawdzamy alarmy ręcznie.

Trzeba przyznać, że laska ma refleks.

– Prace konserwacyjne – przytakuje celowo znużonym tonem. – Niektóre z nich da się sprawdzić tylko osobiście, a jeśli to fałszywy alarm, ktoś najwyraźniej tego nie zrobił. Czy możemy prosić, żebyście opuścili klatkę schodową? Mogą na was zareagować czujniki ruchu.

Dwóch z nich od razu kupuje naszą historyjkę, ale mężczyzna, który zadał nam pytanie, nie jest przekonany – mierzy mnie spojrzeniem i dopiero po chwili odwraca się, żeby ruszyć za kolegami. Wciąż ściska broń.

– Wielkie dzięki! – wołam za nimi najradośniej, jak potrafię.

Zza moich pleców dobiega cichy głos mojej towarzyszki:

– Możemy się dostać na drugie piętro. Wychodzi na ulicę. W ten sposób ominiemy hol.

Kiwam głową i ruszamy. Trzymam się pomiędzy współpracowniczką a schodzącymi na parter strażnikami. Mam nadzieję, że dziewczyna zdaje sobie sprawę, iż ukrywam tylko jej brak uniformu, a nie chronię ją własnym ciałem.

– Chwileczkę! – krzyczy ten dociekliwy strażnik, który jest już w połowie schodów na górę. Przyciska dłoń do ucha, gdzie zapewne znajduje się słuchawka, przez którą ktoś przekazuje mu informacje o nas.

Alexis klnie pod nosem. Przez chwilę mam wrażenie, że mówi z obcym akcentem, po czym oboje biegniemy do drzwi.

– Stać!

Cała trójka ochroniarzy rzuca się w górę schodów. Dzieli nas od nich tylko kilka metrów. Wykrzykują groźby, ich głosy dudnią tak samo głośno jak ich kroki,

a nad nami wciąż rozlega się wycie alarmu.

Dziewczyna wybiega przede mnie i popycha dźwignię antypaniczną, żeby otworzyć drzwi. Słońce wdziera się do środka i oświetla klatkę schodową. Kładę dłoń między łopatkami Alexis i popycham ją na zewnątrz, po czym wypadam za nią, a torba z wyświetlaczem obija mi się o biodro. Ścigający nas mężczyźni nie mają stabilnego celu, a ja robię unik, żeby dodatkowo utrudnić im zadanie.

W następnej chwili dobiega mnie pisk zaawansowanego pistoletu laserowego. Kiedy zatrzasnę za sobą drzwi, w moim ramieniu zagnieżdża się fala bólu, która przenosi się do klatki piersiowej i sprawia, że moje nerwy stają w ogniu.

Istnieją listy, obrazy i piosenki, a każda ich część została uchwycona i wtłoczona do bezruchu. Jednak każdy przebłysk jest tak odmienny, tak samotny, że nie sposób poskladać ich w całość.

Jednostki.

Ta koncepcja jest nowa, tak samo jak nowe były zimne, twarde cząstki przemykające przez wszechświat. Pewne fragmenty zalewające bezruch są piękne, inne brzydkie, a jeszcze inne zupełnie niepojęte.

Czy istnieje sposób na to, by zrozumieć je wszystkie?

Tak, trzeba zrozumieć jedną.

Obserwujemy, czekamy i się uczymy.

SOFIA

Skowyt laserowej broni strażnika przeszywa powietrze i przez krótką, oszałamiającą chwilę przenoszę się do domu i nasłuchuję odległej wymiany ognia pomiędzy wojskiem a *fianna*. Po chwili rozlega się drugi strzał, który nieszkodliwie odbija się od framugi, a mój przypadkowy partner popycha mnie przez drzwi.

Wyskakujemy na ulicę. Górują nad nami połyskujące drapacze chmur z chromu i szkła. Miasto rozciąga się na długość niemal całego Koryntu, podzielone na kontynenty, sektory i dzielnice. Brak tu malowniczej panoramy, bo metropolia ciągnie się w nieskończoność, a nowe wieżowce buduje się na dachach starych. Żeby zniknąć w slumsach poniżej właściwego Koryntu, trzeba by znaleźć windę zjeżdżającą pod obecny poziom ulicy. Nie mamy jednak tyle czasu, więc rozglądam się wokół, szukając sposobu na szybszą ucieczkę. Po wykryciu ruchu stojący tuż obok billboard wyrzaskuje reklamę wprost do mnie: „Nie przegapcie spektakularnego, poruszającego hołdu dla ofiar jednej z największych tragedii tego milenium! Odwiedźcie orbitalne muzeum Dedal! Wpływy z pierwszego tygodnia zostaną przekazane rodzinom osób, które zginęły w katastrofie Ikara!”.

Zaciskam zęby, próbując nie dopuścić do siebie makabrycznego przekazu i skupić się na następnym ruchu. Chłopak stoi pochylony nad klawiaturą numeryczną przy drzwiach i majstruje coś przy chipie, który wciąż wysuwa mu się z kieszeni. Po wszystkim z urządzenia wydobywa się rozdrażnione zgrzytanie i ekran nad klawiaturą gaśnie.

– niesprawny zamek powstrzyma ich tylko na chwilę – mruczy. – Musimy ruszać.

– Taksówka – sapię, kiedy obok przelatuje poduszkowiec z parą rozchichotanych nastolatków wychylonych przez tylne okna.

– Namierzą płatność z palmpada – rzuca szorstko mój towarzysz, jakby nie mógł uwierzyć, że zaproponowałam coś tak niedorzecznego.

– Litości. – Przewracam oczami i podchodzę do krawędzi platformy, gdzie przejeżdżają rozpędzone pojazdy.

Jeśli chce iść ze mną, proszę bardzo. Jeśli nie, niech sobie radzi sam. Odgarniam niebieskie włosy z oczu, biorę kilka szybkich oddechów i staję na krawężniku. Pierwszą wolną taksówkę, która nadjeżdża, przepuszczam – kierowcą jest kobieta, a jeśli plan ma zadziałać, muszę zmaksymalizować swoje szanse. Następny pojazd wygląda obiecująco, więc unoszę rękę i nakręcam się, biorąc kolejne szybkie oddechy. Kiedy kierowca staje przy krawężniku, oddycham

spazmatycznie.

– Bardzo pana proszę – rzucam bez tchu, nachylając się do okna, kiedy mężczyzna wciska guzik i okienna membrana znika. – Może mi pan powiedzieć, jak się stąd dostać do East Central Heights? Razem z bratem dopiero przybyliśmy na Korynt i mamy się kierować do mieszkania cioci, ale nie wiem, gdzie jesteśmy, a ktoś ukradł mi palmpada, więc szliśmy pieszo i... – Przetykam ślinę, przerywając niekończące się biadolenie zduszonym oddechem.

Taksówkarz przygląda mi się ze zdziwieniem, po czym podejrzliwie spogląda w stronę tylnego okna, gdzie mój nowo poznany haker opiera się o nadwozie samochodu i wygląda na kompletnie rozleniwionego. Mam ochotę go udusić. Mógłby mi przynajmniej pomóc odegrać tę scenę rozpaczy. Na szczęście ma na tyle rozumu, żeby nie zareagować na to, że „narzeczonego” zamieniłam na „brata”. Ten kierowca ma dwadzieścia, może trzydzieści lat, a kiedy się nachylam, jego oczy rozbłyskują. Cóż, nie jest to może najbardziej elegancki trik, ale lada chwila strażnicy zaczną przeczesywać ulice. Nie ma czasu na elegancję, trzeba sięgnąć po sztuczkę starą jak świat. Sztuczkę, która działała na żołnierzy na mojej planecie i która działa też na tutejszych mieszczuchów.

– Musicie się dostać na kolejny poziom – odpowiada powoli taksówkarz. Waha się, a ja próbuję nie napierać. Sam musi wpaść na ten pomysł. – W tamtą stronę, mniej więcej kilometr stąd, znajduje się kładka dla pieszych – wyjaśnia, wskazując głową kierunek, z którego nadjechał.

Mocno pociągam nosem, pozwalając, by zobaczył, jak próbuję wziąć się w garść.

– Czy mógłby mi pan narysować mapę? Bez palmpada jestem taka zagubiona... Ciągłe słyszymy, że jesteśmy na niewłaściwym poziomie, a ja... Ja już nie mam siły chodzić. Chcę się znaleźć w domu, ale stąd nawet nie widać Regency Towers. – Wybrałam jeden z najdroższych budynków w tej części Koryntu. Jeśli nie przekonuje go scenka z damą w opałach, może zwycięży chciwość.

Kiedy mężczyzna spogląda na taksometr, jego oczy nieco się zwężają. Bębni kciukiem o drążek sterowy, a kiedy przenosi wzrok na mnie, wpatruję się w niego wielkimi oczami w obramowaniu mokrych rzęs. Żałuję, że tak łatwo przychodzi mi przywołanie łez. Widok ludzi o pustych spojrzeniach w holoapartamencie i nasza ucieczka wstrząsnęły mną bardziej, niż jestem skłonna przyznać. Chociaż powinnam już przywyknąć do ucieczek, moje dłonie zaczynają drżeć. Opieram je o drzwi taksówki, żeby to ukryć.

Kierowca wzdycha.

– Wasza ciotka mieszka w Regency Towers?

Kiedy to potwierdzam, zerka do tyłu na mojego towarzysza, który wciąż opiera się o samochód... Chłopak już nawet nie obserwuje tego, co się dzieje,

spogląda w dal z zaciśniętą szczęką i zaplecionymi na piersi ramionami. Jego ciało komunikuje najbardziej agresywny przekaz, jaki można sobie wyobrazić. Dzięki, kretynie, że ułatwiasz mi sprawę. W końcu kierowca wskazuje głową tylne siedzenia.

– Wskakujcie. Wasza ciotka zapłaci, kiedy dojedziemy na miejsce, tak?

– Naprawdę?! – krzyczę, jak gdyby myśl, że mógłby nas podwieźć, w ogóle nie zaświtała mi w głowie. – O Boże! Jest pan moim bohaterem! Dziękuję! – Przypadam do samochodu, nie dając mu czasu na zmianę decyzji, i pociągam za drzwi, o które opiera się mój nowy kolega, co sprawia, że chłopak traci równowagę. – Chodź, braciszku – mamrocę, tak żeby tylko on usłyszał moje słowa.

Chłopak w milczeniu wsiada do pojazdu i przesuwa się wzdłuż rzędu siedzeń, by zrobić mi miejsce. Gdy drzwi się za mną zatraskują, rozsiadam się na fotelu ze sztucznej skóry.

– Bardzo panu dziękuję. Powiem cioci, żeby dała panu hojny napiwek za dobre serce.

Taksówkarz spogląda na mnie przez ramię i uśmiecha się szeroko, po czym przesuwa drążek naprzód i włącza się do ruchu pojazdów przelatujących przez środkowy poziom sektora. Jest na swój sposób przystojny – przypomina kołesia, który wyrabiał mi fałszywe dokumenty, z tą różnicą, że prawie na pewno nie ma w zwyczaju łamać palców niepłacącym klientom. Przynajmniej taką mam nadzieję.

– Skąd pochodzicie?

To pytanie zbija mnie z tropu. Daremnie próbuję zwrócić uwagę swojego bezużytecznego partnera. Gęsto mrugając, spoglądam na kierowcę.

– Słucham?

– Mówiłaś, że dopiero przybyliście na Korynt. Zastanawiałem się, skąd jesteście. – Znów patrzy przed siebie, ale podnosi wzrok, żeby spojrzeć na mnie w lusterku wstecznym.

– Ach... Z Babelu – odpowiadam, podając nazwę pierwszej z brzegu planety, na której nigdy nie byłam.

– Nie żartuj! – woła mężczyzna ze śmiechem. – Urodziłem się na Babelu. Z jakiego jesteście sektora? Byliście kiedykolwiek w barze kilka poziomów pod Regency Towers? To miejsce spotkań fanów T-Wingów z Babelu. Przy okazji każdego meczu naszej drużyny do knajpy wałą tłumy. Może kiedyś wpadniesz?

Wygląda na to, że mój seksapil jednak zadziałał. Zerkam na mojego „brata”, żeby sprawdzić, czy zachowa się stereotypowo i nadopiekuńczo, żeby odeprzeć propozycje taksówkarza i... zamieram. Haker spogląda na swoją zaciskaną przez cały czas dłoń. To, co odczytałam jako arogancję, okazało się czymś zupełnie innym. Kiedy podnosi rękę, jest splamiona czerwienią.

Orientuje się, że na niego patrzę, i chowa rękę. Taksówkarz nie przestaje

mówić, co jakiś czas zerkając na mnie w lusterku wstecznym, ale jego słowa zlewają się w odległy szum.

Nie wiem, jak poważna jest sytuacja, ale krew nie przestaje płynąć, choć chłopak próbuje ją zatamować. Na Avonie zaszyłam wiele ran, ale teraz nie mogę się przyjrzeć jego dłoni ani zapytać, jak się czuje. Kiedy kierowca zorientuje się, że wiezie ofiarę strzelaniny, stanie i wyrzuci nas na pobocze. W miejscu, w którym byliśmy, tego typu urazu można było się dorobić jedynie od przedstawicieli władzy, więc choćbym flirtowała z taksówkarzem bez końca, facet nie będzie chciał ściągać na siebie oskarżeń o pomoc w popełnieniu przestępstwa.

Tym razem naprawdę muszę walczyć z drzeniem swojego głosu.

– Myślisz, że ciocia będzie się na nas bardzo złościć za to, że się spóźniłyśmy? – pytam „brata”, przerywając taksówkarzowi, a ten milknie.

Chłopak spogląda mi w oczy i się krzywi.

– Myślę, że średnio. – Poprawia się na fotelu, przenosząc ciężar ciała na drzwi. – Pewnie jej minie, jeśli szybko ją przeprosimy.

Spoglądam na ekran GPS-u na tablicy rozdzielczej taksówki. Gdybym mieszkała w innym punkcie sektora, od mojego domu mogłoby nas dzielić wiele godzin jazdy magpociągiem, ale celowo wybrałam lokum ze względu na bliskość siedziby głównej LaRoux Industries. No dobra. Było też całkiem stylowe. Od celu dzieli nas zaledwie kilka minut drogi. Mogę wprowadzić chłopaka do budynku od strony ulicy, a potem bocznymi drzwiami. Zakładając, że nie straci zbyt wiele krwi, zanim uda nam się znaleźć w windzie, mogę zostawić tu kierowcę w oczekiwaniu na nieistniejącą ciotkę i będziemy wolni.

– Długo będziecie na Koryncie? – pyta kierowca, wznawiając przesłuchanie, jak gdybym nie przerwała mu, żeby porozmawiać z blondynem wykrwawiającym się na tylnym siedzeniu. – Przeprowadzacie się tu czy tylko wpadliście w odwiedziny?

– Wpadliśmy w odwiedziny – odpowiadam, próbując przywołać urok osobisty i odpędzić niepokój. – Rodzina, te sprawy.

– Wiadomo. Będiesz mogła się wyrwać któregoś dnia?

– Hmm... Mój brat nie lubi, kiedy spotykam się z nieznajomymi. – Spoglądam na siedzącego obok chłopaka, który unosi brwi z ironicznym rozbawieniem. Nawet nie znam jego imienia.

Taksówka zatrzymuje się gładko przy krawężniku platformy przed południowym budynkiem apartamentowca Regency Towers. Kierowca odwraca się, zerkając to na mnie, to na mojego sąsiada.

– Daj spokój, chyba nie wyglądam aż tak podejrzanie?

Ma miły uśmiech i choć nie zachowywał się zbyt subtelnie, obczajając mnie, kiedy błagałam go o pomoc, w końcu się nad nami zlitował. Nie mam jednak dla niego zbyt wiele współczucia. Człowiek sam się prosi, żeby go oszukać, i oszust

w końcu go znajdzie. Odwzajemniam uśmiech i wzruszam ramionami.

– Może któregoś dnia się wymknę – odpowiadam szeptem, tak żeby miał wrażenie, iż nie chcę, by brat usłyszał, po czym wyciągam rękę do drzwi.

– Hej, hej, zaraz. – Kierowca wciska autoblokadę i moje drzwi wydają znajome kliknięcie. – Możesz poczekać w samochodzie i wysłać brata po palmpada ciotki, żeby zapłacić za kurs.

Cholera. Ponownie zerkam na siedzącego obok chłopaka, którego leniwy wymuszony uśmiech zniknął. Drzwi z jego strony nie są zablokowane, ale jeśli kierowca zauważy, że sięgam do klamki, je także zamknie. Czas pożegnać się z nadzieją, że mamy do czynienia z idiotą oraz frajerem. Nie zdziwiłabym się, gdyby mój haker wyskoczył i uciekł – na jego miejscu pewnie bym tak zrobiła. Potrzebna mu pomoc medyczna i to szybko, poza tym zdążył już zauważyć, że mam gadane i potrafię się wykręcić z wielu rzeczy. Mógłby mnie tu zostawić bez poczucia winy.

On jednak się nie rusza, a w jego orzechowozielonych oczach pierwszy raz od naszego spotkania dostrzegam powagę.

– Brat? – rzucam do kierowcy, przesyłając mu najweselszy, najbardziej kokietyrny uśmiech, który opanowałam, studiując w holowidzie materiały z roześmianymi kilkunasto- i dwudziestolatkami z górnego poziomu Koryntu, bawiącymi się w nocnych klubach. – Ale z pana frajer – mówię ze śmiechem. Lepiej, żeby myślał, że został obrobiony przez flirciarę, niż by odkrył, że nieświadomie pomógł dwojgu przestępcom uciec z najpilniej strzeżonego ośrodka na tej półkuli.

Proszę, kimkolwiek jesteś... współpracuj ze mną, przekazuję w myślach rannemu chłopakowi.

Nachylam się i opieram o jego zdrowe ramię, po czym odwracam jego twarz ku sobie, żeby go pocałować. Słyszę, jak zaskoczony i zdezorientowany kierowca nabiera powietrza. Chociaż ustami muskam wargi chłopaka, nie spuszczam oka z taksówkarza. Zgodnie z moimi oczekiwaniami mężczyzna prycha oburzony. Nie myśli już o zapłacie ani o tym, żeby zatrzymać mnie w samochodzie, dopóki nie dostanie pieniędzy – nie myśli też jeszcze o tym, żeby zablokować wszystkie drzwi.

Szybko, ale płynnie przesuwam drugą dłoń po kolanie mojego towarzysza i sięgam do kontrolki na drzwiach. Kierowca w końcu odzyska nad sobą panowanie, a jego dezorientacja i złość miną, więc muszę otworzyć drzwi, żebyśmy mogli uciec. Już mam przyłożyć dłoń do skanera, kiedy czuję, że wargi chłopaka wyginają się w łuk – uśmiecha się, szczerzy – i to jedyne ostrzeżenie, jakie otrzymuję, zanim rozchyła usta i w pełni wykorzystuje moją sztuczkę, by wepchnąć mi język do gardła.

Dupek.

Materia robi się cienka, przezroczysta. Po drugiej stronie znajduje się ciemnowłosa, niebieskooki mężczyzna, który wpatruje się w materię, jak gdyby jego wzrok przez nią przenikał. Oto moment, na który czekaliśmy.

– Chciałbym wiedzieć, co to, u diabła, jest – mamrocze młody mężczyzna w języku słów, obrazów i dźwięków, które przesywają bezruch.

Przerzedzenie zaczyna pulsować, a młody mężczyzna cofa się z przerażeniem. Jeszcze uważniej wpatruje się w przezroczyste miejsce w materii, ale po jakimś czasie wybucha nerwowym śmiechem.

– Coś mi się wydawało – mówi do siebie. – Przecież to mnie nie słyszy.

Przerzedzenie znów zaczyna pulsować, tym razem jaśniej.

Młody mężczyzna blednie.

– Rose – woła ponagląco. – Rose, chodź tu szybko. Wydaje mi się, że... że to jakaś myśląca istota.

GIDEON

Palce Alexis napotykają skaner na drzwiach za moimi plecami, a kiedy te ustępują, jestem gotowy. Odrywam się od niej, żeby wytoczyć się z samochodu, a moja całusna partnerka jest tuż za mną. Jakimś cudem udaje mi się stanąć na ziemi i już po chwili, przy akompaniamencie okrzyków taksówkarza, wymijamy tłumy kupujących i kilka elektrycznych rowerów. Przez jakiś czas biegniemy idealnie zgrani, ale w pewnym momencie dziewczyna wszystko psuje, wyciągając rękę w bok i uderzając mnie w pierś, kiedy skręcamy w boczną uliczkę. Fala bólu wije się w dół mojej rannej ręki.

– Hej, a to za co? – syczę.

– Sam wiesz – rzuca zasapana.

Chciałbym myśleć, że zaparło jej dech po naszym namiętym pocałunku w taksówce, ale biegniemy dosyć szybko.

– To ty mnie pocałowałaś, Dołeczku. Skąd miałem wiedzieć, że nie chcesz, żebym się włączył?

– Mam na imię Alexis!

– A ja mam co do tego poważne wątpliwości.

Wypadamy za róg i zatrzymujemy się gwałtownie obok tylnego wejścia do designerskiego butiku, oddychając ciężko. Dziewczyna chwytła mnie za zdrowe ramię i obraca, żeby przyjrzeć się zakrwawionemu rękawowi.

– Jest źle? Wytrzymasz jeszcze kilka minut?

– Nie więcej – odpowiadam, ponownie przyciskając ranę dłonią. Szumi mi w głowie od upajającej mieszaniny ulgi, że udało nam się uciec, i bolesnej świadomości, że dziś w holoapartamencie zobaczyłem coś naprawdę złego. Litościwa matko usmażonych przewodów, ależ boli mnie ręka. – Znasz jakieś miejsce, gdzie uda mi się to zatamować?

Dziewczyna przez dłuższą chwilę milczy, po czym kiwa głową.

– Znam.

Prowadzi mnie inną boczną uliczką pomiędzy kilkoma drogimi sklepami, potem przez bramę w ogrodzeniu otaczającym wieżowce Regency Towers, gdzie skierowała taksówkarza, a następnie przez sąsiadujący z nimi ogród. Widzę, że opanowała ścieżki w tej okolicy, i podziwiam ją za to. Stamtąd kierujemy się przez bramę dla personelu, więc kiedy dochodzimy do wejścia do Camelot Heights – proszę, niech to będzie cel naszej podróży, bo cholernie mnie boli – mamy pewność, że nie widział nas nikt z ulicy. Dziewczyna zatrzymuje się i wyciąga z torby cienki dopasowany kapelusz z filcu. Używa go, żeby zamaskować

niebieskie włosy, kiedy wbija kod bezpieczeństwa, i wślizgujemy się do środka. Laska, która mieszka w takim miejscu, nie może się parać kryminalną robotą, a przynajmniej nie tego samego rodzaju co ja. Czy wemknęła się dziś do holoapartamentu dla zabawy? Znów mam przed oczami obraz metalowego pierścienia i strachu w jej oczach. Jeśli myślała, że to zabawa, teraz z pewnością zdaje sobie sprawę z tego, że to coś o wiele poważniejszego.

– Kristina! – Dopiero po chwili uświadamiam sobie, że uśmiechnięty portier mówi do nas, a raczej do Dołeczka. – Kim jest twój kolega?

– Pozwól, że sama się tego dowiem, Alfie. – Śmieje się, prowadząc mnie do windy.

Jej gra jest równie nieskazitelna, jak śmiech. Strach, który towarzyszył jej w LaRoux Industries, zniknął – dziewczyna reaguje błyskawicznie. Wybiera przycisk na samej górze – do luksusowego apartamentu na ostatnim piętrze, jakżeby inaczej – i winda rusza z ledwie słyszalnym buczeniem. Dopiero kiedy mijamy przedostatnie piętro i nikt do nas nie dołącza, moja towarzyszka zaczyna szperać w torebce. Wyjmuje parę eleganckich koronkowych rękawiczek i naciąga jedną z nich na prawą dłoń. Gdy docieramy na ostatnie piętro, przyciska dłoń w rękawiczce do kwadratowego panelu, który rozbłyskuje mlecznym światłem. Rozlega się krótki trzask, jak gdyby całość była najeżona elektrycznością.

Mam tylko chwilę, żeby przyjrzeć się systemowi zabezpieczeń, po czym drzwi się rozsuwają i staję w obliczu luksusu, jakiego nie widziałem od lat. Dołeczek rzuca torebkę na kanapę i znika za ścianą z matowego szkła, jednocześnie wydając mi polecenia:

– Usiądź, zanim się przewrócisz i rozetniesz sobie głowę.

Czuję się nieco winny, że zostawiam ślady – co w tych okolicznościach jest trochę absurdalne – ale zdejmuję koszulę i przysiadam na skraju kanapy. Jej mieszkanie jest obłędne. Od lat nie byłem w takim apartamencie. Kiedyś w tego rodzaju miejscu czułem się jak w domu, ale teraz z pewnością tak nie jest. Posadzki wyglądają jak z prawdziwego marmuru i choć nie mam pewności, wydaje mi się, że przy kominku leży stos prawdziwego drewna. Przeciwna ściana jest zrobiona z najwyższej klasy inteligentnego szkła i pokryta cienką warstwą opalizującej powłoki, która kompensuje wiszący za oknem smog, żeby przekazać nieskazitelny widok zachodu słońca na Koryncie. Ha.

– Niezła chata! – wołam, zwijając koszulę i przykładając ją do ramienia, żeby zatamować krwotok. I tak do niczego się już nie nadaje. Potrzebuję chwili, by uspokoić oddech i zastanowić się, jak to wszystko rozegrać. – Czy to ten moment, w którym przyznajesz, że tak naprawdę nazywałeś się LaRoux i jesteś nadziana?

– Cóż, dobrze by mi było w rudych włosach.

Z pogłosu wnoszę, że jest w łazience. Jedna ruda LaRoux w Galaktyce wystarczy. Ton głosu mojej Alexis jest swobodny, podobnie jak moje zachowanie,

ale na pewno oboje zdajemy sobie sprawę z tego, że musimy porozmawiać o tym, co zaszło. Słyszę, jak otwiera i zamyka szafkę, po czym wychodzi, trzymając eleganckie czarne pudełko.

Sądząc po zawartości apteczki, Dołeczek pochodzi z zupełnie innej warstwy niż powszechnie uwielbiana Lilac LaRoux. Są tu różnego rodzaju środki, których nie widzi się w standardowych zestawach pierwszej pomocy, od szpitalnych leków na oparzenia po sondy do płukania żołądka. Wyciąga ręczny przyżegacz, wyjmując mi z ręki koszulę i zabiera się do pracy. Chociaż jej dłonie są wypielęgnowane, od razu można odgadnąć, że nie pierwszy raz ma do czynienia z raną postrzałową.

– Cóż – mówię, próbując odwrócić myśli od nadchodzącego bólu. – Nie wiem, jak u ciebie, ale ten dzień nie ułożył się tak, jak chciałem.

Dziewczyna podnosi wzrok, a na jej twarzy znów pojawia się ten przekrzywiony uśmiech z jednym dołeczkiem, który trwa tylko chwilę. I wszystko staje się jasne. Ten uśmiech jest prawdziwy. Jeden dołeczek – autentyk. Dwa – dziewczyna udaje. Cholera, zdecydowanie bardziej podoba mi się ten przekrzywiony.

Taa... Jeszcze trochę potrwa, zanim zmądrzeję.

– Mogło być gorzej – rzuca, kończąc oczyszczać ranę, pochylona tak, że widzę tylko górną część jej ufarbowanej na niebiesko fryzury. – Wystarczyłoby kilka centymetrów w bok i musiałabym wymyślić o wiele drastyczniejszy plan, żeby przekonać taksówkarza, by odwiózł do domu mnie i tego trupa.

– Jeśli kiedykolwiek zginę, masz moje pozwolenie, żeby zostawić mnie tam, gdzie upadnę. Możesz mi nawet odciąć części ciała, jeśli będą miały na sobie obciążające dowody. Nic mi po nich. – Mówię za szybko, bo wiem, że przyżegacz zapieczętuje o wiele bardziej niż igła do tatuażu.

Powinienem teraz sprawdzić, co wie ta dziewczyna, a następnie ukryć się i nie wychylać, dopóki niebezpieczeństwo nie zostanie zażegnane. Mogę zasięgnąć języka u swoich kontaktów – zacznę od Mae – i ułożyć plan, jak się zabezpieczyć, a następnie poszukać dodatkowych informacji. Po tym, co widzieliśmy, wszędzie będą nas szukać, i to z pewnością nie dlatego, by pogratulować nam doskonałej umiejętności współpracy w warunkach stresowych.

Przynajmniej jest szybka, a kiedy rana przestaje krwawić, widzę, że blizna nie powinna za bardzo zapaskudzić mi tatuażu – zrobiłem go sobie po tamtej robocie na Avonie. Staram się koncentrować na tym, a nie na szarpiącym nerwy bólu w miejscu, które przypala moja towarzyszka, ani na tym, że opiera się dłonią o moją klatkę piersiową, przytrzymując mnie w miejscu. Po wszystkim smaruje bliznę maścią na oparzenia i ból zamienia się w błogie odrętwienie.

– Gotowe – mówi, przyglądając się swojemu dziełu, podczas gdy ja przyglądam się jej. – Do jutra będziesz się czuł jak nowo narodzony. – Pochyla się, żeby spakować i zatrasnąć apteczkę. – Muszę zmyć to coś z włosów, bo wszystko

zafarbuję.

– Też przydałby mi się prysznic, jeśli znajdzie się tam miejsce dla dwóch osób – rzucam w odpowiedzi, a ona po prostu spogląda na mnie z uniesioną brwią, jak gdyby mówiła: „Serio? To wszystko, na co cię stać?”. – No weź, właśnie przeszedłem zabieg chirurgiczny – zauważam. – Byłabyś rozczarowana, gdybym nie spróbował, ale nie jestem w najlepszej formie.

– Do zjechania windą nie potrzeba mojej rękawiczki – mówi niespodziewanie.

Nie mogę jeszcze wyjść. Ale zanim udaje mi się coś powiedzieć, dodaje:

– Jeśli wolisz zostać, SmartKelner potrafi przygotować rewelacyjnego drinka.

Nie czeka na odpowiedź, zwyczajnie się odwraca i znika w łazience, a po chwili słyszę, jak odkręca kran. Robię więc jedyną sensowną rzecz, jaka przychodzi mi do głowy – zaczynam przeszukiwać jej rzeczy. Nie można przecież marnować okazji, aby dowiedzieć się więcej o osobie, która cię interesuje, prawda? A ja nie mogę wyjść, dopóki nie porozmawiamy o tym, co zaszło. Przynajmniej do tego czasu będę miał zajęcie.

Wzdłuż stołu stoją oprawione w ramki zdjęcia Dołeczka i dwojga starszych ludzi, którzy mogliby być jej rodzicami. Jedna z fotografii przedstawia ich wszystkich na nartach w ramach bajecznie drogich holowakacji – rozpoznaję chyba Alpy na Paradise. Kolejna na tle panoramy sektora Theta na Koryncie, z widokiem na morze. Są niemal idealne. Ten, kto je dla niej zrobił, naprawdę nieźle się spisał. Jeśli jednak wie się, gdzie szukać, można zauważyć, w którym miejscu zostały podrobione. Mam już całkowitą pewność, że to nie jest jej mieszkanie. Należy za to do Kristiny McDowell – przy drzwiach widzę paczki z takim nazwiskiem, a kiedy włączam konsolę w małym domowym biurze, moim oczom ukazuje się historia wyszukiwań w hiper necie, głównie poczta elektroniczna i zakupy online. Z tym, że dziewczyna nie ma na imię ani Kristina, ani Alexis.

Kimkolwiek więc jest Dołeczek, wiem o niej tylko tyle, że znajdowała się w sytuacjach, w których trzeba było zastosować zaawansowane metody pierwszej pomocy, i że wie o LaRoux Industries więcej, niż przyznaje. Jestem pewien, że wcisnęłyby kamienie wydobywcom asteroidów i że z pewnością nie jest bogaczką Kristiną McDowell. Wyłączam konsolę i wychodzę z gabinetu, po czym kieruję kroki ku SmartKelnerowi i zamawiam drinka dla dziewczyny oraz wodę mineralną dla siebie. Nie piję alkoholu – moje szare komórki muszą działać sprawnie, a często bez przygotowania.

Wychodzi z łazienki w momencie, kiedy wpadam na pomysł, żeby sprawdzić, co jeszcze, oprócz rękawiczek rozdzielczych i nielegalnych kart dostępu, trzyma w torebce. Jej włosy wróciły do dawnego odcienia i dziewczyna znów jest platynową blondynką z twarzą obramowaną sprężystymi lokami. Ma na

sobie kosztownie wyglądający czarny sweter i džinsy. Przez chwilę rozpaczam po zniknięciu krótkiej sukienki, ale stwierdzam, że w tym niewymuszonym stroju także mi się podoba. Choć oczywiście nie powinienem sobie teraz zaprzętać głowy takimi rzeczami.

– Ładnie ci w tej fryzurze. – Boże, dlaczego powiedziałem to na głos?
Brawo, stary.

Uśmiecha się szeroko i podchodzi, żeby wziąć ode mnie drinka.

– Tak jest najłatwiej. Ciężko w jednej chwili ufarbować włosy na niebiesko lub różowo, kiedy są czarne. Okna, ustawienie numer pięć.

Inteligentne szkło delikatnie migocze, widoczny za oknem zachód słońca zaczyna się ściemniać, a gwiazdy pojawiają się jedna po drugiej, choć przecież na Koryncie od dziesięcioleci żadnej nie widziano. Światło bijące od ciągnących się po horyzont budynków nie przyćmiewa rozjarzonych gwiazd nad naszymi głowami. Oczywiście nie pierwszy raz jestem świadkiem tej iluzji. Mikroprojektory namierzają ruch oka patrzącej osoby i zmieniają pozycje, tak że ma się wrażenie, iż gwiazdy to odległe punkciki na nieboskłonie, a nie projekcja świetlna rzucona na odległość kilku metrów.

Dziewczyna spogląda na gwiazdy, jakby były czymś niezwykłym, a ja obserwuję ją w milczeniu. Ściągnęła brwi i chociaż na jej twarzy maluje się spokój, moją uwagę zwraca ułożenie jej ust, zaciętość, która nie pasuje do spowijającej ją aury niewinności i nonszalancji. Być może tak właśnie wygląda, kiedy jest sobą.

To się wymyka spod kontroli. Nie czas na to, żebym spoglądał na nią jak zahipnotyzowany. Mam więcej rozumu. Czas wziąć ją na dystans, zacząć używać mózgu.

– A więc... – Przeciągam samogłoski, starając się brzmieć zwyczajnie. – Czy to dobry moment, żeby porozmawiać o tym, co się dziś wydarzyło? Zapytałbym, co tam robiłaś, ale już tyle razy mnie dziś okłamałaś, że i tak bym ci nie uwierzył.

Milczy, kurczowo trzymając drinka. Po jakimś czasie upija duży łyk, po czym odstawia szklankę na stół obok podrobionych zdjęć i odwraca się, żeby podejść do kanapy.

– Kłamię, bo muszę – mówi zmęczonym głosem. – Korynt to okrutne miejsce. Za powiedzenie prawdy ląduje się tam, na dole. – Wskazuje głową rozciągające się nisko pod nami slumsy.

To mój teren, chociaż ona jeszcze o tym nie wie. Może zgaduje.

– Ten świat na dole daje wiele możliwości.

– Nie takich możliwości szukam – odpowiada. Powoli wydycha powietrze i mówi: – Naprawdę mam na imię Alexis. Ale to moje drugie imię, i nie, nie zdradzę ci pierwszego. Zwłaszcza że okłamałeś mnie tyle samo razy co ja ciebie. Byłam w LaRoux Industries ze względu na swojego ojca. Nie żyje z ich winy, a ja

chcę się dowiedzieć dlaczego. Taka jest prawda.

Wierzę jej. Może nie jestem równie elokwentny, jak ona, ale potrafię rozpoznać prawdę. Tym bardziej że ta prawda przypomina mi moją – może właśnie dlatego ją rozpoznaję. Przeszywa mnie zimny ból współczucia. Sam zbyt dobrze wiem, że tego typu strata potrafi postawić człowieka na drodze, z której później nie umie zawrócić.

– Mam na imię Gideon – odpowiadam bez namysłu. – To moje prawdziwe, pierwsze imię, które dała mi mama.

No nie, nie powiedziałem tego! Szukanie sposobu, aby się do kogoś zbliżyć, to jedno, ale dzielenie się informacjami, o których nie wie nikt, to coś zupełnie innego. Moje zdenerwowanie rośnie, bo nie mogę wrócić do swojej kryjówki i przeanalizować tego, co się dziś wydarzyło. Palce mnie świerzbią, żeby dotknąć klawiatury. Mój umysł pragnie przeskoczyć na drugą stronę sieci i sprawdzić nieistniejące dane. Ostatnia seria programów namierzających lada chwila powinna zdać raport. Powinienem przejrzeć fora, pogadać z Mae. Tak się właśnie dzieje, kiedy na zbyt długo zostawię ekrany. Wszystko idzie w diabły. To najtrafniejsze określenie na opisanie wydarzeń dzisiejszego dnia.

Dziewczyna nie spuszcza ze mnie wzroku, a ja próbuję przekierować rozmowę na inne tory i odwrócić jej uwagę od mojego imienia z nadzieją, że nie rozpracuje miliarda wskazówek, które pewnie jej podrzuciłem, czego teraz żałuję.

– Powiedziałaś, że wiesz coś na temat wydarzeń, których byliśmy dziś świadkami.

– Miałam się spotkać z kimś, kto mógł mi powiedzieć coś więcej, ale wygląda na to, że się wycofała albo przestraszyła. – Potrząsa głową i zaplata ramiona wokół brzucha, jak gdyby chciała się osłonić. Opada z powrotem na kanapę. – Wierz mi, nie chcesz się w to mieszać.

– Już się w to wmieszałem. Oboje w tym siedzimy. Jeśli chcesz, możemy się rozdzielić, ale prawdopodobnie mają nas na nagraniach z monitoringu i ani się obejrzymy, a znajdą przynajmniej jedno z nas.

– Zastanawiam się, dlaczego miałabym ci zaufać, Gideonie – rzuca, unosząc brew. – Skąd mam wiedzieć, że nie pracujesz dla nich i że nie próbujesz wyciągnąć ode mnie informacji, którymi dysponuję. – Znów kręci głową. Jej ruchy są skrupowane i powściągliwe, a jej ciało zdaje się napięte.

Nie wystarczy nawet mój najbardziej czarujący uśmiech, żeby zachęcić ją do mówienia, a kiedy widzę, jak zmienia się jej twarz na wspomnienie tego, co dziś zaszło, uświadamiam sobie, że nie zdołam odejść, dopóki nie zrozumiem tego, co się stało.

– W porządku. Chcesz zaufania? – Odstawiam wodę, podchodzę do kanapy i opadam na siedzenie. – Pozwól, że zacznę. Nie wiem, co napadło tych ludzi, ale widziałem już kiedyś taki metalowy pierścień. Taki sam jak ten z niebieskimi

plamieniami, zamaskowany projekcjami w holoapartamencie.

Dziewczyna głośno przełyka ślinę, a ja zmuszam się, by siedzieć w bezruchu i poczekać na jej reakcję.

– A ja widziałam już takie oczy – mówi w końcu szeptem. – Oczy przypominające ciemność. Ludzie, którym skradziono rozum i których zamieniono w te... w te skorupy.

Skorupy. To słowo niesie się szeptem przez mój mózg. Idealne określenie. Nie widziałem ich oczu, ale widziałem, w jaki sposób zwrócili się ku tej szczelinie pośrodku pomieszczenia, niczym wskazujące północ igły magnetyczne. Stali się pozbawionymi duszy skorupami. Muszę się gryźć w język, żeby nie wyrzucić z siebie więcej pytań. Mój puls przyspiesza i wali mi w skroniach.

Mimo nieustępliwych poszukiwań dawnej komendant Towers – kobiety, która pomogła LaRoux zatuszować wszystko, co wydarzyło się na planecie Avon – na razie trop doprowadził mnie na fora z teoriami spiskowymi, do grupki dociekliwych użytkowników hipernetu próbujących ustalić, jaki jest plan LaRoux, na podstawie Transmisji z Avonu. To tam znalazłem Kumiko, emerytowaną żołnierkę ukrywającą się w południowej części miasta i przewodzącą żądnej zemsty sieci ocalałych z furii, prawdziwą skarbnicę wstrząsających opowieści z drugiej ręki. Po tych wszystkich godzinach, kiedy próbowałem poskładać niewiarygodne opowieści Kumiko w logiczną całość, teraz... zjawia się ta dziewczyna, która na własne oczy widziała, do czego potrafią doprowadzić szeptu Lilac i Tarvera.

– Gdzie? – pytam spokojnym głosem, choć przychodzi mi to z trudem.

Dziewczyna otwiera usta, żeby odpowiedzieć, ale w tej samej chwili spogląda na mnie i milknie.

– To nie ma znaczenia. Ważne, że LaRoux Industries też tam było. W tajemnicy.

Próbuję zebrać informacje zgromadzone przez siebie, odkąd odebrałem komunikat z prośbą o wsparcie od Lilac LaRoux i odkąd znalazłem się na drodze, którą podążam. Wiem, że LaRoux przeprowadzało swoje eksperymenty na trzech planetach: Weronie, Avonie i Koryncie. W czasie zbrojnych powstań na Weronie Alexis mogła mieć najwyżej sześć lat, ale panika kryjąca się w jej wzroku i napięte ciało nie biorą się z wydarzeń sprzed dekady. To świeża rana, co zostawia tylko jedną możliwość.

Avon.

Sięgam po jej dłoń, pozwalając, by mój wzrok prześlizgnął się niezauważalnie po jej przedramieniu. Brak genotagu, który miałyby jako ktoś urodzony na Avonie.

Przed oczami pojawiają mi się dokumenty z miejsca katastrofy Ikara – schemat szczeliny na odległej stacji, raporty medyczne na temat oszalałych

badaczy. Dowiedziałem się o wiele więcej, niż podejrzewali Lilac LaRoux i jej major. Z takim ryzykiem trzeba się liczyć, kiedy zatrudnia się przyjaznego hakera.

– Ja także widziałem pierścień w miejscu, gdzie LaRoux Industries w ogóle nie powinno być – mówię cicho. – No, może niezupełnie „widziałem”, ale znalazłem dokumenty na ten temat. Wiem, że tam był.

– Wiesz, do czego służy?

Zalewa mnie nagła fala wspomnień o tamtych raportach i teraz to ja muszę się uspokoić. „Doktor Eddings nadziała się na zaostrzoną rurę kanalizacyjną”. Nie mogę jej wyjawiać prawdy. Więzienie dla stworzeń z innego wymiaru? Może kilkoro wyznawców Transmisji z Avonu kupiłoby tę historię, ale Alexis pomyśli tylko, że jestem psycholem. Ciężarem.

Chyba że rzeczywiście sama pochodzi z Avonu. Decyduję się na półprawdę.

– Z tego, co czytałem, wynika, że to wszystko ma związek z wydarzeniem, którego byliśmy dzisiaj świadkami. Z tymi ludźmi, których nazwałeś skorupami, z tymi, których widziałeś, a którzy postradali rozum. Fakt, że tu, na Koryncie, znajduje się jedna z tych szczelin... To mnie przeraża. Musimy dowiedzieć się więcej na ten temat.

Dziewczyna unosi dłonie, żeby potrzeć twarz, i odgarnia włosy do tyłu, przy okazji je mierzwiąc.

– Posłuchaj... Rozumiem, co chcesz powiedzieć, ale ja działam w pojedynkę. Cieszę się, że nic ci nie jest, i doceniam, że podzieliłeś się informacjami, ale to wszystko.

– Przecież ścigamy tego samego sprawcę. LaRoux Industries. Wróg mojego wroga...

– ... to po prostu kolejny wróg, Gideonie.

Tym razem nie udaje mi się zamaskować swojego rozczarowania. Alexis to najlepszy trop, na jaki trafiłem od lat, i właśnie mi się wymyka. Deptałem Towers po piętach przez pół Galaktyki i z powrotem i za każdym razem udawało się jej umknąć. Teraz bardziej niż kiedykolwiek zależy mi, by ją znaleźć – tylko w ten sposób zrozumieję to, co dziś zobaczyłem.

Jeśli chodzi o Alexis, zrobiłbym wszystko, żeby dostać się do jej pamięci, tak jak dostaję się do baz danych... Gdybym tylko zdołał odgadnąć jej osobiste hasło.

– Nie musiałaś mnie tu przywozić i składać do kupy. Jestem twoim dłużnikiem. Odejdę, ale zostawię do siebie kontakt, gdybyś kiedykolwiek mnie potrzebowała. – Albo gdybyś postanowiła jednak ze mną współpracować.

Dziewczyna bierze się w garść i znów naciąga maskę, a kąci jej ust idą do góry, kiedy odwraca się, żeby na mnie spojrzeć.

– Naprawdę jesteś taki dobry?

Uśmiecham się.

– Słyszałaś kiedyś o Walecie Kier?

Nieruchomieje, a jej głos słabnie.

– Pracujesz dla niego?

Nieźle. Na pewno o mnie słyszała. Fakt, że moja wirtualna reputacja przedziera się do świata realnego, schlebiałby mi, gdyby nie to, że dla niej najwyraźniej nie jest to dobra wiadomość.

– Dlaczego polecił ci się włamać do systemu LRI?

– Bezpieczniej jest nie pytać – mówię i teoretycznie to prawda, nawet jeśli dotyczy innych ludzi. – Ale niejednokrotnie od nich oberwałem i krwawiłem na ich ulicach ze szczerego złota. Jeśli czegoś potrzebujesz, jeśli chcesz coś sprawdzić, mogę go zapytać, czy to możliwe.

– Nie – odpowiada pospiesznie, ale po chwili jej głos łagodnieje, uspokaja się. – Nie. Jeśli chcesz mi się odwdzińczyć, nie wspominaj o mnie Waletowi.

– To, co o nim mówią, nie jest prawdą. – Nie mogę się powstrzymać. – A przynajmniej nie jest nią w przeważającej części. Dla wielu ludzi to bohater. Kantuje korporacje, a sama wiesz, że na to zasługują.

– To bez znaczenia.

Widziałem, jak ta dziewczyna wychodzi z budynku, gdzie wszyscy pozostali stracili rozum i do niej strzelali, po czym przeprowadza najgładszy szwindel, jaki w życiu widziałem, ale to...? Tego nie potrafi udawać. Jest przerażona. Zacisnęła wargi, a jej blada skóra zrobiła się jeszcze bledsza.

– Powinieneś iść.

– W takim razie niech to będą tylko ja – mówię łagodnie. Oddałbym wszystko, żeby dowiedzieć się, kto dostarczył jej informacji, które sprawiły, że tak bardzo się boi mojego wirtualnego wcielenia, ale nie czas, żeby na nią naciskać. – Dodam drugie konto mailowe w twoim systemie. Będiesz mogła się na nie normalnie zalogować i wysłać wiadomość, z tą różnicą, że to prywatna sieć. Wysłany z niego mail dotrze do mnie. I tylko do mnie.

Przełyka ślinę i kiwa głową w stronę ekranu, do którego się włamałem, kiedy była pod prysznicem.

– W porządku – mówi po prostu, choć mam wrażenie, że zgadza się tylko po to, żeby przestał jej zawracać głowę i odszedł. – Pokaż.

Wyjmuję z teczki lap-ekran, kieruję ją do ekranu komputera, jedną nogą podsuwam sobie taboret i siadam. Szperając z tyłu, przesuwam palcami po kablach, aż namierzam ten właściwy, wyciągam go i podłączam do swojego lap-ekranu. Wsuwam do niego chip. Zainstalowanie skrzynki zajmuje mi zaledwie kilka minut.

– Proszę. – Stukam w jej ekran, gdzie obok zwyczajnej ikony poczty elektronicznej znajduje się teraz nowa. – Możesz się ze mną kontaktować pod tym nazwiskiem, Jake Cheshire. Mail wysłany z tego adresu trafi bezpośrednio do mnie i nie zostawi śladów w żadnym z twoich folderów. Zaciera po sobie ślady.

Dziewczyna kiwa głową, wciąż poważna.

– Dziękuję, Gideonie – szepcze.

– Nie ma za co. Odezwij się, gdy wymyślisz, jak mogę się odwdzięczyć. Albo jeśli jeszcze kiedykolwiek będziesz mnie potrzebować. – Wpinam kable na swoje miejsca, chowam chip z powrotem do kieszeni i natychmiast wstaję. Przed rozstaniem chciałbym jeszcze raz zobaczyć jej uśmiech. – Najlepiej by było, żeby mnie wtedy nie postrzelili. To naprawdę boli.

Moje słowa w końcu sprawiają, że dziewczyna uśmiecha się kpiąco.

– Takie przygody wolę zostawić tobie. Masz już doświadczenie.

– Prawie było warto – mówię, po czym podnoszę torbę i ruszam do windy. – Chociaż kiedy następnym razem powiesz komuś, że jesteśmy zaręczeni, zmuszę cię do ślubu.

Teraz naprawdę się śmieje.

– Nie masz pojęcia, w co byś się wpakował.

Drzwi windy otwierają się z brzękiem. Wchodzę do kabiny i odwracam się w stronę dziewczyny. Chcę zapamiętać jej twarz. Nawet jeśli ją znajdą, nie będzie im w stanie powiedzieć, gdzie jestem... Ale mam naprawdę szczerą nadzieję, że jej nie znajdą. Mam nadzieję, że będzie bezpieczna.

Kiedy drzwi zaczynają się zamykać, wbija we mnie spojrzenie szarych oczu.

– Mogę ci zaufać?

Nie mam pojęcia, dlaczego to mówię, i na palcach jednej ręki mogę policzyć ludzi, którzy otrzymaliby ode mnie taką odpowiedź... Ale znam ją, nawet jeśli nie wiem, skąd się wzięła. Uśmiecham się.

– Jeśli będę musiał, dla ciebie dam się postrzelić jeszcze raz.

Drzwi się zamykają.

Agonia. Strach. Rozpacz.

Przestań. Przestań. Przerzedzenie pulsuje, połyskuje napastliwie, jednak młody mężczyzna to wszystko ignoruje i sporządza tylko notatki na tablecie. Dopiero kiedy pod koniec każdego dnia patrzy wstecz, pojawia się cień poczucia winy, jedyny dowód na to, że doskonale wie, co robi.

Nie to dostrzegliśmy. Nie tego chcieliśmy. Oni są jak zaraza bombardująca bezruch danymi, statkami i bólem.

Musimy znaleźć rozwiązanie.

SOFIA

Kilka dni zajmuje mi zdobycie nowego kodu zabezpieczającego do drzwi, a jeszcze dłużej dokładne przeczesanie mieszkania, żeby mieć pewność, że mój gość nie zostawił żadnej pluskwy. Ślęczę nad nagraniami z monitoringu i sprawdzam, co robił, kiedy byłam pod prysznicem. Dobrze, kiedy goście mają wrażenie, że nie są obserwowani – wtedy od razu wykonają swój nieczyny plan. Jeśli się im tego nie umożliwi, będą się czaić i kryć swoje zamiary prawdopodobnie na tyle dobrze, że nie zauważę tego na nagraniach. Kiedy mieszkałam na Avonie, nie myślałam w ten sposób – specjalizowałam się w załatwianiu dodatkowego zaopatrzenia i wyciąganiu poufnych informacji od strażników dzięki urokowi osobistemu, a nie w przeżywaniu misternie podrobionego życia w świecie należącym do innej osoby. Tego, że należy podarować gościom odrobinę uważnie monitorowanego czasu wolnego, nauczyłam się na trzecim przystanku od Avonu – na frachtowcu Alanna. Kiedy zobaczyłam, co członkowie załogi robili w mojej malutkiej kwaterze, gdy myśleli, że ich nie widzę, szybko dowiedziałam się, którym z nich mogę ufać.

Ogląda moje zdjęcia (chyba odgadł, że nie są prawdziwe), sprawdza historię przeglądarki i spogląda na paczki czekające przy drzwiach na powrót Kristiny, już od miesiąca przebywającej w sanatorium. Przygląda się multimedialnym dziełom Miskego na ścianie, prawdopodobnie najdroższym przedmiotom w całym mieszkaniu, ale ich nie dotyka. Nie widzę, by cokolwiek podkładał, a poza odrobiną myszowania nie robi nic podejrzanego.

Sprawdzam wiadomości cztery–pięć razy dziennie, ale nie dostaję nic od Sanjany Rao, kobiety, z którą miałam się spotkać w siedzibie głównej LaRoux Industries, zanim towarzystwo w holoapartamencie postradało zmysły. Nie mogę sobie pozwolić na to, by ją stracić po tym, co przeszłam, żeby znaleźć kogoś z odpowiednim certyfikatem bezpieczeństwa, kto ma potrzebne mi informacje i powód – jakikolwiek by był – żeby mi je wyjawić. Na Avonie LaRoux dowiedział, że dysponuje o wiele większymi siłami zbrojnymi i obronnymi niż normalny człowiek, i o ile nie znajdę sposobu, by zneutralizować jego szept, nigdy nie zbliżę się do niego na tyle, by odplacić mu za to, co zrobił mojemu ojcu.

Dyktuję i kasuję sześć wiadomości do doktor Rao i dopiero kiedy wydaje mi się, że nie potrafię już bardziej udoskonalić treści, zbieram się na odwagę, żeby ją wysłać. Po tamtej ewakuacji z pewnością jest wystraszona. Niewykluczone, że całkiem zniknęła i już nigdy nie będę miała okazji, żeby zdobyć jej zaufanie.

„Tamta sprawa z zeszłego tygodnia to kwestia złego wycucia czasu –

napisałam. – Nie dotyczyło to ani mnie, ani Pani. Proszę się ze mną spotkać. Może Pani zaproponować godzinę i miejsce i zastosować wszystkie możliwe środki ostrożności, by czuć się bezpiecznie. Proszę. Alexis”.

Spoglądałam na ikonkę „Wyślij” i mrugam, a z ekranu wydobywa się melodyjka informująca, że zadanie wykonano. Adres, który mi podała, to zmyłka, ale w ten sposób kontaktowałam się z nią poprzednio. To nie jest jej oficjalny mail, musiałyby być jednak niespełna rozumu, żeby podać mi dane, za których pomocą dałoby się ją namierzyć. Nie mogła ich podać, jeśli chciała zachować pracę. I zdrowie psychiczne.

Niemal cztery miesiące zajęło mi zbliżenie się do LaRoux. Cztery miesiące co noc sprawdzałam bazę wszystkich pracowników LRI i próbowałam namierzyć tych, którzy mieliby odpowiednie kontakty. Śledziłam ich, żeby poznać ich zainteresowania, stawałam się częścią ich życia, zdobywałam ich zaufanie oraz sympatię i cieszyłam się nimi do czasu, aż przedstawiali mnie kolejnej ofierze. Minęły cztery miesiące, zanim trafiłam na ślad informacji o eksperymentach z kontrolowaniem umysłu i nadużyciami, jakich LaRoux dopuszczał się na Avonie.

Wystarczył jeden dzień, żebym to wszystko straciła.

Trzy dni po wysłaniu wiadomości do doktor Rao – osiem od spotkania z Gideonem – skrzynka mailowa w końcu dzwięczy, informując mnie, że dostałam coś więcej niż codzienne newslettery i spam przesyłane na konto Kristiny. Właśnie wzięłam prysznic, kończę naklejać na skórę jednorazowe plastry maskujące i nakładać korektor, żeby zakryć genotag. W ciągu ostatniego roku zarobiłam setki tysięcy galaktyków, łapiąc się każdej pracy, by się utrzymać i móc odłożyć jakieś pieniądze na zabiegi usunięcia tatuażu. Jednak potrzebne mi są jeszcze dwie lub trzy wizyty, zanim rysunek wyblaknie na tyle, by być niewidoczny, i sześć, by nie można było mnie zidentyfikować jako obywatelki Avonu. Mam jednak nadzieję, że do tego czasu zdołam dotrzeć do LaRoux, a wtedy i tak nie będzie to miało znaczenia.

Na dźwięk poczty owijam się ręcznikiem i wpadam do gabinetu, po czym podbiegam do ekranu, rozpryskując wokół wodę. Przez chwilę serce wali mi jak młotem i nie potrafię się skupić na tyle długo, żeby spojrzeć w czytniki siatkówek. Kiedy wiadomość w końcu się otwiera, staję jak wryta.

Mail zawiera tylko cztery słowa – żadnego podpisu, żadnego kodu, nic, co mogłabym wykorzystać.

„Spal ten kontakt. Uciekaj”.

Mam ochotę krzyczeć. Mam ochotę wyrzucić ekran przez okno. Mam ochotę wybiec z tego mieszkania i ukryć się w slumsach, gdzie zaczynałam, i znaleźć się wśród ludzi równie wkurzonych, jak ja. Wiem, że Gideon miał coś wspólnego z wyłączeniem tamtych holoprojektorów i spowodowaniem paniki w siedzibie głównej LRI. Kusi mnie, żeby kliknąć w ten idiotyczny fałszywy adres, który mi

zostawił, i napisać mu o tym, co mi zrobił. Co mi odebrał.

Nie interesuje mnie ta część mojego mózgu, która podpowiada mi, że to niezupełnie jego wina. Ta maszyna – którą on nazwał szczeliną – była tam przez cały czas, ukryta. Być może i tak by doszło do jej uruchomienia, a bez niego nie wiedziałabym, że powinnam uciekać.

Więc zamiast do niego pisać, przez dłuższą chwilę siedzę przy biurku, omiatam wzrokiem krótką wiadomość i zmuszam się, żeby oddychać.

Światła są przyciemnione. Kiedy tylko mogę, ustawiam je na dwójkę lub trójkę, żeby uniknąć nagłego skoku w rachunkach za elektryczność, który mógłby ostrzec Kristinę, że ma dziką lokatorkę. Zostawiam je na takim poziomie i pozwalam, żeby drogę oświetlał mi ekran, kiedy staję na nogi i wychodzę z gabinetu, starając się uspokoić puls i znów myśleć logicznie.

Właśnie przekraczam próg kuchni, kiedy włosy na karku stają mi dęba – to ostrzeżenie, którego nauczyłam się nie lekceważyć. Gdy dorastałam, taka reakcja mojego organizmu oznaczała, że nieopodal znajdują się *trodairí* i że muszę uważać. Teraz...

Cień się przesuwają. Dostrzegam go kątem oka w miejscu, gdzie niczego nie powinno być. W milczeniu przypadam do podłogi, ledwo opanowując stłumiony krzyk. W uszach pulsuje mi tętno, ale wciąż słyszę dwie – nie, trzy, cztery pary butów cicho stąpające po parkiecie.

Modłę się, żeby to byli tylko złodzieje, którzy podobnie jak ja odkryli nieobecność Kristiny. Alternatywa prawdopodobnie oznacza bowiem, że już jestem trupem.

Walcząc z instynktem, żeby przywrzeć do ziemi, kulę się, robię się cicha i niemal niewidzialna. Sięgam po omacku do szuflady powyżej i wkładam do niej rękę tak szybko, jak to możliwe bez robienia hałasu. Duże noże są przyłączone do namagnetyzowanego panelu po drugiej stronie kuchni, ale w szufladzie znajduje się nożyk do obierania warzyw. To niewiele, ale jeśli spodziewają się, że mieszkanie jest puste, może uda mi się dostać do windy. Zaciskam powieki i przesuвам palcami po łyżeczkach i pałeczkach. Działam z bolesną powolnością, bo boję się, że sztucce wydadzą donosicielski brzęk. Muszę przestać wstrzymywać oddech, bo zemdleję, muszę otworzyć oczy, bo nie zobaczę, jak po mnie idą, muszę się ruszyć, muszę być gotowa do ucieczki, muszę...

– Ręce przy sobie! – Surowy głos wyrzywa mnie ze skupienia i sprawia, że z łoskotem uderzam o szafkę, krzycząc.

Kiedy podnoszę wzrok, najpierw dostrzegam broń, a dopiero potem mężczyznę, który celuje mi nią między oczy. Obok niego staje drugi mężczyzna, także uzbrojony. Nie mają na sobie czarnych strojów ani szykownych kamizelek kuloodpornych noszonych przez działających na wyższym poziomie złodziei z podziemi Koryntu.

Są ubrani w zielono-szare mundury. Kiedy trzeci mężczyzna odwraca się, żeby przeszukać pozostałe pomieszczenia i upewnić się, że jestem sama, na jego plecach dostrzegam ozdobną lambdę.

Przez chwilę nie mogę się ruszyć i tylko zaciskam wokół siebie ręcznik, świadoma każdej lodowatej kropli skapującej mi z włosów na ramiona, czując na języku posmak metalu i żółci i tęskniąc za ojcem tak mocno, że boli mnie serce. Po chwili moje usta same się rozchylają i wydostają się z nich słowa, jak gdyby w moim umyśle istniała cząstka, która wie, co robić, bez konieczności udziału całej reszty ciała.

– Bierzcie, co chcecie – mówię, udając, że te mundury nic mi nie mówią i że biorę ich za złodziei. – Proszę, nie będę was zatrzymywać. Nie musicie robić mi krzywdy, nikomu nie powiem. Tylko puśćcie mnie wolno.

W mroku nie widzę twarzy pierwszego mężczyzny, ale dostrzegam, że to wysoki czterdziestolatek. Parska.

– W takim razie – mówi wolno, pokazując mi broń, żebym wstała – mamy problem, bo nie przyszliśmy tu po twoje rzeczy.

Pierwszy raz nie muszę skrywać przerażenia, kiedy drżącą dłonią łapię się krawędzi blatu, żeby się podciągnąć. Nogi odmawiają mi posłuszeństwa. Na Avonie nigdy nie byłam wojowniczką – umiem robić uniki i się chować, ale walczyć? Zalew adrenaliny sprawia, że robi mi się niedobrze, wzrok mi się rozmywa, a nos piecze, kiedy próbuję oddychać.

– Więc zabierzcie to, po co przyszliście, i odejdźcie – szepczę.

– Przyszliśmy po ciebie. – Mężczyzna spuszcza wzrok i przez krótką chwilę spogląda na moją drugą dłoń, którą zaciskam ręcznik.

To trwa tylko moment, ale ogarnia mnie strach tak namacalny, że prawie się nim duszę.

– W zeszłym tygodniu odwiedziłaś nas w siedzibie głównej. Szef prosił, żebyśmy ci zadali kilka pytań.

Oni wiedzą. Ostatnia nadzieja, że zmylą ich co do swojej tożsamości, rozpryskuje się na kawałki.

Mężczyzna obserwuje mnie i z wyraźną uciechą zauważa moment, w którym zdaję sobie sprawę, że kiedy skończą przesłuchanie, pewnie mnie zabiją. Po chwili łagodnie dodaje:

– Powinnaś bardziej uważać na to, do kogo wysyłasz wiadomości przez hipernet.

Mój wzrok samowolnie wędruje ku komputerowi. Przed oczami wiruje mi ostatnia krótka wiadomość od doktor Rao: „Spal ten kontakt. Uciekaj”.

Próbowała mnie ostrzec. Czy ją także złapali?

– Mam przyjaciół – mówię nie swoim głosem. Nie mogę się skupić. Nie mogę się ruszyć. – Jeśli zniknę, będą wiedzieli dlaczego. Będą wiedzieli, kto za

tym stoi, i zadzwonią na policję.

– To my jesteśmy policją – rzuca drugi mężczyzna ze zniecierpliwieniem.

Nie dają się nabrać... Ta świadomość zalewa mnie jak woda, od której zaczynam się topić. Kiedy znów spoglądam na ich mundury, zdaję sobie sprawę, że pracują w Departamencie Bezpieczeństwa LaRoux Industries, co wyjaśnia, jak udało im się dostać do mieszkania. I dlaczego zachowują się tak bezwstydnie, ubrani w mundury LRI. Kristina McDowell używa systemu alarmowego LRI, żeby chronić swoją własność. Nawet gdyby to, co powiedziałam, było prawdą, każdy telefon na policję zostaje przekierowany także do nich. Nawet gdyby ktokolwiek na mnie czekał, gdyby ktokolwiek zdał sobie sprawę z tego, że zniknęłam...

Jeden z pozostałych mężczyzn – łącznie jest ich czterech i wszyscy są wyraźnie nieporuszeni moimi próbami odnalezienia w nich współczucia lub dylematów moralnych – wylania się z łazienki, niosąc ciuchy, które rzuciłam na podłogę, zanim weszłam pod prysznic. Ciska mi je pod nogi.

– Czysto. Jest sama – warczy do pozostałych.

– Ubierz się – rzuca pierwszy mężczyzna, który wciąż lustruje mnie wzrokiem, jak gdyby zastanawiał się, co skrywa biały frotowy ręcznik. – Chyba że wolisz wyjść z nami w tym.

Kiwam głową, nie ufając swojemu głosowi, i odwracam się w stronę łazienki. W myślach sporządzam spis wszystkich znajdujących się tam rzeczy. Lustro – nie, usłyszą, jak pęka. Perfumy – mogłyby ich oślepić, gdybym potrafiła dobrze wycelować. Lakier do włosów – gdybym miała zapalniczkę, mogłabym z niego zrobić prowizoryczny miotacz ognia. Suszarka do włosów... kałuże wody, które zostawiłam na podłodze... Czy mają gumowe podeszwy?

Ale nie udaje mi się oddalić nawet o krok w kierunku łazienki, bo szarpnięcie lufy pistoletu zatrzymuje mnie w miejscu.

– Możesz się przebrać tutaj – mówi. Jego ciekawskie oczy się zwężają.

Przechodzą mnie dreszcze tak gwałtowne, że przez chwilę mam wrażenie, iż znów upadnę na podłogę. Chwytam za krawędź blatu tak mocno, że bieleją mi kostki.

– Nie mogę się tu przebrać – mamroczę, już niczego nie udając. – Nie mogę, kiedy wy tu...

Zboczeniec lekko się uśmiecha i choć w jego uśmiechu widać samozadowolenie, tak bardzo różni się on od uśmiechu hakera, że przez chwilę odrębna część mojego umysłu skupia się na Gideonie. Zastanawiam się, co pomyśli, kiedy w wiadomościach podadzą informację, że znaleziono moje ciało. Jeśli ktokolwiek je znajdzie. Głos strażnika przywołuje mnie do rzeczywistości.

– Możesz iść tam. Odwróć się plecami. Masz dziesięć sekund. Jeśli po tym czasie nie będziesz ubrana lub jeśli usłyszysz, że idziesz w inną stronę albo robisz coś innego, pojedziesz nago.

– Ale... – Zaciska mi się krtań, a w głowie pojawia się pustka. Brak mi słów. Nie mogę myśleć. Nie mogę uciec.

– Zegar tyka.

Rzucam się na środek salonu i spoglądam przez ramię, by upewnić się, że mężczyzna robi to, co obiecał, i odwraca się plecami. Widzę też, że stojący za nim jego dwaj towarzysze rozmawiają ze sobą. Mogliby odwrócić głowy i mnie zobaczyć. Ale strażnik zaczyna odliczać od dziesięciu, a jego głos wpelza mi do uszu, każe mi zrzucić ręcznik i tak szybko, jak to tylko możliwe, wciągnąć koszulkę i dresowe spodnie, które miałam na sobie, zanim wzięłam prysznic. Obciążam jeszcze top, kiedy odliczanie dobiega końca, ale ponieważ mężczyzna słyszy szelest materiału, czeka chwilę dłużej. W innym czasie i okolicznościach ta wyrozumiałość napełniłaby mnie nadzieją, ale kiedy udaje mi się obciągnąć bluzkę, broń jest wycelowana prosto we mnie, a na metalowej lufie tańczy niebieski blask bijący od ekranu w gabinecie.

Ekran.

– Mój chłopak! – krzyczę, układając plan na poczekaniu. – Ma się tu dziś ze mną spotkać. Umówiliśmy się na randkę. Będzie tu lada chwila. Jest reporterem. Nie sądzę, by wasz szef chciał o tym przeczytać w gazetach. „Dziewczyna znika w kilka dni po tym, jak w siedzibie głównej LRI nęka ją strażnicy”.

Mężczyzna przewraca oczami, po czym wskazuje brodą na ekran.

– Zadzwoń do niego. Nie... lepiej napisz. Nie chcę, żeby usłyszał w twoim głosie jakiś nienaturalny ton. Odwołaj randkę. Będę stał obok, by się upewnić, że nie robisz żadnych błędów.

Mam nieszczęśliwą, rozczarowaną minę, mimo że czuję rodzącą się iskierkę nadziei, pierwszą, odkąd zdałam sobie sprawę, że nie jestem sama w mieszkaniu. Dwóch strażników idzie za mną do gabinetu, a kiedy siadam przed komputerem. Świdrujący mnie wzrokiem mężczyzna staje tuż za moimi plecami, tak że czuję bijące od niego ciepło. Przesuwam drżącą dłonią po ekranie i wybieram z listy nazwisko – Jake Cheshire.

Zdenerwowanym głosem dyktuję wiadomość:

– Cześć, kochanie. – Przełykam ślinę i patrzę, jak litery ukazują się na ekranie, kiedy komputer odczytuje mój głos. – Jednak nie musisz dziś przychodzić. Wpadł mój ojciec z kolegami, więc wyjdę z nimi na kolację. Zobaczymy się w weekend. Umówmy się w parku, w którym widzieliśmy się ostatnio, dobrze? Nie mogę się doczekać naszego spotkania. Całuję, Alicja.

– Zaczekaj – mówi pilnujący mnie strażnik, a jego głos nabiera ostrego tonu. – Daj mi to przeczytać, zanim wyślesz.

Wstrzymuję oddech. Użyłam każdej aluzji, jaka przysłała mi do głowy. Wspomniałam o ojcu, a Gideon wie, że mój tata nie żyje. Powiedziałam mu, kto mnie złapał, wspominając holopark w siedzibie głównej LRI. Podpisałam się

imieniem z tej samej książki, z której swój pseudonim zaczerpnął jego szef – Walet Kier. Modłę się, żeby to wystarczyło. Modłę się, żeby regularnie sprawdzał skrzynkę. Modłę się...

Mężczyzna chrząka.

– Dobra. Wysyłaj i idziemy.

Zmuszam się do tego, by miarowo mrugać do czytnika siatkówki oka, chociaż mam ochotę zacisnąć powieki i odciąć się od tego wszystkiego niczym zwierzę chowające głowę w piasku. Program daje znać brzęknięciem, że wiadomość się wysłała. Jeśli mnie zabiją, przynajmniej ktoś się o tym dowie. Ktoś gdzieś będzie wiedział, co się ze mną stało.

– Ruchy! – wrzeszczy strażnik, kiedy zamieram na biurowym fotelu.

Zrywam się na nogi i ogarniam wzrokiem mieszkanie w poszukiwaniu czegoś – czegokolwiek – czego mogłabym użyć. Kiedy mnie stąd wyprowadzą, szanse na to, że wyjdę z tego cało, zmaleją niemal do zera. Myśl. Oddychaj. Nagle wstrząsa mną świadomość, że od tamtej wizyty w LRI w torebce wciąż mam plastenowy pistolet. Jest w szafie.

– Moje buty są w sypialni – mówię, a teraz, kiedy wiem, co muszę zrobić, mój głos drży jeszcze mocniej. Muszę próbować walczyć. – W szafie.

– Nie potrzebujesz butów. – Słyszę niecierpliwe warknięcie.

Kończą mi się pomysły na to, jak grać na zwłokę. On doskonale wie, co robię.

– Nie sądzi pan, że przeprowadzenie bosej dziewczyny przez hol będzie wyglądało podejrzanie? – Próbuję zaczerpnąć powietrza i kontrolować głos. Staram się sprawiać wrażenie spokojnej.

– Dobra. – Mężczyzna z sekundy na sekundę robi się coraz bardziej wściekły. Ale przepuszcza mnie, żebym zaprowadziła go do sypialni, a jego towarzysz przechodzi do salonu. – Pospiesz się. Weź pierwszą lepszą parę.

Kiwam głową i przyklękam przy szafie, błogosławiąc fakt, że mam w zwyczaju rzucać wszystko na podłogę – torebki, buty i inne części garderoby mieszają się ze sobą w bezładnej kotłowaniu. Jedną stopę opieram o podłogę, żeby w razie potrzeby móc się z niej zerwać. Dłonie drżą mi tak mocno, że z trudem otwieram zatrzask torebki, a kiedy mi się to udaje, wypada z niej plastenowy pistolet. Odzyskuję oddech, chwytam go jedną ręką, a drugą zarzucam na niego szalik, upewniając się, że nie widać go z miejsca, w którym stoi mężczyzna.

Posiadanie takich pistoletów jest surowo wzbronione – ich jedynym celem jest oszukanie najnowocześniejszych sieci bezpieczeństwa, które badają zużycie energii, stopy metali i inne elementy mogące świadczyć o obecności broni. Z lufy takiego pistoletu wypada zwyczajna kula, niemal nie sposób dobrze go wycelować i można z niego wykonać tylko jeden strzał... Wystrzelenie pocisku topi komorę

i często się zdarza, że broń wybucha w czasie strzału, poważnie raniąc tego, kto ją trzyma.

Jednak udało mi się dostać do siedziby głównej LRI, a nowoczesne skanery bezpieczeństwa nawet nie pisnęły. Chociaż wiedziałam, że raczej nie spotkam na miejscu samego LaRoux, mogło mi się poszczęścić – gdybym nie była przygotowana na taką sytuację, żałowałabym do końca życia. Zwyczajna broń, nawet tradycyjny gleidel, jakiego używali na Avonie, ściągnęłaby mi na głowę wszystkich strażników z budynku. Ale z tym cacuszkiem się nie rozstaję.

Zaciskam palce wokół pistoletu tak mocno, że łapie mnie skurcz w ramieniu, a bark zalewa fala ognia. Ból przedziera się przez strach, a moje myśli spowija rozgrzana do białości wstęga zrozumienia. Mój umysł raz po raz ćwiczy kolejne kroki niczym kolejne punkty przepisu, niczym jeden z zapamiętanych przeze mnie rozkładów pięter.

Przenieś ciężar ciała. Odwróć się. Wyceluj w pierś. Wystrzel. Zabierz mu broń. Poczekaj na pozostałych. Wystrzel. Schowaj się za łóżkiem. Wystrzel. Wystrzel. Uciekaj.

– Czas minął. Wychodzimy – rozkazuje mężczyzna, a kiedy rusza w moją stronę, jego głos staje się donośniejszy.

Przenieś ciężar ciała. Odwróć się. Wyceluj w pierś...

Łzy zamazują mi wzrok, ale wiem, gdzie znajduje się przeciwnik. Słyszę jego głos, czuję jego obecność. Okręcam się i przez jedną dziwną chwilę moje oczy koncentrują się na kropelkach wody, które spływają mi z włosów i rozpryskują się na jego koszuli. Jest blisko. Za blisko.

Biorę gwałtowny oddech... Zauważa broń... Celuję w niego... Krzyczy... Coś wybucha i zauważam ogień. Oplata mnie ramionami i ciągnie do tyłu. Nie jest martwy. Spudłowała albo broń nie wypaliła, a to, co usłyszałam, było biciem mojego własnego serca, moim własnym strachem. Strażnik szarpie mnie w tył, a ja krzyczę i przez kilka sekund, które ciągną się, wykręcają i przygniatają mi płuca, walczę z jego uściskiem. Wtedy powraca mój instynkt – odrzucam głowę, uderzając go potylicą w podbródek. Bosymi stopami z całej siły nadeptuję mu na podbicie, a strażnik wyje z bólu. Wbijam mu łokieć w miękką część tułowia. Mężczyzna zwalnia uścisk, a ja dostrzegam plastenowy pistolet leżący w odległości kilku metrów. Jest nienaruszony – nie strzeliłam. Ze spazmatycznym oddechem rzucam się po broń, czuję jednak, jak ręka strażnika owija się wokół mojego ramienia i szarpie mnie w tył, aż przeszywa mnie ból. Mężczyzna rzuca mnie twarzą na łóżko, wpychając moją głowę w satynową koldrę, tak że przylegam do niej ustami i nosem, jakbym miała na twarzy foliowy worek, i mnie dusi. Próbuję podnieść głowę, odetchnąć i kilkakrotnie staram się sięgnąć po broń – moją jedyną szansę. Muskam ją opuszkami palców.

Wtedy coś twardego uderza mnie w potylicę. Osuwam się na podłogę

ogłuszona, z zamglonymi oczami.

– Suka – mamrocze głos wysoko ponad moją głową, gdzieś daleko. To ostatnie słowa, jakie słyszę.

Młody człowiek, który nie jest już taki młody, trzyma coś w ramionach.

– Nie możemy tu zostać – mówi do tego czegoś. – Rose była tu nieszczęśliwa, nie miała z kim porozmawiać. Nie wyobrażam sobie, żebyś ty znalazła w tym miejscu szczęście. Zostawię tu część pracowników, ludzi, którzy trzymają język za zębami.

Mężczyzna odczekuje kilka chwil, jak gdyby spodziewał się, że to coś mu odpowie.

– Wiem, że nie będziesz tego pamiętać, ale chciałem, żebyś je zobaczyła.

Zbliża się do przeredzenia, a niebieskie światło oświetla to, co trzyma w ramionach. To małe stworzenie ma tak samo błękitne oczy i kosmyki włosów w odcieniu moreli. Spogląda na punkt, mrugając oczami, i ziewa.

– No i jak, Lilac? – szepcze do stworzonka. – Co o tym myślisz? Jesteś trzecią osobą w całej Galaktyce, która ich poznała.

Przeredzenie błyska, a stworzenie śmieje się z taką radością, że cierpienie na chwilę przygasa. Twarz mężczyzny się zmienia – znika poczucie winy, podobnie jak przerażający błysk w jego oczach, kiedy przeprowadza eksperymenty. Jego twarz łagodnieje i pojawia się na niej coś nowego.

Coś, czego chcemy się nauczyć.

Będziemy obserwować.

Będziemy czekać.

GIDEON

Marzy mi się smażony tajski ryż – khao phat. Wprawdzie oznaczałoby to, że muszę się ruszyć, ale kiedy wcześniej sprawdzałem zapis z ulicznego monitoringu, za wokiem stała Mama Samorn, a to oznacza, że szykuje się pyszne żarcie.

Siedzę w wygodnym fotelu w swojej kryjówce, a przede mną rozciąga się ściana ekranów. Jest coś pocieszającego w wygrywanej przez nie symfonii delikatnych dzwonek, brzęknięć i piknięć – tak właśnie brzmi dom. Na ekranach po prawej stronie widzę, jak moje boty pełzają po forach, którymi administruję. Zwolennicy teorii spiskowych są nerwowi, ale jeśli dokładnie przeczesa się ich wpisy, od czasu do czasu można znaleźć coś przydatnego. Moja przyjaciółka Mae – a przynajmniej osoba, która najbardziej pasuje do definicji przyjaciela – jest moją prawą ręką w tej dziedzinie. Co zdumiewające, potrafi napisać właściwy komentarz albo zasiać jakąś teorię, a oni rzucają się na temat, który akurat badamy.

Na ekranie wprost mnie jest uruchomiony program próbujący namierzyć Antje Towers i na nim się w tej chwili koncentruję. Zrezygnowała ze stanowiska i zniknęła z Avonu po Transmisji, ogłaszając nietrzymający się kupy komunikat o wyłączeniu się z życia publicznego i planie osiedlenia się w idyllicznej kolonii. „Dość już było śmierci”, powiedziała.

Nie dla mnie, komendant Towers. Kiedy po Transmisji wkroczone do tajnego ośrodka LRI, nie było tam już żadnych śladów eksperymentów LaRoux. Usuwanie danych odbyło się tuż pod nosem Towers, a ona odwróciła wzrok. Wiem, że ma szkalujące LaRoux informacje, które są mi potrzebne – złożę publiczne zeznania, nawet jeśli osobiście będę je musiał z niej wyciągnąć – aby wyjawić, kim naprawdę jest jej szef. Ucieka i ukrywa się już od roku, co kilka tygodni zmienia dokumenty – nazywała się już Lucy Palmer, Taya Astin, Anya Griffin, Natalie Harmon... Ta lista ciągnie się w nieskończoność. Skacze z miejsca na miejsce, pozostawiając po sobie widmowe ślady. Od czasu do czasu pojawiają się raporty o blondynce wsiadającej na kolejny statek, podróżującej na inną planetę. Z tego, co wydobyłem z ich baz danych, wynika, że nawet w LaRoux Industries nie wiedzą, gdzie przebywa. Dzięki temu idealnie nadaje się do tego, co zaplanowałem. LRI tak uważnie przygląda się swoim pracownikom, że nie zdołałbym się zbliżyć do żadnego z nich. Ale jeśli chodzi o Towers... LaRoux już jej nie chroni.

Jej ślad się urwał, kiedy wiele miesięcy temu dotarła na Korynt, więc teraz bardziej niż kiedykolwiek zależy mi na tym, żeby ją znaleźć. Odbyłem z nią już tysiąc wymaganych konwersacji, rzuciłem w nią tysiącem oskarżeń. Jeśli uda

mi się ją odszukać, może dowiem się więcej na temat tego, czego świadkami byliśmy wraz z Alexis w siedzibie głównej LRI.

Te wszystkie lata starań sprowadziły mnie tutaj, do tego. Jeśli uda mi się ją odszukać, zdołam ujawnić wszystkie zbrodnie, których dopuścił się LaRoux. Nie tak jak Flynn Cormac... Ja zrobię to publicznie, przedstawię niezbite dowody. Z pomocą Towers ujawnię na tyle dużo przewinień LaRoux, żeby go pogrążyć.

Znów zaczynam od momentu przybycia Towers na Korynt – oczywiście pod fałszywym nazwiskiem – i właśnie mam przejrzeć rejestry przylotów, żeby sprawdzić datę, kiedy z lewej strony dobiega mnie cichy szmerzący dzwonek przypisany skrzynce pocztowej z wiadomościami od Alexis. Hmm. Nie sądziłem, że się odezwiesz, Dołeczku.

Unoszę lewą rękę obleczoną w sensoryczną rękawiczkę, wskazuję na ekran i przywołuję go. Czujniki pikają posłusznie i zamieniają wyświetlacze, przesuwając główny ekran na lewo i rzucając mi przed oczy wiadomość od Alexis. Mógłbym udawać, że się nie szczerzę, ale nikogo tu nie ma.

„Cześć, Kochanie. Jednak nie musisz dziś przychodzić. Wpadł mój ojciec z kolegami, więc wyjdę z nimi na kolację. Zobaczymy się w weekend. Umówmy się w parku, w którym widzieliśmy się ostatnio, dobrze? Nie mogę się doczekać naszego spotkania. Całuję, Alicja”.

Uśmiech znika mi z twarzy, rozbija się w drobny mak i zostaje rozwiany przez lodowaty wiatr, kiedy wpatruję się w wiadomość. Cholera jasna. Nie mam zbyt wiele czasu do namysłu. Już wyciągam klawiaturę i przebiegam po niej palcami, żeby namierzyć jej wiadomość i uruchomić kamery, a jednocześnie wydaję na głos inne polecenia:

– Komenda: przeskanuj wiadomość na ekranie czterdziestym dziewiątym. Sprawdź naruszenie bezpieczeństwa. Upewnij się, że nie zawiera wirusów.

Dzwonek odzywa się już po kilku sekundach. Staram się uspokoić oddech i na chwilę przymknąć oczy, tak by być gotowy, kiedy dwa ciche brzęknięcia ogłoszą wyniki kontroli bezpieczeństwa i skuteczne uruchomienie kamery.

„Zabezpieczenia nie zostały naruszone”, oznajmia system. Wtedy uruchamiają się kamery, a na moich ekranach pojawia się kilka wyraźnych kadrów z jej mieszkania. Spokojny dotąd oddech więźnie mi w gardle.

Jest w sypialni, gdzie stoi nad nią jakiś brutal. Patrzę, jak dziewczyna próbuje się unieść na łokciach, ale znowu upada na ziemię. Goryl pochyla się i pomaga jej wstać, chwytając ją za włosy. Dziewczyna jęczy, najwyraźniej otumaniona, a ja unoszę rękę, jak gdybym mógł sięgnąć na drugą stronę ekranu i go powstrzymać.

– Dokąd mnie zabierasz? – mówi Alexis, szlochając.

Niewykluczone, że płacz jest prawdziwy, ale może to też być jedna z jej sztuczek... Chociaż biorąc pod uwagę sytuację, myślę, że musi być choć

połowicznie prawdziwy. Dostarczyła mi jednak informacji, której potrzebuję – zamierzają ją przewieźć w inne miejsce. Choć w głębi duszy oddycham z ulgą – niezależnie od tego, co planują z nią zrobić, mam jeszcze trochę czasu – pozostała część mnie napelnia się lękiem. Jeśli najpierw muszą ją przetransportować, prawdopodobnie zrobi się z tego niezły bałagan.

Rozprostowując nogi, co jest równoznaczne z poleceniem, że fotel ma wrócić do pozycji wyjściowej i mnie wypuścić, ponownie się odzywam:

– Komenda: otwórz kanał głosowy do Mae.

Chwilę później w słuchawkach odzywa się radosny kobiecy głosik. Zawsze brzmi tak, jakby siedziała przy komputerze z nadzieją, że zadzwonisz.

– Cześć, przystojniaku! Co to za okazja?

– Potrzebuję wsparcia. – Mój głos drży tak, że Mae milknie, a jej śmiech zamiera.

– Nagły wypadek?

– Najgorszy możliwy – odpowiadam cicho. – Przesyłam ci adres. Siły bezpieczeństwa LaRoux usuwają moją sojuszniczkę. Ruszam po nią, potrzebuję oczu.

Głośno wciąga powietrze.

– Słonko, nie jesteśmy na to gotowi. Nie mamy połowy dokumentacji, której potrzebujemy, żeby...

Goryl podciąga Alexis na nogi i podtrzymuje ją za ramiona. Dziewczyna się chwieje, mrugając i próbując odzyskać całkowitą przytomność.

Ściągam rękawiczki, przeszukuję stos ubrań na łóżku i wyciągam buty.

– Dlatego muszę ją odbić przy minimum kontaktu. Znajdź mi kamery bezpieczeństwa, kamery dostępu publicznego i drogowe w pobliżu miejsca, z którego dociera przekaz. Muszę zobaczyć, dokąd jada.

– Skąd mam, u licha, wiedzieć, którzy to „oni”? – pyta Mae, choć na obrazie, który wrzuca na ekran po mojej prawej stronie, widzę, że złapała trop.

Wkładam buty i zawiązuję je drżącymi dłońmi.

– Szukaj...

Kończy zdanie za mnie:

– ... czegokolwiek z logo LaRoux. Potwierdzam.

Na ekranie goryl znowu rozmawia z Alexis:

– Pojedziemy w miejsce, gdzie nikt nam nie będzie przeszkadzał. Tam nam powiesz, po co właściwie złożyłaś nam wizytę i co tam robił twój przyjaciel.

– Mój przyjaciel? – Dziewczyna pociąga nosem i unosi zapłakaną twarz, obrzucając mężczyznę spojrzeniem wielkich oczu, z których spływa maskara. Nawet teraz próbuje chronić moją tożsamość... A może po prostu broni swojej. – Nie wiem nic o tym chłopaku, przysięgam. Nie przyszliśmy razem. Wziął mnie jako zakładniczkę.

Nie przesadzaj, Dołeczku. Najwyraźniej wcale mnie jednak nie chroni. Znajduję jedną ze swoich dwustronnych koszulek – po jednej stronie ma logo LaRoux Industries, a po drugiej jest czarna. Przewracam ją na czarną stronę i wciągam przez głowę, po czym zakładam uprząż wspinaczkową. Przyciągnie uwagę, ale jeśli mam dotrzeć do Alexis na czas, nie chcę rozplątywać linek. Poza tym na ulicach Koryntu widziałem dużo dziwniejsze stroje. Zanurzam rękę w gnieździe kabli, żeby znaleźć to, co – zazwyczaj żartobliwie – nazywam swoją przestępczą torbą, i wsuwam ekran obok spakowanego tam sprzętu. Nakładam noktowizor na czubek głowy i wtykam do ucha słuchawkę, a jej kabelek podłączam do ekranu. Jestem gotowy.

– Przechodzę w tryb mobilny, Mae. Zabezpiecz sygnał tak, jak to tylko możliwe.

Nie podoba mi się to, że nasza rozmowa będzie dostępna, ale nie mam czasu na wymyślenie bardziej eleganckiego rozwiązania. Alexis go nie ma.

– Gotowe – mówi Mae. W uchu słyszę jej rzeźki głos. – Widzę ich samochód. Jestem gotowa.

– Uważaj na pułapki.

Ale ona już to wie. Udział LRI nadaje systemowi zabezpieczeń zupełnie nową jakość. Zbliżam twarz do czytnika tęczówek przy drzwiach i przyciskam kciuk do skanera. Drzwi otwierają się z sykiem.

Mae wybucha śmiechem, choć nie ma w nim rozbawienia.

– Litości. Wiem, co robię, dzieciaku – odpowiada.

Wypadam na boczną uliczkę przed budynkiem dokładnie w tej samej chwili, kiedy Dołeczek i jej towarzysze opuszczają mieszkanie Kristiny.

Słyszę sygnał od Mae i tuż przed moimi oczami na ekranie zestawu słuchawkowego pojawia się przezroczysty obraz z kamery i przekaz audio wpadający mi prosto do ucha, kiedy biegnę alejką wychodzącą na szeroką ulicę. Wypełniają ją stragany i nawołujący domokrażcy, nad którymi góruje kolejny poziom zabudowy.

Wpychana do samochodu Alexis coś mówi, a ja przebiegam obok straganów. Czuję zapach ryżu Mamy Samorn i skupiam się na głosie w uchu, a to, co słyszę w słuchawce, miesza się z tym, co widzę wokół.

– Myślicie, że robiąc sobie ze mnie tarczę, postanowił mi wyjawić swój wielki plan? – Głos dziewczyny wciąż drży. – Jeśli chcecie wiedzieć, dlaczego tam był, może odszukajcie go i jemu zadajcie to pytanie.

– Właśnie to robimy – odpowiada goryl, a obraz z kamery przeskakuje i na ekranie pojawia się teraz wnętrze samochodu, tuż nad głową kierowcy. – A ty nam w tym pomożesz.

– Ale ja nic nie wiem – wyje Alexis, przyciągając kolana do piersi.

Po tym, w jaki sposób rozgląda się na boki, wnoszę, że zastanawia się, czy

zdołałaby kopnąć jednego z nich w brzuch, a następnie rzucić się do drzwi. Znajdują się jednak w jakiejś limuzynie, a ona siedzi z tyłu wraz z trzema strażnikami. Nic z tego.

– Z naszego doświadczenia wynika, że ludzie wiedzą zazwyczaj więcej, niż im się wydaje – odpowiada mężczyzna spokojnie, podczas gdy Mae podrzuca mi obraz GPS ukazujący kurs obrany przez samochód. – Zwłaszcza kiedy zostają odpowiednio zmotywowani, by odpowiedzieć na pytanie.

Jeżu, ten facet robiłby furorę na imprezach.

Wyjeżdżają z eleganckiego sektora, w którym znajduje się jej pożyczone mieszkanie, a na ekranie pojawia się kilka sugerowanych tras. Przedzieram się przez barierki na torach shinkansenu za kilkoma robotnikami i wciskam się do ostatniego wagonu superszybkiego pociągu tuż przed zamknięciem drzwi.

– Słonko, wydaje mi się, że... – Mae urywa.

– Tak, wiem – mamroczę.

Jadą samochodem z logo LaRoux Industries, ubrani w firmowe uniformy. Są do tego stopnia aroganccy, a co więcej, do tego stopnia potężni. Mogą robić coś takiego w biały dzień, wiedząc, że nikt ich nie zatrzyma i nie zapyta, co sobie wyobrażają.

Miałem nadzieję, że aby wykonać swoją brudną robotę, skierują się gdzieś za miasto, ale cztery spośród pięciu tras sugerowanych przez nasz program ma ten sam cel: zabierają ją do siedziby głównej LaRoux. Do jego fortecy.

Alexis niczego im nie ułatwia i przez większość podróży milczy, od czasu do czasu odpowiada na ich pytania pociągnięciami nosa, półsłówkami i uwagami w stylu: „Litości”. Sygnał drga i chwilami się urywa, na przykład kiedy wysiadam z pociągu i wskakuję do zatłoczonej windy jadącej w górę na zamożniejsze poziomy. Powietrze robi się czystsze, a budynki są wyższe i bardziej eleganckie. Na dole, w slumsach, wszystkie ulice są zadaszone pnącymi się kolejnymi poziomami. Za każdym razem, kiedy limuzyna LRI skręca, komputer przelicza nową trasę. Nie ma mowy, żebym w tym tempie przeciął im drogę. Mogę ich tylko śledzić.

Od siedziby głównej LaRoux Industries dzieli ich zaledwie kilka minut drogi, kiedy utykają w korku. Mae podsyła mi obraz protestu, który go wywołał, ale nie mam czasu na czytanie transparentów. W końcu, w końcu, coś idzie po mojej myśli. Sugerowane trasy zawężają się do jednej, a ja biegnę po chodniku, z trudem łapiąc oddech – chrzanić konwenanse – i przeciskam się przez tłum.

W uchu znów słyszę głos Mae i wiem, co powie.

– Słonko, nie mogę tam wejść z tobą. Namierzają sygnał.

– Nie śmiałybym cię o to prosić – rzucam, lawirując w tłumie turystów fotografujących olbrzymią srebrną lambdę zdobiącą front budynku. – I tak już dużo dla mnie zrobiłaś.

– Jeśli za kilka godzin nie wyjdiesz... – urywa.

Co właściwie miałyby zrobić?

– Wtedy możesz sobie wziąć moje rzeczy – kończę i przerywam transmisję, zanim dziewczyna zdoła mnie odwieść od pomysłu, który i mnie wydaje się beznadziejny.

Przekaz wizualny urywa się chwilę później, ale wiem już, że wyprzedziłem Dołeczka i jej eskortę o kilka minut. Ruszam do drzwi prowadzących na klatkę schodową, którą uciekliśmy tamtego dnia. Na myśl o powrocie do tego miejsca przechodzą mnie ciarki, a serce wciąż wali mi z wysiłku, jednak będę się czuł o wiele gorzej, jeśli dziewczyna zniknie z powierzchni tej planety, bo tym koleśiom tak naprawdę zależało na mnie.

Nadajnik zakłócający nałożony przeze mnie na drzwi, żeby spowolnić ścigających nas strażników, zniknął, ale sygnały, które przekazał do moich baz danych, nie. Na sekundę podpinam chip i wszystkie klawisze podświetlają się na zielono, a zamek puszcza. Wchodzę do środka, przywieram plecami do ściany i ostrożnie zamykam drzwi, po czym przesuwam się w bok, aż udaje mi się spojrzeć do góry po czubek ciągnącej się w nieskończoność spirali schodów przeciwpożarowych. Chociaż nie dostrzegam żadnych strażników, kamery bezpieczeństwa działają tu w układzie zamkniętym, więc bez fizycznego dostępu do systemu nie potrafię ich wyłączyć. Muszę się dostać na górę drogą pozbawioną monitoringu.

Na chwilę zamykam oczy, a w ramionach już czuję fantomowy ból. Ale z zamkniętymi oczami zbyt łatwo mi wyobrazić sobie wszystko to, co mogą zrobić Dołeczкови, jeśli w porę jej nie odbiję.

Za pomocą nadajnika otwieram drzwi prowadzące do holu piętro niżej i wślizguję się do środka. W tej przestronnej i dudniącej echem przestrzeni nie jest tak pusto jak na schodach – staram się przesuwać pod osłoną cienia, korzystając z okazji, że strażnik ogląda najnowszy odcinek jakiegoś holoserialu na palmpadzie. Każda winda ma własne źródło światła i na wszystkich migoczą wielkie jak neon komunikaty: **SKORZYSTAJ Z INNEGO DŹWIGU**. Wiem jednak o innym punkcie dostępu, który nie będzie migotał jak bożonarodzeniowe drzewko – to winda towarowa.

Udaje mi się schować za róg, kiedy dobiegają mnie głosy – jeden mówi strażnikowi, żeby zrobił sobie przerwę, a drugi rozkazuje:

– Dawaj ją tutaj.

Czekam z przeczącą rozsądkowi nadzieją, że powiedzą, na które piętro jadą, ale nic z tego. W milczeniu stoją przed windą.

Nie ruszam się, dopóki z holu nie dobiega mnie odgłos zamykanych drzwi windy, po czym przystępuję do pracy. Aby korzystać z dźwigów po godzinach, trzeba mieć specjalny kod, którego nie mogę zhakować. Tu akurat wymagana jest

karta z podpisem cyfrowym. Otwieram więc plecak, wyciągam łom – zastanawiam się przez chwilę, co normalni ludzie noszą w plecakach, jeśli nie sprzęt ułatwiający włam – i zaczynam podważać drzwi.

Wchodzę do środka, z twarzą odwróconą od kamery, i wyłamuję znajdujący się tuż obok panel, tak by móc chwycić za krawędź ściany i wspiąć się na górę, na dach windy. Wyrwam kabel z kamery i zamiast niego podłączam własny przekaźnik – udało się. Mam kontrolę nad całym systemem zabezpieczającym hol i windy. Wystarczy chwila, żeby przekazać wszystkie dane do zestawu słuchawkowego, ale wiem, że kiedy tylko Dołeczek i jej znajomi opuszczą windę, stracę ją.

Widzę, która winda jest w ruchu, i cyfrę obok drzwi: dwadzieścia. To samo piętro, na którym byliśmy tamtego dnia. Ścisza mnie w żołądku, ale moje ciało funkcjonuje już normalnie. Wyciągam magnetyczne przyczepy, wkładam plecak i zaczynam się wspinać.

Mniej więcej na wysokości piątego piętra moje barki zaczynają protestować, ale odsuwam od siebie myśl o bólu i skupiam się na widocznym przekazie wideo. Dotrą tam – a wyobrażając sobie wielką konstrukcję otaczającą szczelinę w holoapartamencie, nie mam niemal żadnych wątpliwości co do tego, gdzie owo „tam” się znajduje – na długo przede mną. Mam tylko nadzieję, że nie złączą jej przesłuchiwać, zanim...

Moje myśli urywają się i gwałtownie wyhamowują.

Po prostu. Się. Wspinaj.

Naukowiec o wąskich wargach i przygarbionych plecach reguluje klatkę wokół przerzedzenia. Zapomniał odciąć zasilanie. Przerzedzenie trwa w bezruchu, nie daje żadnego ostrzeżenia. To jeden z ludzi, którzy naruszyli bezruch, żeby go zbadać.

Kable iskrzą i wyją, zalewając ciało mężczyzny prądem, kiedy ten je wyciąga. Ginie na miejscu, a kiedy inni naukowcy rzucają się w jego stronę, przerzedzenie jest ciche i usatysfakcjonowane.

Pozostali naukowcy są milczący i smutni nawet po tym, jak ktoś zabiera zwłoki. Zazwyczaj rozmawiają i śmieją się, badając przerzedzenie we wszechświecie, ale teraz wszyscy milczą. Milczenie jest ciężkie i gęste.

Więc robimy im nowego naukowca, takiego samego jak ten martwy. Jeśli będą zadowoleni, może przestaną nas krzywdzić.

SOFIA

Pracownicy LaRoux Industries zostali doskonale przeszkoleni. Zatrzymują się na granicy tortury. Nie dotykają mnie poza momentem, kiedy wbijają mi w bark igłę i wstrzykują narkotyki. Może chcą, żebym była bardziej uległa, a może podają mi środki uspokajające. Przechodzą mnie ciarki na myśl o tym, że w moim krwiobiegu krąży nieznana substancja mająca nieznany wpływ na mój umysł. Nie karmią mnie ani nie przynoszą wody. Nie rzucają gróźb, ale ich wzrok mówi to, czego nie wypowiadają usta: żyję tylko dlatego, że postanowili mnie jeszcze nie zabijać. Nie marnują czasu na tłumaczenie, co się stanie, jeśli nie dam im tego, czego chcą, bo wiedzą, że ich słowa nie są w stanie przebić okrutnych obrazów, które podsuwa mi wyobraźnia.

Gardło wyschło mi na wiór, a pragnienie sprawia, że w obolałej głowie czuję pulsowanie serca. Minęło wiele godzin. A przynajmniej tak mi się wydaje. Pozbawiony oprogramowania holoapartament to jałowa, biała pustka. Białe sklepienie znaczą jedynie projektory i kamery – wszystkie wyłączone. Nie świeci się ani jedna. W pomieszczeniu wyłączono monitoring. Mężczyźni nie włączają większości świateł i używają tylko jednego panelu, tak że pozostała część pokoju spowija cień. Ten efekt daje wrażenie nieskończonej przestrzeni – a jednak siedzę tu na krześle, które dla mnie przynieśli, niezdolna do jakiegokolwiek ruchu.

Metalowy pierścień – ten sam, który rozbłysnął i sprawił, że oczy zebranych wypełniły się pustką – jest milczący i ciemny. Czuję jednak jego obecność tuż poza kręgiem światła, niby olbrzymiego potwora, straszliwą bestię przyczajoną w cieniu, czekającą na moment, aż zostanę sama, żeby mogła zaatakować. Wiem, dlaczego mnie tu przyprowadzili – jeśli nie powiem im tego, co chcą usłyszeć, użyją pierścienia, stworzeń, o których Flynn mówił w czasie Transmisji, i wezmą sobie z mojego umysłu to, czego potrzebują.

Ilekoć przymykam oczy na dłużej niż czas trwania jednego wdechu, tylekoć jeden ze strażników kopie buciorem w nogę krzesła, sprawiając, że moje ciało wpada w drgawki, a poobijane, obolałe kości płoną żywym ogniem. Resztką woli staram się nie jęczeć, bo nie zamierzam dać im satysfakcji i nie pozwolę, by widzieli moje cierpienie.

– Pewnie robisz się zmęczona – odzywa się ten duży, ten sam, który rzucił mnie na łóżko i którego planowałam zastrzelić. W jego głosie pobrzmiewa coś na kształt współczucia. – Daj nam coś, co pomoże nam go namierzyć, i będzie po wszystkim. Obiecuję.

Coś na kształt współczucia.

– Przysięgam – szepczę, nawet nie próbując maskować zmęczenia. – Powiedziałam wam wszystko, co wiem. Nie mam pojęcia, jak go znaleźć. Byłam tylko zakładniczką.

Z początku to ja próbowałam wydobyć z nich informacje – aroganccy figuranci tacy jak ci faceci często ujawniają więcej, niż sądzą, bo są za bardzo skupieni na uzyskiwaniu potrzebnych im szczegółów. Dowiedziałam się, że zależy im na Walecie Kier, nie na Gideonie. I że tropią go już od dłuższego czasu.

Jestem przekonana, że w przeszłości Walet z nimi współpracował – mogę się tylko domyślać, że się zbuntował i już nie słucha rozkazów LRI, a może po prostu za dużo wie i LaRoux chciałby się go pozbyć. Zdążyłam się zorientować, że ci mężczyźni nie znają mojej tożsamości i nie wiedzą, że pochodzę z Avonu. Gdybym nie wybrała Gideona na mimowolnego partnera ucieczki z siedziby głównej, wcale by mnie tu nie było.

Nie wiedzą, że przyszłam do LaRoux Industries, żeby spróbować zabić Rodericka LaRoux.

W ostatniej chwili powstrzymuję się, żeby się pochylić i spuścić głowę. Przygarbiona sylwetka sugeruje przyznanie się do porażki, a jeśli ci kolesie wiedzą cokolwiek na temat komunikacji pozawerbalnej, zaczną mnie jeszcze bardziej naciskać. Walczę o to, by utrzymać uniesione powieki i by moje oczy były pełne lęku, a jednocześnie staram się przenosić wzrok na kolejnych strażników. Zbyt intensywny kontakt wzrokowy sugeruje, że człowiek coś ukrywa i walczy z naturalnym odruchem, by odwrócić wzrok. Muszę się wydawać zalękniona – niewinny świadek taki jak Alexis byłby przerażony – ale nie mogę wyglądać na winną.

Prawda jest taka, że nawet gdybym powiedziała im, co się naprawdę wydarzyło, nawet gdybym podała im jego imię i pokazała aplikację na komputerze, z której wysłałam tę desperacką wiadomość z wezwaniem o pomoc, wcale nie byłoby im łatwiej go znaleźć. Wątpię, by ten haker naprawdę miał na imię Gideon, a nawet gdyby tak było, pierwsze imię jednego z dwudziestu miliardów mieszkańców tej planety nie przybliżyłoby ich do żadnej informacji, której już by nie mieli.

Więc dlaczego po prostu im go nie wydasz?

Przełykam ślinę, kiedy mężczyzna wzdycha, prostuje się i odchodzi na bok, żeby ściszym tonem porozmawiać z kolegami. Chciałabym ich podsłuchać, ale nie mogę się skupić. Staram się zapamiętać historyjkę, którą im opowiedziałam, na tyle dobrze, żeby nie pomylić szczegółów.

W zwyczajnych okolicznościach wiedziałabym, jak się to wszystko potoczy. Bez świadków i dokumentów tego przesłuchania, zabraliby mnie w jakieś odludne miejsce i zabili. Po prostu bym zniknęła. Gdyby chodziło o jakąś inną firmę, o jakąś inną organizację – już bym nie żyła. Ale to LaRoux Industries, więc może

mnie spotkać o wiele gorszy los.

W mroku widzę twarz ojca. Zmęczenie sprawia, że cienie tańczą mi przed oczami i układają się w znajome kształty. Widzę go na chwilę przed tym, jak się odwrócił i wszedł do koszar na Avonie. Widzę, jak rozszerzają mu się źrenice, które pochłaniają błękit jego tęczywek, słyszę chłód przenikający jego głos, obserwuję, jak jego ciało tężeje i się ode mnie odrywa. We wspomnieniach zawsze wraca do mnie ta chwila, a nie sama eksplozja. Raz po raz przypominam sobie, jak dusza mojego ojca zniknęła. Widzę, jak umarł kilka chwil przed tym, jak rozerwało go na kawałki.

Odpędzam przerażenie z serca i zmuszam się, żeby oddychać. Jeśli będę panikować, popełnię błąd. Błądzą wzrokiem po pomieszczeniu, ale ciężko zobaczyć cokolwiek poza kręgiem oślepiającego światła. Ponieważ zapamiętałam plan tego piętra, wiem, co znajduje się za kilkorgiem z tych drzwi. Założę się jednak, że nie uda mi się dwukrotnie uciec tą samą trasą, nawet gdybym wymknęła się tym facetom. Nawet gdybym po tych kilku godzinach na krześle była szybsza od swoich oprawców.

Może by mi się udało, gdybym była odważniejsza. Gdyby było we mnie coś, co warto ocalić, poza pragnieniem zemsty. Ale... nie chcę umrzeć. Nie mogę umrzeć. Nie teraz, kiedy jestem tak blisko Rodericka LaRoux. Jeden ze strażników – ten, który ze mną walczył – gwałtownie urywa, dając pozostałym znak, żeby się uciszyli. Przyciska palec do ucha i uświadamiam sobie, że ktoś wydaje mu rozkazy przez mikrosluchawkę.

– Tak jest! – mówi strażnik, prostując plecy, choć ten, z kim rozmawia, przecież go nie widzi. – Rozumiem, proszę pana. – Przez dłuższą chwilę słucha. Następnie kiwa głową do jednego z kolegów i macha ręką w kierunku zacienionej części holoapartamentu, w stronę pierścienia. – Tak. Tak... Przyjąłem. Dziękuję, *monsieur*.

Moje ciało się napina. Tylko jeden mężczyzna w Galaktyce ma w sobie dość arogancji, by wskrzesić martwy język jedynie po to, żeby przypisać sobie tak unikatowy tytuł. Strażnik otrzymuje rozkazy bezpośrednio od Rodericka LaRoux.

– To twój szczęśliwy dzień, słońko – mówi, wyciągając słuchawkę z ucha. – Słyszałem, że to wcale nie boli i że człowiek nawet się nie orientuje. Bum i już. – Przykłada palec do skroni i imituje maleńką eksplozję. – Znikasz, a na twoje miejsce zjawia się coś, z czym łatwiej sobie poradzić. To o wiele bardziej humanitarny sposób na otrzymanie odpowiedzi. Choć przyznam, że mniej zabawny.

Nie. Boże, nie. Mężczyźni uruchamiają pierścień, a ja czuję wibracje płynące po podłodze i wspinające się po nogach krzesła. Podłoga drży tak jak ziemia w dniu, w którym mój ojciec zamienił się w bombę.

Strażnik, który do mnie mówił, zastępuje bezprzewodową słuchawkę czymś

innym i zakłada sobie za ucho kolejne urządzenie elektroniczne.

– Załóżcie sprzęt – rozkazuje pozostałym, a ci posłusznie nakładają na siebie takie same urządzenia niczym robotnicy zapinający kaski czy chirurdzy naciągający rękawiczki.

Kiedy mężczyźni koncentrują uwagę na metalowym pierścieniu zajmującym środek pomieszczenia, próbuję się rozejrzeć, sprawdzić, czy istnieje jakaś droga ucieczki. Drzwi będą zamknięte, a nawet jeśli udałoby mi się je otworzyć, nie dotrę do nich, zanim mnie pochwycą. Strażnicy znajdują się zbyt daleko, żebym mogła zabrać jednemu z nich broń, tak by nie zauważyli, że wstaję z krzesła. Jestem uwięziona na tym stołku – równie dobrze mogliby mnie do niego przywiązać.

Tak intensywnie wpatruję się w mrok, że z początku nie zauważam, iż coś się zmieniło. W ciemności zapala się światełko, pojedyncza zielona LED-owa żarówka błyska dwukrotnie, po czym zaczyna świecić nieprzerwanym blaskiem. Wpatruję się w nią bezmyślnie i przez jedną absurdalną chwilę przypominam sobie błędne ogniki na Avonie. W chwili, gdy porywacze odwracają się w moją stronę, uświadamiam sobie, co to jest.

Jedna z kamer się uruchomiła.

Odrywam od niej wzrok i zamykam oczy, żeby nie widzieli, w którą stronę patrzyłam. Nie obchodzi mnie nawet to, czy znów kopną w krzesło, żebym nie mogła odpocząć. To próżna, dzika nadzieja... Przecież monitoring mógł uruchomić LaRoux, żeby obserwować rozwój sytuacji.

– Pozwolono mi złożyć ci obietnicę – mówi główny strażnik, patrząc mi w twarz. – Jeśli znasz sposób, żeby skontaktować się z młodym mężczyzną, którego spotkałaś w siedzibie głównej LRI, i jeśli zdołasz go przekonać, żeby spotkał się z tobą w wyznaczonym miejscu i o wyznaczonym czasie, puścimy cię wolno.

Na jego słowa zastygam, a poziom adrenaliny krążącej w moich żyłach spada.

– Wolno? – szepczę zaskoczona. – Nie... To podstęp.

Wypowiedziałam te słowa, zanim przypomniałam sobie o odgrywanej roli. Doskonale to zaplanowali. Poczekali, aż zrozumiem, co mnie czeka, aby dać mi wybór. Alexis powinna bez zastanowienia skorzystać z okazji.

Gdyby była prawdziwa, nikt by jej za to nie winił. Byłaby przerażona i samotna i wykorzystałaby każdą szansę. Ja jednak powinnam być ponad to. Powinnam walczyć. Brzydzę się tym, że przez chwilę byłam bardziej Alexis niż Sofią.

Mężczyzna kręci głową.

– To żaden podstęp. Nie mamy z tobą konfliktu. Możemy ci obiecać nawet to, że chłopakowi też nie stanie się krzywda. To tylko kolejny szczebel drabiny. I tak do niego dotrzemy, ale jeśli będziesz z nami współpracować, oboje

przeżyjecie.

Kolejny szczebel drabiny prowadzącej do Waleta. Krew szumi mi w uszach tak głośno, że ledwo słyszę. Te zbiry z LaRoux Industries mogą sobie dorwać Waleta – mnie to nie przeszkadza. Niech się wzajemnie zniszczą. Mnie interesuje tylko facet na szczycie. Suchym językiem przejeżdżam po wargach, próbując ugrać kilka dodatkowych sekund i wszystko przemyśleć.

Za plecami mężczyzny widzę LED-owe światełko kamery. Kiedy na nie patrzę, błyska dwukrotnie, potem trzy razy, raz po raz. Potem pięć. Siedem. Jedenaście. Trzydzieści...

Liczby pierwsze.

Przełykam szloch ulgi i staram się, żeby brzmiał jak kapitulacja.

– Dobrze. – Wzdycham. – Powiem wam, jak go znaleźć.

Wszystkie oczy zwracają się ku mnie. To idealny sposób na odwrócenie ich uwagi. Proszę, Gideonie. Proszę, żebyś to był ty. Powiedz, że to sygnał, że dostałeś moją wiadomość, że zrozumiałeś, bo kończą mi się kłamstwa, którymi mogę ich nakarmić.

Potrzebuję jeszcze tylko jednego.

Mężczyzna przenosi część z nas, używając w tym celu statku przemierzającego bezruch. Przez chwilę jesteśmy tak blisko domu, że czujemy, iż pozostali znajdują się zaledwie kilka szeptów od nas.

Świat otwiera się ku nam na tyle, że sięgamy i odkrywamy, iż tu, w przeciwieństwie do miejsca, w którym pojawiło się pierwsze przersedzenie, znajduje się wielu ludzi takich jak mężczyzna o niebieskich oczach. To idealne miejsce, żeby się uczyć. Żeby zrozumieć. Żeby zdecydować, czy ich egzystencja jest warta poznania, czy powinni zostać skazani na ciemność.

W slumsach znajdujemy małą dziewczynkę i od niej uczymy się marzeń. Marzy o pięknych rzeczach i jak to dzieci wcale się nas nie boi. Nazywa nas przyjaciółmi. Pokazujemy jej ocean, który tak pragnie zobaczyć. Pozwala nam podróżować po swoich marzeniach tak, jak my pozwalamy podróżować statkom przez bezruch – szybciej od światła.

Na tym świecie otaczają ją ciemność i ból, a jej marzenia są przesycone pięknem. Warto ją obserwować. Warto się jej uczyć. Tylko że któregoś dnia dziewczynka znika, a my zostajemy sami.

GIDEON

W przewodach wentylacyjnych jest potwornie ciasno. Nie mogę nawet iść na czworakach – posuwam się naprzód, pomagając sobie łokciami, co mnie spowalnia i oznacza, że muszę przemyśleć każdy ruch, jeszcze zanim go wykonam. Panuje tu całkowita ciemność. Gdybym przed wyjściem nie zabrał noktowizora, miałbym teraz przerąbane. Naciągnięte na oczy gogle obrzucają wszystko zieloną poświatą, która sprawia, że mój lęk ustępuje krótkotrwałej iskrze oczekiwania. Pamięć sensoryczna to potężna broń, a zazwyczaj, kiedy świat staje się tak zielony, jestem zanurzony po uszy w jakiejś przestępczej działalności. To właśnie w takich sytuacjach zdobyłem doświadczenie i to one pozwoliły mi zapełnić konto bankowe. To tak stworzyłem Waleta, każdą godzinę dnia poświęcając na to, by pozyskać potrzebne informacje i odkryć tajemnice LaRoux.

Najbardziej wartościowe serwery znajdują się w całkowitej izolacji od świata zewnętrznego, a ponieważ nie są podłączone do hipernetu, nie mogę do nich wysłać elektronicznych szpiegów. Jedynym sposobem, aby się do nich dostać, jest fizyczne włamanie się i podłączenie sprzętu. Jednak na tego typu hakowanie mam zazwyczaj nieco więcej czasu, o wiele więcej sprzętu i – co najważniejsze – dobrze przemyślany plan.

Mam nadzieję, że to zadziała, Dołeczku. To mój jedyny pomysł.

Znajduję się już na tyle blisko, że nie mogę szeptać komend do zestawu słuchawkowego, by aktywować go głosowo, nie ryzykując, że zostanę podsłuchany. Kulę się w przewodach wentylacyjnych nad holoapartamentem, cicho przesuwając palcami po lap-ekranie. Przełożyłem plecak do przodu i przycisnąłem sprzęt do piersi, żeby łatwiej mi było przesuwać się w tych ciasnych tunelach.

Gdybym przemówił, mogliby mnie usłyszeć. Pozwalam ich głosom zaniknąć, a sam uspokajam oddech, całkowicie koncentruję się na znajdującym się przede mną ekranie i wywołuję potrzebne okienka. Nagle słyszę wyrzeszczane przekleństwo. Dobiegający z dołu męski głos wyrывa mnie z miejsca, do którego odpływają moje myśli, kiedy pracuję.

– To prawda – szlocha Alexis z pochyloną głową. – Przysięgam.

– Miałaś swoją szansę, złotko. – Mężczyzna wydaje się już mocno wkurzony, a jego wcześniejszy spokój znika. – Jeśli zamierzasz wciskać nam głodne kawałki, załatwimy to inaczej.

– Ale on naprawdę miał motor powietrzny. Znam rejestrację. Dlaczego mnie nie słuchacie? – kontynuuje dziewczyna przerażonym, piskliwym głosem. Coś mi mówi, że pobrzmiwa w nim prawdziwa desperacja.

Światła ustawiono tak, że na materiałach z monitoringu niewiele widać. Człgam się naprzód, aż znajduję się tuż nad otworem wentylacyjnym. Udaje mi się spojrzeć przez kratkę, żeby sprawdzić, czy to ma szansę się udać. Skierowali światła na Alexis i kamery – nie dziwota, że nic nie widziałem – ale to nie dlatego serce zaczyna mi łomotać. Ładują pierścień i choć wciąż na własne oczy nie przekonałem się, co potrafi to urządzenie, Alexis owszem. To, co zobaczyła, wystarczyło, by zrobiła się blada jak ściana.

Cholera. Nie jestem gotowy. Nie mam czasu...

Przelatuję palcami po ekranie, a serce obija mi się o żebra. Żeby zapewnić sobie sprzyjające warunki do przeprowadzenia akcji, muszę wyłączyć te światła, ale do uruchomienia właściwego programu potrzebuję czasu, sekund, których nie mam. Sekund, których nie ma Alexis. W każdej chwili mogę się zdekoncentrować, poplącą mi się palce i przegram. A co więcej, stracę dziewczynę.

Słyszę wymianę zdań pomiędzy gorylami i głos Alexis, która próbuje ich przekonać, że wszystko im wyśpiewa. Coraz głośniejsze buczenie szczeliny zagłusza rozmowę i wprawia kanał wentylacyjny w ruch, tak że czuję wibrowanie w łokciach i kolanach. Zaciskam zęby.

Nie uda mi się.

Prawda eksploduje w moim umyśle tak gwałtownie, że słabną mi palce. To koniec. Zamienia ją w skorupę. Po chwili cała bucząca maszyna drga, rozlega się szczęknięcie i szczelina cichnie. Niebieskie iskry, które zaczęły się gromadzić na jej obrzeżach, znikają.

– Niech to szlag! – Przywódca grupy, ten, który przywiózł tu Alexis, podchodzi do maszyny i unosi dłoń do ucha. – Nie, proszę pana, to jakiś... Tak, rozumiem. Będziemy jej pilnować. – Opuszcza rękę, po czym gniewnym spojrzeniem obrzuca pozostałych strażników. – Wezwijcie tu techników. Natychmiast! Mamy tydzień! Jeśli do tego czasu nie naprawimy pierścienia, to ja zapłacę głową przed *monsieur* LaRoux, rozumiecie?

Wciąż się nie poruszam, a serce wali mi jak oszalałe. Dziękuję, dziękuję, dziękuję. Nawet nie wiem, komu lub czemu dziękuję za tę łaskę. Przypominam sobie o oddychaniu i przesuwam palcami po otworze wentylacyjnym, aż upewniam się co do położenia punktów nacisku. Raz jeszcze przyglądam się ekranowi i przeprowadzonemu na szybko trikowi hakerskiemu, po czym szepczę cichą modlitwą do jedynej osoby, której może zależeć na mnie na tyle, by nade mną czuwać. Nie spotykajmy się dzisiaj, braciszku. Nie jestem jeszcze gotowy.

Dotykam ekranu, żeby włączyć program, a światła w całym budynku wysiadają, zatapiając holoapartament w ciemności.

Przez chwilę nikt się nie porusza. Uderzam w kratkę zabezpieczającą przewód wentylacyjny. Kawałek metalu z hukiem spada na podłogę, a Alexis odwraca się w kierunku źródła dźwięku i z niewiarygodnym wysiłkiem zrywa na

nogi. Błysk lufy karabinu jednego z goryli natychmiast rozświetla pomieszczenie i niczym na obrazie przedstawiającym martwą naturę widzę, jak przywódca grupy rzuca się na dziewczynę z wyciągniętymi rękami. Nie, nie!

Łapie ją za bluzkę i oboje przewracają się na ziemię, po czym mocują w ciemności, skapani w zieleni płynącej z mojego punktu obserwacyjnego w suficie. Krzyk Alexis urywa się, kiedy dziewczyna upada na podłogę, wstrząs pozbawia ją tchu, a kopiąca na oślep noga ześlizguje się z ramienia strażnika, nie robiąc mu krzywdy. Sapiąc, mężczyzna przerzuca Alexis na plecy, żeby mu się nie wymknęła. Jej stopa znów wędruje w górę i tym razem trafia go w krocze. Strażnik jęczy i uderza ją na oślep, kuląc się i przygwożdżając dziewczynę do posadzki.

Wyciągam z plecaka linę wspinaczkową i wczepiam ją w uprząż, a pętlę zrzucam przez otwór. Zapieram się stopami po obu stronach otworu wentylacyjnego, kiedy Dołeczek próbuje się wyswobodzić, desperacko wierzgając, cała w zielonej poświacie mojego noktowizora.

– Trzymaj – syczę ze świadomością, że ciemność pozbawiła ją wzroku.

Alexis kopie mężczyznę w dłoń, którą próbuje ją złapać, i z trudem podnosi się na nogi. Przebiega pomieszczenie w trzech szybkich krokach, żeby złapać linę. Dopiero po kilku sekundach udaje jej się chwycić koniec i wsunąć stopę w pętlę. Jest drobna, więc nie powinienem mieć problemu, żeby ją wciągnąć, ale nie mam jak zrobić dźwigni – mogę liczyć tylko na linę i przyrząd asekuracyjny przy uprząży. Dopiero kiedy lina przestaje być naprężona, widzę, że dziewczyna jedną dłonią chwyta krawędź otworu wentylacyjnego. Mogę się nachylić na tyle, by jej pomóc.

Nasze dłonie łączą się z głośnym plaśnięciem. Zamykam jej rękę w żelaznym uścisku, ignorując ból w ramionach, odsuwam się od otworu i wciągam ją za sobą. Po omacku szuka punktu zaczepienia, a ja upadam do tyłu i puszczam ją, kiedy udaje jej się znaleźć na czworakach. Chcę zapytać, czy wszystko w porządku, ale nie mogę złapać oddechu.

– Ruszaj – sapie, wpatrując się w ciemność i w miejsce, w którym powinienem się znajdować.

Wpycham ekran do plecaka i zaczynam się cofać. Jest mniejsza ode mnie, więc może iść na czworakach, ale ja wycofuję się na łokciach i kolanach, zmuszony do szybkiej, a nie cichej ucieczki w kierunku rozgałęzienia w przewodzie. Strzały z broni laserowej przebijają się przez tunel za plecami dziewczyny, która przywiera do podłoża, prezentując idealny refleks – refleks wyćwiczony – i na ułamek sekundy przymykając oczy. Tuż przy jej ciele wystrzela w górę promień światła. Któryś ze strażników włączył światelko na lufie swojego karabinu.

Kiedy docieramy do rozwidlenia, odwracam się tak, by być zwróconym twarzą do przodu, i wyginam kręgosłup, żeby nie stykał się ze sklepieniem. To

nasza jedyna nadzieja, choć szanse powodzenia są niewielkie – przewody wentylacyjne wiją się pod sufitami całego budynku, więc jeśli uda nam się przemieszczać powoli i cicho, nie będą w stanie stwierdzić, w którym kierunku zmierzamy. Na tym etapie konieczność skradania się wygrywa z szybkością.

Idąca za mną Alexis porusza się bez trudu – jest drobna i lekka, przesuwa dłonie i kolana wzdłuż krawędzi tunelu, gdzie metal ma mniejsze szanse się wygiąć, sygnalizując dźwiękiem nasze położenie. Choć nic nie widzi, od czasu do czasu dotyka mojej kostki, żeby sprawdzić, gdzie jestem, i podążać za mną. Jestem na to wszystko za duży i chociaż z tyłu głowy słyszę głos krzyczący, żebym przemieszczał się szybciej, szybciej, przed kolejnym ruchem sprawdzam każdy centymetr trasy. Zestaw złożony z okularów i słuchawek wyświetla schemat tunelu i z męczącą powolnością cofamy się drogą, którą tu przyszedłem.

Wiedzą, że tu jesteśmy, więc szyby windy w holu będą zablokowane, podobnie jak winda towarowa. Tamtędy się nie wydostaniemy. Próbuje sobie przypomnieć układ otaczających nas budynków, zwłaszcza tego nowego, który powstaje na sąsiedniej parceli. Co jakiś czas pod nami rozlegają się trzaski dobiegające z urządzeń komunikacyjnych, więc wiem, że nie będzie nam dane tu przeczekać. Rozdzielają się, żeby nas znaleźć. Będę musiał wymyślić coś innego.

Chcę zapytać Alexis, czy wszystko dobrze, ale od czasu do czasu dobiegają mnie dźwięki ekipy poszukiwawczej, więc nie mogę zaryzykować nawet szeptu. Bolą mnie wszystkie stawy i mam wrażenie, że moje mięśnie i ścięgna płoną, zmuszone do nienaturalnej, skurczonej pozycji. Czuję pot spływający mi po tułowiu.

Mija prawie godzina, zanim docieramy do szybu windy, i dopiero kiedy wydostaję się na półkę konserwacyjną, udaje mi się wziąć normalny oddech. Panuje tu półmrok, a jedynym źródłem światła są lampy serwisowe zamontowane na co drugim piętrze. Kiedy odwracam się do Alexis, widzę, jak z zamkniętymi oczami, zbielałymi z wysiłku dłońmi trzyma się krawędzi otworu wentylacyjnego.

– Hej – szepczę, przykrywając dłonią jej dłoń. – Wszystko w porządku, wyprzedzamy ich o krok. Ale jeśli ma tak zostać, nie możemy się zatrzymywać.

Delikatnie potrząsa głową.

– Nie mogę – mówi szorstkim, spiętym tonem. – Ja... Kiepsko sobie radzę z takimi wysokościami.

Gapię się na nią.

– Przecież mieszkasz na ostatnim piętrze.

Spogląda na mnie gniewnie.

– W tych oknach nie powstałaby rysa, nawet gdyby rzucić w nie fortepianem.

W jej głosie słyszę irytację i choć nie ma się z czego cieszyć – to ja jestem celem jej ataku, a co więcej, stoimy, zamiast się wspinać – uświadamiam sobie, że

mi się to podoba. To, podobnie jak lekko skrzywiony uśmiech z jednym dołączkiem, jest prawdziwe. A w towarzystwie tej dziewczyny przez większość czasu nie potrafię stwierdzić, co jest prawdą, a co nie.

– Widok z ostatniego piętra to co innego. Nie mogę tam zejść, Gideonie!

No to przerażane. Mój plan ucieczki ostro na tym ucierpi. Wypuszczam oddech.

– Dobrze się składa, bo nigdzie nie schodzimy. Wspinamy się.

Na te słowa dziewczyna znowu otwiera oczy i patrzy na mnie z przerażeniem.

– Co w tym dobrego? – mówi zduszonym głosem.

– Wierz mi, to o wiele łatwiejsze niż zejście. Musimy pokonać tylko dziesięć pięter. Na górze znajduje się łącznik do innego budynku. – Szperam w plecaku, aż znajduję tkaną uprząż. – Wyjdź. Półka jest dość szeroka, żeby stanąć.

– Boże – szepcze Alexis i wysuwa z tunelu jedną nogę, a potem drugą. Jej ruchy są nerwowe i powolne. Wciąż ma zamknięte oczy i bada drogę za pomocą dotyku.

Łapię ją za ramię, żeby dać jej oparcie. Staram się być delikatny.

– Świetnie – szepczę, żałując, że nie wiem, jak jej pomóc pokonać tego typu fobię.

Choć właściwie jej strachu nie należy nazywać fobią, która jest w końcu czymś irracjonalnym. Znajdujemy się na wysokości dwudziestego piętra i nawet całkiem logicznie myślący ludzie baliby się upadku. Jedynym plusem jest to, że gdyby człowiek stąd spadł, zginąłby na miejscu, nie leżałby połamany w agonii. Nie sądzę jednak, żeby pocieszyło to Alexis.

Pokazuję jej, jak założyć uprząż. Wiem, że jest przerażona, bo kiedy sprawdzam opaski zaciśnięte wokół jej ud, przyjmuje to bez mrugnięcia okiem.

– Pójdiesz pierwsza – mówię. – Przywiążę ci tu linę. – Pozwalam, żeby zobaczyła, jak mocuję węzeł na jej uprząży. – Musisz tylko wziąć to – podaję jej woreczek z magnetycznymi uchwytami – i przygotować nam drogę. Przyciskasz je do ściany, o tak, i przekręcasz o dziewięćdziesiąt stopni, o tak, żeby aktywować magnes. Potem wystarczy, że przełożysz linę przez karabinek, aż usłyszysz kliknięcie. Zawsze z tej strony. Jeśli polecimy w dół, lina się nie wyczepi.

Kiedy podnoszę wzrok, dziewczyna patrzy na mnie tak, jakbym prosił ją, by strzeliła mi w twarz.

– Żartujesz.

Powoli wypuszczam oddech.

– Nie tym razem.

Przełyka ślinę, przyciskając plecy do ściany szybu, jak gdyby mogła się stąd wydostać siłą woli. Ma potargane włosy, a na skroni czerwony, boleśnie wyglądający ślad, który niedługo zapewne zmieni się w potężnego siniaka. Na jej

policzkach wciąż widnieją czarne rozmazane ślady po maskarce, a na spuchniętej dolnej wardze, w miejscu, gdzie uderzył ją strażnik, zaschnięta krew. Ten widok niespodziewanie sprawia, że gdzieś w środku przeszywa mnie ból. Alexis pociąga nosem.

– Na co czekamy?

Ramiona znów zaczynają mnie boleć i pewnie ma to związek z tym, że wspinaczka zajmuje mojej towarzysze dwa razy więcej czasu. Jednak mimo bólu nie jest tak źle. Pocięsza mnie to, co widzę, kiedy spoglądam w górę, żeby sprawdzić, jak sobie radzi. Nie dzielę się z nią tym spostrzeżeniem. Trzeba jej przyznać, że udaje jej się sprostać zadaniu bez narzekania, choć w pewnym momencie słyszę, jak bierze oddech, i zdaję sobie sprawę, że przy każdym drżącym ruchu w górę płacze.

Kiedy docieramy do trzydziestego piętra, dziewczyna podciąga się na półkę serwisową i zostaje na kolanach, przyciśnięta do ściany i roztrzęsiona. Pozwalam jej tam zostać, a sam ruszam w górę. Dodaję kilka magnetycznych uchwytów, aż udaje mi się dotrzeć do panelu przy otworze wyjściowym tego poziomu. Idealnie byłoby zhakować panel, ale mój chip jest w kieszeni, kieszeń znajduje się pod uprzężą, a uprząż chroni mnie przed upadkiem trzydzieści pięter w dół i – nie bójmy się przyznać – bardzo szybką śmiercią. Będę musiał to zrobić ręcznie, co nie jest moją mocną stroną.

Podważam pokrywę i przyglądam się przewodom, kiedy przerywa mi jakiś dźwięk.

– Gideonie – szepcze Alexis. – Gideonie!

– Co?

– Winda... Czy ona powinna się poruszać?

Przez chwilę się w nią wpatruję, po czym spoglądam w dół na kabinę windy, która gładko sunie w górę. Cholera. Choć z początku porusza się powoli, szybko nabiera prędkości. Przez ułamek sekundy patrzę Alexis w oczy, po czym przeklinając, znów nachylam się nad panelem. Palce mi się pękają, oddech więźnie w krtani, dłonie się pocą, tak że nie mogę chwycić przewodu, mam za krótkie paznokcie, żeby zdrapać z nich powłokę izolacyjną, a Alexis coś krzyczy, jednak w końcu, w końcu, łączę dwa druty, wywołując iskrę, i drzwi szybu na to piętro znajdujące się na poziomie naszych pasów rozchylają się na trzydzieści centymetrów.

Wyciągam rękę do Alexis, wrzeszcząc, żeby się pospieszyła, i tym razem mnie słucha. Pomagam jej postawić stopę na mojej nodze i pcham ją w górę, moje ciało krzyczy z powodu dodatkowego ciężaru, uchwyt w drugiej dłoni – ten, który sprawia, że urządzenie asekuracyjne jest zablokowane – zaczyna puszczać. Dziewczyna przeciska się przez otwór, ocierając sobie boki. Po chwili widzę, jak kopie jedno ze skrzydeł drzwi, zmuszając je, by jeszcze trochę się rozwarło.

Następnie się pochyla. – Co ty wyprawiasz?! Uciekaj! – I nagle uświadamiam sobie, że wyciąga do mnie dłoń.

Kabina windy huczy pod nami jak rozpędzony pociąg, ale wiem, że Dołeczek coś do mnie krzyczy, bo jej wargi się poruszają. Zaciska dłoń wokół mojego nadgarstka, a ja olewam przyrząd asekuracyjny, pozwalając linie się zluźnić, i wolną ręką łapię za uchwyt. Przez jedną straszną chwilę jestem pewien, że mi się nie uda, mam skurcze mięśni, ale po chwili się poruszam, szukam punktu zaczepienia, kopię nogami w powietrzu, i nagle Alexis i ja padamy na ziemię, a obok ze zgrzytem przelatuje kabina. Z otwartych drzwi wylatują iskry, kiedy winda zrywa moje uchwyty ze ścian jak ktoś, kto ogołaca łądygę z liści.

Alexis i ja leżymy na podłodze, sapiąc, kaszłając, splątani ze sobą, spoceni i rozedrgani. Przyciskam twarz do zimnego marmuru, stopniowo powracając do siebie i otaczającego mnie świata. Przez okna na końcu korytarza widzę, że nadszedł świt. Pierwsze promienie słońca rozświetlają niebo i złocą okienne ramy. Wyjście na łącznik znajduje się tuż za rogiem, a kiedy dotrzemy do sąsiedniego budynku, wystarczy chwila, żeby zhakować system i zjechać na poziom ulicy. Będziemy bezpieczni.

Nagle uświadamiam sobie, że Alexis leży na mnie. Przez chwilę kusi mnie, żeby się nie ruszać, zostać tam, gdzie jestem, tak długo, jak to możliwe, bo teraz, kiedy minęła groźba, iż zostanę zgnieciony, czuję, że mógłbym się do tego przyzwyczaić. Oboje powoli siadamy i wtedy zdaję sobie sprawę z tego, że dziewczyna się ode mnie nie odrywa, bo za bardzo się trzęsie, by móc wykonać jakikolwiek sensowny ruch.

Ogarnięty nagłym strachem, otaczam ją ramieniem.

– Wszystko w porządku? Jesteś ranna?

W milczeniu kręci głową, a na jej mokrej od łez twarzy dostrzegam przerażenie. Nie żartowała, mówiąc, że nie radzi sobie z wysokością. Gdybym wiedział, że ma aż taką fobię, nie kazałbym jej się wspinać. Zamiast tego... Nie wiem, co bym wymyślił. Jakim cudem tego dokonała?

Moje ramię zaciska się wokół jej ciała, jeszcze zanim udaje mi się zastanowić nad tym, co robię, i przyciągam ją do siebie.

– Udało ci się – szepczę jej do ucha. – Żyjemy. Już prawie się stąd wydostaliśmy.

Przez chwilę się nie rusza, otoczona moim ramieniem, po czym przylega do mnie gwałtownie, obejmuje mnie za żebra i chowa twarz w mojej koszulce. Wciąż się trzęsie. Czuję na skórze jej chrapliwy, stłumiony oddech. Obejmuję ją drugim ramieniem i mocno przytulam. To nie jedno z jej przedstawień. W tej chwili mną nie manipuluje. Jestem tego pewien.

Mam też pewność co do wielu innych rzeczy, a pierwszą z nich jest to, że znalazłem się w tarapatach.

– Musimy iść. Kiedy znajdziemy się po drugiej stronie łącznika, opracujemy plan, co zrobimy dalej. Wciąż mamy nad nimi przewagę.

Moje słowa są jak sygnał, na który dziewczyna odchrząkuje, odrywa się ode mnie i odwraca głowę, żeby otrzeć oczy. Udaję, że tego nie widzę, gdy podnosimy się z ziemi.

– Muszę wrócić do mieszkania – mówi łamiącym się głosem, w którym słychać potworne zmęczenie.

– Dołączku, nie możesz tam wrócić. Wiesz o tym.

Spogląda na mnie zaczerwienionymi oczami.

– Nie rozumiesz. Mam... Mam tam rzeczy, których potrzebuję.

– Bardziej potrzebujesz przeżyć – szepczę, a mój głos się urywa. Mam pomysł. Wiem, co zrobimy.

Jej oczy napęniają się łzami, ale kiwa głową.

– Masz rację. – Przełyka ślinę. – Masz rację – powtarza. – Ale dokąd pójdziemy? Nie mam pieniędzy, palmpada ani dowodu tożsamości.

Znam odpowiedź, ale gryzę się w język, zanim wypowiem ją na głos.

Nie mogę. Moja kryjówka jest święta. Nie wchodzi do niej nikt poza mną. Nikt. To dzięki tej zasadzie przez ostatnie pięć lat udało mi się przeżyć. Dzięki niej udało mi się utrzymać swoją tożsamość w tajemnicy. Nie mogę złamać tej zasady dla nikogo ani z żadnego powodu. Mam jeszcze wiele do zrobienia, zanim mnie złapią.

Ale to ja wciągnąłem w to Alexis. Uprawdzili ją, bo szukali mnie. Kiedy powoli podciągam się na nogi, na próżno szukając innego rozwiązania, które zapewniłoby jej bezpieczeństwo, czuję nagłą zmianę w powietrzu. Czuję, że kurs, który kiedyś obrałem, się zmienia.

– Do mnie – oznajmiam. – Pójdziemy do mnie.

– Jeszcze jeden test – mówi niebieskooki mężczyzna. – Tylko jeden i wróćcie do domu.

Zrobimy, co nam każe. Zadbamy o to, by ta nowa planeta pozostała młoda i mała, by utrzymała obecną tendencję i stłumiła wzrost. Ziemia pozostanie miękka, a niebo zachmurzone. Kiedy spoglądamy na świat oczami jego mieszkańców, to miejsce zawsze jest szare.

– Musicie się ukrywać – mówi niebieskooki mężczyzna.

Pilnując, by ta planeta pozostała młoda, będziemy cicho. Nikt nie wpadnie na pomysł, żeby nas szukać. Ale jest tu także ciemność, taka sama jak w ostatnim miejscu. Strach podąża za nami. Ten gatunek ma w sobie gniew, nieustający gniew, a my nie jesteśmy już go ciekawi. Chcielibyśmy wrócić do domu. Chcielibyśmy zakończyć ten test.

Ale tam były marzenia.

SOFIA

Magnetyczne drzwi prowadzące do slumsów podnoszą się, atakując nas podmuchem ciepłego, wilgotnego powietrza, który odgarnia mi włosy z twarzy. Staram się nie krzywić, kiedy zapachy smogu i ulicznego jedzenia trafiają do mojego nosa, ale choć mam jak najlepsze chęci, przewraca mi się w żołądku. To powietrze w niczym nie przypomina suchego, bezwonnego, oczyszczonego powietrza w moim apartamencie, a nawet ziemistej woni torfu wiszącej nad bagnami na Avonie. Tu pachnie ludźmi. Całym mnóstwem ludzi tłoczących się w przestrzeni zbyt małej, by pomieścić nawet połowę z nich.

Stojący obok mnie Gideon unosi głowę, a moje oczy wychwytyują niemal niedostrzegalny uśmiech w kąciu jego warg. Dla niego to dom.

Podejrzewam, że dla kogoś, kto dorastał w takim miejscu, nie jest ono takie złe. Może ciągły hałas – wrzaski straganiarzy zachwalających swoje towary, górujące nad ulicą billboardy z zapętlonymi reklamami, kalejdoskop rowerów, pojazdów, wozów policyjnych i dronów towarowych – działa na kogoś takiego uspokajająco. Ja jednak przywykłam do łagodnych, cichych nocy spowitych charakterystyczną dla Avonu mgłą i pierwsze dwa miesiące, które spędziłam na Koryncie – tu, w podziemnym mieście – nie wystarczyły, bym przyzwyczała się do hałasu. Ale jeśli dorastając, zna się tylko to...

Zakładając, że Gideon tu dorastał. U Kristiny posługiwał się SmartKelnerem, jakby był przyzwyczajony do nowoczesnych urządzeń, a kiedy nie patrzyłam, bezbłędnie namierzył najdroższy towar luksusowy w całym apartamencie – dzieło Miskego. Może i porusza się w tłumie ze swobodą tubylca, ale to samo można powiedzieć o mnie.

Na opanowanie tej umiejętności potrzebowałam dwóch miesięcy. Tak czy siak, wszyscy skądś pochodzimy. Teraz liczy się dla mnie to, żeby Gideon zadbał o swoje bezpieczeństwo – o nasze bezpieczeństwo – w slumsach. Wpatruję się w jego kark, żeby nie zgubić go w tłumie, i muszę przyznać, że dobrze go widzieć nieco bardziej zrelaksowanym.

Przez całą drogę w magnetycznej windzie nie odezwał się ani słowem i udawał, że szuka czegoś na niewielkim przenośnym urządzeniu, które nieco przypominało palmpad. Łatwo było zgadnąć, że udaje, bo przewijał tekst w miarowym tempie, a jego kciuk przesuwiał się w górę i w dół ekranu jak w zegarku. Dostrzegłam prawdę w jego spiętych ramionach mimo nonszalancji, z jaką oparł się o ścianę windy, w ustach, na których zazwyczaj igra rozbawienie, a które teraz są nieco zbyt mocno zaciśnięte, w orzechowych oczach, uciekających,

żeby nie spotkać się z moimi.

Robimy przystanek, żeby Gideon mógł mi kupić parę tanich butów – chodzenie po podziemnym mieście boso to sposób na zarażenie się mnóstwem przeróżnych chorób. Ale wybrał okrężną drogę także z innego powodu – nie chce mnie zaprowadzić „do siebie”. To jasne. Nie wiem, czy zaproponowałby mi to, gdybym nie dostała hysterii po wydostaniu się z szybu. Nietrudno było mi się zmusić do łez. Prawdę mówiąc, było to przerażająco łatwe, biorąc pod uwagę, jak mocno się trzęsłam i jaka byłam spanikowana – ale dzięki temu mój płacz stał się bardziej wiarygodny.

Wiedziałam, że owinęłam go sobie wokół palca, kiedy poczułam, jak mnie obejmuje. Leżałam na podłodze korytarza z policzkiem wciśniętym w zagłębienie tuż pod jego ramieniem. Pasowaliśmy do siebie. Jak te wisioriki, które sprzedają w sklepach z pamiątkami i które po złożeniu tworzą symbole yin i yang.

Wciągam szybki oddech przez nos, krzywiąc się od intensywnej mieszanki zapachów. Te naszyjniki są zrobione z taniego tworzywa i łuszczącej się farby. Rozpadają się niemal tak szybko jak przyjaźnie, które mają symbolizować. Skup się. To, że jakąś sztuczkę łatwo splatać, nie oznacza, że to nie sztuczka.

– To tu, na górze! – woła Gideon przez ramię, a jego głos sprowadza mnie z powrotem do terażniejszości w samą porę, żeby uskoczyć z drogi wyjątkowo zdeterminowanemu rowerzyście, którego pojazd jest obładowany plastenowymi dzbanami z domowym sake.

Znów burczy mi w brzuchu, choć tym razem w odpowiedzi na delikatny zapach czegoś wytrawnego i cierpkiego. Wykręcam szyję, ale dostrzegam tylko stragan z falafelami rozstawiony pół przecznicy dalej. Ktoś w pobliżu gotuje makaron. Dobiega mnie zapach sosu sojowego, czosnku i limonki. Nagle Gideon wciąga mnie w boczną uliczkę i jedynymi woniami, jakie czuję, są te wydzielane przez wilgotne śmieci i stare opakowania po jedzeniu zalegające w rynsztokach.

W przeciwieństwie do górnej części miasta tu, na dole, nie ma drogowskazów ani pomocnych map. To, w połączeniu z podłym zasięgiem palmpada, oznacza, że jeśli człowiek nie wie, dokąd ma iść, najprawdopodobniej zgubi się w ciągu minuty. Próbuję zanotować w głowie każdy zakręt, ale łatwiej mi zapamiętać trasę z lotu ptaka – mając mapę lub model, mogłabym się nauczyć tego całego sektora w kilka dni. Tu, gdzie pod stopami rozbryzguje mi się błoto, gdzie otacza mnie hałas i gdzie latarniami miotają poddmuchy wywoływane przez ruch lotniczy na górze, mam kłopot z zapamiętaniem drogi.

Dopiero kiedy znowu dostrzegam stragan z falafelami – tym razem po drugiej stronie ulicy – uświadamiam sobie, w czym rzecz. Gideon próbuje mnie zmylić. Chce się upewnić, że drugi raz tu nie trafię. Z każdym krokiem czuję coraz większy ucisk w klatce piersiowej.

Jest już prawie południe, kiedy chłopak zatrzymuje się w końcu przed

wyblakłymi zielonymi drzwiami, z których luszczą się farba i które są zaklejone na wpół rozkruszonymi ulotkami, niedającymi się nawet przeczytać. Na drzwiach nie ma numeru, chociaż gdy ukradkowo skanuję wzrokiem fasadę budynku, dostrzegam maleńką kamerę, nie większą niż szminka, umieszczoną przy drzwiach pożarowych. Dzięki temu wiem, że tu właśnie mieszka Gideon.

Chłopak wyciąga staroświecki breloczek z prawdziwym metalowym kluczem, spogląda na mnie z jednym z tych swoich aroganckich uśmieszków i wkłada klucz do zamka. Nie ma tu nawet zasuwki. Otwieram usta, żeby zaprotestować i oznajmić, że tu wcale nie będziemy bezpieczniejsi niż w moim apartamencie – tam przynajmniej mogę włączyć powiadomienie, że ktoś jedzie windą – kiedy Gideon wprowadza mnie do przedsionka, tylko trochę większego niż kioski informacyjne na górnym poziomie.

Na ścianie wiszą skrzynki pocztowe, chociaż sądząc po brudzie i kurzu zebranych w kątach, wnioskuję, że poza Gideonem od lat nikt w tym budynku nie mieszka. Czasem tak zaplombowane budynki ulegają zapomnieniu. Gideon sięga do jednej ze skrzynek, przyciska palce do panelu numerycznego i całość cofa się z kliknięciem. Przd skrzynki otwiera się na zewnątrz, odsłaniając skaner optyczny oraz trzy różne klawiatury numeryczne. Nic dziwnego, że chłopak wybrał budynek wyglądający z zewnątrz jak kamienica dla biedoty. Gdyby ktoś odkrył tego rodzaju zabezpieczenia, uznałby je za migoczący neonowy znak, że mieszka tu ktoś ważny. Albo ktoś, kto ma coś ważnego do ukrycia.

Gideon przyciska kciuk do jednej z klawiatur – zamaskowanego czytnika linii papilarnych – po czym nachyla się do kamery, która skanuje mu siatkówkę.

– Wszędzie dobrze, ale w domu najlepiej – mówi.

Mechanizm rozpoznawania głosu? A może Gideon zachowuje się po prostu jak Gideon? Na kolejnej klawiaturze wklepuje kod, na tyle szybko, że ciężko mi cokolwiek dojrzeć, jednak nie próbuje go przede mną ukryć. Przecież i tak musiałabym mieć jego kciuk oraz gałkę oczną, a prawdopodobnie także struny głosowe, żeby dostać się do środka bez zaproszenia.

Po radosnym piknięciu akceptacji ściana przesuwa się ze szczykiem. Gideon napiera na nią ramieniem, a ona odsuwa się, odsłaniając prowadzącą w dół metalową klatkę schodową, na której włączają się przyciemnione światła.

– Pani przodem.

– Cudownie – odpowiadam, maskując skrępowanie sarkazmem.

Klatka schodowa prowadzi do małego, ciemnego pokoju przypominającego pieczarę, prawie nieumeblowanego, po jednej stronie zdominowanego przez ścianę ekranów. Sprzęt oraz fotel – jeden z tych produkowanych na zamówienie ergonomicznych mebli – to najwyraźniej jedyne przedmioty, na które nie żałował pieniędzy, a czerwono-niebieski dywanik na podłodze stanowi jedyne ciepły akcent w całym wnętrzu. Stożące w rogu łóżko to rodzaj pryczy ze starym

materacem. Wzdycham.

- Chyba niepotrzebnie miałam nadzieję, że znajdę tu podziemny pałac.
- Mam ograniczone potrzeby – odpowiada beztroskim głosem.

Zeskakuje z ostatnich schodków na cementową podłogę, mija mnie, staje przy biurku i skanuje wzrokiem ekrany. Kilka z nich wyłącza, zanim udaje mi się zobaczyć, co robi. Na innych przewija się kod, który stanowi dla mnie jeden wielki bełkot. Reszta to dane z czatów i ześwirowanych stron z teoriami spiskowymi. Najwyraźniej każdy ma jakieś grzeszne przyjemności.

Jedynym meblem do siedzenia jest fotel przy komputerze, więc ostrożnie przysiadam na uginającym się materacu. Jak na coś tak starego można go nazwać względnie czystym. Druga strona pomieszczenia jest pusta, ale do sufitu przytwierdzono mnóstwo rozkładanego sprzętu. Rozpoznaję drażek do podciągania i kilka lin.

– To tu ćwiczysz wspinaczkę po szybach windowych? – pytam, starając się, by mój głos brzmiał lekko. Wciąż próbuję odzyskać równowagę.

Kącik ust Gideona unosi się, kiedy chłopak odwraca się od ekranów.

– Nie, to kwestia próżności. Trzeba sporo pracy, żeby osiągnąć szczytowy poziom formy fizycznej.

– Udawałabym, że ci wierzę, ale wygląda na to, że niezbyt często sprowadzasz tu dziewczyny.

Wyleniały materac i sfatygowany dywanik na zimnej cementowej podłodze. Trafny przykład.

– Przyłapałaś mnie. – Rozgląda się po swojej jaskini, jak gdyby widział ją po raz pierwszy. – Większość moich najlepszych celów jest wyizolowana. Nie można się do nich dostać przez serwery, nie ma szans na zhakowanie ich na odległość. Trzeba składać wizyty domowe, a jeśli chce się wiedzieć, co tam jest, czasem należy się tu i ówdzie wdrapać.

– Więc specjalizujesz się także we włamaniach?

– Kiedy już się zacznie, wtargnięcie do czyjejś posiadłości jest najmniejszym problemem. Do szybów wchodzę tylko przy wyjątkowych okazjach, Dołeczku. Ciężka sprawa.

– Ja wolę przekonać kogoś, żeby wpuścił mnie do środka, niż się włamywać.

Gideon się do mnie uśmiecha, ale wyczuwam w nim to samo napięcie co w windzie do slumsów.

– Pewnie żałujesz, że zanim wpuściłem cię do środka, nie uzyskałaś dodatkowych informacji. Gdybym wiedział, że mnie odwiedzisz, kupiłbym zasłonki czy coś.

Mniejsza o to, że w tej podziemnej jaskini nie ma żadnych okien. Gdy nasze oczy się spotykają, niewymuszona buta na chwilę znika i jego twarz przybiera wyraz zadumy, rozważa.

– Nie uprzedziłaś mnie.

Przełykam ślinę i odwracam wzrok.

– Jak mnie znalazłeś?

– Dostałem twoją wiadomość i włamałem się do monitoringu w twoim mieszkaniu. – Opada na fotel i rozluźnia się, kiedy mebel zwija się wokół niego i dopasowuje do kształtu jego ciała. – Namierzyłem cię stamtąd.

– Monitoring... – Nagle mogę myśleć tylko o tym, że stałam nago pośrodku pokoju, gdzie mężczyźni kazali mi się rozebrać. I o kamerze zamontowanej na suficie. – Widziałeś materiały z monitoringu z mojego mieszkania?

Gideon się śmieje, co nie ułatwia mi powstrzymania nagłego rumieńca, który rozlewa mi się po twarzy.

– Nie martw się, Dołeczku. Jeśli będę chciał cię zobaczyć bez ubrania, zabiorę się do sprawy tradycyjnie.

Przewracam oczami i nagle zdaję sobie sprawę z tego, że siedzę na jego łóżku. Podniesienie się z miejsca byłoby znaczące, więc się nie ruszam.

– Dobra. Posłuchaj, jestem ci wdzięczna, że po mnie przyszedłeś, ale bez przesady. Nie zamierzam się rozbierać.

Gideon znowu się śmieje, tym razem nieco łagodniej, a jego śmiech potęguje skrzypienie fotela, kiedy nachyla się, by oprzeć łokcie na kolanach.

– Jak sobie chcesz, Dołeczku.

To niezbyt zawoalowane przypomnienie, że wciąż nie zna mojego imienia, sprawia, że mam ochotę zdrapać plaster zakrywający mój genotag. Cicho wciągam i wypuszczam powietrze i zerkam w stronę ekranów. W tle jednego z nich dostrzegam uruchomioną funkcję wyszukiwania. Ze swojego miejsca nie widzę, czego szuka, ale zauważam, że wyszukiwarka przeczesuje hipernet w poszukiwaniu informacji, zbierając dane i segregując je tak, by łatwo je było przyswoić. Mam ciarki, a swędzenie na przedramieniu w jednej chwili staje się nieznośne.

Co ja wyprawiam, nawiązując znajomość z hakerem? Kiedy następnym razem otworzy drzwi do tej swojej krypty, powinnam po prostu zwać. Tuż po przybyciu na Korynt, kiedy zeszałam z pokładu pojazdu, który za darmo przywiózł mnie ze stacji orbitalnej Iwanow, myślałam, że będę w stanie omamić każdego, kogo spotkam, i zmusić go do spełnienia moich życzeń.

Jednak próba przeprowadzenia pierwszego szwindlu kosztowała mnie prawie połowę ciężko zarobionych pieniędzy i doprowadziła do tego, że musiałam uciekać przed kolesiem o przezwisku Thor. Przez wiele tygodni robiłam dwa kroki w przód i jeden w tył. Korzystałam ze wszystkiego, co udało mi się znaleźć i zdobyć, żeby zyskać kredyt zaufania u pierwszych kontaktów, które stały się przystankami na drodze do następnych.

Zaczęcie wszystkiego od początku i zbudowanie na nowo listy kontaktów –

to zajmie wiele miesięcy. Miesiące, których mogę nie mieć teraz, kiedy ściga mnie LaRoux Industries.

Było źle, kiedy myśleli, że doprowadzę ich do Waleta – teraz wiedzą, że widziałam szczelinę i to, co potrafi. To wystarczy, żeby zaczęli mnie ścigać przez całą Galaktykę. Muszę znaleźć sposób, żeby szybciej dorwać LaRoux. Zanim on dorwie mnie.

Może haker to właśnie osoba, której potrzebuję.

– Posłuchaj – mówię łagodnie ze spuszczonej rękami, wbijając wzrok w podłogę. – Chcę ci ufać, Gideonie. – Pozwalam, by w moim głosie usłyszał tęsknotę. To nietrudne, bo rzeczywiście ją odczuwam. Ale „chcenie zaufać” a „zaufanie” to dwie różne rzeczy. – Ocaliłeś mi życie. Poza tym... lubię cię.

– Mhm. – Jego ton jest ironiczny, pełen sceptycyzmu. W niczym nie przypomina delikatnego szeptu, którym mówił wtedy na dachu.

Dobra, to najwyraźniej nie zadziała. Czas na zmianę strategii gry. Jeśli chcę zobaczyć jego rozdanie, muszę odsłonić przed nim kilka swoich kart. Dwie części prawdy, jedna część kłamstwa.

– Mówię szczerze. – Spoglądam na niego spod ręk, po czym unoszę brodę, jakbym wyzywała go, by podważył moje słowa. – Wiesz, że jestem kłamczuchą, że oszukuję ludzi. Nie jesteś głupi. Już od bardzo dawna nie spotkałam nikogo, komu mogłabym zaufać.

Prawda.

Gideon patrzy mi w oczy, po czym ucieka wzrokiem w stronę przeciwległej ściany. Fotel, w którym siedzi, nie pozwala mi odczytać mowy ciała chłopaka, ale widzę, że na jego twarzy malują się sprzeczne emocje.

– Ja też.

– Może więc potrafimy pomóc sobie nawzajem. Potrzebuję informacji na temat śmierci ojca, informacji, które są przechowywane gdzieś w LaRoux Industries. Ty też czegoś szukasz, w przeciwnym razie nie przyszedłbyś tamtego dnia do ich siedziby.

Prawda.

Tym razem nie odpowiada, ale widzę, że myśli. Chce mi zaufać. Dobry obiekt zawsze chce ci ufać – chce, żebyś go oszukał. Publiczność chce, żeby ci się udało. Muszę tylko uważać, żeby tego nie schrzanić.

Z trudem przełykam ślinę.

– Muszę się dowiedzieć, co naprawdę stało się z moim ojcem.

Kłamstwo.

– Ludzie z LaRoux Industries są niebezpieczni, Dołeczku – odpowiada Gideon, po swojemu przeciągając samogłoski. – Może lepiej by było, gdybyś po prostu opuściła Korynt, znów zmieniła imię i zniknęła.

Ze wszystkich sił staram się nie zaciskać zębów. Nie potrzebuję pogadanki

o niebezpieczeństwie. Jestem córką Avonu – niemal całe życie upłynęło mi w cieniu zagrożenia ze strony LaRoux Industries. Patrzyłam, jak moja rodzina rozpada się przez furię wywołaną przez LaRoux. To mnie o mały włos nie wyczyszczono mózgu, jakby był jednym z dysków z danymi Gideona. Nie wyobrażam sobie, że po zamordowaniu Rodericka LaRoux wymknę się i zacznę prowadzić zwyczajne życie – mój cel to bilet w jedną stronę. Tylko że oczywiście Gideon tego nie wie. I nie ma żadnego powodu, by się o tym dowiedział.

Zamiast warczeć, wpatruję się w niego bez słowa, po czym nachylam się, by gniew w moim głosie brzmiał jak histeria.

– Gdyby odpowiadali za śmierć kogoś, kogo kochałeś, czy brałbyś pod uwagę to, że możesz po prostu zniknąć?

Długo milczy. Tak długo, że zaczynam się zastanawiać, czy mimo wszystko nie wyczuł złości w moim głosie. W końcu jednak głośno wypuszcza powietrze i niemal niezauważalnie kiwa głową.

– W porządku – mówi cicho. – Może rzeczywiście moglibyśmy sobie pomóc.

Niemal wzdycham z ulgą.

– Możesz mi coś obiecać?

Gideon unosi brew, a w jego spojrzeniu znów widać rozbawienie.

– Nie doszło jeszcze nawet do drugiej randki, a ty już masz listę życzeń?

– Nie mów o mnie Waletowi. – Wzrokiem wskazuję na ekrany i przewijające się przez nie bez końca linijki kodu. – Proszę. Tak długo wytrwałam, zachowując wszystko dla siebie, a współpraca z kimś i tak będzie dla mnie trudna. Ja... jestem po twojej stronie. O ile to rzeczywiście twoja strona. Możesz mi to obiecać?

Tym razem obie brwi chłopaka wędrują w górę. Waha się.

– Nikomu o tobie nie powiem – odpowiada w końcu.

Nie udaje mi się powstrzymać i wypuszczam powietrze – mój oddech jest bardziej rozedrgany, niżbym chciała. Przyciśnięte do ud dłonie robią się gorące. Dobra aktorka odczuwa część przekazywanych emocji, ale muszę się wziąć w garść. Nie powinno mnie obchodzić to, czy chłopak mi zaufa, czy nie, tylko to, czy doprowadzi mnie tam, gdzie muszę się znaleźć.

Spogląda na mnie z tym swoim niewymuszonym urokiem, choć pod rozleniwionym uśmiechem zaczynam dostrzegać przebiegłość. Przez krótką, szaloną chwilę mam ochotę wyrzucić z siebie prawdę i o wszystkim mu opowiedzieć. Dławię w sobie tę pokusę. Ostrożnie stawiaj kroki, Sofio.

Znów unoszę brodę, tym razem po to, by spojrzeć mu w oczy.

– W takim razie równie dobrze mogę ci powiedzieć... Sofia. Mam na imię Sofia. – Prawda. – Boże, nie pamiętam, kiedy ostatni raz podałam komuś prawdziwe imię. – Prawda. – A więc... koniec z tajemnicami.

Kłamstwo.

Czas to choroba stworzona przez ten gatunek, i jako ich niewolników dotyka ona również nas. Wśród objawów znajdują się niecierpliwość, nuda, szaleństwo i rozpacz. A co najgorsze – zrozumienie. Te stworzenia nie potrafią spojrzeć w głąb drugiej osoby tak jak my, przez co znają się jedynie za pośrednictwem słów, które wymyśliły. A słowa rodzą nieprawdę.

Niebieskokooki mężczyzna nas okłamuje.

GIDEON

Sofia. To imię do niej pasuje. Jest wdzięczne, jak gdyby prześlizgiwało się przez palce, nie zostawiając po sobie śladu.

– Koniec tajemnic – powtarzam, chociaż wiem, że sam nie mogę złożyć takiej obietnicy. Nagle zdaję sobie sprawę, jak wiele niedopowiedzeń wisi jeszcze w dzielącej nas przestrzeni, jak wiele moglibyśmy jeszcze zdradzić.

Już mam zrobić coś głupiego, kiedy dziewczyna wzdycha i podciąga się na łóżku, żeby oprzeć głowę o ścianę, psując tę chwilę. Opuuszczam.

– Masz tu coś do jedzenia? – pyta, zdejmując buty, które jej kupiłem, po czym podciąga kolana do piersi i zamyka oczy.

– To, co mam, raczej nie usatysfakcjonuje twojego podniebienia – ostrzegam ją, ale wstaję i sięgam pod krokwie do szafki, gdzie, o ile sobie przypominam, schowałem przekąski.

– Hej – odpowiada, otwierając oko. – To, że mieszkam w apartamencie, nie oznacza, że się tam urodziłam.

– Nie mam pojęcia, gdzie się urodziłaś – oznajmiam, choć przed oczami widzę szary marmur Avonu. – Ale prosiłaś, bym nie próbował się tego dowiedzieć.

Znajduję kilka batoników energetycznych i kilka puszek gazowanych napojów. Odrywam zawleczkę i podaję puszkę Sofii, po czym otwieram swoją i pociągam duży łyk.

Dziewczyna sączy napój i się krzywi, ale nadal pije.

– Nie musisz tego wiedzieć, żebyśmy mogli ze sobą współpracować.

– To prawda – zgadzam się. – Jakoś sobie poradzę z tą tajemnicą.

– Pracujesz dla Waleta, Gideonie. – Podnosi powieki, żeby móc na mnie zerknąć. To nie przeprosiny, ale coś w tym stylu. Swego rodzaju wyjaśnienie. – Wiem, że nie we wszystkich plotkach znajduje się ziarno prawdy, ale ten człowiek jest bezwzględny i nie da się go namierzyć. Tak mało o nim wiadomo, że równie dobrze może należeć do rodziny LaRoux. A ty koniec końców jesteś jego pachołkiem. Im mniej wiesz, tym lepiej.

– „Pachołek” to lekka przesada. – Chcę zażartować, ale we własnym głosie słyszę, że mi się to nie udaje. – Wolę określenie „giermek”.

Nie uśmiecha się. Ja też nie.

– Przed nikim nie odpowiadam. Możesz mi zaufać, przysięgam.

– Próbuję – rzuca zmęczona. – Przyszedłeś po mnie, choć nie musiałeś. Ale nie ufam jemu.

– Kto cię do tego przekonał? – Nie wytrzymuję.

Kiedy skończę z tą sprawą, namierzę człowieka psującego mi reputację i wymyślę mu taką karę, że na myśl o niej przyszłe pokolenia będą truchleć ze strachu. Karę, przy której trwający od roku pościg za komendant Towers ona sama uzna za drobnostkę.

– Nie chcę o tym mówić – odpowiada, krzywiąc się przy kolejnym łyku, po czym odstawia puszkę na podłogę, ponieważ nie ma już ochoty więcej pić. – Ale wierz mi, znam prawdę.

Zapada cisza i choć obecność kogoś innego w mojej jaskini sprawia, że czuję się podenerwowany, w pomieszczeniu robi się jakoś cieplej. Trudno mi się do tego przyznać, ale po tym, co widziałem w siedzibie głównej LRI, nie mam ochoty być sam.

– Nie spoczna, póki nas nie znajdą – mamrocze Sofia. Ona też myśli o tym, że cudem im się wymknęliśmy.

– Albo póki LaRoux Industries nie zrobi tego, co planuje zrobić z tą szczeliną.

Dziewczyna unosi głowę i spogląda na mnie z nietypowym dla siebie wahaniem.

– Cóż, jeśli ty nie zamierzasz tego powiedzieć, ja to zrobię. Wszyscy słyszeli Transmisję z Avonu. O tym właśnie mówił Flynn. Flynn Cormac, facet z nagrania. O stworzeniach, które potrafią wpływać na umysły.

To brzmi niedorzecznie. Bardziej niż niedorzecznie. Gdybym nie widział, przez co przeszli Tarver i Lilac, gdybym nie tropił kobiety, która pomogła LaRoux zamaskować eksperymenty z Avonu, uprzejmie wskazałbym tej dziewczynie drzwi i wrócił do pracy.

– Tak – mówię zamiast tego i nawet mnie samemu własny głos wydaje się papierowy i słaby. – Nazwał je szeptami. Mówił, że to szepty z innego wszechświata.

– Z pewnością istnieje sposób, żeby te nasze wszechświaty rozdzielić, żeby LaRoux nie mógł wykorzystać tych istot.

Bez namysłu kręcę głową.

– Pochodzą z hiperprzestrzeni. Jeśli zatrzaśniemy drzwi do ich świata, pozbawimy się umiejętności przeskakiwania z miejsca na miejsce przez ich wymiar. Nie moglibyśmy już podróżować z nadświetlną prędkością ani komunikować się pomiędzy planetami za pośrednictwem hipernetu.

Sofia się krzywi.

– Dobra, w takim razie zapomnijmy o tym pomysle. Ale jak walczyć z czymś, co może się dostać do twojego umysłu i kontrolować myśli?

Chciałbym znać odpowiedź, ale znów zapada cisza, tym razem gęsta i dusząca. Nie wiem, jak walczyć z szeptami. To dlatego próbuję walczyć z samym LaRoux, wyciągnąć jego postęпки na światło dzienne. Choć znam ją krótko,

dziwnie jest widzieć Sofię w takiej rozterce. Biorę głęboki wdech i mówię coś, o czym nie powiedziałem nikomu poza Mae:

– Musimy walczyć z nim. Z jego korporacją.

Mój gość odrywa wzrok od podłogi i unosi brwi.

Brodą wskazuję ekrany.

– Nie wygramy ze stworzeniami, które mogą wtargnąć do naszych umysłów, ale możemy położyć kres temu, do czego są używane. Bez względu na to, co to jest. Mieszkańcom Avonu udało się zbuntować przeciw LaRoux mimo obecności tych stworzeń. I... – Urywam i prawie krztuszę się z wysiłku, by się aż tak nie rozpędzać. – Myślę, że ocalali z Ikara także mieli z nimi kontakt – mówię w końcu. Nie czuję się gotowy, by opowiedzieć jej o tym, co łączy mnie z najmłodszą członkinią rodziny LaRoux.

Sofia ściąga brwi.

– Skąd o tym wiesz?

– To długa historia – odpowiadam. – Ale nie ustaję w poszukiwaniach. Od lat grzebię w LaRoux Industries. Mówiłem ci, że mam powody, by ich pogрузić.

Dziewczyna odchyła się i opiera ramiona o ścianę przy łóżku. Nie spieszy się z odpowiedzią, a spojrzenie jej szarych oczu przygniata mnie jak prawdziwy ciężar.

– Ja się przed tobą odsłoniłam – mówi. – Nie sądzisz, że powinnam wiedzieć, dlaczego to robisz? Dlaczego mam ci ufać?

W jednej chwili widzę przed oczami twarz brata. Zawsze odszukuję te wspomnienia w pamięci. Był ode mnie starszy, choć teraz jestem wyższy niż on w chwili śmierci. Piegowaty, uśmiechnięty, w mojej wyobraźni zawsze się śmieje, mimo że nigdy nie pamiętam z czego. Pewnie z tego, z czego śmieją się bracia: z głupich żartów, które dla nikogo innego nie mają sensu. Czuję, jak moje gardło spowija żal, który zaciska się niczym dłoń, utrudniając mi przełykanie.

– Bo rodzina LaRoux zabiła mojego brata.

Sofia przez chwilę milczy, ale wciąż czuję na sobie jej wzrok.

– Bardzo mi przykro – mówi w końcu i na razie to mi wystarczy.

Odchrząkuję i prostuję się w fotelu.

– Tu jesteśmy bezpieczni. Mieszkam tu od lat i jeszcze nikt nigdy mnie nie namierzył. Możemy się przegrupować, zaplanować następny krok. Odczekać kilka tygodni, sprawdzić, czy zrezygnują z nagonki.

– Kilka tygodni... – powtarza moje słowa i nagle już na mnie nie patrzy. Spogląda gdzieś obok, a na jej twarzy maluje się niepokój.

– O co chodzi? Wiem, że nie można tego nazwać apartamentem, ale lepsze to niż...

– Nie, nie, to miejsce jest w porządku – mówi lekceważąco. Teraz mam pewność, że coś ją rozprasza. – Przypomniałam sobie słowa jednego ze strażników w siedzibie głównej LRI. Wypowiedział je tuż przed twoim przybyciem. Coś

o tym, że mają tydzień, by naprawić szczelinę i upewnić się, że działa.

– Więc... Co takiego ważnego ma się wydarzyć za tydzień? Na czym tak zależy LaRoux?

Sofia unosi brwi.

– Mówisz serio? Nie wiesz? – Kącik jej ust się unosi, wywołując cień dołeczka i odpędzając pozostałości smutku. – Czy ty kiedykolwiek odrywasz wzrok od tych ekranów?

– Wiele rzeczy ma się wydarzyć w tym tygodniu, Dołeczku. I pewnie mam więcej informacji niż ty.

– Może i tak. Ale liczy się jakość, nie ilość, mój drogi. Wyszukaj hasło „Dedal”.

Ta nazwa przyprawia mnie o wstrząs. Nie muszę jej wyszukiwać. Cała Galaktyka wie o siostrzanym statku Ikara.

– Cholera, masz rację. Szykuje się wielkie otwarcie muzeum Dedala.

– A gala otwarcia jest połączona z imprezą powitalną dla emisariuszy planetarnych przybywających na szczyt pokojowy. – Jej usta wykrzywają się w sposób, który w niczym nie przypomina uśmiechu. – Żeby omówić te męczące rebelie.

Senatorowie ze wszystkich planet w tej Galaktyce, którzy niczego się nie spodziewają, zgromadzeni w jednym pomieszczeniu.

– Cholera.

– LaRoux chce władzy – kontynuuje Sofia. Kiedy wypowiada jego nazwisko, jej twarz twardnieje na podobieństwo granitu. Może i jest wytrawną aktorką, ale nie potrafi ukryć nienawiści. – Jeśli zdoła zrobić z senatorami to samo co z mieszkańcami Avonu albo ludźmi w siedzibie głównej LRI...

– Będzie kontrolował całą Galaktykę. – Czuję suchość w ustach, a w żołądku sopol lodu, od którego prawie drzę. Skompromitowanie LaRoux i jego korporacji to trudne zadanie, a jeśli jeszcze władze znajdą się pod jego wpływem... – Czy będzie w stanie przetransportować coś tak dużego jak szczelina, którą widzieliśmy? I ukryć ją przed wszystkimi pracownikami i gośćmi na statku, nie wspominając o przedstawicielach mediów, którzy tłumnie pojawią się na gali?

Sofia waha się, spogląda to na mnie, to na moje ekrany, a w końcu odwraca wzrok.

– Mam kontakt – mówi w końcu. – W LRI. Otrzymałam od niej tylko trochę informacji. Miałyśmy się spotkać tamtego dnia w holoapartamencie. Powiedziała mi, że technologia, za której pomocą LaRoux stworzył szczeliny, to technologia używana także w nowych silnikach hiperprzestrzennych. Ta kobieta zna się na szczelinach. Myślę, że pracowała przy tym projekcie, a przynajmniej nad nowymi silnikami takimi jak ten na pokładzie Ikara.

– I Dedala. – Nie trzeba być geniuszem, żeby domyślić się, do czego

zmierza. Już mnie świerzbi, żeby spojrzeć na projekt statku. – Być może szczelina już teraz się tam znajduje, sprytnie zamaskowana.

– A jeśli pierwsi go nie dorwiemy, LaRoux użyje szczeliny, by zamienić całą Radę Galaktyczną w dowodzone przez siebie skorupy.

– Niech to wszyscy diabli – mówię, zamykając oczy.

– Tak. Szykuje się prawdziwe piekło – przytakuje.

– Przywróćcie ją do życia! – krzyczy na nas niebieskooki mężczyzna przez przeszedzenie w szarym świecie. – Wskrzესiliście naukowców na Elizjum, jednego po drugim. Doprowadziliście ich tym do szaleństwa. Proszę tylko o jedno życie, jedno... – Brakuje mu słów.

Jego twarz jest mizerna, a ciemne włosy rozjaśnia siwizna, biel na skroniach i karku. Jego cierpienie nie przypomina tego, którego nauczyliśmy się od szarej planety. To cierpienie jest wyjątkowe, indywidualne, niepowtarzalne. Uczy nas przyjemności. Ten gatunek ma na to specjalne słowo: „zemsta”.

– Proszę – szepcze niebieskooki mężczyzna. – Jeśli nie zrobicie tego dla mnie, zróbcie to dla mojej córeczki. Potrzebuje matki.

Milczymy. Niech pozna samotność. Niech zrozumie. Niech to on obserwuje, czeka i się uczy. Jego nauczka ma gorzki smak.

A ja nauczę się przyjemności.

SOFIA

Odpywam, kiedy Gideon pracuje przed ekranami i próbuje rozgryźć, z kim powinniśmy się skontaktować, żeby ostrzec uczestników gali na Dedalu o planach LaRoux. Wiem, że powinnam czuwać, ale po raz pierwszy, odkąd zobaczyłam szczelinę w siedzibie głównej LRI, czuję się bezpieczna i zmęczenie zbija mnie z nóg. Tu, na dole, nie mam pojęcia, która jest godzina, ale z pewnością nie ma jeszcze południa, a mnie morzy sen. Przez jakiś czas myślałam o tym, żeby wyjść po zakupy. Na Avonie sporo gotowałam, a jako Lucy, kelnerka na Paradise, poznałam niesamowite składniki, jednak perspektywa ruszenia się z łóżka sprawia, że moje ciało robi się jeszcze cięższe. Podnoszę się do siadu i wciskam w róg, żeby nie opadła mi głowa, ale moje starania zawodzą i budzę się w całkowitej ciemności, choć mam wrażenie, że minęło zaledwie kilka sekund.

Przez chwilę jestem zdezorientowana, ale wtedy poduszka, o którą się opieram, porusza się i wspomnienia powracają. Nie opieram się o poduszkę. To Gideon. Pewnie przerwał pracę i postanowił zdrzemnąć się razem ze mną. Kiedy chłopak znów się porusza, a pierś, na której opieram policzek, podnosi się i opada przy akompaniamencie westchnienia, czuję oburzenie, ale gdy moje oczy przyzwyczajają się do ciemności, uświadamiam sobie, że nie siedzę już wciśnięta w róg. To ja się przeniosłam na drugi koniec łóżka i przytuliłam do chłopaka.

Boże, jestem jeszcze bardziej samotna, niż myślałam.

Powinnam się od niego oderwać i wrócić do swojego kącika z nadzieją, że śpi na tyle mocno, by tego wszystkiego nie zauważyć. Ledwie go znam, tylko że dawno nie spotkałam nikogo, komu mogłabym zaufać tak jak jemu. Upominam się w myślach, że pracował dla Waleta. Gdyby wiedział, dlaczego chcę dorwać LaRoux, pewnie próbowałby mnie powstrzymać. I nie mogę być pewna, czy którakolwiek z jego wypowiedzi była prawdziwa.

Mimo to się nie odsuwam.

Delikatny szum komputerów Gideona zostaje przerwany przez cichy dźwięk, więc znów otwieram oczy. Nasłuchuję uważnie, unosząc głowę, żeby nie zagłuszyło go bicie serca Gideona. To wysoki jęk, jeden z tych, które można usłyszeć na odległym placu budowy, tylko że źródło tego dźwięku znajduje się niedaleko. Nie rozpoznaję odgłosów rozbrzmiewających w podziemnym mieście, więc może to nic takiego.

Dopiero kiedy słyszę łomot, stłumiony, ale wyraźny, uświadamiam sobie, że to coś znajduje się blisko, i gwałtownie siadam. Chwytam Gideona za ramię, nie dbając już o to, czy zauważył, jak się w niego wtuliłam przez sen.

Budzi się szybko, ale jest nieprzytomny. W ciemności ledwo dostrzegam jego sylwetkę.

– Mhm? – mruczy i zaczyna się podnosić.

– Czy ktoś jeszcze korzysta z tego budynku? – szepczę.

Gideon odzyskuje głos, ale na szczęście mówi równie cicho, jak ja.

– Nie, nikt oprócz mnie.

– Ktoś jest na zewnątrz. Posłuchaj.

Przez kilka sekund siedzimy w ciszy. Po chwili znów rozlega się pisk.

Czuję, jak przedramię Gideona sztywnieje.

– To niemożliwe – szepcze.

Odczekuje jeszcze chwilę, po czym gwałtownie wstaje z łóżka, wciąż w ciuchach, w których przybył mi na ratunek. Podchodzi do ekranów i uruchamia je machnięciem. Rozlega się ciche piknięcie i syntetyczny damski głos oznajmia:

– Ostrzeżenie o włamaniu. Naruszono system bezpieczeństwa.

– Teraz mi o tym mówisz? – warczy. Kilka pstryknięć palcami przywołuje obraz z kamery bezpieczeństwa. – O Boże.

Wstaję z łóżka i podchodzę do ekranów. Na środkowym widać trzy sylwetki, które trudno odróżnić na zamazanym obrazie. Widać jednak dość, żeby stwierdzić, że jedna z osób kuca przed drzwiami i za pomocą jakiegoś urządzenia próbuje rozpracować mechanizm zabezpieczający Gideona.

Zamiera mi serce, a strach przegania resztki senności i ciepło ciała chłopaka.

– Co oni...?

– Próbują się przewiercić przez drzwi. – Jego głos jest ostry i chłodny. Nie marnując czasu, zrywa się i otwiera szafki, gdzie mieszczą się rzędy dysków komputerowych, półki wypełnione sprzętem ułatwiającym włamanie i innymi rzeczami, których nie rozpoznaję.

– Jak nas znaleźli? – Brakuje mi tchu. Nie mam czasu, by zapytać, kim są ci „oni”. To pewnie sprawka LaRoux.

– To bez znaczenia – odpowiada Gideon. – Musimy uciekać. Tam jest tylne wyjście. Zaczynaj pakować to, co wyda ci się przydatne. – Rzuca mi pustą torbę, a sam chwyta plecak, który miał ze sobą, kiedy przyszedł po mnie do siedziby głównej LRI. Wrzuca do niego kilka urządzeń, po czym sięga do dolnej szuflady biurka po starą, zniszczoną, antykwaryczną papierową książkę. Ostrożnie wkłada ją do plecaka, umieszczając tuż przy ekranie. Powoli zamyka plecak, po czym ciska go na ziemię.

Zabieram się do pracy i wsadzam do torby sprzęt oraz paczuszki żelu proteinowego. Nagle zza drzwi słychać krzyk, który przedziera się przez warstwy stali, a kiedy podnoszę wzrok na ekrany, na jednym z nich widzę, że zamazana postać leży na ziemi.

– Zabezpieczenia powstrzymają ich tylko na jakiś czas – mówi Gideon

z napięciem. – Za minutę powinien się rozpylić gaz, ale jeśli są bystrzy, wzięli ze sobą maski. – Podnosi przenośne urządzenie i klikając w nie, uruchamia buczący dźwięk tak wysoki, że niemal niesłyszalny, choć jednocześnie boli mnie od niego szczeka. Przesuwa urządzeniem w górę i w dół stosów z dyskami.

Ekran z obrazem z kamery bezpieczeństwa mruga, pokrywając się białymi i czarnymi liniami, po czym gaśnie. Spinacz leżący na jednym z dysków przylatuje i przywiera do urządzenia, które okazuje się elektromagnesem. Chłopak zaciera ślady.

– Tamte! – poleca mi, wskazując szafkę, a ja posłusznie opróżniam do torby pudełko z napędami USB. Następnie przyciska maleńkie cegiełki z czegoś, co przypomina grubą glinę, do wnętrza szafki z dyskami.

Wyciągam ręce, żeby dołożyć większy, cięższy dysk zewnętrzny do pozostałych w torbie, kiedy chłopak zrywa się na nogi i wyjmuję mi go z rąk.

– Nie, włożymy go tutaj. – Wsuwa dysk do swojego plecaka, czule go poklepując. – Jest pokryty aluminium, przez co nie da się go wyczyścić. Jest zbyt ważny, żeby ryzykować. – Kiedy to mówi, ani na chwilę nie przestaje się pakować. Podchodzi do mnie i pochyla się, żeby chwycić krawędź wyleniałego dywanika i odrzucić go na bok.

– Na miłość bos... – Na chwilę zapominam, że ktoś próbuje się włamać do naszej kryjówki, i wpatruję się w klapę w podłodze skrywaną dotąd przez dywanik. – Przypominasz złego bohatera z jakiegoś starego filmu. Powinnam była się domyślić, że jedyny akcent w tym pomieszczeniu nadający wnętrzu domowy charakter tak naprawdę skrywa drogę ucieczki.

– Klasyczne pomysły nigdy nie zawodzą – odpowiada Gideon i choć to żart w jego stylu, głos chłopaka brzmi obco. Wciąż jest w nim niepokój i dostrzegam panikę przenikającą jego spojrzenie, mimo że najwyraźniej przeprowadza właśnie dobrze przeciwiczony plan awaryjny.

Uświadamiam sobie, że pewnie rzadko udaje się go namierzyć. Nie doświadczył tego, co było moją codziennością przez ostatni rok, kiedy wyprzedzałam Waleta o krok lub dwa, czekając, aż mnie znajdzie i znowu będę musiała uciekać.

– Chodźmy – mówię, a on przestaje się wpatrywać w klapę i w końcu ją podnosi. Zaczynam schodzić po drabinie, ale po chwili się zatrzymuję. – Musimy jakoś naciągnąć dywanik na klapę, bo domyślą się, którędy uciekliśmy.

– Będą mieli na głowie inne rzeczy – odpowiada Gideon ponuro. – Pospiesz się.

Drabina prowadzi do czegoś, co musiało być kiedyś kanałem ściekowym, gdy podziemne miasto Koryntu było jedynym miastem. Teraz kanał jest suchy i pusty i zapada w nim zupełna ciemność, kiedy Gideon zatrząskuje nad nami klapę. Zastygam w bezruchu, próbując sobie przypomnieć, czy w torbie na plecach

mam latarkę, ale nawet jej nie otwieram, bo wewnątrz tunelu zostaje zalane czerwonym światłem.

Odwracam się i widzę, że Gideon przypina sobie do kołnierzyka LED-ową lampkę. Rzuca mi drugą. Dobry pomysł – czerwona barwa fali świetlnej leży na końcu spektrum i w najmniejszym stopniu zaburzy nasz wzrok w ciemności. Jeśli będziemy musieli wyłączyć lampki i się ukryć, wciąż będziemy dobrze widzieć.

– Nie możemy się zatrzymywać – mówi Gideon, a w jego głosie wciąż pobrzmiwa napięcie, od którego ściska mi się serce.

To wszystko przeze mnie.

– Przepraszam, Gideonie. Nie chciałam...

– To nie twoja wina – przerywa mi i dopiero po tych słowach spogląda mi w oczy. Czerwone światełko wysysa z jego twarzy inne kolory, pozbawiając włosy piaskowego odcienia, a oczy orzechowego brązu. Bierze oddech, a kiedy znów się odzywa, nieco bardziej przypomina siebie. – Mogę zacząć od nowa. To nasz wspólny problem.

Przełykam ślinę. Chciałabym coś powiedzieć, ale nie mam na to czasu. Mimo obietnicy Gideona spodziewam się, że te zbiry lada moment otworzą kłapę w podłodze. Znów ruszam w głąb tunelu, a za sobą słyszę kroki chłopaka.

W czasie marszu liczy pod nosem, ale nie robi tego na tyle rytmicznie, by odmierzać czas – liczy nasze kroki. Już mam zapytać, czemu to robi, kiedy dolicza do setki i przystaje. Odwracam się i widzę, że trzyma coś w dłoniach, coś wielkości napędu USB lub żetonu do gry. Wciąga powietrze i spogląda na mnie.

– Przygotuj się.

Nie mam czasu pytać o szczegóły, bo wciska guzik na urządzeniu i w tunelu rozlega się wybuch, na który mimowolnie reaguję krzykiem i przyciskam dłoń do uszu. Na moje ramiona i włosy spada deszcz pyłu, pajęczyn i innych rzeczy, o których nie chcę wiedzieć, czym są. Walczę z instynktem, który każe mi przywrzeć do ziemi. Znam ten dźwięk. Znam go tak dobrze, że rozbrzmiewa echem w moich koszmarach i sprawia, że w ramionach czuję znajomy ból.

Eksplozja.

Pogłos wybuchu w tunelu cichnie, a ja z trudem próbuję złapać oddech i drzę, wpatrując się w Gideona, który wsuwa urządzenie z powrotem do kieszeni.

– Co to...? Mówiłeś, że...

Kręci głową.

– Echo spotęgowało ten dźwięk. Ładunki miały jedynie zniszczyć to, co zostało na dyskach. Nawet jeśli tamtym udało się wejść do środka, będzie im najwyżej dzwoniło w uszach, a jeśli siła wybuchu ich odrzuci, zrobi im się kilka siniaków.

Czuję posmak żółci w ustach i choć staram się zmusić do marszu, moje mięśnie są spięte i rozedrgane. Mam wrażenie, że w przyćmionym czerwonym

światle LED-owych żarówek dostrzegam ratowników z bazy na Avonie biegnących w stronę płomieni i niemal czuję gryzący dym i chemikalia, niemal słyszę, jak powietrze wypełniają krzyki rannych żołnierzy.

– Hej! – W pobliżu rozbrzmiewa głos Gideona. – Wszystko w porządku? Przepraszam, że cię nie ostrzegłem. Przyrzekam, że jesteśmy tu bezpieczni. Nawet gdyby zdetonować kilkanaście takich ładunków, w tym kanale nic nam nie grozi.

Mrugam, próbując przegonić sprzed oczu nieistniejący dym, i uświadamiam sobie, że Gideon ujął mnie pod rękę, a jego dłoń jest ciepła i prawdziwa, w przeciwieństwie do gorąca bijącego z płonących koszarów.

– Wszystko w porządku – odpowiadam bez tchu. Mój głos wciąż drży. – Nie chcę o tym rozmawiać. Chodźmy.

Chłopak się waha i nie spuszcza oczu z mojej twarzy, dopóki się nie odwracam. Jeśli opowiem mu o tak zwanym samobójstwie mojego ojca, odgadnie, kim jestem, kiedy tylko uzyska dostęp do hipernetu. I choć twierdzi, że już nie pracuje dla Waleta, nie jestem w stanie się dowiedzieć, jak silne więzy go z nim łączą i czy nie wydałby mnie, gdyby wiedział, że to mnie przez ostatni rok tropi Walet.

Wykręcam się z jego uścisku i zaczynam iść, a po krótkiej chwili słyszę za sobą jego kroki. Podbiega do mnie truchtem i odchrząkuje.

– Pójdziemy do Mae – mówi, sprawiając, że we mgle mojej pamięci pojawia się cicha ulga, że chłopak nie zadaje mi więcej pytań. – To stara przyjaciółka, a jeśli ktokolwiek w sieci słyszał plotki o tym, że na gali na Dedalu wydarzy się coś złego, z pewnością będzie o tym wiedziała.

– Możemy jej zaufać?

– Oczywiście. – Gideon spogląda na mnie i przesyła mi uśmiech w przyćmionym blasku LED-owych lampek. – To jedyna osoba na tej planecie, której naprawdę ufam. Przez kilka lat kontaktowaliśmy się za pośrednictwem hipernetu, zanim poznaliśmy się osobiście. To dobra dziewczyna. Ma świetny sprzęt, więc możemy się przeorganizować u niej w domu.

Powoli wypuszczam powietrze. Wystarczająco trudno było mi się przełamać, by zaufać Gideonowi. Jeszcze trudniej jest mi zaufać komuś znanemu tylko z opowieści. Kiwam jednak głową, przypominając sobie, że choć on jej ufa, ja nie muszę. W razie konieczności wciąż mogę uciec. Wiem, jak zniknąć.

– Gdzie ona mieszka?

– Po północnej stronie tego sektora. Na środkowym poziomie.

– O... Super.

Środkowy poziom oznacza pieniądze, a przynajmniej dość pieniędzy, by móc sobie pozwolić na przyzwoite lokum, poduszki i jako taką stabilność. Spodziewałam się, że będzie to kobieca wersja Gideona, i szykowałam się na odwiedzinę w kolejnej norze.

– Ale... co potem? Jeśli rzeczywiście coś ma się wydarzyć na Dedalu, nie będziemy mieli zbyt wiele czasu, żeby powstrzymać LaRoux.

Gideon przeczesuje włosy gestem pełnym złości, który z każdą spędzoną wspólnie chwilą zaczyna być coraz bardziej znajomy.

– Wiem. Nie wierzę, że to mówię, ale powinniśmy powiadomić policję. Wprawdzie nie mamy dowodów, ale może nawet powierzchowne śledztwo wystarczy, by pokrzyżować plany LaRoux.

Policja? Z trudem przetykam ślinę, a zmęczenie nie pozwala mi przypomnieć sobie, co powiedziałam Gideonowi, a o czym mu nie wspomniałam. Wie, że jestem oszustką i że nie mam specjalnej ochoty wtajemniczać w to wszystko władz. Nie wie jednak, dlaczego nie chcę zwracać na siebie uwagi policji. Uwagi, która mogłaby zrodzić pytania takie jak: „Dlaczego masz nielegalną broń?” i „Skąd masz plan siedziby głównej LRI?” oraz „Dlaczego ukrywasz genotag i swoją tożsamość?”.

– LaRoux z pewnością ma swoje wtyki w organach ścigania – mówię w końcu. – Nie wspominając nawet o tym, że bezpieczeństwa sektora w dużej mierze pilnują zatrudnieni przez niego strażnicy. I choć przyjemnie by było znów się z nimi podroczyć, tym razem wolałabym nie rzucać im się w oczy.

Gideon kręci głową, jego wzrok jest nieobecny, a wargi zaciśnięte. Na jego twarzy maluje się tak wyraźne zmartwienie, że sama zaczynam je odczuwać. Utrata kryjówki to dla niego o wiele poważniejszy problem niż dla mnie utrata swojego mieszkania.

Odzywam się łagodniejszym tonem:

– Czy naprawdę możemy im zaufać?

– Komuś musimy – rzuca w końcu. – Dopilnujemy, żeby wszystko odbyło się anonimowo. Nie musimy nawet mówić, że chodzi o LaRoux. Może powiadomimy ich o groźbie podłożenia bomby, o czymś prozaicznym, co będą musieli sprawdzić. To będzie coś, co zwróci ich uwagę na Dedala. Nie wiem, co innego możemy zrobić.

Problem polega na tym, że Gideon ma rację. Od gali na Dedalu dzieli nas kilka dni, a nasz arsenał ogranicza się do tego, co zdążyliśmy zapakować, zanim chłopak zamienił swoją kryjówkę w gruzowisko. Nic nie mamy. Przetykam gorzki smak adrenaliny, który wciąż wypełnia moje usta, i pozwalam, by Gideon poprowadził mnie w głąb ciemności.

Czekamy na szarej planecie i szukamy wartości w nienawiści i nieufności wśród tubylców, ale niewiele znajdujemy. Momenty odwagi i heroizmu, których doświadczają, zapadają się pod ciężarem przemocy i zemsty rozrywających ich na strzępy.

Istnieje dziewczynka z ogniem we krwi, która porusza pozostałych z takim samym magnetyzmem co niebieskooki mężczyzna i za pomocą samych słów sprawia, że inni za nią podążają. Buntują się przeciw swoim przywódcom, podobnie jak my próbowaliśmy się kiedyś zbuntować przeciw niebieskookiemu mężczyźnie.

Jednak to mały chłopiec u jej boku najbardziej przyciąga naszą uwagę. Te stworzenia nie potrafią wejrzeć w siebie nawzajem ani ujrzyć niekończących się rozwidleń potencjalnej przyszłości. Ale my owszem.

Ten zielonooki chłopiec będzie ważny.

GIDEON

Stąpamy po miękkim piasku, który tłumi odgłos naszych kroków. W uszach słyszę własny oddech, zbyt głośny i chrypiący ze względu na tempo, w jakim się poruszamy. Ale to oczywiście nie przez bieg serce próbuje wyskoczyć mi z piersi. W mojej głowie rozbrzmiewa chóralne echo głosów, które tylko wzmagają hałas.

Moja kryjówka.

Takie konsekwencje ma wpuszczenie kogoś do środka.

Czy na pewno wyczyściłem dyski w rogu?

Czy zapakowałem książkę? Tak, zapakowałem ją, pamiętam.

Cholera.

Czy właśnie tak czuje się Towers? Wciąż łapie za torbę i ucieka, spodziewając się, że w każdej chwili zaczną jej deptać po piętach?

Mam nadzieję, że tak. Mam nadzieję, że ją przerażam.

Żołnierze, którymi dowodziła, ufali jej, a kiedy naprawdę jej potrzebowali, odwróciła wzrok. Nie obroniła ich, podobnie jak lata temu dowódca mojego brata nie zapewnił mu bezpieczeństwa.

Wzięli na siebie odpowiedzialność. Powinni byli podlegać wyższym standardom.

I zaakceptować konsekwencje, jeśli nie potrafili tym standardom sprostać.

Ale jak nas znaleźli?

– Jak nas znaleźli?

Dopiero po chwili uświadamiam sobie, że Sofia wypowiedziała moje myśli na głos. Nie przerywając biegu, kręcąc głową.

– Nie mam pojęcia. Może zeskanowali zdjęcie kogoś z nas, kiedy schodziliśmy na dół, i w kamerze uaktywnił się program rozpoznawania twarzy.

– W tej, która pokazywała, jak wchodzimy przez te drzwi? – W jej głosie pobrzmiwa sceptycyzm. – Myślałam, że nieźle się tam zabarykadowałeś.

– Bo tak było. Te drzwi są podłączone tylko do mojej sieci. Nie ma mowy, by ktokolwiek zdołał przechwycić zapis z monitoringu.

– Musimy się dowiedzieć, jak nas znaleźli, zanim udamy się do mieszkania twojej przyjaciółki. W przeciwnym razie mogą ruszyć naszym śladem.

Na myśl o tym moje serce reaguje synkopowym rytmem. Ta dziewczyna potrafi uciekać – ja nawet o tym nie pomyślałem. Zwalniam.

– Okej, zastanówmy się. Uznajmy, że nie zobaczyli nas na monitoringu, bo to najtrudniej potwierdzić i najtrudniej sobie z tym poradzić. Czy z siedziby głównej LaRoux wyniosłaś coś, czego tam nie wносиłaś?

Dziewczyna spogląda w dół, przeprowadzając inwentaryzację w myślach, po czym powoli kręci głową.

– Jestem pewna, że nie.

– Jadłaś coś albo piłaś?

– Nic.

Wydaję z siebie pomruk pełen frustracji, ale milknę, kiedy dziewczyna gwałtownie unosi dłoń i spogląda na mnie rozszerzonymi w czerwonej poświacie oczami.

– Coś mi wstrzyknęli.

Wyhamowuję, wzniecając obłok piasku.

– Co?!

– Uznałam, że to coś, przez co stanę się bardziej uległa, bo nie odpowiadałam na ich pytania. Ale pewności nie mam. – Próbuje mówić spokojnym głosem, ale słyszę w nim strach...

Pewnie się go doszukuję, bo to samo uczucie tętni w moim ciele.

– A jeśli wstrzyknęli mi coś, co mogą śledzić? Jakiś rodzaj urządzenia naprowadzającego?

Potrząsam głową i zamykam oczy, zmuszając się do koncentracji. Odciągam myśli od zniszczonej kryjówki, której nie chcą opuścić.

– Przecież cię mieli i raczej nie zakładali, że im uciekniesz. Nie będę się bawił w fałszywą skromność, bo to było naprawdę mało prawdopodobne, zwłaszcza że nie wiedzieli, iż mamy kontakt ani że udało ci się mnie powiadomić. Wstrzyknięcie urządzenia naprowadzającego to coś więcej niż działanie z wyprzedzeniem. To paranoja.

Jej milczenie sprawia, że otwieram oczy. Jej twarz jest nieruchoma i tym razem nie panuje nad drżeniem w głosie.

– Zamierzali zamienić mnie w skorupę, odebrać mi rozum... za pomocą szczeliny. Zrobiłabym wszystko, co by mi kazali, ale być może nie byłabym w stanie złożyć żadnego sprawozdania. Może potrzebowali sposobu, żeby mnie znaleźć, gdybym... nie potrafiła się komunikować.

Z trudem oddycha, a ja mam ochotę ją objąć i przytulić, aż oboje poczujemy się bezpieczni. Zamiast tego zwijam dłonie w pięści i opuszczam je wzdłuż tułowia.

– To tylko hipoteza robocza. Sprawdźmy, czego uda nam się dowiedzieć – mówię spokojnie.

Oboje wytężamy słuch, próbując wyłowić w tunelu odgłosy pogoni. Nie możemy się ruszyć, aż będziemy pewni, że nie doprowadzimy ich do mieszkania Mae. Sofia czuwa w milczeniu, a ja składam skaner, rozmontowując jedno z urządzeń bezpieczeństwa i podpinając je do lap-ekranu, po czym wyciągam z kieszeni chip, wsuwam go do skanera i włączam urządzenie. To mój ostatni

środek ostrożności, na wypadek gdyby ekran dostał się w niepowołane ręce. Może to paranoja, ale wygląda na to, że dzisiejszy dzień to święto paranoików.

Dziewczyna odwraca się i obciąga kołnierz koszulki, odsłaniając intensywnie czerwony ślad na skórze tuż pod mięsistą częścią ramienia. Zaciskam szczękę i przyciskam skaner do jej ciała, ignorując to, jak Sofia się wzdraga. Następnie wyciąga ramiona, żebym mógł przesunąć skaner wzdłuż każdego z nich, powoli, tak by obraz na ekranie się ustabilizował.

Bez względu na to, co wstrzyknęli jej w ramię, substancja zdążyła się nieco przesunąć. Znajduje się teraz blisko stawu ramiennego, dokąd dotarła w dół od miejsca iniekcji. To, co jej wstrzyknęli, jest nie większe od ziarnka piasku, ale wiem, co widzę.

– Wytnij mi to – szepcze ostro, wpatrując się w niewielki obraz na ekranie. – Masz nóż?

Kręcę głową.

– Nie mamy czasu ani apteczki, a wokół stawu ramiennego mieszczą się ważne tkanki, które mógłbym uszkodzić. Na razie możemy to zneutralizować, a pozbedziemy się tej pluskwy później.

Zaciska wargi, a ja wyciągam przenośny elektromagnes, który zabrałem ze sobą i przypiąłem po zewnętrznej stronie plecaka. Trzymam go z dala od reszty sprzętu i przyciskam do jej skóry, a następnie uruchamiam. Rozumiem ją. Na jej miejscu też bym chciał, żeby mi to wyciągnięto. Ale oboje wiemy, że trzeba działać jak najszybciej.

Kiedy mamy pewność, że nadajnik przestał działać, Sofia pomaga mi wepchnąć sprzęt z powrotem do plecaka i najciszej jak to możliwe ruszamy w dalszą drogę.

Wyłaniamy się z tunelu w alejce za całodobowym klubem, którego ścianami wstrząsa rytmiczne dudnienie. Światło dzienne, choć jest tu rozproszone i sztuczne, sprawia, że potykam się i mrugam. Już mam się odwrócić i skierować w stronę wylotu alejki, kiedy Sofia łapie mnie za ramię i odwraca ku sobie. Moje serce zamiera – co przestało być już dla mnie zaskakujące – a wtedy ona wyciąga rękę, by przygładzić mi włosy i zdjąć z piersi pajęczynę.

– Nie chcemy zwracać na siebie uwagi – mówi, unosząc moją dłoń i odwracając ją wnętrzem do góry, żeby włożyć do niej obie latarki, po czym przesuwa dłońmi po własnym ubraniu, szybko je wygładzając. Próbuje się doprowadzić do porządku, a kiedy podnosi wzrok i raz jeszcze na mnie spogląda, jest opanowana. Wszystkie odczuwane emocje zamknęła pod kluczem. Zazdroszczę jej tej umiejętności.

Wpycham latarki z powrotem do plecaka i odwracam się, by wskazać nam drogę. Wybieram bezpośrednią trasę. Mamy jako taką pewność, że nie śledzą nas zdalnie, więc musimy się stąd wynieść, zanim zobaczą nas na własne oczy. Ze

spuszczonymi głowami przedzieramy się przez targowisko i jakoś nie mogę przestać myśleć o tym, czy jeszcze tu powrócę. Czuję, że teraz wszystko idzie zgodnie z planem, że czeka nas konfrontacja, którą planowałem od lat, i że nie ma szans na jej uniknięcie. Szczelina, szept... Są tu, na Koryncie, więc albo to my doprowadzimy do bitwy z LaRoux, albo to on zacznie z nami wojować.

Winda wioząca nas na piętro Mae jest cicha, a to, jak bardzo to miejsce kontrastuje z kakofonicznym targowiskiem, staje się jasne, kiedy tylko rozsuwają się drzwi. Przechodzimy obok grupki domokrążnych kaszobotów i pary najwyraźniej będącej na randce – złączonej wargami i biodrami – i wychodzimy na czyste i schludne uliczki tej dzielnicy. Środkowemu poziomowi brakuje ostentacji apartamentu Kristiny McDowell, ale niewielkie, funkcjonalne domy w niczym nie przypominają także czynszówek ze slumsów. Budynek liczą najwyżej dziesięć kondygnacji, a większość mieszkań zajmuje całe piętro. Na tym poziomie każdy ma prawo do własnej sypialni, nawet jeśli to tylko ciasna klitka.

Mae mieszka trzy przecznice dalej. Otwiera drzwi przy trzecim stuknięciu. Na mój widok rozdziawia usta i choć przywołuję cień swojego zwyczajnego uśmiechu, zdaje się, że niewiele to pomaga.

– Co się dzieje, słonko? – szepcze i cofa się, pospiesznie zapraszając nas do środka. – Godzinę temu zniknął cały twój system i ciągle słyszę, że w dzielnicy Botigues coś wybuchło. Szalałam z nerwów. Wchodźcie, szybko.

Zamykam drzwi wejściowe, opieram się o nie i powoli wypuszczam oddech. Wciąż wali mi serce, a płuca boją, jak gdybym przebiegł wiele kilometrów. To dom Mae, mówię swojemu ciału. Uspokój się. Jesteśmy tu bezpieczni.

– Prawda przebija plotki – odpowiadam. – Mae, poznaj... – Urywam. – Alicję. Alicjo, to Mae.

Nie wiem, czego spodziewała się Sofia, ale na pewno nie tego. Mae wygląda naprawdę dorodnie, ubrana w jedną z tych modnych koktajlowych sukienek w stylu *vintage*, z włosami zebranymi w gładki kucyk, jak gdyby właśnie skończyła rozgrywać towarzyski mecz tenisa. Powinna raczej należeć do komitetu do spraw zbiórki funduszy w szkole swoich dzieciaków – i rzeczywiście należy – niż przeprowadzać wraz ze mną najgłośniejsze hakerskie włamy w Galaktyce.

Muszę jednak przyznać swojej dziewczynie, że umie się zachować. Wyciąga rękę i potrząsa dłonią Mae, jakby właśnie przedstawiono je sobie na przyjęciu, a jej uśmiech wygląda o niebo lepiej od mojego.

– Jesteśmy twoimi dłużnikami.

– Nasza księga rachunkowa to skomplikowana lektura. – Mae się śmieje. – Rozumiem, że skoro już się sobie przedstawiamy, masz pewność, że nikt was nie śledzi, słonko?

Kiwam głową i ogarnia mnie nagły dyskomfort na myśl, że muszę poprosić Mae, by nie nazywała mnie Waletem przy Sofii. Nie chcę, by ten dzień jeszcze

bardziej się skomplikował.

– Tak. Ale moja kryjówka przepadła. Musiałem ją spalić.

Mae powoli wypuszcza powietrze.

– Potrzebujesz sprzętu?

Znów kiwam głową.

– Nie chcę nadużywać twojej gościnności, ale tylko u ciebie znajdę to, co będzie mi potrzebne do poczynienia następnego kroku. Myślałem...

Proszę ją o coś naprawdę dużego. Nawet zwyczajny użytkownik ceni sobie prywatność i nie ma ochoty wpuszczać nikogo do swojego systemu. Udostępnienie swojego sprzętu innemu hakerowi jest jak zaproszenie kogoś do walca, kiedy płąsa się nago. Nie potrafię skutecznie rozwiązać jej obaw. Prawda jest taka, że jeśli wpuści mnie do swojego systemu, mogę tam zrobić, co zechcę, i ona dobrze o tym wie. Chodzi o zaufanie.

Mae powoli kiwa głową.

– Siedzimy w tym po uszy, równie dobrze możemy całkiem się zanurzyć. Wchodźcie, wchodźcie. Rozstawimy sprzęt, zanim dzieciaki wrócą ze szkoły.

Kiedy wchodzimy w głąb mieszkania, zauważam, że Sofia chłonie wszystkie szczegóły. Koniec końców ja potrafię rozpracować sieci elektroniczne, a ona te społeczne. Robi więc to, co potrafi najlepiej. Widzę, że przygląda się planom zajęć na ekranie w kuchni, zdjęciom Mae i jej dzieciaków oraz wygodnym meblom ze średniego przedziału cenowego. Mae i jej partnerka Tanya skorzystały z komórek jajowych od dawczyni, a kiedy okazało się, że wychowywanie dzieci to ciężka praca, Mae została samotną matką. Wzruszyła ramionami i powiedziała, że lepiej wychowywać dwójkę niż trójkę. Właśnie taka jest Mae – dzieci są dla niej najważniejsze. Zapewne Sofia sama do tego dojdzie, studiując porozkładane wokół dowody.

Choć słaba, prawie się uśmiecha, kiedy przechodzimy do gabinetu Mae. Najwyraźniej większość ludzi parających się tym, co ja, nie ma w swoich hakerskich jaskiniach wypielęgowanych roślinek w doniczkach i oprawionych w ramki zdjęć rodziny.

Nie mogę się doczekać, aż dorwę się do kopalni sekretów Mae. Bycie offline pozostawia we mnie ziejącą pustkę – wiem, że to nałóg, ale świetnie się z nim czuję. Naciągam rękawiczki sensoryczne i opadam na fotel. Mebel cicho buczy, dopasowując się do mojego ciała, i nagle czuję się jak w domu. Za plecami słyszę, jak Mae pyta Sofię, czy chcielibyśmy coś do jedzenia i picia, ale sam zanurzam się we własnym świecie.

Na większości ekranów widać otwarte fora, które Mae musiała przeglądać, kiedy stanęliśmy w progu. To jej specjalność, choć i ja czasem na nie zaglądam. Mówcie, co chcecie, o zwolennikach teorii spiskowych, ale ich paranoja bywa przydatna. Ilekroć coś ciekawego pojawia się w jakimkolwiek zakątku hipernetu,

jedno z nich na pewno to zauważy, a kilka komentarzy wrzuconych w odpowiednich miejscach sprawi, że udadzą się na zwiady jak kolonia mrówek. Wtedy trzeba tylko oddzielić prawdę od nadinterpretacji. Tak czy siak, to wszystko jest warte zachodu, bo można się natknąć na prawdziwą perełkę, dlatego Walet zapewnia anonimowe, chronione miejsca do dyskusji. Wygląda na to, że Mae czytała doniesienia organizacji Korynt przeciwko Tyranii. Po proteście, na którym poznaliśmy się z Sofią, wciąż brakuje kilkorga członków stowarzyszenia. LaRoux trzyma media w garści, więc te skandaliczne informacje nie przedostają się do wiadomości publicznej. To problem dla wszystkich grup, które słuchały osławionej Transmisji z Avonu Flynnu Cormaca. Nawet jeśli mu wierzą, nigdy nie uda im się rozpowszechnić tego przekazu.

Wtykam kilka napędów USB, żeby zainstalować potrzebne programy, i patrzę, jak na ekranie zaczynają się przewijać kolejne informacje. Przez chwilę mam je przed oczami – wizję wszystkich swoich plików przedostających się do hipernetu, zablokowanych i zaszyfrowanych tak, że żadna agencja rządowa nawet w najśmielszych snach nie potrafiłaby ich odczytać, fragment nieskończonego strumienia danych. Czy przepływając przez hiperprzestrzeń, są w jakiegokolwiek postaci rozpoznawalne dla tych, którzy tam mieszkają, dla szeptów? Zastanawiam się, co rozumieją z opowieści, które wysyłamy – listów miłosnych, deklaracji podatkowych i całej reszty.

Odpędzam to pytanie i czekając, aż programy zakończą skanowanie zabezpieczeń, przenoszę uwagę na dyskusję o Avonie widoczną dwa ekrany w górę na prawo.

Z początku nie dostrzegam nic nowego – przywoływanie tych samych argumentów dowodzących, że Flynn Cormac to tylko ćpun, nie wspominając o Towers, trochę najnowszych doniesień na temat terraformacji na Avonie... I wtedy to zauważam. Nieźle. Kumiko i grupa podobnych jej weteranów z Avonu, którzy rzekomo przetrwali furie, paplają jak jeszcze nigdy dotąd. Autor Transmisji z Avonu osobiście przyleci na Korynt.

Ktoś wkleił komunikat prasowy na ten temat z sarkastycznym komentarzem o tym, jak to „Szef” próbuje udawać, że przemówienie Cormaca było kłamstwem. „Cormac, członek oficjalnej delegacji z Avonu, który przybędzie na Korynt, aby przedstawić poświadczenie kwalifikacji senatora planety, wybranego na pierwszym miejscu do Rady Galaktycznej, i wziąć udział w szczycie pokojowym, jest znany ze swojego zaangażowania w cieszącą się dużym zainteresowaniem sprawę Transmisji z Avonu, w której, jak twierdzi...”. Resztę znam.

Moja specjalistka od Avonu ma pewnie więcej danych na temat delegacji, niż umieściła na forum, ale ciekawość będzie musiała poczekać. Wyobrażam sobie Kumiko w jej własnej kryjówce na południe od tego sektora, zgarbioną nad ekranami. Stanowi bardziej wiarygodne źródło informacji niż większość osób,

zwłaszcza w kwestii furii na Avonie, ale nigdy nie zaufałem jej na tyle, by zdradzić, że ścigam Towers. Nie wiem, komu służyła Kumiko na Avonie, a ponieważ rola Towers w epidemii furii nie jest publicznie znana, nie mam pewności, wobec kogo okaże lojalność.

Pola tekstowe, na które czekam, otwierają się i rozpoczynam poszukiwania, podczas gdy Mae otwiera puszkę napoju energetyzującego i stawia ją obok mnie. Szybko ustaliam parametry – tworzę serię tajnych profili użytkowników, żeby wysłać alarm o prawdopodobieństwie podłożenia bomby na Dedalu, tak by policja zaczęła węszyć, a jednocześnie nie potrafiła określić, kto jest autorem tych wpisów. Za plecami słyszę, że Mae i Sofia cicho dyskutują o gali. W głosie Mae pobrzmiwa zaskoczenie. Nawet ona, królowa hiperprzestrzeni, nie słyszała, by na przyjęciu miała zaistnieć jakakolwiek dramatyczna sytuacja.

Kiedy mój program wprowadza mnie do systemu Mae, na ekranach jedno po drugim pojawiają się znajome okna. Uruchamia się mój program śledzący Towers, chociaż w raportach jak zwykle niczego nie znajduję. Nie mam pewności, ale nie sądzę, by opuściła Korynt. Pierwszy raz namierzyłem ją, kiedy ewakuowano ją z Avonu – rzekomo po to, by mogła przejść na spokojną emeryturę. Nie kupiłem wtedy informacji, że po prostu się spakowała i gdzieś osiadła – nie po tym wszystkim, nie po tym, jak latami przymykała oczy na eksperymenty LRI, a potem sprzątała bałagan, którego narobił LaRoux. Nakazuję więc programowi szukać nieregularności w schematach podróży – ludzi, którzy zarejestrowali się na przeskok przez hiperprzestrzeń, ale nigdy nie dotarli na miejsce, listy pasażerów, na których brakuje jednej osoby, i tak dalej.

W ten sposób najłatwiej prowadzić śledztwo. Nie trzeba przeczesywać terabajtów danych, aż dostanie się zęza. Wystarczy szukać wyjątków, punktów na wykresach, które zachowują się nietypowo, i właśnie nimi się zająć. To one są interesujące. Mniej więcej w tym samym czasie, kiedy Towers zrezygnowała ze stanowiska, w sieci pojawił się pewien numer identyfikacyjny należący do sieroty wojennej mającej opuścić Avon w kolejnym transporcie. Rzekoma sierota, obywatelka Avonu, nieposiadająca żadnych zasobów, zniknęła z transportu do sierocińca i postępowała wbrew wszelkim oczekiwaniom i prawdopodobieństwu, skacząc z planety na planetę i zmieniając tożsamość częściej, niż większość osób zmienia ubrania. Był to ktoś, kto chciał zmylić pościg, a jedyną rzeczą na Avonie wartą utrzymywania tego rodzaju tajności było to, co ukrył na planecie sam LaRoux.

Więc przez ostatni rok deptałem Antje Towers po piętach i nie pozwalałem jej odsapnąć. Znajduje się gdzieś na mojej planecie i nawet kiedy śpię, szukają jej moje boty i podprogramy. Choć mnie samemu trudno żyć w podziemiu, pilnuję, żeby jej życie było absolutnym koszmarem. Im dłużej będzie uciekać, im bardziej będzie zmęczona, tym bardziej niedbałe będą jej wykryty. W końcu się potknie.

A ja będę czekał.

Ekran wyświetla okno dialogowe z delikatnym brzękiem, pytając, czy chcę wysłać wiadomość. Uświadamiam sobie, że od dziesięciu minut siedzę przed tekstem z ostrzeżeniem przed zamachem i dopiero kiedy Sofia przerywa rozmowę z Mae, otrząsam się z zamroczenia. Policjanci znajdują się zazwyczaj na ostatnim miejscu listy osób, które chcielibyśmy powiadomić, ale nie mamy wyboru. Zerkam na Sofię, która czyta wiadomość, po czym bierze wdech i kiwa do mnie głową. Pstryknięciem palców rozsyłam nasze ostrzeżenie do hipernetu, żeby dokonało dzieła.

Opadam na fotel, niespodziewanie przygnieciony napięciem i zmęczeniem. Powierzyliśmy odpowiedzialność komu innemu i nawet jeśli gliny nie znają prawdziwego powodu, dla którego powinny zbadać sytuację na Dedalu, ich obecność do tego stopnia skupi uwagę opinii publicznej na gali, że LaRoux nie śmie ich powstrzymać.

Sofia wypuszcza powietrze i nie muszę nawet na nią patrzeć, by wiedzieć, że na jej twarzy zobaczę tę samą ulgę.

– Co teraz?

– Teraz czekamy. – Ściągam ramiona i krzywię się, kiedy ten ruch wywołuje serię chrupnięć wzdłuż górnego odcinka kręgosłupa. – I śpimy, póki jesteśmy w bezpiecznym miejscu.

Pierwszy raz w ciągu naszego istnienia jesteśmy rozdarci. Zawsze tworzyliśmy jedną istotę, łańcuch nieskończonych bytów, współdzieliliśmy każdą myśl. Ale ci z nas, którzy istnieli w przeredzeniach, którzy dotknęli umysłów i serc owych istot noszących w sobie taką pasję... Jesteśmy teraz inni.

Różność, w egzystencji złożonej z czystej harmonii i spełnienia, nas niszczy.

Niektórzy chcą wygnąć te jednostki, na zawsze zamknąć przed nimi nasz świat, odrzucić ich statki i strumienie danych i znów stać się jednością.

Jednak część z nas nie ma pewności. To ci, którzy choć przez chwilę widzieli coś innego i byli czymś innym...

Czymś... wyjątkowym.

SOFIA

– Na pewno nie chcecie nic więcej? – Mae wsuwa naczynia do otworu zmywarki, a my siedzimy przy kuchennym blacie, jedząc kanapki i pijąc mrożoną herbatę.

Minęła godzina i chociaż Gideon nie zarejestrował na forach wzmożonej aktywności organów ścigania w sprawie gali, zdaje się pewien, że informacja musi po prostu dotrzeć do odpowiednich kanałów.

– Nie, dziękuję, Mae. – Chłopak przeżuwa kanapkę. Odkąd obudzili go ludzie próbujący się włamać do jego kryjówki, nie był bardziej odprężony.

Opieram się pokusie, żeby włożyć rękę pod sweter, który dostałam od Mae, i podrapać się po ramieniu przez bandaż. Gideon pożyczył od Mae apteczkę i za pomocą spreju znieczulającego, szybkiego nacięcia i kolejnego spreju NuSkin pozbył się nadajnika LRI. Mam wrażenie, że rany na ramieniu, przez którą wydłubał urządzenie, wcale tam nie ma. „Lepiej to wyciągnąć, niż żałować”, powiedział i miał rację.

Mnie trudniej się rozluźnić. To pomieszczenie, ta kobieta – w najmniejszym stopniu nie przypominają tego, do czego przywykłam, i nie wiem, jak mam się dopasować. Czuję się na miejscu pośród nędzy i w luksusie, bez względu na to, czy to slumsy Koryntu, czy moczary Avonu, czy też apartament w najbogatszej dzielnicy tego sektora – nauczyłam się tych światów. Wiem, jak się po nich poruszać. Ale to... To jest czyjaś mama – już sama koncepcja jest dla mnie czymś obcym – w kuchni, która mogłaby być planem filmowym do jednego z sitcomów o zwyczajnych ludziach.

Mae i Gideon rozmawiają, a ja skubię kanapkę i rozglądam się po pomieszczeniu, mimowolnie analizując ich słowa. Jeśli pomyślą, że koncentruję się na czymś innym, nie będą mieli dojmującego wrażenia, że ich podsłuchuję, a ja dowiem się o nich nieco więcej. To jasne, że znają się od lat, i ta długoletnia więź wzbudza we mnie małe ukłucie zazdrości. Sądząc po komentarzu Mae na temat wzrostu Gideona i okrzyków zdumienia, które chłopak wydał, sięgając po zdjęcie jej dzieci Mattiego i Liv, bliźniąt dwujajowych, rzeczywiście nie spotykali się zbyt często. Jednak mimo dowodów świadczących o tym, iż dawno się nie widzieli, podejmują konwersację z taką swobodą, jakby rozmawiali ze sobą codziennie.

Może rozmawiają. Przypominam sobie, że w wielu okienkach otwieranych przez Gideona widniały rozpoczęte czaty z użytkownikami, których nicków nie rozpoznawałam.

– Ups, dzwonią ze szkoły! – wykrzykuje Mae, prostując się i unosząc dłoń

do słuchawki w uchu. – Odbiorę, a wy dokończcie jeść.

Ta uwaga jest przeznaczona raczej dla mnie niż dla Gideona, którego kanapka zniknęła w jego żołądku kilka minut temu. Kiedy Mae przechodzi do salonu, Gideon wtyka stopy pod poprzeczkę stołka barowego i kręci się w tę i w tę, przyglądając mi się z ukosa.

– Wszystko dobrze?

Szybko odgryzam kęs kanapki i kiwam głową, wskazując na swoje usta i dając mu do zrozumienia, że wypełniam prośbę Mae. Gideon odczekuje chwilę, a ja muszę w końcu przełknąć i odpowiedzieć na jego pytanie.

– Pozwalam wam nadrobić braki. Jest bardzo miła.

– Tak – odpowiada z uśmiechem. – Poznałem ją, kiedy miałem dwanaście lat, choć wtedy nie wiedziała, w jakim jestem wieku. Większość ludzi w sieci wciąż tego nie wie. Nikt nie traktuje poważnie nastolatka.

– To prawda – odpowiadam, biorąc kolejny kęs, po czym podsuwam mu ostatnią ćwiartkę kanapki.

– Ale to mi ułatwia pracę. Nikt nie podejrzewa też, że coś kombinuję.

Gideon bez zastanowienia przyjmuje mój dar, a zapał, z jakim kończy posiłek, przypomina mi, że w swojej kryjówce miał jedynie napoje energetyzujące i trochę przekąsek.

– Mae jest zatrudniona jako specjalistka do spraw predykcji danych w jednej z dużych firm farmaceutycznych, więc może pracować z domu. Dzięki temu ma czas, by robić coś na boku. I poświęcić się dzieciom.

Spoglądam przez łukowatą futrynę do salonu, gdzie Mae wciąż rozmawia przez telefon, odwrócona do nas plecami.

– Wydaje się szczęśliwa.

– A ty zaskoczona.

Mrugam, znów koncentrując się na Gideonie.

– Nie, ja tylko... – Urywam, bawiąc się słomką. – Chyba zakładam, że wszyscy, którzy parają się tym, co my, muszą porzucić tego rodzaju życie. Jesteśmy przestępcami. Większość przestępców nie jest szczęśliwa.

Gideon zbywa tę myśl pstryknięciem palcami.

– To tylko coś, co robimy, nie to, kim jesteśmy. Nawet gdybyś z dnia na dzień przestała oszukiwać ludzi, wciąż byłabyś sobą.

– A ty byłbyś sobą bez tych wszystkich ekranów i portów danych? – Unoszę brew.

Gideon się waha, ale na szczęście nie musi odpowiadać, bo do kuchni wraca Mae i przesyła nam radosny uśmiech.

– Co powiecie na film? – pyta. – Mam HV Instant, więc możecie wybrać spośród miliona opcji.

– Nie musisz odebrać dzieci ze szkoły? – pytam, zerkając na zawieszony na

ścianie wyświetlacz, który pokazuje na zmianę prognozę pogody i aktualną godzinę.

Wzrok Mae podąża za moim, po czym ucieka w bok.

– Po szkole idą do przyjaciół. Co powiecie na komedię romantyczną?

Gideon się krzywi, ześlizguje się ze stołka i podąża za Mae do salonu.

– Macie przewagę liczebną. Jestem na straconej pozycji – narzeka.

Odkąd przybyłam na Korynt, widziałam może jedną komedię romantyczną i niespecjalnie mi się podobała, ale nie chcę, by Mae albo Gideon domyślili się, że dorastałam na bagnie bez dostępu do holowizji albo hipernetu. Idę za nimi, próbując odpędzić od siebie niepokój.

Mae włącza holowid, który zajmuje pół ściany w salonie. Najwyraźniej jej dzieciaki są uzależnione od rozrywki – podłoga jest zarzucona zabawkami i gratisami, dzięki którym programy dla dzieci są jeszcze bardziej wciągające. Kanały migają zbyt szybko, a Mae odchrząkuje.

– Przepraszam, to wina systemu śledzenia gałki ocznej.

Gideon opada na jedną z kanap, wyciąga palmpada i przewija ekran, zapewne po to, by sprawdzić, czy nasza wiadomość do policji wywołała jakikolwiek ruch w sieci. Ja jednak nie spuszczam oka z Mae i obserwuję, jak męczy się z kontrolkami i mruga zbyt szybko, by urządzenia śledzące wzrok mogły działać poprawnie.

Coś tu nie gra.

Kiedy w końcu udaje jej się włączyć film, zagania mnie na kanapę.

– Posprzątam jeszcze w kuchni i zaraz do was dołączę.

Podchodzę do kanapy, a ona znów zaczyna się krzątać w kuchni, która na tym etapie już błyszczy. Zatrzymuje się w takim miejscu, że widzę ją pod kątem w lustrze zawieszonym w przedpokoju. Kiedy tylko znika z pola widzenia w salonie, znów przyciska dłoń do słuchawki w uchu, a jej usta poruszają się, jednak słowa zagłusza czołówka filmu. Osoba, z którą połączyła się wcześniej, przez cały czas pozostawała na linii.

Przyspiesza mi puls, opadam na kanapę kilkadziesiąt centymetrów od Gideona, próbując złapać jego spojrzenie. Nie podnosi nawet wzroku nad ekranów – w takich chwilach naprawdę traci kontakt ze światem – więc stopniowo i powoli przysuwam się w jego stronę, aż stykamy się biodrami. To sprawia, że chłopak gwałtownie przerywa, odkłada palmpada na kolana i spogląda na mnie z uniesionymi brwiami.

– Dobrze się czujesz, Alice? – mówi i choć jego ton jest kpiący, zauważam, jak jego ręka sunie w moją stronę.

– Nie podnoś głosu i staraj się wyglądać normalnie – mówię cicho, ale nie szeptem, bo spółgłoski syczące w szepcie niosą się dalej niż cichy głos. Mruczę, jak gdybyśmy byli odprężeni: – Coś jest nie tak.

– Co masz na myśli? – Gideon zerka na palmpada, jak gdyby mógł na nim znaleźć odpowiedź na to pytanie.

– Mae. Coś się z nią dzieje. Jej mowa ciała całkowicie się zmieniła.

– O czym ty mówisz? – Gideon wychyla się do tyłu, ale z miejsca, w którym siedzimy, nie widać kuchni, nawet w lustrze. – Sofio, musisz się czasem odprężyć. Zrobiliśmy, co do nas należało, a resztą zajmie się policja. Znam Mae od czterech lat. Mogła sprzedać... moją tożsamość tysiąc razy, ale nigdy tego nie zrobiła. Jesteśmy tu bezpieczni.

– Nie dostrzegasz, co się dzieje, właśnie dlatego, że tak dobrze ją znasz. – Nawet duma nie powstrzymuje mnie przed tym, by się do niego zbliżyć i zwrócić na siebie jego uwagę. Kładę mu dłoń na ramieniu. – Ja nie znam jej wcale i nie jestem uprzedzona. Mówię ci, że bez względu na to, kto do niej dzwonił, coś się tu dzieje. Doniosła na nas albo o tym myśli. To coś, czego nie potrafię nawet przewidzieć, coś... złego. Musisz mnie posłuchać.

Gideon się waha, po czym wyrywa ramię i marszczy brwi.

– Po co ta gra? Chcesz mnie nastawić przeciwko przyjaciółce? Co będziesz z tego miała?

Spoglądam na łukowate wejście do kuchni, starając się, by frustracja nie sprawiła, że mój głos się podniesie.

– Nic. Boże, Gideonie, nie sądzisz, że oddałabym wszystko, żeby tu po prostu posiedzieć, obejrzeć film i chociaż raz, raz, poczuć się bezpieczna? – Ku swojemu przerażeniu czuję, że zaczynają mnie szczypać oczy, i to nie dlatego, że próbuję płakać. Na widok moich łez Gideon zyskałby całkowitą pewność, że nim manipuluję. A jednak nie potrafię ich powstrzymać, jestem już na granicy. Szybko mrugam, żeby nie wypłynęły.

Już wypowiadając te słowa, uświadamiam sobie, że są prawdziwe. Pierwszy raz od śmierci ojca pragnienie, by zostać tutaj, bezpieczna, wtulona w sofę z tym chłopakiem, którego ledwie znam, wydaje się silniejsze niż chęć ukarania LaRoux. A to przeraża mnie bardziej niż cokolwiek innego.

– Ufam Mae – mówi Gideon. Jego głos jest cichy i napięty. Dopiero teraz widzę, jak bardzo przeżywa utratę swojej kryjówki. Nie jest gotowy, by opuścić tę bezpieczną przystań. – Ufam jej o wiele bardziej niż tobie.

Powoli wciągam powietrze, nie przyznając się do tego, jak bardzo mi dopiekł. Prawdę mówiąc, nie mogę go winić – nie powinien mi ufać.

– Każdego można kupić – odpowiadam łagodnie. – Każdy ma swój słaby punkt. Czy jej lojalność wobec ciebie jest dla niej ważniejsza niż własne życie? Niż życie jej dzieci?

Wbrew sobie Gideon spogląda na półeczkę nad ekranem holowidu zastawioną zdjęciami bliźniąt.

Wykorzystuję przewagę i nie odpuszczam.

– Powiedz jej, że musimy sprawdzić jakiś trop, spotkać się z informatorem czy coś w tym stylu. Wymyśl jakąś wymówkę, żebyśmy mogli wyjść, a jeśli spróbuje nas zatrzymać, będziesz wiedział, że ma ku temu powód.

Gideon w milczeniu kręci głową, wpatrując się w ekran HV, gdzie przy dźwiękach najnowszego popowego przeboju rozgrywa się właśnie scena na stacji kosmicznej. Kiedy wraca Mae z dużą miską popcornu, spogląda na nią z uśmiechem, a jego gniew topnieje. Ściska mnie w żołądku.

– Proszę – mówi, podając nam miskę. – Zero chemii. To prawdziwa kukurydza. Raz ją kupiłam, a teraz moje dzieciaki nie chcą tknąć niczego innego. – Chrząka i odwraca się, żeby wrócić do kuchni.

– Nie będziesz z nami oglądać? – pyta Gideon, kładąc sobie miskę na kolanach.

– Nie, nie, mam trochę zajęć. – Mae się nie odwraca.

Gideon milknie i spogląda do miski, zaciskając szczęki. W końcu mówi powoli:

– My też nie możemy długo zostać. Dostałem wiadomość od jednego z informatorów, więc musimy jak najszybciej zjawić się w ustalonym miejscu, zanim trop zniknie.

Przez jedną szaloną chwilę marzę o tym, by złapać go za rękę, ale się hamuję. Nawet jeśli Gideon sprawdza moją teorię, nie oznacza to, że pragnie mojego pocieszenia.

Mae stoi nieruchomo w przejściu do kuchni. Zbyt długo zwleka z tym, by się odwrócić, a to, że swoboda, z jaką opiera się o framugę, jest wymuszona, musi być oczywiste nawet dla Gideona.

– Nie przejmujcie się tym – mówi z uśmiechem. – Oboje wyglądacie na wycieńczonych. Wyślij wiadomość, powiedz informatorowi, że zjawicie się wieczorem albo jutro. Potrzebujecie wypoczynku bardziej niż kolejnego strzępka informacji.

Gideon pochyla się do przodu, stawia miskę na stoliku i wstaje.

– Żałuję, ale nie możemy, Mae. Możemy zdobyć dowody na to, co knuje LaRoux. Będziemy ich potrzebować, nawet jeśli policja zdoła powstrzymać zamach, do którego miałyby dojść na Dedalu.

Mae się prostuje, spogląda w bok, gdzie na ścianie w kuchni wyświetla się godzina, i z powrotem na nas.

– Dam znać XFactorowi albo jednemu z adminów ze slumsów, żeby poszli tam za was.

Nonszalancja Gideona topnieje, a jego sylwetka staje się przygarbiona.

– Mae – szepcze. – Coś ty zrobiła?

Przez twarz Mae przebiega skurcz, a kiedy jej uśmiech znika, mam wrażenie, że staje mi serce. Miałam rację. Nie odczuwam nienawiści – zamiast tego bolą

mnie płuca. Rana zadana przez zdradę goi się najtrudniej.

– Mają moje dzieci – odpowiada, a w jej głosie słycać z trudem powstrzymywane łzy. – Nie miałam wyboru.

Gideon wyrzuca z siebie przekleństwo i zaczyna wpychać rzeczy z powrotem do plecaka.

– Co wiedzą? Skąd wiedzieli, że mają zatrzymać twoje dzieci?

Mae kręci głową.

– Nie wiem, ale rozmawiałam przez telefon z Mattiem. – Jej głos drży. – Zabrali ich ze szkoły. Powiedział mi, że mam was tu trzymać, dopóki...

– Cholera, cholera, cholera! – Gideon wpycha ekran do plecaka, po czym podnosi wzrok i patrzy mi w oczy. W jego spojrzeniu obok płataniny emocji dostrzegam także skruchę.

– LRI musi mieć informatorów w policji. – Moje myśli błędzą, a zmęczenie sprawia, że nie do końca wiem, co się dzieje. – Ludzi, którzy przechwycili wiadomość o zagrożeniu... Ale jakim cudem udało im się namierzyć nas tutaj?

Gideon kręci głową. Ma rozbiegane oczy.

– Nie wiem. Nie powinni byli do tego dojść. Pewnie popełniłem błąd, gdzieś się potknąłem.

Ruszył mi z pomocą do LRI po zaledwie kilku godzinach snu. Nie wiem, jak mogliśmy nie przewidzieć tego rodzaju trudności. Chłopak zaciska żuchwę i wiem, że w takim samym stopniu martwi się losem dzieci Mae, co naszym bezpieczeństwem.

Mam ochotę się rozplakać, rzucić na podłogę i poddać. Dom Mae to ostatnia z wielu bezpiecznych przystani, którą odbiera nam LaRoux. Jeśli jego ludzie przechwycili naszą informację, oznacza to, że nie udało nam się go powstrzymać, a nawet spowolnić. Wciąż zamierza umieścić szczelinę na Dedalu, delegaci Rady Galaktycznej padną ofiarą jego zmieniających osobowość szeptów, a nasz świat stanie się czymś obcym – zrobią, co im rozkaże, i nikt nie zdoła ich powstrzymać. Całe to napięcie, które nosiłam w sobie aż do wysłania informacji o zagrożeniu bombowym, powraca do mnie ze zdwojoną siłą, a jest teraz tym trudniejsze do zniesienia, że zaczynałam już wierzyć, iż jesteśmy wolni.

Z ogromnym wysiłkiem utrzymuję się na nogach, niemal wrastając w podłogę. Nakazuję sobie: powoli, krok po kroku.

– Ile mamy czasu? – pytam Mae, starając się, by w moim głosie nie było słycać żalu.

Stało się i wskazywanie winowajców w niczym teraz nie pomoże.

– Nie wiem. Pewnie wykryli, że wasza wiadomość została wysłana z mojego mieszkania. A może wiedzą, że jestem współniczką...

– Mae – przerywa jej Gideon. – Wiesz, gdzie przetrzymują twoje dzieci?

Kręci głową, całym ciężarem ciała opiera się o framugę, po czym powoli

osuwają się na podłogę.

– Boże, nie mogę w to uwierzyć. To nie dzieje się naprawdę.

Gideon stoi w miejscu, rozdarty, a mowa jego ciała wskazuje, że pokusa, by pocieszyć Mae, walczy w nim z chęcią ucieczki.

– Gideonie – mówię cicho. – Musimy iść. Mae, porzuci rzeźby, żeby wyglądało, jakbyśmy walczyli.

Wciąga haust powietrza, ale bez wahania się schyla, przewraca stolik, a stojący na nim wazon roztrzaskuje się o ziemię.

Gideon stawia krok, po czym się zatrzymuje.

– Jakoś to rozgryziemy – mówi do Mae pośpiesznie. – Powiedz im, że robiłaś, co mogłaś, że dopiero co wybiegliśmy. Powiedz im... – Urywa, a kiedy na niego spoglądam, na jego twarzy dostrzegam niezdecydowanie.

Przez krótką chwilę niemal wyczuwam jego myśli, jakby przepływały przez moją głowę. Im więcej informacji Mae przekaże LRI na temat Gideona, tym bardziej prawdopodobne, że uznają, iż kobieta współpracuje, i będzie miała większe szanse na odzyskanie dzieci. Jednak z każdą kolejną informacją pozbawi Gideona anonimowości, sprawi, że będzie wystawiony na ciosy i bezbronny. Rozumiem to.

Chłopak waha się zaledwie przez moment.

– Powiedz im wszystko, co o mnie wiesz.

Twarz Mae i tak jest już biała, ale jej oczy jeszcze bardziej się rozszerzają.

– Wszystko? Masz na myśli...

Gideon macha ręką i przerywa jej w połowie zdania.

– Tak. Właśnie to. Albo uda nam się pokonać LaRoux, albo nie, więc tak czy inaczej... – Ciężko wzdycha. – Nie będę już potrzebował... swojej wirtualnej tożsamości. – Jego głos łagodnieje. – Współpracuj z nimi, Mae, a wypuszczą twoje dzieci.

Nie chce mi zdradzić swojej wirtualnej tożsamości i choć w głębi duszy boli mnie, że ta kobieta wie o nim więcej niż ja, nie mogę go winić za to, iż ma przede mną tajemnice. Ja też nie o wszystkim mu powiedziałam.

Mae płacze, rozrzucając poduszki po podłodze, tworząc krajobraz po bitwie, a jej ręka krwawi zraniona szklanym odłamkiem wazonu, ale kiwa głową. Gideon dźwiga plecak i spogląda na mnie. Łapię aluzję i ruszam do drzwi.

– Wiedzą, kim jestem. Wielokrotnie widzieli nasze twarze na materiałach z monitoringu. Ukrywanie tożsamości nie ma już sensu. Może być jedynie wartością, dzięki której udowodnisz, że współpracujesz, i odzyskasz dzieciaki. Powiedz im wszystko, co będą chcieli wiedzieć.

Mae cicho kiwa głową, a Gideon odwraca się, żeby do mnie dołączyć, muskając mój łokieć, kiedy przykładam dłoń do skanera przy drzwiach. Rozsuwają się z sykiem. Jednak po chwili Mae wydaje zduszony szloch, po czym odchrząkuje.

Przystajemy.

– Gideonie... Alice... – Patrzy na nas. – Przykro mi.

Gideon zaciska palce na moim łokciu.

– Mnie też. – Wyprowadza mnie z mieszkania przy akompaniamencie śmiechu aktora płynącego z odtwarzanego w salonie filmu.

Kolejne drzwi się za nami zatrzasują.

Gideon nie porusza się, więc również stoję bez ruchu, czując na skórze jego gorące palce. Nie wiem, co powiedzieć.

Chrzanić to. Później znów wyliczę bezpieczny dystans.

Robię krok naprzód, żeby móc się obrócić i objąć go w pasie, po czym przywieram do niego całym ciałem.

– Tak mi przykro.

Gideon jęczy zduszonym głosem i pochyla się, tak że dotyka czołem mojego ramienia. Obejmuje mnie. Wciąż mam na sobie te same ciuchy, w których zabrano mnie z mieszkania, więc muszę cuchnąć, ale jego uścisk staje się mocniejszy.

– Ja tylko... Mae... – mamrocze mi w ramię.

Biorę oddech.

– Jest dla ciebie jak rodzina – odpowiadam. – LaRoux odebrał ci także ją.

Na plecach czuję, że palce Gideona się naprężają. Zaciska je na moim swetrze.

Odwracam głowę, żeby mój głos zarezonował w jego piersi.

– Niczego więcej nam nie odbierze. Nie pozwolimy mu na to.

A więc test.

Będziemy ich obserwować. Będziemy ich śledzić przez cienkie punkty, obrazy i słowa sączące się do naszego świata i w tych krótkich chwilach będziemy mogli uciec z klatek, w których zamknął nas niebieskooki mężczyzna.

Musimy zdecydować, czy sami staniemy się jednostkami, zrozumieć, co oznacza bycie człowiekiem. Musimy ich poznać co do atomu, co do iskier, które sprawiają, że są, kim są. Musimy zawęzić poszukiwania, znaleźć kilka osób, których życie składa się z bólu i radości. Kilka osób, które mogą się stać czymkolwiek. Które mogą wpaść w ciemność, nienawiść i zemstę lub które wykorzystają ból i staną się kimś więcej.

Zacznijemy od małej dziewczynki o brzoskwiniowych włosach, której oczy przypominają oczy naszego strażnika. Kiedyś się zaśmiała i pokazała nam miłość.

GIDEON

Serce chce mi się wdrzeć do gardła, kiedy wraz z Sofią biegniemy ulicą. Mam wrażenie, że moje nogi są obciążone balastem, co jakiś czas się potykam, a mój oddech staje się urywany. Nie ma sensu próbować żadnego podstępu – znajdujemy się na przedmieściach zamieszkałych głównie przez rodziny i nie ma tu tłumu, wśród którego moglibyśmy się ukryć, ani bocznych alejek, do których moglibyśmy się wślizgnąć. Pod każdym względem jesteśmy obnażeni. Zawsze powtarzałem Mae, że właśnie dlatego to miejsce jest niebezpieczne. Ze śmiechem odpowiadała, że jest idealne dla jej dzieci.

Jej dzieci.

Moje myśli zwalniają, a kiedy stopy uderzają o chodnik, niepokój zmienia się w gniew, chwytając się czegoś łatwiejszego niż cierpienie. Kto robi z dzieci niewolników? Gdyby chodziło tylko o mnie, oddałbym się w ich ręce, ale Sofia i ja znajdujemy się pomiędzy LaRoux a koszmarem, jaki może zgotować ludziom ta szczelina. Wizja Mae stojącej za nami, zupełnie samej, sprawia, że przeszywa mnie kłujący ból i coraz trudniej mi się oddycha, jak gdyby ktoś zaciskał mi palce wokół gardła.

Sofia ciągnie mnie za rękę, kiedy docieramy do skrzyżowania z większą ulicą, na której w końcu dostrzegamy ludzi, kilka poduszkowców i szansę, by wtopić się w tłum. Nasze palce splatają się ze sobą i choć wiem, że powinienem ją puścić, mam to gdzieś. Tylko ona mi pozostała.

Tylko Sofia i determinacja, która bucha we mnie płomieniem większym niż kiedykolwiek wcześniej.

To wszystko sprawka LaRoux – to on odebrał mi dom i Mae, ale niczego więcej mi nie zabierze. Ani jednej rzeczy.

Musimy pokonać maksymalnie dużo poziomów w dół, i to jak najszybciej. Musimy znaleźć miejsce, w którym nikt nas nie będzie szukał, miejsce, w którym znikniemy. Miejsce zapomniane.

Sofia ściska moją dłoń, kiedy odwracamy się do najbliższej windy, a ja odpowiadam tym samym. Jestem mieszaniną strachu, złości, bólu i urazy. Siedzimy w tym razem i nie zamierzam jej stracić.

Więc biegniemy.

W dół.

W dół.

W dół.

By skryć się w ciemności.

Chłopiec, ten na szarej planecie, z siostrą wypełnioną ogniem. Dokonała wyboru i widzimy jej przyszłość, wiemy, dokąd doprowadzi ją droga – do nagłego końca krótkiego życia. Zbyt krótkiego, byśmy mogli je odczytać, zrozumieć.

Przyszłość chłopca wciąż jest ciemna, równie niewyraźna jak chmury spowijające tę planetę. Nie widzimy, dokąd dotrze, kim się stanie. Śmierć siostry odmieni go na zawsze, zasieje w jego duszy jednocześnie ziarna mściwości i miłosierdzia. Które z nich wybierze, tego nie wiemy.

Jego także będziemy obserwować, zielonookiego chłopca, dziecko wody, szuwarów i bezkresnego szarego nieba.

SOFIA

Przykucamy osłonięci od ulicy kilkoma kontenerami na odpadki, w alejce kilka kilometrów od dawnej kryjówki Gideona. Tu, na dole, nie sposób określić, ile czasu upłynęło, ale ciało podpowiada mi, że musiało minąć wiele godzin – na górze będzie już zmierzchać. Gideon wciąż nie puścił mojej dłoni, a ja nie próbuję jej uwolnić. Mimo odgłosów podziemnego miasta, które porusza się i oddycha wokół nas, cisza jest pełna napięcia, gorąca i bezwzględna. Zamykam oczy.

– Musimy tam pójść osobiście. – Gideon przerywa milczenie, które zdawało się nie mieć końca.

Unoszę głowę, z niejakim trudem koncentrując się na jego profilu.

– Dokąd?

– Na Dedala. – Jego palce poruszają się i lekko zaciskają wokół moich. – Zwrócenie się do władz ściągnęło na nas nagonkę. Sami musimy go powstrzymać. Zniszczyć szczelinę lub jakoś ją unieszkodliwić, uniemożliwić LaRoux przejęcie władzy nad senatorami z Rady.

Całe moje jestestwo protestuje przeciwko temu – ujawnienie postępowania LaRoux oznacza ujawnienie siebie, Gideona, mojej przeszłości. Nawet jeśli wygramy, jeśli powstrzymamy to, co ma się wydarzyć, LaRoux nigdy za to wszystko nie zapłaci, nie tak jak powinien.

Ale będzie tam we własnej osobie, na pokładzie statku...

Część mnie ma ochotę wyznać Gideonowi prawdę, powiedzieć mu, że plan powstrzymania LaRoux może jest dobry, ale zależy mi na tym, by LaRoux zapłacił za to, co zrobił mojemu ojcu. I mnie. Przełykam ślinę.

– To ogromny statek. Jeśli ukrywa szczelinę przed gośćmi, jak ją znajdziemy?

– Zajmę się tym – odpowiada Gideon, który w końcu się odwraca, by spojrzeć na mnie kątem oka. – Szczelina zużywa ogromną ilość energii. W dniu, w którym poznaliśmy się w siedzibie głównej LRI, zaobserwowałem dziwne skoki energii. Wtedy nie wiedziałem, że w pomieszczeniu znajduje się szczelina, ale teraz jestem pewien, że to właśnie ona je powodowała. Gdybym mógł się dostać na pokład, monitorowałbym zużycie energii statku. Tylko że oni mają osiem poziomów zabezpieczeń. Nie zdołam nas tam wprowadzić.

Wertuję w głowie listę kontaktów, skupiając się na tych, którzy zapewne nie zostali jeszcze ujawnieni.

– Ja mogę nas tam wprowadzić – szepczę.

– Sofio – odzywa się po chwili wahania. – Wiem, że... że żadne z nas nie

zajmuje się takimi rzeczami. Ale nie mam pojęcia, kto inny mógłby go powstrzymać.

Uważnie dobieram słowa, starając się, by nie zauważył ciężaru, jakim są obarczone.

– Chciałabym, żeby ktoś po prostu... z tym skończył. Żeby skończył z nim.
– Moje serce łomocze w ciszy, jaka zapada po tych słowach. W ten sposób przedstawiłam Gideonowi swój ostateczny cel, ale nie mam pewności, czy opowie się po mojej stronie, czy napiętnuje mnie za to, że myślę o zemście.

Gideon znowu wzdycha i opiera głowę o imitację cegły, z której zbudowany jest dom za naszymi plecami.

– To niczego by nie rozwiązało. LaRoux ma przynajmniej kilku zastępców, którzy zajęliby jego miejsce i kontynuowali jego działania. Musimy powstrzymać całą korporację, a nie jej szefa. – Uścisk jego palców lekko się rozluźnia, jakby zamierzał puścić moją dłoń.

Znów zamykam oczy. Myślę o broni, która wciąż leży na podłodze mojego apartamentu, o twarzy ojca, o jego pustych oczach na chwilę przed tym, jak wszedł do koszar. Myślę o Flynnie w dniu, w którym widziałam go po raz ostatni, o chłopaku, którego kiedyś znałam na wylot, a który załamał się po tym, co LaRoux zrobił z nim i naszym domem. Jakie znaczenie ma korporacja, jeśli jej mózg nigdy nie zapłaci za swoje czyny?

– Masz rację – odpowiadam głucho, próbując zignorować to, jak wielki ból zadaje mi owo kłamstwo. Nie mogę sobie pozwolić na to, by go poczuć. Zaciskam więc dłoń, tak by Gideon myślał, że nie chcę go puścić.

A najgorsze w tym wszystkim jest to, że naprawdę tego nie chcę.

Nie możemy ryzykować noclegu w żadnej legalnej kwaterze, bo LRI z pewnością monitoruje każdy centymetr sektora, próbując nas namierzyć. Ale robi się późno i oboje jesteśmy wykończeni. Musimy znaleźć miejsce, w którym będziemy mogli się przespać. Gideon ma pomysł, gdzie możemy się zatrzymać na kilka najbliższych dni, i przysięga, że znikniemy z radaru. Mówi, że nie ma tam kamer ani ludzi. Wydaje mi się to prawie niemożliwe. Ale on zna to miejsce lepiej ode mnie, a wszystkie moje kontakty, które tu miałam, dawno przepadły. Nie mam wyboru. Muszę mu zaufać.

Kiedy wchodzi do sklepu z używanymi artykułami, żeby kupić koce i kilka potrzebnych rzeczy, ja wprawiam całą operację w ruch. Za pomocą jednego z przedpłaconych palmpadów na kartę, które dał mi Gideon, proszę swojego informatora, by zdobył dla nas zaproszenia na galę na Dedalu, a innego o to, by znalazł nam coś do ubrania, tak byśmy się nie wyróżniali. Wszystko załatwiam i kiedy Gideon wychodzi ze sklepu, mogę wrzucić palmpada do najbliższego kosza na śmieci.

Pod względem ilości światła noc w slumsach nie różni się za bardzo od dnia

– nawet w najbardziej słoneczne dni niewiele promieni dociera do ulic, parków i alei na środkowych i wyższych poziomach. Zmierzch to po prostu subtelne zaciśnięcie się mroku, kiedy to brudnoszare światło ustępuje miejsca całkowitej ciemności.

Jeśli jednak chodzi o mieszkańców podziemnego miasta, to właśnie w nocy ulice ożywają.

Gideon prowadzi mnie wzdłuż ulic i przez boczne alejki, nad którymi kołyszają się wielobarwne latarnie z różnych materiałów – papieru i tkaniny, tak by można je było wymienić, kiedy zanieczyszczenie powietrza doprowadzi do ich odbarwienia – jaśniejące jak płomienie. Liczba sprzedawców ulicznego jedzenia się potroiła, a powietrze przesycają zapachy czosnku i oliwy, kawy, ziela angielskiego i drożdży, którym udaje się zdławić woń smogu. Gdzieś w oddali słyszę muzykę o surowym brzmieniu, które podpowiada mi, że ktoś wykonuje ją na ulicy. Skrzypce i erhu współzawodniczą ze sobą na tle cajónu i przez chwilę zapominam o LaRoux, Dedalu i porzuconej w mieszkaniu broni. Przez jedną szaloną chwilę potrafię marzyć tylko o tym, by to wszystko rzucić, dać się ponieść muzyce i zatańczyć z Gideonem.

Po ulicy przetacza się ciężarówka, a Gideon łapie mnie za rękę, ściągając na siebie moją uwagę.

– Chodź, musimy podjechać.

– Czekaj, ja nie...

On jednak nie czeka, zaczyna biec, nie puszczając mojej ręki, więc też muszę truchtać albo dać się mu ciągnąć. Ciężarówka nie jedzie zbyt szybko – na zatłoczonych ulicach podziemia jest to niemożliwe – a kiedy nas mija, Gideon wyciąga rękę, łapie za poręcz przy drzwiach ładunkowych, po czym wciąga mnie do góry.

Każdego innego dnia dociełabym mu, że się popisuje albo że korzysta z okazji, by mnie objąć i przycisnąć ciałem do ciężarówki. Każdego innego dnia walczyłabym o to, by zostać na chodniku. Ale ten dzień jest inny, a kiedy znajdziemy się na gali, wszystko może się zdarzyć. Jeśli na Dedalu będę miała szansę zrobić to, co zamierzam. Kiedy będę ją miała.

Pozwalam więc, by Gideon mocno objął mnie w pasie, i lekko odchyłam głowę. Nad naszymi głowami ze świstem przelatują latarnie, przemykając jak meteory pośród gęstej nocy. Przez te kilka miesięcy, odkąd zmieniłam obskurną kamienicę na apartamentowiec, zapomniałam, jakie to miejsce potrafi być piękne.

Ciężarówka zatrzymuje się na czerwonym świetle, a Gideon ściska moje ramię, po czym zeskakuje z paki. Wciąż trzyma mnie za rękę i pomaga mi zejść, ale kiedy tylko stoję na nogach, puszcza moją dłoń.

– Tędy. – Wskazuje głową szczególnie ciemną alejkę, całkowicie pozbawioną latarni.

Pozwalam, by pociągnął mnie za sobą, i trzymam się na tyle blisko, by widzieć jego sylwetkę. Z kieszeni wyciągam kolejny przedpłacony palmpad, który mi pożyczył, i klikam w niego, tak by delikatny niebieskawy blask ekranu oświetlał mi drogę. Gideon zagłębia się w ciemność, a po kilku metrach zatrzymuje przy zabitych deskami drzwiach. Spodziewam się usłyszeć jęk zawodu – najwyraźniej zamknięty, porzucony budynek nie jest miejscem, w którym powinniśmy się znaleźć – jednak on zaczyna macać krawędzie listew. Nie widzę, co znajduje, ale po kilku chwilach cały panel desek otwiera się na zewnątrz wraz z drzwiami.

– Pani przodem. – Składa ukłon, który doceniliby najwytworniejsi goście przyjęcia na Dedalu, ukłon chłopaka, który wiedział, na jakie dzieło sztuki na ścianie apartamentu Kristiny warto zwrócić uwagę.

Zachowuję to spostrzeżenie na później.

– Mam nadzieję, że nie zamierzasz mnie zamordować – mamroczę, wkraczając w przestrzeń kryjącą się za drzwiami.

Wnętrze wydaje się przestronne, a mój głos niesie się echem. Światelko palmpada jest zbyt niewyraźne, by rozproszyć ciemność rozciągającą się dalej niż metr ode mnie.

Gideon nie odpowiada – słyszę tylko, jak jego kroki oddalają się i cichną. Prawie wpadam w panikę, że mnie porzucił, gdy rozbłyśnie światło. W oddali zapala się neonowy znak. MUZYKA NA ŻYWO, głoszą jaskrawe zielone i niebieskie litery. Po chwili włącza się kolejne światło, a za nim kolejne i kolejne, aż stają się kaskadą rozjarzonych witryn i latarni.

Mam przed sobą pasaż porzuconych sklepów i restauracji. Posadzka jest zrobiona z kamiennych płytek, a pokrywająca wszystko gruba warstwa kurzu sprawia, że odbicie neonowych świateł staje się zamglone – jak odbicia świateł domów szeregowych na rzece.

Odwracam się i spostrzegam Gideona przy wejściu, gdzie zamyka staromodną skrzynkę z bezpiecznikami. Na mojej twarzy musi się malować zaskoczenie, bo kiedy chłopak na mnie spogląda, jego usta wyginają się w pełnym samozadowolenia uśmiechu.

– Wystarczy, żeby zatrzymać się tu na kilka dni? – droczy się ze mną.

– Co to za miejsce? – Wzdycham.

– Kiedyś było tu centrum handlowe – odpowiada Gideon, podchodząc do mnie. – Musieli je zamknąć jakieś trzydzieści lat temu. Zauważ, że nie ma tu hipernetowych billboardów, tylko neony retro i cyfrowe szyldy. Domyślam się, że opróżnili teren, żeby zrównać je z ziemią i wybudować tu osiedle, ale deweloper obrał inny kierunek rozwoju albo firma porzuciła ten projekt. Nie wiem. Koniec końców to miejsce zostało zapomniane.

Szukam odpowiedzi, ale jestem zbyt wstrząśnięta tym dziwnym widokiem – całą dzielnicą zamrożoną w czasie – żeby ułożyć jakąś sensowną

wypowiedź. Chciałabym mu powiedzieć, że jest pięknie, bo to prawda, i że panuje tu także smutek... Samotna poświata szyldów skierowanych do klientów, którzy nigdy się tu nie zjawiają, i rzucających światło na zakurzoną kamienną podłogę, gdzie jedynymi śladami są nasze własne.

Gideon się odsuwa i kładzie plecak na ziemi. To samo robi z torbą z zakupami. Jednym z koców zmiata kurz, po czym kładzie na nim kolejne, żebyśmy mogli usiąść. Dołączam do niego, wciąż zafascynowana pasażem, a jednocześnie zbyt zmęczona, by nie opaść na ziemię u jego boku. W ciągu ostatnich dwóch dni spałam tylko kilka godzin, w kryjówce Gideona. On jeszcze mniej.

– Udało mi się zdobyć plan Dedala – mówi, wyjmując z plecaka palmpada i włączając urządzenie. – Maszynownia, w której najpewniej umieszczą szczelinę, znajduje się kilka pokładów poniżej miejsca, gdzie odbędzie się gala. Strażnicy będą pilnować, żeby ludzie nie opuszczali głównego pomieszczenia, ale zajmę się tym.

– Myślisz, że tak łatwo włamiesz się do systemu LRI? – Unoszę brew, ale on koncentruje wzrok na ekranie.

– Nieraz to robiłem – mówi z roztargnieniem, jak gdyby nie uważał tego za wielkie dokonanie. – Ale na tej gali będzie pełno ludzi. Nie mam kilku tygodni, żeby zatrudnić się u nich jako informatyk.

– Pójdziemy jako goście.

Kiedy z zaskoczeniem unosi głowę, przesyłam mu uśmiech.

– Nie panikuj. Nie tak trudno wtopić się w tłum. Przez jakiś czas będziemy grzeczni, napijemy się szampana, zatańczymy i tak dalej, ale w pewnym momencie pojawi się LaRoux i prawdopodobnie także jego córka, żeby wygłosić kilka przemów.

Usta Gideona drgają, ściąga brwi.

– A co, jeśli LaRoux widział materiały z monitoringu i wie, jak wyglądamy? Rozpoznają nas.

– Wymkniemy się, kiedy wejdzie na scenę. Samo muzeum będzie zamknięte. Będziemy mieli dość czasu, żeby dostać się do maszynowni, zanim otworzą wystawę dla publiczności.

Chyba że zdołam strzelić do LaRoux, zanim wymkniemy się z sali balowej.

Odchrząkuję.

– Wcześniej zapoznamy się z etykietą obowiązującą na tego typu balach, żebyś przypadkowo nie obraził połowy członków planetarnych delegacji.

Kiedy zaglądamy do planu imprezy, nie mogę przestać myśleć o Danieli. Ta kobieta nauczyła mnie większości rzeczy, które miały mi się przydać w ciągu tych kilku pierwszych tygodni po opuszczeniu Avonu. Jako trzydziestolatka nie mogła już udawać niewinnej nastolatki, więc wysyłała młodszą partnerkę tam, gdzie sama

nie dała rady się udać. Trzymałyśmy się razem przez trzy miesiące. Ale w pewnym momencie Dani zdradziła mnie z taką samą łatwością, z jaką przyjęła mnie pod swoje skrzydła, i rzuciła na pożarcie władzom, kiedy jeden z naszych celów domyślił się, że chcemy mu ukraść pieniądze.

Umysł nie chce mi pomóc wypowiedzieć pytania, które wprowadza niepokój w moim sercu. Nie spytam samej siebie, czy zdradzenie Gideona przyszłoby mi równie łatwo, zwłaszcza teraz, kiedy stracił Mae. Będzie, co ma być. Chcę powstrzymać LaRoux w takim samym stopniu jak on, ale jeśli będę musiała wybrać pomiędzy ujawnieniem prawdy o szczelinie, żeby pogrążyć korporację, a zniszczeniem samego LaRoux... Gideon postawił sprawę jasno – kiedy przyjdzie co do czego, wybierze to pierwsze wyjście. A to oznacza, że muszę być gotowa, żeby go opuścić.

Opracowujemy przykrywkę. Wystąpimy jako Jack Rosso i Bianca Reine, para absolwentów liceum z alfamiasta na Paradise, która znalazła się na gali w ramach szalonej podróży po Galaktyce przed rozpoczęciem studiów. Wyszukuję projektanta, który chce się pozbyć kolekcji z zeszłego sezonu po okazyjnej cenie, i dzwonię do krawca w śródmieściu, by podać mu wymiary Gideona. Chłopak zdaje się gotowy przeznaczyć na to nielimitowane fundusze. Sama nie klepię biedy, ale najwyraźniej on poradził sobie na tyle dobrze, że mógł wybrać o wiele przyjemniejsze lokum niż to, które niedawno wysadził w powietrze. Kiedy ja załatwiam nam ciuchy u informatora, Gideon dalej przeprowadza swoje sztuczki w bazach danych i udaje mu się stworzyć fałszywe chipy identyfikacyjne wraz z holograficznymi projekcjami naszych twarzy, w razie gdyby ktokolwiek wyjął je nam z palmpadów.

Nie pytam, kiedy zeskanował mnie czytnikiem 3D. Nie chcę wiedzieć.

Gideon odkrywa zdjęcie Mae i bliźniąt, które wrzuciła do sieci z dzisiejszą datą, w ten sposób dając nam znać, że je odzyskała. Na ich widok opada z niego część napięcia, które dźwigał na barkach, ale wiem, że utrata ostatniej bezpiecznej przystani naprawdę go zmiażdżyła.

Dzień układa się zrywami w nagłe chwile ożywienia i aktywności oraz długie, bolesne godziny, kiedy możemy tylko czekać. Moglibyśmy wykorzystać ten czas, by opowiedzieć o sobie, zbliżyć się do siebie, związani misją, którą sami wybraliśmy. Jednak żadne z nas nie robi pierwszego kroku. Milczymy i zachowujemy swoje sekrety, a ukrywając się w tym miejscu zawieszonym w czasie, mamy wrażenie, że sami jesteśmy w nim zawieszeni.

Próbuję znaleźć sposób, żeby się stąd wydostać choć na kilka godzin, ale Gideon przywarł do mnie jak klej i ma ku temu wszelkie powody. Muszę jednak wrócić do mieszkania, tylko na chwilę, żeby zabrać z sypialni Kristiny plastenowy pistolet. Zdobycie tak nielegalnej broni zajęło mi wiele miesięcy i nie ma mowy, żeby udało mi się kupić inną przed urzeczywistnieniem planu dostania się na

Dedała. Nie chcę też, by Gideon wiedział, dlaczego zależy mi na zabraniu ze sobą broni.

Dwa dni przed galą w końcu się poddaję.

– Będę musiała na chwilę wyjść – mówię, wpatrując się w ekran najnowszej przedpłaconego palmpada, który od niego dostałam. Wiem, że na mnie spogląda. Słyszę jego oddech, ale nie podnoszę wzroku. Staram się brzmieć zwyczajnie. – Muszę odebrać ciuchy i kilka innych rzeczy.

– Spoko – odpowiada Gideon beztrąsko. – Pójdę z tobą. Pomogę ci uniknąć kłopotów, żeby cię nie dopadli.

Odchrząkuję, w końcu odrywam wzrok i spoglądam na niego z uśmiechem.

– Nie chcę urazić twojej dumy macho, ale sama sobie poradzę.

– Tak jak wtedy w apartamencie? – Jego uśmiech słabnie i widzę, że natychmiast pożałował swoich słów.

Nie potrafię być nonszalancka, udawać, że jego uwaga mnie nie dotknęła. Jednak wracam myślami do apartamentu, gdzie ukrywałam się przed mężczyznami dwukrotnie większymi niż ja. Przełykam ślinę i spuszczam oczy, żeby Gideon nie dostrzegł w nich strachu.

– Samej łatwiej mi będzie wtopić się w tłum.

Kiedy nie odpowiada, podnoszę wzrok. Wciąż się na mnie gapi, zupełnie niewzruszony tym, że go przyłapałam. Nie odwraca wzroku, ale lekko przekrzywia głowę, jak gdyby chciał na mnie popatrzeć pod lepszym kątem. Znowu poraża mnie jego bystrość – tak łatwo ją przegapić, kiedy zgrywa przed światem aroganckiego, bezczelnego dupka. Już nie wiem, czy udaje mi się go nabrać na te wszystkie wymówki, że chcę być sama. A najgorsze jest to, że mam całkowitą pewność, że wcale tego nie chcę.

– Muszę się dostać do mieszkania – szepczę, zanim udaje mi się ugryźć w język.

Gideon przymyka oczy i odrobinę zbyt długo ich nie otwiera. Miałam rację. Wiedział, że coś ukrywam. Niech myśli, że chodzi o to.

– Sofio, nie możesz.

– To dlatego nic ci nie powiedziałam – odpowiadam ostro. – Wiem, że to niebezpieczne. Ale tylko wejść i wyjść, zajmie mi to minutę. Nie zdążą zareagować, nawet jeśli zamontowali kamery bezpieczeństwa.

Gideon się krzywi i z nachmurzoną miną spogląda na drzwi.

– Co może być tak ważne, że zamierzasz ryzykować życie?

Moja broń. Te dwa słowa krążą mi po głowie. Jedyne sposoby, żeby wydostać się z tego piekła. Jedyna szansa, jedyny strzał – i to dosłownie. Jedyna broń, którą zdołam przemycić pod nosem strażników LaRoux. Ścisną mi się gardło i ku mojemu przerażeniu zaczynają mnie szczypać oczy. Próbuje zdusić w sobie wypełniające mnie emocje, przekształcić je w coś innego – rozgoryczenie, zapal

lub pewność siebie – ale nic z tego. On wciąż na mnie patrzy i właśnie w tej chwili uświadamiam sobie, że nie potrafię kłamać.

– Mój ojciec... – chrypię w końcu, gęsto mrugając, tak że do policzka przywiera łza. – W tym mieszkaniu znajduje się jego jedyny portret. Jeśli go stracę... – Zaciskam dłonie na kocu, na którym siedzę, desperacko próbując odzyskać kontrolę. – Jeśli go nie odzyskam, przepadnie. Na zawsze.

To prawda. Rzeczywiście chcę odzyskać ten rysunek, wetknięty za jedno z fałszywych zdjęć na kredensie, prawie tak samo jak broń porzuconą w sypialni. Prawie, ale nie do końca.

Twarz Gideona, a raczej to, co widzę zza mgły łez, łagodnieje.

– Rozumiem, naprawdę. Wiesz, że rozumiem. – Przenosi wzrok na plecak i przez krótką chwilę na jego twarzy odmalowuje się rozpacz.

Przypominam sobie o książce, którą zabrał ze swojej kryjówki. To jedyna rzecz niebędąca sprzętem komputerowym.

– Ale Sof... To tylko rzecz.

Potrząsam głową, a gwałtowny ruch sprawia, że po moim policzku spływa kolejna łza. Nawet teraz wspomnienie tego obrazka – rysunku, który zrobił dla mnie Mihall, ponieważ nie mieliśmy aparatu – się zaciera. Próbuję wyobrazić sobie twarz ojca, jego głos, a strzępki przeszłości trzepotliwie przelatują obok, ulotne, niedające się poskładać w całość. Specyficzny wzór, w jaki układały się zrogowacenia na jego dłoniach, fałszywa piosenka, którą gwizdał pod nosem przy pracy, szuranie butów na wycieraczkę, kiedy wracał do domu. Ilekroć sięgam po jedno wspomnienie, pozostałe znikają.

Kiedy jednak trzymam w dłoniach tę kartkę, fragmenty wracają na miejsce, przyciągane do linii atramentu i grafitu jak ćmy do papierowych latarni oświetlających nocą podziemne miasto.

– To coś więcej niż rzecz – szepczę.

Gideon przez długą chwilę milczy, po czym wzdycha.

– Masz rację. Tylko... uważaj, dobrze?

Unosi dłoń na tyle wolno, że wciąż mam czas, by się odsunąć. Nie robię tego. Krawędzią palca muska mój policzek, tak że tkwiąca tam łza znika.

Mrugam, by odzyskać ostrość widzenia. Jego oczy – orzechowe z zieloną otoczką – wpatrują się w moje.

Odchrząkuje, odchyła się gwałtownie i wstaje, odzyskując równowagę.

– Jeśli cię złapią, a ja będę musiał iść na Dedala sam, jakaś laska pewnie poprosi mnie do tańca i będzie po mnie.

Zaskoczenie jest poręczą, która pomaga mi się wydostać z otchłani smutku.

– Nie umiesz tańczyć?

Gideon unosi brew.

– Czy wyglądam na kogoś, kto umie?

Choć na twarzy wciąż czuję chłód pozostawiony przez łyżę, na moje usta próbuje się przedostać uśmiech.

– Mogę cię nauczyć.

Gideon milknie, zamyślony, wpatrując się w moje wargi. Chyba też dostrzega ten uśmiech, bo sam zaczyna się szczerzyć.

– Jeśli na gali będą tańce, byłoby skrajną głupotą udać się tam bez znajomości kilku kroków, prawda?

– Cóż... – odpowiadam powoli. – Niezupełnie. Jeśli ktoś cię poprosi, zawsze możesz powiedzieć, że nie masz ochoty...

– Powiedziałem – przerywa mi Gideon, wyraźnie akcentując każde słowo – że byłoby skrajną głupotą nie przećwiczyć kilku kroków, prawda? – Z błyskiem w oczach sięga po laptopa, żeby otworzyć aplikację z hipernetowym radiem i dać głośniejszy dźwięk.

– Poszukaj stacji z muzyką poważną – mówię w końcu, odchrząkując i podnosząc się na nogi. – Najlepiej walca. Łatwo się go nauczyć.

Dopiero po tych słowach uświadamiam sobie, że być może Gideon wcale nie wie, czym jest walc – ja nie wiedziałam przed poznaniem Dani – ale on nawet się nie zastanawia. Nie po raz pierwszy przychodzi mi do głowy, że miał już do czynienia z klasą wyższą. Tak mało wiem o nim, o jego przeszłości i o tym, co go tu sprowadziło, że równie dobrze mogłabym teraz patrzeć na obcego człowieka. Po wypróbowaniu kilku częstotliwości, żeby odszukać najsilniejszy sygnał z satelity, znajduje szybkiego, radosnego walca. Nie rozpoznaję go – nie znam dobrze muzyki poważnej, a właściwie żadnej muzyki oprócz żywych dźwięków skrzypiec i bodhránu, na których grano na Avonie.

– Dobra, więc jak to się robi? – Gideon się prostuje, spoglądając na mnie, po czym znów zerka na palmpada, jak gdyby źródło muzyki dudniącej w pasażu miało mu pomóc bardziej ode mnie.

Jest zdenerwowany. Roześmiałabym się, gdyby nie to, że mój własny puls od kilku dni nie osiągnął spokojnego tempa. Weź się w garść, Sofio.

– Podejź tu – mówię, starając się, by mój głos brzmiał dziarsko, profesjonalnie.

Nie mogę się dłużej okłamywać, udawać, że to wszystko nic dla mnie nie znaczy, ale nie mogę się też temu poddać. Mój umysł chce się otworzyć i spojrzeć poza Dedala, wiem jednak, że poza Dedalem niczego już nie będzie. Jeśli pozwolę sobie myśleć inaczej, nie będę mogła zrobić tego, na co pracowałam przez cały poprzedni rok. On starał się ujawnić plany LaRoux, ja zaś próbowałam się zbliżyć do szefa korporacji na tyle, by odpowiedział za zamordowanie mojego ojca. Nie mogę pozwolić, by Gideon stał się dla mnie ważniejszy niż zabicie potwora, jakim jest Roderick LaRoux.

Chłopak mnie obserwuje i czeka na dalsze instrukcje. Kiedy na niego patrzę,

przychodzą mi do głowy myśli, że mogłoby istnieć jakieś życie po Dedalu. Od tak dawna pragnę śmierci LaRoux, że zapomniałam, jak to jest pragnąć czegokolwiek innego, jednak tu, kiedy twarz Gideona znajduje się tuż przy mojej, ta nieprzejednana pewność z każdą sekundą słabnie.

– Sof?

Odpędzam te myśli i staram się brzmieć spokojnie.

– Chwyć moją dłoń. O tak. Drugą opieram ci na ramieniu, a ty kładziesz swoją na mojej talii. – Urywam. – Na talii, Gideonie.

Kiedy na mnie spogląda, w jego oczach pojawia się szelmowski błysk i dopiero po chwili przesuwając rękę w górę.

– Przesłyszałem się.

– Mhm – mruczę ze śmiertelną powagą. – Słuchaj rytmu muzyki. Słyszysz akcentowanie na raz-dwa-trzy? Tak będziemy stawiać kroki...

Pojętny z niego uczeń. Nawet gdybym nie widziała dowodów na jego zwinność, kiedy pełzaliśmy w przewodach wentylacyjnych i wspinaliśmy się w górę szybu windowego, to doszłabym teraz do wniosku, że cały ten sprzęt w jego kryjówce wcale się nie marnował. Pod koniec pierwszego walca wie już, o co chodzi, a kilka kolejnych utworów to przykłady innych stylów i mogę mu wyjaśnić, czym różnią się poszczególne tańce.

Sądząc po liczbie przesłuchanych utworów, pod koniec pierwszej godziny można go nazwać w miarę kompetentnym. Kiedy kończy się ostatni walc, przystajemy, próbując złapać oddech. Ten numer był szybszy, a Gideon czuje się już na tyle pewnie, że próbuje mnie obracać – z umiarkowanym powodzeniem. Nie można powiedzieć, by był genialnym tancerzem, ale radzi sobie wystarczająco dobrze. Nie przyciągnie uwagi na parkiecie – ani tej pożądanej, ani tej niechcianej – i właśnie taki jest nasz cel.

Powinam zaproponować, żebyśmy skończyli na dziś. Powinam zaproponować, żebyśmy rozdzielili pomiędzy siebie koce i położyli się spać w swoich kątach. Żebyśmy wyłączyli światła i pozwolili, by opadły na nas ciemność i kurz.

Nie robię tego.

Rozlega się kolejny kawałek, który rozpoczyna się od zapadającego w pamięć fortepianowego pasażu. Zastygam w bezruchu.

Znam to. To jedyny utwór, który rozpoznaję. Dwadzieścia lat przed moimi narodzinami przyjaciel ojca nagrał go z jednej z audycji, jeszcze zanim na Avonie wprowadzono embargo na transmisje radiowe. Kiedy pierwszy raz go usłyszałam, zaczęłam płakać, a przyjaciel ojca, którego imienia nie pamiętam – dlaczego go nie pamiętam? – podarował mi to nagranie w prezencie.

Dopiero kiedy opuściłam Avon, poznałam tytuł tego utworu: *Walc motyli e-moll*. Skomponowała go czternastoletnia dziewczynka, cudowne dziecko

z ziemskiego kraju zwanego Iranem, w dwudziestym trzecim wieku. Niedługo potem zginęła w katastrofie wahadłowca. Był to jedyny utwór, jaki kiedykolwiek napisała. Z jakiegoś powodu ten fakt – choć tak tragiczny i okropny – sprawił, że utwór nabrał dodatkowego uroku. Stał się jeszcze bardziej przejmujący. Choć sama autorka zginęła jako dziecko, ta kompozycja, ta część tej dziewczyny, wciąż tu jest. Rozbrzmiewa echem wśród pustych budynków pasażu porzuconego jeszcze przed moim urodzeniem.

– Wszystko w porządku?

Dopiero kiedy Gideon się odzywa, uświadamiam sobie, że nie tańczę.

– Przepraszam... Tak. Dobrze sobie radzisz. Jestem pod wrażeniem. – Próbuję zapomnieć o wszystkim innym i podążam za nim, wykonując powolny piruet. Skup się na krokach.

– To nie takie trudne – odpowiada cicho, jak gdyby i jego ta muzyka poruszyła. – Kto cię tego nauczył?

Nie odpowiadaj. Wymyśl coś. Zmień temat. Jednak otwieram usta i mówię prawdę:

– Ojciec.

Ręka Gideona przesuwana się na mojej talii i przyciąga mnie do siebie.

– Kiedy umarł? – pyta łagodnie.

– Prawie rok temu.

– I od tego czasu jesteś sama?

Myślę o Dani i o tym chłopaku na stacji kosmicznej Polaris, który pomógł mi zdobyć pierwszy fałszywy dowód tożsamości. Myślę o tej parze na statku Starchaser, która pozwoliła mi się ukryć w swojej kabinie w drodze na Korynt. Oddycham ciężko.

– Wolę być sama.

– Ja też.

Kiedy podnoszę wzrok, jego oczy już czekają.

– Tak jest łatwiej. Zero komplikacji. – Przestaje ćwiczyć obroty. Jego dłoń na moim krzyżu jest ciepła i uświadamiam sobie, że skoro trzyma mi dłoń na plecach, a nie w talii, to przez ostatnią godzinę, wraz z kolejnymi ruchami, musieliśmy się do siebie zbliżyć.

– Nikt nie psuje ci planów – odpowiadam ledwo słyszalnym głosem.

Zwalnia kroku, a ja robię to samo, aż zatrzymujemy się w kałuży światła rzucanego przez szyld pobliskiej księgarni.

– Jeśli popełnisz błąd, nikogo nie skrzywdzisz.

– I nikt nie skrzywdzi ciebie.

Opuszcza nasze złączone dłonie – nawet już nie udaje, że tańczymy – tak że zawisają pomiędzy nami. Jego palce się zaciskają i choć wiem, co się zaraz wydarzy, nie potrafię się wycofać. Światło neonów barwi jego oczy na wszystkie

kolory – kolory, których dorastając na Avonie, nawet nie znałam. Jego grdyka porusza się, kiedy chłopak przełyka ślinę.

– To zły pomysł – szepczę, nie mogąc wydobyć z siebie głośniejszego dźwięku.

– Wiem. – Nie spuszcza wzroku z mojej twarzy, studiuje moje rysy, zatrzymuje się na oczach i ustach. – I niech jeszcze przez kilka chwil tak zostanie. – Kiedy pochyla głowę, jego miękkie wargi muskają moje raz i drugi, teraz nieco dłużej i mocniej. Chłopak lekko się odchyła, dając mi szansę na to, bym się wycofała.

I to właśnie powinnam zrobić. Albo go zmanipulować. Powinnam to skończyć, zanim zabrnijemy za daleko, albo wykorzystać ten moment i zyskać jego lojalność, by pozbył się resztek nieufności. Milion rzeczy powinnam rozegrać inaczej, ale zamiast tego robię jedyną rzecz, jakiej nie wolno mi zrobić, a jednocześnie jedyną, jakiej pragnę.

Zbliżam się i zadzieram głowę, dotykając jego ust i wspinając się na palce, żeby jeszcze mocniej do niego przywrzeć. Jego dłoń na moich plecach napina się i Gideon przyciąga mnie do siebie. Czuję ciepło jego ciała. Nasze wargi się rozchylają, a kiedy zarzucam mu ręce na szyję, on wydaje lekki jęk. Moje ciało płonie, kiedy rozbrzmiewający w tle *Walc motyli* niesie przekaz o pragnieniu, marzeniach i tym wszystkim, co zbyt szybko tracimy.

Może istnieje coś ważniejszego od zabicia LaRoux. Może... może...

Muzyka gwałtownie się kończy, a wokół nas dźwięczy cisza. Odrywam się zaskoczona od chłopaka i zerkam na palmpada, który buforuje dźwięk i szuka sygnału. Mój oddech jest zbyt szybki i zbyt głośny – słyszę, jak otaczająca nas cisza wypełnia się jego echem. Moje wargi są rozpalone i nabrzmięte, a wzrok powraca do Gideona, jak gdyby przyciągany magnesem.

Chłopak wpatruje się we mnie i wygląda na tak samo wstrząśniętego jak ja. Jego oczy są nieco dzikie, a włosy rozczochrane tam, gdzie zanurzyłam w nich dłonie. Z trudem oddycham, a kiedy się odzywa, jego głos drży.

– Masz rację – udaje mu się z siebie wydusić. – To był fatalny pomysł.

Na szarej planecie niebieskooki mężczyzna znalazł sposób, by odciąć nas od naszego wszechświata. Nie czujemy już obecności pozostałych, ani na tym, ani na naszym świecie. Kiedyś było nas nieskończenie wiele. Teraz jesteśmy trzy.

Ta pustka sprawia nam ból, a jedynej ulgi doznajemy w krótkich przeblyskach, których doświadczamy, ilekroć udaje nam się wydostać z więzienia niebieskookiego mężczyzny. Próbujemy obserwować chłopaka o zielonych oczach, przypomnieć sobie swój plan, ale jest nas zbyt mało.

Jesteśmy sami. A samotność to dręczące nas szaleństwo. Pozostała dwójka pozwala bólowi uciec w przeblyskach i szczelinach otaczającego nas więzienia, zsyłając obłąd na mieszkańców tego świata.

Ale my... Ja... Pamiętam ocean i małą dziewczynkę, która nazwała mnie przyjacielem.

Pamiętam sny.

GIDEON

W moim mózgu dochodzi do czegoś w rodzaju zwarcia i czuję, jak w skroniach pulsuje mi tętno, ale marzę tylko o tym, by znów się nad nią pochylić i zwalczyć poczucie, że powinienem coś powiedzieć, przynajmniej jeszcze przez kilka minut. Od wielu dni pragnąłem tylko tego, co właśnie zrobiłem, i teraz też marzę jedynie o tym, by znów ją pocałować.

Jednak choć jej oczy są równie ciemne, jak moje, bierze moją dłoń, ściąga ją ze swojej talii, i muszę jej na to pozwolić. Odchrząkuje.

– Ostatnim razem tańczyłeś trochę nierytmicznie, ale myślę, że jeśli trzeba będzie, dopasujemy się do gości na parkiecie.

– Na... – Resztką sił próbuję sobie przypomnieć, czym jest parkiet, ale kiwam głową, bo wiem, że tego ode mnie oczekuje, a moje myśli powoli stają się na powrót jasne i logiczne. – A tak. Koniec treningu?

Reaguje na flirt tym swoim przekrzywionym uśmiechem, wiem jednak, że intensywność tego pocałunku wytrąciła ją z równowagi tak samo jak mnie. Kiedy się cofa, odwracam się, by podnieść palmpada, i wyłączam go przed rozpoczęciem kolejnego utworu – oboje potrzebujemy chwili, żeby dojść do siebie.

– Czas na odpoczynek?

– Robi się późno – zgadzam się i odkładam urządzenie po tym, jak niemal wypada mi z rąk. Opadam na nasze legowisko z koców i opieram się plecami o ścianę.

Sofia podchodzi i siada obok mnie, po czym podnosi przedpłaconego palmpada, z którego dziś korzystała, by sprawdzić, czy nie napisał do niej któryś z informatorów. Stara się czymś zająć.

Nie opuszcza mnie świadomość, że dziewczyna znajduje się tuż obok, że nasze kolana niemal się stykają. Mógłbym sięgnąć i dotknąć jej, wykonując najmniejszy gest. Czuję przeskakującą między nami iskrę, ale się powstrzymuję. Wchodzę na bezpieczniejszy teren, bo jeśli nie stworzę jakiegoś dystansu, nie będę mógł zebrać myśli.

– Wiesz co? Zostań tu na dwie minuty. Przyniosę ci coś, przy czym te twoje wyrefinowane dania z górnego miasta będą się mogły schować.

Nie mogę się tu za bardzo kręcić, ponieważ na każdym rogu są zainstalowane kamery, wiem jednak, że u wylotu uliczki znajduje się martwe pole – między innymi dlatego wybrałem to miejsce. Wychodząc na ulicę, pochylam głowę. Miejsce oznaczone jasnoczerwonym banerem znajduje się w odległości zaledwie dwóch straganów. Witryna tego baru z jedzeniem na wynos to właściwie

namiot, płócienny dach rozciągnięty pomiędzy dwoma sąsiadującymi budynkami. Kuchnię skryto na tyłach budynku, w głębi namiotu.

U pani Phan można dostać najlepsze panazjatyckie jedzenie w tym sektorze, o niebo smaczniejsze niż pretensjonalne zarcie, które serwują w czterogwiazdkowych knajpach górnego miasta, gdzie za miejsce przy stole płaci się sto galaktyków. Sofia zasługuje na coś więcej niż moje batoniki energetyczne i żele. Co ty właściwie robisz, stary? Zamierzasz przynieść jej prezent jak smalący cholewki absztyfikant?

Odpędzam ten cichy głosik i kiwam głową do stojącej za kontuarem pani Phan. Mają tu menu, ale miejscowi zamawiają po prostu to, co akurat znajduje się pod pokrywką. Zawsze jest dobre. Podnoszę dwa palce, wskazując liczbę zamówień, a ona pospiesznie idzie na zaplecze i wydaje niezrozumiałe polecenia obsłudze kuchni. W rogu siedzi dwóch mężczyzn, którzy wpatrują się sobie głęboko w oczy, a pod przeciwległą ścianą kobieta rozwiązuje łamigłówkę na palmpadzie. Żadne z nich nie zwraca na mnie większej uwagi.

Pani Phan stawia na kontuarze dwa opakowania parującego makaronu, dwie butelki domowego piwa warzonego przez jej męża oraz jednorazowe pałeczki. Bierze ode mnie pieniądze i po niecałych dwóch minutach wychodzę. Sukces.

Kiedy wracam, oczy Sofii rozbłyskują i dziewczyna dosłownie odrzuca palmpada na bok, po czym wyciąga rękę po jedzenie.

– Cudownie pachnie – szepcze prawie nabożnie. Uśmiecha się, a ja odwzajemniam jej uśmiech.

W milczeniu zdejmujemy pokrywki pojemników i otwieramy piwa. Zanurzamy pałeczki w makaronie, z którego buchają kłęby pary. Wkładam do ust pierwszy kęs, a pikantny sos pali mnie w język. Doskonały. Siedząca obok Sofia także próbuje jedzenia, jej źrenice rozszerzają się, a perfekcyjne maniery ulatują, kiedy z pełnymi ustami mówi:

– Boże!

– No nie?

Jedzenie to bezpieczne terytorium – przez kilka minut jemy w milczeniu, nie kalkulujemy i niczego nie planujemy, po prostu cieszymy się posiłkiem. Wciąż czujemy efekt tamtego pocałunku. Próbuję nie patrzeć na Sofię, jak zlizuje z pałeczek resztkę sosu.

– Nikt cię nie widział? – pyta w końcu.

– Na pewno nie – odpowiadam z pełnymi ustami. – Tu jest bezpiecznie. Nikt nie dostanie się do środka bez zaproszenia.

– U mnie też było bezpiecznie – zauważa Sofia kąśliwie. – Podobnie jak w twojej kryjówce.

U Mae też.

Miałem kilka dni, żeby przemyśleć to, co zrobiła. Nie próbowałem się z nią

kontaktować – jeśli mnie posłuchała i ujawniła Waleta, by odzyskać dzieciaki, będą monitorować jej każdy ruch, nie spuszczą jej z oka. Nie ma bezpiecznego sposobu, by się z nią porozumieć – dla żadnego z nas. Ona także zdaje sobie z tego sprawę. To dlatego zamieściła swoje zdjęcie z Liv i Mattiem na publicznym profilu, nie mam co do tego wątpliwości. Nie spodziewałem się jednak, że tak trudno mi będzie się z nią rozstać. Od lat rozmawialiśmy każdego dnia, więc teraz odczuwam ból, który po części wynika z samotności, a po części z żalu, że mnie wydała. Ale tak naprawdę nie mogę jej winić. I nie robię tego.

Winię tych, którzy wykorzystali jej dzieci, by ją zastraszyć.

To właśnie moje usprawiedliwienie, chociaż nie wiem, komu właściwie przedstawiam tę sprawę, leżąc w nocy z otwartymi oczami i tocząc dyskusję z wyobrażonym przeciwnikiem. W milczeniu tłumaczę sobie, że groźba pod adresem niewinnych dzieci to tylko najnowszy z wielu argumentów, że działam w słusznej sprawie i robię tylko to, co trzeba, by pogrozić LaRoux Industries. Nieraz spoglądałem w głąb siebie, szukając współczucia dla kobiety, która chowa się przede mną po całej Galaktyce, lub próbując zgasić entuzjazm budzący się we mnie, kiedy jest zmuszona zrzucić maskę i znów uciekać. Prawda jest jednak taka, że karmię się jej strachem. Wyobrażam sobie, że to także strach LaRoux. Że to jego tropię. W końcu wielka komendant Towers sama się na to wystawiła, kiedy zgodziła się przymknąć oko na jego postępowanie.

– Chciałem powiedzieć, że mam nadzieję, że to miejsce jest bezpieczniejsze niż nasze domy – mówię w końcu, zmuszając się, by wrócić do trwającej rozmowy.

– Możesz na mnie liczyć, Sofio, przysięgam.

– Wiem – mówi cicho. Prawie tęsknie. – Nawet nie zdajesz sobie sprawy, ile czasu minęło, odkąd ostatni raz uwierzyłam w takie słowa. Od dawna nie miałam nikogo, komu mogłabym zaufać.

Mam ochotę rzucić jedzenie w kąt i znów się do niej odwrócić. Ale zmuszam się do wypowiedzenia kilku słów.

– Teraz masz mnie – szepczę.

Znalazła wizytówkę baru, w którym kupiłem makaron, i wyciąga ją z kieszonki w pojemniczku. Przesuwa ją w palcach, w tę i we w tę, tak szybko, że niemal niezauważalnie, przekładając ją z ręki do ręki. Po chwili podnosi dłoń, by założyć włosy za ucho, a karteczka znika. Na widok mojej miny wybucha śmiechem.

– Przypomnij mi, żebym nigdy nie grał z tobą w karty – mówię, przykrzywiając głowę, by sprawdzić, czy nie schowała wizytówki we włosach. – Straciłbym ostatnią koszulę.

– I to miałoby mnie powstrzymać? – Posyła mi szeroki uśmiech.

– Wolalbym, żebyś to ty straciła swoją.

Znam dziewczyny, które na takie słowa by się zarumieniły, spojrzały na

mnie ze złością, a nawet wstały i wyszły. Ale Sofia znowu się śmieje i opiera brodę na dłoni.

– Te sztuczki wydają się trudne, ale to kwestia praktyki. Każdy może się ich nauczyć. Najbardziej liczy się umiejętność rozszyfrowania drugiego człowieka, odgadnięcia, jakie będzie jego następne posunięcie. Nie chodzi tylko o to, by ludzie zrobili to, czego chcesz. Najważniejsze, by myśleli, że sami wpadli na ten pomysł. Na tym polega prawdziwy talent.

– Mówisz to facetowi, który zaprosił cię do swojej kryjówki i zdradził ci wszystkie swoje tajemnice – oznajmiam drwiąco. – Jestem prawie pewien, że to był mój pomysł. Prawda?

– Oczywiście – odpowiada poważnie.

Rzecz jasna nie zdradziłem jej wszystkich swoich sekretów – co to to nie! – ale wyróżnia ją już samo to, że w ogóle znalazła się w mojej kryjówce. Złamałem swoją złotą zasadę, no i proszę. Nie potrafię się jednak powstrzymać przed sprowadzeniem rozmowy na tory tajemnicy, o której jeszcze jej nie powiedziałem.

– Pasowałabyś do Waleta – próbuję, a z jej twarzy natychmiast znika uśmiech.

– On mnie przeraża. – Wizytówka znów pojawia się w jej dłoni i dziewczyna nie spuszcza z niej wzroku, jak gdyby to wyznanie wiele ją kosztowało. – To ktoś, kto może poznać wszystkie twoje tajemnice, nawet jeśli próbujesz zatrzeć za sobą ślady. Ktoś, kto zdaje się czytać w twoich myślach. W twoich najskrytszych wspomnieniach. – Kiedy mówi, na jej twarzy maluje się napięcie, a przyjemność widoczna w czasie tańca, posiłku, a nawet naszego pocałunku, ustępuje miejsca znużonej ostrożności, której nigdy do końca się nie pozbywa.

– Nikt nie widzi wszystkiego – mówię łagodnie. Nie potrafię się powstrzymać i wyciągam rękę, by założyć jej włosy za ucho i przycisnąć dwa palce do jej skroni. – Niektóre rzeczy nigdy się stąd nie wydostają.

– A jednak jemu udaje się dokonać prawie niemożliwego – odpowiada, znów podnosząc pałeczki i zanurzając je w makaronie.

– Sofio, czy mogę cię o coś zapytać?

Reaguje na ton mojego głosu, a kiedy podnosi wzrok, czai się w nim niepewność. Próbuje odwrócić moją uwagę, uśmiechając się, ale to ten niewłaściwy uśmiech. Dwa dołeczki, nie jeden.

– Nie możesz dokończyć mojego makaronu, jeśli o to ci chodzi.

Naciskam, choć wiem, że odpowiedź mi się nie spodoba.

– Ja tylko... To, co mówiłaś o Walecie... Gdybyś mi powiedziała, dlaczego tak się go boisz, może mógłbym pomóc.

Wbija wzrok w jedzenie.

– Nie przejmuj się tym.

– Właśnie że się przejmuję.

– Gideonie, pracowałeś dla niego – mówi nieco ciszej. – Nie zamierzam stawiać cię w sytuacji, w której będziesz musiał wybrać pomiędzy mną a tym, o co może cię poprosić.

– Wybrałbym ciebie – odpowiadam nieco zbyt szybko i nie mogę się już ugryźć w język. Weź się w garść, gościu. – Nie narażę cię na niebezpieczeństwo, obiecuję. Proszę, zaufałaś mi na tyle, by pójść ze mną na Dedala. Zaufaj jeszcze trochę.

– To nie ma nic wspólnego z zaufaniem – odpowiada, pochylając się nad miską. – Jeśli nie wręczysz komuś broni, nie będzie mógł jej przeciwko tobie użyć. – Z jej głosu znika nagle przejęcie i dziewczyna przetyka ślinę. – Powiem tylko, że zamienił moje życie w piekło, choć nie wiem dlaczego. I nie chcę tego wiedzieć.

Mam wrażenie, że dławię się jej słowami. Od lat buduję reputację Waleta – najlepszego na Koryncie, najlepszego w całym wszechświecie. Po pracy robię rzeczy, przez które z pewnością nie pójde do nieba. Ścigam Antje Towers i szukam sposobu, by wyciągnąć przestępstwa LaRoux na Avonie i Weronie na światło dzienne. Jednak przez resztę czasu Walet to najlepszy haker na rynku, który i tak często pracuje za darmo. Właściwie jestem Robin Hoodem. Dawne lata gniewu zostawiłem za sobą, kiedy zdałem sobie sprawę, że mój brat byłby przerażony tym, kim się stałem. Zmieniłem się. W dużym stopniu.

A teraz ktoś gdzieś niszczy moją reputację, nad którą tak ciężko pracowałem, i pod przykrywką Waleta krzywdzi siedzącą obok mnie dziewczynę. Dziewczynę, na której zależy mi o wiele bardziej niż powinno. O wiele bardziej, niż jest dla nas bezpieczne.

– Nie użyj mnie jako broni – mówię cicho. – Nikt nie zdołałby mnie do tego zmusić.

Sofia potrząsa głową.

– Wiem, że pracuje dla rodziny LaRoux. W każdym razie kiedyś pracował. A przyjaciel mojego wroga to także mój wróg. Gdyby chciał, mógłby cię wykorzystać przeciwko mnie.

– On nie... – Staram się zachować spokój i odpędzam pobrzmiewającą w głosie frustrację. Toczenie dyskusji na swój temat w trzeciej osobie jest prawie niemożliwe. – Nigdy nie widziałem dowodów na to, by był związany z LaRoux Industries. Myślę, że darzy ich taką samą sympatią jak my.

– Mylisz się – mówi cicho, ale pewnie. – Raz próbowałam go namierzyć. Oczywiście okazało się, że to strata pieniędzy. Jest zbyt bystry i człowiek szybko gubi trop. Ale dotarłam do jednej z nowszych planet w układzie Sulafat i do posiadłości w dokumentach oznaczonej jako własność Tarvera Merendsena i Lilac LaRoux.

Co takiego? Musiała trafić na kogoś dobrego, żeby do tego dojść. To nie najlepszy czas, żeby sprawdzić, kim jest ta osoba, i zmusić ją do wycofania się

z branży, ale dodaję to do listy spraw do załatwienia, kiedy już powstrzymamy LaRoux.

– Ale przecież nie oznacza to, że pracował dla LRI, prawda? Może ich szpiegował.

– Nie tak to wyglądało. – Wydaje się zmęczona i zamyka oczy. – Jakie to ma znaczenie?

– Takie, że jesteś dla mnie kimś więcej niż tylko sojuszniczką, i mam świadomość, że potrafisz mnie rozszyfrować na tyle, by to wiedzieć. – To zdanie wystarcza, by Sofia otworzyła oczy. Nie odpuszczam. – Powiedz, dlaczego cię krzywdzi, a ja zadbam o twoje bezpieczeństwo.

Dziewczyna sięga po piwo, pociąga długi łyk i nieco zbyt mocno odstawia butelkę na podłogę.

– Nie wiem dlaczego. Obiecuj mi tylko, że nie powiesz mu, gdzie jestem. Obiecuj, Gideonie. – Wciąż ściska butelkę, a jej dłonie bieleją. Bez względu na to, co się dzieje, jest przerażona.

Co mogę na to odpowiedzieć? Jeśli przyznam, kim jestem, ucieknie. Jeśli obiecuję, skłamię. Ale nie mam wyjścia i kiwam głową. Kiedy to robię, coś w niej pęka.

– On na mnie poluje – szepcze. – Śledzi mnie już niemal od roku. Musiałam się nauczyć rozpoznawać, że jest blisko. Alarmy, cyfrowe pułapki i tak dalej. Oznakował moje konta i ma rejestry moich podróży. Za każdym razem, kiedy wydaje mi się, że jestem bezpieczna, kiedy myślę, że go zgubiłam, wyrasta jak spod ziemi. Mam tylko kilka tygodni, najwyżej miesiąc lub dwa, i znów mnie znajduje. Nigdy nie pozostawałam w jednym miejscu dłużej niż tu, na Koryncie. Ale on i tak w końcu mnie namierzy. Nigdy nie byłam tak blisko LaRoux, a jeśli Walet mnie znajdzie, zanim uda mi się... – Zaciska usta i nie kończy zdania.

Czuję się tak, jakbym spadł z dziesiątego piętra. Znam te sztuczki. Sam wymyśliłem większość sposobów śledzenia poszczególnych osób przez hakerów takich jak ja. Ale nigdy nie wykorzystałbym ich, by skrzywdzić kogoś takiego jak Sofia, kogoś niewinnego. Jednak ktoś wykorzystuje mój arsenał, ten sam, który służy mi do ścigania ludzi pokroju LaRoux, Towers i wszystkich usprawiedliwiających ich zbrodnie, i terroryzuje bliźnich. Potrafię tylko powtórzyć jej słowa jak jakiś baran:

– Poluje na ciebie?

Kiwa głową.

Wyciągam rękę i nakrywam dłonią jej dłoń.

– Obiecuję ci, że niezależnie od tego, kto cię ściga, teraz jesteś bezpieczna. Znam tę grę.

– Niezależnie od tego, kto mnie ściga? – powtarza, ściągając brwi. – To Walet, Gideonie. Jestem tego pewna. Potwierdziło to trzech niezależnych hakerów.

Ten narcyz się podpisuje. Jak artysta. – Na jej twarzy pojawia się drwiący, pozbawiony wesołości uśmiech. – Lub seryjny morderca.

Dowiem się, kto się pode mnie podszywa, i sprawię, że popołudnie z seryjnym mordercą wyda się przy tym przyjęciem urodzinowym dla dzieci.

– Zadbam o twoje bezpieczeństwo – mówię cicho. – Obiecuję. Zaufaj mi.

Musi się tylko trzymać mnie, a jakoś to rozwiążemy. Może po wszystkim nie będę już potrzebował Waleta. Jednak zanim pozwolę mu zniknąć, znajdę tego, kto ją skrzywdził, i skrzywdzę go jeszcze bardziej.

Sofia powoli wciąga powietrze, żeby się uspokoić, i odwraca dłoń, tak że jej wnętrze jest zwrócone do góry, po czym splata palce z moimi. Udaje jej się nad sobą zapanować.

– Pierwszy raz od bardzo dawna nie jestem sama – szepcze, a nasze oczy się spotykają. – Brakowało mi tego.

Jej spojrzenie trafia mnie w samo serce. Mnie też tego brakowało. Jest w tej dziewczynie coś – jakaś niesamowita siła, kruchość i nieustępliwa determinacja, a jednocześnie samotność – co sprawia, że mimo najlepszych chęci nie potrafię nad sobą zapanować.

Nie spuszcza ze mnie wzroku, kiedy odstawiam posiłek, po czym wyjmuję jej z dłoni miskę i butelkę i je także odstawiam. Przelyka ślinę, kiedy pochylam się do niej, przykładam czoło do jej czoła i kładę dłoń na jej karku, odnajdując palcami odsłoniętą skórę.

Wszystko, co pomiędzy nami wisi – śmierć naszych bliskich, to, w jaki sposób połączyły się nasze dłonie, kiedy uciekaliśmy przed zdradą Mae, szalona ucieczka z siedziby głównej LRI, złorzeczący nam taksówkarz, bolesna wspinaczka w górę szybu windowego, ten jeden idealny walc... Wszystkie te wydarzenia wirują mi w głowie i stają się elementami niepoohamowanego instynktu.

Wszystko, co powinienem powiedzieć – „Jestem Waletem”, „Nie wiesz, kim są moi sojusznicy”, „Zakochuję się w tobie” – usuwa się na dalszy plan.

Sofia wstrzymuje oddech, a mnie więźnie on w krtani, i już po chwili wzbieramy jak fale, podnosząc się na kolana, żeby mogła zapleść mi ramiona wokół szyi. Pochylam głowę, by odszukać jej usta, i cały się w niej zatracam.

Budzę się dopiero kilka godzin później, kiedy Sofia wierci się i mamrocze przez sen. Nasze gniazdko jest oświetlone tylko przyćmionym światłem mojego ekranu, więc ostrożnie podnoszę się na łokciu, żeby sprawdzić, która jest godzina. Do świtu pozostało jeszcze kilka godzin.

Kiedy się odwracam, leży skulona ze zmarszczonym czołem, a jakiś sen każe jej odpychać się dłonią, jak gdyby się broniła. Zauważyłem to już w ciągu kilku ostatnich dni, ale na nowo mnie to uderza. Nawet we śnie nie czuje się bezpieczna.

Ostrożnie unoszę koc, który z siebie zrzuciła, i ją nakrywam. Często pomaga jej się to uspokoić i tym razem jest podobnie.

– Kiedy się obudzisz, będziesz wyglądała jak znak zapytania – szepczę.

Jeszcze bardziej się kuli, a jej oddech się uspokaja.

– Mały, zaskakująco piękny znak... Brzmię jak idiota. I gadam do siebie.

Uśmiecham się, co też upodabnia mnie do idioty. Muszę się wziąć w garść, zanim otworzy oczy i zobaczy mnie w takim stanie.

Znów kładę się obok niej i pozwalam, by ogrzało mnie ciepło jej skóry. Nagle go dostrzegam.

Jej odrzucone w bok ramię jest odsłonięte, a tam, gdzie dotąd widziałem tylko idealną skórę, teraz dostrzegam rozmazany korektor zakrywający część jakiegoś rysunku przebijającego przez jego warstwę. Tatuaż? A może... chwileczkę. To genotag. Tamtego wieczoru w mieszkaniu Kristiny szukałem go na jej ramieniu, kiedy zdałem sobie sprawę z tego, że Sofia musi pochodzić z Avonu. Wtedy go nie dostrzegłem, a teraz wiem dlaczego. Dobrze go ukryła. Dotąd nie widziałem go na żywo – używają go kolonie niemające statusu planety, w zastępstwie wydanego przez rząd dowodu tożsamości. Większość mieszkańców tych planet nie dysponuje funduszami, które pozwoliłyby im podróżować do miejsc, gdzie moglibyśmy się spotkać. Albo gdziekolwiek indziej. Gwałtownie rozwija się czarny rynek, na którym sprzedaje się cyfry genotagu obywatelom chcącym działać niejawnie. Sam mam ich co najmniej pięć. To rodzaj dowodu tożsamości używanego przez ludzi takich jak Towers, którzy chcą zniknąć. Ale ten należy do niej – został wytatuowany na jej skórze.

Przyciągam ekran do siebie, żeby lepiej widzieć w jego nikłym świetle, i bez zastanowienia delikatnie pocieram smugę kciukiem. Mrowienie na karku podpowiada mi, że nie powinienem tego robić, ale nie mogę się powstrzymać, by nie dowiedzieć się czegoś o dziewczynie, która przejęła kontrolę nad moim życiem. Może uda mi się odkryć, kim jest – dlaczego ktoś ją ściga, podszywając się pode mnie. Cyfrowy świat należy do mnie, nie do niej.

Jeśli ustalę, przed kim mam ją bronić, mam szansę wygrać tę bitwę.

Powtarzam sobie te słowa, jak gdybym mógł uwierzyć, że są jedynym powodem, dla którego to robię.

Tatuaż ma postać spirali, a korektor zamaskowuje zwój czarnych linii. Numer biegnący wzdłuż krzywej zaczyna być widoczny, kiedy przeciągam po nim opuszkami kciuka. Wstrzymuję oddech, a gdy dociera do mnie, co to za cyfry, robi mi się duszno.

Już kiedyś je widziałem. O nie. Przetaczam się na brzuch, opieram na łokciach i uruchamiam lap-ekran. Włączam podprogram do śledzenia Towers i oto jest. Mój tajemniczy identyfikator. Sierota wojenna, która opuściła Avon, osoba, której numeru użyła komendant Towers do ucieczki. Ta, która nie może istnieć, która była zbyt nieprawdopodobna. Ta, którą...

Wraca do mnie głos Sofii: „On na mnie poluje. Śledzi mnie już niemal od

roku. Za każdym razem, kiedy wydaje mi się, że jestem bezpieczna, kiedy myślę, że go zgubiłam, wyrasta jak spod ziemi”.

Ja wyrastam.

Drżą mi dłonie. Kilka kliknięć sprawia, że na ekranie pojawia się jej życiorys, a wyświetlacz zapełnia się plikami i zdjęciami. Mogłem to widzieć przez cały czas. Mogłem poszukać i znaleźć ją tutaj, prawdziwą dziewczynę. Ale byłem tak cholernie arogancki, tak pewny, że Towers zasłużyła, by cierpieć, tak pewny, że jestem dość sprytny, by ujawnić ciemne sprawy LaRoux – tak zdeterminowany, by zrobić to bez względu na cenę.

Bez względu na cenę. Tak, jakby żadna cena nie była zbyt wysoka.

Za każdym razem, kiedy wyobrażałem sobie uciekającą Towers, za wszelką cenę szukającą schronienia, za każdym razem, kiedy uśmiechałem się złośliwie w ciemności, wykurzając ją z kolejnej kryjówki, przyprawiając ją o mocniejsze bicie serca... robiłem to dziewczynie, która śpi teraz obok mnie i której usta wciąż układają się w delikatny uśmiech. Dziewczynie, za którą szaleję. Zalękniona uciekała, a jej życie rozpadło się w cieniu tropiącego ją Waleta, z przyczyn, których nie rozumiała. Towers pewnie przez cały ten czas siedziała na swojej cichej farmie i nigdy nie była konspiratorką LaRoux, jak to sobie wyobrażałem, a Sofia została poświęcona zamiast niej. Przez cały czas byłem jej oprawcą, a ona wpadła prosto w moje ramiona.

Nie potrafię określić, kiedy stałem się tym czymś, i nie wiem, jak udało mi się trwać w tak całkowitym zaślepieniu. LaRoux zabił mojego brata i postawił mnie na ścieżce, o której myślałem, że jest szlachetna. Sądziłem, że nie ma niczego złego w zadawaniu cierpienia tym, którzy na to zasługują, o ile przez resztę czasu będę postępował dobrze. Że nie ma nic złego w byciu myśliwym, o ile tropię właściwą zwierzynę.

Jak mam przekonać Sofię, że nie polowałem na nią, że nie ją chciałem skrzywdzić? Czy uwierzy mi, kiedy powiem, że niepotrzebnie się bała?

Czy mi wybaczy?

Jak mam jej o tym wszystkim powiedzieć?

Odpycham ekran, klękając obok niej, a po kręgosłupie przebiega mi dreszcz strachu. Nie mogę jej jeszcze obudzić. Najpierw muszę ułożyć sobie w głowie, co jej powiem. Muszę to jakoś ubrać w słowa. Znajdę takie, które pomogą jej zrozumieć, że nie chciałem zadać jej cierpienia, że nie chciałem jej przestraszyć. Wyjaśnię, że ścigałem ją, bo szukałem czegoś, co zniszczy LaRoux Industries, a nie jej samej. Tropiłem kobietę, która zdawała się na to zasługiwać, która skrywała tajemnice – tylko że jeśli Antje Towers nie podszyła się pod Sofię, żeby uciec, dotrzymała obietnicy. Czekala na zwolnienie z wojska i zaszła się w jakimś cichym, spokojnym miejscu, z dala od technologii. Z dala od świata, na którym żyje LaRoux... i ludzie tacy jak ja.

Leżę obok Sofii w ciemności i szukam dobrego usprawiedliwienia, planuję przemówienia, wygładzam słowa, tak by te kilka pierwszych przykuło jej uwagę i by zechciała mnie wysłuchać. Musi mnie wysłuchać. Nawet jeśli nigdy mi nie wybaczy, musi uwierzyć, że Walet już jej nie ściga. Musi przynajmniej wiedzieć, że z mojej strony nic jej nie grozi. Moje myśli zataczają coraz węższe kręgi, aż zapadam w niespokojny sen.

Kiedy się budzę, pościel obok jest chłodna. Sofia zniknęła. Podnoszę się na kolana i z walącym sercem odwracam się, żeby jej poszukać.

Stoi nieopodal, ubrana, z moim ekranem w dłoni.

Przed zaśnięciem zapomniałem go wyłączyć.

Oświetlona jego upiorną poświatą opuszcza dłoń, ukazując mi ekran z folderem, który znalazłem, używając jej genotagu. Widzę jej zdjęcie do dokumentów – to prawdziwe. Widzę folder plików dotyczących jej ojca: wyciąg z rejestru karnego, historie choroby i zatrudnienia. Raport z autopsji.

Serce mi się ściska, a mózg przestaje funkcjonować. Muszę znaleźć usprawiedliwienie, ujawnić prawdę, powiedzieć cokolwiek. Ale całkiem się blokuje.

Wtedy Sofia spuszcza oczy, a ja zauważam to, co leży u jej stóp. Swoją książkę. Swoją stary, bezcenny egzemplarz *Alicji w Krainie Czarów*. Swoją amulet, pamiątkę po dawnym życiu. Jest otwarta, a na niej leży ostatni gwóźdź do mojej trumny. Karta do gry pochodząca ze staromodnej talii należącej do mnie i mojego brata.

Serce wali mi jak młotem.

Mam sucho w ustach.

To walet kier.

– Czy to wszystko było tylko grą?

Spodziewałem się chłodu, pustki, jednak jej głos jest barwny i bije z niego żar strachu i zdrady. W tej chwili nie potrafi grać.

– Czy cokolwiek z tego było prawdziwe?

Moje myśli wciąż znajdują się w martwym punkcie, a wszystko, co powinienem powiedzieć, wzbiera jak rwący potok napierający na tamę.

– Sofio... – Urywam.

W następnej chwili dziewczyna się zrywa, upuszcza ekran i wycofuje się do drzwi.

Chcę wyciągnąć rękę i ją złapać, sprawić, by została, by mnie wysłuchała. Tylko tego pragnę... Ale nie mogę jej do tego zmusić. Po tym wszystkim nie mogę jej ścigać. Już nie.

– Proszę, poczekaj – dukam. – Proszę... Chciałbym...

Zatrzymuje się w progu na tyle długo, by na mnie spojrzeć.

– Jeśli znów będziesz mnie szukał – mówi ostro – zabiję cię. Rozumiesz?

Wpatruję się w nią, wciąż na kolanach, i brakuje mi słów.
Po chwili już jej nie ma.

Ich słowa przepływają przez świat jak fale, a my uczymy się je łapać i dryfować na grzbietach wiadomości, które sobie przesyłają. Najłatwiej śledzić nam listy o ofiarach poległych na ich wojnach. Czujemy wtedy żal i gniew, emocje tak silne, że przywieramy do nich, i doświadczamy ich świata chwilę dłużej, moc ich uczuć wyczuwamy przez niewidzialne ściany pomiędzy naszymi wszechświatami.

Wiadomość, która doprowadza nas do małego domku otoczonego kwiatami, niczym się nie wyróżnia. Nie ma powodu, żebyśmy zwlekali, żebyśmy się zatrzymali. Rozpacz tego człowieka nie odbiega od rozpacz innych ludzi, której doświadczyliśmy.

A jednak odkrywamy, że możemy zostać, wciągani do środka, przez pola, na wzgórze i drzewo, w którego gałęziach kuli się mały chłopiec, przyciskając do piersi zeszyt. Zapisuje swoje słowa na papierze, więc nie możemy ich odczytać za pośrednictwem hipernetu, ale przez chwilę wyczuwamy je w jego duszy.

Potem poezja się rozplywa, a my czekamy na kolejną falę słów, która poniesie nas ku zrozumieniu.

SOFIA

Nie zatrzymuj się.

Te kilka słów dudni w mojej głowie, zagłuszając inne myśli i dopasowując się do rytmu kroków. Płatanina dźwięków płynących ze straganów i ruchu ulicznego zlewa się w tępy, pulsujący szum pod powierzchnią dudniącego mi w uszach huku. Chcę biec, by jak najbardziej oddalić się od Waleta Kier, ale bieg przyciąga za dużo uwagi. Nie mogę się oglądać przez ramię ani przycząć. Muszę iść tak, żeby się nie wyróżniać. Zwędzić czapkę z jednego stoiska i okulary przeciwsmogowe z innego, żeby ukryć twarz przed kamerami, w których LRI mogła zainstalować system rozpoznawania twarzy. Muszę wyglądać jak ktoś, kto niczym się nie przejmuje. Gdyby nie rytmiczne staccato słów dudniących mi w głowie jak werbel, chyba nie dałabym rady.

Muszę się dostać do swojego dawnego mieszkania, zanim on mnie uprzedzi. Zabrać broń i portret ojca. Jeśli teraz tego nie zrobię, już nigdy nie zaryzykuję. Nie mogę wybiegać myślami do gali na Dedalu – nie ma już Dedala, a na pewno nie z Gideonem – ale muszę zabrać swoje rzeczy. Tylko tyle wiem. Potem pojedę do kolesia od dowodów tożsamości w południowym dystrykcie po nowe nazwisko i nowy chip identyfikacyjny. Gideon-Walet zna Alexis. Zna też Biancę Reine – Białą Królową. Boże, to on nadał mi to imię. Jestem idiotką.

A co najgorsze – zna Sofię.

Pozwoliłam, by mnie pocałował. Dotknął. Pozwoliłam mu... Pod ochronną powłoką okularów przeciwsmogowych szczypią mnie oczy. Pozwoliłam sobie myśleć, że może jednak nie jestem sama, że nie muszę pozostać sama. Że może moje życie nie będzie się składać z nienawiści, rozpacz i zemsty. W rezultacie wbiegłam prosto w ramiona osoby, która zamieniła ostatni rok mojego życia w piekło. Przez moje ciało przepływa mieszanina bólu, smutku i nienawiści, przez co drzę i marzę o prysznicu, o prawdziwym prysznicu z wodą, jakiej tu nie mają. Chciałabym przez wiele godzin, przez wiele dni stać pod jego strumieniem i zmyć z siebie cały naskórek, którego dotknął Walet Kier.

Nawet kiedy docieram do windy prowadzącej na inne poziomy miasta, wciąż mam gęsią skórę. Smog się rozprasza, ustępuje miejsca słońcu i jasności, a ja ledwie to zauważam. Poruszam się pieszo, przypominając sobie, z jaką łatwością namierzył mnie Walet, kiedy zabrali mnie strażnicy LaRoux. Bolał mnie płuca. Nie... serce.

Nie zatrzymuj się.

Mój mózg zapamiętuje tylko kadry z kolejnych minut, godzin. Wiem, że

muszę być skupiona i nie mogę sobie pozwolić, by się rozkleić. Jeszcze nie teraz. Ale docierają do mnie jedynie bolesne fragmenty, te, które penetrują gęstniejącą mgłą paniki. Moje paznokcie wbijają się w poluzowaną cegłę w bocznej uliczce, gdzie trzymam dodatkową rękawiczkę, klucz do mieszkania Kristiny. Kiedy przemykam obok odwróconego portiera i wchodzę do budynku, w którym kiedyś mieszkałam, moje nogi są obolałe i ciężkie. Dłonie drżą mi tak bardzo, że mam trudności z użyciem zaprogramowanej rękawiczki, by wjechać windą na ostatnie piętro. Wzrok mi się zamazuje, a oczy pieką, kiedy wpadam do sypialni w poszukiwaniu broni, modląc się, by się nie okazało, że wróciły po nią goryle LaRoux. Znajduję ją pod kołdrą, którą ściągnęłam na podłogę w czasie szamotaniny. Serce podchodzi mi do gardła. Kiedy rozbijam szkło ramki, w której schowałam portret ojca, wzdłuż palca wskazującego wykwita zaogniona kreska. Czuję mdłości, przeszukując szkatułkę z biżuterią Kristiny i wyciągając z niej sznury brylantów i pereł. Nie tknęłam ich przez trzy miesiące, gdy tu mieszkałam. Serce mnie kłuje, kiedy czekam, aż winda zjedzie na dół, a z każdą chwilą rośnie we mnie strach, że gdy otworzą się drzwi, po drugiej stronie ujrzę twarz Gideona.

Wpadam do holu, nawet nie patrząc na portiera. Już nigdy tu nie wrócę. Nieważne więc, czy wyglądam jak ktoś, kto rozpada się na kawałki.

Przez drzwi obrotowe wychodzę z powrotem na ulicę, promienie słońca przypominają noże. Oczy wciąż mnie pieką. Wpadam na parę idącą po chodniku, która spogląda na mnie i przyspiesza kroku. Przeglądam się w oszklonych drzwiach i widzę zaczerwienione oczy, szkarłatną plamę w miejscu, gdzie przetarłam twarz krwawiącą dłonią, rozczochrane włosy. Muszę zejść z górnego poziomu. Nie pasuję tu. Wciskam na głowę kradzioną czapkę i wycieram rękę o koszulkę.

Wracam tą samą drogą do windy, ale zmieniam zdanie i ruszam w przeciwną stronę. Druga winda znajduje się dalej, ale skorzystanie z tej samej, co poprzednio, tej samej, którą jechałam z Gideonem, to zbyt wielkie ryzyko. Za późno przypominam sobie o palmpadzie, który mi dał, a który wciąż znajduje się w mojej kieszeni. Cholera, cholera, cholera. Nawet ja zdołałabym namierzyć kogoś, kto miałby przy sobie tego rodzaju urządzenie z GPS-em. Przestałam myśleć. Muszę się wziąć w garść.

Na krawędzi chodnika na bucującym elektrorowerze siedzi kurier, który czeka na sygnalizację świetlną i sprawdza własnego palmpada. Zmuszam swoje drżące dłonie do posłuszeństwa i wsuwam telefon do bocznej kieszeni torby, którą chłopak przewiesił sobie przez ramię.

Niech Gideon-Walet ściga kuriera po całym mieście, a ja będę miała czas, żeby uciec. Zniknąć.

Skwar i smog podziemnego miasta otulają jak pocieszające ramiona przyjaciela witającego mnie w domu. Nagle przypominam sobie, dlaczego

ukrywałam się tu przez pierwsze miesiące na Koryncie. Nie tylko ze względu na brak funduszy. Tu, choć mam krew na twarzy, a moje ruchy są nerwowe, nikt nie zwraca na mnie uwagi.

Na górze robi się ciemno, a tu, na dole, zapalają się już latarnie. Coraz trudniej mi się poruszać. Muszę znaleźć miejsce, gdzie będę mogła się zatrzymać.

Nie mogę zapłacić za pokój bez zalogowania się do kont, które on z pewnością monitoruje. Z kolei zapłacenie za nocleg kradzioną biżuterią w przyzwoitym hotelu wzbudziłoby podejrzenia, a w innych miejscach naraziłoby mnie na rabunek. Jest tu kilka darmowych hosteli i przytułków, w których nie wymaga się weryfikacji tożsamości ani skanowania siatkówki, ale Gideon będzie mnie tam szukał. Wie, że jestem za bystra, by wykorzystać chip Alexis albo Bianki, więc uzna, że poszłam gdzieś, gdzie pozostanę anonimowa. Kieruję się zatem w stronę monitorowanych przez policję stacji. Musiałabym stracić rozum, żeby znaleźć się w miejscu, skąd dane na temat wszystkich mieszkańców natychmiast trafiają do rządowego systemu. Zdolny haker może się tam włamać jeszcze łatwiej niż do systemu w prywatnym hostelu.

W normalnych okolicznościach czekałabym, aż znajdę kogoś, kto wprowadzi mnie do środka – kogoś na tyle zdesperowanego, żeby nabrać się na wielkie oczy i uśmiech – ale nie pamiętam, jak to się robi, jak właściwie ocenić człowieka. Twarze tych, którzy mnie mijają, są obce, a ich miny zapisane w języku, którego nie potrafię już odczytać. Kieruję się więc na tyły budynku i czekam, aż otworzą się drzwi. Ze środka wygląda dziewczyna z ogoloną głową i fluorescencyjnymi żółtymi kolczykami w uszach. Chce zapalić, więc wtyka w drzwi but na platformie, żeby się nie zatrzasnęły.

Rzucam wszystko i wkładam jej w dłoń sznur pereł.

– Muszę wejść do środka – chrypię. – Po cichu.

Wpatruje się w perły, a potem spogląda na mnie. Nie wie, czy są prawdziwe. Zaraz mi powie, że bym się pieprzyła, i zatrzaśnie drzwi przed nosem.

Ona jednak ślini czubek jointa, żeby go zgasić, po czym wciska go za pazuchę wraz z perłami i otwiera drzwi kopniakiem. Nie odzywa się, choć gdy ją mijam, nie spuszcza ze mnie wzroku. Kiedy odwracam się przez ramię, przygarbiona biegnie uliczką, żeby wmieszać się w tłum.

W środku panuje taki sam gęsty mrok jak na uliczce na zewnątrz. W pokoju stoją stalowe łóżka piętrowe, na które narzucono gołe materace. Kiedy wchodzę, kilka osób odwraca się w moją stronę, ale nawet jeśli ktokolwiek zauważy, że nie jestem tą samą dziewczyną, która wyszła, nikt nic nie mówi. To dlatego wybrałam to miejsce. Połowa tych ludzi to przestępcy czekający na spotkanie z kuratorem, a druga połowa jest na dobrej drodze do tego samego. Nie dbają o to, kto śpi obok nich. Skanery badające obłożenie uruchamiają się co pół godziny, ale nie sprawdzają dowodów tożsamości, o ile liczba osób w pokojach zgadza się z liczbą

osób, które przeszły rejestrację.

Wybieram dolną pryczę w rogu, pustą, jeśli nie liczyć kilku opakowań po batonikach. Staram się nie dotykać dużej plamy u dołu materaca, niemożliwej do zilustrowania w nikłym świetle, wczołguję się na łóżko i skrywam w cieniu przy ścianie.

Zmuszam ciało, by przestało drżeć. Powtarzam sobie, że jestem bezpieczna. Że mnie nie znajdzie. Że poza zasięgiem kamery bezpieczeństwa zamontowanej pośrodku sufitu nawet po dokładnym przeczesaniu zdjęć z systemu rozpoznawania twarzy z całej dzielnicy nie zdoła mnie namierzyć. Ale teraz, kiedy w końcu się zatrzymałam, to nie strach sprawia, że się trzęsę.

Pieką mnie oczy. Próbuję nie zwracać uwagi na zapachy, hałas, szorstki materac i bijący z niego odór pleśni.

Tu, w podbrzuszu miasta, nikogo nie obchodzi twój płacz. Większość osób w tym pomieszczeniu cierpi na skutek jakiegoś rodzaju odstawienia, a pozostała część wie, że nie należy się wtrącać. Nie przychodzi się tu, aby znaleźć pocieszenie, tylko po to, by zniknąć.

Na widok tego brudu powinnam zatęsknić za apartamentem. Powinnam sobie wyobrażać koktajle serwowane przez SmartKelnera, przypomnieć dotyk miękkiej pościeli Kristiny, a po zamknięciu oczu zobaczyć pojawiające się w oknach sztuczne gwiazdy.

Ja jednak wciskam twarz w ramiona i tłumiąc szloch, myślę tylko o *Walcu motyli*, a w głowie słyszę jego dźwięki.

O poranku moje oczy znowu są suche. Sen – choć przerywany co kilka minut – pomógł mi wrócić do siebie. Nazywam wczorajszą burzę po imieniu – był to zwyczajny atak paniki. Od miesięcy nic podobnego mi się nie zdarzyło, ale doświadczałam ich przez kilka tygodni po śmierci ojca. Czułam się po nich zupełnie rozbita i pusta. Jednak nawet rozbita i pusta się nie zatrzymywałam.

Dziś wieczorem muszę się dostać na pokład Dedala. Zdrada Gideona niczego nie zmieniła w swoim planie poza tym, że teraz nie mam nic do stracenia, nic nie wzbudza we mnie najmniejszych skrupułów. Nawet jeśli postanowi pójść na Dedala sam i bez mojej pomocy unieruchomić szczelinę, nie będzie to miało znaczenia. To nie szczelina jest moim celem. Gideon z pewnością będzie się rozglądał i obserwował, czy się pojawię, ale nie obchodzi mnie to, że interesuje go, gdzie jestem. Udowodnił, że nie ma znaczenia to, dokąd pójde, kim się stanę – zawsze mnie znajdzie. To, czy pracuje dla LaRoux Industries, czy ma swoje własne pokręcone motywy, by tropić mnie po całej Galaktyce, nie jest istotne. Nie jest ważne nawet to, czy odszuka mnie na Dedalu, bo wtedy będę w końcu mogła oddać strzał, a czekam na tę chwilę, odkąd uciekłam z należącego do sierocińca wahadłowca, który zabrał mnie z domu.

Dziś wieczorem znajdę się w jednym pomieszczeniu z mężczyzną, który

zamordował mojego ojca. A jeśli Walet odzuka mnie na Dedalu, trudno. Nic, co może mi zrobić, nie będzie gorsze niż patrzeć na śmierć taty. Niech mnie zabierze. Niech mnie zabije, jeśli taki ma cel. Pod koniec nocy i tak będę martwa, w ten czy inny sposób. Jeśli zostanę złapana, LaRoux Industries postara się, by cicho wymazać mnie ze świata. A jeśli mi się uda i dostanę swoją szansę, strażnicy i tak mnie zabiją.

Bo dziś wieczorem wpakuję kulkę w Rodericka LaRoux.

Na szarej planecie tak łatwo znaleźć rozpacz i złość. Czasem ból jest tak palący, że nie widzimy nic poza nim. Ale zdarzają się chwile, rzadkie rozbłyski światła pośród ciemności, radość tak jasna, że nie możemy jej przegapić.

Na szarej planecie mieszka dziewczynka, którą ojciec uczy tańczyć. Myli kroki, ale i tak się śmieje, podobnie jak on, a my przez krótką chwilę czujemy, jak jego serce napętnia się miłością na widok dołeczków w jej policzkach.

Potem muzyka milknie, światła gasną, a szarą planetę spowija ciemność, podobnie jak wtedy, gdy zawodzi ich maszynaria. Wszędzie czujemy strach i gniew, które przypominają rozpalone włócznie, jednak serce dziewczynki jest przepięknie radością, kiedy ojciec zanoszą ją do łóżka. Przywieramy do tego małego światełka, podczas gdy wokół zapada ciemność.

GIDEON

Jestem idiotą.

Mało powiedziane. Jestem głupszy od wszystkich tych, którzy padli ofiarą moich hakerskich sztuczek, moje IQ spadło poniżej poziomu piwnicy i nie mam pojęcia, co z tym zrobić. Bezradnie obserwuję, jak wszystko, co zaplanowałem, i wszystko, czego pragnąłem, coraz dalej się ode mnie odsuwa.

Raz po raz powtarzała mi, żebym nikomu nie ufał. Wciąż słyszę jej głos.

„Jeśli nie wręczysz komuś broni, nie będzie mógł jej przeciwko tobie użyć”.

Zrobiłem właśnie to, a nawet więcej. Zna moją twarz i prawdziwe imię. Wie, że jestem Waletem. Same głupie posunięcia, jedno za drugim.

Jednak to nie ujawnienie swojej tożsamości było najgłupszą rzeczą, jaką zrobiłem. Na ten zaszczyt nie zasługuje nawet chwila, w której zapomniałem wyłączyć ekran, przez co po przebudzeniu Sofia zobaczyła swoją własną teczkę. Nie zasługują też na niego te momenty, które zignorowałem, a których pojawienie się powinno mi podpowiedzieć, że moja ofiara to nie Towers.

Złoty medal należy się chwili, kiedy to klęczałem jak idiota, nie mogąc wydusić z siebie słowa, podczas gdy dziewczyna, w której powoli się zakochuję, odeszła z mojego życia. Powinienem coś – cokolwiek – powiedzieć, a nie patrzeć w milczeniu.

Nie mam wytłumaczenia na to, co się stało, i nie mogę usprawiedliwić tego, w co zamieniła mnie moja obsesja – ale powinienem był próbować. Powinienem był przeprosić. Błagać.

Po odejściu Sofii namierzyłem jej palmpada i patrzyłem, jak ikonka przesuwa się po ekranie na górne poziomy i kieruje do dawnego mieszkania. Nie spuszczałem jej z oczu, dopóki nie zaczęła się poruszać zbyt szybko, a zapis z monitoringu ujawnił, że podrzuciła urządzenie kurierowi. Potem po prostu zniknęła.

Jeśli nie uda mi się jej znaleźć dziś wieczorem, nie wiem, czy kiedykolwiek mi się to uda. Jedynym rozwiązaniem byłoby tropienie dziewczyny, a po piekle, które jej zafundowałem, nie mógłbym jej w ten sposób zdradzić, nawet po to, by dała mi szansę i wysłuchała moich przeprosin. Pozostało mi modlić się o to, by znalazła się tam, gdzie, jak mi się wydaje, powinna być, i jestem skłonny zaryzykować spotkanie z policją – i z samym LaRoux – by jeszcze raz ją zobaczyć.

Wiem, co jestem jej winien. I nawet jeśli stracę ją na zawsze, chcę spłacić ten dług.

Ubrany w smoking podobny do tych, jakie mają na sobie pozostali faceci,

czekam na wahadłowiec. Te ciuchy kosztowały tyle, że za tę kwotę bez problemu wykarmiłbym przez miesiąc dziesięć rodzin, ale nie czas żałować pieniędzy i ryzykować, że ktoś przyjrzy mi się nieco zbyt uważnie. Z zarobkami, jakie otrzymuje Walet za elitarne zlecenia hakerskie, mogę sobie na to pozwolić. Jeśli akcja pogrążenia LaRoux Industries się powiedzie, pomogę więcej niż dziesięciu rodzinom.

A także Sofii.

Koncentruję się na tym, jak smoking krępuje mi ruchy, i na butach, którym brakuje przyczepności, bo nie chcę myśleć o fakcie, że jeszcze nie przyszła. Musi przyjść. Nie tylko dlatego, że to jej największa, a właściwie jedyna szansa, by zaszkodzić LaRoux, ani dlatego, że bez niej raczej nie uda mi się dostać do środka, ale dlatego, że... musi przyjść.

W mojej głowie zagnieżdżają się słowa i huczą, przyjmując postać pospiesznego, nieustającego bębnienia. Proszę, Sofio. Proszę, Sofio. Proszę, Sofio.

Ilekoć otwierają się drzwi samochodu, czuję przyływ adrenaliny, a ilekroć zauważam nową sukienkę lub sylwetkę tego, kto znajduje się w środku, przechodzą mnie ciarki. Za każdym razem, kiedy z pojazdu wyłania się nowa postać, która nie jest nią, mam wrażenie, że spadam w przepaść.

Proszę, Sofio. Proszę, Sofio.

Kiedy wysiada z eleganckiego czarnego pojazdu – ostatniego, jaki podejźdza – moje serce zaczyna łomotać, a gdy zauważam jej strój, prawie zamieram. Niech to szlag, Dołeczku. Ma na sobie długą, przylegającą do ciała lawendową sukienkę podszytą od spodu elektrycznymi lampkami, które przy każdym kroku migoczą przez rozcięcie sięgające aż do uda. Suknia jest wycięta i dopasowana, a u dołu zdobi ją kilka warstw frędzli, które przywodzą na myśl staromodne sukienki z lat dwudziestych dwudziestego wieku na dawnej planecie Ziemia. Kiedy Sofia idzie, jej suknia rzuca fioletowe refleksy na chodnik pod jej stopami. Ma na sobie szpilki, w których prezentuje się tak, że niejedna modelka wyglądałaby przy niej nijako. Musi być w nich prawie tak wysoka jak ja.

Światłowody zdobią także jej włosy, które wciąż mają platynowy odcień – nie próbuje się ukryć. Albo myślała, że nie przyjdę, albo przeciwnie, po prostu jej to nie obeszło. Nie wiem, która z tych dwóch możliwości podoba mi się bardziej. Światełka migoczą w jej lokach i rzucają cienie na alabastrową skórę. Trzyma w ręku niewielką torebkę, z której wyciąga zaproszenie, dołączając do kolejki przy wejściu. Czuję suchość w ustach i nawet sam przed sobą nie potrafię udawać, że to tylko nerwy. Sofia wygląda zjawiskowo.

Wygląda niemal tak dobrze jak wtedy, gdy siedziała w naszym gniazdku w pasażu, z rozczochranymi włosami i saszetką żelu proteinowego w dłoni, i przesyłała mi ten uśmiech z jednym dołeczkiem, który tak kocham – ten prawdziwy.

Nie wiem, czy nie ucieknie, kiedy mnie zauważy, a nie wpuszczę jej tam samej, bo wiem, że mogę jej pomóc. Nawet jeśli ma plan, jak zlokalizować szczelinę i unieruchomić ją bez mojego udziału, ze mną u boku będzie bezpieczniejsza. Bez względu na to, co się między nami wydarzyło, plan LaRoux, by przejąć władzę, to coś większego od nas – dziś wieczorem nie możemy sobie pozwolić na porażkę.

Gdy przystępuję do jakiegoś zadania, nigdy nie zjadają mnie nerwy, ale tym razem jest inaczej – serce wali mi w piersi, kiedy się do niej zbliżam. Mogłaby ujawnić moją tożsamość przed tymi wszystkimi ludźmi. Mogłaby mnie oskarżyć o nękanie albo molestowanie i napuścić na mnie strażników. Mogłaby się odwrócić do mnie plecami i sama wkroczyć do jaskini lwa.

Aż do ostatniej chwili trzymam się za jej plecami i poza zasięgiem jej wzroku. Kiedy ochrona zaczyna skanować zaproszenia ludzi stojących przed nią, przesuwam się naprzód i obejmuję ją w talii, tak by wzięto nas za parę. Dziewczyna nieruchomieje, po czym ostrożnie przekręca głowę, by sprawdzić, kto pozwolił sobie na taką poufałość. Jej twarz prawie się nie zmienia, ale w jej oczach dostrzegam strach. Po chwili odzyskuje kontrolę i kładzie dłoń na mojej, która wciąż spoczywa na jej talii.

– Już myślałam, że nie przyjdiesz – mówi lekko i przyjaźnie, choć jej paznokcie wpijają mi się w nadgarstki, tak że czuję impuls bólu w ramionach i nie jestem w stanie wykrztusić słowa.

Pracownik przy służbie kłania się uprzejmie i wyciąga rękę po zaproszenie Sofii.

– Jack Rosso i Bianca Reine – mówi dziewczyna słodko, a mężczyzna zaprasza nas do środka.

Jej kontakt się spisał – zaproszenie pozytywnie przeszło weryfikację. Ogarnia mnie obezwładniająca ulga.

Wahadłowiec robi wrażenie. Od lat nie widziałem takiego luksusu. Wnętrze jest skąpane w łagodnym świetle, a zamiast standardowych siedzeń wokół widzimy miękkie dywany i wyściełane fotele. Nawet pasy bezpieczeństwa są designerskie, obłożone aksamitem i wyszywane, podobnie jak zasłonki w portach widokowych. Tę odrobinę wiktoriańskiej dekadencji zapewniło LaRoux Industries – na zewnątrz moda wkroczyła w nowy sezon, ale tego wieczoru przenieśliśmy się w czasie do świata Ikara. Sofia wybiera dwa fotele z tyłu kabiny, wciąż nie patrząc mi w oczy, a kiedy zapinamy pasy, młody mężczyzna w eleganckim stroju kamerdynera kroczy alejką ze srebrną tacą wypełnioną kieliszkami delikatnie musującego szampana. Biorę dwa – do diabła z abstynencją, bez trunku mogę nie przetrwać tej nocy – a jeden z nich opróżniam kilkoma łykami. Drugi kieliszek próbuję podać Sofii, ona jednak odmawia, kręcąc głową.

– Posłuchaj – szepczę, starając się nie ścisnąć kieliszka zbyt mocno.

Chciałbym, żeby naprawdę mnie usłyszała. Bez końca ćwiczyłem te słowa w głowie. Wiem, że nie warto odwoływać się do tego, co mogła do mnie poczuć. Muszę dotrzeć do drzemiącej w niej żelaznej determinacji, do tej części, która przez ostatni rok ją napędzała. – Wciąż jest coś, czego potrzebujesz. Podobnie jak ja. Pomóż mi, a dotrzymam obietnicy. Jeśli po tym wszystkim powiesz „nie”, już nigdy się do ciebie nie zbliżę.

W milczeniu wygląda przez port widokowy, patrząc, jak tłum w oddali się kurczy, a ostatni goście gali wchodzą na pokład, aż nie ma już czego oglądać. Dopiero kiedy zamykają się drzwi, a szum silników zamienia się w stłumiony huk, odpowiada:

– Powiedziałaś, że jeśli będziesz mnie szukał, zabiję cię.

Przełykam ślinę, wpatrując się w jej profil.

– Wiem.

– Ale oto jesteś.

– Musimy powstrzymać LaRoux.

Nawet jeśli przyznaję to tylko przed sobą, może zapewnienie jej bezpieczeństwa jest teraz ważniejsze niż cokolwiek innego. Jestem jej to winien. Pragnę tego dla niej.

Wahadłowiec zaczyna lekko drzeć i odrywa się od podłoża, szybko nabierając prędkości. Start pojazdu jest niemal nieodczuwalny, a jednak Sofia upuszcza torebkę na kolana i kurczowo chwyta za podłokietniki, jednocześnie wciskając głowę w zagłówek i zamykając oczy. Kiedy znów się odzywa, jej słowa są ostre i lakoniczne.

– Gdy wrócimy na Korynt, odejdziesz i nigdy nie spojrzysz wstecz. Nie będziesz mnie szukał. Nie wpiszesz nawet mojego imienia do jednej z tych swoich wyszukiwarek.

Czuję się tak, jak gdyby ktoś trzymał moje wnętrze w żelaznym uścisku, ale kiwam głową. Po chwili przypominam sobie, że Sofia ma zamknięte oczy, więc mówię.

– Rozumiem. A do tego czasu?

– Zróbmy to, po co tu przyszliśmy. Jeśli pozwolę ci wejść na górę samemu, odkryją twoją tożsamość i domyślą się, z kim przyszedłeś.

Nie obchodzi mnie to, że jest powściągliwa. To mi wystarczy. Chcę jej pomóc. Chcę jej zapewnić bezpieczeństwo. Chcę jej wynagrodzić to, co przeze mnie przeszła w zeszłym roku. Chcę też, by LaRoux odpowiedział za swoje czyny. Mam nadzieję, że nie będę musiał wybierać między jednym a drugim.

Sofia wciąż kurczowo trzyma się fotela, jakby sądziła, że wahadłowiec spadnie, jeśli ona nie skoncentruje się na tyle, by utrzymać go w powietrzu. Uświadamiam sobie, że nie lubi latać. Podejrzewam, że na Avonie niewiele czasu spędziła w pojazdach kosmicznych. Staram się odwrócić jej uwagę.

– Przypomnij mi plan – mówię cicho. – Wiemy, kiedy otwiera się nasze okno?

Cały dzisiejszy dzień mieliśmy się przygotowywać. Mieliśmy go spędzić razem.

Powoli wypuszcza powietrze, uspokaja się, a szepcząc odpowiedź, wpatruje się przed siebie. Jeśli zdaje sobie sprawę z tego, że pytam, by odwrócić jej uwagę od lotu, nie daje tego po sobie poznać.

– Pełno tu strażników. LaRoux także tam będzie wraz z córką i tym żołnierzem, za którego ona ma wyjść.

Moje biedne, nadwerżone serce znów zaczyna kołatać. Będzie dobrze. Lilac i Merendsen poznali Waleta, ale nie widzieli, jak wygląda. Nawet jeśli Lilac mnie rozpozna, minęło tyle czasu, że wątpię, by mnie pamiętała.

– Cała rodzina? – rzucam lekko. – Wszyscy w jednym miejscu. Duża rzecz. Nie wiedziałem, że ten żołnierz pokazuje się publicznie.

Sofia przewraca oczami.

– Nie jest bohaterem, na jakiego wylansowały go serwisy informacyjne – mruczy. – Niektóre z medali otrzymał za tak zwane zwycięstwa nad Avonem, nad moimi ludźmi. Wrócił tam tuż przed Transmisją, po... moim ojcu. A kiedy zaczęło się robić niebezpiecznie, uciekł.

Czuję gorycz w ustach. W końcu opuścił Avon dopiero po tym, jak przekazał znalezione przeze mnie informacje Jubilee Chase i Flynnowi Cormacowi. Oczywiście Sofia uznałaby, że ich porzucił.

– Media przekręcają niektóre fakty – mówię, by wypełnić ciszę. – A co ze strażnikami? Zgaduję, że będzie się tam od nich roić.

– To inni ludzie niż ci, których... – Sofia milknie tylko na chwilę. Najwyraźniej to, że do jej domu wdarli się porywacze, nie jest już najgorszą rzeczą, jaka przydarzyła jej się w ciągu ostatnich dwóch tygodni. – Których spotkaliśmy. Będziemy bezpieczni, o ile ktoś nie zauważy, że włamujesz się do ich komputerów.

Klepię się po kieszeniach, gdzie trzymam najbardziej zredukowaną wersję swojego sprzętu.

– Przy odrobinie szczęścia nie zajmie to więcej niż kilka minut. Gdy już znajdziemy szczelinę. – Może powinienem udawać, że wszystko będzie trwało dłużej. Miałbym pretekst, żeby mówić i się przed nią usprawiedliwić.

Wahadłowiec wydostaje się z atmosfery i lot staje się gładzy, a huk silników cichnie. Sofia przestaje kurczowo ścisnąć oparcia. Przez sąsiednie porty widokowe widać gwiazdy, które wyłaniają się z czarnego od sadzy powietrza wiszącego nad Koryntem.

– Wieczór zacznie się od podania przystawek – mówi cicho profesjonalnym tonem. – Rozmowy, tańce. Później nastąpi otwarcie części muzealnej. Kłopot w tym, że w pierwszej połowie gali odbędzie się prywatne oprowadzanie po

wystawie, a nasza trasa do maszynowni prowadzi przez sam jej środek, więc mamy niewiele czasu. Musimy się tam dostać przed końcem wycieczek i przed otwarciem muzeum. W czasie przemówień. Będziemy mieli na to pół godziny, maksymalnie czterdzieści pięć minut.

– Wystarczy – stwierdzam i mam nadzieję, że to prawda.

Milkniemy, kiedy w zasięgu wzroku pojawia się Dedal, tak ogromny, że przez port widokowy widzę tylko fragment. Cielsko statku przysłania gwiazdy. Ten pojazd jest lustrzanym odbiciem Ikara, zbudowanym jednocześnie ze swoim bliźniaczym statkiem. Miał wystartować zaledwie kilka tygodni po nim. Jednak kiedy Ikar spadł, lot Dedala został wstrzymany, aż LaRoux zdał sobie sprawę, że może zarobić na tragedii, przerabiając Dedala na niesmaczne muzeum dla tych, którzy mają ochotę napawać się destrukcją.

Przez interkom rozbrzmiewa ogłoszenie i wahadłowiec zaczyna zniżać lot do doku, a następnie rozlega się brzęk odpinanych pasów i obsługa podnosi się z miejsc, by wskazać nam wyjście do przesiadki na statek. Najwyraźniej wyglądam zbyt nonszalancko, bo Sofia zmusza mnie, bym wyciągnął rękę z kieszeni, i na siłę zgina mi ramię w łokciu, żebyśmy szli pod rękę podobnie jak inne pary. Od lat nie brałem udziału w tego typu paradzie i zdążyłem wyjść z wprawy.

– Udawaj, że grasz w dramacie kostiumowym w holowizji – szepcze. – Oni właśnie to robią.

Przechodzimy przez drzwi i nagle znajdujemy się w innym świecie. Wysoko sklepiony sufit unosi się nad nami, kryształy połyskujących żyrandoli odbijają światła od powierzchni, wszystko jest wykończony aksamitem i złotem i zrobione z bezcennego polerowanego drewna. Wśród gości krążą tace zbierające zamówienia i rozprowadzające napoje oraz jedzenie, zebrani wirują w kalejdoskopie barw – mężczyźni w poważnej czerni, a kobiety we wszystkich znanych mi kolorach. Muzycy grają na podwyższeniu na końcu sali i przez chwilę znów czuję się jak dziecko szukające w tłumie matki.

Sofia daje mi kuksańca i wskazuje czerwony sznur oddzielający jedno z wejść. Wyłania się z niego grupa uczestników gali prowadzona przez przewodnika w wojskowym stroju – przebrał się za jedną z ofiar Ikara.

– To chore – mówię cicho, odwracając wzrok. – LaRoux powinien się wstydzić. Pięćdziesiąt tysięcy ludzi nie żyje. Czy on myśli, że jeśli wszystkim pokaże szczegóły katastrofy, jakby miał prawo się nią popisywać, to uznają, że wypadek nie był jego winą?

– To było najważniejsze wydarzenie od dziesięcioleci – odpowiada zduszonym głosem Sofia. – Dla ludzi tu obecnych jedyną rzeczą gorszą od śmierci na tym statku było przegapienie tej katastrofy. Dzięki tej wystawie mogą udawać, że jednak byli na miejscu tragedii.

– Ominęła ich tylko drobna niedogodność śmierci – mamroczę. – LaRoux

zasługuje, by ujawnić jego plany całej Galaktyce.

Sofia odwraca wzrok, kiedy muzycy zaczynają grać walca. Muzyka staje się głośniejsza, a na parkiet wpływają kolejne pary.

– Zasługuje na sprawiedliwość. – W jej głosie słychać chłód, który sprawia, że przechodzą mnie ciarki, i który każe mi się zastanawiać, co dla niej oznacza to słowo. Jej uśmiech jest równie łagodny i przyjazny jak zawsze. Dwa dołączki. Nieprawdziwy. Może już nigdy nie zobaczę tego prawdziwego.

Zgromadzeni wokół nas goście ruszają w stronę parkietu, by przyłączyć się do tańca. Wkrótce zostaniemy sami. Zanim udaje mi się zapytać, jak wygląda sprawiedliwość, której tak pożąda, pociąga mnie w stronę gęstniejącego tłumu tancerzy. To najlepsza kryjówka.

Kilka chwil później trzymam ją w ramionach tak jak przedwczoraj – całe wieki temu. Jest dokładnie tak samo jak przy *Walcu motyli*, a jednocześnie zupełnie inaczej. Nie mogę oderwać wzroku od jej twarzy, marzę, by się pochylić i ją pocałować. Jej dotyk jest naładowany elektrycznością. Jednak Sofia znajduje się myślami daleko stąd, bo choć na nią patrzę, odwraca wzrok i śledzi przyplwy i odpływy tłumu, obserwuje wyjścia, chłonie wszystkie szczegóły. Traktuje taniec jak obowiązek. Odlicza minuty do czasu, aż wykonamy swoje zadanie i zniknę z jej życia na zawsze.

– Przemówienia powinny się zacząć za mniej więcej dziesięć minut – mówi, odwracając twarz w moją stronę, żeby móc mi szeptać do ucha, a ja pochylam głowę. – To dlatego chciałam lecieć ostatnim wahadłowcem. Będą mieli mniej czasu, żeby nas rozpoznać. Widzisz tych ludzi pod ścianami?

Okręcam ją, żeby się rozejrzeć, a mój wzrok pada na kobiety i mężczyzn stojących pod ścianami w równych odstępach. Obserwują tłum podobnie jak Sofia i jakby świat nagle nabrał ostrości, dostrzegam ich prawdziwą tożsamość: to grupa strażników LaRoux.

– Mam ich – szepczę. – Oby w czasie przemówień nikogo z nich nie naszła ochota na spacer.

– Nie najdzie – mówi bez cienia wątpliwości.

– Z maszynami zawsze sobie poradzę, ale wystarczy dorzucić ludzi i niczego nie można być pewnym.

– Nie do końca – odpowiada, kiedy mijamy w tańcu inną parę. Muzyka robi się coraz głośniejsza. – Ludzie są przewidywalni. Dopiero kiedy wydaje ci się, że mogą zrobić coś niespodziewanego, zaczynają się kłopoty.

To wystarczy, żebym się zamknął. Przez kilka następnych minut wymyślam i odrzucam w głowie kolejne przeprosiny, szukam słów, które przekonają ją, by spojrzała mi w oczy bez nieufności czającej się teraz w jej spojrzeniu. Próbuję zignorować ból, który ściska mnie za gardło i pozbawia słów. Jednocześnie słucham instrukcji, które do mnie szepcze, i podążam za nią, kiedy prowadzi nas

przez tłum, próbując nie zwracać uwagi na to, że od jej oddechu mrowi mnie kręgosłup.

Podprowadza nas do kolumny przy wejściu na wystawę, gdzie możemy na chwilę przystanąć z dala od wzroku strażników. Z niektórych miejsc wciąż nas widać, więc Sofia bez wahania opiera się o kolumnę, zarzuca mi ręce na szyję i przyciąga moją głowę, żeby móc mi szeptać do ucha.

– LaRoux zaraz się zjawi – mówi, a ja zmuszam się do uśmiechu, na wypadek gdyby ktokolwiek nas obserwował.

Kolejne minuty zdecydują o naszym losie. Jeśli zostaniemy przyłapani na tym, że wchodzimy na wystawę przed jej otwarciem, nasze życie może zależeć od umiejętności blefowania. Wcześniej muszę coś powiedzieć. Muszę spróbować.

– Przepraszam – mruczę jej do ucha. – Mam wytłumaczenie, ale wiem, że nie chcesz mnie słuchać, więc nie będę próbował ci go przedstawiać. Ja tylko... przepraszam. Nie chciałem cię skrzywdzić. To nie o ciebie mi chodziło.

Zwraca twarz w moją stronę i nasze oczy się spotykają – mam wrażenie, że otaczający nas tłum po prostu topnieje, podczas gdy ona trzyma mnie w niewoli.

– Gideonie, nie obchodzi mnie, co myślisz, i nie chcę słuchać tego, co masz do powiedzenia – mówi po chwili wyraźnym szeptem, wylewając mi na głowę kubek zimnej wody. – Jestem tu tylko w jednym celu. LaRoux. Zasługuje na śmierć.

Po kręgosłupie spływają mi lodowate krople. W jednej chwili nasze spojrzenia się spotykają i dostrzegam to w jej oczach.

– Śmierć jest łatwa – kwituję. – My... – Urywam. Bo widzę to właśnie tam, w jej oczach. Widzę, jak daleko się posunie. Widzę, czego pragnie.

Nie wiem, jak to zrobi, ale widzę, co planuje.

Nachylam się do niej, bez tchu, rozpaczliwie szukając słów. Mam minutę, może dwie.

– Sofio, ja... Wczoraj w nocy nie spałem.

Jej wargi rozchylają się, by zaczerpnąć oddechu, a ja kręcę głową, żeby odpędzić obojętną odpowiedź, która lada chwila padnie.

– Nie mogłem. Rozmawiałem z bratem. Czy ty czasem rozmawiasz z ojcem?

Ściąga wargi i próbuje odepchnąć się od kolumny. W desperacji jeszcze mocniej zaciskam dłoń na jej ramieniu, by ją przytrzymać.

– Proszę, błagam, wysłuchaj mnie. Wczoraj w nocy zdałem sobie sprawę, w co zamienił mnie ten pościg za LaRoux. Stałem się kimś, kto idzie po trupach i zapłaci każdą cenę, by pogrążyć znienawidzonego człowieka. Ten mężczyzna odebrał mi jedyne brata. Zrobiłem to, Sof. Próbowałem cię zniszczyć, bo myślałem, że jesteś kimś związanym z LaRoux. Leżąc tam bezsennie i rozmawiając z facetem, który był moim bohaterem, uświadomiłem sobie, że dawno przestałem go słuchać.

– To miło – odpowiada cicho jak śmierć, a jej szept jest chrypliwy, jak gdyby ktoś wyciągał z niej słowa na siłę. – Ale to nie ma nic wspólnego ze mną.

– Nie widzisz? – Zaczyna mi się plątać język, a mój szept staje się ostry. – To wszystko ma związek z tobą. Wczoraj w nocy zdałem sobie sprawę z tego, że jest cena, której nie zapłacę, bez względu na wszystko. Jest cena, której mój brat nie pozwoliłby mi zapłacić. – Wciąż wpatrujemy się sobie w oczy, a ja widzę, że w jej spojrzeniu coś się zmienia. Nie odpuszczam. Jestem zdesperowany. Chcę, żeby zobaczyła. – Myślę, że ojciec powiedziałby ci to samo. Myślę, że powiedziałby ci, że pewnych kosztów nie warto ponosić. Powiedziałby ci, co by się z tobą stało, co byś straciła. To nie jesteś ty. Zaufaj mi, sam stałem nad tą przepaścią i patrzyłem na drugą stronę. Nie pozwolę ci na to.

– Nie jesteś mną, Gideonie – syczy Sofia, a jej twarz jest zacięta. – Nie znasz mnie. Różnimy się. Straciłam ojca, dom i wszystkich, na których mi zależało. Jeśli mam stracić coś jeszcze za cenę zlikwidowania LaRoux, zgadzam się. To bez znaczenia.

Jej oczy wypełniają się łzami, a ja desperacko pragnę jej dotknąć – nie tak jak teraz, kiedy zaciskam dłonie na jej ramionach, by nie pozwolić jej uciec, ale tak naprawdę. Powoli, ostrożnie, żeby mogła jeszcze odwrócić głowę, unoszę kciuk, by przesunąć nim po jej kości policzkowej i otrzeć łzy.

– To ma znaczenie – szepczę. – Nie wiesz, ile masz do stracenia. Sofio. To ma znaczenie.

Nie odwraca się, a to, że pozwala mi się obejmować, napełnia mnie radością. Odrobinę łagodnieje, tylko odrobinę, ale kiedy podnosi wzrok, żeby spojrzeć mi w oczy, mam wrażenie, że lód topnieje.

– Nie wiem, co innego mogłabym zrobić – szepcze. – Mam tylko ten cel.

– Zróbmy to, co zaplanowaliśmy. Znajdziemy szczelinę i powstrzymamy LaRoux przed zawładnięciem członkami Rady. Uda się nam – obiecuję, choć wiem, że nie powinienem. Nie powinienem składać tej obietnicy.

A kiedy już tego dokonamy, będę miał czas, by zasłużyć na twoje wybaczenie. Będę miał czas, by porzucić Waleta.

Jeszcze odrobina. Kilka kropel odwilży, topniejący śnieg. Sofia lekko unosi brodę, a moje serce zamiera, odczytując to jako zaproszenie. Powoli i ze czcią pochylam głowę, by musnąć ją wargami, po czym pogłębiam pocałunek. Przyciskam dłoń do zimnego marmuru za jej plecami, a ona wkłada mi palce pod smoking, przesuwając urządzenia, które przykleiłem sobie do tułowia, by znaleźć miejsce, gdzie przez cienką tkaninę koszuli będzie mogła przywrzeć opuszkami do mojej skóry.

Wibruję, zamieniam się w elektryczność i dopiero po kilku chwilach uświadamiam sobie, że te wibracje pochodzą z zewnątrz. Wstrzymano tańce i rozległ się aplauz. Coś się dzieje na podium, ale jestem zbyt roztargniony, by

zwrócić na to uwagę. Unoszę głowę, mrugając, a Sofia przez ułamek sekundy ukazuje w uśmiechu dołeczki, kiedy podnosi palec, by sprawdzić, czy nie rozmazała jej się szminka.

– Przyszedł – mówi cicho, wciąż nie spuszczać ze mnie wzroku.

Kiwam głową i niechętnie się od niej odrywam. Wciąż szukam jej spojrzenia.

– Obiecuj – szepczę. – Zrobimy to razem.

– Razem – odpowiada także szepcem i moje serce wzbiera radością.

Delikatnie mnie odpycha. Odwracam się i widzę, że aplauz rozlega się na platformie w przedniej części sali balowej.

Monsieur LaRoux wchodzi na scenę. Wygląda jak zwykle – ma przeszywające błękitne oczy, krótko ostrzyżone siwe włosy i twarz rozpoznawalną w całej Galaktyce. Towarzyszy mu dwóch ochroniarzy, a tuż za nim kroczy para, która przez cały ostatni rok pojawiała się na ekranach holowidów równie często, jak on. Merendsen nawet w smokingu wygląda jak żołnierz – przez to, jak stoi. Rozluźnia się, dopiero kiedy kładzie dłoń na plecach Lilac LaRoux, pomagając jej wejść za ojcem. Sam staje u podnóża schodów pomiędzy nią a fotografami.

Wielokrotnie rozmawiałem z nimi na czatach, a dzięki transmisjom, które przekierowałem, kiedy blokowałem im ustawienia prywatności, mogę oglądać ich twarze, kiedy tylko mi się podoba. Ale pierwszy raz znajdujemy się w tej samej przestrzeni i czuję się jak sparaliżowany. Przypominają siebie ze zdjęć, które ukazywały się w mediach, począwszy od sposobu, w jaki ona przekrzywia głowę, by na niego spojrzeć, a skończywszy na tym, jak on obejmuje ją ramieniem i uśmiecha się delikatnie, kiedy ich oczy się spotykają. Wszyscy wiedzą, jak tych dwoje na siebie patrzy. Jak gdyby w pomieszczeniu nie było nikogo innego. Przełykam gorycz, którą czuję, ilekroć oglądam ich na ekranie. W ich przypadku bycie razem wydaje się takie proste.

Sofia stoi obok mnie i także się w nich wpatruje. Raczej nie grozi nam, że nasza tożsamość zostanie ujawniona. Wszyscy goście są oczarowani. Po chwili dziewczyna zaczyna iść w stronę trójki na scenie, jak gdyby o mnie zapomniała. Chwytam ją za ramię, a ona próbuje mi się wykręcić.

– Co robisz? – szepczę, stając obok.

Ignoruje mnie i odwraca głowę, by omieść salę wzrokiem. Raz jeszcze przygląda się gorylom, a gdy jej wzrok zatrzymuje się na scenie, wszystkie mięśnie jej ciała są napięte – zachowuje się jak pies gończy wskazujący położenie ofiary.

Ściskam jej ramię.

– Czas na nas – mamrocze, ciągnąc ją z powrotem w stronę kolumny. Znowu ogarniają mnie nerwy i lęk, że zapomniała o tym, co mi obiecała.

Nagle, jak gdyby podjęła jakąś decyzję lub doszła do jakiegoś wniosku, pozwala, bym ją odciągnął. Chwyta mnie za poły smokingu i przyciska do

kolumny, po czym przyciąga do siebie, żeby mnie pocałować. Obejmuje mnie dłonią za kark, a jej dotyk sprawia, że przechodzi mnie prąd. Jej usta muskają moje ucho.

– Czas na nas – przytakuje. – Musimy wyglądać, jakbyśmy się wykradali, żeby... Udawaj, że mnie pożądasz.

Nic prostszego, Dołeczku. Nic prostszego.

Trzymając się za rękę, wślizgujemy się za drzwi, a kiedy odwracam się plecami do tych wszystkich strażników, przechodzi mnie dreszcz lęku. W momencie, kiedy wchodzę w głąb korytarza, Sofia pociąga mnie za ramię, żeby mnie zatrzymać, przyciąga do siebie, a sama biegnie do drzwi, by przycisnąć do nich ucho i sprawdzić, czy nikt nas nie ściga. Po kilku sekundach kiwa głową.

– Nie ruszaj się – mówi, po czym podchodzi, by jedną dłonią rozwiązać mi krawat, a drugą rozchełstać koszulę.

– Naprawdę uważasz, że to odpowiedni moment? – żartuję, ale od razu się reflektuję. Może i zgodziła się na moją propozycję, ale nie wiem, czy już mi wybaczyła.

Ona jednak przesyła mi delikatny uśmiech, wyciąga z torebki szminkę i dokładnie pokrywa nią usta, a następnie przyciąga mnie do siebie, żeby przycisnąć wargi do kołnierzyka mojej koszuli i zostawić na nim szkarłatny ślad. Cofa się i mierzy mnie spojrzeniem, po czym wyciąga mi ze spodni koniec koszuli.

Teraz zajmuje się sobą. Mierzwi sobie włosy, przeczesując je palcami, tak że jej loki sterczą na wszystkie strony, pochyla się, by rozpiąć wysokie szpilki, zdejmuje je i zawiesza je sobie na palcach. Ten, kto nas znajdzie, nie będzie miał wątpliwości co do tego, czym się przed chwilą zajmowaliśmy.

Kiedy znów na mnie patrzy, na jej twarz powraca zacięty wyraz, a w jej oczach pojawia się determinacja.

– Chodźmy. Zegar tyka.

Niebieskooki mężczyzna rzadko podchodzi do przeredzeń i nigdy nie zabiera ze sobą dziewczynki o radosnym śmiechu, od którego tak zmieniała się jego twarz. Jednak te same dźwięki i kolory, które zalewały bezruch, teraz zalewają przeredzenie i za ich pośrednictwem dostrzegamy więcej świata. Z trudem uczymy się ich słów, liter i wiadomości, ale obrazy mówią i wywołują duchy serc.

Dopiero po latach odnajdujemy niebieskookiego mężczyznę i jego córkę i odkrywamy, że nie jest już taka mała. Przez lata niewoli poznaliśmy słowo opisujące wyraz twarzy mężczyzny, który tak nas fascynował. Teraz zagościł także na jej twarzy, ale jest przeznaczony dla kogoś innego, dla chłopca w jej wieku. Pierwszy raz w życiu jest zakochana, a my czujemy się tak, jakbyśmy i my byli zakochani po raz pierwszy.

Niebieskooki mężczyzna kryje w sercu nienawiść do chłopca, a wraz z upływem czasu przyszłość chłopaka, którego kocha jego córka, się zawęża: on umrze, a jej pęknie serce.

Nie widzimy, co potem stanie się z jej sercem.

SOFIA

Huczy mi w uszach, choć miękka wykładzina w korytarzu tłumi moje niezgrabne kroki oraz odgłos kroków Gideona. Mam wrażenie, że torebka zwisająca mi u boku jest zrobiona z ołowiu, a waga nieużytej broni ciąży mi bardziej niż jakikolwiek inny przedmiot.

Przebywaliśmy w tym samym pomieszczeniu. Mój umysł nie pozwala tym słowom zniknąć. Byłam w pomieszczeniu z Roderickiem LaRoux i go nie zabiłam.

Jednak migocząca poświata otaczająca podium sygnalizowała obecność pola bezpieczeństwa, a z Gideonem u boku nigdy nie zbliżyłabym się do niego na tyle, by wystrzelona przeze mnie kula trafiła do celu. Strażnicy stali tuż obok. Przez chwilę straciłam czujność i gdyby Gideon nie chwycił mnie za ramię, pewnie i tak bym zaryzykowała. Zmarnowałabym jedyną kulę.

Choć wiem, że rozsądnie było odejść i poczekać na właściwszy moment, żałuję, że czegoś nie wymyśliłam. Układałam listę tysiąca rzeczy, które powinnam była zrobić – przekonać Gideona, że trzeba obezwładnić strażników na całym statku i zminimalizować ryzyko, iż zostaniemy złapani, poprosić, by usunął otaczające podium pole. Powinnam była pospieszyć do podium, kiedy cała uwaga była zwrócona na córkę LaRoux i jej narzeczonego. Mogłam zrobić cokolwiek, zwłaszcza że nie musiałabym się już ukrywać. Od początku wiedziałam, że to podróż w jedną stronę.

Ale nie ruszyłam się z miejsca, pozwalając, by Walet trzymał mnie za łokieć i szeptał mi do ucha, a Roderick LaRoux wraz ze swoją szczęśliwą rodziną uśmiechali się do publiczności. Resztką woli powstrzymuję się, żeby nie zacząć krzyczeć, płakać lub wymiotować.

W korytarzu prowadzącym na wystawę i dalej, do wind, panuje ciemność, a wykładzina ma dekadentcki odcień czerwieni, modny w czasach, gdy Ikar wyruszył w swoją nieszczęsną dziewiczą podróż. W miarę jak się oddalamy, stłumiona muzyka i śmiech dobiegające z sali balowej cichną. Po obu stronach korytarza znajdują się pomieszczenia wystawowe z rekonstrukcją Ikara i prezentacją tego, w jaki sposób żyli jego pasażerowie przed katastrofą. Po prawej dostrzegamy symulację pokładu obserwacyjnego, po lewej kolejne kabiny i wspólną przestrzeń poszczególnych poziomów statku, od kabin pracowników, przez pokład zajmowany przez wojskowych, po pierwszą klasę. Przy każdym z odtworzonych pomieszczeń widnieje znak informujący gości Dedala, że po włożeniu okularów zapewniających „doświadczenie Ikara” mogą zobaczyć, jak wyglądały pokoje po katastrofie.

Symulacja nie uwzględnia zapewne martwych ciał.

Z trudem przetykam ślinę i oplatom się ramionami, żeby powstrzymać drżenie.

Gideon zerka na mnie i chwyta za poły smokingu.

– Zimno ci? – szepcze, a jego głos miazdzy ciszę. Ten urok trzyma mnie w garści.

– Nie – odpowiadam, z trudem zachowując spokój.

Gideon opuszcza ręce.

– Zejdźmy do maszynowni. – Przeciskam się obok niego, rozpaczliwie próbując poukładać myśli.

Gideon wciąż wierzy, że przylecieliśmy tu odszukać szczelinę i zasabotować plany LaRoux. Niech tak myśli... Może jeszcze mi się przyda. Żeby dostać się do komputera, będzie musiał ominąć zabezpieczenia. Niewykluczone, że uda mi się go przekonać, by rozbroił pole zabezpieczające podium. Albo uruchomię alarm, kiedy Gideon będzie zajęty swoimi działaniami, a gdy strażnicy zaczną go gonić, wrócę na salę balową.

Twierdzi, że chce ujawnić działania LaRoux mieszkańcom całej Galaktyki. Nie mogę uwierzyć w jego naiwność. Jemu naprawdę się wydaje, że zdoła cokolwiek osiągnąć. Czy aresztowanie LaRoux będzie jednoznaczne z wymierzeniem mu sprawiedliwości? Nawet gdyby jego prawnicy nie zdołali oczyścić go z zarzutów, w najlepszym wypadku spędzi kilka miesięcy w „celi”, przy której mój apartament wygląda jak ośrodek resocjalizacji, gdzie spędziłam poprzednią noc. O wiele bardziej prawdopodobne, że winę zrzucano by na jakiegoś podwładnego, a LaRoux przez następne pięćdziesiąt wydań wiadomości opowiadałby o szoku i niedowierzaniu, które wywołała informacja, czego dopuszczono się w jego imieniu. Zorganizowałby zapewne kolejne przyjęcie dla rodzin „dotkniętych” przez katastrofę i mordy na Avonie, a po wszystkim ludzie jeszcze bardziej by go kochali. Choć liczba tych, którzy go przejrzeni, wciąż rośnie, jesteśmy kroplą w morzu, a wobec masy osób chcących mu wierzyć nie mielibyśmy żadnych szans.

Natykamy się na rekonstrukcję salonu pierwszej klasy, a kiedy zbliżamy się do wind, zwalniam. Pomieszczenie jest skąpane w przytłumionym ciepłym świetle, ale projektory holograficzne niczego nie wyświetlają: ani zjaw pasażerów, ani muzyki, ani unoszących się w powietrzu tac. Panująca tu cisza sprawia, że łatwiej nam zauważyć, iż nie jesteśmy sami.

Gideon rusza przed siebie, ale ja łapię go za ramię, żeby odwrócił wzrok. Z boku, nieopodal stolików z kanapami obciążonymi wysokiej klasy skórą, znajdują się Lilac LaRoux i Tarver Merendsen.

Gideon i ja cofamy się w cień, czekając na znak, że nas zauważyli. Jednak żołnierz obejmuje dziewczynę ramieniem, w którym ona chowa twarz – żadne

z nich nie patrzy w naszą stronę. Zaabsorbowana tym, czy nikt nas nie spostrzeże, nie zwróciłam uwagi na fakt, że ta para także się wymknęła. Lilac LaRoux podnosi głowę. Jej pokryta makijażem twarz jest blada, a czerwień szminki wyróżnia się i podkreśla zaciśnięte wargi. Ma na sobie czarną sukienkę, jak gdyby przeżywała żalobę po wszystkim tym, co ich otacza. Kiedy uważniej się im przyglądam, widzę, że żołnierz ma zaczerwienione oczy.

Chłopak szepcze coś, czego nie słyszę, a dziewczyna odpowiada:

– Jesteśmy jak duchy.

Przez chwilę jest mi ich prawie żal. Cokolwiek zrobili, z czymkolwiek się związali, tylko tych dwoje ludzi ocalało z katastrofy, tylko tych dwoje znalazło odtworzonych holograficznie, martwych już, pasażerów. Może nawet siedzieli w salonie pierwszej klasy, kiedy Ikar spadł.

Znam minę tej LaRoux, wielokrotnie ją widziałam na Avonie. Wygląda, jakby odebrano jej wszystko, jakby stała się szkieletem dawnej siebie. Gdyby nie jej włosy, sukienka i otaczający ją luksus, mogłaby być jedną z sierot wojennych czekających, aż bliźny traumy zbledną. Mogłabym jej oszczędzić czasu i powiedzieć, że nigdy do tego nie dojdzie.

Nagle Lilac wyciąga rękę, chwyta krawędź stołu, żeby się wyprostować, i krzywi się, a żołnierz błyskawicznie ją obejmuje. W jego głosie pojawia się zdenerwowanie, ale słowa są wyraźne:

– Jesteś tutaj, Lilac. Jesteś ze mną.

– Czuję je – szepcze dziewczyna, zaciskając żuchwę i ledwo poruszając ustami, a ścięgną jej karku na chwilę się uwypuklają. Po chwili jest po wszystkim i dziewczyna powoli wypuszcza powietrze, znów się prostując.

Gideon i ja wymieniamy spojrzenia. Mówi do mnie bezgłośnie: „Co to za one?”, ja jednak nie wiem, co mu odpowiedzieć. Domyślam się, że chodzi o duchy z przeszłości, które zapewne pytają, dlaczego uczestniczy w planach człowieka pokroju swego ojca.

Żołnierz znów się odzywa, ale barwa jego głosu jest tak niska, że trudno odszyfrować, co mówi. Dziewczyna kiwa głową. On przechyla się, by pocałować ją w skroń, a kiedy odrywa usta, obok niego siedzi ta sama Lilac LaRoux. Radośnie się uśmiecha i prostuje plecy, a ślady tego, co wydawało mi się, że widzę, znikają.

– Jest moja dziewczyna – rzuca żołnierz z uśmiechem, który rozmywa współczucie.

Szkoda, że i ja nie potrafię podejść do tragedii w tak beztroski sposób.

Zerkam na Gideona. Już mam przechylić głowę i zasugerować, byśmy ruszyli dalej – nie musimy wiedzieć, co robi tych dwoje, musimy tylko pilnować, by nie rzucać im się w oczy – kiedy dostrzegam, że wpatruje się w nich równie uważnie, jak ja. Uświadamiam sobie, że zaciska dłonie po bokach tak mocno, że bieleją mu kostki, i że światła odbijające się w jego oczach migoczą, że ma

w oczach łzy. Patrzy na nich tak, jak ja patrzę na podobiznę ojca – jak gdyby mężczyzna obejmujący Lilac LaRoux był ostatnim fragmentem jakiejś dawno utraconej części jego jestestwa.

Przez chwilę się waham, ale dotykam jego rękawa palcami. Wciąga gwałtownie powietrze przez nos, po czym się odwraca, nawet na mnie nie patrząc. Bez słowa ruszamy dalej, pozwalając dwójce ocalałych z Ikara tułać się po korytarzach Dedala w samotności.

Windy, do których zmierza Gideon, znajdują się w skrzydle przedstawiającym samą katastrofę, w sali z mniej więcej dwudziestoma fragmentami wraku. Kiedy przechodzimy, pojawia się holograficzny tekst z opisem każdego obiektu – nasz ruch sprawia, że wystawa próbuje zwrócić na siebie uwagę. Gideon wpatruje się jednak w bogato zdobione drzwi na końcu pomieszczenia i w milczeniu podąża w ich stronę.

Wchodzimy do środka, a ja wciąż szukam odpowiednich słów. Kiedy mijamy kolejne piętra, jadąc do maszynowni, czuję, jak LaRoux się ode mnie oddala. Co mam teraz zrobić? „Gideonie, wiem, że wiele się między nami... dzieje. To nie czas ani miejsce na rozmowy. Ale może gdy już będzie po wszystkim, gdy uzyskamy potrzebne informacje...” Tak, coś w tym stylu. Dodam jeszcze: „Czy nie musisz odciąć pól bezpieczeństwa dla pewności, że niczego przed nami nie kryją?”.

Powoli biorę oddech.

– Dobra, odciąłem alarm – mówi, zanim udaje mi się odezwać. Nie odrywa wzroku od lap-ekranu. – Wyizolowałem poziom maszynowni. Gdybym wyłączył go na całym statku, rozpętałoby się piekło.

Cholera.

Wciąż szukam odpowiedzi, kiedy drzwi się rozsuwają i naszym oczom ukazuje się maszynownia, a ja jestem zmuszona, by wyjść za Gideonem na korytarz. Jeśli wykonamy jego plan i unieruchomimy szczelinę, uda mi się wyciągnąć LaRoux z obstawionej strażnikami sali balowej i dostanę swoją szansę. W głębi duszy czuję obrzydzenie na myśl o tym, jak łatwo jest mi się uśmiechać do Gideona i udawać, że znów wszystko jest w porządku. Teraz jednak nie mogę zapomnieć że towarzyszy mi Walet – już nigdy nie będzie po prostu Gideonem.

Na tym piętrze brakuje luksusów, z jakimi urządzono górne pokłady – służy jedynie względnie praktycznym. Wzdłuż ścian po lewej stronie biegnie rusztowanie, a do środka prowadzi metalowy portal. Z planów, które przestudiowałam, wiem, że maszynownia to otwarta przestrzeń zajmująca kilka poziomów. Przypomina ogromny stadion skoncentrowany wokół hiperprzestrzennych silników ze stacjami roboczymi przytwierdzonymi do ścian jak metalowe gniazda, połączonymi skomplikowanymi klatkami schodowymi, tak by można było oglądać silnik z różnych perspektyw i mieć do niego dostęp pod różnymi kątami.

Ruchy Gideona są szybkie, a ja jestem wdzięczna, że trzymam buty w dłoni i mogę za nim nadążyć, biegnąc bosą korytarzem, choć metalowa kratka wbija mi się w skórę. Może wszystko potoczy się szybko – może raz-dwa znajdziemy szczelinę, unieruchomimy ją i wrócimy na przyjęcie. Mam jeszcze czas, by strzelić. Poprawię włosy, makijaż i znów wtopię się w tłum. Jestem tak zajęta swoimi myślami, że kiedy wpadam na szerokie plecy Gideona, wydaję z siebie pozbawiony godności pisk.

– Co jest grane? – szepcze, ale jego ciało blokuje mi widok.

Dopiero kiedy przesuwam się w bok, dostrzegam roztaczającą się przed nami scenę. Nasz korytarz kończy się balkonem przyczepionym do ściany, otwierającym się na gigantyczną, wysoką na kilka pięter przestrzeń silnikową. Schody rozchodzą się na boki, tworząc ogromną pajęczą sieć rusztowań i portali. Jednak nie to kazało Gideonowi się zatrzymać.

W wielkiej pustce, gdzie powinien się znajdować silnik hiperprzestrzeni – gdzie powinna się znajdować szczelina – nie ma niczego. Ogromne metalowe pazury, które powinny przytrzymywać silnik w miejscu, zaciskają się w powietrzu. Przez chwilę jestem równie zdezorientowana, jak Gideon. Nie mieliśmy wątpliwości, że plan LaRoux dotyczący szczeliny zostanie wykonany tutaj, dziś wieczorem. Walczę z impulsem, by odwrócić się na pięcie, wrócić na salę balową i bez względu na pole bezpieczeństwa wycelować do LaRoux z broni.

– Wejść do systemu – mówi Gideon, mobilizując się, zanim zdążę cokolwiek powiedzieć, i kieruje się do schodów znajdujących się na końcu naszego małego balkoniku. Schodząc w dół, nie przestaje mówić, a ja biegnę za nim. – Szczelina w siedzibie LRI spowodowała ogromne wahania energii. Musi się znajdować gdzieś na tym statku. Odczytam zapis energii i ją znajdę. Na pewno gdzieś tu jest. – W jego głosie pobrzmiwa nuta desperacji i niepewność, z którą nie jest gotowy się zmierzyć.

Na statku nie ma zbyt wielu miejsc, gdzie można by ukryć takie monstrum jak szczelina, którą widzieliśmy w siedzibie LRI.

– Mamy mało czasu – ostrzegam go, kiedy docieramy do podstawy strzelistej konstrukcji.

To długi szereg konsoli, głównie uspiionych, i monitorów usytuowanych nad panelami dotykowymi do wydawania komend.

– Za mało na to, by dotrzeć w inne miejsce na statku.

Gideon nawet nie odpowiada, skupiony na zadaniu. Wcześniej lubiłam obserwować, jak pracuje – pogrążony w całkowitym skupieniu, skoncentrowany bardziej niż ktokolwiek, kogo znam. Prawdopodobnie mogłabym się rozebrać do naga i położyć na biurku, a on przesunąłby tylko monitor, żeby lepiej go widzieć. W tym, jak pochłania go praca, było coś fascynującego, pociągającego.

Teraz jednak... Wyobrażam sobie, że w ten sam sposób mnie tropił. Śledził

mnie z taką samą determinacją.

Spoglądam mu przez ramię, a na ekranie dostrzegam plan statku. W głowie znów zaczynają mi krążyć myśli próbujące przyciągnąć moją uwagę do pierwotnego planu. Jeśli po drodze będziemy przechodzić przez salę balową, mogłabym się od niego oderwać i postarać dostać do *monsieur* LaRoux. Mogłabym...

Włosy stają mi dęba, a instykt pierwszy ostrzega mnie przed tym, o czym po chwili powiadają mi uszy, jeszcze zanim mózgowi udaje się zinterpretować słyszany dźwięk – cichy szum otwierających się drzwi windy.

– Ktoś idzie – syczę i chwytam Gideona za ramię, żeby zwrócić na siebie jego uwagę.

Gwałtownie podnosi głowę, wyrywa kable z lap-ekranu i wślizguje się pod konsolę – nie mam czasu, żeby rzucić się w drugą stronę, więc wczolguję się tam za nim na kolanach, zbierając fałdy sukni i upychając je wokół siebie tak, by nie wystawały. Ta kiecka zdaje się żyć własnym życiem, jakby ze mną walczyła i chciała się ode mnie uwolnić. Serce wali mi w rytmie pospiesznych kroków dobiegających z tej samej metalowej klatki schodowej, którą schodziliśmy i my.

– Sukin... – To dziewczyna. Jej głos jest szorstki i poirytowany. Dociera do podnóża schodów. Najpierw widać jej buty, a potem wysoką sylwetkę. Ma ciemną skórę i oczy, jest zaledwie kilka lat starsza ode mnie.

Nosi mundur strażnika i chociaż wydaje się rozluźniona, jej prawa ręka wisi zaledwie kilka centymetrów od kabury na udzie, gdzie tkwi jakaś broń. Nie jest to mundur LRI – należy do ochrony jednej z goszczących tu delegacji planetarnych, czyli ambasadorów, których chcemy ochronić. Przynajmniej Gideon tego chce. Odwraca się, zanim mogę zobaczyć herb na jej kurtce, i patrzy w stronę schodów, gdzie musi stać jej towarzysz.

– Tu tego nie ma – woła przez ramię. – Niczego tu nie ma. Zawołaj ich i powiedz, że mogą spokojnie zejść. Powinni to zobaczyć.

Myśli kotłują mi się w głowie, a dezorientacja płacze się z możliwym uzasadnieniem. Czy ta dziewczyna szuka szczeliny? Silnika? Czy kiedy wyciągnie nas spod konsoli, będzie to miało jakiegokolwiek znaczenie? Kontrolę nade mną przejmuje instykt, który układa jakąś historię. Mam potargane włosy, podobnie jak Gideon. Mogę powiedzieć, że wymknęliśmy się z przyjęcia. Mogę powiedzieć, że kręcą mnie silniki i że miałam ochotę na numerki w maszynowni.

– Gotowe. Dałem mu znać – odzywa się mężczyzna na schodach, a jego głos przeszywa mnie na wskroś i elektryzuje.

Znam ten głos. W moich wspomnieniach natychmiast pojawiają się roześmiane zielone oczy i burza ciemnych loków. Ten głos to dom.

Moje ciało reaguje natychmiast, nie pozwalając mi się nawet zastanowić. Wydostaję się spod konsoli, wyplątuję sukienkę i staję na nogi.

– Flynn!

Stoi na schodach z rozdziawionymi ustami, nieruchomy jak posąg. Z jednej strony w czarnym garniturze nie przypomina chłopca, z którym dorastałam, a z drugiej – wcale się nie zmienił.

Od lewej dobiega kliknięcie, które przywraca mnie do porządku – uświadamiam sobie, że dziewczyna obok wyciągnęła broń.

Na ten dźwięk Flynn także otrząsa się z szoku i zbiega po schodach.

– Nie, nie! Nie dotykaj jej! – Otwiera ramiona, a ja wpadam w nie, zaciskam powieki i pozwalam, by ciasno mnie objął.

Ku mojemu przerażeniu oczy zaczynają mnie szczypać od łez. Tak właśnie wygląda zaufanie. Wydawało mi się, że zaczynam ufać Gideonowi, ale ta więź, poturbowana i popękana od kłamstw, którymi oboje się karmiliśmy, blednie w porównaniu z tym, co czuję teraz.

– Skoro jesteś pewien... – rzuca sucho dziewczyna.

– Jestem pewien, *a ghrá* – mówi i wypuszcza mnie z objęć. – To Sofia. To ona ukrywała mnie w mieście, kiedy...

Nie musi kończyć – dziewczyna wszystko rozumie. Widzę to w jej oczach. Wie, kim jestem i jaką rolę odegrałam na Avonie. Wie o moim ojcu.

– Nie miałam pojęcia, że przyjechałeś tu z delegacją z Avonu – mówię, świadoma, że plotę trzy po trzy. – Boże, Flynn, nie mogę uwierzyć... Nawet nie wiesz, jak bardzo... – Odsuwam się od niego i spoglądam na obserwującą nas dziewczynę.

Gideon też zdążył się już wydostać spod konsoli. Nie wydaje się specjalnie zadowolony, widząc mnie w ramionach Flynna. Natomiast jego dziewczyna nie jest tym poruszona.

Bo jest jego dziewczyną. Choć wyjechałam z Avonu, zanim nasza planeta otrzymała oficjalną flagę, rozpoznaję herb na jej kurtce: celtycki węzeł wokół pojedynczej gwiazdy. Znam kontekst – nie wspomnę o tym, że Flynn zwrócił się do niej *a ghrá*, „kochanie” – więc ją rozpoznaję. Kapitan Lee Chase, utrapienie Avonu. Lub jego obrońcy, jeśli wierzyć Flynnowi.

Flynn kręci głową.

– Myślałem, że zawiozą cię na Paradise. Co ty tu robisz?

Oddech więźnie mi w gardle. Przyleciałam załatwić Rodericka LaRoux, krzyczę w myślach. Ale Flynn nigdy nie był zwolennikiem przemocy, a Gideon powstrzymałby mnie, gdyby wiedział, że wciąż pragnę śmierci LaRoux. Studzę buzujące we mnie emocje i mówię:

– Pewnie to samo co wy.

Flynn spogląda na Gideona i unosi brwi.

– Kim jest twój przyjaciel?

Każdej innej osobie mogłoby się zdawać, że ta szybka zmiana tematu jest

bez związku. Wiem jednak, dlaczego Flynn o to pyta.

– To ktoś, kto ma powody wierzyć, że Transmisja z Avonu przekazywała prawdę – wyjaśniam ostrożnie.

– Ufasz mu? – Flynn znów spogląda mi w oczy.

Nie wiem, co odpowiedzieć. „Nie, nie ufam”. „Nie, to potwór, który przez cały ostatni rok mnie terroryzował”. „Nie, możesz go wyrzucić przez najbliższą śluzę”.

– Przyszliśmy razem – rzuca Gideon, kiedy moje milczenie krępująco się przeciąga.

– Mieliśmy powody, by sądzić, że LaRoux planował coś na dzisiejszą galę. – Pomijam temat zaufania i lekceważę fakt, że kiedy Flynn usłyszał słowo „razem”, jego brwi uniosły się znacząco. Zerkam na dziewczynę, Chase, która wciąż przygląda się nam nieufnie, choć jej dłoń nie wisi już nad bronią. – To coś, co ma związek z... hmm...

– Ze szczeliną – kończy za mnie Flynn, a ja otrzymuję ostre spojrzenie od Jubilee i zaskoczone od Gideona. – To oczywiste. Choć może nie aż tak oczywiste, skoro jej tu nie ma. – Wskazuje głową puste miejsce, gdzie powinien się znajdować hiperprzestrzenny silnik albo szczelina.

– Jeśli jesteś z Avonu, to wiesz, o czym mowa – mówi Chase, podchodząc do nas. – Musimy zadbać, by to, co się tam wydarzyło, już nigdy nie miało miejsca.

Flynn wypuszcza powietrze.

– Za minutę przyjdzie tu reszta naszej ekipy. Wysłałem im sygnał, kiedy odkryliśmy, że brakuje szczeliny. Pewnie w to nie uwierzysz, ale... – Urywa. Widzi, że patrzymy nie na niego, a na klatkę schodową.

Z przodu stoi Tarver Merendsen w nieskazitelnym smokingu, a obok niego idealnie ufryzowana Lilac LaRoux.

Jak to możliwe? W skroniach czuję pulsujące tętno. Flynn mówił o reszcie ekipy, tymczasem mamy przed sobą rodzinę Rodericka LaRoux.

Jakim cudem ta czwórka znalazła się w tym miejscu? I to razem?

Po chwili przypominam sobie słowa Gideona, które wypowiedział, kiedy się poznaliśmy: był pewien, że ocalali z katastrofy Ikara natknęli się na te same stworzenia, które w zeszłym roku sterroryzowały Avon. Szepty – jak Flynn nazwał je w swojej Transmisji.

Wciąż wpatruję się w nich z niedowierzaniem, a cały plan, który tak skrupulatnie obmyślałam, wylatuje mi z głowy, kiedy uświadamiam sobie, że Lilac LaRoux spogląda na kogoś za mną. Odwracam się przez ramię. To Gideon. Choć to niemal niemożliwe, kiedy dostrzegam jego twarz, moje serce jeszcze bardziej przyspiesza. Jest poważna, pozbawiona uśmiechu, spięta. Gdy ponownie spoglądam na Lilac LaRoux, dziewczyna jest biała jak ściana.

Rozchyła wargi i układa je w kształt słowa, którego nie potrafię

zidentyfikować. Dłuższą chwilę zajmuje jej uspokojenie oddechu, ale kiedy w końcu jej się to udaje, z ust wyrywa się słaby, kruchy szept:

– Simon?

*Córka naszego strażnika. Zielonooki chłopiec na skraju szarej planety.
Dziewczyna, której ojciec umrze i złamie jej serce. Poeta ze stalową, piękną duszą.
Sierota, której sny są wypełnione tak wielką nadzieją...*

*Wkrótce wszyscy oni zostaną zniszczeni przez mężczyznę o niebieskich
oczach, a kiedy do tego dojdzie, zobaczymy, kim się staną. Jeśli upadną tak jak my,
odwrócimy się od tego świata i pozwolimy, by spowila go ciemność.*

*Śledząc ich ścieżki i możliwą przyszłość, dostrzegamy półmrok tam, gdzie
linie się przecinają. Wystarczyłoby pokierować ich w jedną lub drugą stronę, by
nigdy się nie spotkali i nie pokazali nam, czym może być ludzkość.*

*Ale oto i... szósta ścieżka. Po dodaniu tego chłopaka do pozostałych półmrok
się rozjaśnia. To nie takie trudne, bo jego ścieżka leży blisko tej, którą podąża
córka naszego strażnika.*

Sześć istnień, sześć nici. Ciekawe, jaką tkaninę utkają.

GIDEON

Wzrok Tarvera Merendsena przenosi się z mojej twarzy na twarz Lilac, a jego mina wyraża napięcie i zaskoczenie.

– Simon? – powtarza. To imię nie jest mu obce. – Chłopak, który...

– Z którym miała być – kończę za niego, a Lilac nic nie dodaje. – Simon, który dla niej umarł. Simon, o którym zapomniała, kiedy tylko wysłano go na front. – Nie chcę patrzeć na Lilac, ale nie mogę się powstrzymać.

Wpatruje się we mnie tak, jakbym powstał z martwych. Jak gdybym był tylko kolejnym duchem, o jednym za dużo.

Tarver musi ująć ją za łokieć, kiedy schodzą po stopniach – dziewczyna nie patrzy pod nogi i prawie się potyka.

– Co się tu dzieje? – Chce wiedzieć, ignorując Sofię.

Sofię, która stoi zaledwie kilka metrów dalej, milcząca, z twarzą pozbawioną wyrazu. Sofię, która słucha, jak wyjawiam kolejne kłamstwo. Nie zdawałem sobie sprawy, ile z informacji, które jej podałem, było nieprawdziwych. Jednak teraz wszystkie kłamstwa układają się w całość... I pomyśleć, że to ja nie mogłem zaufać jej.

– Simon... – Głos Lilac jest cichy jak oddech, ale dziewczyna marszczy brwi, a początkowy szok wywołany moim widokiem zaczyna mijać.

Najbardziej surrealistyczne jest to, że ani ona, ani Tarver nie wątpią, że rzeczywiście jestem Simonem, choć on od lat nie żyje.

– Nie – mówię w końcu. – Ale jesteś blisko.

– O Boże – szepcze Lilac. – Giddy.

Nie słyszałem tego przezwiska od czterech lat, jego brzmienie przeszywa mnie jak nóż. Nagle mam ochotę zwinąć się w kłębek na dnie szafy brata, schować pośród butów, obwodów i kolekcji kart. Przełykam ślinę i staram się, by mój głos brzmiał spokojnie.

– Bingo.

Tarver wyciąga rękę i kładzie ją na plecach Lilac. Ile razy widziałem, jak mój brat dotyka ją w ten sposób?

– Lilac – mówi ostrożnie Flynn. – To moja przyjaciółka Sofia, z Avonu. Ten chłopak przyszedł z nią. Znasz go?

Lilac wyraźnie bierze się w garść, prostuje plecy i z trudem przełyka ślinę.

– To Gideon. Tarverze, to młodszy brat Simona Marchanta.

Oczy Tarvera lekko się rozszerzają i choć się nie odpręża, jego głos staje się spokojniejszy.

– Simona, którego... którego twój ojciec kazał zabić za to, że był w tobie zakochany?

– Tego samego – odpowiadam pierwszy. – Ale tak naprawdę oboje mnie znacie.

Merendsen mruży oczy.

– Raczej nie...

– Nazywacie mnie Waletem.

W ciszy, która zapada po moich słowach, słyszę, jak Sofia wciąga powietrze. Kiedy zerkam na nią kątem oka, dostrzegam, jak robi powolny krok w stronę schodów. Niemal czytam w jej myślach i widzę, że rozważa ucieczkę. Nie winię jej. Wciąż nie może sobie poradzić z tym, że jestem Waletem, który zamienił ostatni rok jej życia w piekło. A teraz dorzuciłem jeszcze informację, że jestem starym przyjacielem rodziny, która odpowiada za śmierć jej ojca.

Choć słowo „przyjaciel” to lekka przesada.

– Czy to on zdobył informacje, które przestaliście nam na Avon? – pyta Jubilee, wpatrując się we mnie.

Lilac ignoruje pytanie.

– To ty pomogłeś nam stworzyć system zabezpieczeń? – wyrzuca z siebie, wyrывая się z otępienia, i w końcu zaczyna brzmieć jak dziewczyna, którą znałem w dzieciństwie. – Ale dlaczego...? Tak naprawdę wcale nam nie pomagałeś, prawda?

Zaciskam żuchwę, a przyływ złości sprawia, że mam ochotę zazgrzytać zębami.

– Cóż za pochopny wniosek, panno LaRoux. Czuję się zraniony. Biorąc pod uwagę historyczny punkt widzenia, nasuwają się wnioski, że to nie moja rodzina oszukuje twoją.

Lilac robi krok naprzód, a dłoń Tarvera zawisa w powietrzu. Dziewczyna wpatruje się w moją twarz.

– Przepraszam, że nie przyszłam się z tobą zobaczyć po tym, jak... – Jej głos się załamuje, ale po chwili znów mówi: – Miałam tylko czternaście lat. To wszystko zламаło mi serce i nie mogłam...

Dostrzegam spojrzenia Flynn'a i Jubilee, a co gorsza, czuję na sobie wzrok Sofii i w głębi duszy zastanawiam się, co jest w stanie poskładać z tych strzępków historii. Skup się na tym. Skup się na niej. Nie myśl o Simonie. Krew rozsadza mi żyły, pędzi jak wiatr, jak szepczące głosy. Próbuję się skupić na tym, a nie na stojącej przede mną dziewczynie.

– Kochałam twojego brata, Giddy – mówi Lilac i milknie. Nie zbliża się do mnie, choć z mowy jej ciała wnioskuję, że ma na to ochotę. – Nie chciałam, by cokolwiek mu się stało. I nigdy, przenigdy o nim nie zapomniałam.

Stojący za nią narzeczony milczy. Nawet jeśli słuchanie o tym, jak Lilac

opowiada o swojej rzekomej miłości do innego faceta, go boli, nie daje tego po sobie poznać.

– Cóż... – Mam ochotę wepchnąć ręce do kieszeni, przygarbić się i ukryć przed tym wszystkim. Konfrontacja twarzą w twarz to specjalność Sofii, nie moja.

– Czyli jest nas dwoje. Przynajmniej tobie udało się jakoś odbudować życie.

– To nie fair! – Słowa Lilac stają się nieco szybsze, a ja słyszę w uszach mocniejszy przepływ krwi. – Giddy... Gideonie. Fakt, że zakochałam się w Tarverze, nie zmienia tego, co czułam do Simona. Simon jest... na zawsze pozostanie... ze mną. Tak jak na zawsze pozostanie z tobą. – Powoli i długo wypuszcza powietrze. – Jesteś do niego bardzo podobny.

– W takim razie musisz mieć o nas kiepską opinię, jeśli w pierwszej chwili pomyślałaś, że pomogłem wam stworzyć sieć zabezpieczeń, żeby was wrobić.

– Więc po co ta cała tajemnica? – pyta Lilac. – Po co kryjesz się za pseudonimami i... Dlaczego nie powiedziałeś, kim jesteś?

– Bo jestem już kimś innym – wyrzucam z siebie, bezskutecznie próbując odzyskać spokój. – Młodszy brat Simona umarł wraz z nim.

Lilac nie spieszy się z odpowiedzią.

– W takim razie to także mam na sumieniu.

– Posłuchaj – mówi Tarver, łagodnie przerywając naszą rozmowę. – To nie czas ani miejsce, żeby o tym rozmawiać. Wygląda na to, że nie tylko wy mijaliście się z prawdą. – Jego wzrok pada na Sofię, a ja uświadamiam sobie, że żołnierz widzi więcej, niż mogłoby się wydawać.

Kiedy podążam za jego wzrokiem, Sofia odwraca się do mnie i przez dłuższą chwilę spogląda na mnie bez emocji. Wiem, że ją straciłem. Straciłem ją w chwili, kiedy znalazła kartę do gry mojego brata. Ale powiązanie z Lilac LaRoux odebrało mi ją nawet jako sojuszniczkę. Nie jestem przygotowany na to, jak głęboka jest ta rana, jak pali mnie w piersi. Przypomina cios w trzewia, tak realny, że niemal czuję jego gorzki, miedziany posmak.

Flynn Cormac w końcu odzyskuje głos.

– Przybyli tu dla szeptów – mówi cicho. – Wiedzą, co on z nimi robi. Trzeba o tym porozmawiać.

– I porozmawiamy – zgadza się Tarver spokojnie. – Ale Lilac i ja musimy wracać, zanim ktoś zauważy naszą nieobecność. Ma jeszcze wygłosić przemówienie.

– Jasne, musi przecież wypić szampana i skosztować kawioru. – Nawet ja słyszę, że mój głos jest kpiący i pełen nienawiści. Szukam jakiegoś punktu zaczepienia. Czuję, że spadam w otchłań.

– Wystarczy – rzuca gwałtownie Lilac i przez chwilę jej oczy tak bardzo przypominają oczy jej ojca, że się cofam. Nigdy nie miała w sobie takiego ognia. Nie tylko ja się zmieniłem od czasu, kiedy byliśmy dziećmi. – Na miłość boską,

Gideonie, naprawdę tak źle o mnie myślisz? Wydaje ci się, że przybyłam na Korynt, by brać udział w tym... popapranym pokazie?

– Nic o tobie nie wiem – odpowiadam cicho. – I niczego nie chcę się dowiedzieć.

– Ale musisz – wtrąca Jubilee, kładąc rękę na ramieniu Flynn. – Jesteśmy tu z tego samego powodu. Szukamy szczeliny, chcemy się dowiedzieć, co jej ojciec robi z szeptami. Musimy zdobyć informacje i wyciągnąć wszystko na światło dzienne.

– Flynn, jak możesz... – Głos Sofii się łamie. – Ona należy do jego rodziny.

– Owszem – odpowiada ostro Lilac. – Więc doskonale wiem, co to za człowiek.

Mam tylko kilka sekund, żeby przyjąć jej słowa, uświadomić sobie, że może nie walczymy po dwóch stronach barykady, że chcemy tego samego, zanim huczenie w moich uszach przybiera na sile. Sofia cofa się chwiejnym krokiem, potrząsając głową, jak gdyby też chciała się pozbyć tego dźwięku. Czyli to nie mój puls. Ten odgłos nie rodzi się w mojej głowie. Powietrze jest wypełnione szeptami i zanim udaje mi się coś powiedzieć, te zamieniają się w krzyk pędzący wzdłuż pokładu.

Dźwięk uderza Lilac z prędkością wichury, szarpie jej sukienką, targa włosami i ciska dziewczyną w Tarvera – nikogo innego nie dotyka. Dla nas powietrze ma w sobie bezruch, którego można doświadczyć jedynie w kosmosie za kilkunastoma śluzami powietrznymi.

– Lilac? – mówi Tarver z podenerwowaniem i widzę, jak przełyka ślinę. Czuje w ustach ten sam posmak co ja, intensywną metaliczną nutę, która przypomina krew lub elektryczność. – Czy ty...?

– Wszystko w porządku. – Wzdycha dziewczyna, zaciska dłonie na jego rękawach i wstaje. – To oni. Czuję ich, próbują... Nie martw się. Już dobrze. Wszystko pod kontrolą.

– Ale szczeliny tu nie ma – rzuca Tarver cicho, spoglądając w oczy Lilac, jak gdyby szukał... sam nie wiem czego.

– Nie ma jej na tym statku – włączam się cicho, choć nie wiem, dlaczego zależy mi, by ich w jakikolwiek sposób pocieszyć. – Kiedy przyszłście, właśnie skończyłem przeglądać zapisy zużycia energii. I nic. Myśleliśmy, że ją tu umieścił albo że ma drugą. Myliliśmy się.

– Już dobrze – mówi Lilac szeptem i podnosi głowę, by uśmiechnąć się do Tarvera. – Naprawdę. Po prostu na chwilę się rozkojarzyłam.

– Znam to uczucie. – Głos Sofii wcina się w głos Lilac jak laser tnący jedwab. Zaciska zbiegłe dłonie na torebce. Na jej twarzy maluje się ból. – Te głosy i metaliczny posmak... To furia.

– Nie do końca, Sof – wtrąca się Flynn, kładąc jej dłoń na ramieniu. –

Lilac... To z jej powodu się tu znaleźliśmy.

– Szczelina gdzieś tu jest – mówi Lilac łagodnie. – Gdzieś nieopodal. Wyczuwam ją.

– Słuchajcie – rzuca Tarver, w pośpiechu wypuszczając powietrze. – Nie mamy czasu wam tego tłumaczyć, ale Lilac jest połączona z tymi szczelinami i wiemy, że ostatnia znajduje się gdzieś tu, na Koryncie.

– Połączona – powtarza Sofia, a ja widzę, że to słowo nie nastawia jej pozytywnie do Tarvera.

Mężczyzna powoli kiwa głową.

– Nie mogę się teraz zagłębiać w szczegóły, ale żeby ocalić Lilac, musimy znaleźć ostatnią szczelinę i ją unieszkodliwić.

Sofia spogląda to na Tarvera, to na Lilac.

– Ona należy do rodziny LaRoux.

– Owszem – odpowiada Flynn łagodnie, nie odstępując Sofii na krok. – I to dzięki niej twoja planeta jest wolna. To dzięki niej nie stałaś się rozbryzgiem na jakiejś prefabrykowanej ścianie po tym, jak strzelił do ciebie ogarnięty furją żołnierz. Musisz zacząć słuchać, Sof.

– To prawda – mówię z ociąganiem. – Ta dwójka pomogła Flynnowi Cormacowi i Lee Chase wyzwolić Avon. Wiem. Obserwowałem to.

Sofia otwiera usta, ale zanim udaje jej się coś powiedzieć, w ciszy wybrzmiewa inny głos. Wzdłuż mostka nad nami przechadza się mężczyzna i po chwili zatrzymuje się na szczycie schodów.

– Kochanie – mówi *monsieur* LaRoux łagodnym głosem i spogląda na nas bystrym wzrokiem. – Zastanawiałem się, gdzie zniknęłaś.

Niebieskooki mężczyzna przychodzi i odrywa nas od innych, a następnie umieszcza w nowym świecie. Twierdzi, że to już ostatni. Widzimy jedynie jego przeblysłk – ludzi tak licznych, że nie potrafimy ogarnąć ich wzrokiem. Budynki sięgające nieba, hałas, światło i chaos nakładające się na siebie i tworzące wzór.

Jednak nie wolno nam go eksplorować. Jesteśmy ograniczeni. Odseparowani.

My...

Ja.

Jestem tu sam.

Sam w towarzystwie niebieskookiego mężczyzny.

SOFIA

Pan LaRoux, ubrany w nieskazitelny smoking, schodzi po schodach z rękami w kieszeniach. Jego niebieskie oczy omiatają naszą czwórkę, a w końcu spoczywają na Lilac, która stoi tuż za Tarverem, najbliżej niego.

– Zaraz będziesz mogła wygłosić przemówienie, słonko – mówi, uśmiechając się delikatnie, jak gdyby nie zauważył, że wszedł do pomieszczenia, w którym jest aż gęsto od napięcia. – Zastanawiałem się, co mogło wzbudzić twoją ciekawość. Nie powiedziałbym, że maszynownia to szczególnie atrakcyjne miejsce.

Nie umiem zebrać myśli ani zareagować. Brak tu pola bezpieczeństwa i strażników. Mogę sięgnąć do torebki, wyciągnąć broń i pociągnąć za spust. Mój mózg wydaje rozkazy palcom, ale nie potrafię się ruszyć.

W końcu ciszę przerywa Lilac.

– Gdzie szczelina? I szepty?

– Słoneczko... – mężczyzna lekko się krzywi, ale jeśli nie liczyć tego delikatnego grymasu, wydaje się nieporuszony. – Nie mam pojęcia, o czym mówisz, ale cokolwiek to jest, musi poczekać, bo się spóźnimy.

Głos Tarvera jest lodowaty.

– Wszyscy wiemy, o czym mowa. Niech pan odpowie. Gdzie ostatnia szczelina?

Pan LaRoux wbija w niego zdecydowanie mniej czułe spojrzenie.

– Szepty? Szczelina? Skąd wy bierzecie te dyrdymały?

– Ode mnie – cedzi Lilac przez zęby.

– Jest na Koryncie, prawda? – Głos Gideona jest zimny, ale przynajmniej udaje mu się coś powiedzieć.

Ja wciąż stoję, niezdolna do ruchu.

– Nadal znajduje się w siedzibie głównej LRI – dodaje Gideon.

– Nie mam bladego pojęcia, o czym mowa – odpowiada LaRoux. – Ale jeśli macie na myśli coś tak wielkiego jak jeden z tych silników hiperprzestrzennych, przemieszczanie tego nie miałoby zbytniego sensu, prawda?

Ton Lilac w niczym nie przypomina tonu ojca. Dziewczyna drży.

– Gdybyś wiedział, co to ze mną robi...

LaRoux lekceważąco potrząsa głową.

– Jest niewyobrażalne, by jakiegokolwiek hipotetyczne stworzenie w hipotetycznej szczelinie mogło tu Ciebie dosięgnąć z siedziby głównej LRI, kochanie. Jesteśmy na orbicie, czyli o wiele za daleko.

– Dotarłoby do niej i z drugiego końca Galaktyki, dupku – warczy Tarver,

zaciskając dłonie w pięści. – Musisz je odciąć, odesłać z powrotem.

– Mój chłopcze – mówi LaRoux, poprawiając mechanizm przy uchu, prawdopodobnie urządzenie do komunikacji. – Choć chciałbym się podporządkować twojej woli, od tego, jak potoczą się kolejne dni, zbyt wiele zależy, bym marnował czas na rozmowę z wami. Lilac, chodźmy. – Wykonuje pół obrotu, wskazując na klatkę schodową, jak gdyby oczekiwał, że córka posłusznie ruszy za nim.

– Nie – rzuca Lilac cichym, spiętym głosem. – Nie tym razem, ojcze. Dłużej tak nie mogę. Wiemy o twoich eksperymentach na Avonie, o szeptach, szczelinach. O tym wszystkim. A ty wiesz, że my wiemy. Nie możemy dłużej tego ukrywać i udawać szczęśliwej rodziny. Ty... ty mnie tym niszczysz.

Spokojna sylwetka LaRoux nieco się napina.

– Nic ci nie jest – upiera się. – A nawet jeśli ta... ta szczelina, jak ją nazywacie, ma na ciebie wpływ, istnieją lepsze sposoby, by temu zapobiec, niż zniszczenie dorobku mojego życia. – Mężczyzna wyciąga rękę i z uśmiechem dotyka urządzenia przy uchu.

Ten sam mechanizm zakładali strażnicy w siedzibie głównej, kiedy szykowali się do użycia szczeliny przeciwko mnie.

Nagle oświecenie przychodzi jak lodowaty podmuch.

– Oczywiście – szepczę, a gniew sprawia, że drżą mi ręce. – Nie stworzyłby pan broni, której można by użyć przeciwko panu. Musiał się pan jakoś uodpornić.

– Bystra dziewczynka – odpowiada LaRoux i przestaje udawać. I choć powiedział mi komplement, jego ton jest ostry. – Skończyliśmy? Pewnie już serwują gościom szampana.

– Miał pan lekarstwo. – Mój głos jest cienki i napięty. Muszę często mrugać, by odpędzić z oczu gniewne łzy. – Miał pan lekarstwo, które mogło uratować wszystkich mieszkańców Avonu.

LaRoux unosi brwi.

– Przykro mi z powodu tej tragedii. Naprawdę. Ale w pogoni za postępem człowiek nieraz musi coś poświęcić. Jeśli cię to pociesza, pomyśl o tym, ile teraz znaczy ich życie. Ile znaczyła ich śmierć. Wiedliby ciężką, bezsensowną egzystencję na tej bezsensownej planecie, a zamiast tego stali się częścią czegoś o wiele ważniejszego niż oni sami. – Błysk w jego oku przeraża mnie bardziej niż jego słowa. Naprawdę wierzy w to, co mówi, wierzy w to każdą tkanką swego jestestwa.

Poruszam się szybciej, niż myślę, a moje drżące ciało się uspokaja i koncentruje na jednym, jedynym celu. Wyciągam broń z torebki i celuję w LaRoux, a cały mój świat się kurczy i zawęża do jego twarzy.

Mężczyzna wydaje się nieporuszony.

W tle słyszę cichy głos Gideona, drżący od napięcia.

– Sofio, nie rób tego. – Stoi kilka kroków ode mnie. Zbyt daleko, by powstrzymać mnie przed naciśnięciem spustu. – Nie rób tego. Obiecałaś, że się taka nie staniesz.

Zignoruj go, przykazuję sobie, koncentrując się na mężczyźnie po drugiej stronie lufy.

Tarver i Lilac stoją nieruchomo, a ojciec dziewczyny przygląda mi się tak, jakbym była jakimś fascynującym nowym gatunkiem insekta.

– Raczej nie przekonam cię, byś zastrzeliła tym pana Merendsena?

– Ojciec – przerywa Lilac, powściągając głos. Nawet brzmi jak on, zwłaszcza teraz, gdy próbuje nad sobą zapanować.

– To żart, moja droga – odpowiada mężczyzna i wyciąga dłoń, by zagiętym palcem pogłodzić ją po policzku.

Gdybym nie znała prawdy, pomyślałabym, że to jowialny stary profesorek lub przyjazny filantrop. Przełykam ślinę, próbując nie zwracać uwagi na to, że moje dłonie robią się lepkie z wysiłku, by utrzymać broń. LaRoux znów się do mnie zwraca.

– Wiem co nieco o tej pannie – mówi dalej. – Ostatnio spędziła z nami trochę czasu i w końcu udało nam się ją poprawnie zidentyfikować. Choć wolałbym, by było inaczej, nie zastrzeli pana Merendsena.

– Nie – udaje mi się wydusić. Przypominam sobie o tym, by oddychać. Nie dam rady celnie strzelić, jeśli stracę przytomność z powodu odcięcia tlenu. – Nie jego.

– Sofia Quinn – ciągnie Roderick LaRoux, jak gdyby recytował z pamięci. – Szesnaście lat, brak jakichkolwiek przewinień aż do zniknięcia z transportu z Avonu do sierocińca na Paradise ponad rok temu. – Uśmiecha się teraz do mnie. – Nie ty pierwsza mierzysz do mnie z broni, złotko. Odłóż pistolet, a wszystko przedyskutujemy. Zrobię, co w mojej mocy, by ci pomóc.

– Nie ma o czym dyskutować – wyrzucam z siebie, a w moim ciele buzuje łatwo wyczuwalny gniew. – Jeśli wie pan, kim jestem, to wie pan również, co tu robię. Przez pańskie chore eksperymenty na Avonie zginął mój ojciec.

LaRoux tylko kręci głową.

– Obawiam się, że tragiczne wydarzenia z Avonu pochłonęły wiele istnień, moja droga. Nie zdołałbym spamiętać ich wszystkich, ale pozwól, że złożę ci szczerą kondolencję z powodu tak wielkiej straty.

On nie wie. Nie wie. On nawet nie... Znów zaczynają mi drżeć dłonie.

– Sofio – mówi miękko Lilac, pierwszy raz wypowiada moje imię, a jej wzrok wyraża współczucie, którego nie jestem gotowa przyjąć, nie od niej. – Sofio... proszę. Odłóż broń. Ty i Gideon możecie iść ze mną. Porozmawiamy po moim przemówieniu. Porozmawiamy o tym wszystkim. – Dziewczyna nie spogląda na ojca, nawet kiedy ten oplata ją ramieniem w geście tak pełnym

ojcowskiej czułości, że ściska mi się serce.

– Odlóż broń – szepcze ktoś i czuję przy boku Gideona, który przypomina kotwicę i który swoim ciepłem pomaga mi wrócić do siebie. – Sofio, proszę. Nie jesteś teraz sobą. Znam prawdziwą ciebie.

– A tak, jest i współnik. – Wzrok LaRoux przenosi się na chłopaka. – Pannę Quinn bez trudu udało nam się zidentyfikować, ale jeśli chodzi o ciebie, to nie znalazłem dobrego zdjęcia.

Obrzucam spojrzeniem Gideona, który znajduje się zaledwie kilkadziesiąt centymetrów ode mnie. Jego mięśnie są napięte, a szczęka zaciśnięta.

– Nie jestem zbyt fotogeniczny – odpowiada.

LaRoux ściąga brwi, a łagodność malująca się na jego twarzy ustępuje miejsca wnikliwej obserwacji.

– Teraz wyglądasz znajomo. – Przekrzywia głowę. – Czy już raz nie kazałem cię zabić? – rzuca po chwili tonem, którym mógłby opowiadać o jakimś przyjęciu lub gali charytatywnej.

Dźwięk, który wydobywa się z gardła Gideona, jest tak splątany i pełen bólu, że moje ciało się odblokowuje. Wraca mi głos.

– Ty... ty sukinsynu, ty gnoju... – Tym razem nie mam problemu z uniesieniem broni i trzymam ją pewnie, zwalniając zamek.

Czas płynie wolniej. Słyszę, jak Gideon wykrzykuje moje imię, i czuję zmianę w powietrzu, kiedy odwraca się, by do mnie doskoczyć. Widzę, jak Tarver się porusza, kierowany instynktem, i wyciąga ręce do Lilac. Widzę, jak jego palce o kilka milimetrów mijają jej ramię i jak Lilac odwraca się do ojca, a jej włosy płoną jak ogień. Widzę jej twarz, malującą się na niej panikę, strach w jej oczach, i mimo wszystko, mimo palca zaciśniętego na spuście, mimo nienawiści, desperacji i bólu, zaczynam się zastanawiać, czy miałam taką samą minę na chwilę przed tym, jak mój ojciec wysadził koszary.

Nagle moja dłoń zamienia się w kulę ognia, fragmenty plastenowego pistoletu tną mi policzek i ramię i rozbijają się o ścianę za moimi plecami. Siła wystrzału zwała mnie z nóg, a kiedy próbuję unieść głowę, czuję się tak, jakbym była pijana, dzwoni mi w uszach, moje ruchy są powolne i zbyt płynne, mięśnie zamieniają się w gumę. LaRoux się chwieje, a moje serce wypełnia się radością. On jednak chwieje się dlatego, że Lilac go odepchnęła, i to ona krzyczy z bólu, to jej krew rozbryzguje się na konsoli za jej plecami i to Lilac upada na podłogę. To Lilac.

– *Mogłeś przywrócić ją do życia. – Niebieskooki mężczyzna wie, że go słyszę, odseparowany w swoim więzieniu ze stali i elektryczności. – Mogłeś przywrócić mi Rose, ale pozwoliłeś jej szczeznąć, bo mnie nienawidzisz.*

Kiedy przychodzi, odsyła naukowców badających moje istnienie. Czasem nie odwiedza mnie przez wiele tygodni, a innym razem przychodzi codziennie, ale jego

nienawiść do mnie, do istot takich jak ja... Ona nigdy nie maleje.

– Nie wiesz jeszcze, czym jest nienawiść – szepcze mężczyzna, a jego słowa są niczym obietnica. Odwraca się plecami do mojego więzienia.

Nienawiść. Jeśli pragnie nienawiści, dostanie ją.

GIDEON

Dzwoni mi w uszach, a huk wystrzału krąży po głowie i oślepia. Rzuciłem się na Sofię z takim impetem, że upadam na ziemię i dopiero kiedy dziewczyna wydaje z siebie ni to jęk, ni to krzyk, otrząsam się z zamroczenia i podczołguję do niej.

W miejscu, gdzie eksplodował plastenowy pistolet, jej dłoń pokrywają oparzenia, a na szyi i ramionach ma krwawiące rozcięcia od odłamków broni. Istnieje mnóstwo powodów, dla których używanie tych pistoletów jest nielegalne, a to, że można je przemycić, oszukując nawet najnowocześniejsze systemy bezpieczeństwa, jest najbanalniejszym z nich. Najbardziej ryzykowne jest to, że strzelając z takiego pistoletu, łatwiej zabić samego siebie, niż trafić do celu.

Biorę Sofię w ramiona, a całe moje ciało wypełnia panika, która zmywa wszystko inne – złość, że to zaplanowała, strach o to, co się z nią stanie, kiedy zostanie aresztowana, gorycz pozostająca na języku po rozmowie z Lilac LaRoux. Przyciągam Sofię do piersi, a ona się nie opiera, ból jest silniejszy niż wszystko, co do mnie czuje. Z trudem przełyka ślinę, walczy z rodzącym się w krtani szlochem, przyciąga zranioną rękę do piersi.

– Cśś, już dobrze – szepczę, muskając wargami jej włosy. – Jestem przy tobie. Jestem przy tobie.

Cormac upada na kolana po drugiej stronie Sofii, a na jego twarzy maluje się przerażenie, słyszalne także w głosie.

– Boże, Sof...

Mam wrażenie, że jego głos otwiera śluzy, przez które zaczynają docierać inne dźwięki. Krzyki, westchnienia, oszałamiający napływ szeptów wypełniający bezruch powietrza. Unoszę głowę, spodziewając się zobaczyć LaRoux na podłodze, ale zamiast tego dostrzegam go pochylonego nad kimś innym, powtarzającego coś w obłędzie.

– Kochanie... – mówi, a jego kulturalny głos jest zdławiony od emocji. – Spójrz na mnie... To ja, tatuś. Spójrz na mnie.

Tarver rozdziera podszewkę smokingu. Jest blady i z determinacją zaciska szczękę. Podnosi ciało Lilac z podłogi i kładzie sobie jej głowę na kolanach.

– To tylko ramię – oznajmia roztrzęsionym głosem i zaczyna owijać ranę pasmami jedwabiu. – Będzie dobrze, to tylko...

LaRoux coś odwarkuje, ale na jego twarzy pojawiają się taka furia i nienawiść, że nie rozróżniam słów.

Tarver ze spokojem spogląda mu w lodowate niebieskie oczy.

– Chce pan, żeby wykrwawiła się na śmierć?

Jubilee kuca przy nim, ściąga pasek, po czym podaje go Tarverowi, żeby unieruchomić tymczasowy opatrunek. Wbija w LaRoux takie spojrzenie, że powinno ono zrobić z nim to, czego nie zdołała zrobić kula.

LaRoux bierze rozedrgany oddech, sięga po dłoń Lilac i tuli ją w swoich dłoniach, po czym przyciąga ją do warg.

– Trzymaj się, słoneczko.

Sofia porusza się w moich ramionach i drżącym z bólu głosem mamrocze:

– Nie powinna... Dlaczego to zrobiła? Nie chciałam...

– Bo to jej ojciec – mówi Flynn łagodnie. – Bo go kocha, a ty próbowałaś go zabić.

– To potwór – szepcze Sofia, próbując samodzielnie usiąść, kiedy początkowy szok wywołany obrażeniami zdaje się ustępować.

– Jest też jej ojcem – odpowiada dobitnie Flynn.

Sofia się krzywi, a jej łzy mieszają się z krwią na podbródku. Czytałem o tym, co ją spotkało. Wiem, co stało się z jej ojcem. Wiem też, ile osób nazywało go po jego śmierci potworem. Uświadamiam sobie, jak to musi być kochać kogoś mimo tego, co zrobił. Obejmuję ją mocniej.

– Jestem przy tobie – szepczę.

Lilac się porusza i obaj mężczyźni przenoszą na nią uwagę. Tarver kończy owijając jej ramię jedwabną podszewką smokingu.

– Tarver... – mamrocze Lilac, a kiedy jej ojciec podnosi wzrok na przyszłego zięcia, na jego twarzy widać napięcie i nienawiść.

– Moja dziewczynka – odpowiada Tarver. Jest nieświadomy spojrzeń, które posyła mu LaRoux, albo po prostu je ignoruje. Uśmiecha się i pochyla głowę, by musnąć wargami jej czoło. – Wszystko będzie dobrze.

– Znowu mnie okłamujesz? – Jej głos jest tak cichy, że ledwie go słyszę.

Z ust Tarvera wyrywa się dźwięk przypominający śmiech, nie ma w nim jednak radości.

– Nie tym razem – odpowiada. – Przysięgam. Lee, wezwij ratownika. Nie możemy jej przetranszować.

Jubilee podnosi się z podłogi i podbiega do komunikatora na ścianie. Jednak Lilac wierci się niespokojnie.

– Czuję... – Urywa i przez straszną chwilę mam wrażenie, że dziewczyna umarła, że Tarver coś przegapił, że Lilac ma jeszcze jakąś ranę. Ale kiedy znów się odzywa, jej głos się zmienia i jest w nim coś, co sprawia, że zamieram. – ... złość.

Jak gdyby w odpowiedzi na te słowa szepty, głosy dryfujące w powietrzu, milkną i otacza nas całkowita cisza. W ustach znów czuję posmak krwi i choć zaciskam ramiona wokół Sofii, moje mięśnie zaczynają drżeć, jak gdybym przez godzinę się wspinał, a moje ciało jest zbyt wyczerpane, by z tym walczyć.

Spokój Tarvera się rozpada.

– Lilac... Lilac, spójrz na mnie. Spójrz na mnie, piękna, nie... – Podnosi wzrok na LaRoux. – Niech pan coś zrobi! – krzyczy.

– Nie rozumiem – mówi LaRoux powoli i bezmyślnie, przyglądając się temu, co dzieje się z Lilac, temu, czego my nie dostrzegamy.

– Jest inna – warczy Tarver. – To właśnie przed panem ukrywaliśmy. Jest z nimi złączona i wie, że wciąż więzi je pan w tej ostatniej szczelinie. Chcą ją, nie rozumie pan? Przez cały ostatni rok te istoty próbowały się wedrzeć do jej głowy. Musi pan unieruchomić szczelinę, odesłać szept. Natychmiast!

– Mówiłem ci, że na Dedalu nie ma szczeliny – odpowiada LaRoux, blady jak ściana. – Zostało tylko jedno stworzenie, nie udałoby mu się...

– Ono ją zabija! Jeśli jest na Koryncie, proszę się skomunikować ze swoimi ludźmi!

– Niemożliwe, żeby... – Słowa więzną LaRoux w krtani. – To nie może na nią wpływać...

– Cicho. – To znów głos Lilac, tylko że tym razem kontrolowany, pozbawiony dezorientacji, słabości i bólu. Wyciąga zranioną rękę, by delikatnie odepchnąć ramię Tarvera i usiąść. – Nic mi nie jest.

Tarver milczy, podobnie jak LaRoux, jak gdyby łagodne polecenie wydane przez Lilac było niczym czar, który pozbawił obu mężczyzn głosów.

– To dziwne – mówi Lilac, powoli przekręcając ranne ramię, nieświadoma tego, iż spod tymczasowego opatrunku wycieka świeża krew. – Inaczej wyobrażałam sobie ból.

Wzdłuż kręgosłupa czuję muśnięcie lodowatych palców. Zanim uświadamiam sobie, dlaczego się boję, ściskam Sofię, a ona – jak gdyby czytała w moich myślach – próbuje się podnieść i po chwili niepewnie stajemy obok siebie.

Lilac dostrzega ruch i unosi głowę, by na nas spojrzeć. Ale w miejscu jasnych błękitnych oczu przypominających oczy jej ojca można dojrzeć tylko czerń, jak gdyby jej oczodoły wypełniły się ciemnością.

Tarver patrzy na Lilac i pierwszy raz go widzę, naprawdę go widzę, widzę, jak na nią patrzy. Tak bardzo nienawidziłem go za to, że zajął miejsce mojego brata, że nie dostrzegałem... To, co ma w sercu, jest wypisane na jego twarzy, a malujący się na niej ból, kiedy patrzy na Lilac, sprawia, że mnie samemu ściska się serce.

– Lilac – szepcze. – Moja dziewczynka.

Czarne oczy Lilac zwracają się ku niemu, a wyraz jej twarzy się nie zmienia i jest niemal pusty. W głosie słyhać tak intensywny chłód, że przechodzą mnie ciarki.

– Znam cię.

Tarver się wzdryga, podnosząc się na kolana, by móc złapać dziewczynę za ramiona, i wpatruje się w nią intensywnie.

– Lilac, wiem, że gdzieś tam jesteś. Możesz z tym walczyć. Jesteś od tego silniejsza. Proszę... Proszę. Błagam.

Lilac spogląda na niego przez dłuższą chwilę, a potem na jej twarzy pojawia się zmarszczka i dziewczyna wiotczeje jak marionetka, której odcięto sznurki. Podnosi wzrok i wbija go w narzeczonego.

– Tarver?

Żołnierz wstrzymuje oddech. Nachyla się i badawczo spogląda Lilac w oczy, szukając w nich osoby, którą kiedyś była.

– Lilac.

Dziewczyna szlocha i nachyla się do przodu, przyciskając wargi do jego warg w desperackim pocałunku. Przez moment nikt inny się nie porusza, a całe pomieszczenie zawęża się do ich dwojga. Tarver dotyka jej policzka, a ona jeszcze mocniej wpija w niego usta.

Po chwili odrywa się od niego gwałtownie i otwiera oczy – czarne oczy – a z jej ust wydobywa się pozbawiony wesołości śmiech.

– Ale jesteś naiwny. – Unosi jedną dłoń, jak gdyby chciała odpędzić muchę, i odpycha narzeczonego.

Siła uderzenia ciska Tarvera przez całe pomieszczenie, tak że mężczyzna uderza o ścianę z wywołującym mdłości chrupnięciem.

Dziewczyna podnosi się na nogi, nawet nie drgając, kiedy Lee Chase celuje do niej z broni.

– Zamordowałeś moich braci – mówi Lilac, a raczej to, co kiedyś było Lilac, wciąż wpatrując się w Merendsena. – Aby ocalić własną skórę. Tę skórę – dodaje, wskazując z pewnej odległości na własne ciało. – Zabiłeś ich wszystkich.

– Chcieli... Prosilili... – jęczy Tarver, podnosząc się z podłogi. Ma zamglony wzrok i wiem, że jest ledwo przytomny.

– Kłamiesz. Nikt nie prosi o śmierć. – Lilac się rozgląda, przechylając głowę, jak gdyby chciała się lepiej przyjrzeć każdemu z nas. – Chociaż może ty będziesz o nią prosił, zanim z tobą skończę.

– Nie ruszaj się – mówi Jubilee, spoglądając na dziewczynę znad broni. Wszystkie mięśnie ma napięte, a ciało przygotowane na każdy ruch. – Nie chcę cię zastrzelić, ale zrobię to, jeśli ruszysz się choć o krok.

– Nie... Lee... – Tarver podtrzymuje się ściany i z trudem podnosi na nogi. – Ona tam jest. Wciąż tam jest. Nie strzelaj.

Lufa broni opuszcza się w automatycznej reakcji na rozkaz.

– Cholera... – Dziewczyna poprawia broń w dłoni, rozdarta, a instynkt, żeby być posłuszną Tarverowi, walczy w niej z instynktem, by go chronić.

– Jeśli zastrzelisz moją córkę – odzywa się LaRoux do Jubilee – osobiście

dopilnuję, żebyś zginęła.

– Już dobrze – mówi istota wewnątrz Lilac, uśmiechając się do Jubilee. – Byłam pierwsza, jestem najstarsza. Jestem tu jedyną istotą spośród swojego gatunku. Nie muszę się poruszać, by zabić waszego kapitana.

Z oddali dobiega nas głośny, niski krzyk – jak jęk ogromnej bestii niosący się echem po statku. Dopiero po chwili, kiedy podłoga drży pod naszymi stopami, a ja i Sofia uderzamy o ścianę, uświadamiam sobie, co to było. Dźwięk niezwykle grubego metalu rozrywającego się jak pergamin.

Flynn niepewnie podnosi się na nogi i powoli staje obok Jubilee.

– Poznaliśmy już takich jak ty – mówi z ociąganiem, a jego głos jest łagodny, spokojny.

Wyczuwam jedynie ślady przerażenia, jakie musi odczuwać, tego samego, które sprawia, że Sofia drży u mego boku.

– Wiemy, co wam zrobiono, i nie chcemy cię skrzywdzić. Porozmawiajmy. Możesz nas zniszczyć, jeśli zechcesz, ale wtedy nie będziemy mogli porozmawiać. Jeśli poczekaś i nas wysłuchasz, nic nie stracisz. Jeśli nas zniszczysz, nie będzie powrotu.

Radzi sobie jeszcze lepiej niż jako prowadzący Transmisję z Avonu. Ja od razu bym się poddał. Ale stworzenie, które przejęło kontrolę nad Lilac, spogląda na niego beznamyślnie, nieporuszone jego apelem.

– Chciałam go zmiażdżyć – mówi, spoglądając na Tarvera, który z trudem opiera się o ścianę. – Ale tak jest lepiej. Niech umrze ze świadomością, że nie mógł jej uratować. Niech umrze tak, jak powinien był umrzeć: w spadającej w przepaść trumnie zgniecionego metalu i ognia.

Ostatnie słowa dźwięczą w powietrzu, przerywane odległym skrzypieniem i jękami wydawanymi przez statek, i przez dłuższą chwilę nie wiem, o czym mówi to stworzenie. Metal i ogień... spadanie... Nagle uginają się pode mną kolana.

– Nie możesz... – Mój głos jest zachrypnięty od strachu, zdławiony od zbyt długiego milczenia.

Sofia dochodzi do tego samego wniosku co ja.

– O Boże – szepcze.

Lilac zamierza spuścić Dedala w otchłań.

Nigdy się nie dowiem, jak radzą sobie inni na szarej planecie. Nie wiem, czy moi bliźni po drugiej stronie szczeliny widzą mnie albo czują. Znam tylko niebieskookiego mężczyznę i łączącą nas nić nienawiści.

Często ze mną rozmawia, mówi o swojej żonie, o swojej młodej córce, o pracy. Zaczął pracować nad dwoma statkami, które wykorzystają nasz wszechświat, by szybciej przemieszczać się po swoim, i z radością opowiada mi o własnych sukcesach, pewny, że sprawi mi ból.

Żałuję, że nie przywróciłem mu żony, bo wtedy mógłbym ją wykorzystać, by wydostać się z tego więzienia. Naznaczona naszym dotykiem byłaby krucha jak naczynie czekające na to, by je napelnić. Znow mógłbym mu odebrać to, co kocha najbardziej, i uśmiechać się do niego jej ustami, aż jego umysł całkiem by się rozpadł.

Mógłbym mu powiedzieć, że ta nowa technologia niesie ze sobą ryzyko wyrwania dziury w naszym świecie. Mógłbym mu powiedzieć, że bawienie się tkanką wszechświata grozi destrukcją. Mógłbym mu powiedzieć, że los jego nowych statków jest przesądzony.

Nie mam jednak warg, którymi mógłbym przemówić. Będę więc czekać.

SOFIA

Statkiem porusza kolejny wstrząs, który rzuca mnie na Gideona. Nie odpycham otaczających mnie ramion – sama go obejmuję – bo w tej chwili nic mnie nie obchodzi.

Nie obchodzi mnie Walet ani jego związek z rodziną LaRoux, nie obchodzi mnie to, że działam sama, nie angażuję się, nie zakochuję ani nie przywiązuję. Znajdujemy się na statku, który spada z nieba, a jeśli to moje ostatnie chwile, zamierzam je spędzić w ramionach Gideona.

– Jeżeli rozbijesz statek, sama też zginiesz – wtrąca się Flynn, podnosząc głos, by być słyszalny pośród dźwięków otaczającej nas destrukcji.

– Litości. – Usta Lilac wykrzywiają się w delikatnym uśmiechu.

Na ten widok przechodzą mnie ciarki. Byłoby łatwiej, gdyby ta istota nie wyglądała i nie zachowywała się jak Lilac. Ale wielokrotnie widziałam ten uśmiech w magazynach i holowidach, i gdyby nie ta potworna ciemność w jej oczach, pomyślałabym, że nic się nie zmieniło. To wszystko w niczym nie przypomina tego, co działo się z moim ojcem, kiedy tuż przed wejściem do koszar stracił całego siebie. To... coś, cokolwiek to jest, wciąż pozostaje Lilac. A jednocześnie wcale nią nie jest. Uśmiech Lilac się rozszerza.

– Rozwalę ten statek, nie kiwając nawet palcem. Myślicie, że nie przeżyję katastrofy?

– W takim razie pomyśl o tysiącach, setkach tysięcy ludzi mieszkających poniżej. Nigdy nie wyrządzili żadnej krzywdy tobie ani twojemu gatunkowi, a kiedy ten statek spadnie, zabijesz ich wszystkich. Robiąc to, w niczym nie jesteś lepsza od LaRoux.

Uśmiech Lilac jeszcze bardziej się rozszerza i dziewczyna spogląda w bok. Prawie zapomniałam o LaRoux i ta świadomość mną wstrząsa... Prawie o nim zapomniałam! Wciąż klęczy obok miejsca, gdzie przed chwilą leżała jego ranna córka. Spogląda na nią. Jego twarz jest mizerna i pobrużdżona, a niebieskie oczy niemal wodniste i blade w porównaniu z czarną otchłanią czającą się w spojrzeniu Lilac.

– To prawda – odpowiada, wciąż spoglądając na LaRoux, a w jej spojrzeniu widać odrażające połączenie nienawiści i miłości. – Jestem, jak sądzę, tym, kogo uczynił ze mnie ojciec. – Podchodzi nieco bliżej, żeby położyć dłoń na policzku mężczyzny, a ten czuły gest przyprawia mnie o ciarki. – Jednak mylisz się, mówiąc, że w niczym nie jestem od niego lepsza.

Flynn nie odpowiada, a ja wiem dlaczego. Przez całe życie był otoczony

ludźmi, którzy nie mogli albo nie potrafili przyjąć do wiadomości logiki, współczucia, głosu rozsądku. Wie, kiedy ma do czynienia z szaleńcem.

Lilac chwilę odczekuje, a gdy odpowiedź nie nadchodzi, jej uśmiech gaśnie, zastąpiony przez stal i ogień.

– Roderick LaRoux to istota, która definiuje się przez pryzmat władzy. A ja... Ja jestem od niego lepsza pod każdym względem.

Statek znów drży w rytm eksplozji, od której moje ciało zamiera, przenikają je panika i adrenalina, a w głowie pojawia się ćmiący ból. Każdy mięsień wyrывa się do ucieczki. Ale dokąd miałabym uciekać? Aby dotrzeć do kapsuły, musielibyśmy ruszyć w stronę odgłosów destrukcji... Jeśli kapsuły w ogóle jeszcze istnieją.

Lilac ponownie spogląda na ojca i się uśmiecha.

– Tatusiu – mówi łagodnie. – Pójdiesz ze mną, prawda?

Wargi Rodericka LaRoux się rozchylają. Mężczyzna spogląda w górę na istotę, która już nie jest jego córką, i jak gdyby ktoś pstryknął przełącznik, jego twarz się zmienia. Napięcie opuszcza jego ramiona, a na usta wpływa drżący uśmiech. Widzę, jak zmusza się, żeby w to uwierzyć, z tym samym przekonaniem, które pomagało mu wierzyć, że istota wewnątrz szczeliny nie skrzywdzi jego Lilac.

– Wybaczasz mi – szepcze. – Simona, Ikara. Wybaczasz mi?

To coś, co było kiedyś Lilac, podaje mu dłoń i pomaga wstać.

– Jesteś moim ojcem – mówi, całując go w policzek. – I jeszcze z tobą nie skończyłam.

LaRoux przez dłuższą chwilę wpatruje się w nią z rozdziawionymi ustami, a po chwili na jego twarz wypływa uśmiech – robi to rozmyślnie, jak gdyby wybierał ślepotę zamiast rzeczywistości.

– Kochanie... – Jego głos jest stłumiony. Mam wrażenie, że jego oczy w każdej chwili mogą się stać czarne jak oczy Lilac, one jednak pozostają jasne i niebieskie. To, że mężczyzna tak chętnie się oszukuje, daje Lilac potrzebną jej kontrolę. – Tak, moje serce. Chodźmy.

Lilac obrzuca Tarvera ostatnim spojrzeniem. Ramię żołnierza, to, którym nie przytrzymuje się ściany, zwisa pod dziwnym kątem. Tarver robi duży krok naprzód i próbuje coś powiedzieć, ale dziedziczka fortuny LaRoux i istota czająca się w jej umyśle odwracają się bez słowa i prowadzą LaRoux w stronę schodów i na górę, w serce zniszczenia.

– Lilac! – mówi Tarver zachrypniętym głosem. Nagle zaczyna biec mimo obrażeń, mimo tego, że chwieje się na nogach, co zapewne jest spowodowane wstrząśnieniem mózgu. – Lilac...

– Nie! – Jubilee porzuca broń. Odwraca się, by zatrzymać Tarvera, i całym ciałem blokuje drogę pomiędzy nim a schodami, po których wchodzi Lilac.

Żołnierz wbija się w nią z taką siłą, że dziewczyna z jękiem próbuje

zaczepnąć tchu, ale nie upada. Obejmuje go ramionami i odciąga, skrzypiąc podszwami o metalową kratkę na podłodze.

– Pomóżcie! – krzyczy.

Flynn natychmiast podbiega, by pomóc jej dźwigać Tarvera i nie pozwolić mu ruszyć za Lilac.

– Puszczajcie! – wrzeszczy Tarver, szamocząc się i ledwo spoglądając na kobietę, która go odciąga. – Puszczajcie! Muszę... To rozkaz, pani porucznik! – Jest od niej silniejszy, silniejszy niż oni oboje, na wpół oszalały z rozpaczy, strachu i bólu, a jego słowa są bezładne.

Jubilee próbuje go przytrzymać, krzyczy mu prosto do ucha:

– Nie możesz jej uratować...! Tarver, szept zadba o to, by przeżyła katastrofę, a ty jej nie ocalisz, jeśli będziesz trupem!

Tarver wykrzykuje coś w odpowiedzi i na ułamek sekundy wyrывa się z jej uścisku, ale dziewczyna podnosi ramię i uderza go otwartą dłonią w głowę, tak że jej były dowódca się przewraca. Oszołomiony mężczyzna opiera się o ścianę. Tam przytrzymuje go Flynn, którego mięśnie naprężają się z wysiłku.

Oczy Lee zwracają się ku nam – jej spojrzenie jest jak fala adrenaliny, a moje płuca znów napełniają się powietrzem.

– Możesz chodzić?

Zdezorientowana i pod wpływem szoku próbuję się wyprostować. Kiwam głową i czuję, jak stojący tuż przy mnie Gideon znów zaczyna oddychać. Raptem uświadamiam sobie, że palce mojej zdrowej dłoni są splecione z jego palcami.

– Drugi raz tego nie zrobię – mówi na wpół przytomny Tarver, próbując odepchnąć Flynną. – Nie będę znowu bez niej żył. Nie mogę. Nie mogę. Lee... proszę. Proszę, zostaw mnie tutaj. Proszę, Lee...

Jubilee spogląda na niego przez ramię, a w napięciu jej kręgosłupa dostrzegam ból, który czuje, patrząc na Tarvera w takim stanie. Rusza przed siebie, dołącza do Flynny i przerzuca sobie zdrową rękę Tarvera przez ramię.

– Flynnie?

Jej chłopak zdaje się rozumieć ją bez słów i wskazuje głową w stronę odległego końca pokładu.

– Gdzieś tam muszą być wahadłowce. Nie uda nam się dotrzeć do wyrzutni dla ambasadorów.

Podnoszę głos, żeby przekrzyczeć kolejne skrzypienie metalu.

– Wahadłowce dla załogi. Są tam, po przeciwległej stronie.

Przeciwny koniec tej ogromnej komory znajduje się w połowie długości statku, ledwie widoczny w głębokim cieniu.

Przed oczami przepływa mi zapamiętany rzut piętra, jednak wspomnienia są zbyt porwane, by mogły mi się na cokolwiek przydać. Choć mieliśmy tu spędzić zaledwie kilka minut, i tak zapamiętałam plan całego piętra. Każdy może

przygotować plan, ale nie zginie ten, kto zadaje sobie trud, by przygotować się na moment, kiedy plan bierze w łeb. Szok zaczyna mijać i w ramieniu czuję promieniujący ból. Słyszę szepty, a mój lęk jest zbyt ciężki, zbyt namacalny, bym mogła doprowadzić sprawy do końca.

– Musimy iść! – wrzeszczy Jubilee, która wciąż szarpie się z Tarverem. – Trzeba się wycofać, majorze!

– Gideonie, każ jej się ruszać! – krzyczy Flynn ze swojego miejsca u boku Tarvera, wciąż starając się go przytrzymać.

Gideon ciągnie mnie za sobą i kiedy zaczyna biec, oboje się potykamy, a fala przetacza się przez długość całego piętra, zbijając nas z nóg i pchając naprzód. Udaje nam się wstać, wciąż ze splecionymi dłońmi, a kiedy spoglądam do tyłu, widzę, że Tarver w końcu biegnie, pomiędzy Flynnem a Jubilee.

Nad nami rozlega się głośny, ryczący dźwięk, od którego moje nerwy płoną żywym ogniem, a rozdzierające impulsy bólu wędrują przez poparzoną rękę i docierają do mózgu, tak że prawie zapominam, jak się biegnie. Jedna ze stacji roboczych odrywa się od ściany i z ogłuszającym hukiem uderza w podłogę po prawej stronie, w odległości zaledwie kilku metrów od nas.

Zatrzymuję się tak gwałtownie, że Gideon puszcza moją dłoń i kuśtykając, podbiega kilka kroków naprzód beze mnie. Upadam na kolana. Dłoń mnie pali, a w uszach słyszę dzwonięcie. Dociera do mnie jego głos wypowiadający moje imię, stłumiony i niewyraźny, jak gdybym znajdowała się pod wodą. Przeciwległa ściana tej ogromnej maszynowni traci ostrość, kiedy ziemia pod moimi stopami drży. Statek spada. Nie uda nam się dotrzeć do kapsuł na czas.

Patrzymy zza welonu pomiędzy światami, łącząc to, co znaleźli inni. Dzieci rosną, a każdy dokonywany przez nie wybór zbliża je do siebie i splata ich losy.

Nasi krewni na szarej planecie nas nie słyszą, ale my słyszymy ich. Są rozdarci pomiędzy rozpaczą a nadzieją i nie pomagają nam zrozumieć tych stworzeń. Pozostali, trzymani w niewoli w miejscu, gdzie za pierwszym razem pojawiło się przerzedzenie, słabną i robią się zmęczeni. Od wielu lat nikt do nich nie przyszedł – ani po to, żeby z nimi skończyć, ani po to, żeby ich uwolnić.

Został jeden, którego już nie widzimy ani nie słyszymy – niebieskooki mężczyzna odseparował go tak, że mamy jedynie niewyraźne wrażenie, że jeszcze istnieje.

Może uda mu się znaleźć odpowiedzi, których szukamy.

GIDEON

Ziemia drży pod moimi stopami. Odrywam się od Sofii, która wciąż wykrzykuje moje imię, chwieje się, jest oszołomiona. Łapię jej zdrową rękę i podciągam ją na nogi.

Kiedy Merendsen, Chase i Cormac przebiegają obok nas, ten ostatni spogląda na mnie, a ja macham, by biegł dalej, wskazując róg, w którym powinny się znajdować wahadłowce. Odskakuje, by nie uderzyła go spadająca poręcz, która rozbija się o pokład w deszczu iskier, i krzyczy coś niezrozumiałego do reszty.

Popycham Sofię tulącą zranioną rękę do ciała. Jest blada jak ściana. Przedzieramy się przez otwartą przestrzeń maszynowni. Desperacko próbuję unikać spadających odłamków i równie desperacko wybieram ścieżkę pomiędzy poskręcanyimi konsolami, balkonami i fragmentami mostków, które zagradzają nam drogę. Przez krótką szaloną chwilę zastanawiam się, czy kadłub statku nie został uszkodzony, ale gdyby tak było, już byśmy o tym wiedzieli. Brakowałoby nam tchu.

Przed nami Flynn i Jubilee ciągną za sobą Tarvera, a ja ściskam zdrową dłoń Sofii, próbując ignorować to, jak jęczy z bólu, i wlokąc ją wzdłuż dymiących resztek pulpitu sterowniczego. W ostatniej chwili zauważam iskrzące kable wijące się na ziemi wzdłuż naszej ścieżki i odciągam ją za rękę, tak że dziewczyna znów się potyka.

Uświadamiam sobie, że wciąż jest boso – zdjęła buty, by w razie czego móc udawać kogoś złapanego na gorącym uczynku, ale musiała je upuścić w czasie strzelaniny. Jej prawa stopa jest zakrwawiona, ale nie mam czasu sprawdzić, czy to coś poważnego. Kiedy wracamy na właściwą trasę i raz jeszcze ruszamy w stronę stacji dokujących, cały statek ponownie drży, a po podłodze przetacza się fala uderzeniowa. Sofia znów się potyka, a ja odwracam się, by ją złapać, jednak kiedy oplata mnie ramionami, płaczą mi się nogi i oboje upadamy, uderzając o ziemię z siłą, która zatyka mi płuca.

Czy tak właśnie czuło się pięćdziesiąt tysięcy ofiar, które zginęły na Ikarze?

Podciągam się na łokcie. W mroku dostrzegam drzwi do stacji dokującej. Pozostali już prawie dotarli, znajdują się zaledwie kilka metrów od nas.

Flynn znów się odwraca i raptownie podnosi ramię, a jego usta rozchylają się z przerażenia. Przekręcam głowę w chwili, gdy w naszą stronę zaczynają lecieć ogromne kleszcze przytrzymujące dotąd część silnika. Krzyczę, ostrzegając samego siebie. Sofia i ja działamy jak jeden organizm – dziewczyna wtula się we mnie, a ja obejmuję ją ramionami i rzucam na lewo, tak że uderzamy

o przewrócone biurko. Chwilę później rozbijają się o nie kleszcze, ale choć mebel się wygina, jest na tyle wysoki, że jego brzeg nas chroni. Dochodzi do zvarcia i zasypuje nas deszcz iskier.

Kiedy podnoszę wzrok, biurko zaczyna się rozpadać na pół. Osłaniam Sofię ciałem, przyciskając ją do ziemi, wpadamy w szczelinę pomiędzy przepołowionym blatem mebla a podłogą i czujemy się, jak gdybyśmy się znajdowali w małym metalowym namiocie. Sofia krzyczy, a ja uświadamiam sobie, że jej ranna dłoń ugrzęzła pomiędzy nami – widzę wytrzeszczone z przestachu białka jej oczu. Napieram na metalową kratkę podłogi, z całej siły próbując nas odciążyć.

Po chwili dwie silne dłonie chwytają mnie pod ramiona. Dostrzegam Jubilee, która zaciskając zęby, próbuje nas wydobyć spod rumowiska. Trzymam Sofię ciasno przy sobie i kilka ostatnich metrów pokonujemy na czworakach. Przez otwarty właz wpadamy do wahadłowca, gdzie czeka na nas Flynn. Chase podbiega teraz do Merendsena i przytrzymuje go, kiedy drzwi wahadłowca się zamykają. Mówi mu coś na ucho, ale hałas rozpadającego się Dedala jest tak ogłuszający, że nie słyszę niczego poza nim.

– Jubilee! – krzyczy Flynn z kokpitu. – Jeśli nie chcesz, żebym sam to pilotował, lepiej tu chodź!

Jubilee obrzuca Merendsena ostatnim zbolalym spojrzeniem, po czym dopada do fotela pilota.

– Dobra.

Sofia i ja leżymy splątani na podłodze, podczas gdy warkot silnika się wzmaga. Wahadłowiec odrywa się od Dedala z cichym burczeniem. Oddech Sofii zamienia się w ciche jęki, ale gdy w końcu dziewczyna milknie, jestem pewien, że to niedobry znak. Kiedy z trudem podnoszę powieki, pierwszą rzeczą, jaką widzę, jest jej ręka – czerwona od poparzeń w miejscu, gdzie eksplodował pistolet. Z ran sączy się połyskująca ciecz.

Podnoszę głowę, by zobaczyć, co dzieje się za jej plecami. Merendsen z zamkniętymi oczami trzyma się fotela, a Flynn z trudem próbuje osadzić jego ramię z powrotem w panewce. Jakimś cudem Cormac wygląda równie schludnie jak na początku wieczoru, jego smoking nie ma najmniejszych zagnieceń, a nad czołem wisi pojedynczy lok. W przeciwieństwie do niego Merendsen nie ma marynarki, którą podarł, by opatrzyć Lilac, a jego biała koszula jest splamiona krwią.

– Zapnijcie pasy! – krzyczy Jubilee z fotela pilota, ale Merendsen nawet nie reaguje.

Flynn popycha go na ścianę, ignorując to, że żołnierz krzywi się z bólu, i przypina go do siedzenia. Przytrzymuje się innego fotela, by złapać równowagę, a ja przykucam obok Sofii. Wtykam stopy pod rząd foteli, kiedy wahadłowiec ostro skręca w lewo i przechyla się pod kątem czterdziestu pięciu stopni, a silnik wydaje

głośny jęk.

– Wszędzie pełno wahadłowców, a wokół spadają odłamki – ostrzega nas Jubilee. – Złapcie się czegoś, opuszczam pole.

Kiedy Jubilee to robi, wszyscy trzymamy się swoich miejsc. Leżę obok Sofii, otaczam ją ramieniem i zamykam oczy. Zaczynam po cichu odliczać i próbuję zająć czymś swój umysł, kiedy unosimy się i opadamy. Żołądek podchodzi mi do gardła, cały szkielet wahadłowca drży z napięcia. Dochodzę do stu dwudziestu siedmiu, gdy osiągamy odpowiedni poziom. Jubilee wydaje polecenia autopilotowi i wstaje z fotela.

– Teraz powinno być już bezpiecznie. Możecie się już ruszać – mówi, spoglądając najpierw na Flynna, a potem na Tarvera, który siedzi przygarbiony na swoim miejscu, luźno zapięty pasami, i spogląda przez okno.

– Proszę – szepcze major. – Proszę, nie.

Wszyscy rzucamy się do okien umieszczonych wzdłuż boku wahadłowca.

Przemyka mi przez głowę kilkanaście rzeczy, o które może błagać, ale wystarczy jedno spojrzenie, by stwierdzić, że żadna z nich się nie spełni.

Dedal spada.

Statek gwałtownie zmienia kąt i rozpada się w powietrzu. Od kadłuba odrywają się fragmenty wielkości drapaczy chmur i spadają na miasto poniżej. Dedal jest olbrzymi, a jednak w moich oczach wygląda jak rozpadający się na kawałki składany model, jak gdyby ogrom tego, co się dzieje, nie mógł być prawdziwy.

Pierwsze odłamki lecą na miasto. Widzę, jak jeden z nich toruje sobie drogę przez cztery przecznice na przedmieściach Koryntu, tocząc się po ziemi i zagłębiając w budynki mieszkalne jak nóż w masło. W dole buchają płomienie, a rumowisko spowijają czarne kłęby dymu. Spada następny kawałek, metal połyskuje w świetle, aż pochłaniają go płomienie i dym.

Patrzę, jak umierają tysiące ludzi, a kiedy wielkie cielsko Dedala uderzy w ziemię, zobaczę ich już setki tysięcy. Mogę powtarzać sobie w myślach słowa, ale choć krążą mi po głowie jak przerażająca mantra, nic nie rozumiem. Korynt jest niepokonany. Korynt zawsze istnieje. Korynt zawsze będzie istniał.

Korynt płonie.

– Proszę, nie – szepcze Tarver tuż obok mnie, opierając czoło o szybę. Łzy spływają mu po policzkach, kiedy Dedal z ogromną prędkością spada w stronę miasta.

To tak, jakby patrzyło się na kamień ciśnięty w wodę – odłamki odrywają się od ruin, które pozostawił po sobie statek, i wzbijają się w powietrze, całe budynki walą się w obłoku kurzu i dymu, poskręcane go metalu i płomieni.

Korynt płonie.

Odwracam się od okna, Sofia idzie ze mną. Zarzuca mi ręce na szyję, a ja

przyciągam ją do siebie, zanurzam twarz w jej włosach i wdycham jej ciepło, jej życie, desperacko odpychając od siebie wizje umierającego miasta, które towarzyszą mi nawet wtedy, gdy zamykam oczy. W tej chwili nie jesteśmy Wailem i oszustką, a kiedy Sofia przyciąga mnie do siebie, nie ma w tym żadnego podstępu. Gdy unoszę głowę, widzę, że Flynn obejmuje Jubilee, a ona szepcze mu do ucha coś, co sprawia, że chłopak przytula ją jeszcze mocniej.

Tarver Merendsen siedzi sam i wciąż wpatruje się w okno, śmiertelnie blady w poplamionej krwią koszuli, jak gdyby oglądał własną egzekucję.

W tej chwili znika wszelka uraza i wina, jaką obarczałem go za zajęcie miejsca mojego brata. To właśnie jego Simon wybrałby dla Lilac. Teraz to widzę.

Kocha ją. Kiedy patrzę na śmierć i zagładę poniżej i myślę o tym, że istota zdolna do takich czynów ukradła mu Lilac, nie mam co do tego żadnych wątpliwości.

– Tarverze – mówię zachrypniętym głosem, ale nie zawracam sobie głowy tym, żeby odchrząknąć. Moje policzki także są mokre, tak jak powinny. Gdzieś pod nami wykrwawia się mój świat.

Chłopak wolno obraca głowę, a jego spojrzenie wciąż jest pełne niepokoju.

– To jeszcze nie koniec – stwierdzam cicho.

Sofia, która wciąż się o mnie opiera, unosi głowę.

– Oczywiście, że nie. – Jej głos przypomina stal, wyzywa na pojedynek tego, kto postanowi się jej sprzeciwić.

Nikt tego nie robi.

– Musimy gdzieś wylądować – mówi Jubilee, przechodząc obok, by skontrolować działanie autopilota.

Tuż za nią widzę, jak kolejne skupisko odłamków znika w gęstej chmurze dymu, który zakrywa teraz pas zniszczenia na północ od miasta.

– Ten wahadłowiec służy jedynie do prac konserwacyjnych i dostaw na statek. Nie ma dość paliwa na długi lot.

– Dokąd powinniśmy się kierować? Gdzie będzie bezpiecznie? Nie mamy pojęcia, czy Lilac uda się nas znaleźć – mówi Flynn cicho, przeczesując palcami loki, przez co w końcu zaczyna wyglądać mniej schludnie.

Spoglądam na Jubilee – choć nie jest już żołnierzem, ma charakterystyczny zacięty wyraz twarzy i patrzy na nas bez emocji. Na Avonie nazywano ją Kamienną Twarzą – czytałem o tym w jej aktach. Na żywo ta mina rzeczywiście robi wrażenie. Może dlatego, że tak się na nią gapię i myślę o żołnierzu, którego wciąż w sobie ma, przychodzi mi do głowy pewien pomysł. Już wiem, dokąd powinniśmy polecieć.

– Jest takie jedno miejsce.

Cztery głowy zwracają się w moją stronę.

– Znam pewną kobietę. Nazywa się Kumiko. Kiedyś była w wojsku.

– Możemy jej zaufać? – odzywa się w końcu Jubilee.

Sofia zapytała mnie o to samo, zanim poznała Mae, i teraz czuję na sobie jej wzrok. Z trudem przełykam ślinę.

– Nie wiem. Nie mogę niczego obiecać. Ale ty i Merendsen byliście wojskowymi, a to może mieć dla niej jakieś znaczenie. Oddelegowano ją na Avon. Wie, do czego jest zdolny LaRoux. Miałem z nią do czynienia jako Walet. Ufa mu o tyle, o ile w ogóle komukolwiek ufa. Jej mieszkanie jest dobrze zabezpieczone, to praktycznie forteca. Ma sprzęt medyczny. – Próbuję nie patrzeć na rękę Sofii i na jej podbródek zraniony przez odłamek plastenowego pistoletu.

– Nie możemy tu zostać. – Sofia wydaje się wycieńczona, a kiedy obejmuję ją ramieniem, opiera się o mnie i kładzie mi głowę na ramieniu. – Musimy wykorzystać to... zamieszanie, żeby wyładować.

„Zamieszanie”. Setki tysięcy istnień zdmuchniętych tuż pod nami jak płomień świecy. Miliony ludzi, którzy właśnie stracili dziecko, rodzica albo partnera. Żadne słowo nie odda sprawiedliwości temu, co się stało. Słyszając łamiący się głos Sofii, wiem, że sama jest bliska załamania. Podobnie jak ja.

Jubilee spogląda na Flynną, a potem patrzy Sofii w oczy. Nie szuka wzroku Merendsen, który pochyla się teraz do przodu, chowając twarz w dłoniach. Dziewczyna powoli kiwa głową.

– Podaj współrzędne.

Łądujemy na dachu apartamentowca Kumiko, a kiedy wahadłowiec siada na znaku X namalowanym na lądowisku, w oknach klatki schodowej pojawia się kilka wycelowanych w nas luf.

– Zdążymy się przedstawić, zanim nas zastrzelą? – pyta Flynn, spoglądając na nich przez okno.

Awaryjne światła reflektorów wahadłowca są tak jaskrawe, że wokół niewiele widać.

– Będziemy mieli szansę – odpowiadam. – Gdyby Kumiko tego chciała, już dawno by nas ostrzelali.

– Pocieszające – mamrocze Flynn.

– Dobrze, że tego nie zrobili – mówi Merendsen, dołączając do nas przy oknie. – To wahadłowiec serwisowy, nie jest opancerzony.

Na nas wszystkich przypada tylko jedna broń należąca do Jubilee, po plastenowym pistolecie Sofii nie ma już śladu. Sprzęt hakerski wrzuciłem do kieszeni i przymocowałem go pod ubraniem. Jeśli źle oceniłem sytuację i zostanę uwięziony, będę miał przy sobie swoją broń. Zakładając, że ludzie Kumiko wcześniej mnie nie zastrzelą.

Unoszę dłonie i ruszam w dół schodów, a Jubilee stoi w wejściu z pistoletem i mnie osłania.

W drzwiach prowadzących do budynku ukazuje się krępa postać z latarnią

awaryjną, którą unosi wysoko, by oświetlić lądowisko. Jest ubrana na czarno, a na twarzy ma zawiązaną chustkę. Nam brakuje broni, ale nie da się tego powiedzieć o Kumiko. Trzyma w dłoniach pistolet o obwodzie jej przedramienia i lufą daje mi znać, bym zatrzymał się w odległości kilku kroków od wahadłowca.

– Zostań tam. Dziękuję.

Powoli nabieram powietrza, po czym je wypuszczam.

– Kumiko, to ja...

– Masz jakieś inne imię poza „ja”? – warczy, unosząc broń. Robi coś, a ja słyszę kliknięcie i jestem prawie pewien, że odbezpieczyła pistolet.

Cholera.

– Walet – mówię. Mam ochotę opuścić ręce, żeby się zasłonić. – Walet Kier. Zdziwiona dziewczyna otwiera usta.

– Hasło – rzuca, kiedy odzyskuje rezon.

Przez chwilę czuję się zagubiony. Hasło? Szperam w pamięci, szukając jakiegoś wspomnienia z przypisanym mu słowem, i już zaczynam panikować, kiedy nagle je odnajduję. Gdy założyłem forum dla jej drużyny, wspólnie wybraliśmy hasło, które pozwoliłoby nam je zlikwidować, w razie gdyby ktoś wpadł na jego trop. Wtedy chodziło mi głównie o to, by uspokoić jej paranoiczny umysł.

– *Trotaire* – dukam.

Dziewczyna powoli opuszcza broń.

– Co ty tu robisz?

– To bardzo długa historia – zaczynam. – Przyleciałem z... – Urywam, bo nie wiem, co powiedzieć. „Przyjaciele” to lekka przesada.

Ona jednak nie słucha. Wpatruje się w drzwi wahadłowca.

– Pani kapitan? – Jej głos staje się niepewny, łagodnieje. – Kapitan Chase? – Ściąga chustkę, odsłaniając dolną połowę twarzy.

Jubilee Chase powoli schodzi po stopniach i z opuszczoną bronią zatrzymuje się obok mnie. Stoję nieruchomo z nadzieją, że Kumiko nie dostanie szału i nie zacznie strzelać.

Okazuje się jednak, że niepotrzebnie się martwię, bo wpatruje się w Jubilee, jakby zobaczyła ducha, i powoli kręci głową.

Z kolei Jubilee nie spuszcza wzroku z Kumiko.

– Kapral Mori? Co wy tu, u diabła, robicie?

Patrzemy, jak rosną. Zostaliśmy sami, we trójkę, i nie wiemy, czy pozostali widzą to, co my, ale kontynuujemy naszą misję, szukamy odpowiedzi na nasze pytanie.

Dziewczynka, której sny tak nas fascynowały, została żołnierzem i choć jest młodsza i mniejsza od innych, trenuje ciężiej od nich. Już teraz widać w niej siłę, która zafascynuje poetę. Zmiana kilku symboli w dokumencie wojskowym przepływającym przez nasz świat sprawia, że dziewczyna trafia do tej samej jednostki co on.

Zostaną przyjaciółmi. Nauczy się od niego tego, czego potrzebuje, jednak jego droga nie biegnie obok jej. Ona zostanie z nami, tu, na szarej planecie.

I będziemy ją chronić.

SOFIA

Budzę się ze snu o ogniu i bólu i siadam gwałtownie, wydając z siebie zduszony dźwięk, a serce wali mi jak oszalałe. Ktoś natychmiast do mnie podchodzi, kładzie mi rękę na ramieniu, a cichy głos szepcze mi do ucha prośbę, bym się położyła.

– Gideon? – chrypię, próbując odpędzić od siebie koszmary i zasnąć.

– Wszystko z nim w porządku, jest z Mori i Jubilee.

Mrugam i twarz Flynna nabiera ostrości.

– Nie ruszaj się, Sof. Jeszcze przez jakiś czas będziesz oszołomiona.

Pozwalam, by opuścił mnie z powrotem na posłanie, które przypomina wojskową pryczę, i biorę drżący oddech. Nie czuję dłoni. Ogarnia mnie przerażenie, ale kiedy spoglądam w tym kierunku, moja ręka wciąż tam jest, owinięta kokonem bandażu i odrętwiała od ramienia w dół. Znajdujemy się w dużym zaciemnionym wnętrzu, a światło odbija się dziwnie od nagich cementowych ścian. Dostrzegam kilkoro ludzi, których nie rozpoznaję. Stoją w ciasnym kręgu, na ich twarzach malują się napięcie i lęk, niektóre z nich noszą ślady łez, jeszcze inne są pozbawione wyrazu. Kilka osób pochyła się nad palmpadami, próbując – bezskutecznie, co widać po ich frustracji – złapać zasięg.

– Gdzie jesteśmy? – szepczę.

– W bazie Mori. Kumiko Mori. Przyjaciółki Gideona. Okazuje się, że służyła na Avonie z Jubilee.

Wpatruję się w niego, próbując się przedrzeć przez gęstą, nieprzeniknioną mgłę spowijającą moje myśli.

– Jak to?

– Była ofiarą furii – odpowiada cicho. – Zarówno ona, jak i pozostali żołnierze z tej bazy mieszkali kiedyś na Avonie i zmienili lokalizację, kiedy zawładnęły nimi szepty. Z tego, co mówi, wynika, że zebrali się tutaj i robili to samo co my. Próbowali opracować plan zniszczenia LaRoux.

Żadna z górnych lamp nie jest włączona – widzę zaledwie kilka LED-owych latarek i latarnię awaryjną.

– Dlaczego...? O co chodzi z...? – Brakuje mi słów, nie potrafię ich wymówić.

Flynn podąża za moim wzrokiem do latarni awaryjnej na skrzynce tuż obok mojego posłania, po czym znów spogląda na mnie.

– Co pamiętasz? Musieliśmy cię uśpić, żeby zoperować ci rękę. Nie mieliśmy wyboru, bo wciąż... – Przęłyka ślinę. Jego twarz jest ponura, a w oczach

czai się niepokój. – Musieliśmy cię pozbawić przytomności.

Kiedy się odzywam, mój głos jest surowy i zachrypnięty, jak gdybym krzyczała. Albo wrzeszczała. Zamykam oczy i biorę głęboki wdech.

– Pamiętam Dedala.

Flynn odnajduje palce mojej zdrowej dłoni, splata je ze swoimi i lekko ściska.

– Katastrofa statku zniszczyła zasilanie w zasięgu wielu kilometrów. Nie działają kanały komunikacji, holowizja, nic. Gideon nie może się nawet zalogować do hipernetu. Siedzą teraz z Mori i próbują.

– A co z...? – zaczynam, ale głos więźnie mi w gardle, kiedy we wspomnieniach widzę uśmiechniętą dziedziczkę LaRoux spoglądającą na nas czarnymi oczami. Nie potrafię nawet wymówić jej imienia. – L-L-LaRoux. Co z LaRoux?

– Nie wiemy. W ogóle jeszcze niewiele wiemy.

Biorę kolejny oddech i znów próbuję usiąść, odpychając rękę Flynnna, który chce mnie powstrzymać.

– Flynnnie, próbowałam... – Łamie mi się głos. – LaRoux stał tuż obok. Nie mogłam pozwolić mu żyć. Nie mogłam...

– Cśś, wiem. – Flynn się postarzał, o wiele bardziej, niż można by się spodziewać po upływie roku. Jego zielone oczy się nie zmieniły, podobnie jak gęste falowane włosy, a jednak wydaje się bardziej prawdziwy niż wcześniej, pewny, ciepły... W oczach ma ból i współczucie równie głębokie, jak kiedyś. – Wiem, Sof.

– To moja wina – szepczę, zbyt otępiała, by płakać. – Gdybym nie...

– Nie mów tak – przerywa mi. – Ze słów Tarvera wynika, że już od dawna się na to zanosilo. Ten szept próbował dosięgnąć Lilac, odkąd ona i Tarver zostali uwięzieni na tamtej planecie. Myślę, że ból pozbawił ją koncentracji. Jednak on i tak by ją dopadł.

Ale może nie na pokładzie Dedala. Gdybym nie próbowała zamordować Rodericka LaRoux, tysiące ludzi, dziesiątki tysięcy, może nawet setki tysięcy wciąż by żyły.

– Chcę się zobaczyć z Gideonem – mówię ku własnemu zaskoczeniu. – Czy on...?

Jednak zanim udaje mi się zadać pytanie, przez jedno z wejść wkracza do środka Jubilee wraz z Gideonem i kobietą o krótkich czarnych włosach, z chusteczką zawiązaną na szyi. Kumiko, podpowiada mi mózg. Kapral Mori. *Trotaire*, która zastrzeliła Garreta O'Reilly'ego na ulicy i zerwała zawieszenie broni. Jednak furia LaRoux kazała mojemu ojcu zabić o wiele więcej osób, a eksplozja, którą przeprowadził, rozpętała wojnę. Moje myśli są tak przeniknięte złością i rozpaczą, że nie wiem, co powinnam czuć, kiedy spoglądam na byłą

żołnierz stojącą obok kapitan Chase.

Gideon zbacza z drogi i kieruje się w stronę mojego łóżka. Dopiero wtedy unosi głowę i widzi, że siedzę. Jego kroki na chwilę zwalniają, a sekundę później przyspieszają i chłopak do mnie podbiega. Flynn spogląda na mnie, a kącik jego ust drga. Robi miejsce, żeby Gideon mógł przy mnie przykucnąć.

– Cześć, Dołączku. – W oczach Gideona dostrzegam ulgę, słyszę ją także w jego głosie. A jednak wciąż jest w nim jakaś rezerwa, dystans. Za spojrzeniem, którym mnie obrzuca, toczy się wojna, a jego ręka drży, jak gdyby chciał ją do mnie wyciągnąć, ale nie mógł.

„Nie jesteś sobą – powiedział, kiedy wycelowałam w LaRoux. – Znam prawdziwą ciebie”.

– Hej – odpowiadam szeptem. Nigdy mnie nie znałeś.

Nie sądziłam, że będę musiała stanąć z nim twarzą w twarz po tym, jak dowie się, że nie pomagałam mu ujawnić działań LRI, że od początku chciałam tylko zabić Rodericka LaRoux. Myślałam, że będę martwa.

Przez ułamek chwili żałuję, że nie jestem.

Jubilee, stojąca obok Kumiko w pewnym oddaleniu od nas, odchrząkuje.

– Mamy połączenie z siecią – oznajmia łagodnie, przerywając ciszę wiszącą pomiędzy mną a Gideonem. – Flynnie... Powinieneś to zobaczyć.

– Ja też idę – oznajmiam, żeby nikt nie zostawił mnie na tej pryzy.

Gideon zerka na Flynna, który z pewnością ma większe doświadczenie w dziedzinie medycyny wojskowej niż on, ale ten tylko kręci głową.

– Przestałem jej mówić, co ma robić, jeszcze kiedy byliśmy dziećmi – odpowiada, podchodząc do mnie i podając mi dłoń.

Gideon cofa się o krok, spoglądając to na mnie, to na niego, po czym odwraca się, by dołączyć do Jubilee i Mori przechodzących do sąsiedniego pomieszczenia. To, czego użyli, żeby mnie uśpić, wciąż działa – moje kroki są powolne, nogi jak z gumy, a mięśnie nie reagują na polecenia mózgu. Flynn musi się pochylić, żebym mogła zarzucić mu ramię na szyję.

– Na szczęście Mori nielegalnie wyprowadziła nadwyżkę zaopatrzenia wojskowego – szepcze. – Ma regenerator skóry. Za dzień lub dwa powinnaś mieć zdrową rękę. Może nawet obejdziesz się bez blizn.

Nienawidzę się za to, że ogarnia mnie ulga. Powinnam potraktować ból i blizny jako przypomnienie tego, co próbowałam zrobić. Albo tego, co rzeczywiście zrobiłam. Przypomnienie setek tysięcy mieszkańców miasta, którzy zginęli przeze mnie.

– Ups... – Ramię Flynna zaciska się wokół mnie, kiedy słabnę. Lekarstwo lada chwila może mnie pozbawić przytomności.

– Już dobrze – odpowiadam przez zaciśnięte zęby, zbierając się na nogi. Choć próbuję się skupić, wciąż nawiedza mnie wspomnienie Lilac, która krzyczy

i upada, wciąż widzę jej zakrwawioną rękę i atramentową czerń zalewającą jej spojrzenie, kiedy dziewczyna leży na ziemi.

Drzwi prowadzą do mniejszego pomieszczenia, być może służącego jako gabinet, z oknami na dwóch ścianach. Choć wychodzą na sąsiednie budynki, powietrze jest zamglone, a czerwopomarańczowe światło sprawia, że ściska mi się serce. Widziałam zbyt wiele pożarów, by nie rozumieć, co się dzieje. Korynt płonie.

W pomieszczeniu jest jeszcze tylko jedna osoba. Kiedy światła wyłaniają z mroku jej twarz, moje serce ściska się jeszcze bardziej. To Tarver, zgarbiony na składanym krześle, ze wzrokiem utkwionym w martwy punkt za oknem. Gdy wchodzimy, nawet na nas nie patrzy.

Flynn znajduje mi krzesło, ostrożnie mnie na nim sadza i rusza w stronę Jubilee. Przenosi wzrok z niej na byłego żołnierza przy oknie.

– Czy on...?

Twarz Jubilee się zmienia. Jestem zaskoczona emocjonalną głębią, jaką na niej dostrzegam. Na Avonie zawsze była taka nieprzenikniona, beznamiętna.

– Nie chce ze mną rozmawiać – mamrocze. – On... – Kręci głową. – Nie wiem, co robić.

Flynn nie odpowiada. Chwyta dłoń Jubilee, przyciąga ją do siebie i przyciska do niej czoło. Przyglądam się, jak jej palce splatają się z jego, zaskoczona niemal nierealnym widokiem Flynnna obejmującego cieszącą się najgorszą sławą żołnierki, jaka mieszkała po naszej stronie Avonu. Wiedziałam, że coś do niej czuje, ale...

– Nie potrafię mu pomóc. – Jej głos jest niemal niesłyszalny.

– Wszystko po kolei – odpowiada Flynn z tą samą cierpliwością i determinacją, którą dostrzegałam w nim przez lata po śmierci jego siostry.

Spoglądam w bok i odnajduję wzrokiem Gideona, on jednak na mnie nie patrzy. Nie spuszcza oczu z siedzącego przy oknie Tarvera. Nie ma w nim już tej goryczy i tej niechęci co na pokładzie Dedala, kiedy mówił o tym, że Tarver zajął miejsce jego brata. Teraz na jego twarzy maluje się tylko smutek. Tak, jakby czuł to samo, co wprawiło Tarvera Merendsena w stan katatonii.

Patrzę, jak Gideon bierze głęboki oddech i stara się opanować.

– Złapaliśmy sygnał – mówi z napięciem, wyciągając palmpada i podchodząc do poobijanego stolika ustawionego w pobliżu okna. – Większość portali informacyjnych nie zamieściło nowych informacji od czasu katastrofy. Zakładamy, że w siedzibach firm, które nie zostały zniszczone, wciąż próbują przywrócić zasilanie.

– Ale niektóre już go odzyskały? – Flynn śledzi wzrokiem Gideona, który odkłada palmpada na stół i ustawia holoprojekcję.

Gideon kiwa głową i odpowiada, dopiero kiedy ekran palmpada się uruchamia, a projekcja unosi się tuż nad stołem, tak by wszyscy ją widzieli.

– Zdjęcia zniszczenia i kilka samej katastrofy z urzędzeń ludzi, które zsynchronizowały się z chmurą, zanim oni sami... – Urywa, krzywi się i nie kończy. – Wydaje mi się, że na tej stronie jest włączona transmisja w czasie rzeczywistym. – Kilkoma gestami przełącza różne strony, aż znajduje strumień wideo.

Obrazy budzą się do życia, a z głośników urządzenia sączy się cicha ścieżka dźwiękowa.

– ... z różnych doniesień, ale możemy potwierdzić, że szacunkowa liczba ofiar katastrofy statku wzrosła do stu pięćdziesięciu tysięcy. – Widziany z góry obraz dymu i płomieni ustępuje miejsca temu z twarzą kobiety, ściągniętą i bladą pod warstwą makijażu. – Jeśli dopiero państwo dołączyli, podajemy najświeższe wiadomości. Muzeum orbitalne Dedal spadło z orbity w środku gali otwarcia i rozbiło się o powierzchnię Koryntu. Statek i fragmenty wraku spowodowały ogromne straty w co najmniej trzech sektorach i nie wiadomo, czy ktokolwiek...

Kobieta przerywa i spogląda w dal, przyciskając dłoń do ucha.

– Dobrze – mówi drżącym głosem. – Otrzymałam wiadomość, że zanim Dedal przeleciał przez atmosferę, statek opuściło cztery lub pięć wahadłowców dyplomatycznych. Mówi się, że prezydent Muñoz została ewakuowana i ze względów bezpieczeństwa zabrana w nieznane miejsce, gdzie pozostanie, aż służby ocenią zagrożenie. Nie wiadomo, kto obecnie podejmuje decyzje z ramienia rządu. Nie otrzymaliśmy wiarygodnej informacji o tym, kto znajdował się na pokładach innych wahadłowców i czy twórca statku, potentat branży technologicznej Roderick LaRoux, jest wśród ocalałych.

Zerkam na Tarvera, ale trudno stwierdzić, czy słucha raportu. Nie odwraca wzroku od okna.

Dziennikarka bierze oddech, po czym kontynuuje. Widać, że próbuje zachować spokój i rzetelnie wykonywać swoją pracę.

– Nasze źródła potwierdzają, że Roderick LaRoux, założyciel i prezes LaRoux Industries, znajdował się na pokładzie Dedala tuż przed katastrofą wraz z córką Lilac LaRoux i przyszłym zięciem majorem Tarverem Merendsenem. Nie wiadomo, czy ocalali z Ikara... – Kobieta urywa i przerażonym wzrokiem wpatruje się w kamerę. – Ich obecne położenie i stan zdrowia pozostają nieznane.

Na ekranie znów pojawiają się ujęcia z powietrza, powoli przesuwająca się panorama destrukcji – pęczniejące chmury dymu przesłaniają większą część sektora, a budynki, których nie zrównała z ziemią fala uderzeniowa, wciąż płoną mimo rojących się wokół dronów gaśniczych. Kiedy dziennikarka znów zaczyna podsumowywać wydarzenia, Gideon jednym ruchem wyłącza dźwięk i chowa twarz w dłoniach.

Jubilee ogląda wiadomości zaczerwienionymi oczami, a jej twarz nosi znamiona takiego samego niepokoju jak twarz dziennikarki – jak gdyby oglądała

wspomnienie, ducha. Ramiona Flynna zaciskają się wokół niej i dziewczyna odchrząkuje.

– Musimy założyć, że ocalała, że jeszcze nie skończyła. – Zerka w stronę Tarvera, ale w ostatniej chwili jej wzrok wędruje gdzie indziej. – Musimy ją powstrzymać.

– Zerwała Dedala z nieba za pomocą jednej myśli. – Gideon unosi głowę, a szok, który odczuwał przez ostatnie godziny, ustępuje miejsca odrętwieniu. – Jak się z czymś takim walczy?

Jubilee spogląda na Flynna.

– Tak samo jak dotąd walczyliśmy z tym, co niemożliwe. Krok po kroku. Wszyscy razem.

Coś na ekranie przyciąga moją uwagę. Podnoszę się na niepewnych nogach, żeby spojrzeć na to z bliska. Flynn robi krok w moją stronę, ale gestem daję mu znać, że nie potrzebuję pomocy. Żałuję, że nie mogę się przedrzeć przez warstwy dymu i mgły spowijające miasto na projekcji. Dostrzegam skrawek zieleni i wiem, co to jest – dziedziniec w kształcie półksiężyca.

– To LaRoux Industries – szepczę, wpatrując się w wideo.

– Co? – Głos Flynna jest ostry.

– Te zdjęcia przedstawiają siedzibę główną LRI, a raczej to, co z niej zostało. Patrzcie, tu znajdował się Wydział Nauk Stosowanych.

Na jego miejscu pozostały gruzy, ale kiedy dym się przerzedza, dostrzegam coś, co wydawałoby się niemożliwe. Wśród fragmentów szczątków statku i budynków przynajmniej jeden gmach wciąż stoi. Uczylałam się planów tego miejsca na pamięć przez rok, żeby je spenetrować, więc poznaję je nawet wśród płomieni. Próbuję zrozumieć to, co widzę.

– Rozbiła Dedala o siedzibę główną LRI.

Na projekcji znów pojawia się dziennikarka, której wystraszone spojrzenie sprawia, że mam ochotę uciec, choć przywykłam do tego, by ze stoickim spokojem przyjmować wiadomości mogące wstrząsnąć całą Galaktyką.

– Podajemy nowe informacje. W miejscu katastrofy nasz dziennikarz zlokalizował grupę ocalałych, w tym prezesa LaRoux Industries Rodericka LaRoux oraz jego córkę Lilac LaRoux. Nie widać natomiast jej narzeczonego. Łączymy się z naszym reporterem.

Materiał wideo ukazuje dwuwymiarowy obraz wyświetlany na ekranie przypominającym ekran palmpada. Ujęcie jest chybotliwe, jak gdyby ktoś filmował scenę z ręcznego urządzenia, prawdopodobnie przypominającego to, którym właśnie posługuje się Gideon. Jest ciemno, a scenę oświetlają jedynie reflektory zasilane przez generator. Jednak mimo przyprawiającego o mdłości kołysania kamery i rojących się wokół tłumów, mimo zakrwawionych ofiar widocznych w tle, wszyscy wpatrujemy się w to, co widać na pierwszym planie.

To *monsieur* LaRoux, cały i zdrowy. Tuż obok stoi Lilac, która trzyma go pod rękę i nachyla się do niego, jak gdyby szukając pocieszenia w jego obecności.

Jej oczy są niebieskie.

Jubilee głośno wciąga powietrze i zbliża się do ekranu, jakby chciała powiększyć obraz.

– Ona... jest sobą? Spójrzcie na jej oczy.

– To nie może być... Staralaby się odszukać Tarvera... – Flynn zawsze potrafił logicznie rozumować. Choć jego głos brzmi pewnie, w oczach czai się niepokój. – Niemożliwe, by stała obok tego człowieka, jeśli nie znajduje się pod czyjąś kontrolą.

Wszyscy zaczynamy mówić naraz, nawet Mori, która próbuje zrozumieć, co się dzieje.

– Zamknijcie się! – Przez naszą dyskusję przedziera się głos Tarvera, który nawet na chwilę nie spuszcza wzroku ze swojej ukochanej. – Posłuchajcie.

Mówi Lilac.

– Nie wiem, co się z nim stało – odpowiada na pytanie operatora kamery. Jedną ręką wygładza fałdy sukienki, którą miała na sobie na Dedalu. Jest równie nieskazitelna, jak wtedy, gdy zobaczyłam ją po raz pierwszy. – Rozdzielono nas. Ale prawdę mówiąc... może to i dobrze.

– Dobrze? – Zza kamery dobiega nas wyraźny głos dziennikarza.

– Major Merendsen... To miły chłopiec i zawsze będę wdzięczna za to, że po katastrofie Ikara uratował mi życie. Ale myślę, że trochę przesadziłam z tym poczuciem wdzięczności. Nigdy nie chciałam za niego wyjść. – Zamyka oczy, jak gdyby wypowiedanie tych słów przychodziło jej z trudem, jak gdyby sprawiały jej one ból. – Mam nadzieję, że jest cały i zdrowy. Cieszę się jednak z tego, że jestem tu z ojcem, i będę próbowała pomóc.

Spoglądam na Tarvera, który ogląda wideo bez śladu emocji, jak gdyby wyznanie Lilac nie miało na niego żadnego wpływu, jak gdyby wykuto go z kamienia.

– To nie ona – odzywa się Jubilee. Tym razem mówi tonem nieznoszącym sprzeciwu. – Nawet jeśli naprawdę tak myśli, a wierzcie mi, że to nieprawda, nigdy nie powiedziałyby tego dziennikarzowi. Ani Tarverowi. Szept nauczył się pod nią podszywać. Udaje, że to prawdziwa Lilac.

LaRoux obejmuje córkę za ramiona i lekko ściska.

– Chciałbym prosić wszystkie delegacje międzyplanetarne, bez względu na to, gdzie się znajdują i kto przeżył, by pomimo tej tragedii zgodziły się na odbycie Szczytu Galaktycznego. Kwestie pokojowe są zbyt ważne, by zawiesić go na kołku. Musimy znaleźć sposób, by ludzie w całej Galaktyce mieli zapewnione bezpieczne, szczęśliwe, pozbawione bólu życie. Przekazałem wszelkie możliwe środki na akcje ratunkowe, ale chciałbym zaprosić ocalałych delegatów, by jutro

odwiedzili mnie w mojej posiadłości. Choć jeszcze nie wiemy, co spowodowało katastrofę Dedala, nie możemy wykluczyć, że to ingerencja terrorystów. W tej sytuacji organizacja szczytu pokojowego to nasz priorytet. Sala, w której Rada Galaktyczna debatowała, została zniszczona, ale duch pokoju musi zostać podtrzymany.

Zaczynam się wahać i choć darzę LaRoux nienawiścią, zastanawiam się, czy nie postępuje szlachetnie. Nawet wiedząc, że to nie rebelianci rozbili Dedala, mam ochotę go słuchać. Chociaż przez ostatni rok uczyłam się namawiać ludzi, by spełniali moje życzenia, to LaRoux jest w tym prawdziwym mistrzem. Na myśl o tym, że mogę mieć cokolwiek wspólnego z tym potworem, ściska mi się serce.

Flynn drży, ale jego głos jest stanowczy.

– Tak nie może być – szepcze. – To niemożliwe, by wszyscy senatorowie zdołali ująć całość z katastrofy Dedala. Do podjęcia uchwał potrzeba głosów oficjalnych delegatów. On coś planuje.

Kamera podskakuje, po czym przechyla się na bok, ukazując gruzy budynków i dziwnie zielony trawnik na dziedzińcu LRI. Po chwili obraz znów się uspokaja. Wszyscy obecni wstrzymują oddech.

To szczelina. Niezwykle powoli przesuwa ją zespół ponad dwudziestu osób, z których tylko kilkoro ma na sobie korporacyjne uniformy. Jest włączona. Rzuca niebieską poświatę na trawę i twarze przesuwających ją ludzi.

– Ach tak. – Kamera powraca do LaRoux, który monitoruje transportowanie szczeliny. Kiedy się odwraca, doskonale widać urządzenie tuż nad jego uchem, które udaje bezprzewodowe urządzenie komunikacyjne. To właśnie ono nie pozwala szepcowi, który opętał Lilac, przejąć nad nim kontroli. – Miałem nadzieję ujawnić tę nowinkę dopiero po rozmowie z delegatami, ale w świetle katastrofy myślę, że potrzebujemy jej teraz, i to bardziej niż kiedykolwiek.

Urywa i zerka na Lilac, która się do niego uśmiecha jak prawdziwie kochająca córka. Wpatruję się badawczo w jej twarz, próbując znaleźć ślad tego, co dzieje się w jej wnętrzu, ślad tego potwornego stworzenia, które widzieliśmy na Dedalu. Ona jednak przesyła tylko uśmiechy do kamery i zachęcająco kiwa do ojca. Ani na chwilę nie puszcza jego ramienia.

– W LaRoux Industries od dziesięcioleci próbowaliśmy znaleźć czyste, odnawialne źródło energii. W końcu nam się to udało.

Kamera drży, po czym obraz się stabilizuje. Po chwili spoza kadru słychać jękający się głos:

– Przepraszam, *monsieur* LaRoux, ale czy chce pan przez to powiedzieć, że...?

LaRoux potakuje, a na jego twarzy malują się powaga i determinacja.

– Przed państwem pierwszy stabilny, bezpieczny generator hiperprzestrzeni w całej Galaktyce. Od dawna wiedzieliśmy o nieprzebranych złożach energii

kryjących się po drugiej stronie materii, pomiędzy wymiarami, oddzielającej nas od hiperprzestrzeni. Jednym z największych wyzwań przy budowie statku było to, w jaki sposób bezpiecznie przedostać się przez hiperprzestrzeń w czasie podróży międzygwiazdnych, tak by energia nie uszkodziła nas ani naszych statków. Po wielu dekadach eksperymentów w końcu udoskonaliśmy ten proces.

Operator nie wie, co powiedzieć – podobnie jak my, zgromadzeni wokół świecącego palmpada. Kiedy podnoszę wzrok, widzę krąg poblądłych twarzy.

– To nie wszystko – mówi Lilac, patrząc na ojca. – Powiedz im, tatusiu. No, dalej, powiedz im.

LaRoux z uśmiechem klepie ją po dłoni.

– To być może nieodpowiednia chwila na tego typu komunikaty, ale zamierzam podzielić się patentem na budowę tego urządzenia ze wszystkimi delegacjami międzyplanetarnymi. Bezpłatnie. Bez żadnych kruczków czy ukrytych zobowiązań. Wierzę, że jeśli podzielę się nim bez opłat, dostępność nieograniczonej energii w Galaktyce zapobiegnie dalszym rebeliom. Wszyscy ludzie, koloniści, obywatele czy rebelianci, otrzymają dostęp do komputerów, szkół i szpitali. Zabiegi terraformacyjne zostaną wznowione w niezwykłym tempie, tak że niebawem nowe planety staną się samowystarczalne i autonomiczne. Jestem pewien, że dzięki edukacji, dostępowi do służby zdrowia i swobodnej wymianie myśli w końcu osiągniemy pokój.

Kamera znów filmuje szczelinę i ludzi LaRoux, którzy ją przesuwają, po czym obraz zamiera. Wzdłuż dolnej krawędzi projekcji pojawia się pasek informujący o ładowaniu obrazu, jednak po chwili ekran robi się szary, co oznacza, że utraciliśmy połączenie. Hipernet znów wysiadł.

Cisza. Słysząc jedynie odległe syreny, a stłumione głosy ludzi Kumiko w sąsiednim pomieszczeniu potwierdzają, że nie ogłuchłam.

Mija wieczność, zanim ktoś się porusza. To Gideon. Nachyla się do przodu, sięgając po palmpada z obrazem zatrzymanym na szczelinie. Palcami robi zbliżenie i choć nie może poprawić jego jakości, wszyscy wiedzą, co zobaczył. Jedna z osób pomagająca przesunąć szczelinę odwraca głowę tak, że widać jej oczy – puste i czarne jak bezgwiezdna noc.

Zaczynam drzeć. Obejmuję się ramionami, jak gdybym sama mogła się jakoś pocieszyć. LaRoux nie mógłby tego lepiej zaplanować. Z pewnością po szczycie zamierzał wysłać szczelinę na inne planety – teraz może przekształcić katastrofę Dedala w kapitał, żeby wyglądało to jak misja miłosierdzia. Nikt nie będzie go winił za katastrofę, jeśli społeczeństwo uwierzy, że LaRoux zapewni czystą, odnawialną energię we wszystkich zakątkach Galaktyki. Jeśli przekonają się, że osobiście usprawnił Galaktykę, będą wygłaszać peany na jego cześć i wspominać tragedię Dedala jako katalizator przyśpieszający nadejście złotej ery.

My jednak wiemy, czym naprawdę jest szczelina. Z ekranu palmpada na

zamazanym obrazie wpatrują się w nas czarne oczy pracownicy LRI.

Nie mógłby tego lepiej zaplanować...

Wypuszczam powietrze tak gwałtownie, że czuję ból gardła. Wszystkie twarze w pomieszczeniu zwracają się w moją stronę.

– Tydzień – udaje mi się wycedzić. Spoglądam na Gideona. – Kiedy pierwszy raz natknęliśmy się na tę szczelinę w LaRoux Industries, słyszeliśmy, że do jej uruchomienia trzeba tygodnia. Wydawało nam się, że chodzi o galę na Dedalu, że zaplanował coś na dzisiejszy wieczór.

Kiedy to mówię, twarz Gideona robi się coraz bledsza. Unosi drżącą dłoń i przesuwa nią po twarzy.

– Nie chodziło o galę. Przez cały czas zamierzał to zrobić w czasie trwania szczytu. Nie mógł zaplanować katastrofy, ale to... Chciał zabrać ze sobą szczelinę na szczyt.

– Jeśli pozbiera ocalałych przywódców planet – kontynuuje Flynn powoli – da im plany budowy urządzenia i przekona ich, że to źródło nieskończonej, czystej energii...

– W ciągu kilku tygodni na wszystkich planetach powstaną szczeliny – kończy Jubilee, kiedy głos Flynn'a cichnie. – I przejmie kontrolę nad każdym człowiekiem w Galaktyce. To technika, którą ćwiczył na Avonie i doskonalił na Koryncie. – Teraz nie wygląda jak żołnierz, który budził powszechny strach. Nie przypomina Chase o kamiennej twarzy, która stała na czele najszybszego, najgroźniejszego oddziału w bazie. Teraz sama wygląda na przerażoną.

Przełykam lęk, który zdaje się mnie dusić.

– Tak właśnie powstrzyma rebelie – wycedzam w końcu.

– Ale dlaczego szept kontrolujący Lilac mu pomaga? – pyta Jubilee, ściągając brwi. – Do tej pory używał tych istot do własnych celów.

Tarver przełyka ślinę i odzywa się zachrypniętym głosem:

– Lilac mówiła, że czuje ostatni szept uwięziony w szczelinie. Że jest wściekły, że lata tortur go wynaturzyły. Jeśli pragnie się zemścić, nie tylko na LaRoux, ale na nas wszystkich... Dostęp do szczelin w całej Galaktyce mu służy, zwiększa jego zasięg. Ludzkość nie będzie miała gdzie się ukryć.

– LaRoux i szept chcą tego samego – mamrocze Flynn. – Pytanie tylko, kto będzie miał decydujący głos, kiedy szczeliny zostaną uruchomione.

Puste, czarne oczy holograficznej kobiety dominują na projekcji z palmpada i wydają się aż przerysowane. „Pokój”, powiedział LaRoux. Jak gdyby pokój był jedynie brakiem konfliktu, czymś, co można narzucić, wmusić każdemu człowiekowi w Galaktyce. Jak gdyby wybór był płomieniem, który można zduśić za pomocą koca.

Szuranie krzesła po cemencie wyrywa nas z obezwładniającego lęku. Tarver wstaje po raz pierwszy od czasu katastrofy.

– Powstrzymamy go – mówi cicho. – Polecimy na szczyt, ujawnimy jego plany i powstrzymamy ich oboje.

Chłopiec, który stracił brata przez zazdrość niebieskookiego mężczyzny, też dorósł. Budzi się do życia bardziej w naszym świecie niż we własnym, szukając połączeń przez ich hipernet. Jego smutek nie różni się za bardzo od smutku córki naszego strażnika, a jednak nie szukają się nawzajem, by podzielić się bólem.

Rzuca się w głąb sieci danych i przepływu informacji, a ona się wycofuje, by prześlizgiwać się po powierzchni świata. On się nie wychyla, ukryty w ciemności i cieniu nie zostawia po sobie ani śladu. Ona rozpromienia świat, widziana przez wszystkich i nieznana przez nikogo.

Oboje są bardzo samotni.

GIDEON

Górne miasto jest niemal całkiem opuszczone, nawet kiedy świt zaczyna się wkradać na uliczki i między budynki. Słońce zdaje się wschodzić wolniej niż zwykle, sącząc się przez koryncki smog i wiszący nad nami dym, nieoczyszczony przez szyby z inteligentnego szkła z apartamentu Sofii. Powoli wylewa się na ulice i sprawia, że ruiny ogromnego centrum handlowego z białego kamienia stają się bladżółte, a kiedy odległe syreny w końcu milkną, można odnieść wrażenie, że budynki zawałyły się wieki temu, a nie zeszłej nocy.

Niektóre sprawiają wrażenie nieuszkodzonych, jednak nawet stąd widać, że konstrukcje innych uległy zniszczeniu. Każdy, kto mógł się ewakuować, już to zrobił. Czuję się tak, jak gdybyśmy znajdowali się na planie filmu katastroficznego. Postapokaliptyczny krajobraz pokryty popiołem przypomina miasto po erupcji wulkanu. Wokół leży zaskakująco niewiele ciał – Jubilee wyjaśnia mi szeptem, że większość znajduje się w budynkach, pogrzebanych pod gruzami. Jest w tej scenerii przerażające piękno, wrażenie oczekiwania, jakby lada chwila zza kartonowej scenografii mieli wyjść ludzie – jak gdybyśmy odwiedzali szkołę w wakacje lub włamali się do parku rozrywki po sezonie.

Z tym że jedyni ludzie, jakich widzimy, już nigdy się nie poruszają albo są skorupami wypełnionymi szeptami – tych dostrzegamy z daleka. Wszyscy kierują się w tę samą stronę – do wraku Dedala i szczeliny.

Posiadłość LaRoux rozciąga się przynajmniej na dziesięć przecznic i choć podwieźli nas żołnierze Kumiko, wciąż musimy pokonać spory dystans. Na szczęście mieli dość zasobów, by nas wyposażyć – w przeciwnym wypadku musielibyśmy się wdrzeć na teren LaRoux Industries w potarganych strojach balowych. Mimo to nie mogę się przyzwyczaić do widoku Sofii w czarnych bojówkach oraz wojskowych butach i kamizelce.

Ogromną kutą żelazną bramę stanowiącą wejście od ulicy postawiono głównie w celach dekoracyjnych – powietrze połyskuje tu znajomym światłem pola bezpieczeństwa. Tarver wbija kilka cyfr, które sprawiają, że pole zaczyna migotać, po czym znika.

– To kod Lilac – szepcze. – Nikomu nie chciało się go zmienić.

Za bramą rozciąga się łąka soczystej zielonej trawy i ogrody obsadzone dziesiątkami bladżółtych róż. Według tabloidów i magazynów wnętrzarskich, które przeprowadzają wywiady z rodziną LaRoux, są to ulubione kwiaty Lilac. Gdy mijamy ławkę stojącą w cieniu wierzby płaczącej, szczeka Tarvera się zaciska. Jest w tej scenerii coś znajomego, coś, co mnie męczy, aż w końcu wszystko układa mi

się w głowie. To ogród, w którym odbyła się zaręczynowa sesja fotograficzna pary.

Teren posiadłości, podobnie jak otaczające go miasto, jest upiornie wyludniony. Gdyby miał się tu odbyć szczyt, choćby nieformalny, powinni tu przebywać... ludzie. Parkingowi, kelnerzy, ochroniarze, pracownicy... Zamiast tego panują tu bezruch i cisza, jak na bajkowym, opuszczonym przed stu laty zamku. Mam wrażenie, że lada chwila zauważę drzemiących wokół kelnerów i kucharzy. Tymczasem oprócz nas nie ma tu nikogo, w trawie i na kamieniach słysząc nasze kroki, jak gdybyśmy byli jedynymi ocalałymi ludźmi na świecie.

My i duch Lilac LaRoux.

Nigdy nie byłem w posiadłości LaRoux na Koryncie. Po szkole Simon i ja odwiedziliśmy ich rezydencję – jeden z wielu letnich domów – na Paradise, żeby się w niej bawić. W każdym razie Simon się bawił. Przez całe popołudnia obserwowałem ich przez balustradę na strychu rozciągającym się nad pokojem zabaw, bo tylko tak blisko mogłem podchodzić, nie ryzykując, że brat mnie przegoni. Pamiętam, jak chichotali nad sprzętem elektronicznym, kiedy Simon pokazywał Lilac, jak przeprogramować roboty sprzątające, by w najbardziej nieoczekiwanych momentach zaczynały grać muzykę lub pożerały frędzle dywanów. Nieszczęśliwy, że nie mogę do nich dołączyć, patrzyłem, jak wraz z kuzynostwem Lilac odpala petardy na kortach tenisowych, a później oglądają filmy w domowym kinie. Simon siedział obok niej na odległość dłoni. Pamiętam, że obserwowałem, jak z tygodnia na tydzień dystans między nimi maleje. Myślałem wówczas – gdy mój brat przez cały czas zerkał na nią kątem oka i zbierał się na odwagę, by otoczyć ją ramieniem – że ja nigdy nie będę tak się bał żadnej dziewczyny.

A teraz wystarczy, że Sofia na mnie spojrzy, by stanęło mi serce.

Tarver zbacza z drogi i prowadzi nas na tyły budynku, w stronę wschodniego skrzydła i wejścia dla służby, bo tam łatwiej nam będzie się włamać. Mimo że wokół panuje pustka, przy drzwiach frontowych z pewnością ustawiono strażników – przynajmniej tych towarzyszących poszczególnym senatorom i ich delegacjom. Kiedy przechodzimy, zaglądam do środka przez okna. Tu stoi fortepian, tam znajduje się pokój do kąpieli słonecznych. Wszystkie pomieszczenia są puste.

Wejście dla służby jest zabezpieczone klawiaturą numeryczną i skanerem dłoni. Choć system radośnie przyjmuje kod, który wbija Tarver, kiedy chłopak przykładą dłoń do skanera, rozlega się głośny dźwięk, a ekran rozświetla się na czerwono.

– Wiedzieli, że przyjdziemy? – szepcze Jubilee i bezwiednie dotyka przypiętej do paska broni.

Tarver próbuje raz jeszcze, ale skutek jest ten sam. Pochmurnieje.

– Trudno stwierdzić. Mogli cofnąć mi dostęp tydzień temu tylko po to, by mnie wkurzyć. LaRoux i ja nie jesteśmy w przyjaznych stosunkach. – Przesuwa

się, przykładła dłoń do oczu i zagląda przez okno.

Sofia patrzy na mnie. Wiem dlaczego i ostrożnie kręcę głową.

– Mógłbym zhakować klawiaturę numeryczną, ale zajęłoby mi to zapewne kilka godzin. Gdybym miał czas to zaplanować, byłoby inaczej, ale... – Krzywię się.

– Może spróbujemy wejść drzwiami frontowymi – mówi Sofia cicho, spoglądając to na mnie, to na pozostałych. – Flynn należy do delegacji z Avonu. Moglibyśmy zostawić tu Tarvera i otworzyć mu od środka, kiedy już uda nam się...

Jej szept zostaje przerwany głośnym, ostrym odgłosem rozbijanego szkła, który sprawia, że podskakuję. Tarver ignoruje naszą grupkę i strząsa odłamki szkła z rękawa kurtki.

– Nawet nie wiecie, ile razy chciałem to zrobić – rzuca i wkłada rękę przez szybę, żeby otworzyć okno.

Uważnie się rozglądając, przechodzimy przez pierwsze piętro. Wygląda na to, że nikt nie słyszał, jak rozbijamy szybę. Przechodzą mnie ciarki – dom pozbawiony życia robi na mnie upiorne wrażenie.

– Znasz to miejsce – mówi Flynn do Tarvera, kiedy przechodzimy przez dużą zaciemnioną kuchnię. – Gdzie mogłoby się odbyć spontaniczne zebranie Rady?

– Pewnie w oficjalnej jadalni – odpowiada Tarver, marszcząc brwi. – Albo w sali balowej. Nigdy nie spędzaliśmy tam zbyt wiele czasu. – Milknie, zwalnia i bierze głęboki wdech. – Zatrzymajmy się na chwilę i posłuchajmy. Jeśli znajdują się w jednym z tych dwóch pomieszczeń, powinniśmy ich usłyszeć.

Wszyscy przystajemy. Nasze kroki na marmurowej podłodze niosą się echem, a po chwili całkiem cichną. Szerokie schody skręcają na lewo, okrążają fontannę w formie kolumny, gdzie jakaś niewidzialna siła wydobywa krople z wpuszczonego w podłogę akwenu i każe im się rozpląnąć gdzieś u góry. Przez kilka sekund słyszę jedynie ciche bulgotanie wody.

Dobiega nas jakiś dźwięk, ale to nie głosy. To niskie mechaniczne buczenie, które zdaje się wibrować mi w żołądku. Podnoszę wzrok i spoglądam na innych. Oni też go słyszą i przez chwilę wpatrujemy się w siebie nawzajem.

Nagle Jubilee wzdycha.

– To wahadłowiec. Rozgrzewa silniki.

Tarver zrywa się, zanim ktokolwiek z nas się orientuje, i zaczyna biec, a my ruszamy za nim. Mimo że jestem w dobrej kondycji – wspinaczka i zjeżdżanie na linie wymagają sprawności – moje płuca nie mogą nadażyć. Jeśli jakimś cudem Lilac jeszcze tu jest, Tarver nie pozwoli jej odejść.

Wybiegamy przez szerokie przeszklone drzwi na zalane słońcem podwórze i zaskoczeni gwałtownie się zatrzymujemy. Jeden wahadłowiec – statek orbitalny

dowożący pasażerów do portu kosmicznego nad Koryntem – już się unosi, a silniki pionowego startu powoli się obracają, kiedy pojazd ustawia się pod kątem w stronę nieba. Tarver zdążył wyciągnąć broń i przez chwilę się waha – jego dłoń unosi się w kierunku statku, po czym opada.

– Nie spodziewałem się was tak szybko. – Głos należy do Rodericka LaRoux.

Teraz ręce Tarvera nie drżą, kiedy chłopak obraca się i celuje w ojca Lilac.

– Gdzie ona jest? – rzuca, robiąc parę kroków naprzód.

Zatrzymuje się, kiedy kilka osób na podwórzu odwraca się w jego stronę, a na ich twarzach pojawia się subtelna, ale zauważalna wrogość. To nie strażnicy – większość z nich jest na to zbyt wątła, za dobrze ubrana lub za stara. Dopiero kiedy przyglądam się ich twarzom i dostrzegam w nich coś dziwnie znajomego, uświadamiam sobie, że to senatorowie z Rady Galaktycznej. Widziałem ich w wiadomościach w holowidzie.

Wszyscy mają czarne oczy i puste twarze skorup opętanych przez szepty.

– Nie chcesz zapewne zastrzelić kilkunastu oficjeli, by mnie dorwać – mówi LaRoux i choć zgrywa spokojnego, a nawet rozbawionego, widzę, że coś tu nie gra. Jego garnitur, zazwyczaj nieskazitelny, ma postrzępione rękawy i plamki kurzu oraz popiołu. Siwe włosy są zmierzwiłone na skroniach. Mężczyzna przenosi wzrok na Sofię i rozbawienie w jego oczach się rozmywa. – Znowu ty. To ty próbowałaś skrzywdzić moją córkę.

Choć na twarzy Sofii maluje się czysta nienawiść, dziewczyna przemawia spokojnym głosem:

– Nie. Próbowałam skrzywdzić pana.

– Co za krótkowzroczność – odpowiada LaRoux i gdyby nie otoczenie, w jakim się znaleźliśmy, czarnoocy senatorowie i ich pracownicy, broń wycelowana w LaRoux i śmigła wahadłowców budzące się do życia za jego plecami, można by pomyśleć, że mężczyzna beszta uczennicę. – Zabijając mnie, osiągnęlibyście tylko jedno: uznano by was za morderców. Nawet gdybyście zamordowali wszystkie obecne tu osoby, wystarczająca liczba dobrych senatorów jest już w drodze na własne planety.

– Dlaczego to robisz? – Chcę wiedzieć. Ile razy mówiłem Sofii, że zabicie jednej osoby nic nie da? Teraz mam wrażenie, że nie byłby to taki zły pomysł. – Zyskałeś większą władzę niż ktokolwiek na świecie. Czego jeszcze możesz chcieć?

– Chcę pokoju! – odpowiada LaRoux szybko i ostro.

Kilkoro senatorów odwraca się jednocześnie, jak gdyby wydano im niesłyszalną komendę, i zaczynają wchodzić do drugiego statku orbitalnego. Trzeci, mniejszy transportowiec na razie nie szykuje się do lotu – LaRoux nie zamierza opuścić Koryntu. Jeszcze nie teraz.

– Chcę pokoju – powtarza, odzyskując kontrolę nad głosem, który podnosi,

by nie zagłuszał go warkot silników. – Wy, dzieci, nie wiecie, czym jest strata. Nie wiecie, co to tragedia wojny, niewinni ludzie padający ofiarami bezsensownej przemocy.

– My tego nie wiemy? – Jubilee wybucha ostrym śmiechem. – Nie ma wśród nas nikogo, kto nie straciłby bliskiego w ramach bezsensownej przemocy, LaRoux. Uważasz, że należy osiągnąć określony wiek, by poznać, czym jest ból? – Dziewczyna nie opuszcza broni, kiedy robi kilka kroków naprzód i w bok.

Teraz zarówno Tarver, jak i ona trzymają go na muszce. LaRoux zdaje się tego nie zauważać.

– Ich bracia. – Jubilee wskazuje głową na Tarvera, a następnie na mnie. – Jego siostra.

Stojący nieopodal niej Flynn wypuszcza powietrze i prostuje plecy. Jubilee ciężko wzdycha.

– Moi rodzice.

– Mój ojciec – szepcze Sofia, a ja mam ochotę ją przytulić.

– I moja żona – odpowiada LaRoux zimno. – Matka Lilac.

Tarver kręci głową.

– Jej matka zginęła w katastrofie wahadłowca na Paradise, kiedy Lilac miała siedem lat. Powiedziała mi o tym.

LaRoux wsuwa ręce do kieszeni, zapiera się nogami i na chwilę opuszcza głowę.

– Owszem, zginęła w wahadłowcu. Ale nie na Paradise. I nie był to wypadek. – Mężczyzna podnosi wzrok, a linia jego ust wyraża taki sam ból, jaki odczuwamy i my. – Odwiedzałem stację badawczą na planecie należącej do LRI. Przyleciała ze mną. Buntownicy wszczęli zamieszki i protestowali z sobie tylko wiadomych powodów. Moi ludzie wsadzili ją do wahadłowca i odesłali do portu kosmicznego, by zapewnić jej bezpieczeństwo. Na pokładzie doszło do sabotażu.

Jubilee poprawia chwyt na broni.

– Na jakiej planecie?

– Co to ma za znaczenie?

– Na jakiej planecie? – dziewczyna powtarza dobitnie pytanie.

– Na Weronie.

Jubilee przeklina zduszonym głosem i na ułamek sekundy opuszcza broń, jednak zaraz przypomina sobie to, czego uczono ją na szkoleniu. Uspokaja się, odrzuca od siebie szok i dezorientację.

– Nie powiedział pan o tym Lilac? – Tarver nie waha się nawet przez chwilę.

– A dlaczego miałbym to zrobić? – LaRoux przenosi na niego wzrok. – Dlaczego miałbym ją w ten sposób krzywdzić, dać powód, by kogoś znenawidziła. Lilac jest dobra, hojna i niewinna. Prawda zadałaby jej ból. Z wypadkiem łatwiej się pogodzić. Dlaczego miałbym jej powiedzieć, że jej matkę zamordowali ci sami

ludzie, którym próbowałem pomóc?

– Pomóc? – cedzi Jubilee.

Teraz to Flynn musi się włączyć, bo gniew jego partnerki jest zbyt silny, by mogła mówić dalej. Bierze jeden z tych powolnych, ostrożnych oddechów, które rozpoznaję z Transmisji z Avonu, i odzywa się:

– Pańska „pomoc” doprowadziła do śmierci niezliczonych ofiar na Avonie. Pańskie eksperymenty, furia, nawrót rebelii, których mogliśmy zaprzestać w zamian za choćby okruczeństwa...

– Avon. – Wargi LaRoux lekko się wyginają. – Avon to nic. Kilka tysięcy ludzi. Owszem, zbudowałem szczelinę na Avonie, przenieśliśmy tam jednostki z Werony. Nie chcesz mi chyba powiedzieć, że lepiej byłoby zostawić je tam, gdzie mogły zginąć miliony, a nie setki.

– Dlaczego ktokolwiek musiał zginąć? – wyrzuca z siebie Sofia. Ma zaczerwienione oczy, a jej twarz robi się purpurowa.

– Aby ocalić miliardy – odpowiada LaRoux. – Odkryłem te stworzenia, dowiedziałem się, co potrafią, chciałem je ujarzmić. Czasem kilkoro musi upaść, żeby reszta mogła odnieść sukces. To ogromne poświęcenie. Większość ludzi nie potrafiłaby dokonać tego wyboru. Większość ludzi nie ma wizji. Większość nie jest dość silna, by porównać ze sobą wartość poszczególnych istnień. Ale wyobraźcie sobie złotą erę, okres absolutnego pokoju... Wyobraźcie sobie, że nie ma morderstw, sabotażu, bólu. Rozpacz. Wyobraźcie sobie... że już nigdy nie straciecie tego, kogo kochacie. – Pierwszy raz głos LaRoux się łamie.

– To nie pan powinien decydować o tym, co warto poświęcić, kto powinien umrzeć – mówi Tarver. – Może próbował pan zatrzymać przy sobie Lilac, okłamując ją w sprawie śmierci matki, ale stracił ją pan, kiedy kazał pan zamordować Simona Marchanta.

Oczy LaRoux zwracają się ku mnie i uświadamiam sobie, że jego nonszalanckie zachowanie na Dedalu było częściowo wymuszone. W jego spojrzeniu czai się poczucie winy. Doskonale wie, kim jestem.

– Ja... To, co się stało z Simonem Marchantem, było błędem. Zamierzałem go odesłać. Nie spodziewałem się... Jego śmierć to nieprzewidziany efekt uboczny.

Efekt uboczny. Te słowa wżerają mi się w mózg i nie pozostawiają miejsca na nic innego. Nie mogę się ruszać ani mówić, a choć wydawało mi się, że poradziłem sobie ze złością i z rozpaczą, wzbierają nową falą. Dopiero kiedy czuję na dłoni dotyk, uświadamiam sobie, że zamknąłem oczy. Jeszcze nie podniosłem powiek, ale wiem, że to Sofia muska moją dłoń, prostuje moje zaciśnięte w pięść palce i splata je ze swoimi.

– Wystarczy. – Głos Tarvera jest cichy i gdyby nie jego lodowaty ton, byłby niemal łagodny. – Gdzie Lilac?

– Jest bezpieczna. – LaRoux spogląda w oczy chłopakowi, który miał zostać

jego zięciem. W świetle poranka przeszywający błękit jego oczu jest jeszcze bardziej intensywny, a spojrzenie, które kieruje na Tarvera, ma w sobie jakąś gwałtowność. – Szczęśliwa. Jeśli naprawdę ją kochasz, powinno ci to wystarczyć.

Przez chwilę wszyscy milczą, wstrząśnięci. Wpatruję się w LaRoux, szukając na jego twarzy oznak urojenia. Jeśli wierzy, że przemiana, jaka zaszła w jego córce, jej nagła gotowość, by brać udział w jego planie, wynika z czegoś innego niż z działań kontrolującego ją szeptu... Zwariował.

– Szczęśliwa? – Tarver pozostaje zimny, spokojny. Bezwzględny. – Jest jednym z nich. Stworzeniem w szczelinie, które stało obok pana, uśmiechało się i nazywało pana tatusiem. Mówił pan, że nie chciał, by Lilac wiedziała, co to nienawiść, ale to właśnie nią się stała. To coś, co w niej siedzi, jest czystą nienawiścią. A najbardziej na świecie nienawidzi właśnie pana.

LaRoux spogląda na Tarvera szeroko rozwartymi oczami, po czym ściąga brwi. Robi krok w stronę stojącego za nim statku transportowego. Kilka pozostałych skorup zacieśnia krąg wokół niego. Są gotowe go osłonić, gdyby Tarver postanowił pociągnąć za spust.

– Mylisz się – warczy LaRoux, obnażając zęby w grymasie, który kiedyś można by wziąć za uśmiech. – Nie możesz znieść tego, że wybrała mnie. Jest pierwsza. Cała Galaktyka nauczy się kochać mnie tak, jak ona kocha mnie teraz, ponownie, tak jak powinna.

Tarver lekko kręci głową.

– Tragiczne jest to, że pana kochała. Naprawdę pana kochała. Mimo tego wszystkiego, co jej pan zrobił, kochała pana. Osłoniła pana przed strzałem. Być może to jedyna, ostatnia osoba w pańskim życiu, której naprawdę na panu zależało. – Urywa, żeby złapać oddech, po czym powoli opuszcza broń wzdłuż tułowia. – A pan zaprzedał jej duszę, by jeszcze przez chwilę pobawić się w dom.

LaRoux rozchyła wargi, jakby chciał wciągnąć haust powietrza.

– Nie – odpowiada, sapiąc. – Nie. Mylisz się. Mylisz. Ona mnie kocha. Wie, że to, co robię, jest dobre i sprawiedliwe. To moja dziewczynka. Moja.

Skorupy otaczają go, a on walczy i dopiero wtedy widzimy, że to nie on je kontroluje. Ciągną go w stronę wahadłowca, a ich szarpanina sprawia, że urządzenie, które miał za uchem, spada na chodnik u ich stóp. LaRoux zdaje się tego nawet nie zauważać. Jego rozszerzone źrenice do samego końca wbijają się w Tarvera, aż skorupy go zasłaniają i wnoszą do pojazdu, a drzwi zamykają się za nimi z sykiem.

Silnik się uruchamia, a transportowiec LaRoux wraz z innym statkiem orbitalnym odrywają się od ziemi. Znajdująca się dotąd pod wpływem paraliżujących uczuć gniewu i strachu Jubilee otrząsa się, rzuca naprzód i unosi broń, ale Tarver chwyta ją za ramię i kieruje lufę w dół.

– Musimy go powstrzymać – sapie Jubilee z wściekłością, wrywając ramię

dawnemu dowódcy.

– Zrobimy to. – Głos Tarvera oddaje jego napięcie i drży, gdy chłopak patrzy, jak statki unoszą się coraz wyżej i ustawiają się w powietrzu, by odlecieć. – Ale ona ma rację. Jego śmierć nic by nam nie dała. Zbyt wielu senatorów powraca właśnie na swoje planety z projektami budowy szczeliny.

W milczeniu odsuwam się od Sofii i podchodzę do miejsca, gdzie stał LaRoux, by podnieść z ziemi urządzenie chroniące go przed wpływem szeptu. I tak mu nie pomogło. Szept nie musiał się wdzierać do jego umysłu, by złamać go niczym gałązkę. Jeśli jednak chodzi o nas... Gdyby udało mi się odtworzyć tę technologię, może mielibyśmy szansę walczyć z szeptem.

– Nie możemy stać z założonymi rękami – wcina się Sofia. Jej twarz jest mokra od łez, ale bije z niej tyle emocji, że nie wiem, czy te łzy to wynik wściekłości, rozpacz, smutku, czy może wszystkiego naraz.

– Wiem. – Tarver obserwuje, jak statki nabierają prędkości.

Jeden z nich ustawia się pod kątem w kierunku górnej atmosfery, a drugi leci nad miastem. Były żołnierz wsuwa broń do kabury i widzę, że do tej pory zaciskał na niej dłoń tak mocno, że zbieleły mu kostki, i teraz musi odrywać od niej palce jeden po drugim.

– Nie możemy ich powstrzymać. Musimy się udać prosto do niej... Do Lilac. Wiem, gdzie ją znaleźć.

– Gdzie?

– Tam, gdzie kierują się skorupy. Gdzie to wszystko się zaczęło. – Powoli wypuszcza oddech. – Na Dedalu.

Zielonooki chłopiec ucieka, chowa się przed tymi, którzy zabraliby go z szarej planety i zmusili, by mieszkał z innymi dziećmi wojny. Kiedy lata temu zabito jego siostrę, nabrał pewności, której mu zazdrościmy, a gdy żołnierze otaczają go na skraju miasta, zbieramy siły i docieramy do niego poprzez ciemność.

Nasze nikłe światło połyskuje wśród trzciny, a żołnierze rozchodzą się, by je zbadać, dzięki czemu zielonooki chłopiec może uciekać w innym kierunku. Odwraca się i staje twarzą w twarz z dziewczyną z dołeczkami w policzkach, która właśnie wyszła z domu.

Kiedyś byli przyjaciółmi, dawno temu, zanim rozdzieliła ich rebelia. Teraz wpatrują się w siebie nawzajem w milczeniu, aż odległe szczekanie psa płoszy zielonookiego chłopca, który zaczyna uciekać w głąb nocy.

Kiedy później żołnierze zapytają dziewczynę o to, co widziała, będzie się w nich wpatrywać szeroko otwartymi szarymi oczami i odpowie: „Nic”.

SOFIA

Tarver zaczyna biec, zanim któremukolwiek z nas udaje się odzyskać równowagę. Kiedy wpadamy za nim do willi LaRoux, jest już w kuchni i wyrzuca na blat prowiant: chleb, masło orzechowe, ser i owoce.

Niepewnie spoglądam na pozostałych. O ile LaRoux naprawdę jest wariatem, który wykrzykiwał chaotyczne zdania, kiedy te stworzenia ciągnęły go do wahadłowca, Tarver... jest na dobrej drodze do szaleństwa. Jego zwichnięte ramię przytrzymuje gruba taśma klejąca, a ból uśmierzają tabletki, w ogóle nie spał, a z upływem czasu staje się coraz mniej emocjonalny. Powinien się załamać... Wygląda na to, że bezpowrotnie stracił ukochaną, pod którą podszywa się potwór zamierzający zniszczyć ludzkość. On jednak spokojnie szuka prowiantu w spiżarni.

W końcu Jubilee się reflektuje i robi ostrożny krok w stronę swojego dawnego dowódcy.

– Szefie – mówi łagodnie. – Musimy zrobić przerwę.

– Radzę sobie.

– Ale ja nie. – Jej głos jest napięty i cienki. Brzmi tak, jak ja się czuję... Jak gdyby była na krawędzi. – Podobnie jak wszyscy inni.

– Potrzebuję czasu, żeby się temu przyjrzeć – wcina się Gideon. Trzyma w dłoni słuchawkę, która wypadła LaRoux z ucha. – Bez ochrony, jaką daje to urządzenie, równie dobrze możemy się poddać.

Tarver ignoruje Gideona i wskazuje na jedzenie.

– Jedzcie – mówi, przekrzywiając głowę. – Nie mamy czasu na sen, ale przynajmniej coś zjedzcie. To nam doda sił.

– Wiem, nauczyłam się tego od ciebie. – Jubilee urywa i obserwuje Tarvera. Zaciska zęby, nachyla się do przodu i z całej siły go popycha, tak że Tarver wpada na lodówkę. – Szefie. Opanuj się! Musisz odetchnąć.

– Nie mogę! – odpowiada łamiącym się głosem, a pozory spokoju opadają z niego na krótką, decydującą chwilę, w której dostrzegam kryjące się pod nimi cierpienie. – Nie mogę, Lee. Jeśli przestanę, jeśli będę się zastanawiał, to... To Lilac. Nie mogę myśleć. Nie mogę przestać. Nie mogę jej stracić. Nie wiesz, co... – Chłopak drży, odpycha Jubilee i stawia niepewny krok. – Musimy ruszać. – Odzyskuje równowagę i idzie korytarzem do wyjścia.

Jubilee ma rację. Nie możemy się wdrzeć na wrak Dedala, nie wiedząc, co w nim zastaniemy. Niewykluczone, że będzie się tam roić od skorup, a nawet jeśli nie, to, co kryje się w ciele Lilac, może nas zabić bez najmniejszego wysiłku.

Pozwoliła nam żyć, by patrzeć, jak cierpimy, ale jeśli staniemy się dla niej realnym zagrożeniem... Rozpoznaję jednak jego panikę, znam tę desperacką koncentrację. Logiczne argumenty do niego nie trafią. Jeśli je do siebie dopuści, załamie się.

Przywołuję lekceważący ton, bo wiem, że będzie mi potrzebny.

– Naprawdę tak bardzo pragniesz zabić miłość swojego życia?

Tarver gwałtownie przerywa wykonywane czynności. Zauważam spojrzenie, które rzuca mi Jubilee. Jej brwi unoszą się, a oczy wyrażają pewność, że mnie pogięło. Kiedy Tarver się odwraca, siła jego spojrzenia sprawia, że cofam się o krok.

– Słucham?

– Taki masz plan, prawda? Wiemy, że nie dasz rady przemówić jej do rozsądku, bo na Dedalu próbowałeś i poniosłeś porażkę. LaRoux z pewnością ci nie pomoże. Kompletnie ześwirował. A jeśli Gideon nie zdoła powielić tego urządzenia, nie powstrzymamy szeptu, a ten nami zawładnie. Nie mamy innych pomysłów, żadnego asa w rękawie. Jestem zaskoczona, że tak bardzo chcesz się tam dostać i ją zabić.

Przez chwilę prawa ręka Tarvera drga u jego boku. Dorastałam na Avonie w otoczeniu żołnierzy, którymi kierował taki sam instynkt, to samo przekonanie, że są tylko dwie drogi: walka albo ucieczka. Wiem, że odbezpieczył broń – widziałam, jak to robi. Jednak choć wali mi serce, nie jego się boję. Może i jest zamroczony rozpaczą i paniką, a ja znam go zaledwie jeden dzień, ale uświadomienie sobie, kim jest ten mężczyzna, zajęło mi około dziesięciu minut. Nie skrzywdzi mnie bez względu na to, jak bardzo potrzebuje kozła ofiarnego.

Mimo to wstrzymuję oddech.

Tarver rozluźnia ciało, odwraca się i cofa niepewnie, aż w końcu uderza chorym ramieniem o ścianę i stęka z bólu. Zsuwa się po ścianie na podłogę, siada na marmurowej posadzce, opiera łokcie na kolanach i niemal wciska pięści do oczu.

Jubilee spogląda to na mnie, to na Tarvera, jednak tym razem jej spojrzenie wyraża coś zupełnie innego. Kiwa głową i choć robi to prawie niezauważalnie, moje płuca znów mogą zacząć pracować. Ona i Flynn ruszają w stronę holu i siadają obok Tarvera na podłodze. Drżącymi palcami przeczesuję włosy i walczę z pokusą, by odwrócić się i spojrzeć na Gideona. Czuję, że mnie obserwuje. Kiedy LaRoux przemawiał, ujęłam dłoń chłopaka. Nie mogłam patrzeć na to, jak zalewa go fala gniewu. Teraz jednak między nami znów powstał mur.

Gdyby to wszystko się nie działo, gdyby był tylko hakerem, a ja zwyczajną oszustką... Czy sytuacja ułożyłaby się inaczej? Czy potrafilibyśmy sobie zaufać?

Mija mnie, bierze część jedzenia, które zgromadził Tarver, i rusza w stronę pozostałych. Idę w jego ślady i opadam na podłogę. Spodziewam się poczuć chłód marmuru, ale odkrywam, że podłogi są podgrzewane. To luksus, o którego

istnieniu nie wiedziałam. Przez jedną szaloną chwilę mam ochotę przyłożyć twarz do ciepłego kamienia i zasnąć. Gideon wyciąga z torby narzędzia, małe śrubokręty i kombinerki, i przystępuje do rozmontowywania słuchawki.

– Zniszczymy szczelinę. – Tarver ignoruje niezbyt subtelne próby Jubilee, by wepchnąć mu w dłoń batonik musli.

Flynn głośno myśli:

– W swoim obwieszczeniu mówił prawdę. Mechanizm szczeliny łączy nasz świat ze światem szeptów. Mieszkają w hiperprzestrzeni. Jeśli zniszczymy to połączenie, zniszczymy szept.

Tarver kiwa głową.

– To zadziałało za pierwszy raz, na Avonie.

– Na Dedalu mogła nas zniszczyć lub przejąć nad nami kontrolę. – Nawet ja słyszę zmęczenie w swoim głosie. – Dlaczego tego nie zrobiła?

Tarver odpycha dłoń Jubilee i zmienia się na twarzy.

– Ona... To... chciało, żebyśmy cierpieli. Żebym ja cierpiał. Martwi nie możemy cierpieć, podobnie jak pozbawieni rozumu.

Jubilee się poddaje, rzuca batonik na ziemię i opiera się o ścianę.

– Nawet gdyby udało nam się dostać do szczeliny, zanim ona nas unicestwi, a to spore ryzyko, nie jestem pewna, czy tym razem zniszczenie urządzenia się powiedzie. Widziałam to i owo, wiem, jak zachowuje się człowiek pod wpływem szeptu. – Dziewczyna spogląda na Flynnę, a jej głos jest cichy. – Lilac jest... inna. Pozostali, skorupy, ludzie, którzy znajdują się we władaniu szeptu, są jak marionetki, puste łupiny, którym każe się tańczyć.

– Ale Lilac... Ona jest prawdziwa. To tak, jakby naprawdę stała się tym stworzeniem. – Flynn kiwa głową. – Rozbiła Dedala, rzuciła Tarverem jak szmacianą lalką... To nie jest normalne.

– A czy cokolwiek z tego jest normalne? – W głosie Gideona słychać oschłość.

– Masz rację.

Moje myśli są ospałe. Pamiętam coś, co wydaje mi się kluczowe, ale... nie potrafię tego namierzyć. Odchrząkuję.

– Dlaczego Lilac?

Tarver podnosi głowę.

– Co?

Zerkam na niego. Chyba wybaczył mi to, że oskarżyłam go o chęć zabicia Lilac. Przygryzam wargę i próbuję uporządkować myśli.

– Dlaczego ona? Przecież szept nienawidzi LaRoux, prawda? Dlaczego nie opętał jego? To on ma władzę, wpływy, to on może sprawić, by senatorowie i ich pracownicy skonstruowali szczeliny w całej Galaktyce. A właśnie szczelin potrzebuje, jeśli zamierza ukarać całą ludzkość, nie tylko nas. Dlaczego wybrał

Lilac, dlaczego to jej pokazał kulisy?

– Żeby... patrzeć, jak jej ojciec cierpi? – Gideon też jest zamyślony. Na krótką chwilę podnosi wzrok znad słuchawki, żeby spojrzeć mi w oczy. – Chce mu odebrać to, co LaRoux kocha najbardziej?

– Tylko że ona udaje prawdziwą Lilac. Przynajmniej LaRoux wierzy, że to ona. – Pocieram skronie. Nie jestem pewna, jaki jest dzień. Czy naprawdę nie minęła jeszcze doba, odkąd tańczyłam z Gideonem na sali balowej Dedala? – Musi być coś, co czyni Lilac wyjątkową. Musi istnieć powód, dla którego szept po odzyskaniu wolności nie opętał LaRoux ani żadnego z naukowców. Z jakiegoś powodu wybrał ją, potrzebuje jej.

Nikt nie zna odpowiedzi na to pytanie, a przedłużającą się ciszę przerywa tylko ciche szeleszczenie opakowań, kiedy próbujemy przełknąć pożywienie, wetknąwszy je sobie do gardeł wyschniętych od strachu i zmęczenia.

– Straciliśmy moją manierkę – przerywa milczenie Tarver. Jego głos jest zachrypnięty.

Wszystkie głowy zwracają się w jego kierunku, on jednak nie podnosi wzroku.

– Na Elizjum, gdzie ja i Lilac byliśmy uwięzieni. Tak nazwali planetę naukowcy, którzy zginęli. Wiedzieliście o tym? To starożytna nazwa miejsca, do którego idzie się po śmierci, do którego trafiali herosi. Po tym, co spotkało tam badaczy, uznali, że jest odpowiednia. Straciliśmy moją manierkę w rumowisku głazów. Potrzebowaliśmy jej do filtrowania i przechowywania wody. Następnego dnia na naszej ścieżce znalazłem jej kopię.

– Nie wspomniałeś o tym w swoim sprawozdaniu – zauważa Gideon.

Kiedy Tarver spogląda na niego surowym wzorkiem, chłopak aż się wzdryga. Zapomniał, że nie powinien był widzieć tych dokumentów.

Tarver tylko kręci głową i znów ją pochyla.

– Szepty stworzyły nową manierkę z niczego. A potem... – Jego głos się załamuje, a kiedy wsuwa ręce we włosy, próbując się opanować, widzę jego zbiegające kłykie. – Lilac zginęła.

Wokoło zapada cisza, a nasze spojrzenia koncentrują się na Tarverze.

– Jeśli zginęła, to kto... co... – szepcze Jubilee.

– Zwrócili mi ją kilka dni po tym, jak ją pochowałem – odpowiada bezbarwnym tonem. – Nie wiem jak. Nie chcę tego wiedzieć. Ale to była ona, moja Lilac. Jej myśli, głos, wspomnienia. Jej serce.

– To niemożliwe. – Na twarzy Jubilee malują się napięcie i dezorientacja.

Poznała Lilac dopiero po katastrofie Ikara i wiem, co myśli. Mnie samej także przechodzi to przez głowę. Czy ktorekolwiek z nas zna prawdziwą Lilac? Poza... Znów spoglądam na Gideona. Znał ją w dzieciństwie. Nie zauważył, by było w niej coś innego.

Tarver spogląda na Jubilee. W jego spojrzeniu także kryje się niepokój.

– Od tamtego czasu coś ją z nimi łączyło. Wyczuwała je. Kiedy szczelina na Avonie została zniszczona, czuła ten ostatni szept uwięziony samotnie w ostatniej szczelinie, mówiła, że próbuje się wdrzeć do jej umysłu. I choć szepty, które poznaliśmy na Elizjum, były nastawione pokojowo, po wydarzeniach na Avonie odkryliśmy, że z winy jej ojca inne szepty były wynaturzone, wściekle. Niebezpieczne.

Jubilee wciąż wpatruje się w Tarvera, a w jej wzroku czai się coś na podobieństwo oskarżenia.

– Mówiłeś, że szept na nią wpływa, że musimy zniszczyć szczelinę, którą mieliśmy nadzieję znaleźć na Dedalu. Dlaczego nie powiedziałeś całej prawdy?

– Bo nikt nie może się o tym dowiedzieć – wyrzuca z siebie Tarver. – Zaczęliby przeprowadzać na niej eksperymenty, badania. Przetrzymano by ją w jakimś ośrodku, z dala ode mnie, z dala od wszystkiego, co może przypominać prawdziwe życie. – Zamyka oczy. – Ale wygląda na to, że już po wszystkim.

– Więc... – W mojej głowie panuje chaos. Próbuję wydobyć z tego wszystkiego sens. – Jeśli Lilac nie jest człowiekiem, przynajmniej nie prawdziwym...

– Jest człowiekiem – przerywa mi Tarver. – Jest prawdziwa, żyje, jest człowiekiem. To Lilac. Ona tylko...

– Jest nieco inna – kończę za niego, starając się brzmieć pojednawczo. – Nie chodziło mi o to, że nie jest prawdziwa. Ale jeśli nie... Jeśli jej ciało stworzyły szepty, jeśli do jego powstania doprowadziła energia znajdująca się po ich stronie szczeliny...

– To szept potrzebował właśnie jej. – Gideon dochodzi do tego samego wniosku co ja. – Jeśli składa się z takiej samej energii jak oni, nic dziwnego, że szept do tego stopnia nią zawładnął. To tak, jakby naciągnął rękawiczkę szytą na miarę.

Jubilee się krzywi.

– W takim razie taktyki zaczerpnięte z Avonu i Elizjum się tu nie sprawdzą. Nie mamy pojęcia, z czym musimy się zmierzyć.

– Trzeba się dowiedzieć czegoś więcej o szczelinie. – Flynn zgniata w dłoni opakowanie po batoniku i rzuca je na bok. – Gideonie?

Gideon kręci głową.

– LRI nie przechowuje tajnych ani prywatnych dokumentów na serwerach podłączonych do hipernetu. Żadna firma by tego nie zrobiła. To jak otwarcie drzwi przed hakerem i zaproszenie go do środka. Musiałbym się dostać do siedziby głównej LRI, a...

– A zostało z niej rumowisko kamieni, gdzie roi się od owładniętych szeptami skorup – mamrocze Flynn z wrogością.

Odzyskuję głos.

– Ja... Chyba znam kogoś, kto mógłby nam pomóc.

– Mów dalej – rzuca Gideon, zdejmując kolejny przewód i odkładając go na stosik części, z których zamierza złożyć urządzenia mające nas chronić przed wpływem szeptu.

Nie może zrobić sześciu słuchawek, więc tworzy prowizoryczny mechanizm, dzięki któremu palmpady będą emitowały takie samo pole jak urządzenie LaRoux. Na razie oba są w częściach, a z ich obudowy wysypują się wnętrzości.

– To informatorka, którą poznałam w LaRoux Industries i która była skłonna przekazać mi pewne dane. To ona powiedziała mi, że technologia użyta do stworzenia szczeliny to ta sama technologia, która napędza nowe silniki hiperprzestrzenne. Dlatego wydawało się nam, że LaRoux umieścił szczelinę na Dedalu. Kilka tygodni temu miałam się spotkać z tą kobietą w siedzibie głównej LRI, ale... To długa historia. Tego dnia poznałam Gideona i dowiedzieliśmy się o szczelinie w LRI. Rozpętały się zamieszki, a moja informatorka zniknęła.

– Ufasz jej? – Głos Gideona jest łagodny, a jego wzrok wyraża pewność.

Odwracam się do niego i dostrzegam gorycz. Zaufanie. Prosta rzecz. A jednocześnie niemożliwa.

Przełykam ślinę.

– Nie wiem. Nie wiem nawet, czy jeszcze żyje. Mogli ją złapać, kiedy mnie ścigali. Ale jeśli wciąż żyje... Jeśli wtedy zamierzała mi pomóc, może i teraz zechce. Jest naszą największą szansą na to, by dowiedzieć się, jak zniszczyć szczelinę i uwolnić Lilac. Żeby ją namierzyć, będę potrzebowała twojej pomocy. Adres, który mi podała, jest już nieaktualny. Zatarła po sobie ślady, kiedy... kiedy po mnie przyszedłeś.

– Jak się nazywa?

– Rao. – Przyciskam dłonie do podłogi, a Gideon zaczyna działać.

Odkłada słuchawkę, żeby wyciągnąć palmpada i przeszukać całą sieć w nadziei, że trafi na to nazwisko. Wyjaśniam dalej:

– Nazywa się doktor Rao i jest jedną z bada...

– Rao. – Głos, który mi przerywa, jest cichy, ale na jego dźwięk natychmiast milknę. Tarver nie odezwał się słowem, odkąd opowiedział nam o śmierci Lilac i szeptach, które przywróciły ją do życia. Unosi głowę i wpatruje się we mnie zaczerwienionymi oczami. – Powiedziałaś „Rao”?

– Tak. Doktor Rao.

– Doktor Sanjana Rao?

Ściska mnie w żołądku.

– Co...? Skąd znasz to nazwisko?

Tarver przymyka oczy i przez chwilę wydaje się niemal spokojny, pogodzony z sytuacją. Po chwili wybucha ostrym śmiechem i znów otwiera oczy.

– Macie krótką pamięć. Wydarzenia na Patronie rozegrały się zaledwie trzy lata temu.

Jubilee gwałtownie wciąga powietrze.

– Wiedziałam, że już kiedyś słyszałam to nazwisko. To jedna z badaczek z Patrona. Należała do grupy naukowców VeriCorp, którym pomogłeś uciec przed rabusiami. To dlatego otrzymałeś medal i trafiłeś na Ikara w ramach podróży promocyjnej.

Tarver kiwa głową i pochyla się, żeby oprzeć łokcie na kolanach. Wydaje się zmęczony, starszy, brak mu nonszalancji i chłopięcej urody, którymi zaskarbił sobie sympatię mediów.

– Tylko że ona nie pracowała dla VeriCorp i to nie rabusie ich zaatakowali. To wszystko była tylko przykrywka.

– Pracowała dla LaRoux Industries – dopowiadam cicho.

Tarver spogląda na mnie przez ułamek sekundy, po czym odwraca wzrok.

– Tak. Uczestniczyła wtedy w tajnym projekcie, ledwo go rozumiałem. Sofia ma rację. To jedyna osoba w Galaktyce, która może znać odpowiedź na nasze pytania.

– Mam ją – oznajmia Gideon triumfalnie. Ale jego uśmiech gaśnie, kiedy na ekranie palmpada pojawiają się kolejne informacje. – Ona... została ranna w katastrofie Dedala. Znajduje się w szpitalu na oddziale chirurgii urazowej. Na miejscu katastrofy.

Miejsce katastrofy, kilka kilometrów pożogi, gdzie na każdym centymetrze kwadratowym roi się od skorup. Jest ich pewnie kilkadziesiąt, kilkaset, a może nawet kilka tysięcy. A jeśli szept Lilac uzna, że mu zagrażamy, nie uda nam się ich pokonać.

Znów nachodzi mnie ochota, żeby się położyć, pozwolić, by wchłonął mnie ciepły marmur. Widzę, jak moje myśli odwzorowują się także na otaczających mnie twarzach... Nawet Jubilee, sławna kapitan Chase, wygląda, jakby wołała dać sobie z tym wszystkim spokój.

Wtedy jednak napotykam spojrzenie Gideona. Jego orzechowozielone oczy wpatrują się w moje i przez chwilę wszelka nieufność pomiędzy nami znika, jesteśmy razem. Jakaś maleńka część mnie się uspokaja i w końcu łapię oddech. Usta Gideona drgają, chłopak do mnie mruga. To wystarczy.

Powoli podciągam się na nogi, co sprawia, że inni także otrząsają się z otępienia. Wstają, sprawdzają, czy mają naładowaną broń, pocierają twarze dłońmi, jak gdyby chcieli zetrzeć z nich zmęczenie. Jedno po drugim spoglądają na mnie. Biorę głęboki oddech i kiwam głową w kierunku drzwi.

– Idziemy.

Czekaliśmy od tak dawna, tu, w miejscu, gdzie znalazł nas niebieskooki mężczyzna. Badacze zniknęli dawno temu, ale dopiero po tym, jak ich umysły się rozpadły, a my zostaliśmy w pustym budynku wypełnionym duchami szaleńców. Czekamy, coraz bardziej zmęczeni, coraz słabsi.

Nagle coś mąci ciszę. W niebie powstaje rozdarcie, które gasi gwiazdy. W miejscu, gdzie znajdowały się pozostałości eksperymentów niebieskookiego mężczyzny, pojawia się statek.

Statek spada, a my jesteśmy zbyt słabi, by to powstrzymać. Na jego pokładzie znajdują się tysiące istot, z których każde mogłoby wydobyć nas z piekła... Ale oni wszyscy zginą.

Nagły rozbłysk światła. Mignięcie czegoś znajomego. Niebieskie oczy i twarz, która kiedyś się śmiała, skąpana w poświacie emitowanej przez szczelinę. Żołnierz, którego dusza wciąż siedzi w tamtym ogrodzie i ściska w dłoniach tomik poezji.

Mamy wystarczająco dużo siły, by umożliwić im ucieczkę kapsułą ratunkową, sprawić, by bezpiecznie przedostała się przez atmosferę, wystarczająco dużo siły, by patrzeć, jak stawiają pierwsze niepewne kroki na powierzchni tej planety.

Mamy wystarczająco dużo siły, by żywić nadzieję.

GIDEON

Choć ulice są wyludnione, trzymamy się blisko, kierując się na miejsce katastrofy. Z ewidencji chirurgii urazowej wynika, że mają na oddziale doktor Sanjanę Rao. Założę się, że pod względem taktycznym byłoby lepiej, gdyby Jubilee lub Tarver poszli przodem i sprawdzili, czy nie ma żadnego zagrożenia, ale nikt o tym nie wspomina. Oboje wyciągnęli broń, a Tarver i Flynn mają na sobie złożone przeze mnie naprędce urządzenia ochronne wetknięte w wojskowe kamizelki. Teoretycznie, jeśli reszta z nas będzie się trzymać w ich zasięgu, szept na nas nie wpłynie. Mam nadzieję, że właściwie zdublowałem pole w urządzeniu LaRoux i że mój sprzęt emituje impulsy elektryczne, których potrzebujemy, by odeprzeć próby opętania nas przez szept. Ale jeśli się mylę, prawdopodobnie nigdy się o tym nie dowiem.

Każda kieszeń kamizelki, którą dostałem od żołnierzy Kumiko, jest wypełniona narzędziami i sprzętem. W środku znajduje się też cienkie, pokryte aluminium opakowanie, które zabrałem na Dedala pod smokingiem. Chciałem mieć pewność, że fale magnetyczne nie zniszczą żadnego z moich urządzeń, jeśli wybierzemy się na poszukiwanie szczeliny.

Wszelkie próby skontaktowania się z Sanjaną telefonicznie lub za pośrednictwem hipernetu spełzły na niczym. Nie wiemy, czy to dlatego, że sieć wciąż jest zapchana, czy dlatego, że jest ciężko ranna i nie może odpowiedzieć, czy dlatego, że jej tam nie ma, a szpitalna dokumentacja zawiera błędy. Wszystko, włącznie z pospiesznie rozstawionymi szpitalami, w których leczy się ofiary katastrofy, tonie w chaosie, a my nie możemy sobie pozwolić na czekanie na odpowiedź. Bez dodatkowych informacji na temat tego, jak zniszczyć szczelinę, poruszamy się po omacku. Wysłałem jej pakiet informacji, które zgram na jej

konto, jeśli uda nam się z nim połączyć: współrzędne centrum, do którego udajemy się z nadzieją, że doktor Rao tam jest, schematyczny projekt moich osłon przeciwko szeptowi i dane, które mogą pochodzić jedynie od Tarvera, na znak, że ma do czynienia z sojusznikami. Modlę się, żeby to wszystko otrzymała i by nam zaufała. Modlę się, by jeszcze żyła.

Ilekoć czuję ciarki na plecach, spoglądam na swoich towarzyszy, ale wygląda na to, że osłony działają. Swoją drogą jeśli do tego dojdzie, a ja nie będę im patrzył w oczy, czy w ogóle się zorientuję? Nie po raz pierwszy żałuję, że nie mam intuicji Sofii. Z pewnością zna jakiś trik dotyczący mowy ciała, dzięki któremu moglibyśmy stwierdzić, czy nasza grupa nie zamieni się za chwilę w skorupy.

Ona jednak wygląda na tak samo przerażoną, jak ja się czuję.

Trzymamy się mniejszych uliczek, zmuszeni okrążyć pewne strefy górnego miasta, które się zapadły, niszcząc dzielnicę znajdującą się poniżej. Z początku widzimy pozostałych tylko z pewnej odległości, zbyt daleko, by móc stwierdzić, czy to ocalali, czy skorupy. Jednak im silniejszy staje się odór płonących chemikaliów, im gęstszy pył w powietrzu i im więcej gruzu i martwych ciał napotykamy na ścieżce, tym bardziej staje się jasne, że poza nami jedyni ludzie, którzy kręcą się w pobliżu miejsca katastrofy, nie są już ludźmi.

– To piąta, którą widzimy na tej trasie – szepcze Sofia, przerywając długą ciszę, kiedy skrywamy się z boku zwalonej siedziby banku i patrzymy, jak skorupy poruszają się po ulicy.

Nawet syreny ucichły. Jedyne hałasami są sporadyczne odległe huki, kiedy jakaś część miasta się zapada, pochłaniając to, co znajduje się poniżej.

– Przeszukują miasto – mówi Jubilee cicho. – Rozpoznaję ten wzorzec.

Patrzy na Tarvera, który z ponurą miną rozgląda się wokół, i dopiero po dłuższej chwili uświadamiam sobie dlaczego.

– Lilac nauczyła się tego ode mnie – mówi cicho. – Standardowa siatka poszukiwań.

– Szuka nas – szepczę, kiedy skorupa, łysiejący mężczyzna w średnim wieku ubrany w znoszony garnitur, ktoś, na kogo nie zwróciłoby się większej uwagi, znika za rogiem.

– Może dzięki osłonom nas nie namierzy – mówi Sofia, wstając z kucek. – Musimy się poruszać cicho. Z jedną czy dwiema sobie poradzimy. Ale jeśli natkniemy się na całą grupę... – Przetyka ślinę, ale nie kończy zdania.

Nie musi. Łatwo sobie wyobrazić, co mogłby nam zrobić zastęp tych powłóczących nogami stworzeń o pustych spojrzeniach. Żołnierze, którzy nie czują bólu ani skruchy, kiedy ten ból zadają.

W głębi ulicy na chodniku ustawiono blokadę z trzech policyjnych poduszkwców, tuż przed tymczasowymi barierkami, które wyznaczają granicę

miejsca katastrofy. W teorii nikomu poza ekipą ratunkową nie wolno jej przekraczać – znak oparty o jeden z samochodów drukowanymi literami zawiadamia o zakazie wstępu, inny o groźbie zawalenia się budynków. Mimo pustki panującej w mieście jesteśmy w szoku, widząc, że ten teren jest opuszczony. Powinno się tu roić od policjantów i urzędników blokujących wstęp na miejsce wypadku.

Tymczasem wokół nikogo nie ma.

Jedno po drugim wchodzimy na odgradzony obszar, przerzucając nogi przez cementowe barierki. Choć wciąż znajdujemy się zbyt daleko od wraku, w miejscu, gdzie powinny stać drapacze chmur, dostrzegam majaczącą w oddali pustkę. Ponieważ miasto rozciąga się wzdłuż niemal całej planety, nie ma charakterystycznej panoramy, a jednak pamięć podpowiada mi, że czegoś tu brakuje, tak jakby to, co znajduje się tuż za horyzontem, zostało po prostu wymazane.

Ciszę przerywa metaliczne szczęknięcie, a ja podskakuję tak gwałtownie, że uderzam w jedną z barierek i powstrzymuję cisnące mi się na usta przekleństwo. Jubilee i Tarver podnieśli broń i skanują wzrokiem alejkę, z której dobiegł dźwięk. Poruszają się synchronicznie, nie próbując nawet opracować żadnego planu – wystarczy spojrzenie, kiwnięcie głową i już Jubilee krąży wokół szerokiego wylotu uliczki, przyciskając plecy do ceglanej ściany, podczas gdy Tarver przykuca, kryjąc się za zaparkowanymi poduszkowcami, żeby nie można go było dostrzec z drugiej strony ulicy. Wszyscy ruszamy za nim, a kiedy Tarver i Jubilee wchodzą w głąb alejki, przystajemy u jej wylotu.

Kolejny cichszy szcęk naprowadza nas na źródło hałasu – ktoś znajduje się w jednym ze śmietników na końcu alejki. Tarver przechyla głowę do Jubilee, która cicho wchodzi za kontener, on natomiast przekłada broń do drugiej ręki. Zerkam przez ramię, czując, jak włosy na karku stają mi dęba. Widzę, że przecnicę dalej jakaś postać zatrzymuje się, obraca i rusza w naszą stronę. Powstrzymuję się, żeby nie wszcząć paniki, i chwytam Sofię za łokieć, dając jej znać, żeby podążyła za moim wzrokiem. Flynn zauważa ruch i rzuca mi szybkie zalęknione spojrzenie, po czym wszyscy wchodzimy w głąb alejki z nadzieją, że hałas nie przyciągnie niczyjej uwagi. Osłona Tarvera ochroni jego i Jubilee, a ja i Sofia musimy się trzymać Flynną.

Tarver chwyta krawędź pokrywy od śmietnika, a Jubilee podchodzi bliżej, żeby wycelować broń w tego, kto kryje się w środku, gotowa otworzyć kontener. Mięśnie Tarvera się naprężają, ale ostry szept Sofii przecina pełną napięcia ciszę:

– Zaczekajcie!

Jubilee odwraca broń w naszą stronę i kieruje wzrok gdzieś za nasze plecy, aż uświadamia sobie, że Sofia coś powiedziała. Jesteśmy tu niewidzialni, a w pobliżu nie ma żadnego zagrożenia, więc dziewczyna odwraca się z powrotem.

Ściąga brwi i widzę, że zamierza dać Tarverowi znak, by kontynuował.

Jednak Sofia nie odezwała się bez powodu. Wiem, że to jest w niej prawdziwe i żadne kłamstwo ani mataczenie tego nie zmienia.

– O co chodzi? – pytam cicho, uprzedzając Jubilee.

Sofia spogląda na śmietnik.

– Skorupy – odpowiada ledwo słyszalnym głosem. – One się nie ukrywają. Mają misję. Sama tak mówiłaś – dodaje, kiwając głową do Jubilee. – Kierują się wzorcem poszukiwań. Dlaczego jedna z nich miałyby się tu znaleźć?

Tarver zostawia śmietnik, ale nie opuszcza broni, spoglądając to na mnie, to na Sofię.

Jednak zanim komukolwiek udaje się odpowiedzieć, pokrywa śmietnika odskakuje, uderzając Tarvera i wydając taki dźwięk, jakby przez alejkę przetoczył się grzmot. Jakaś postać próbuje się z niego wydostać, ale mężczyzna jest zbyt przykurczony i spanikowany na tego typu ekwilibrystykę. Uderza w przeciwną ścianę, potyka się i upada na ulicę. Zanim którekolwiek z nas się odzywa, unosi ręce, osłaniając twarz.

– Błagam! – krzyczy donośnym głosem. – Nie róbcie mi krzywdy! Błagam, nie róbcie mi krzywdy!

– Cśś. – Jubilee spogląda ku wylotowi uliczki, wciąż mierząc z pistoletu do nieznajomego.

On jednak nie reaguje na ostrzeżenie, wciąż bełkocząc i błagając. To pięćdziesięcio- albo sześćdziesięciolatek w kiepskiej kondycji. Ma na sobie łachmany, które kiedyś były garniturem. Jest brudny, a odór śmieci i strachu przesyca powietrze, jednak jego przerażone oczy prześlizgują się po naszych twarzach i w końcu to dostrzegam – mają piwny kolor. Choć są rozszerzone ze strachu, nie ma w nich pustki.

– Musi się pan uspokoić! – prosi Tarver cichym, ponaglącym głosem i choć wdziera się on w bełkot mężczyzny, nie odnosi żadnego skutku.

Przypominam sobie o skorupie z sąsiedniej ulicy, która zwróciła się w naszą stronę, i nawet się nie zastanawiam – przykucam i przyciskam dłoń do ust mężczyzny, zmuszając go do milczenia. Jęczy, spogląda na mnie, po czym znów patrzy na dwójkę żołnierzy.

Sofia przykuca obok mnie i podąża za wzrokiem mężczyzny.

– Opuśćcie broń – szepcze do Tarvera i Jubilee, podnosząc dłoń i odwracając ją wnętrzem do dołu.

– Nie zrobimy panu krzywdy – oznajmiam. – Ale musi pan być cicho. Czy jeśli zabiorę rękę, nie wyda pan żadnego dźwięku?

Kiwa głową, znów koncentrując wzrok na mnie. Cofam dłoń, a mężczyzna łapie oddech.

– Kim pan jest i co pan tu robi? – pyta Sofia, a jej głos jest delikatny, czego

nie da się powiedzieć o treści pytań.

– Byliśmy... Jestem Chuck. Razem z żoną byliśmy... Rozległy się syreny ewakuacyjne. Mówili, że w tej części miasta nie jest bezpiecznie, że budynki mogą się zawalić. Byliśmy... Byliśmy... – Milknie, niespokojnie wpatrując się w dal.

Sofia wyciąga rękę i kładzie ją mężczyźnie na ramieniu.

– Już dobrze. Proszę wziąć głęboki oddech.

Genotag, który tak usilnie próbowała ukryć, jest teraz całkiem odsłonięty i kontrastuje z jej skórą, kiedy dziewczyna pociesząco ściska ramię mężczyzny. Skręca mnie w żołądku, gdy uświadamiam sobie, że zapewne nie po raz pierwszy rozmawia z kimś po traumie. Dorastała na Avonie w czasie wojny.

Mężczyzna drży.

– Po prostu się zatrzymała. Jak gdyby ktoś pstryknął przełącznik. Zatrzymała się, odwróciła i ruszyła z powrotem w tamtą stronę. – Unosi brodę, wskazując miejsce, gdzie rozbił się Dedal. – Próbowałem ją powstrzymać, zapytałem, co robi, ale zachowywała się tak, jakby mnie nie znała. Kiedy na mnie spojrzała, jej oczy były... – Przymyka powieki, jak gdyby mógł odpędzić od siebie wspomnienie pustego spojrzenia żony. – Złapała mnie i zaczęła ciągnąć za sobą, ale wyswobodziłem się i...

– I ukryłeś tutaj – kończy za niego Sofia.

Nasze spojrzenia się spotykają i wiem, co myśli. Ten człowiek jest w zbyt kiepskiej kondycji, by za nami nadażyć, a ponieważ wszystko zależy od naszej misji, nie możemy zwolnić. Jeśli jednak znajdzie się poza zasięgiem mojej osłony przeciwko szeptowi i jeśli Lilac nas wyczuje, będzie w stanie wyciągnąć z tego mężczyzny wszystkie informacje na nasz temat.

Przechesuję wzrokiem uliczkę i spoglądam na Chucka, próbując zrozumieć, w jaki sposób udało mu się tak długo oprzeć wpływowi szeptu. W końcu mój wzrok pada na śmietnik. Jego grube metalowe ścianki mogły go chronić w taki sam sposób, w jaki chronią nas nasze urządzenia elektromagnetyczne.

– Musisz wrócić do środka. – Choć czuję na sobie wzrok pozostałych, łapię mężczyznę za ramię. – To teraz najbezpieczniejsza kryjówka. Dostaniesz od nas zapasy. Musisz tu zostać albo skończysz jak twoja żona.

Chuck próbuje strącić moją dłoń z ramienia, a ulga, którą poczuł na widok innych ocalałych, nie pozwala mu zrozumieć tego, co powiedziałam. Otwieram usta, by wszystko mu wyjaśnić, ale mi się nie udaje, bo moją uwagę przyciąga jakiś ruch.

Zza rogu z cienia na końcu alejki wyłania się czyjaś dłoń. Palce szukają chwytu w cemencie i dopiero kiedy się zaginają i naprężają, uświadamiam sobie, że jeden z nich jest dziwnie odgięty, przekręcony i nie porusza się tak jak inne. Po chwili pojawiają się głowa i ramiona, a wkrótce wyłania się cała postać.

Zrywam się na nogi, jedną ręką chwytam Sofię i pociągam ją za sobą,

cofając się chwiejnym krokiem. Pozostali natychmiast to zauważają... Flynn łapie Chucka, Jubilee celuje broń w sylwetkę przesuwaną się wzdłuż ściany, Tarver klnie i kieruje broń ku wylotowi alejki. Rzucamy się do ucieczki.

Wykręcam głowę do tyłu i widzę, że sylwetka przesuwa się wzdłuż ściany i upada na chodnik. Ukrytej w cieniu postaci znów wyrastają ramiona i nogi i teraz dostrzegam jej profil. Odwraca głowę w naszą stronę, kiedy wybiegamy z powrotem na słońce. Wpadam na kogoś przed sobą. Pozostali się zatrzymują. Resztką sił powstrzymuję się, żeby nie krzyknąć: „Uciekajcie, na miłość boską...”.

Nagle uświadamiam sobie, dlaczego stanęli.

Alejka prowadzi na ulicę, na której roi się od skorup.

Jest ich kilkadziesiąt, może nawet kilkaset, nie potrafię objąć ich wzrokiem. Większość z nich wydawałaby się normalna, gdyby nie martwe twarze i czarne dziury w miejscu, gdzie powinny mieć oczy. Niektóre z nich mają urazy, jak ta ze złamanym palcem, czająca się na końcu uliczki. Dziewczynka, najwyżej dwunastoletnia, stoi zaledwie kilka metrów dalej, a na ramieniu ma szkarłatne zadrapanie kontrastujące z jasnożółtą letnią sukienką. Gdzieś w oddali przystanął mężczyzna tak wysoki, że wybija się na tle reszty postaci, i wpatruje w nas tylko jednym czarnym okiem. Drugie jest zasklepięte zaschniętą krwią z rany na głowie.

– Nie – szepcze Chuck, cofając się na Flynną, który wciąż go podtrzymuje. – Nie, nie, nie. – Jego szept zamienia się w jęk. Mężczyzna wyrывa się Flynnowi.

– Zaczekaj... – Chłopak rzuca się za nim. – Nie!

Jednak Chuck cofa się w głąb alejki, w stronę śmietnika, z dala od osłony emitowanej przez zmodyfikowanego palmpada wewnątrz kamizelki Flynną. Choć mogła go obronić przed wpływem szeptu na umysł, śmietnik nie obroni go przed skorupami. Do samotnego cienia w głębi uliczki dołączyły inne, które zakradają się do Chucka od tyłu. Mężczyzna zaczyna się gramolić z powrotem do swojej kryjówki, ale skorupy go chwytają, czepiają się palcami jego ubrania i włosów, odciągają go od śmietnika, który zgrzyta, przesuwaną się tuż przy murze, bo Chuck przywiera do jego krawędzi. Po chwili znika pośród tłumu skorup.

– Cholera! – Jubilee celuje w nich bronią i widzę, jak z każdym szarpnięciem lufy się waha. Nie wie, gdzie celować, a tym bardziej, do kogo strzelać.

Są niewinne. W niczym nie różnią się od Kumiko i jej żołnierzy, którzy na Avonie doświadczyli inwazji na swoje umysły i zostali złamani. Jedna z postaci pomagających przyszpilić Chucka jest drobniutka – to jeszcze dziecko.

Ta chwila zdaje się ciągnąć w nieskończoność. Powinniśmy uciekać. Powinniśmy zostawić Chucka jego przeznaczeniu – niech poniesie konsekwencje swojej decyzji, by się ukryć. Powinniśmy dotrzeć do doktor Rao. Jednak wszyscy słyszymy, jak mężczyzna wykrzykuje imię Alisha – to z pewnością jego żona. Nie wiem, czy woła ją, bo myśli o niej w ostatnich minutach życia, czy dlatego, że jest jedną z napastniczek.

Przyciskam Sofię do siebie tak mocno, że musi ją to boleć, ale nic nie mówi. Czuję, jak drży.

Tarver zrywa się pierwszy i przeklinając, stawia krok w głąb uliczki. Jednak zanim udaje mu się dotrzeć dalej, krzyki cichną. Czuję, jak serce zamiera mi ze strachu w tej nagłej ciszy przerywanej jedynie pięcioma seriami panicznych wdechów. Nie żyje. Zabili go. Zabili.

Jednak po chwili skorupy się wycofują, prostują, stają na nogi. A wśród nich Chuck. Przez krótką chwilę nie ruszamy się, jesteśmy zupełnie zdezorientowani. Chuck odwraca głowę i odszukuje nas spojrzeniem ciemnych, pustych oczu.

Słyszę roztrzęsiony oddech Sofii.

– Musimy uciekać – szepcze.

Zaczynamy biec.

Kiedyś, dawno temu, mogliśmy z nimi rozmawiać, z samotnymi rozbitkami na tej upiornej planecie. Jednak teraz jesteśmy słabe, możemy tylko patrzeć. Widzimy w nich to, czego nie dostrzegają w sobie nawzajem... W tym, jak na nią patrzy, widzimy jego serce. Widzimy, jak przy każdym dotyku jej dusza przywołuje jego duszę. Byłoby prościej, gdyby widzieli siebie nawzajem tak, jak my ich widzimy.

A jednak w sposobie, w jaki się odnajdują, jest coś pięknego. Powoli, w kruchym tańcu ukradkowych spojrzeń i przypadkowych muśnięć. Obserwując, jak stają się sobie bliżsi, a ich dusze zespalają się, nie znając się tak, jak my je znamy, nie wiedząc, co kryje się w sercu tego drugiego, uczymy się czegoś nowego...

Wiary.

SOFIA

Suche, gryzące powietrze tnie moje płuca jak piła, a zapach chemikaliów, który unosi się w powietrzu po katastrofie Dedala, pali wewnątrz mojego nosa i gardło. Koncentruję się na rytmicznych krokach stawianych wraz z pozostałymi i staram się nie krzyczeć. Jeśli uda nam się dobiec wystarczająco daleko, wystarczająco szybko i wystarczająco cicho, może zgubimy wzbierającą za naszymi plecami falę skorup. Może znów pogrążymy się w ciszy i bezruchu.

Oczy łzawią mi z wysiłku, a kiedy inni coraz bardziej oddalają się ode mnie i od Gideona – Boże, nie zostawiajcie nas! – uświadamiam sobie, że chłopak specjalnie dotrzymuje mi kroku. Jest szybszy ode mnie, więc dawno powinien mnie wyprzedzić, powinien się znajdować w zasięgu osłon Tarvera i Flynna. Nieoczekiwanie litania myśli w mojej głowie całkiem się zmienia: Ty idiotko! Po prostu biegnij.

Nagle Jubilee i Tarver rozbiegają się na boki, Tarver na jedną stronę chodnika przy następnej przecznicy, a Jubilee na drugą. Widzę, jak jedno z nich – nawet nie wiem które – sygnalizuje coś, unosząc rękę. Kiedy do nich dołączamy, Tarver wskazuje nam, żebyśmy przebiegli na tę samą stronę co Jubilee i Flynn, a następnie zagłębili się w boczną alejkę.

– Tędy. – Jego słowa są krótkie, szorstkie, precyzyjne i racjonalne. – Mniej skorup. Węższe ulice.

Kiedy ślizgając się, skręcam za róg wraz z pozostałymi i rzucam spojrzenie do tyłu, ściska mi się serce. Może skorupy mają spowolnione reakcje, a szukając ofiar, powłóczą nogami, ale kiedy pełnią misję, poruszają się równie szybko, jak my. W odległości zaledwie kilku metrów znajduje się ich co najmniej setka. Jeśli nas złapią i wyrwą Flynnowi i Tarverowi osłony lub odciągną nas, tak że znajdziemy się poza zasięgiem urządzeń, nic nie będzie nas chronić przez mentalną siecią, którą szept zarzucił na miasto. Wolałabym zostać rozszarpana na miejscu, niż stać się jedną z tych istot.

Wypuszczam powietrze, ale z moich ust wydostaje się także szloch. Potykam się. Gideon chwyta mnie za ramię, razem zbieramy się na nogi i znów ruszamy. Tarver biegnie za nami, zabezpieczając tyły.

Uliczki wirują wokół nas szaleńczo, kiedy lawirujemy pomiędzy gruzami i lejami w ziemi. W pewnym momencie chodnik zaczyna mi się kruszyć pod stopami i muszę odskoczyć na bok. Nie mam czasu się obejrzeć, ale kilka sekund później słyszę huk i gruzy z poziomu ulicy spadają na środkowe miasto, zamieniając je w cmentarzysko. Skręcamy raz, drugi, trzeci, a potem kolejny,

zapuszczamy się w ślepe zaułki, marnując cenne sekundy. Ulica się zwęża, ograniczona po obu stronach stosem odłamków. Nagle przed nami rośnie góra kamieni i powykręcanych metalowych wsporników, z których kiedyś były zbudowane pobliskie drapacze chmur, zanim się zawaliły. Przystaję na chwilę, po czym znów zaczynam biec, z tym że teraz to ja ciągnę za sobą Gideona. Zaczynamy się wspinać po gruzowisku.

Ręce i stopy ślizgają się nam na poluzowanych głazach, a ja przywieram do pewnego wspomnienia. „Trzymaj się blisko ściany! Nie patrz w dół! Jestem tuż za tobą!” Przypominam sobie wszystko to, co wołał Gideon, kiedy pięłam się w górę pionowego szybu w LaRoux Industries. Mam wrażenie, że od tamtego czasu minęły całe wieki.

Wiele bym dała, by znów znaleźć się w tamtym szybie.

Poruszamy się zbyt wolno. Choć gruzowisko nie jest aż tak strome, nie wiadomo, który kawałek trzyma się solidnie, a który odpadnie, kiedy tylko go złapiemy. Skorupy znajdują się coraz bliżej.

Tarver się odwraca, opiera o gruzy i mierzy z broni do istot, które zaczynają się wspinać w naszym kierunku.

– Nie zatrzymujcie się! – krzyczy, a jego słowa podkreśla jęk wojskowego gleidela.

Promień pistoletu przeszywa ramię jednej ze skorup i ta spada. Kolejny strzał i jeszcze jeden – następne dwie istoty spadają, ale pierwsza znów zaczyna się wspinać, a krwawiąca rana na ramieniu wydaje się jej nie przeszkadzać.

Ból ich nie powstrzymuje, a żadne z nas – ani ja, ani Gideon, ani Tarver, Jubilee czy Flynn – nie będzie w stanie zabić niewinnej osoby. Bo tym właśnie są skorupy – to prawdziwi ludzie, którzy mają prawdziwe życie, tylko że ich mózgi i ciała zostały porwane.

Jubilee dołącza do Tarvera, przerywając wspinaczkę, by znów wyciągnąć broń, i z trudem łapie oddech, kiedy strzela raz i drugi. Jednak rosnący za nami tłum nie maleje. Łapię za cementowy duży głaz – te większe są zazwyczaj bardziej stabilne – ale ten zaczyna się przesuwac i na mnie spadać. Krzyczę i rzucam się na bok, a głaz toczy się w dół, uderza w jedną ze skorup i strąca ją ze ściany.

Spoglądam na Gideona i napotykam jego wzrok. Jednocześnie chwytamy luźne kamienie i zrzucamy je, a odgłosy roztrzaskującego się cementu mieszają się z jękiem broni. Flynn wspina się w bok, żeby betonowe pociski w nas nie uderzyły, i dołącza do bitwy.

Nagle rozlega się chrapliwy krzyk Gideona i widzę, jak chłopak ześlizguje się po zboczu rumowiska. Rzucam się za nim, a w chwili, gdy chwytam go za ramię, dostrzegam zaciskającą się na jego kostce dłoń. Należy do starej kobiety o przerażająco spokojnej twarzy. Jej chude, kościste palce wpijają się w skórę Gideona tak mocno, że jego kostka bieleje. Krzyczę, chwytam Gideona obiema

dłońmi i zapieram się stopami o stalowy dźwigar. Chłopak zaczyna kopać drugą nogą, próbując strącić kobietę. Chwilę później dołącza do nas Tarver, który bez wahania wypuszcza z rąk broń, by obiema rękami chwycić drugie ramię Gideona. Razem wydzieramy chłopaka staruszcze i uciekamy przed hordą skorup, która znajduje się zaledwie kilkanaście centymetrów za nami.

Obejmuję Gideona, a on mnie. Moje ciało nie słucha już opętanego staccato krążącego mi po głowie – „wyżej, nie zatrzymuj się, biegnij, walcz, przeżyj!” – i przez chwilę żadne z nas się nie porusza. Nie muszę na niego patrzeć, by wiedzieć, że on także to czuje. Nadeszła ta chwila i nic innego nie powinno mieć znaczenia: kłamstwa, podstępny, fałszywe imiona i pozory – to wszystko nie było prawdziwe, a teraz już nigdy nie będziemy mieli okazji, by się dowiedzieć, jacy naprawdę jesteśmy.

Wokół rozlega się eksplozja, która mnie ogłusza, a w mojej głowie pulsuje... cisza. Słyszę jedynie własny oddech, urywany i zduszony – a po chwili oddech Gideona, tak silny, że rozwiewa mi włosy. I Tarvera, kilka metrów dalej. Kiedy otwieram oczy, widzę Flynna obejmującego i podtrzymującego Jubilee. Jest ranna, nie wiem jednak, co się stało. Flynn trzyma w drżącej dłoni jej broń. Pociąga za spust, ale nic się nie dzieje. Broń jest cicha i ciemna, równie martwa i bezużyteczna, jak zastygła kupa gruzu.

Wszyscy nieruchomieją, jak gdyby ktoś zamroził tę chwilę, a ja rozpaczliwie próbuję zrozumieć, co się stało.

Odwracam się w momencie, kiedy skorupy – wszystkie, co do jednej spośród setek ścigających nas postaci – jednocześnie spadają z gruzów jak marionetki, którym odcięto sznurki. Dopiero kiedy rozbijają się o ziemię, dostrzegamy, że jedna sylwetka wciąż stoi, zaledwie kilka metrów od podnóża rumowiska. To kobieta, niewiele starsza od nas, ubrana w jakiś brudny, porwany kombinezon. Jedną ręką zwisa bezużytecznie i nieruchomo wzdłuż jej tułowia, a druga, drżąca, ściska coś, co z oddali przypomina granat. Jej ciemna skóra i włosy wydają mi się znajome, choć wiem, że nigdy wcześniej jej nie widziałam. Coś... Coś w mojej głowie...

– Hej, wy! – mówi ciekim i niepewnym głosem.

Podążam za jej wzrokiem i widzę wstrząśniętego Tarvera, który staje się tak bezwładny, że spada kilka metrów po zboczu. Kobieta się chwieje i dopiero wtedy uświadamiam sobie, że jej uniform jest pokryty czymś więcej niż brudem – jest tam też zaschnięta krew, rozmazana także na jej tułowiu.

– Strasznie hałasujecie.

Kiedy za jej plecami dostrzegam jakiś ruch, moje serce zamiera. Tarver zauważa skorupę w tym samym momencie i nagle, nie zwalnając, zaczyna się ześlizgiwać, co wywołuje lawinę odłamków i pyłu. Nie dotrze tam na czas. W stronę kobiety skrada się jakiś chłopiec, kuśtykając na niesprawnej kostce –

musiał się znajdować z tyłu grupy, bo to, co ich unieszkodliwiło, jego nie dotknęło.

Widok nagłego niekontrolowanego zejścia Tarvera sprawia, że kobieta się odwraca. Krzyczy, upuszcza trzymany w zdrowej dłoni przedmiot i w chwili, kiedy dzieciak wyciąga rękę, wyjmując z torby coś innego. Uderza go prosto w żebra, a ciszę przerywa trzask elektryczności. Opętany przez szept chłopiec podskakuje i zaczyna mieć drgawki – to paralizator, myślę – po czym pada na ziemię równie nieruchomy, jak reszta rozściełanych pomiędzy nami ciał.

– Sanjana! – woła Tarver, lądując u podnóża gruzowiska, po czym niepewnie podnosi się na nogi.

Nagła świadomość jest tak szybka i ostra jak impuls paralizatora. Widziałam zdjęcie tej kobiety w jej dokumentach – jedno z wielu, które przeglądałam, kiedy wiele miesięcy temu wyrabiałam dla siebie identyfikator pracownika LRI. Nie wiedziałam wtedy, kim jest.

Sanjana. Doktor Rao. Nasza ekspertka od szczelin.

– Dzwoniłeś? – odpowiada słabo, a paralizator wypada z jej bezwładnej dłoni.

Gdy znów zaczyna się chwiać, Tarver rzuca się naprzód. Kobieta ciężko wali się na ziemię, ale Tarverowi udaje się ją podtrzymać. Nie pozwala, by uderzyła głową o roztrzaskany chodnik.

Ich wiara daje nam siłę na tyle dużą, że próbujemy – w jedyny możliwy sposób – do nich dotrzeć. By poprosić ich o pomoc. O koniec.

Zanurzamy się w ich myślach i próbujemy do nich przemówić, podsuwając im obrazy osób, które znali, dusz, które zginęły w katastrofie, jednak w odpowiedzi znajdujemy strach. Próbujemy mówić, używać słów, których nauczyliśmy się po latach obserwacji, oni jednak nas nie rozumieją. Próbujemy im pokazać, że nie są sami. Podarowujemy mu dom, najbliższy jego sercu wiersz. Jej wręczamy kwiat, przypominając, jak wyjątkowe i kruche jest to, o co walczy.

Wysypujemy im na drogę kruche płatki kwiatów, a z każdym stawianym przez nich krokiem czujemy się silniejsi. Nauczyli nas wiary i nadziei. To w nich odnaleźliśmy siłę.

Wtedy dziewczyna umiera.

GIDEON

Docieramy jedynie do pasażu handlowego kilka przecznic dalej. Przez część trasy Tarver niesie doktor Rao, ale kiedy kobieta zaczyna odzyskiwać przytomność, mamrocze, że może iść sama. Zgadza się na kompromis, że wraz z Tarverem będę ją podtrzymywać. Jubilee ma skaleczoną dłoń – złapała za poluzowany gład i jej ręka się ześlizgnęła po poszarpanym kawałku stali, jednak idzie o własnych siłach w towarzystwie Flynna. To Sofia znajduje ogromny otwór pod zawałoną fasadą budynku, wczołguje się do niego i daje nam znać, żebyśmy weszli za nią.

W normalnych okolicznościach niesienie Sanjany nie kosztowałoby mnie wiele wysiłku – nie waży dużo, a nas jest dwóch – jednak kiedy wsuwamy ją w otwór w fasadzie, prawie upadam. Potykam się i kiedy tylko znajdujemy się w środku, puszczam ją nieco zbyt gwałtownie, a Tarver ugina się pod nagłym ciężarem. Wszyscy upadamy na pokrytą pyłem popękaną posadzkę.

Jedyne światło wpada tu przez częściowo zatarasowane wejście. Sofia, która także leży na podłodze – musiałem nie zauważyć, kiedy upadła – jęczy i przyciąga do siebie torbę, żeby poszukać w niej latarki. Kiedy ją włącza, nic się nie dzieje. Widzę jej profil podświetlony przez dochodzące z zewnątrz promienie słońca, widzę też, jak tępo wpatruje się w latarkę, jak gdyby to, że urządzenie nie działa, unieruchomiło także jej mózg, a ta ostatnia przeszkoda była dla niej nie do pokonania.

– Impuls elektromagnetyczny – chrypi wyczerpany Tarver i zaczyna się krztusić od kurzu unoszącego się przy wejściu. – Nie wiem, dlaczego ma to taki wpływ, ale to wina tego impulsu. Latarka nie zadziała. Broń też nie. Nie zadziała nic, co potrzebuje energii.

Sofia z hukiem upuszcza latarkę i pokonana wraca do drzwi. Gdyby moja noga nie uwięzła pod na wpół nieprzytomnym ciałem Sanjany, podczołgałbym się do niej, by się upewnić, że nic poważnego jej się nie stało. Nie wiem jednak, czy ze mną wszystko w porządku. Czuję drżenie mięśni, dzięki czemu przynajmniej wiem, że wciąż mam wszystkie kończyny. O ile nie są to drgawki fantomowe. Chyba tak określa się wrażenie człowieka, który stracił rękę lub nogę, a wydaje mu się, że wciąż je ma. Drgawki fantomowe, fantomowe zmęczenie lub fantomowe odczuwanie części ciała, których już nie ma... Z moich ust wydobywa się cichy śmiech, który nawet ja rozpoznaję... Jest niewyraźny, daleki i nieco histeryczny. Kładę twarz na kamiennej posadzce, nie przejmując się tym, że pył przykleja mi się do spoczonej skroni.

Rozlegają się trzask i syk, a moje zamknięte powieki zalewa czerwone światło. Zamknąłem oczy? Kiedy? Z trudem je otwieram i widzę oświetloną twarz Jubilee. Dziewczyna się porusza, a mój zmęczony umysł w końcu pojmuję, co się dzieje – to raca awaryjna, coś, co musiała znaleźć w plecaku. Jubilee podaje ją siedzącemu obok Flynnowi, który wtyka racę pod kamień, osłaniając światło tak, że teraz tylko delikatnie rozświetla wnętrze. Mam nadzieję, że nie będzie widoczne z zewnątrz.

Większość pasażu się zapadła – choć wrak Dedala znajduje się w odległości kilku kilometrów, wstrząs po uderzeniu zrównał z ziemią połowę budynków w tej części miasta. Zachowało się kilka witryn sklepowych. Proponują doświadczenie luksusowych zakupów, którego ich zniszczone wnętrza już nie zapewnią. Krata zabezpieczająca sklep jubilerski została strzaskana przez marmurową kolumnę. To, że pył i gruz pokrywające podłogę są nienaruszone, sprawia, że przechodzą mnie ciarki. W normalnych okolicznościach, nawet w górnym mieście, takie miejsce zostałyby doszczętnie zrabowane.

Ciężar przyciskający dotąd moją nogę maleje, a ja wracam do siebie i przypominam sobie o Sanjanie. Siadam i prędko wysuwam nogę spod jej ciała. Kobieta jęczy. Tarver pochyla się nad nią i odgarnia jej włosy z twarzy, żeby się jej przyjrzeć.

– Wszystko w porządku? – pyta w skupieniu. – Sanjano?

Kobieta znów jęczy, sugerując, że odpowiedź na to pytanie zbyt wiele ją kosztuje, jednak po chwili otwiera oczy i podciąga się na łokcie, żeby spojrzeć na Tarvera.

– Wciąż ratuje mi pan życie, kapitanie.

– Teraz „majorze” – zauważa Jubilee i spogląda na nią znad zranionej ręki, którą Flynn ogląda w drżącym świetle racy. – Po Patronie go awansowano.

– Prawdę mówiąc, teraz po prostu „Tarverze” – poprawia je były żołnierz, a na jego poważnej twarzy pojawia się w końcu cień uśmiechu. – W dodatku odnoszę wrażenie, że to raczej ty uratowałaś nam życie. Jak to zrobiłaś?

Sanjana się krzywi, kiedy Tarver pomaga jej usiąść, po czym opiera się o kawałek zwałonego kamienia.

– Impuls elektromagnetyczny. Byłam prawie pewna, że pozornie nadprzyrodzone umiejętności istot uwięzionych w szczelinie są bezpośrednio związane z różnicami energetycznymi pomiędzy ich wymiarem a naszym i że metoda kontroli, jaką mają, to po prostu elektryczne przechwycenie sygnałów na ścieżce nerwowej człowieka... Sposób... – Urywa, patrzy na zdezorientowaną twarz Tarvera, potem na Jubilee, a następnie spogląda na pozostałych, ledwie widocznych w przytłumionym świetle. – Hmm, wybrałam sobie chyba niewłaściwą publiczność.

– Nie. Rozumiem. – Moje znużenie mija i w jego miejsce pojawia się

ciekawość. Nie mam pojęcia, kim jest ta kobieta poza tym, że Sofia próbowała się z nią skontaktować w LaRoux Industries. Jednak kimkolwiek by była, to geniuszka. – Krótko mówiąc, hakują ludziom mózgi.

Usta Sanjany rozszerzają się w uśmiechu i kobieta spogląda mi w oczy.

– Może nie tak bym to ujęła, ale mniej więcej się zgadza.

To, co mówi, ma sens – w tę teorię wpisują się małe urządzenia LaRoux. Wiadomo już, dlaczego pole elektromagnetyczne wydzielane przez nasze osłony mogłoby nas ukryć przed szeptem. Uświadamiam sobie coś jeszcze, coś o wiele pilniejszego. Rozpinam kamizelkę, żeby wyciągnąć z niej sprzęt.

– Cholera.

Pięć par oczu zwraca się w moją stronę. Wskazuję na Tarvera, a potem na Flynna.

– Właśnie je usmażyliśmy. Nie wiem, jak szybko szept zdoła nas odnaleźć, ale nie będzie już potrzebował do tego skorup. Nasze umysły przestały być chronione.

Wokół rozlegają się ciche przekleństwa, zebrani wymieniają przerażone spojrzenia, po czym Tarver i Flynn w pośpiechu wyciągają z kamizelek palmpady i popychają je w moją stronę.

– Możesz je naprawić? – pyta Jubilee, przyciskając do dłoni złożony bandaż, którym Flynn próbował zatamować jej krwawienie. – Czy ten impuls zniszczył także twój sprzęt?

Podnoszę woreczek.

– Powłokłem go aluminium.

W odpowiedzi napotykam te same puste spojrzenia, które przed minutą wpatrywały się w Sanjanę.

– Każdy spec od techniki mający w głowie trochę oleju nosi ze sobą taki woreczek, żeby chronić sprzęt przed ładunkami elektrostatycznymi, polami magnetycznymi i impulsami elektromagnetycznymi.

Z kieszeni kombinezonu Sanjana powoli wyciąga palmpada i popycha go w moją stronę zdrową ręką.

– Kierowałam się wytycznymi, które mi podałeś. Jaki mają zasięg, kiedy działają?

– Kilka metrów – mówię i zaczynam rozkręcać obudowy. – Myślę, że mogłyby nawet zmienić skorupy z powrotem w ludzi, ale to zajęłoby kilka minut, a nigdy nie udałoby nam się spędzić z nimi tyle czasu.

Wiem, że w ciszy, która zapada po tych słowach, wszyscy myślą o tym, co mogłoby się wydarzyć w ciągu tych kilku minut. Flynn przerywa milczenie, przedstawiając się Sanjanie, a reszta z nas idzie w jego ślady. Sofia podaje doktor Rao butelkę wody i batonik.

Przez ten cały czas Flynn marszczy brwi, ale mu się nie dziwię. Tak

zaawansowana fizyka przekracza nawet moje możliwości zrozumienia, a przecież nie dorastałem na prowincjonalnej, bagnistej planecie gdzieś po drugiej stronie Galaktyki.

– Więc, doktor Rao... Wie pani, jak szept to robi? W jaki sposób kontroluje ludzi?

Sanjana przez chwilę się nie odzywa, najwyraźniej porządkuje myśli – zastanawia się, jak nam to wyjaśnić.

– Zasadniczo... Naszymi mózgami rządzi elektryczność. Oczywiście jest to elektryczność biochemiczna, nie taka jak w bateriach, ale... Te wszystkie małe impulsy w naszych mózgach to elektryczne iskry, które mówią nam, co widzimy, smakujemy, słyszymy. Właściwie wszystko, co robimy, wszystkie reakcje naszych mięśni i nasze ruchy, to także odpowiedzi na elektryczne sygnały. Myślę, że istota w szczelinie...

– Szczelina... Auć! – Jubilee się wtrąca, ale przerywa z sykiem, kiedy Flynn odkaża jej ranę płynem z apteczki.

Chłopak podnosi wzrok, a jego wargi drgają.

– Beksa.

– Zamknij się. – Jednak jej usta odpowiadają, drgają raz i drugi, po czym rozciągają się w uśmiechu. Dziewczyna znów spogląda na Sanjanę. – Istota w szczelinie? Co to takiego?

– To... No tak, nic na ten temat nie wiecie. Zauważyliście, że wszyscy dziwnie się zachowują? Ci ludzie, którzy was otoczyli?

– Ci kontrolowani przez szept. Tak.

– Przez... – Sanjana unosi brwi. – Szept? Tak go nazywacie?

– To Lilac wymyśliła tę nazwę – wtrąca cicho Tarver. – Była pierwszą osobą, która się o nich dowiedziała. Po katastrofie statku pojawiały się w jej głowie w postaci szepczących głosów.

Sanjana się waha, a kiedy odwraca się do dawnego przyjaciela, jej oczy są wypełnione współczuciem. Jej wahanie się przeciąga, ale najwyraźniej chce go zapytać o Lilac. Może dziewczynie udaje się oszukiwać ojca i opinię publiczną, ale Sanjana wie, że coś tu nie gra.

– Aha. W takim razie wiecie, co potrafią. Wywołują skurcze mięśni, rozszerzają źrenice, a w ustach pojawia się posmak określany jako metaliczny...

– Smakuje jak krew – mamrocze Jubilee, kiedy Flynn kończy owijać jej opatrunek plastrem.

– Częściej mówi się, że to tak, jakby lizało się baterię, ale pewnie też masz rację. W określonych okolicznościach te istoty mogą wywoływać nawet omamy słuchowe i wzrokowe. Takie jak szepty słyszane przez Lilac. A w najbardziej ekstremalnych przypadkach przejmują kontrolę nad motoryką człowieka.

– Ale co to ma wspólnego z granatem elektromagnetycznym? – Głos Tarvera

jest znacznie bardziej ożywiony niż przed pojawieniem się Sanjany.

– Cóż... Umiejętności szeptu łączą się z „hakowaniem” impulsów elektrycznych w mózgu. Wymyśliłam, że dość silny impuls elektromagnetyczny zdoła odciąć tę kontrolę na tak długo, by zerwać połączenie. Kiedy dostałam twoją wiadomość, zabrałam je z laboratorium. Pracowałam do późna, dlatego byłam w LRI, kiedy spadł Dedal. Nie mogłam się z wami połączyć, wiedziałam, że wkroczycie w sam środek... tego. – Przekrzywia głowę w stronę wylotu naszej jaskini, gdzie jeszcze przed chwilą walczyliśmy o życie.

– Przyszłaś po nas, nie wiedząc nawet, czy to zadziała? – Flynn unosi brwi. Jest pod wrażeniem.

– Było to mniej ryzykowne niż zostanie na miejscu. Połowa urazówki znalazła się pod wpływem tych istot, a ja nie zamierzałam zostać jedną z nich. Przerobiłam palmpada zgodnie ze wskazówkami, które mi wysłałeś, a skoro nie jestem jeszcze skorupą, zgaduję, że to działa.

Pociera ramię tuż poniżej łokcia. Wydawało mi się, że ma na sobie jakąś rękawiczkę z metalicznej siateczki, ale kiedy zaczyna masować miejsce, gdzie „rękawiczka” się zaczyna, uświadamiam sobie, że to cybernetyczna proteza. Granat z impulsem elektromagnetycznym uszkodził ją tak samo, jak uszkodził skorupy. To wyjaśnia, dlaczego nie mogła przetestować swojej teorii, zanim nas znalazła.

– Zrezygnowałaś z możliwości używania ręki, by nas uratować? – Sofia dotąd milczała, ale widzę, że obserwuje ten sam ruch co ja.

– Wiele zawdzięczam Tarverowi – odpowiada cicho kobieta. – Gdyby nie on, straciłabym o wiele więcej niż rękę.

Kiedy Tarver nie odpowiada, Jubilee odchrząkuje.

– Sanjana jest jedną z ocalałych z placówek na Patronie, które wyzwolił Tarver. W pewnym sensie to od niej i od tej placówki wszystko się zaczęło. Tarver nie znalazłby się na Ikarze, gdyby ta operacja nie wymagała od niego udziału w podróży medialnej, która miała sprawić, że ludzie zaczną żywić ciepłe uczucia w stosunku do wojska.

– Zatoczyliśmy krąg – mamrocze Sanjana.

– Wróćmy do impulsu – nalega Tarver, wtrącając się z grymasem na twarzy, jak gdyby kobiety rozmawiały o jego porażkach, a nie heroizmie. – Zadziałał. Czy ci ludzie żyją? Nic im się nie stało?

– Powinni być cali i zdrowi – odpowiada doktor Rao. – Teoretycznie obudzą się tylko z migreną, nic więcej. Oczywiście jeśli wcześniej nie odnieśli obrażeń. Zaczekajcie, dokąd idziecie?

Tarver wstaje, zanim badacze udaje się skończyć, i sięga po jej torbę.

– Ile tych granatów jeszcze ci zostało? – pyta niecierpliwie.

– Dwa. A co?

– W ten sposób uratujemy Lilac. – Wyciąga jeden z granatów, kulisty

przedmiot wielkości mandarynki. Spogląda Sanjanie w oczy. – Szept ma ją w swoich szponach. To ona to wszystko robi... A raczej szept ją do tego zmusza.

– Wiem. Widziałam ją. – Kobieta wyciąga zdrową rękę i kładzie ją na ramieniu Tarvera, by nie pozwolić mu wstać. – Jest w siedzibie głównej LRI. Tarverze...

– Użyjemy jednego z nich, by obezwładnić skorupy i dotrzeć do niej, a drugiego na nią, by ją uwolnić, a potem zniszczyć szczelinę.

Sanjana z bólem potrząsa głową.

– Przestań, Tarverze. Nie. Inni... Oni są tylko kontrolowani. Jak marionetki, androidy zaprogramowane w ten sam sposób. Lilac... – Przełyka ślinę, a jej ból zamienia się w lęk. – Lilac jest inna. Widziałam ją, zanim wyszłam. Nic jej nie kontroluje, nie jest bezrozumną skorupą... To ona jest tą istotą. Widziałam, co potrafi. Nie wiem, jak to możliwe ani dlaczego tak się dzieje, ale jest inna. Ta istota przywdziała ją jak kostium. Nie sądzę, by impuls elektromagnetyczny miał na nią większy wpływ niż na ciebie czy na mnie. To się stało częścią niej.

Tarver wpatruje się w nią długo i w napięciu, a jego dłoń zaciska się wokół granatu. Po chwili wkłada go z powrotem do torby Sanjany i przygarbiony opada z powrotem na popękana posadzkę.

– A co z osłonami? Może jeśli przez dość długi czas wystawimy ją na ich działanie...?

Kręcę głową.

– Są mniej potężne niż impuls. Nie ma szans.

Na chwilę zapada milczenie, ale w końcu odnajduję głos i odchrząkuję.

– Wiemy, dlaczego jest inna – mówię cicho.

Kiedy Tarver się nie odzywa, opowiadam Sanjanie historię, którą wcześniej on nam opowiedział. O tym, jak Lilac umarła, powróciła i przyniosła ze sobą połączenie z drugą stroną szczeliny, która nieubłaganie przyciągała ją z powrotem do szeptu.

– A teraz – dodaje Sofia, kiedy kończę – LaRoux wysłała dyplomatów z powrotem na wszystkie planety z planami wybudowania kolejnych szczelin takich jak ta na Avonie czy ta tutaj. Lilac zadbała o to, by wydawało mu się, że wciąż jest u sterów, że nie ryzykuje. On traci zmysły, a ona w każdej chwili może go zawieść nad przepaść. Kiedy uda mu się wszystko zorganizować, ona rozsiewe szept jak infekcję, aż wszyscy mieszkańcy Galaktyki staną się takimi pustymi skorupami. Chyba że wymyślimy, jak ją powstrzymać.

– Na Avonie zniszczyliśmy szczelinę. – Flynn ma zmartwiony głos. – To także powstrzymało szept. Mieliśmy nadzieję, że wiesz o tutejszej szczelinie dość dużo, by powiedzieć nam, jak ją zniszczyć.

– Mieliśmy nadzieję, że będziesz chciała nam pomóc – dodaje Sofia. – Skoro już raz byłaś na to gotowa.

– Pomóc... – Sanjana jeszcze bardziej marszczy czoło, a jej źrenice się rozszerzają. – To ty jesteś Alexis? To z tobą miałam się spotkać tamtego dnia, kiedy w siedzibie głównej LRI planowano protesty?

– Tak, tylko że naprawdę nazywam się Sofia. Kiedy zjawili się w moim mieszkaniu, martwiłam się, że cię złapali. Dziękuję, że próbowałaś mnie ostrzec.

– Cieszę się, że jesteś bezpieczna. Nie wiedziałam... – Sanjana kręci głową. – Nie wiem, czy potrafię wam pomóc, ale spróbuję. W jaki sposób zniszczyliście inne szczeliny?

– Nie sądzę, by wtedy na Avonie LaRoux wiedział, jak budować osłony podobne do tych, których używamy teraz – odpowiada pospiesznie Jubilee. – W szczelinę wbudował mechanizm samozniszczenia, pewnie po to, by mógł zakończyć projekt, jeśli ten wymknie się spod kontroli. Teraz nie będzie mu potrzebny.

– Nie – zgadza się Sanjana. – Wątpię, by w tej szczelinie znajdował się tego typu przełącznik. LaRoux nie popełnił dwa razy tego samego błędu.

Tarver zwleka z odpowiedzią.

– Nie jestem pewien – mówi w końcu. – Wskoczyłem do szczeliny z Lilac. Prawdę mówiąc, wydawało mi się, że zginę, ale pomyślałem, że jest szansa na jej uratowanie. Myślę, że to same szepty zniszczyły szczelinę.

– Każdy portal pomiędzy wymiarami jest zapewne bardzo niestabilny – ciągnie Sanjana cicho. – Dołożenie własnej energii i zaburzenie pola przez wskoczenie do szczeliny mogło uwolnić uwięzione w środku szepty i pozwolić im zniszczyć własne więzienie. Jednak coś tak niestabilnego jest równocześnie nieprzewidywalne, poza tym nie wiemy, jakie zmiany wprowadził LaRoux. W końcu tamta szczelina była pierwsza. Od czasu jej skonstruowania pewnie sporo się nauczył. Gdybyś znów miał tego spróbować, mogłoby się okazać, że właśnie tego pragnie szep, że to otworzy portal i wypuści większą liczbę podobnych jemu istot.

– Myślę też, że tym razem mógłbym tego nie przeżyć – mówi Tarver, a w jego głosie pobrzmiewa ton, który mnie przeraża. Ton, który sugeruje, że śmierć to dla niego pewna opcja, że jeśli będzie to konieczne, poświęci się. – Nie wiem jednak, czy do rozproszenia energii trzeba było nas dwoje, czy chronił mnie związek Lilac z szeptami.

Sanjana przez chwilę się zastanawia, po czym kręci głową.

– To tylko teoria. Poruszam się po omacku bez asekuracji. Nie było mi dane pracować nad tym projektem bezpośrednio, więc mam ograniczoną wiedzę na ten temat.

– Ale coś ci przyszło do głowy. – Tarver się upiera. – Poznaję to po twojej minie.

Sanjana powoli wypuszcza powietrze.

– Cóż... Te istoty, szepty... To nie ich miejsce. Należą do własnego świata, do czegoś, co nazywają hiperprzestrzenią. Podobnie jak trzeba ogromu energii, żeby statek przeskoczył przez hiperprzestrzeń i podróżował pomiędzy układami gwiazdnymi, trzeba ogromu energii, żeby utrzymać tu szepty. Ich wszechświat próbuje je przyciągnąć, ale szczelina... Widzieliście to, prawda? Wygląda jak silnik hiperprzestrzenny, gigantyczny pierścień, a uruchomiony świeci na niebiesko... – Przerzywa, a niektórzy z nas kiwają głowami. – To szczelina przytrzymuje je tutaj, po naszej stronie. Tworzy małe pęknięcie w materii rozdzielającej światy i nie pozwala im się wydostać. To niezwykle misterna, delikatna równowaga, którą zarządzają najbardziej skomplikowane programy wszechświata. Teoretycznie, gdyby komuś udało się napisać ten program od nowa i nieco szerzej otworzyć szczelinę, przyciągającym je siłom mogłoby się udać wessać szepty przez szczelinę z powrotem do ich świata. Fizycznie Lilac zostałaby tutaj.

– Fizycznie? – Głos Tarvera lekko się wzdryga. – A mentalnie? Co będzie z nią, z jej myślami i wspomnieniami?

Sanjana z niepokojem pociera skronie.

– Nie wiem. Być może nic jej nie będzie.

– Na pewno – szepcze Tarver. – Jeśli ktokolwiek jest w stanie to przeżyć, to właśnie ona. Możesz to zrobić? Zaprogramować szczelinę, by odesłała szepty?

– Tarverze, nie jestem programistką. Zajmuję się teorią, fizyką... Przeprowadzenie czegoś takiego przekracza moje możliwości i doświadczenie. LaRoux dysponuje zespołem piętnastu najlepszych programistów w Galaktyce, którzy bezustannie poprawiają i dopracowują tę całą maszynę. Zanim uciekłam, zdobyłam wydruki fragmentów kodu, ale całe lata zajęłoby mi zrozumienie, co czytam. To... to tylko teoria.

Wzrok Tarvera, teraz zaniepokojony, nie opuszcza twarzy Sanjany. Odzywa się dopiero Sofia i choć mówi do wszystkich, spogląda na mnie.

– Tak się składa, że mamy tu jednego z najlepszych programistów w Galaktyce. Doktor Rao, przedstawiam Waleta Kier.

Wzrok zebranych przenosi się na mnie, ja jednak wciąż spoglądam na Sofię, próbując rozszyfrować wyraz jej twarzy w migotliwym świetle rac. Nie wiem, czy kiedy używa mojego pseudonimu, w jej głosie jest ta sama gorycz, to samo poczucie zdrady, to samo obrzydzenie, nie wiem, czy w jej oczach czai się niepokój, kiedy na mnie patrzy. Nie wiem nawet, czy sama to wie.

– Dasz radę? – Uwaga, którą przenosi na mnie teraz Tarver, przygniata mnie jak dwutonowy ciężar.

Już rozumiem, dlaczego Sanjana tak się wahała.

– Nie wiem – odpowiadam zgodnie z prawdą. – Musiałbym przeczytać wydruki, nauczyć się tego języka... Niewykluczone, że dam radę. Ale nie mam tu

sprzętu, zabrałem minimum rzeczy. To ryzykowne.

Twarz Tarvera się zmienia, jego żuchwa się rozluźnia. Z nową energią sięga po torbę Sanjany. Nie jestem pewien, czy w ogóle usłyszał słowo „ryzyko”. Szuka wydruków, z których dowiem się, co powinienem zrobić. Mimo nadziei, która wstąpiła w Tarvera, Sanjana nie wydaje się przekonana. Otwiera usta, by coś powiedzieć, ale milczy.

Ciszę znowu przerywa Sofia, która odczytuje dyskomfort Sanjany, jak gdyby nad głową badaczki świecił się neonowy znak.

– O co chodzi? – pyta łagodnie kobietę. – Po prostu nam powiedz.

Sanjana przełyka ślinę.

– Ja... Myślę, że podejmowanie tej próby to zły pomysł.

Na te słowa Tarver gwałtownie przerywa wykonywane czynności.

– Dlaczego?

Sanjana bierze głęboki oddech.

– Posłuchaj, Tarverze... Wiem, że to niemożliwe. Boże, gdyby chodziło o Ellie, o kogoś, kogo kocham, zrobiłabym wszystko, by ją uratować. Tylko że...

– Powiedz. – Nadzieja Tarvera maleje jak zduszony ogień, który zamienia się w żar w oczekiwaniu, że ktoś go podsyci.

– Ta równowaga, siły zaangażowane w to, by pęknięcie było na tyle otwarte, żeby utrzymać istoty w środku, ale nie na tyle, żeby je wypuścić... Nie wyobrażasz sobie, jakie jest delikatne. Owszem, zaburzenie tej równowagi mogłoby wyzwolić Lilac. Ale mogłoby jej również dać nieskończoną moc, sprawić, że będzie niepokonana, że nikt jej nie powstrzyma. Mogłoby ją na zawsze związać z tą istotą. Trwale by się ze sobą zespolili. Nie byłoby niczego, czego nie potrafiłaby dokonać, mogłaby krzywdzić do woli. I nie mówię tu o najgorszym możliwym scenariuszu.

Kiedy próbujemy sobie wyobrazić coś gorszego niż wszechpotężny szept pragnący zemsty, zapada gęsta cisza.

W końcu Sanjana znów się odzywa, wpatrując się w swoją bezwładną rękę, i widzę, jak wielką trudność sprawiają jej te słowa.

– Majstrowanie przy szczelinie mogłoby umożliwić szeptowi całkowite odcięcie nas od hiperprzestrzeni. Wyobraźcie sobie tylko, co by to oznaczało.

Zamieram, Sofia i ja wymieniamy spojrzenia. Rozmawialiśmy o tym za pierwszym razem, kiedy uświadomiliśmy sobie istnienie szeptów.

– Stracilibyśmy możliwość podróży międzyplanetarnych – mówię. – Nie moglibyśmy już osiągnąć nadświetlnej prędkości. Podróże trwałyby kilkaset lat.

– Nigdy nie wrócilibyśmy do domu – wzdycha Flynn, spoglądając na Jubilee.

– Całe planety by wymarły – mamrocze Sofia. – Każda kolonia, która wciąż przechodzi terraformację i której los zależy od dostaw z zewnątrz.

– Cholera – szepczę. – Los Koryntu też od nich zależy. Nie mamy tu pól

uprawnych, nie produkujemy żywności, importujemy ją.

Przed moimi oczami pojawiają się obrazy przypominające przyspieszony film. W porównaniu z tym chaos spowodowany upadkiem Dedala byłby błahostką. Bylibyśmy świadkami zamieszek, głodu. To byłby dosłownie koniec naszego świata.

– A bez dostępu do hiperprzestrzeni nie mielibyśmy hipernetu – zauważa Sanjana, powtarzając ostrzeżenie, którym podzieliłem się z Sofią. – Nasza komunikacja nie osiągałaby już prędkości światła.

– Więc nie moglibyśmy przekazać innym planetom, co się wydarzyło – kończy za nią Flynn. – Wszystko pograżyłoby się w ciemności.

Umorusana twarz Sofii blednie.

– Czy ona tego właśnie pragnie? Uzналиśmy, że ta istota próbuje dokonać tego, co LaRoux, że oboje chcą zainstalować szczeliny na każdej planecie. Jedyna różnica w tym, kto przejmie kontrolę, kiedy maszyny zostaną uruchomione. Co, jeśli szept próbuje zwiększyć swój zasięg, żeby odciąć nas od swojego wszechświata?

– Jeśli więc nie możemy zniszczyć szczeliny ani odesłać szeptu do jego wszechświata, bo ryzykowalibyśmy odcięciem... – Frustracja Jubilee przemawia do każdego z nas. – Jaką jeszcze mamy możliwość?

Sanjana nie patrzy na Tarvera. Zamiast tego wpatruje się w swoją protezę, choć ta jest zimna i nieruchoma.

– Do tej pory istoty zawsze zamieszkiwały szczeliny i kierowały swoje mentalne umiejętności na zewnątrz, by na was wpłynąć, by wpłynąć na mieszkańców Avonu i Werony. Zniszczenie tych szczelin, tych kanałów, niszczyło także szepty. Jednak w tym przypadku ta istota zamieszkuje Lilac. Szczelina nie jest już kanałem. Lilac nim jest.

– Co chcesz przez to powiedzieć?

Ciało ściska mi się z nerwów. Sofia blednie i szuka mojego spojrzenia. Zapada cisza, nikt nie chce analizować słów badaczki. Pytanie Jubilee zawisa w powietrzu. Nikt nie spogląda na Tarvera.

Ale koniec końców to on udziela odpowiedzi:

– Chce powiedzieć, że musimy zabić Lilac.

Odkąd niebieskooki mężczyzna do mnie przyszedł, minęło wiele lat, ale teraz przychodzi co dzień, oszalały i wycieńczony.

– Gdzie ona jest? – pyta, krążąc wokół szczeliny i niemal uderzając pięścią w maszynię. – Statek spadł... Bóg jeden wie, gdzie się rozbił. Wiem, że potrafisz ją odnaleźć. Musisz ją odnaleźć. Niech to szlag! Musi być sposób, żeby... Nie pozwolę, żeby ją także mi odebrano!

Gdybym potrafił mówić, powiedziałbym mu, że nic nie czuję ze względu na to, że trzyma mnie w niewoli. Gdybym w ogóle miał ochotę cymkolwiek się z nim dzielić.

Wtedy zaczynam coś czuć. Przyływ mocy tak silny, że wyczuwam go nawet przez całkowitą pustkę, która mnie otacza. Ostatni oddech moich braci znajdujących się w pierwszym przerzedzeniu... Przyływ radości, wolności i wdzięczności tak silny, że niemal zapominam o własnej rozpacz. Dopóki wszystko nie niknie, a ja znów zostaję sam.

Nie... nie sam. Wciąż coś czuję, pozostałość tego, czego dokonali moi bracia. Gdzieś w Galaktyce istnieje naczynie, coś, co łączy mnie z moim światem. Coś przywrócili. Kogoś.

Ją.

Pozostanę nieruchomy i cichy.

I poczekam na swoją szansę.

SOFIA

– To nie wchodzi w grę – mówi Jubilee ostro, zrywając się na nogi.

– Mnie także się to nie podoba – odpowiada Sanjana szybko. – Ale to jedyne rozwiązanie, jakie przychodzi mi do głowy.

– Znajdź inne! – Krzyk Jubilee odbija się od popękanych marmurowych ścian, po czym ustępuje gwałtownej, przejmującej ciszy.

Sanjana próbuje się skupić.

– To tak nie działa. Nie można nagle uznać, że jakieś zmienne są nieprawdziwe i że dowód nie jest tym, czym nie chcesz, żeby był... Nie możemy wymyślić sposobu, by zmienić fizykę, pani kapitan.

Korzystam z chwilowego milczenia, by się podnieść, ignorując zawroty głowy, które towarzyszą zmęczeniu.

– Powinniśmy odpocząć – mówię spokojnym, ciepłym głosem. Słuchajcie mnie, idźcie za moim głosem. Jestem po waszej stronie. Na Avonie żołnierze słuchali tego głosu, działał zawsze, ilekroć chciałam uspokoić swoich informatorów. Działa wyłącznie wtedy, kiedy nie przestaję mówić, by słuchacze nie zorientowali się, że nie mogę być po stronie ich wszystkich. – Nie możemy zmienić tego, co się stało. A jeśli to ona strzeże szczeliny, nie zrobi niczego, co mogłoby przyciągnąć do niej uwagę. Mamy czas i musimy dać Gideonowi szansę, by naprawił nasze osłony, zanim ktoś nas zobaczy. Możemy się z tym przespać. Musimy się z tym przespać. Padamy z nóg.

Pozostali z ociąganiem rozsiadają się po kątach, znajdują sobie miejsca w różnych witrynach, by rozprostować kości. Jubilee wyjmuję kolejną racę z plecaka i rzuca ją Gideonowi, po czym cofa się, by wraz z Flynnem przycupnąć w cieniu gruzów blokujących dostęp do końca pasażu. Gideon pomaga Sanjanie wstać, podtrzymując ją w drodze do pobliskiego sklepu jubilerskiego. Wiem, że chce przedyskutować z nią szczegóły włamania do szczeliny w miejscu, gdzie Tarver nie będzie ich słyszał, by nie robił sobie nadziei. Gideon pomaga Sanjanie się ułożyć, po czym staje w sklepionym przejściu sklepu, a ja dostrzegam, że rzuca mi ukradkowe spojrzenie. Czuję, że mnie obserwuje, czuję ciężar tych wszystkich rzeczy, które chciałabym mu powiedzieć.

Nie rozmawialiśmy ze sobą od gali na Dedalu. Nie tak, jak powinniśmy. Nie było na to czasu, nie udało nam się zostać sam na sam. Pamiętam jednak wstrząs w jego oczach, kiedy zobaczył, że wyciągam pistolet, jakby to wszystko zdarzyło się pięć minut temu, i za każdym razem, kiedy to przeżywam, coś się we mnie skręca. Chcę przeprosić i się bronić. Chcę mu powiedzieć, że gdybym mogła

cofnąć się w czasie, wybrałabym jego zamiast zemsty, i że gdybym miała szansę, raz jeszcze strzeliłabym do LaRoux. Chcę mu ufać, a jednocześnie chcę, by odszedł i już nigdy nie patrzył na mnie w ten sposób. Chcę na niego naskoczyć za to, że okłamał mnie w sprawie Waleta i dorastał obok córki wroga. Chcę mu wypomnieć, iż wielokrotnie mnie zwodził.

Chcę, by wiedział, że nie powiedziałam mu o planach zamordowania Rodericka LaRoux tylko dlatego, że wiedziałam, iż będzie mnie próbował od nich odwieść. W głębi serca czułam, że mu się to uda. Chcę, by wiedział, że żałuję, iż tego nie zrobił. Tak bardzo chciałabym mu zaufać na tyle, by to powiedzieć. A jednak moje usta się nie poruszają, z gardła nie wydobywa się głos.

Kiedy udaje mi się ponownie unieść głowę, w drzwiach już nikogo nie ma. Dobiega mnie cichy głos Gideona mieszający się z głosem badaczki.

Tarver i ja zostaliśmy sami. Od czasu katastrofy działa na autopilocie, ścigając jeden niedostępny przeblysł nadziei za drugim. Nie trzeba być ekspertem, by zobaczyć, że na jego twarzy maluje się pustka. Nie wiem nawet, czy zdaje sobie sprawę z tego, że jestem obok, czy jest na tyle świadomy swojego otoczenia, by zauważyć moją obecność.

Nagle odzywa się zachrypniętym głosem:

– Kiedy straciłem ją po raz pierwszy, zamierzałem się zabić.

Przełykam ślinę, niepewna, czy mówi do siebie, czy do mnie. Podnosi jednak głowę i na mnie zerka.

– Nie wiem, jak dałem radę dalej żyć. Nie wiem, co powstrzymało mnie przed pociągnięciem za spust. – Powoli opiera się o ścianę, podnosi podbródek i spogląda w stronę sklepienia. – Teraz już mi nie zależy.

Ściska mi się serce i mam trudności ze złapaniem oddechu. Z tym, co robię, zawsze wiąże się poczucie winy – wykorzystywanie ludzi pozostawia po sobie żal, ze względu na mnie samą i na nich. Ale nigdy nie czułam tego co teraz – przygniatającego, duszącego ciężaru drążącego mnie coraz głębiej i głębiej.

– Przepraszam – szepczę. – Nie chciałam... – Odtwarzam w pamięci chwilę, kiedy Lilac upadła. Przypomina powtarzającą się raz po raz fotografię. – Przepraszam.

Tarver przeciera twarz dłonią, jak gdyby mógł się pozbyć swojej reakcji na mój głos.

– To nie twoja wina.

– Strzeliłam...

– Może skróciłaś lont – przerywa mi, opuszczając głowę i znów obrzucając mnie spojrzeniem. – Ale eksplozja i tak by nastąpiła.

Jego słowa nie powinny mnie pocieszać, a jednak, w jakiś okropny sposób, pocieszają. Biorę kolejny oddech, ale nie potrafię wymyślić żadnej odpowiedzi.

– Ostatni rok... – Tarver kręci głową. – Wciąż jest Lilac. Zawsze była Lilac.

Ale się zmieniła. Wyczuwała je... Szepty... Bez względu na to, jak bardzo się od nich oddalaliśmy. Miewała sny. Budziła się w środku nocy z płaczem. Czasem odpływała, rozmawiała z ludźmi, którzy nie... – Raz jeszcze kręci głową i wzdycha. – Wydaje mi się, że przez cały czas chcieli ją dopaść.

– Dlaczego?

– Nie wiem. – Znów na mnie spogląda, a bezradność w jego wzroku kontrastuje z uśmiechniętą twarzą i władcą sylwetką, jaką prezentował we wszystkich programach pokazywanych w holowizji i na sesjach zdjęciowych. – Te istoty, które spotkaliśmy na Elizjum, tak by nie postąpiły. Nie nazwałbym ich dobrymi, nie wiem nawet, czy znały pojęcie dobra. Ale nie były złe. Nie były okrutne. Miały chyba poczucie sprawiedliwości. To coś, co odebrało mi Lilac... Kiedy mnie pocałowała... – Jego twarz marszczy się, a następnie tężeje. – To coś było okrutne.

Nie wiem, co powiedzieć, więc przez jakiś czas siedzimy w milczeniu, nie odzywamy się ani nie spoglądamy na siebie z przeciwległych krańców pomieszczenia. Siedząc tutaj w towarzystwie kogoś tak samo pokiereszowanego i zranionego jak ja, odczuwam dziwne ukojenie. Choć ten jeden raz nie jestem bardziej połamana niż świat wokół mnie. To okropne i uzdrawiające zarazem.

– Miałaś rację – mówi Tarver łagodnie, kiedy po jakimś czasie przerywa milczenie. – Powinniśmy odpocząć, póki możemy.

– Zostawię cię. – Przyciskam dłoń do ziemi, gotowa się podnieść i znaleźć sobie jakieś miejsce wśród gruzów, żeby się przespać.

– Nie – rzuca Tarver szybko i choć na mnie nie patrzy, wiem, że kątem oka mnie widzi. – Zostań.

Waham się. Jestem tak zmęczona, że ilekroć Tarver się odzywa, dzwoni mi w uszach. Moje zmęczone myśli przywołują pewne wspomnienie, zaczynam myśleć o Flynnie i o czasie, kiedy ukrywaliśmy się w naszym domu na Avonie, gdy musiał uciekać. Pamiętam, jak po wielu bezsennych nocach w końcu zasnęłam... Jakimś cudem wyczuwałam go w pokoju, który należał do mojego ojca. Niewielkie zmiany w powietrzu, niesłyszalne dźwięki, nieprzeniknione sygnały, że w tej pustej przestrzeni przebywa ktoś jeszcze.

– Dobrze – szepczę.

Tarver w końcu opiera głowę o ścianę, a po jakimś czasie kładzie się, podkładając sobie ramię pod głowę. Czekam, aż jego oddech się wydłuży, a potem cicho wstaję i prześlizguję się przez drzwi sklepu, by dołączyć do Gideona i Sanjany.

– Nawet gdybyśmy wiedzieli, że to zadziała – mówi właśnie Sanjana cicho, ale dobitnie – i że przypadkowo nie rozerwiesz szczeliny... ryzyko jest zbyt duże.

Mój but szura po odłamkach, tak że oboje podskakują i wykręcają szyje, by na mnie spojrzeć.

– Czy bardzo by ryzykował? – pytam. Nie zamierzam nawet przeproszać za to, że podsłuchiwałam.

Gideon wzdycha, a jego oddech odbija się od popękanych ścian.

– Nie.

Trzyma stos dokumentów pokrytych tekstem, które czyta w świetle racy. To kod wydrukowany przez Sanjanę. Nie pamiętam, kiedy po raz ostatni widziałam jakiś wydruk na papierze. Jej dalekowzroczość mi imponuje. Gdyby zgrała te informacje na nośnik danych lub palmpada, teraz, po impulsie, nie mielibyśmy czego oglądać.

– Nieprawda – protestuje Sanjana ostro, obrzucając Gideona sugestywnym spojrzeniem, a następnie przenosi wzrok na mnie. – Musiałby się tam znaleźć, przy szczelinie. Nie jest podłączona do żadnej sieci. LaRoux jest zbyt bystry, by pozwolić, żeby do czegoś takiego można się było dostać zdalnie. Gideon musiałby stworzyć wirusa, po czym dostarczyć go osobiście, fizycznie, podłączając go bezpośrednio do szczeliny.

Opieram się o kolumnę za swoimi plecami, pozwalając, by częściowo zdjęła ciężar z moich zmęczonych stóp.

– My też byśmy tam byli. Pomogliśmy mu się przedrzeć przez grupę skorup.

– Nie o takim niebezpieczeństwie mówię. – Sanjana pociera oczy i uświadamiam sobie, że jest równie zmęczona, jak my. – Wspominałam, że szepty manipulują energią neuronową i w ten sposób robią to, co robią. Szczelina jest źródłem tej mocy. Gideon musiałby wejść w kontakt z tą szczeliną, a z tym wiąże się ryzyko, że ich moc zaleje mu umysł.

Gideon na mnie nie patrzy, zajęty przekładaniem wydruków, kartkowaniem ich i układaniem w stosiki.

– Co mogłoby mu się stać?

– Może nic – odpowiada Sanjana. – Ale mógłby też zginąć. Mógłby zwariować. Mógłby stracić wszelkie wspomnienia i myśli, które kiedykolwiek miał w głowie. Nie sposób tego przewidzieć.

Robi mi się sucho w ustach. Gdzieś w głębi duszy wiem, że nie odważymy się tego spróbować, bo jeśli coś pójdzie nie tak, Lilac zyska jeszcze większą władzę. To wszystko mogłoby doprowadzić do zniszczenia świata, który znamy, do upadku ludzkości. Ale tu i teraz myślę jedynie o tym, że ta próba mogłaby zniszczyć siedzącego obok mnie chłopaka, który przekłada papiery, by nie musieć na mnie patrzeć.

Nie spuszczam go z oczu, choć on wciąż odwraca ode mnie twarz, nie pozwalając mi zobaczyć, co myśli. „Nie – chciałabym powiedzieć. – Nigdy w życiu. To zbyt niebezpieczne. To zbyt wielkie poświęcenie. Nie obchodzi mnie, czy jest Waletem, mógłby być kimkolwiek. Nie pozwolę mu na to”.

– Spróbuję się przespać – mówi w końcu Sanjana, patrząc to na Gideona, to na mnie. Wyciąga zdrową rękę, by powstrzymać chłopaka, kiedy ten chce jej pomóc. – Nie trzeba. Może w najbliższym czasie nie przebiegnę maratonu, ale kilka pękniętych żeber nie przeszkodzi mi znaleźć sobie miejsca, w którym będę się mogła przekimnąć. – Uśmiecha się niewyraźnie i powoli wychodzi ze sklepu.

Wpatruję się w Gideona, ale nie widzę jego twarzy, zasłoniętej włosami i odwróconej. Czuję, że dłużej tego nie zniosę. Odpycham się od kolumny i siadam obok niego na podłodze.

– Nie możesz tego zrobić – wyrzucam z siebie, a głos łamie mi się ze zmęczenia.

Spogląda na mnie nieprzeniknionym wzrokiem. Nie dlatego, że nie ma w nim emocji, ale dlatego, że na jego twarzy maluje się tyle kontrastujących ze sobą uczuć, że nie potrafię odróżnić jednej myśli od drugiej.

– To tylko teoria – odpowiada łagodnie. – Bezużyteczna, chyba że wymyślimy sposób, by upewnić się, iż nie popełnimy żadnego błędu. Nie możemy ryzykować, że Lilac stanie się dość potężna, by nas zniszczyć lub odciąć.

Przełykam ślinę, próbując złagodzić suchość w gardle, i przechylam się w bok, aż w końcu głośno uderzam o ścianę. Zamykam oczy, jak gdyby odcięcie się od niego odcinało też wszystko inne.

– Jak twoja ręka? – pyta Gideon cicho.

Zaskoczona otwieram oczy i spoglądam w dół, gdzie na mojej dłoni znajduje się niechlujny i naderwany bandaż przypominający mi o momencie, kiedy ledwo uszliśmy z życiem. Właśnie tą dłonią go chwyciłam, gdy wraz z Tarverem wyszarpnęliśmy go skorupom. Nic nie czułam. Zginam i rozprostowuję palce, a tępy ból promieniujący w miejscach, gdzie znajdowały się oparzenia, stanowi jedyne przypomnienie wyboru, jakiego dokonałam na Dedalu. Eksplodujący plastenowy pistolet z łatwością mógł mnie zabić. Tymczasem regeneratory skóry Mori sprawił, że na mojej dłoni nie został nawet ślad.

– Lepiej – szepczę.

Cisza, przerywana jedynie delikatnym szeleszczeniem sugerującym, że w sąsiednim pomieszczeniu Tarver wierci się przez sen, spowija nas niczym wijąca się liana. Im bardziej się wydłuża, tym ciężiej się przez nią przedrzeć. Chcę coś powiedzieć, ale nie wiem co. Mogłabym przeprosić, ale nie żałuję, bo oszukiwał mnie tak jak ja jego. Gideon i ja byliśmy jak domek z kart, nic poza tym. Koniec końców i tak byśmy się rozpadli.

Nie powinnam rozpaczać po utracie czegoś, co tak naprawdę nigdy nie istniało. A jednak kiedy tak siedzę w ciemności, walczenie z pokusą, by zwrócić się ku niemu, wyciągnąć do niego ręce, rzucić się mu w ramiona i powiedzieć... cokolwiek, wszystko, to, co mogę... wymaga ode mnie nadludzkiego wysiłku.

Moja samokontrola lekko się kruszy. Odwracam głowę i chcę spojrzeć na

jego profil, ale on patrzy prosto na mnie, a jego oczy błyszczą w świetle racy. Wyciąga do mnie ręce, a ja wstrzymuję oddech. Muska mój policzek palcami, znacząc łuk w kierunku żuchwy. Wzdryga się na myśl o tym, że musiałby cofnąć rękę.

– Czy cokolwiek z tego było prawdziwe? – szepcze.

Nie wiem, czy naprawdę chce znać prawdę, czy tylko powtarza słowa, które kiedyś do niego powiedziałam.

Wbrew zdrowemu rozsądkowi przechylam głowę, niezdolna się oprzeć jego dotykowi.

– Nie wiem.

Gideon wstrzymuje oddech. Raca oświetla go na tyle, że na jego ustach dostrzegam cień uśmiechu.

– Nie wierzę ci.

Serce wali mi jak oszalałe. Jedyną rzeczą gorszą od siedzenia tutaj w bezruchu byłoby to, gdybym się poddała, przylgnęła do niego i poczuła, że on się cofa. Albo gdybym sama się cofnęła. Chcę go pocałować, chcę się w niego wtulić, ale to, co do niego czuję, jest tak dezorientujące, że nawet ten instynkt mógłby się okazać kłamstwem.

– Gideonie, ten plan... – zaczynam, ale nie wiem, co powiedzieć, więc moje słowa rozplywają się w powietrzu.

Gideon milczy i wstrzymuje oddech, zastanawiając się nad odpowiedzią. W końcu szepcze:

– Gdyby chodziło o ciebie...

– Gdyby chodziło o mnie – przerywam mu, zapominając o szepcie – nie zrobiłabym tego. – Prawdę mówiąc, nie mam pojęcia, co zrobiłabym na jego miejscu, ale nie wiem, jak inaczej mogłabym go przekonać, by się tego nie podejmował. – Nie podjęłabym ryzyka, że postradam zmysły, że... utracę siebie dla planu, który i tak mógłby się skończyć destrukcją świata. To głupie i nieodpowiedzialne. I choć lubisz robić to, co głupie i nieodpowiedzialne, może się okazać, że ryzykujesz bez sensu. Nie mogę spokojnie patrzeć, jak się na to decydujesz.

Gideon czeka, lekko unosząc brew. Po mojej przemowie zapada cisza.

– Skończyłaś?

Po tym wybuchu trudno mi oddychać. Jestem tak zmęczona, że moje emocje buzuja tuż pod powierzchnią skóry. Opieram się o ścianę i przeczesuję włosy.

Kiedy na niego zerkam, spodziewam się ujrzeć rozdrażnienie, on jednak się uśmiecha, a kąciki jego warg drgają w rozbawieniu.

– Kiedy mi przerwałaś – szepcze – chciałem powiedzieć, że gdyby chodziło o ciebie, w tamtym wraku... Gdyby chodziło o twoje życie, duszę lub tożsamość, gdybym musiał wybrać pomiędzy tobą a całym światem? Już bym działał. Ani

chwili bym się nie wahał.

Nie mogę odpowiedzieć. Nie potrafię sformułować żadnej myśli. Skradł mi oddech, słowa i zostawił jedynie odległy szum w uszach. Nie mogę oddychać, czuję się tak, jak gdyby ziemia się pode mną rozstępowała, gotowa mnie pochłonać, i nie wiem nawet, czy mnie to obchodzi.

– Gideonie...

– Mój brat czuł do niej to samo. Nie jestem gotowy zawieść żadnego z nich.
– Znów wyciąga rękę, ale jego palce zatrzymują się o centymetr od mojej twarzy.

Czuję ich siłę, jak gdyby coś fizycznie mnie do niego przyciągało. Już mam się wtulić w jego dłoń, kiedy Gideon opuszcza rękę i wstaje.

– Prześpij się – mówi cicho, po czym wymyka się na zewnątrz.

Budzi mnie chrzęst kamieni i pokruszonego betonu. Dopiero kiedy wychodzę z gruzowiska, które zostało ze sklepu jubilerskiego, widzę, że przez otwór sączy się do pasażu światło poranka. Gdy weszliśmy do środka, wciąż był dzień... Musiałam przespać dwanaście godzin. Mięśnie karku napinają się, jak gdyby to potwierdzając i skarżąc się na posłanie z zimnego marmuru i rumowiska.

Flynn i Jubilee już nie śpią i się krzątają. To oni robią hałas, który mnie obudził. Kiedy Flynn widzi mnie w futrynie, przesyła mi uśmiech i rzuca jedno z jabłek zabranych z posiadłości LaRoux.

– Dzień dobry – wita mnie. Udaje mu się nawet wywołać na mojej twarzy uśmiech.

– Czy naprawdę jest kolejny dzień? – mamroczę, niezgrabnie łapiąc jabłko. Ciało z trudem próbuje strząsnąć z siebie sen i nie mam jeszcze dobrego refleksu.

– Owszem – odpowiada Sanjana siedząca po drugiej stronie pomieszczenia. Je śniadanie składające się z banana i czegoś z torebki oznaczonej symbolem lambda LRI, którą zapewne zabrała z pracy. – Spałaś?

– Jak pacjent w śpiączce. – Wgryzam się w jabłko, a moje podniebienie żywo reaguje na jego smak. Nagle odkrywam, że jestem wściekle głodna, jak gdyby teraz, kiedy się przespałam, moje ciało było gotowe rozprawić się z kolejnymi problemami z listy.

Nie potrafię się zmusić, by usiąść, więc pochłaniam jabłko, krążąc po niewielkiej powierzchni w pasażu, gdzie nie runęły żadne belki. Przykucam i zaglądam do niszy, w której wczorajszego dnia zniknęli Flynn i Jubilee. Jest pusta. Prostuję się i rozglądam.

– Hej... – Przetykam kęs jabłka. – Gdzie jest Gideon?

Sanjana patrzy na mnie znad śniadania.

– Sądziłam, że został tam z tobą. – Przekrzywia głowę w kierunku sklepu, w którym spałam.

– Nie. – U podstawy kręgosłupa czuję pierwsze dreszcze przerażenia. – Gdzie Tarver?

Jubilee spogląda na Flynna, który kręci głową.

– Myślałam... – Dziewczyna zerka na wejście skąpane w porannym świetle.

– Chyba poszedł się przewietrzyć.

Wciąż rozglądam się po pasażu, jak gdyby kolejne spojrzenie miało sprawić, że jeden z nich się zmaterializuje. Nagle coś sobie uświadamiam.

– Jego sprzęt – sapię, upuszczając jabłko.

– Co? – Stojąca w drzwiach Jubilee odwraca się do mnie.

– Sprzęt Gideona. Jego gogle, dyski, lap-ekran... zniknęły.

Sanjana wydaje niezrozumiały okrzyk.

– Osłony... – Wskazuje miejsce przy drzwiach, gdzie leżą dwie z nich, naprawione, jedna na drugiej. Jej i Flynna. Ta, której używał Tarver, zniknęła.

Spoglądam to na nią, to na Flynna, a następnie na dziewczynę przy drzwiach. Jubilee przez dłuższą chwilę patrzy mi w oczy. Zaczynam biec w stronę wyjścia. Przepycham się obok niej na ulicę, wykrzykuję imiona Gideona i Tarvera... Ona i Flynn dołączają do poszukiwań i choć musimy przestać ich wołać, by nie ściągnąć na siebie uwagi skorup, rozpierzchamy się, żeby przetrząsnąć całą przecznicę, budynek po budynku. Dopiero kiedy spotykamy się z powrotem w pasażu, widok poszarzałej twarzy Sanjany sprawia, że się zatrzymuję.

– Nie ma wydruków kodu – szepcze.

Gideon i Tarver zniknęli.

– Musimy ich dogonić – mówi Jubilee nagle i rusza w stronę swojego plecaka, by zacząć chować do niego zapasy, gotowa natychmiast wyruszyć.

– Poczekaj, Jubilee. – Moje ciało żąda ode mnie reakcji, a strach i niepokój sprawiają, że mam ochotę wyskoczyć z ukrycia i podążyć za nimi. – Nigdy ich nie dogonimy. Mogli wyruszyć wiele godzin temu. Nawet nie wiemy, którędy poszli.

– Musimy ich powstrzymać przed próbą uratowania Lilac. – Sanjana krzywi się, zdrową ręką dotykając połamanych żeber.

Jubilee lekko unosi brwi, rzucając badaczce spojrzenie z ukosa.

– Merendsena nie można przed niczym powstrzymać. Robi, co chce. Można mu pomóc lub zejść mu z drogi.

– Posłuchajcie – wtrącam się, nie pozwalając Sanjanie odpowiedzieć. – Nie wiemy, gdzie są, ale wiemy, jaki mają cel. – Z trudem przetykam ślinę, próbując zwalczyć dławiącą mnie mieszaninę poczucia winy, bólu i strachu. – Mam pomysł, jak dostać się na Dedala, nie walcząc z każdą skorupą w mieście. Jeśli uda nam się zejść do podziemnego miasta, może dotrzemy tam pierwsi.

Jubilee spogląda na mnie.

– Na dół? Do slumsów? – Jej twarz tężeje. – Tam z pewnością panuje chaos. Zbyt wiele osób trzeba ewakuować... Pełno tam rabunków i zamieszek.

– A to oznacza, że w tym chaosie skorupom będzie trudniej nas zauważyć. Wtopimy się w tłum. Bez elektryczności windy nie zadziałają, ale możemy zejść

szybami, a następnie wspiać się nimi na teren LaRoux Industries.

Mówię szybko, więc pozostali potrzebują kilku sekund, by przemyśleć plan. Spoglądają na siebie nawzajem. Sanjana odzywa się jako pierwsza.

– Nie zdołam się nigdzie wspiać. – Jej ton nie pozostawia pola do dyskusji, kiedy unosi ramię z bezwładną protezą. – Dopóki tego nie naprawię. Musicie mnie tu zostawić.

Flynn zaczyna protestować, a kilka sekund później Jubilee mu wtóruje, jednak Sanjana odpiera wszelkie argumenty.

– Ta sprawa jest ważniejsza niż którekolwiek z nas. Nie mogę twierdzić, że jest ważniejsza niż Lilac i nie kierować się tą samą logiką w stosunku do siebie.

Jubilee głośno wypuszcza oddech, przeczesując włosy palcami.

– Damy znać Mori, naszej sojusznicy, gdy tylko znajdziemy działające radio. Ona i jej ludzie przyjdą po ciebie.

– Nigdzie się nie wybieram – odpowiada Sanjana z nieprzekonującym uśmiechem. – Zadbajcie o to, by dotrzeć tam na czas. Niech to nie pójdzie na marne.

– Dobrze.

– A potem? – W jej spojrzeniu czai się skrucha, że w ogóle zadaje to pytanie. Mimo wszystko się nie waha. – Kiedy dotrzecie do szczeliny... do Lilac... Co wtedy?

Jubilee zerka na Flynna i przestrzeń wypełniają słowa, których nikt nie chce wypowiedzieć na głos. W końcu to ja nabieram powietrza do płuc.

– Mamy jeden dzień, by coś wymyślić. Jeśli jednak dotrzemy do Dedala i wciąż nie będziemy mieli... – Wypuszczam drżący oddech. – Zniszczymy kanał.

Szarą planetę wypełniają gniew i ból, a obie strony konfliktu są zabarwione nienawiścią w tym samym odcieniu ciemności. Są do siebie tak podobne, pragną pokoju, sprawiedliwości i ciszy, a jednak zabijają się wzajemnie, jak gdyby szukały śmierci, nie życia.

Kiedy nasz strażnik zmusza nas do coraz potężniejszych aktów zniszczenia, my... ja... robię to, co pozwala mi odnaleźć równowagę. Nie potrafię powstrzymać ojca przed obwiązaniem się materiałami wybuchowymi, ale mogę dotrzeć do zielonookiego chłopca i zasiać w jego głowie pomysł, by przeniósł się na tyle daleko, aby eksplozja go nie zabiła. Nie potrafię osłonić dziewczynki z dołeczkami w policzkach przed smutkiem po utracie ojca, ale mogę jej pomóc spać i podjąć decyzję, by wciąż oddychać.

Nie mogę też ocalić dziewczynki o pięknych snach – dziewczynki, którą znałem kiedyś na innym świecie, w innym życiu – przed tym, co ma nadejść. Mogę ją jednak ochronić przed innymi. A w jej snach odnajduję wiarę.

GIDEON

Chwytam za brzeg betonowego bloku, a wyczerpane mięśnie protestują od kłykci po ramiona, kiedy się podciągam, szukając kolejnego punktu zaczepienia. W końcu udaje mi się przerzucić nogę ponad krawędzią i rozpocząć kontrolowane zsuwanie.

Nieraz byłem świadkiem katastrof na niższych poziomach, widziałem zawalone budynki i pożary grożące rozprzestrzenieniem się na całą dzielnicę, jednak tamte wydarzenia budziły w ludziach najlepsze instynkty – rodziny gromadziły się, by wspólnie ratować z potrzasku nieznajomych, sąsiedzi przekazywali sobie wiadra, by ugasić ogień. Ten świat jest inny, opuszczony, całe sektory są rześcicie oświetlone, choć z Koryntu zniknęło wszelkie życie. Ten świat nie jest bezpieczny, a gdzieś tam przebywa samotny Tarver.

Kiedy zobaczyłem, że go nie ma, od jego wyjścia musiała minąć godzina, nie więcej. Kolejne piętnaście minut zajęło mi odpowiednie podpięcie lap-ekranu, tak by emitował pole mogące ochronić mnie przed Lilac. Nawet nie wiem, jak długo będzie działać. Muszę dogonić Tarvera, i to szybko.

Domyślam się, w którą stronę się udał – większość tras jest zablokowana, więc mam nadzieję, że wybrał tę najłatwiejszą, tę, która możliwie najszybciej doprowadzi go do siedziby głównej LRI. Wokół mnie praktycznie panuje cisza. W oddali co jakiś czas wyją syreny, ale nad moją głową nie przelatują już drony gaśnicze. Od czasu do czasu całe partie budynków zapadają się bez ostrzeżenia z ogłuszającym hukiem, którego echo niesie się po mieście.

Kiedy statek runął, ogromne odłamki spadły na tę i sąsiednią przecnicę, rozrywając budynki, a wszystko to, co znajdowało się ponad poziomem wzroku, zamienił w gruzy. Na parterach wciąż stoją nienaruszone drzwi, można zajrzeć do środka, a wyższe piętra wysypują się na ulicę. Mieściły się tu głównie mieszkania i biura. Na rozbitych stołach i połamanych krzesłach leżą rozrzucone ubrania, a ze sprzętu elektronicznego zostały oddzielnie obudowy i kable. Są też tobołki, które z początku wziąłem za ubrania – skulone, milczące ciała ludzi, którzy zginęli na miejscu.

Zatrzymuję się, by poprawić plecak, po czym ruszam przez rozniesione na strzępy piętro kancelarii prawnej, gdzie pod gruzami leżą biurka sekretarek i ozdobne rośliny. Panuje tu mrok, więc muszę ostrożnie stawiać kroki, by zachować ciszę, nie pozwolić, żeby odłamki chrzęściły mi pod nogami. W oddali dostrzegam światło. Mam nadzieję, że jeśli uda mi się tam dotrzeć, wyjdę na niezatarasowaną drogę.

Wdrapuję się na zwalony dźwigar blokujący drzwi i przeciskam głowę przez otwór, żeby sprawdzić, co znajduje się po drugiej stronie. Dostrzegam nagły ruch – coś mnie atakuje. Robię unik, uderzam ciałem w dźwigar i tracę dech. Żelazny pręt – bo właśnie tym zamierzył się na mnie atakujący – ze szczękiem uderza o framugę. Rzucam się z powrotem do pomieszczenia, z którego przyszedłem, i uciekam po gruzowisku, nie zwracając uwagi na hałas. Krew szumi mi w uszach, a ciało jest naelektryzowane.

W futrynie pojawia się jakaś postać. Jednym susem skacze ponad dźwigarem i rzuca się za mną w pościg, kolejny raz unosząc pręt. Przetaczam się na bok i wpadam pod połamane biurko, które na moment da mi schronienie. Kopniakiem usuwam boczną część, żeby zrobić sobie wyjście. Jestem zbyt szeroki, by się przez nie przecisnąć, ale raz po raz kopię butem w mebel, desperacko próbując uciec, zanim spadnie na mnie kolejny cios żelaznego pręta.

Tylko że on nie pada.

– Gideon? – Tarver przykuca przy biurku z prętem w dłoni. – Co ty tu, u diabła, robisz? Prawie cię zabiłem.

– Co ty nie powiesz – mamroczę i opuszczam głowę, tak że z głuchym łoskotem uderza w zagruzowaną podłogę.

– Szybko, robimy za dużo hałasu – oznajmia nagle rzeczowo i podaje mi rękę, żeby wyciągnąć mnie spod biurka. – Lada chwila tu będą.

Nie pytam, o kim mówi. Idę za nim, kiedy wspina się na kolejny dźwigar, łapie belkę ciągnącą się wzdłuż sufitu i wchodzi po niej niemal bezgłośnie, aż w końcu siada na ułamanym gzymsie ponad poziomem wzroku. Wspinam się za nim i przysiadam obok. Unosi palec do ust i spuszcza wzrok. Zaledwie po kilku sekundach pierwsza skorupa powoli przesuwa się po piętrze, próbując namierzyć źródło hałasu.

Przez całe dziesięć minut siedzimy w miejscu bez ruchu, ramię w ramię, podczas gdy te istoty przechodzą przez budynek. Musi ich być setka. Metodycznie przeczesują gruzowisko, wspinają się jedna na drugą. Nie są specjalnie wydajne ani kreatywne, są za to nieugięte. Tak, jakbym nie wiedział, że znajduję się w kiepskiej sytuacji, pole wydzielane przez mój tymczasowy ekran znika, a ja znowu jestem uzależniony od Tarvera. Dopiero po kilku minutach od zniknięcia ostatniej skorupy Tarver cicho się odzywa:

– Co ty tu robisz?

– A jak, do cholery, myślisz, Merendsen? Słyszałem, że w okolicy nagle spadły ceny nieruchomości i chciałem obejrzeć kilka miejsc z ogłoszenia – parskam. – Przyszedłem pomóc.

– Ty przyszedłeś pomóc mnie. – Spogląda na mnie z niedowierzaniem. Jego twarz jest umazana błotem, wzrok zmęczony, wygląda zupełnie inaczej niż mężczyzna, który wszedł na podium u boku Lilac w sali balowej na Dedalu.

Muszę do niego dotrzeć, i to szybko, albo znów go stracę. Co zrobiłaby Sofia?

Kiedy tylko zadaję sobie to pytanie, przychodzi mi do głowy odpowiedź. Powiedziałaby prawdę. Dlaczego jestem tego taki pewien, choć nie wierzę, że cokolwiek z tego, co mi powiedziała, było prawdą? Nabieram powietrza.

– Nie tobie. Chcę pomóc Lilac. I Simonowi. Tego właśnie by chciał. Uświadomiłem sobie, że nie zmieniła się od czasu, kiedy byliśmy dziećmi. Potrzebowałem ludzi, których mógłbym obwiniać, i ona stała się jednym z nich. Ale powinniśmy rozpaczać po Simonie razem. Tego by chciał i do mnie należy to zadanie.

Merendsen długo patrzy mi w oczy, po czym kiwa głową, jak gdybym zdał egzamin.

– Chodźmy więc.

Po kilku minutach znów powoli przedzieramy się przez opuszczony teren. Tarver wspina się przede mną. Wygląda tak, jakby w czarnym mundurze czuł się zupełnie swobodnie. Do wizerunku idealnego żołnierza brakuje mu tylko broni – ta została unieszkodliwiona przez impuls elektromagnetyczny. Choć wciąż musi go boleć ramię zwichnięte na Dedalu, porusza się szybciej niż większość zdrowych ludzi.

W ruinach Koryntu zachowuje się jak u siebie, jak gdyby otaczająca nas destrukcja stanowiła uzewnętrznienie jego cierpienia. Choć z zewnątrz wyglądam tak samo, znajduję się poza swoją strefą komfortu i zdaję sobie z tego sprawę.

Fizyczna strona naszej walki o to, by przedostać się przez wypalone miasto, nie przeszkadza mi – hakując różne miejsca, wielokrotnie musiałem się wspinać – przywykłem jednak do cichych, sterylnych miejsc, gdzie chodników nie pokrywają plamy krwi, a na drodze nie leżą zavalone budynki. Przywykłem do grup strażników, których mogę śledzić, a nie do milczących skorup z determinacją wykonujących sekcję zwłok miasta, metodycznie poruszających się po siatce ulic. Kiedy przechodzimy przez gruzowisko, część mojego umysłu pracuje na pełnych obrotach – chłonę to, czego nauczyłem się z wydruków Sanjany, i raz po raz analizuję te informacje. Wciąż zmagam się ze zrozumieniem tego, w jaki sposób zaprogramowano szczelinę, nie wspominając o tym, że będę musiał ją zamknąć. Nie mogę pozwolić, by szept zyskał moc, dzięki której doprowadzi do końca świata. Czas mija, i to zdecydowanie zbyt szybko.

Przechodzimy przez restaurację, w której znajdowali się ludzie, kiedy spadły na nią odłamki. Wszędzie jest rozrzucone jedzenie, pod zavaloną ścianą zebrała się kałuża krwi, która po wielu godzinach zakrzepła i stała się ciemnoczerwona. Kiedy ruszamy w stronę centrum zniszczenia, gryzący zapach rozkładu wdziera mi się do nosa i sprawia, że łzawią mi oczy. Widzimy teraz poszczególne części samego Dedala, ogromne płyty metalu, na wpół stopione po wejściu w atmosferę

i zderzeniu z powierzchnią planety.

Tarver przystaje na chwilę na popękany murze i spogląda na rozciągający się u naszych stóp krajobraz – powykręcane skrawki metalu i rozłupane kapsuły ratunkowe. Kiedy w końcu staje się jasne, że chłopak nie zamierza się ruszyć, odzywam się:

– Merendsen?

Mruga i patrzy na mnie tak, jakby nie zdawał sobie sprawy z mojej obecności, po czym kręci głową.

– Już kiedyś to widziałem – mamrocze, ponownie przenosząc wzrok na ruiny miasta.

– To... tutaj? – Nie wykluczam, że szept podsunął mu jakąś wizję.

Znów potrząsa głową.

– Martwy statek – mówi cicho. – Nie sądziłem, że zobaczę jeszcze coś, co przypominałoby wrak Ikara. Ale oto jestem i znów kieruję się w sam środek katastrofy. – Na jego ustach pojawia się ciemny cień uśmiechu. – Widziałeś nagranie przesłuchania. Ale kłamałem, zeznając, co wydarzyło się we wraku.

– Co naprawdę się wydarzyło?

Kąciki jego ust unoszą się nieco bardziej.

– To, że Lilac uratowała mi życie. I że znaleźliśmy ścieżkę, która wyprowadziła nas na zewnątrz. Wrak Ikara był dla nas punktem zwrotnym. – Znów rusza przed siebie, powoli zsuwając się po zboczu utworzonym z bardzo pochyłej ściany.

Zjeżdżam za nim i ląduję ze stęknieniem.

Kiedy docieramy na dół i znajdujemy parter, Tarver znowu zaczyna mówić:

– Po tym, co spotkało Simona, Lilac postanowiła, że nikogo nie obdarzy uczuciem. Aż do Elizjum. Aż uznała, że ojciec nigdy się o tym nie dowie. Gideonie, część niej umarła wraz z Simonem. Powinieneś to wiedzieć. – Jego słowa są prezentem. Jedynym podziękowaniem, jakie może mi teraz zaoferować. Rozumiem to.

– Wiem – odpowiadam, choć to nieprawda. Ta wiedza powinna mi towarzyszyć przez cały czas...

Simon był marzycielem, ale nie głupcem. Nie oddałby serca komuś, kto rozstałby się z nim, nie patrząc wstecz. Dopiero w wieku czternastu lat włamałem się do baz wojskowych i dowiedziałem się, jak zginął.

Zginął od przyjacielskiej kuli. Inny przerażony rekrut wyskoczył z cienia i przez pomyłkę strzelił do Simona. Przyznał się do tego po kilku tygodniach.

Jednak za każdym razem, kiedy myślałem o tym, że Simon zginął samotnie na polu bitwy, za każdym razem, kiedy wyobrażałem sobie jego lęk i dezorientację, całą winę przypisywałem *monsieur* LaRoux. Nigdy Lilac.

– Opowiadała mi o nim – mówi Merendsen cicho. – Gdyby wiedziała, że

wciąż potrzebujesz jej wsparcia, na pewno...

– Wiem.

Omijamy pęknięcie w drodze. Przeskakujemy ponad dziurą, przez którą widać, co się dzieje na niższych poziomach, gdzie szaleją pożary, wysyłając w górę kłęby czarnego dymu.

– Nic nie mogła zrobić. Po śmierci Simona moi rodzice się rozeszli. Ojciec nie potrafił znieść krzywdy, jaką wyrządził nam LaRoux. Matka jakoś sobie z tym poradziła. Była przedsiębiorcą i nie mogła dopuścić, by LaRoux stał się jej wrogiem, bo jego zemsta by ją zrujnowała. Więc każde poszło w inną stronę.

– A Ty? – Spojrzenie, które posyła mi Tarver, równie dobrze mogłoby pochodzić od Simona. Ciche, oceniające.

– Uciekłem. Nie potrafiłem znieść rozpaczyny ojca ani zdrady matki. W wieku dwunastu lat zamieszkałem w slumsach.

– To tam nauczyłeś się hakować?

– Tam nauczyłem się nieczystych zagrywek. Już umiałem hakować. Simon wiele mnie nauczył.

– Ja także. Umiejętność posługiwania się elektroniką ocaliła jej życie. Mnie również.

W milczeniu idziemy wzdłuż krawędzi nieosłoniętej drogi, ale teraz jest tak, jakby mój brat był trzecim członkiem naszej drużyny i kroczył cicho obok. Myślenie o nim nie powinno mi przychodzić łatwiej niż myślenie o Sofii. Nie chcę sobie wyobrazać jej twarzy, kiedy zda sobie sprawę z naszego zniknięcia. Po tym, jak mnie okłamała, nie jestem jej nic winien. Ale kiedy krocę przez swoje płonące miasto obok człowieka, który zaryzykuje los całej ludzkości, by ocalić ukochaną, wiem, że w kwestii uczuć słowo „powinno” jest pozbawione znaczenia. Mam nadzieję, że zawróci i ucieknie... Mam nadzieję, że schroni się przed tym, co nadchodzi. Jednak z jakiegoś powodu wiem, że tak nie będzie.

Jestem pochłonięty myślami, kiedy Tarver łapie mnie za rękę i wciąga z powrotem do zawalonego sklepu. Podążam wzrokiem za jego ręką i przykucam w ruinach ściany. Natychmiast pojmuję, dlaczego zadziałał tak gwałtownie. Na ulicy za nami słychać cichy warkot ciężkiego pojazdu, a ponieważ miasto znajduje się w takim, a nie innym stanie, nie ma powodu sądzić, że ludzie, których poznamy, będą się zachowywać przyjaźnie. Tarver znajduje metalowy drąg i waży go w dłoniach, a ja podnoszę kawałek betonu z gruzowiska u swoich stóp.

Samochodem dostawczym kieruje kobieta. Na odsłoniętej platformie siedzi czterech mężczyzn. Pojazd porusza się na mocnych poduszkach powietrznych unoszących się kilka metrów nad ziemią, więc nie grozi im zetknięcie z rumowiskiem. Cała piątka ma w sobie przerażającą czarnooką nieruchomość skorup. Ich głowy obracają się powoli, by zlustrować okolicę. Sądząc po strojach, powiedziałbym, że to magazynierzy i pracownicy biurowi firmy, której logo jest

wymalowane na drzwiach kabiny.

– Niedobrze – mruczę, obserwując, jak powoli przelatują obok. – Poruszają się o wiele szybciej niż my.

– Nie to jest w tym wszystkim najgorsze – odpowiada cicho Tarver, a ja odwracam głowę, by spojrzeć tam, gdzie on.

Zza rogu wychodzi powolna procesja skorup. Jest ich kilkadziesiąt, nie, setki... Niektórzy idą pieszo, inni siedzą w samochodach. Kierują się do centrum miejsca katastrofy. Wszyscy mają płynny, nienaturalny krok. Wszyscy mają puste twarze i oczy. Pomiędzy nami a Lilac musi ich być z tysiąc.

Cholera, Sofio. Źle to wygląda.

Sytuacja rzeczywiście jest kiepska. Opętani są wszędzie. Przedzieramy się przez ruiny budynków, wspinamy się po gruzowiskach i przebiegamy przez niebezpieczne, nieosłonięte strefy ulic. Dłonie nam krwawią, kiedy chwytamy wyszczerbione krawędzie, oczy pieką od kurzu, a gardła bołą od dymu, który chcąc nie chcąc wdychamy. Odgłosy, które wydaje miasto, gdy ruiny opadają, maskują te wydawane przez czarnooką, nienaturalnie stąpającą armię Lilac. Jest ich teraz kilka tysięcy. Wszystkie drogi, którymi próbujemy się wydostać, są odcięte.

Tarver jest zdeterminowany i nieugięty. Zaczyna zapadać zmrok. Boję się, co zrobi, jeśli szybko się stąd nie wydostaniemy. W końcu kiedy natykamy się na pękniętą rurę wodociągową, przekonuję go, by na kilka minut się zatrzymał. Przykucamy w cieniu i pijemy, nabierając wodę dłońmi.

To on przerywa milczenie. Spogląda na pozostałości budynków rozciągających się za naszym tymczasowym schronieniem.

– Tam, na Elizjum, to szepty ją ocaliły. Zrobiły to świadomie, dały jej ostatni zastrzyk swojej energii. Tyle, by stała się prawdziwa, trwała.

– To niezwykły dar. – Nie znajduję innych słów.

– Największy – potwierdza, spoglądając na swoje dłonie i pozwalając, by woda powoli przeciekła mu przez palce. – Lilac powiedziała, że kiedy to się stało, na krótką chwilę była ich częścią. Że ją widzieli, widzieli wszystko... To, co dobre, to, co złe. Uznali, że warto ją ocalić. Ta istota z Koryntu należy do tego samego gatunku. Jak może robić coś takiego? Skąd w niej taka nienawiść?

– Ludzie także należą do jednego gatunku – odpowiadam. – A jednak się różnimy. Może w odpowiednio brutalnych warunkach każdy z nas mógłby się dopuścić czegoś niewyobrażalnego.

Oto i ona. Sofia. W jednej chwili mam przed oczami jej obraz, widzę ją trzymającą pistolet. „W odpowiednio brutalnych warunkach każdy z nas mógłby się dopuścić...” Zaczynam rozumieć, Dołeczku. Szkoda, że pewnie nie przeżyję, by móc ci o tym powiedzieć.

Tarver podnosi się na nogi.

– Powinniśmy ruszać.

Idę w jego ślady. Moje kolana i plecy protestują.

– Nic z tego. Z godziny na godzinę jest ich coraz więcej... Znów nas zauważą, a jeśli zaczną nas ścigać, nie przeżyjemy.

Na twarzy Tarvera pojawia się ponury grymas.

– Więc będziemy walczyć.

Nic na to nie poradzę... Wpatruję się w niego, zastanawiając się, czy właśnie usłyszałem jakiś wysoce niestosowny żart.

– Są ich tysiące. Najlepszy żołnierz na świecie nie wytrzymałby pięciu minut, a my nie mamy nawet prawdziwej broni. Musimy wymyślić inne wyjście.

– Masz jakiś pomysł? – Jego głos jest zachrypnięty, twarz brudna, ale kiedy na mnie spogląda, w oczach tli się ogień.

– Musimy zejść na dół. Spuścimy się na dno tej rozpadliny, może jednym z szybów windowych. Dostaniemy się do dolnego miasta i schowamy w slumsach między jego mieszkańcami. Tam znajdę więcej sprzętu. W głowie niewiele mogę zdziałać. Muszę dokończyć wyliczenia do tego programu, zanim dotrzemy na miejsce.

– Zmarnujemy dużo czasu – warczy. W postawie jego ciała widzę, że chce wejść w sam środek milczącej armii odgradzającej nas od Lilac, a desperacja, by dotrzeć do ukochanej, nie pozwala mu jasno myśleć.

– Chcesz tam dotrzeć czy zginąć, jedynie próbując? – odpowiadam ostro. To przyciąga jego uwagę. – Jeśli tu zostaniemy, tak właśnie będzie. Musimy zejść. Możemy się do niej zbliżyć i przyczać, tak że nie będzie się nas spodziewać. Przed świtem znajdziemy się w samym środku siedziby głównej LRI. W ten sposób pomożemy Lilac... W ten sposób uda nam się do niej dotrzeć. Podjęcie walki to coś niewykonalnego. To nam się nie uda.

Tarver splata naprężone dłonie za głową i spogląda na ruiny. Jego uścisk jest tak silny, że bieleją mu kostki. Po chwili rzuca przekleństwo, przykuca i otacza głowę ramionami. Jak gdyby fizycznie próbował się dla niej trzymać.

Sięgam głębiej. Mój ton staje się surowy.

– Marnujemy czas. Chodźmy.

Pozostali są tak skupieni na zadaniach powierzonych nam przez naszego strażnika, że nie wyczuwają rodzącej się głęboko w bagnach wściekłości. Tak bardzo koncentrują się na miejscu wypełnionym żołnierzami, że nie widzą szaleństwa buzującego pod powierzchnią skał i błota, które maskują dom zielonookiego chłopca.

Ja widzę, co robi ten szaleniec. To rozerwie serce zielonookiego chłopca na strzępy. Mam tak mało siły, że nie potrafię powstrzymać szaleńca ani zbliżyć się do nikogo, kto mu towarzyszy. Moją jedyną nadzieją jest dotarcie do dziewczyny, której sny widziałem i której myśli są mi tak znajome, jak nic innego na świecie. Ona powstrzyma ten koszmar... Musi.

Dopiero kiedy oglądam krwawą masakrę jej oczami, pojmuję, że przybyłem za późno. Koszmar, który przeżywa, ponownie wyrzuca mnie z jej głowy... Ostatnią rzeczą, jaką widzę jej oczami, jest twarz zielonookiego chłopca, wstrząśnięta, nosząca pozostałości zdrady i rozpaczony tak wielkiej, że ból w sercu dziewczyny jest dla mnie większą torturą niż ta, którą zdołałby mi zadać nasz strażnik.

Wybacz mi.

SOFIA

W podziemnym mieście panuje chaos. Z powodu braku elektryczności wszystko jest pogrążone w ciemnościach, a slumsy spowija fałszywa noc. Wokół nie unosi się zapach ulicznego jedzenia, a z oddali nie dobiega muzyka wykonywana przez grajków. Latarnie się nie palą, całe ich rzędy zwały się na ziemię i roztrzaskały w drobny mak.

W tym miejscu horror, który dotknął Korynt, jest aż nazbyt prawdziwy.

Wszystko pokrywa cienka warstwa odłamków wielkości ziaren piasku, mieszanina popiołu i fragmentów betonu, która chrzęści pod stopami. Ludzie zamierzają na wszelkie sposoby walczyć z rabusiami – mijamy młodą kobietę ściskającą w dłoniach bryłę cementu, która śledzi nas przerażonym wzrokiem do czasu, aż znikamy za rogiem.

Próbuję zobaczyć siebie jej oczami. Jestem dla niej zagrożeniem zdolnym odebrać jej dom lub życie.

Prowadzisz innych do Lilac, wiedząc, że ją zabiją. Czy zatem nie jesteś właśnie tym, kogo widzi w tobie ta kobieta?

Odpycham od siebie ten głos i mówię sobie, że z pewnością wpadniemy na inny pomysł, wymyślimy sposób, by ominąć to, co na nas czyha, jakąś alternatywę. Ostatnie ostrzeżenie Sanjany nie niosło za sobą żadnych wątpliwości.

Mamy tylko jedną szansę, by to powstrzymać.

Moje mięśnie wciąż drżą po zejściu w dół, a w ustach czuję gorycz żółci i adrenaliny. Bez elektryczności windy do podziemnego miasta nie działają, więc musimy zejść po drabinie w dół konserwacyjnego szybu windowego. Okazuje się wielokrotnie dłuższy niż ten, w którym wspinałam się z Gideonem, a w dodatku tym razem Gideona nie ma obok mnie, nie zabezpiecza mnie jego uprząż. Co więcej, wtedy się wspinałam, uciekając przed niebezpieczeństwem.

Miał rację, mówiąc, że schodzenie jest o wiele gorsze.

Odchrząkuję i próbuję zapomnieć o lęku. Absurdem wydaje się to, że przeraża mnie schodzenie po drabinie, kiedy zaledwie kilka kilometrów dalej międzywymiarowa istota powoli i metodycznie niszczy świat. Jednak w zetknięciu ze strachem nie ma szans. Może to dlatego, że ten konkretny strach rozpoznaję i potrafię go jakoś przetrwać. Co do tego drugiego... nie potrafię go zrozumieć.

Wiele godzin zajmuje nam pokonanie trasy, którą na czystszych ulicach na wyższym poziomie albo przed katastrofą pokonalibyśmy bardzo szybko. Jubilee zauważa kogoś w wojskowym stroju i znajduje działające radio. Okazuje się, że to nie żołnierz, ale kiedy dziewczyna zapewnia, że nie aresztuje go za kradzież

rządowego mienia, mężczyzna pozwala jej wysłać prośbę do Mori o to, by zabrała Sanjanę. Głos Mori łamie się i zanika, słysząc w nim niepokój, ale obiecuje, że odszuka badaczkę. Mimo radiowych trzasków jest jasne, że wołałaby być z nami i podążać w samo centrum niebezpieczeństwa.

Jeśli chodzi o zwrot kradzionego gleidela, Jubilee daje facetowi z radiem mniejszy wybór i choć ta jedna broń przypada na całą naszą trójkę, zawsze to coś.

Bliżej miejsca katastrofy większość górnego i środkowego poziomu miasta została zniszczona, ale niżej część slumsów jest w lepszym stanie. Na wprost nas snop światła rozświetla miejsce, gdzie runął drapacz chmur z górnego miasta, a odłamki przedarły się przez podpory, które miały oddzielać od siebie warstwy konstrukcji. Kiedy się tam zbliżamy, widzimy zrujnowane miasto nad naszymi głowami. Od mojego dawnego apartamentu dzieli nas tylko jedna przecznica.

Mam wrażenie, że od czasu, kiedy siedziałam na kanapie, opatrywałam ramię Gideona i zamawiałam drinki u SmartKelnera, minęły całe lata.

– Jesteś pewna, że to się uda? – pyta Jubilee, nie patrząc na mnie, zbyt zajęta rozglądaniem się po okolicy.

Rozumiem, dlaczego się niepokoi. Wokół jest zbyt wielu ludzi, zbyt wiele ciał kłębi się tu i tam, żeby móc wszystkim namierzyć. Jestem pewna, że wyglądamy zbyt groźnie, żeby stać się łatwym celem dla oportunistycznych oprychów wykorzystujących panujący tu chaos, nie oznacza to jednak, że nie zaatakuje nas jakiś gang desperatów. Oczywiście zakładamy – a właściwie mamy nadzieję – że szept nie dosięgnie nas tutaj i że w slumsach nie natkniemy się na kontrolowane przez Lilac skorupy. Mamy osłonę, którą zostawił nam Gideon i którą wepchnęłam sobie głęboko do wewnętrznej kieszeni – drugą zostawiliśmy Sanjanie – jednak tu, na dole, jest tak samo jak na górze: jeśli nas zobaczą, nie będą potrzebowali kontroli umysłów, by nas skrzywdzić.

– Kiedy próbowałam się dostać do budynku LaRoux Industries – mówię przy akompaniamencie chrzęstu, jaki moje niedopasowane buty wydają na odłamkach pokrywających chodnik – sporządziłam mapę wszystkich fizycznych punktów dostępu do ośrodka i kilkanaście razy powtórzyłam ją w głowie.

– Czy ze slumsów można się dostać do siedziby głównej LRI? – To, co słysząc w tonie Jubilee, w najlepszym przypadku można nazwać powątpiewaniem.

– Ze slumsów można się dostać wszędzie – odpowiadam. – Jeśli się wie jak.

– Zaufaj jej – rzuca Flynn z rozbawieniem. – Sof potrafi dotrzeć, gdzie tylko chce.

Jubilee się waha. W końcu jeśli moja trasa okaże się niewłaściwa, nie będziemy mieli czasu, by wypróbować alternatywną. Jednak już po chwili kiwa głową i wznawia marsz.

– W kolejnych godzinach zapanuje tu kompletny chaos – ostrzega, jak gdyby nieporządek panujący tu teraz można było nazwać zaledwie niedogodnością. –

Będzie tak jak na Weronie, kiedy wybuchły zamieszki. – Mogła mieć wtedy najwyżej osiem lub dziewięć lat, ale brzmi tak, jakby mówiła o czymś, co wydarzyło się zaledwie wczoraj. Zaciska wargi i kładzie dłoń na nowej broni za paskiem. – Trzymajmy się blisko.

Wyławiam w tłumie znajome cechy: mężczyznę o właściwym wzroście, plamę piaskowych włosów lub materiał w kolorze indygo, z którego zrobiony jest jego plecak. To jednak nigdy nie jest Gideon, to tylko strzępy wspomnień. Jeśli on i Tarver natknęli się na górze na skorupy, możliwe, że także zeszli na dół i tak samo jak my próbują ominąć armię Lilac.

Tłoczące się i przepychające masy przerażonych ludzi sprawiają, że trudno mi nie stracić z oczu Jubilee i Flynną – Gideon i Tarver mogliby nas minąć w odległości dziesięciu metrów i nawet byśmy ich nie zauważyli.

Nagle na moim ramieniu zaciska się czyjaś ręka i szarpie mnie do tyłu, a nim się orientuję, moje usta wydają krótki okrzyk. Odwracam się i widzę przed sobą kobietę w średnim wieku, której połowę twarzy pokrywa maska zaschniętej krwi – ma rozszerzone źrenice i przez chwilę jestem pewna, że to jedna ze skorup Lilac. Jednak gdy kobieta z roztargnieniem przygląda się mojej twarzy, uświadamiam sobie, że ma wstrząśnienie mózgu. Musiała oberwać jakimś odłamkiem.

– Mandy? – pyta. – Mandy, czy to ty?

– N-n-nie – dukam. Mam sucho w ustach i wali mi serce. Gorączkowo się rozglądam, ale Flynn i Jubilee rozmyli się w rzece ludzi. – Przepraszam, ja nie...

– Mandy? – zaczyna znowu kobieta, przyciągając mnie do siebie.

Kiedy próbuję wyrwać ramię, jej palce boleśnie się na nim zaciskają.

Po chwili wraca do mnie Jubilee, używając łokci, by przedrzeć się przez tłum. Ani śladu Flynną.

– Puść ją – rozkazuje ostro, chwytając za broń.

– To nic – dyszę, odrywając palce kobiety od swojej ręki. – Jest zdezorientowana. Nie niebezpieczna.

– Próbuję znaleźć córkę – jęczy kobieta, a jej ręka ześlizguje się z mojego ramienia.

Jubilee mnie odciąga, omijając potop przechodniów.

– Za dużo tu ludzi! – woła mi do ucha, przekrzykując głosy, syreny i inne dźwięki dobiegające z chaotycznej rzeczywistości. – Musimy znaleźć jakąś kryjówkę na noc. Wtedy będzie bezpieczniej iść. Jeśli tego nie zrobimy, stracą nas.

Zerkam przez ramię i przez krótką chwilę widzę, że tamta kobieta stoi w miejscu, gdzie ją zostawiłyśmy, zaciska ręce i rozgląda się wokół półprzytomnie. Jednak tłum się zagęszcza, otacza ją i kobieta znika.

Barykadujemy się wewnątrz budynku, który przed nadejściem szabrowników był restauracją. Nie ma tu już żadnego jedzenia, a krzesła i stoły

zniknęły lub leżą roztrzaskane na podłodze. Przednia część lokalu składała się z niewielkiego straganu, ale tylne drzwi wciąż są całe, a kuchnia tego niewielkiego baru jest oddzielona metalową kratą. Na razie wytrzyma, zwłaszcza że w środku nie zostało nic, co warto by ukraść.

Flynn i Jubilee skutecznie ze sobą współpracują, jakby urodzili się z taką umiejętnością, przesuwają stoły i krzesła do wejścia i szukają innych drzwi – jedne wychodzą na tylną uliczkę, ale metalowa zasuwka jest dość mocna, by je zabezpieczyć. Dopiero kiedy kończą, widzę, że dłonie ciągnącej meble Jubilee drżą i że jej twarz poszarzała, mimo że dziewczyna ma naturalnie ciemną karnację. W końcu Flynn kładzie jej rękę na ramieniu i mówi coś na ucho. Dziewczyna kiwa głową i bierze głęboki oddech.

– Musimy tu zostać do zmierzchu – mówi cicho. – Na zewnątrz panuje chaos.

Rozsiadamy się w milczeniu, skryci za kontuarem, i próbujemy odpocząć. Moi towarzysze znaleźli na opuszczonym straganie nowe latarki. Ustawiają je za kontuarem jak latarnie, żebyśmy nie musieli czekać w ciemności. Znajdujemy tam też jeszcze jedną broń, wetkniętą w miejsce, gdzie dawny właściciel mógł po nią sięgnąć w razie napadu. Zastanawiam się, co takiego musiało się wydarzyć, że uciekając, nie miał czasu jej zabrać. To pewnie jakiś zabytek, ale ponieważ impuls Sanjany usmażył naszą nowoczesną broń, ten rupieć wygląda całkiem kusząco.

Kiedy czekamy, aż hałas na zewnątrz trochę ucichnie, próbuję przełknąć garść krakersów z masłem orzechowym z naszych zapasów i zaczynam myśleć o Gideonie i Tarverze. Są gdzieś ponad nami, otoczeni przez skorupy.

– Myślicie, że Lilac jest tego wszystkiego świadoma? Że wie, co robi? – rzucam.

– To możliwe – odpowiada Jubilee cicho. – Dorastałam na Weronie i nieraz miałam do czynienia z szeptami, choć byłam tylko dzieckiem. Te same spotkałam potem na Avonie.

Wpuszczam krakersy z dłoni, okruszki spadają na podłogę.

– Rozmawiałaś z nimi? Z szeptami?

Wargi Jubilee drgają, kiedy spogląda na Flyna.

– W pewnym sensie tak. – Na widok mojej miny unosi brwi. – Nie wszystkie są złe. To, co zrobił im LaRoux... Torturował je. Uczynił z nich broń.

Ściska mnie w gardle, tak że przed wypowiedzeniem kolejnych słów muszę przełknąć ślinę.

– Tego rodzaju presja z każdego potrafi zrobić bestię. – Wystrzał broni. Upadająca Lilac. Twarz spoglądającego na mnie Tarvera. – Z każdego.

Jubilee na mnie patrzy i choć może tylko to sobie wyobrażam, przez chwilę wydaje mi się, że na jej twarzy maluje się współczucie. Kiwa głową.

– Ten, z którym rozmawiałam... nie poddał się tej furii. Był... był moim

przyjacielem. – Jej głos staje się zachrypnięty i po tych słowach musi odchrząknąć.
– Na Dedalu szept powiedział, że jest nie tylko ostatnim szepcem, ale także najstarszym. Pierwszym, na którym LaRoux przeprowadzał swoje eksperymenty.

Głos Flynna jest cichy.

– Miał sporo czasu, żeby zamienić to stworzenie w coś złego.

– Ale przecież one nie są ludźmi – protestuję zdezorientowana. – Sanjana mówiła, że to istoty zbudowane z czystej energii. Pojęcia takie jak „zemsta”, „ból” i „nienawiść”... Z tego, co wiemy, nie odczuwają nawet emocji.

– To nieprawda – zaprzecza Jubilee pospiesznie. – Może z początku nie rozumiały, czym one są, ale ten, którego znałam... On je odczuwał. Czuł wszystko. Umarł, aby ocalić nas przed innymi szepcami na Avonie.

– To nam teraz nie pomoże. – Pozwalam, by głowa opadła mi z łupnięciem na półkę. – Lilac to jedyny szept po tej stronie szczeliny, więc zostaliśmy sami. Nie ma innych szeptów, które mogłyby nam pomóc. I wygląda na to, że nawet jeśli Lilac jest gdzieś tam, w środku, nic nie może na to poradzić.

Po tych słowach zapada milczenie, a ja żałuję, że nie mogę uciszyć jedynej krążącej mi po głowie myśli. Gideon wciąż znajduje się gdzieś na zewnątrz.

A jeśli żyje, jest coraz bliżej szepcu.

Dopiero kiedy podnoszę głowę i mrugam, żeby odpędzić sen, uświadamiam sobie, że odplynęłam. Jubilee śpi albo udaje, z głową opartą na kolanach Flynna. Chłopak spogląda na nią, a jego palce wykonują nieznaczne gesty, masując włosy na skroniach dziewczyny. Lekko wzdycham, a on unosi głowę, mruga powiekami i dalej na mnie patrzy. Jego usta drgają i wyginają się w delikatnym uśmiechu. Jednak w jego spojrzeniu jest coś, co mnie niepokoi.

– Dobrze się czuje? – szepczę, patrząc na nieruchomą Jubilee.

Flynn kiwa głową i spogląda na śpiącą na jego kolanach dziewczynę.

– Jest twarda.

– Nie o to pytałam.

Znów podnosi wzrok i cicho się śmieje.

– Zapomniałem, z kim rozmawiam. – Opiera głowę o znajdujące się za plecami półki. – To wszystko przywołuje u niej złe wspomnienia.

– Weronia?

Chłopak ponownie kiwa głową.

– Dorastała tam. Jej rodziców zabito w czasie zamieszek po atakach bombowych. Zastrzelono ich na jej oczach.

Moje serce drga, ściska się i skręca.

– Nie wiedziałam.

– Ja też nie, do czasu... Cóż, nazwijmy rzecz po imieniu: do czasu, aż porwałem ją z bazy wojskowej.

– Kiedyś opowiesz mi o wszystkim, co wydarzyło się pomiędzy tamtym

momentem a... tym. – Kiwam głową w ich kierunku, ale na instynktownym poziomie moja głowa wciąż buntuje się przeciw widokowi przyjaciela Flynnna, przywódcy *fianna*, obejmującego *trodaire*.

Jeśli Gideonowi i Tarverowi się nie uda i jeśli szept będzie miał dość mocy, by całkiem odciąć nas od hiperprzestrzeni, utknijemy tu, na Koryncie. Bycie Avończykiem niczego już nie zmieni.

Flynn znów się śmieje, a kiedy Jubilee porusza się we śnie, zniża głos.

– Ta opowieść może zająć kilka dni. – Spogląda na mnie i poważnieje. – Dziękuję. Za to, co zrobiłaś w wahadłowcu na Avonie, kiedy Jubilee i ja uciekaliśmy. Dziękuję, że odwróciłaś uwagę żołnierzy, żebyśmy mogli się wydostać. Wiem, że nie miałaś powodu, by jej ufać.

– Ufałam tobie – odpowiadam natychmiast, po czym urywam. Moje myśli zgrzytają. Bo rzeczywiście bezgranicznie mu ufałam. Jak doszło do tego, że w ciągu roku zapomniałam, jak to się robi? Dlaczego Gideonowi miałabym ufać mniej niż Flynnowi?

Bo cię okłamał.

Cóż, ja okłamałam jego. Jakiś inny powód?

– Wszystko w porządku?

Kiedy otwieram oczy, widzę, że Flynn mnie obserwuje, a na jego ekspresyjnej twarzy maluje się troska. Zaczynam odpowiadać, ale robię pauzę. Moje usta się rozchylają, a głos więźnie mi w gardle.

– Ja też jestem twarda – mówię w końcu.

Flynn unosi kącik ust.

– Nie o to pytałem.

Zamykam oczy i żałuję, że tego samego nie mogę zrobić z uszami. Choć rozmawiałam z Tarverem, każda część mojego jestestwa krzyczy, że to w jakimś sensie moja wina. Pogodzenie się z tym, że jest się mordercą, i zabicie podłego człowieka odpowiedzialnego za śmierć setek ludzi, a może nawet tysięcy, to jedno. Pogodzenie się z tym, że doprowadziło się do końca świata, to co innego.

– Nic mu nie będzie – mówi cicho Flynn.

– Czy powinnam mieć na to nadzieję? – szepczę. Z zamkniętymi oczami słyszę dochodzące z zewnątrz dźwięki, choć tłum się tak przeredził, że niemal zniknął.

– Oczywiście, że tak – odpowiada Flynn. – Nie widziałem Merendsena w akcji, ale widziałem Jubilee. Przysięga, że wszystkiego nauczyła się od niego i że jest od niej nawet lepszy. I choć trudno mi w to uwierzyć, możemy mieć nadzieję, że wie, co robi. Gideon jest przy nim tak bezpieczny, jak byłby tutaj.

Kręcę głową, jak gdybym chciała odrzucić niepokój, podobnie jak pieczenie pod powiekami.

– Gideon dokonał wyboru.

– Tak jak ty dokonałaś go na Dedalu.

Otwieram oczy. Flynn spogląda na śpiącą Jubilee.

– To zabawne, że pozwalamy, by nasze wybory nas definiowały.

Choć uwielbiam Flynna, nie mam teraz ochoty na filozoficzną pogadankę. Przecieram oczy dłońmi i próbuję uporządkować myśli. Milczę.

Zdaje się tego nie zauważać.

– Na Avonie wydawało się, że każdy kolejny wybór coraz bardziej zamieniał mnie w zdrajcę. Czasem uważałem, że to, co robię, jest najlepsze dla *fianna*... Innym razem miałem wrażenie, że sam się okłamuję. A to wszystko dla niej.

– A teraz? – Zerkam na niego ukradkiem, obserwując profil jego pochylonej twarzy.

– Ufam swojemu sercu. – Spogląda mi w oczy i wzdycha. – To nie znaczy, że twoje serce nie może być w konflikcie ze sobą. Ale przynajmniej dla mnie, Jubilee i Avonu zawierzenie sercu okazało się trafnym wyborem.

Ja też wypuszczam powietrze, choć moje westchnienie przypomina raczej parsknięcie.

– Słuchać serca? Mówisz poważnie? To twoja rada? Brzmi jak z ciasteczka z wróżbą.

Flynn rzuca mi szeroki uśmiech.

– Właśnie stamtąd zaczerpnałem ten cytat. – Po chwili jego uśmiech blednie i chłopak kręci głową. – To prosta rada. Ale prawdopodobnie najtrudniej ją zastosować. Zawsze łatwiej robić to, czego się od ciebie oczekuje, niż to, co właściwe.

– Jeśli próbujesz mi podziękować za to, że podjęłam próbę zamachu, robisz to trochę pokrętnie.

– Uważasz, że strzelanie do LaRoux było właściwe? – Flynn unosi brew. – To właśnie podpowiadało ci serce?

Chciałabym, by Gideon wiedział, że nie powiedziałam mu o swoim planie dlatego, że wiedziałam, iż będzie mnie próbował od niego odwieść. I że mu się to uda.

Zaciskam szczękę. To bez znaczenia. Gideon przepadł. Odwracam wzrok od Flynna w poszukiwaniu czegokolwiek, co nie byłoby jego spojrzeniem pełnym empatii, niepokoju i troski. Podłoga jest zarzucona śmieciami, kawałkami potłuczonego szkła i wizytówkami z logo restauracji. Moje serce zaczyna szybciej bić, kiedy sięgam po jedną z nich. „U pani Phan”, czytam napis obok kodu kreskowego pozwalającego wczytać menu.

Ukryliśmy się w restauracji, do której poszedł Gideon, żeby kupić nam jedzenie tamtej nocy, którą spędziliśmy w pasażu. Tamtej nocy, kiedy dowiedziałam się, że jest Waletem. Tamtej nocy, kiedy... Oddech więźnie mi w gardle, a oczy wypełniają się łzami, gdy próbuję się nie rozkaszczać.

– Sof? – W głosie Flynnna słycać niepokój.

Jubilee się porusza i mamrocze jakieś pytanie. Przez sen dotyka biodra, gdzie znajduje się jej pistolet.

– Nie... Wszystko w porządku. – Wsuwam wizytówkę do kieszeni.

– Nie chciałem cię zdenerwować, Sof. – Przez chwilę spogląda na mnie badawczo, ale Jubilee przesuwa się na jego kolanach i odwraca jego uwagę.

– Nic mi nie jest. Ja... Chciałabym się przewietrzyć. Zrobiło się ciszej.

Flynn pociera ramię Jubilee i dziewczyna znów zasypia.

– Na pewno? Tam nie jest bezpiecznie.

– Daj spokój. Przecież mnie znasz. – Posyłam mu jeden ze swoich dawnych uśmiechów, który mimo wszystko łatwo mi odnaleźć. – Potrafię się o siebie zatroszczyć.

Flynn wciąż się waha i wykręca głowę, jak gdyby z tego miejsca mógł zobaczyć, czy na ulicy panuje spokój.

– Jeśli jutro skończy się świat, chciałabym ostatni raz rozprostować nogi – dodaję sarkastycznie.

– Daj jej swoją broń – mamrocze Jubilee, nie otwierając oczu. – Już się uspokoiło.

Usta Flynnna drgają. Spogląda na mnie i sięga po leżący z boku pistolet.

– Słyszałaś, co powiedziała.

Upewniam się, że broń jest zabezpieczona, a następnie wtykam ją za pasek spodni na plecach, cicho odkładam osłonę przeciw szeptowi, tak by Flynn nie zauważył i nie wszczął dyskusji, po czym niepewnie się podnoszę. Wokół znajduje się tylu ludzi, że szept nie ma powodu, by wyłowić mnie spośród roju uciekinierów. Potrzebuję chwili samotności, żeby odetchnąć. Biorę jedną z latarek, wymykam się przez tylne wyjście i zerkam przez ramię. Widzę zasną Jubilee, która siada i kładzie dłoń na policzku Flynnna. Chłopak nachyla się ku niej, ale drzwi zamykają się, zanim ich usta złączy pocałunek.

Drzę, lecz nie tylko z zimna. Rzeczywiście zrobiło się chłodniej – cała maszyna, samochody, przechodnie, sprzedawcy i uliczne życie, które rozgrzewały podziemne miasto, ucichły, a bez słońca temperatura spada tak, jak normalnie nigdy by nie spadła. Jeśli to tu Gideon kupił nam wtedy jedzenie, nasz pasaż musi się znajdować blisko. Bezwiednie kieruję tam kroki.

Kilka minut zajmuje mi rozeznanie się w okolicy. W bazie danych w swojej głowie szukam charakterystycznych punktów, które widziałam u wylotu alejki. W górze nie palą się latarnie, a przy świetle latarki wszystko wygląda inaczej. W końcu jednak staję przed fasadą ze sztucznej cegły, którą zapamiętałam, i znajduję poluzowaną bryłę, za której pomocą Gideon otworzył wyrwę w ścianie, byśmy mogli się wemknąć do środka.

W przestrzeni za ścianą panuje ciemność, ale odgłos moich kroków się

zmienia i niesie echem, które daje znać, że za murem kryje się przepastny ukryty pasaż. W pamięci przywołuję pstryknięcie włącznika, widzę, jak neonowe światła jedno po drugim budzą się do życia, a ich mleczne odbicie zalewa zakurzoną marmurową posadzkę. Słyszę *Walc motyli* i czuję smak pocałunku Gideona.

Świecę latarką wkoło. Drży mi ręka, a serce zamiera.

Połowa sklepowych witryn zniknęła, a na ich miejscu znajdują się sterty cegieł, kamieni i potłuczonego szkła. Kilka widocznych neonowych znaków roztrzaskało się na kawałki – nawet gdyby wciąż był prąd, żaden z nich by nie świecił. Pozwalam, by światło latarki opadło, i podążam za nim wzrokiem. Marmurowa podłoga jest popękana, a kurz na posadzce zniknął pod odłamkami z sufitu, które musiały odpaść, gdy kilka przecznic dalej Dedal spadł na ziemię. Nie widzę nawet śladów naszych stóp ani wzorów, które nakreśliły na podłodze, gdy uczyłam go tańczyć.

Cofam się i przesuwam snopem światła po ścianie, aż dostrzegam skotłowane posłanie z koców, na którym spaliśmy. Wciąż tu jest, jak gdyby Gideon działał w pośpiechu po tym, jak stąd uciekłam. Ślady stóp dawno zniknęły, ale wciąż widzę nasze sylwetki na kocach, dwa ciała wtulone w siebie jak splątane przecinki, jak medalion z yin i yang. Taki plastikowy, który zawsze się psuje.

– Cześć, Dołeczku.

Ta nieznośna cisza została przerwana powitaniem, a ja cofam się z okrzykiem, bezładnie wymachując latarką, aż dostrzegam, kto do mnie mówi, choć tak naprawdę już to wiem i w głębi duszy wcale nie jestem zdziwiona. Noc przed bitwą, cisza przed burzą – gdzie indziej mielibyśmy się znaleźć, jeśli nie w ostatnim bezpiecznym miejscu, które znaliśmy?

Gideon trzyma ręce w kieszeniach i opiera się o framugę. Opuścił głowę, więc kiedy snop światła pada na jego twarz, nie oślepia go. Przez to nie potrafię odczytać wyrazu jego twarzy. Jak dobrze mnie zna...

– Nie sądziłem, że kiedykolwiek tu wrócisz.

Wciąż próbuję odzyskać oddech, wepchnąć serce z powrotem w dół gardła. Moje mięśnie przenika adrenalina, która sprawia, że są napięte.

– A Tarver?

– Wszystko dobrze. – Na chwilę unosi wzrok i mruga w świetle. Jego oczy nadbiegły krwią. Wygląda na wyczerpanego. – No, może nie wszystko. Ale nie jest ranny. Śpi, a przynajmniej odpoczywa. Kilka przecznic stąd. A pozostali?

– Tak samo. – Znów mogę oddychać, ale serce wali mi jak młotem. Tętno w uszach huczy mi w rytmie odległego wycia syren. – Jesteś ranny?

– Tylko zmęczony. – Słyszę to w jego głosie. Wyczerpanie. To, że ledwo się trzyma. Próbuje to ukryć, ale wystarczy jedno spojrzenie, żebym miała ochotę rzucić latarkę i znaleźć się u jego boku.

Ja jednak zaciskam dłoń i wpatruję się w ścianę za jego plecami. Nie mogę

tu stać i wdawać się z nim w pogaduszki, jak gdyby wszystko było w porządku, jak gdybyśmy spotkali się w kawiarni i rozmawiali o tym, jak minął dzień.

– Potrafisz przeprogramować szczelinę?

– Jestem już blisko – odpowiada. – Uda mi się. To piękny kod. Niezwykle skomplikowany. Nigdy czegoś takiego nie widziałem. Gdyby oddzielić go od celu, któremu służy, i przyrzeć się temu, co zrobili... To sztuka.

– Ale tych dwóch rzeczy nie można oddzielić – zauważam szorstko. – To nie tylko sztuka, Gideonie, nie tylko zagadka, którą musisz rozwiązać, żeby udowodnić, że Walet jest najlepszy w swoim fachu.

– Wiem.

Jego głos jest tak cichy i zmęczony, że odpuszczam... Możliwe też, że gdybyśmy się zaczęli o to kłócić, rozpadłabym się na milion kawałków.

– Gideonie, dlaczego tu przyszedłeś?

– Dobrze znaleźć się w znajomym miejscu, choćby na kilka minut. – Odpowiada mi tak cicho, że jego słowa ledwie do mnie docierają. – W miejscu, z którym wiążą się dobre wspomnienia, coś, o czym chcę myśleć. Tej nocy tego potrzebuję. Przyszedłeś tu z tego samego powodu?

Tej nocy. Możliwe, że to nasza ostatnia noc na świecie, który znamy. To właśnie ma na myśli. To prawdopodobnie nasza ostatnia noc. Próbuję zignorować łomotanie serca, ponownie uzbroić swoje myśli. Nie jesteśmy po tej samej stronie. Jeśli to zrobi, ryzykuje, że postrada zmysły i na zawsze odetnie nas od hiperprzestrzeni. Sama nie wiem, co bardziej mnie przeraża. Nie mogę odpowiedzieć, bo zbyt mocno ściska mnie w gardle. A nawet gdybym mogła, nie wiem, czy zdołałabym usłyszeć wypowiedaną przez siebie prawdę: ja też tego potrzebuję.

Milczenie trwa kilka sekund, po czym Gideon wyjmuję ręce z kieszeni i odpycha się od ściany.

– Sofio... – zaczyna i robi krok w moją stronę.

Działam bezwiednie, upuszczam latarkę i sięgam po broń zatknietą za pasek. Kiedy Gideon ją widzi, zatrzymuje się. Latarka oświetla ścianę, odbijając dość światła, bym mogła zobaczyć jego twarz. Kiedy zatrzymuje się kilka kroków ode mnie, widzę na niej dezorientację.

– Stój. – Mój głos jest o wiele donośniejszy, niż sądziłam. – Dokonałeś wyboru. Jesteś z Tarverem. Ja z pozostałymi. Pragniemy czegoś innego.

Nie zbliżaj się do mnie, bo nie wiem, czy to zniosę.

– Wcale tak nie jest – odpowiada Gideon łagodnie i patrzy na mnie, a nie na broń, która wciąż jest zabezpieczona.

Tak naprawdę nie potrafię w niego mierzyć. Lufa unosi się w przestrzeni pomiędzy nami, nie jest ani opuszczona, ani podniesiona tak, by w niego celować.

– Nie chcecie śmierci Lilac tak samo, jak my nie chcemy, żeby świat uległ

zniszczeniu.

– Nie słyszysz, jak to brzmi? – wybucham, poprawiając chwyt na broni. – Jedno życie kontra cały wszechświat? Tarvera rozumiem. On... oczywiście, że wybrał ją. Ale ty...? Dlaczego do niego dołączyłeś? Dlaczego odszedłeś? Dlaczego ze mną nie porozmawiałeś?

Gideon milczy przez kilka sekund, a ja zaczynam żałować, że upuściłam latarkę, bo trudniej mi zobaczyć jego twarz.

– A dlaczego ty nie porozmawiałaś ze mną przed próbą zamachu na Rodericka LaRoux?

Ten cios wywołuje tępy ból. Jego słowa są kolejnym balastem, który przygniata rozpacz i poczucie winy, te zaś sprawiają, że uginają się pode mną kolana. Przenoszę ciężar ciała i przesuwam butem po zakurzonej podłodze, wydając dźwięk podobny do szeptu.

– Po prostu odejź – udaje mi się wydusić. – Powinnam cię nakłonić, żebyś ze mną wrócił, żebyś zaprowadził nas do Tarvera, byśmy mogli go powstrzymać. Ale po prostu... odejź.

Gideon też się przesuwa, ale powstrzymuje się przed zrobieniem kolejnego kroku w moim kierunku.

– To dlatego, że wierzę – mówi powoli. – W Tarvera i w Lilac. W to, że mój brat ją kochał, bo była... jest... tego warta, warta tego, by za nią zginąć. – Ciężko wzdycha. – Już ci mówiłem. Gdyby chodziło o ciebie, a nie o nią, żadna siła nie powstrzymałaby mnie przed wyruszeniem ci na ratunek.

Kręcę głową, a moje gardło jest zbyt zaciśnięte, żebym mogła coś powiedzieć. Czuję, że moja twarz jest rozpalona, zalana rumieńcem gniewu, frustracją i wszystkim tym, co powiedziałabym Gideonowi, gdybym mogła... Choć stoi przede mną, wciąż nie potrafię wydusić ani jednego słowa.

– To dlatego, że musi istnieć sposób, by to zadziało – mówi dalej, przyglądając się mojej twarzy. – Dlatego, że bez względu na to, jak spojrzeć na tę sytuację, nie zaakceptuję tego, że tak to się ma skończyć.

Biorę drżący oddech. Lufa pistoletu nadal wisi pomiędzy nami.

– Wciąż mówisz o Lilac?

Kąciki jego ust unoszą się w uśmiechu tak smutnym, że całe moje ciało pęka na pół.

– To ty jesteś specjalistką – mruczy. – Sama to oceń.

– Nie możemy sobie ufać – szepczę. – Nie można kochać kogoś, komu się nie ufa. Nigdy nie będziesz wiedział, czy z tobą nie pogrywam, a ja nigdy nie będę pewna, czy nie jesteś Waletem, który się ze mną bawi.

– Właśnie dlatego tu przyszedłem – warczy Gideon i sfrustrowany przeczesuje włosy dłonią. – Chciałem tu wrócić, zanim poznamy prawdę o sobie nawzajem. Istnieje ryzyko, że jutro wszyscy będziemy martwi, albo gorzej. Nigdy

się nie dowiemy, czy zdołalibyśmy sobie zaufać.

– Ani czy mógłbyś pokochać prawdziwą mnie. – Pieką mnie oczy, a ciężar tego wszystkiego, co chciałam mu powiedzieć, ściska mi gardło, tak że nie mogę mówić.

– Myślisz, że nie znam prawdziwej ciebie? – Źrenice Gideona się rozszerzają, a jego oczy wypełnia ból. Nie spodziewałam się tego.

W przygaszonym świetle wydaje się zmęczony. Zmienił się. W kradzionych wojskowych ciuchach wygląda zupełnie inaczej niż arogancki chłopak w uniformie LRI, który mrugnął do mnie z przeciwległego krańca holoapartamentu. Widzę, jak jego oddech podrywa w powietrze kurz, który wiruje w świetle latarki. Widzę, jak przyspiesza, i niemal słyszę walca, a każda drobinka kurzu wiruje przy akompaniamencie tej nieistniejącej, dawnej melodii.

– Do diabła z tym wszystkim – mamrocę, a broń spada na podłogę, kiedy palce odmawiają mi posłuszeństwa. – Mam to gdzieś. – Ruszam naprzód, zmniejszając dzielący nas dystans, i wyciągam do niego ręce. Moje palce zaciskają się na jego kurtce i przyciągają go.

Pochyla głowę i rozchyła wargi, by zetknąć je z moimi. Jedną dłonią obejmuje moją talię i przyciąga mnie do siebie, a drugą wplata we włosy. Czuję na policzku jego gorącą dłoń.

Potykam się i moje łopatki uderzają o ścianę. Czyjaś stopa napotyka latarkę i posyła ją kopniakiem w ciemność. Moje dłonie drżą, kiedy zdejmuję mu kurtkę, kiedy palce zaciskają się na jego ramionach, a mięśnie pod jego koszulką poruszają się i napinają w odpowiedzi na mój dotyk. Jego usta odnajdują linię mojej szczęki, moją szyję, wgłębienie za uchem, a ja głośno wypuszczam powietrze.

– Sofio – mamrocze tuż przy mojej skórze, napierając na mnie biodrami i ciasniej obejmując mnie wokół talii. – Zawsze cię znałem.

To wszystko, co chciałam powiedzieć... Przepraszam. Powinna była ci powiedzieć. Chciałam ci powiedzieć. Nie obchodzi mnie Walet. Te myśli urywają się, bo są zbyt pogmatwane, bym mogła wymówić je na głos, zbyt trudne i liczne, by je śledzić. Zawiodłam cię. Pozwoliłam, byś mnie skrzywdził. Gdybym mogła, wszystko bym cofnęła i zrobiłabym to raz jeszcze.

– Boże, pomóż mi... – sapię. Słowa wypadają z moich ust jak pył i gruzy, rozbijają się w moich własnych uszach i gwałtownie zatrzymują świat. Słyszę tylko oddech Gideona, czuję jego gorącą skórę na swojej, jego napierające na mnie naprężone ciało. Z trudem łapię oddech, a powietrze wpada do moich płuc, jak gdyby próbowało mnie zatopić. – Ufam ci.

Nigdy nie widziałem jej twarzy, twarzy dziewczyny o pięknych snach, tylko wewnątrz jej umysłu. Ale teraz oczami chłopca, który ją kocha, widzę, że jest piękna. Czuję, jak inni próbują się przedrzeć przeze mnie w poszukiwaniu dalszego zniszczenia, bo to jedyne, co znają. Ja jednak nie mogę przestać na nią patrzeć. Chciałbym na nią patrzeć bez końca.

Pozwala, bym wziął ją za rękę, a nasze palce splatają się tak, jak ona i zielonooki chłopiec spleli swoje serca... są osobne, a jednak nierozłączne. W tej chwili zazdroszczę im ich indywidualności, ich wyjątkowości, piękna tego dotyku. W tej chwili zazdroszczę zielonookiemu chłopcu, że zawsze będzie mógł jej tak dotykać.

W tej chwili postanawiam, że muszą przeżyć, że muszą pokazać innym to, czego można się nauczyć od ludzkości.

– Jubilee Chase – szepczę ustami zielonookiego chłopca. – Chciałbym...

GIDEON

Czuję tylko jej ciało na moim ciele, ciepło jej skóry przez materiał jej koszulki, jej gorący oddech na swojej szyi.

Słyszę tylko jej słowa niosące się echem w ciszy wypełniającej opuszczony pasaż. „Czy potrafiłbyś pokochać prawdziwą mnie?” „Ufam ci”.

Jesteśmy jedynymi plamami ciepła w tym świecie ciemności. Ponad wszystko chciałbym znać słowa, które pomogłyby jej poznać prawdę. Że choć przez całą naszą znajomość mnie oszukiwała, naprawdę ją znam.

Serce mi wali, odkąd weszła do pasażu. Chciałbym zrezygnować z siebie dla niej – dla tego – choć wiem, że miłość do niej i zaufanie jej to dwie różne rzeczy.

Nie mogę jej ufać.

A jednak ufam.

Cholera.

Moje ramiona same z siebie zaciskają się wokół niej, dziewczyna na mnie napiera. Rozchyła wargi i zatapiamy się w sobie nawzajem, desperacko próbując zmniejszyć dzielący nas dystans, choć wolelibyśmy, żeby wcale go nie było. Moja kurtka z łoskotem spada na ziemię, sprzęt chrzęści w kieszeniach. Kopniakiem posyłam ją w ciemność. Dłonie Sofii wślizgują się pod moją koszulkę, odnajdują nagą skórę. Mój mózg odcina wyższe funkcje, żebym mógł się skoncentrować na ściągnięciu jej koszulki, tak by jednocześnie nie przerwać pocałunku na dłużej niż kilka sekund.

Jedna myśl nie odpuszcza i wciąż odbija się w mojej czaszce, żądając, bym ją usłyszał.

Czy mówiła poważnie?

Zaufałem jej na Dedalu, a ona mnie wykorzystała. Pocałowała mnie i kiedy trzymałem ją w ramionach, myślałem, że jej obietnica o porzuceniu zemsty była szczerą. Nie zniósłbym, gdyby po prostu traktowała ten moment jako ostatnią szansę, by mnie zmiękczyć i sprawić, żebym zmienił zdanie.

Może przed decydującą nocą czuje, że musi naprawić kilka spraw. Może musi wyjawić prawdę. Może to właśnie jest prawda.

– Sofio, chciałbym... – szepczę tuż przy skórze jej ramienia, a w głowie przypominam sobie drogę do naszego dawnego posłania z koców.

– Hmm? – Jest rozproszona, a ta jedna sylaba rozciąga się w jęk, który chcę usłyszeć raz jeszcze. Ściąga mi koszulkę i kładzie obie dłonie na mojej piersi, by móc odepchnąć się od ściany i poprowadzić mnie tyłem w stronę posłania.

Myślimy podobnie, Dołeczku.

– Nieważne – mruczę. Cudownie jest trzymać ją w ramionach, mieści się w nich idealnie, a jednak w głębi duszy wciąż nie mam pewności, czy nie chce mnie odciągnąć od Tarvera, upewnić się, że Lilac umrze, skoro Sanjana powiedziała, że tak musi się stać. Wiem, że tego typu manipulacja sprawiłaby Sofii ból, ale gra toczy się o wysoką stawkę, więc... Czy mogę ją winić?

– Powiedz to, co masz do powiedzenia – szepcze.

Uderzam plecami o ścianę przy naszym posłaniu, a ona przywiera do mnie zarumieniona.

– Muszę to zrobić – mówię cicho, choć mój mózg ryczy, żebym się zamknął.

– Nie pozwolę, by Tarver sam się z nią zmierzył.

– Wiem – odpowiada szeptem, a kiedy pochylam głowę, przyciska do niej czoło. – Po tym wszystkim, co zrobiono szeptowi, może właśnie to doprowadziło go w końcu do szaleństwa: samotność.

Tęskny smutek w jej głosie wywołuje w mojej piersi ukłucie żalu. Oboje wiemy, czym jest samotność. Wyciągam rękę, żeby założyć jej włosy za ucho, próbując nie zaplątać się palcami w kołtuny, które zrobiły jej się w ciągu kilku ostatnich dni.

– Szepty nie są złe z natury. Gdyby tak było, Lilac wcale by nie żyła. Wciąż leżałaby martwa na planecie, na której się rozbili.

– Wiem – odpowiada, odwracając ode mnie twarz, żeby oprzeć mi głowę na ramieniu. – Jubilee знаła jeden z nich w dzieciństwie, ten sam, który pomógł jej i Flynnowi na Avonie. To my zamieniliśmy szept, który opętał Lilac, w bestię.

– LaRoux mu to zrobił.

LaRoux skrzywdził też Sofię, zamieniając dziewczynę, którą trzymam w ramionach, w kogoś zdolnego do morderstwa. A mnie w kogoś, kto usprawiedliwiał tropienie jej i szczucie. Ta myśl jest niezwykle wyrazista. Który gatunek jest bardziej niebezpieczny?

Przypominam sobie myśl, która przyszła mi do głowy u Mae... Choć mam wrażenie, że od tego czasu minęła wieczność, działo się to zaledwie kilka dni temu. Teraz wypowiadam ją na głos.

– Zastanawiałem się kiedyś, czy szepty widzą wszystkie dane, które przesyłamy za pośrednictwem hipernetu. A jeśli tak, to co o nich myślą. Co myślą o nas.

– Nasze dane – powtarza. – Masz na myśli...

– Wszystko, co przesyłamy. Od mandatów po poezję.

– Gdybym ja to wszystko widziała – mówi cicho w ciemności – cały nasz gniew, to, co mówimy do siebie nawzajem, nie miałabym o nas najlepszego zdania.

Uginam kolana, a kiedy zsuwam się plecami po ścianie, Sofia zsuwa się wraz ze mną. Siadamy na posłaniu z koców. Siedzimy razem niemal w całkowitej ciemności, splątani kończynami, przyciśnięci do siebie, jak gdyby sam fizyczny

kontakt mógł nas ocalić.

– Musi być inny sposób, by ją powstrzymać, Gideonie – szepcze.

Kiedy trzymam ją w ramionach, patrzę na jej twarz, spoglądam w oczy i na podkreślony światłem latarki łuk warg, chcę wierzyć, że kochanie jej oznacza, iż mogę jej zaufać. Że zdanie „Ufam ci” coś znaczy. Bo jeśli to prawda – jeśli poczuje to mimo tego, co zrobił jej LaRoux – byłoby to wszystkim. Jednak niepewność przypomina maleńką drzazgę wwiercającą się coraz głębiej w moje serce, żłobiącą drogę dla zważnienia, które jest jak zaraza. Nie ma innego sposobu, a jeśli teraz próbuje odciągnąć mnie od podjętej decyzji, od drogi, na którą wstąpiłem z Tarverem, nie mogę jej na to pozwolić.

Nachyla się do przodu, unosi głowę, a ja się temu poddaję. Moje usta odnajdują jej wargi, nie szukają słów. Przynajmniej to jest prawdziwe. To ciepło, ta potrzeba... Bez względu na to, co między nami zaszło i co jeszcze zajdzie, ta chwila jest prawdziwa.

Byłby to ogromny krok, a koniec końców żadne z nas nie pamięta, jak się ufa. Ona ma swój plan, a ja swój. Istnieje szansa, że przynajmniej jedno z nas ma rację.

Więc zamiast układać nowy plan, zamiast wykonywać ten skok, osuwamy się na koce i choć przez cały czas czuję ból w sercu, żegnamy się w jedyne sposób, jakiemu potrafimy zaufać. Bez słów.

Z tak wielką mocą czujemy, że straciliśmy brata na szarej planecie, jak czuliśmy to, że straciliśmy pierwszego z naszego gatunku. Próbujemy zrozumieć śmierć i to, jak coś może przestać istnieć. Uczenie się o wyjątkowości tych istot jedynie pogłębia naszą dezorientację, bo jak coś tak rzadkiego i wyjątkowego w jednej chwili może istnieć, a w drugiej zniknąć?

Na ich świecie pozostał tylko jeden z nas, ten, którego nie widzimy. Ale dzięki chłopcu, który mieszka na ścieżkach hipernetu, wiemy, że ostateczne więzienie znajduje się gdzieś na planecie w centrum Galaktyki. Musimy sprowadzić tam całą szóstkę, aby znaleźć naszego ostatniego emisariusza i wysłać go do domu, by w końcu dowiedzieć się, czy możemy współistnieć z tymi dziwnymi, ulotnymi stworzeniami, które żyją i umierają, nie pozwalając, by zniszczyła ich niepewność.

Jeśli chodzi o pozostałych, ich drogi prowadzą do tego miejsca... Wszystkich oprócz dziewczyny z dołeczkami w policzkach. Musimy ją tu jakoś sprowadzić, spleść jej nić z nićmi pozostałych.

Dowiedzieliśmy się, że chłopiec owinięty kablami i danymi szuka kogoś, kto według niego doprowadzi go do niebieskookiego mężczyzny. Naprowadzimy go na ślad dziewczyny... A on przywiedzie ją do nas.

SOFIA

Kiedy wraz z Jubilee i Flynnem wykradamy się z opuszczonej restauracji, panuje całkowita ciemność. Muszę się poruszać z bolesną powolnością. Nie chcemy przyciągać uwagi światłem latarek, więc poruszamy się po omacku, lawirujemy pomiędzy zagruzowanymi ulicami podziemnego miasta, kierując się wyłącznie tym, co zapamiętałam. Oddałabym wszystko, żeby znać to miejsce tak jak Gideon. Nigdy nie czułam się tu jak w domu, za to on zna te uliczki jak własną kieszeń.

Opuściłam go, gdy wciąż spał, wróciłam do restauracji i modliłam się, żeby moi towarzysze nie zauważyli, jak długo mnie nie było. Kiedy leżę tak przez resztę nocy, czekając na sen, w głowie wciąż dźwięczą mi zdania, które sobie powiedzieliśmy, i te, które nie padły. A także obrazy pustookich skorup i planet pogrążonych w izolacji. Obrazy szeptu męczzonego i torturowanego tak długo, aż zamienił się w broń. Chwili, w której uświadomiłam sobie, że spotkało mnie to samo. Nawet teraz nie mogę przestać drzeć, i to nie od przejmującego chłodu, który wciąż spowija podziemia Koryntu.

Dłoń Jubilee na moim ramieniu budzi mnie z odrętwienia i wracam myślami do terażniejszości. Od świtu wciąż dzieli nas kilka godzin, sieć elektryczna nie została jeszcze naprawiona. Próbowałam ustalić nasze położenie na podstawie charakterystycznych punktów, których mogę dotknąć, a kiedy ten sposób zawiódł, zdałam się na intuicję, jednak teraz... nawet Jubilee i Flynn, choć nie znają tej części Koryntu, rozpoznają to, co majączy w ciemności.

Szyb konserwacyjny.

Wspinaczka pozbawia mnie tchu i sprawia, że cała drzę, ale kiedy wylaniamy się pośród apokaliptycznego krajobrazu w górnym mieście, wciąż stoję na nogach. W ciągu ostatnich kilku dni tak często się bałam, że nie jestem pewna, czy mój organizm wciąż przetwarza strach w ten sam sposób.

Zanieczyszczenie światłem z innych sektorów Koryntu barwi niebo na ciemnordzawy odcień pomarańczowego i teraz łatwiej mi dostrzec poszczególne budynki, a raczej punkty, w których kiedyś stały. Wszystko wygląda inaczej... Tam, gdzie kiedyś znajdowały się drapacze chmur, zieją puste miejsca, a tam, gdzie powinien się znajdować ogromny zielony pas parku, widnieje olbrzymia struktura, której nigdy nie widziałam. Nie jestem pewna, czy dobrze nas poprowadziłam, dopóki pod nami nie dostrzegam trawiastego terenu LaRoux Industries, który panujący wokół mrok pozbawił soczyście zielonego koloru.

Dotarliśmy. A struktura przed nami wcale nie jest budynkiem.

Wrak Dedala przytłoczył krajobraz jak gigantyczna bestia. Jego metalowa powłoka oderwała się płatami i utworzyła długie poszarpane rany, odsłaniając kable i wysypując przewody na ziemię, tak że przypominają organy wewnętrzne. Pozwijane metalowe wsporniki o szerokości dwóch metrów oderwały się niczym odłamki kości i wystają ku niebu. Tu i ówdzie unosi się dym, jak gdyby to stworzenie nie było jeszcze całkiem martwe, jak gdyby z wysiłkiem wydawało właśnie ostatnie tchnienie, które paruje w powietrzu przed świtem. Wrak do połowy zatopił się w ziemi, a beton i stalowe wsporniki ustąpiły mu jak woda, jakby w każdej chwili znów mógł się wynurzyć z otchłani.

Nie sposób połączyć tego mrocznego lewiatana złożonego z poszarpanego metalu i spalonych chemikaliów z rozświetloną salą balową, którą podpowiada mi pamięć, kiedy myślę o tym statku. Jest tak, jakby wszystko, co się tu wydarzyło – zetknięcie się twarzą w twarz z LaRoux, odkrycie tożsamości Gideona, brakująca szczelina, ponowne spotkanie Flynnna, strzelenie do Lilac LaRoux – spotkało kogoś innego wiele lat temu. A myśl, że wszyscy przebywaliśmy kiedyś we wnętrzu tego czegoś, w zwłokach tego wielkiego międzyorbitalnego statku, wydaje się absurdalna.

Idea, że w środku wciąż znajdują się ludzie, zmiażdżeni, kiedy statek uderzył o ziemię, albo uduszeni przez próżnię kosmosu wpadającą do wielkich pęknięć z boku statku... to coś, o czym nie chce się nawet myśleć.

Stoimy w cieniu windy konserwacyjnej, wpijając się w nią plecami i spoglądając na roztaczające się przed nami monstrum. Wysiedliśmy na poziomie, który kiedyś musiał się znajdować kilka pięter nad podwórzem, a rozciągające się przed nami strome zbocze pokrywają gruzy. Nawet nieustraszona Jubilee nie podejmuje próby zejścia. Kiedy spoglądam na moich towarzyszy, widzę dwie pary rozszerzonych, błyszczących oczu przyglądających się wrakowi.

Z ogromnym wysiłkiem przełykam ślinę, aby nawilżyć wysuszone gardło i przerwać ciszę trwającą już godzinę, kiedy poruszaliśmy się podziemiami, by niezauważeni dotrzeć do tego miejsca.

– Nie powinniśmy się zatrzymywać.

Przyglądam się terenowi pomiędzy nami a Dedalem, próbując wybrać najbardziej równą trasę prowadzącą przez zagruzowany teren. Przez chwilę ziemia tańczy, faluje mi przed oczami. Zaciskam powieki i próbuję odpędzić zmęczenie. Kiedy otwieram oczy, ziemia wciąż się porusza, bo to wcale nie jest ziemia.

Skorupy są wszędzie. Jak insekty wysypujące się z gniazda wspinają się po nierównym terenie gęstą warstwą pomiędzy nami a ranami w kadłubie statku, którymi dostaniemy się do środka. W gardle wzbierają mi wymioty, a kolana prawie się pode mną uginają. Jeśli wydawało mi się, że strach traci nade mną kontrolę, myliłam się.

Myślę o osłonie, którą zrobił Gideon, wetkniętej do kamizelki Flynnna. Może

ochroni nas przed tym, żebyśmy nie stali się jednymi z nich, ale nie przed rozerwaniem nas na strzępy. Nie, kiedy nas dostrzegą. Czy w czasie, który minął, odkąd widziałam Gideona po raz ostatni, on i Tarver wyłonili się spod ziemi i zastali przed sobą ten sam widok?

– Jakim cudem ma się nam to udać? – mamrocze Jubilee, wypowiadając moje myśli.

– Musimy odwrócić ich uwagę. – Ta niemożliwa do wykonania misja sprawia, że głos Flynna jest ciężki i tak wyczerpany oraz smutny jak ja. – Mógłbym...

– Nie – mówi Jubilee, jakby zatrzaśniwała drzwi, które odcinają ten pomysł, zanim jeszcze się narodzi.

Jednak prawda jest taka, że ani ona, ani ja nie mamy lepszego pomysłu. Nie mam żadnego pomysłu. Otoczą nas, zanim pokonamy jedną czwartą trasy do wraku.

Z wyschniętym gardłem i sercem walącym tak mocno, że czuję je w skroniach, obserwuję napływ nowej fali skorup na szczycie zawalonego budynku po lewej, która zaczyna schodzić po drugiej stronie do nowo utworzonej doliny u naszych stóp. Prowadzi ich blondynka z włosami związanymi w koński ogon. Podtrzymuje się jedną ręką, a drugą trzyma jakiś czarny prostokątny przedmiot.

Przyglądam się uważniej. Nie porusza się właściwie. A raczej tak, porusza się właściwie, nie szura nogami jak inne skorupy. Schodzi w dół, a pozostali ześlizgują się ze wzgórza za jej plecami.

O Boże.

Nagła świadomość jest jak cios w brzuch. Rozpoznaję ją w jednej pozbawiającej tchu chwili.

To Mae.

Przyjaciółka Gideona kroczy na czele grupy, a ja wydaję zduszony odgłos, jedną ręką klepiąc Jubilee, by przyciągnąć jej uwagę. Mae unosi rękę i poraża najbliższą skorupę paralizatorem. Postać pada jak kłoda.

– Kto to jest, u diabła? – szepcze Jubilee, nieruchomiejąc.

Zanim udaje mi się udzielić odpowiedzi, zza krawędzi wzgórza wyłania się nowa grupa, a Flynn sapie:

– Sanjana tu jest!

Badaczka nosi martwą cybernetyczną rękę na ciasnym temblaku. Zdrową ręką używa paralizatora. Otaczają ją zaniedbane postaci w uniformach LaRoux Industries, które łączą się z towarzyszami Mae... Przetrzebiają skorupy, unieszkodliwiając jedną po drugiej.

– Cholera, Flynn. To Mori. – Jubilee się ożywia, a ta sama energia, ta sama nadzieja, przepływa także przeze mnie.

Z drugiej strony doliny nadchodzi Kumiko wraz z co najmniej dwudziestoma

pięcioma byłymi żołnierzami w czerni, którzy pokonują gruzy, by rozprawić się ze skorupami. To wszystko przypomina pierwszy promień światła wpadający do mrocznej więziennej celi. Znów wypełnia mnie nadzieja, choć wydawało mi się, że przepadła. Prostuję plecy i unoszę głowę, kiedy Mori obezwładnia paralizatorem czarnooką skorupę w resztkach garnituru. Trzymając urządzenie w gotowości, unosi głowę, by rozejrzeć się po terenie siedziby głównej LRI. Wbija wzrok w horyzont.

– Szuka nas – mówię w tej samej chwili, w której to sobie uświadamiam, i ruszam naprzód. – Wiedzą, że tu jesteśmy. Torują nam drogę. Chodźmy.

Razem rzucamy się przed siebie, a odłamki rozpryskują się na boki, kiedy częściowo wbiegamy, a częściowo wpadamy na szybko opróżniający się dziedziniec poniżej. Mori wydaje rozkaz głosem, który mógłby rozbrzmiewać na polu walki, i żołnierze rzucają się w naszą stronę. Z bliska widzę, że część trzyma w dłoniach palmpady, część ma je przypięte do pasków, a u części z nich kwadratowy kształt widoczny jest przez ubranie. Sanjana nauczyła ich, jak skonstruować osłony. O ile baterie wytrzymają, ich umysły nie są zagrożone.

– Przetrzymamy ich tak długo, jak będziemy w stanie, pani kapitan! – krzyczy Mori, kiedy udaje nam się zejść ze wzgórza.

– Jak się tu znalazłaś? – Jubilee kilkoma susami pokonuje dystans dzielący ją od dawnej kapral.

– Doktor Rao powiedziała nam, dokąd się kierujecie, kiedy po nią przyjechaliśmy – odpowiada Mori, odwracając się, by obserwować walkę toczącą się w głębi dziedzińca. Stoi na baczność z uniesionym gleidelem i podnosi głos, by przekrzyczeć laserowy jęk broni oraz gardłowe brzęczenie paralizatorów.

Skorupy poruszają się teraz szybciej. Może szept Lilac namierzył źródło niepokoju.

– Rao ma u boku część ludzi z LRI. Większość z nich z przerażeniem wysłuchała tego, co planuje ich szef. – Mori urywa, by złapać oddech. – A tamta blondynka obserwowała sieci, próbując zdobyć informacje, co się stało z Waletem. Kiedy udało jej się go namierzyć, znalazła nas. Jest z nią grupa hakerów, którzy chyba nigdy dotąd nie widzieli słońca, oraz konspiratorzy z organizacji Korynt przeciwko Tyranii. Są niezłe wkurzeni. – Kręci głową, ale na jej twarzy widnieje szeroki uśmiech. Mimo otaczającego nas chaosu wygląda na osobę, której to wszystko sprawia przyjemność. – Chyba w końcu znaleźli kogoś, kto naprawdę chce ich dorwać.

Ale kiedy Jubilee otwiera usta, by odpowiedzieć, po obu stronach pojawiają się nowe fale skorup o groźnych wyrazach twarzy, które zbliżają się i każą nam wrócić do rzeczywistości. Muszą ich być setki. Płomień nadziei, który zagnieździł się w mojej piersi, migocze i gaśnie. Nie ma mowy, by Mori i jej ludzie ich odparli.

– Idźcie, są tam – rzuca Mori. – Będziemy grać na zwłokę. Udanych łowów.

Jubilee chwyta ją za rękę, na chwilę zaciska ją w swoich dłoniach i puszcza. Mori wraca do walki.

Z oddali nasze wejście na Dedala wygląda jak otwór na tyle szeroki, by pozwolić człowiekowi wcisnąć się do środka, jednak jego skala to spore niedopowiedzenie – jest dość szeroki, byśmy mogli przez niego wbiec, nawet się nie schylając. Musimy się wspiąć po kilku strzaskanych warstwach bezkształtnego metalu, by w końcu znaleźć drogę. Odgłosy toczącej się za nami walki stają się coraz mniej wyraźne. Po chwili zapada cisza i jesteśmy zdani na siebie, kolejny raz w otoczeniu milczącego świata.

Otwór wychodzi na słabo umeblowany pokład konserwacyjny. Metalowa krata na podłodze jest przechylona pod ostrym kątem, tak że przesuając się do wewnątrz statku, musimy zapierać się nogami i przywierać do ram okien wzdłuż ściany.

Statek jest tak ogromny, że w normalnych okolicznościach nie mielibyśmy szans znaleźć Lilac ani szczeliny, ale w tych warunkach nawet skorupy nie byłyby w stanie przesunąć ogromnej maszyny w głąb wraku. Muszą się znajdować blisko.

Mój nos, na wpół zdrętwiały od odoru palących się chemikaliów, wypełnia kłujący zapach, kiedy udaje nam się namierzyć schody prowadzące w dół statku. Atakuje mnie kolejny smród. Duszę się i cofam o krok, przez co wpadam na Flynna, który stęka i chwyta się poręczy, by nie ześlizgnąć się ze schodów.

– Co to? – mamroczę, unosząc rąbek koszulki, by zakryć nos.

Flynn po prostu się we mnie wpatruje równie skołowany, ale Jubilee kręci głową, a jej oczy wypełnia mrok.

– Krew – rzuca krótko.

Dopiero wtedy dostrzegam ciemną stertę u stóp pnącej się klatki schodowej. Dostrzegam też błysk różu i zdaję sobie sprawę, że to but na obcasie i że sarta składa się z martwych ciał. Przed oczami mam obraz barwnych postaci tańczących na sali balowej i muszę zacisnąć usta, żeby powstrzymać odruch wymiotny.

Ręka, nie wiem czyja, zaciska się wokół mojego nadgarstka i pociąga w dół schodów, z dala od ciał. Próbuję oddychać przez usta i się nie zatrzymywać.

Schody prowadzą do luksusowej, wykładanej dywanem sali, którą pierwszy raz widziałam, kiedy przybyłam na statek wraz z Gideonem. Dywan tłumi nasze kroki, wokół zapada cisza. Większość skorup znajduje się na zewnątrz statku, gdzie są wstrzymywane przez Mori, Mae, Sanjanę i ich sojuszników, ale w środku też się na nie natykamy. Za każdym razem cofamy się i kryjemy. Lilac musi wiedzieć, że znajdujemy się gdzieś na statku, ale jeśli uda nam się nie napotkać skorupy, która mogłaby na nas donieść, wciąż możemy ją zaskoczyć. To, w jaki sposób się pojawiają, po koncentrycznych, zaciskających się okręgach, pomaga nam stwierdzić, że szczelina znajduje się gdzieś w dole. Ale dopiero kiedy w ciemności rozbłyska światło, tak delikatne, że zdaje mi się, iż oczy mnie oszukują, wiem, że

mieliśmy rację.

Światło migocze niepewnie, niebieską poświatą oświetla kłębowisko wystającego ze ściany metalu. W jednej chwili wracam wspomnieniami do siedziby głównej LRI i spoglądam na budzącą się do życia szczelinę.

– Jesteśmy blisko – sapię, dotykając ramienia osoby znajdującej się tuż obok mnie. To Flynn. Wskazuję w stronę światła. – Tędy.

Możemy mieć tylko nadzieję, że nasi przyjaciele na zewnątrz zdołają jeszcze przez chwilę powstrzymać armię Lilac.

Po wyjściu z sali za rogiem odkrywamy coś, co kiedyś było pięknym foyer. Światło staje się coraz wyraźniejsze. Musimy się wspinać po niegdyś wypolerowanej marmurowej podłodze, wykorzystując ogromne poszarpane otwory w jej powierzchni, by znaleźć punkty zaczepienia i przedrzeć się przez na wpół zawałone przejście po drugiej stronie korytarza. Podciągamy się wzdłuż niego. Zatrzymuję się, by spojrzeć na twarze swoich towarzyszy skąpane w delikatnej niebieskiej poświacie bijącej z dołu.

Nikt nie wymyślił sposobu, by ocalić Lilac. Twarz Jubilee jest poszarzała, a niebieskie światło tylko potęguje ten efekt.

Nie patrzy w oczy żadnemu z nas. Wbija wzrok w ścianę za moimi plecami, gdzie boazeria z prawdziwego drewna wybrzuszyła się i pękła, tak że od sufitu po podłogę utworzyła się rysa.

– On nigdy mi nie wybaczy – szepcze, przyciskając dłoń do nogi, jak gdyby chciała sięgnąć po broń, ale nie była w stanie.

Flynn się porusza, przesuwał się podszwami po stromo nachylonej podłodze, aż udaje mu się znaleźć u jej boku.

– Może nie – odpowiada, czym mnie zaskakuje...

Spodziewałam się jednego z tych charakterystycznych dla niego płomiennych przemówień, a nie tego, nie kilku słów wypowiedzianych łagodnym tonem.

– Ale będzie żył. I będzie zdrowy na umyśle. Podobnie jak reszta ludzkości. Wiesz, czego oczekiwałyby od nas Lilac.

Oczy Jubilee są mokre, a ja czuję kolejny wstrząs. Nie wiedziałam, że tacy ludzie płaczą.

– Ale to Lilac, Flynnie. Jak mogę...? To moja przyjaciółka.

– Wiem. – Głos Flynny jest zachrypnięty. – Żałuję, że nie mogę ci powiedzieć... Nie wiem, co jest właściwe. Wiem tylko, że nie dotarliśmy aż tutaj sami i że ty także nie jesteś teraz sama. Zrobimy to razem. – Ujmuje jej dłoń między swoje, odciąga ją od kabury i podnosi do ust.

Czuję, że powinnam odwrócić wzrok, pozwolić im na tę chwilę intymności, ale nie mogę... Kiedy dziewczyna patrzy mu w oczy, jest w nich tak wielka ufność, że boli mnie serce. Czuję łyzy radości, że Flynn odnalazł ją mimo dzielących ich

barier, bólu i głębokiej zazdrości. Przywołuję w pamięci ostatnie wspomnienie Gideona drzemającego na posłaniu z koców w pasażu, z jednym ramieniem wyciągniętym w poprzek miejsca, gdzie leżałam. Jakim cudem *trotaire* i przywódca *fianna* mogą sobie tak zaufać, a ja i Gideon...? Udało im się pokonać mury nienawiści i przemocy wzniesione przez kilka pokoleń, a ja nie potrafię pokonać ich we własnym sercu.

Cała nasza trójka stoi w milczeniu, mierząc się z ciężarem tego, co zamierzamy zrobić. Potem bez słów prześlizgujemy się przez zawałone wejście.

Łukowate drzwi prowadzą do sali balowej. Choć byłam tu zaledwie kilka dni temu, zanim Dedal spadł, prawie nie rozpoznaję tego pomieszczenia. Znajomo wygląda tylko żyrandol, który leży w rogu, w stercie potłuczonego szkła i przewodów elektrycznych. Dawniej błyszcząca podłoga teraz jest brudna i roztrzaskana, a w centrum widnieje głęboki lej, tak jakby posadzka tonęła pod ciężarem ogromnego metalowego pierścienia umieszczonego pośrodku sali.

Pierścień zajmuje większą część przestronnej sali balowej, jak gdyby maszyna urosła, by dopasować się do otaczającego ją pomieszczenia. Niebieskie światło odbija się od każdej powykręcanej powierzchni i niezliczoną ilość razy od odłamków lusterek, którymi kiedyś były wyłożone przeciwległe ściany. Podium, na którym stali Lilac i Tarver u boku Rodericka LaRoux, jest roztrzaskane i rozrzucone w leju przed nami. Znad naszych głów zniknął przeszklony sufit, przez który było widać kosmos. Została po nim tylko czerwona czerń nocnego nieba na Koryncie.

Głos, który usłyszeliśmy, mówi dalej, układając się w długi ciąg sylab zaczynających tworzyć słowa, kiedy się zbliżamy i chowamy za zwałoną kolumną.

– ... choć może lepiej piknik, taki jak dawniej, taki, jakie uwielbiała twoja mama. Tylko ty i ja, córeczko... Nic nie musi się zmieniać. Teraz może być tak samo jak przedtem.

Po lewej stronie szczeliny widzę ciemną sylwetkę, a kiedy światło maszyny znów się podnosi i opada, dostrzegam rysy. To Roderick LaRoux. Siedzi skulony na podłodze, wciąż ubrany w brudny, podarty, zapocony smoking, który miał na sobie w noc gali. Jestem skołowana. Przez chwilę wydaje mi się, że mężczyzna mówi do szczeliny, ale zaraz wyłania się zza niej druga postać.

Lilac także ma na sobie strój, który włożyła tego wieczoru, kiedy rozbił się Dedal. Jednak podczas gdy ubrania jej ojca są brudne, jej wyglądają nienagannie, jakby dopiero co wyszykowała się na galę. Jej czarna sukienka układa się w eleganckie zakładki i w ruchu wygląda jak jedwab. Dziewczyna mija ojca, nie obrzucając go nawet spojrzeniem. Ma nienaruszoną fryzurę. Na jej szyję spada tylko jeden idealnie zakręcony lok.

– Oczywiście, tatusiu – mamrocze, a jej głos niesie się dziwnym echem, jak gdyby dochodził z więcej niż jednego miejsca. – Gdy już wszystkim pomożemy.

– Oczywiście – powtarza mężczyzna. – Oczywiście, oczywiście... Szczeliny. Niech wszędzie będzie bezpiecznie. Niech już nikt nie zginie – mamrocze, znów osuwając się na podłogę.

Przez falę nienawiści i obrzydzenia, która mnie zalewa, przedziera się coś zaskakującego, co na chwilę odbiera mi oddech i każe oprzeć się o kolumnę.

Litość.

Obok mnie rozlega się ciche kliknięcie, kiedy Jubilee odbezpiecza broń. Serce mi wali, a przez żołądek przetaczają się mdłości. Słyszę jej drżący oddech. Nie znam Tarvera ani Lilac. Nie tak naprawdę. Nienawidziłam ich oboje, bo stanowili część rodziny LaRoux, byli związani z jedyną osobą, którą chciałam skrzywdzić najbardziej na świecie. Ale nienawidziłam ich z oddali, tak jak nienawidzi się deszczu czy korków. Nigdy nie nienawidziłam ich prawdziwych. W ciągu tych kilku krótkich chwil na Dedalu, zanim wszystko rozpadło się w pył, uświadomiłam sobie, że nawet ich lubię. Łagodne poczucie humoru Tarvera. Ciężte riposty Lilac. Ich wzajemne oddanie.

Teraz jednak musimy zniszczyć ich oboje.

– Tatusiu... – Nagle rozlega się głos Lilac, który przerywa nieczytelny monolog dochodzący z podłogi. – Mamy gościa. Ty spryciarzu.

Serce mi zamiera. Spoglądam na Jubilee i Flynnę, którzy wraz ze mną skryli się za kolumną. Już mam unieść głowę, wyjrzeć z kryjówki i odwrócić uwagę Lilac, by dać Jubilee czas, którego potrzebuje, kiedy trzeci głos każe mi się zatrzymać.

– Nie próbowałam się wcale schować – odzywa się ktoś z przeciwległego krańca pomieszczenia.

Kiedy wyglądam zza kolumny, widzę, jak Tarver idzie wzdłuż zapadniętej sali balowej, a jego buty posyłają w przepaść kłęby pyłu i odłamków. Wracają do mnie słowa Mori: „Oni tam są”. Nie miała na myśli tylko Lilac i jej ojca. Głos Tarvera jest cichy, a jego ton prawie konwersacyjny, kiedy dodaje:

– Nie jestem na to dość bystry.

– A więc jesteś tylko głupim żołdakiem? – Lilac wymawia te słowa, jak gdyby miały wywołać większy efekt. Nawet stąd dostrzegam jej uśmiech.

Tarver przesuwa się do przodu i zatrzymuje na dolnym poziomie zniszczonej sali balowej.

Wpatruję się w ciemność za ich plecami, a mieszanina nadziei i strachu sprawia, że krew szumi mi w uszach, niosąc ze sobą panikę... Nigdzie jednak nie dostrzegam Gideona. Może zrezygnowali z planu zamknięcia szczeliny. Może... Wstrzymuję oddech.

– Co tu robisz? – pyta Lilac, zwracając się w jego stronę i wyglądając sukienkę gestem tak ludzkim, tak naturalnym, że kiedy spoglądam na jej twarz, przechodzą mnie ciarki. Żaden człowiek nie zna takiej nienawiści.

– Nie wiesz? – Tarver unosi brwi. – Nie możesz po prostu przeskanować moich myśli i przejrzeć moich planów?

– Nie, kiedy masz w kieszeni ten durny gadżet – odpowiada tonem, którym równie dobrze mógłby komentować jakąś modową wpadkę. – Ale ponieważ cię znam, wątpię w to, żebyś przyszedł tu bez planu. Wątpię, byś zostawił na zewnątrz wszystkich swoich przyjaciół. – Lilac spogląda w mrok i przez chwilę się krzywi, ale nie może namierzyć Gideona. Ani nas. – Tak na marginesie: nie radzą sobie tam najlepiej. Są w mniejszości.

Szczęka Tarvera się zaciska. Chłopak wyraźnie stara się ją rozluźnić, ściągając łopatki.

Lilac cicho się śmieje.

– Widzę, jak się starasz. Z pewnością wydaje ci się, że w ostatniej chwili mnie „ocalisz”.

– Nie ciebie – mamrocze Tarver. – Lilac.

Ona jednak nie zważa na jego słowa i mówi dalej. Wydaje się nie zauważać tego, kim stała się teraz i kim była kiedyś.

– To się nie uda... Wiesz dlaczego? Jeśli chcesz, zdradzę ci sekret. – Rusza w jego kierunku i zatrzymuje się po kilku krokach.

Tarver nic nie mówi, tylko wpatruje się w jej twarz. Jest uzbrojony, w kaburze widzę pistolet, ale jego ręka nawet się do niego nie zbliża.

– Nie możesz mnie ocalić – mówi Lilac, nachylając się do niego, tak jakby scenicznym szeptem dzieliła się z nim jakimś wielkim sekretem – bo ja już nie żyję.

Palce Tarvera układają się w pięści u jego boków. Światło ze szczeliny pada na jego twarz, tak że przypomina teraz płaskorzeźbę, podkreśla mięśnie żuchwy, kiedy chłopak zaciska szczękę. Lilac po prostu się śmieje – rozpoznaję ten sam słodki, dźwięczny śmiech, który słyszałam w czasie wywiadów z celebrytami w holowizji oraz konferencji prasowych – po czym klepie go po policzku.

Odwraca się, a Tarver znów rusza za nią. Jego krok jest niepewny, ale głos przepelnia energia.

– Czekaj. Wiem, że tam jesteś. Lilac, posłuchaj mnie. Wiem, że mnie słyszysz. Walcz dalej. Nie poddawaj się.

– Słodki jesteś. – Lilac zdaje się nie przejmować jego słowami, ale przystaje, a kiedy odwraca się do Tarvera, chłopak przenosi ciężar ciała z jednej nogi na drugą.

Wygląda, jakby mu... ulżyło.

Nagle uświadamiam sobie coś, od czego przechodzą mnie ciarki. Tarver odwraca jej uwagę. Gra na zwłokę dla Gideona, gdziekolwiek on jest, by mógł przeprowadzić ich plan. A to oznacza, że możemy mieć tylko kilka chwil na reakcję, zanim Tarver i Gideon zaryzykują rozwarcie szczeliny i oddanie Lilac

całej władzy, jakiej potrzebuje.

Spoglądam na pozostałych. Flynn cicho wyjmuję osłonę z kieszeni i podaje ją Jubilee. Jej twarz wykrzywia się, kiedy wkłada urządzenie do kieszeni kamizelki. Nie wiemy, do jakiego stopnia pole nas ochroni, jeśli zostaniemy rozdzieleni, a nie możemy zmarnować szansy na strzał. Kiedy Jubilee kiwa głową, wydostajemy się zza kolumny. Plan Tarvera i Gideona nie różni się zbyt od naszego – tylko że w naszym przypadku Flynn i ja musimy odwrócić uwagę Lilac od Jubilee, a Tarver chce zyskać czas dla Gideona, by ten mógł sięgnąć do szczeliny i umieścić w niej wirusa.

Lilac stoi do nas plecami, ale Tarver doskonale nas widzi, a nasz ruch budzi w nim czujność. Teraz kładzie dłoń na broni przy biodrze i spogląda po kolei na każde z nas. Lilac odwraca się z taką samą gracją, z jaką zrobiłaby to prawdziwa Lilac. W najmniejszym stopniu nie przypomina skorup krążących po wraku.

Flynn szybko unosi dłonie, a ja robię to, co on.

– Nie jesteśmy uzbrojeni – mówię, pozwalając, by mój głos drżał.

– Goście, goście – mamrocze Lilac, z rozbawieniem unosząc rudozłotą brew, ale choć jestem rozproszona, zauważam, że jej uśmiech nie jest już tak szeroki, wyczuwam w nim jakieś napięcie. – Powiedzcie: co właściwie chcecie osiągnąć? Poruszam się szybciej od was i jestem od was bystrzejsza. Całymi latami studiowałam wasz gatunek. – Wbija wzrok we Flynną, a jej usta lekko drgają. – O co ci chodzi? – Unosi idealnie wypielęgnowaną dłoń, by wskazać na niego palcem. – Wciąż masz ją przy sobie. – Macha dłonią i bezbłędnie wskazuje Jubilee, która w niemal całkowitej ciszy przesuwa się wzdłuż ściany.

Jubilee wykrzywia usta, obnażając zęby, i się zatrzymuje. Nie wiem, czy próbuje odwrócić uwagę Lilac od trzymanej przez siebie broni i czy jej wściekłość jest prawdziwa. Może i jedno, i drugie.

– O co mu chodzi? Masz na rękach krew setek tysięcy ludzi. I nawet nie udajesz, że cię to interesuje. November płonie wokół, a ty...

– To jest Korynt – przerywa jej gładko Lilac, która brzmi na znudzoną. – November to przeszłość. – Urywa, po czym jej wargi rozchylają się i układają w uśmiech. – Ach, już rozumiem. Nie przybyłaś tu z moim Tarverem... Jesteś tu w innym celu. Chcesz mnie zabić? No, no... Wasza grupka łatwo się podzieliła, co?

– Łatwo? – Odzyskuję głos i z trudem wypowiadam te słowa... Muszę ściągnąć jej uwagę na siebie. – Śmierć całych sektorów miasta to nic? Zwyczajna niedogodność?

Tarver znów przenosi wzrok na mnie, podobnie jak Lilac, a za ich plecami widzę, jak Jubilee unosi broń. Wiem, że może mnie zdradzić mrugnięcie oka. Lilac znów zaczyna się zwracać w stronę Jubilee. Kiedy ją zobaczy, z łatwością rzuci nią o ścianę, tak jak wtedy Tarverem na Dedalu. Mam tak wyostrzone zmysły, że to

niemal nieznośne, a mój świat zawęży się do jednego ruchu, kiedy palec Jubilee zagina się na spuście.

Sanjana ostrzegła, że mamy tylko jeden strzał.

Nagle huk rozdziera powietrze i moje uszy, a ja wracam myślami na Dedala po tym, jak pociągnęłam za spust plastenowego pistoletu, wracam na Avon tuż po eksplozji i przywieram do ziemi.

Wstaję na nogi, odzyskuję poczucie rzeczywistości. Kiedy spoglądam w górę, widzę, że Tarver jest przygotowany, z wyciągniętym ramieniem, a w dłoni ściska broń – starą, taką, która strzela kulami i która musi pochodzić z podziemnego miasta. Celuje w Jubilee.

Resztki jej gleidela leżą rozrzucone u jej stóp, a ona w szoku przyciska do siebie dłonie. Gdzieś w głębi umysłu próbuję wyliczyć prawdopodobieństwo wykonania tak celnego strzału z przeciwległego krańca pomieszczenia i wytrącenia broni z ręki komuś w ruchu.

– Wszystko w porządku, Lee? – Głos Tarvera jest cichy i napięty.

Przez chwilę wszyscy się w niego wpatrujemy i próbujemy zrozumieć, o co właściwie pyta.

– Twoja dłoń.

Pobladła dziewczyna kiwa głową i spogląda w kierunku Flynna, który wciąż ma przy sobie drugą broń, wydobytą zza kontuaru w restauracji. Tarver wędruje za nią wzrokiem i także spogląda na Flynna.

– Chcesz spróbować? – pyta go cichym, przerażająco spokojnym tonem.

Ale Flynn tylko kręci głową, nie potrafi oderwać wzroku od Jubilee, wciąż skulonej na podłodze pomiędzy resztkami broni. Ciągle czuję szok w ciele, a w uszach dzwoni mi od eksplozji. Przez krótką chwilę mam wrażenie, że mój mózg całkiem się poddał, kiedy gdzieś nad szczeliną pojawia się cień, który płynie, zamazuje się i porusza. Nagle uświadamiam sobie, co widzę.

Gideon.

Powoli opuszcza się przez poszarpaną dziurę w dachu, a uprząż i lina pomagają mu zrobić to bezdźwięcznie. Z tej odległości nie widzę jego twarzy, ale chłopak zatrzymuje się w połowie drogi i wydaje mi się, że spogląda na mnie leżącą na ziemi. Odwracam wzrok, zanim ktokolwiek inny zorientuje się, co dostrzegłam, i podciągam się z wysiłkiem, by widział, że nic mi nie jest.

Tarver ściągnął na siebie uwagę Lilac... i wszystkich pozostałych. Resztką woli próbuję na niego patrzeć, ale choć zawsze w stu procentach potrafiłam kontrolować wyraz swojej twarzy, widok Gideona sprawia, że ciężko mi niczego po sobie nie pokazać. Z całych sił staram się nie ściągnąć uwagi na chłopaka, kiedy ten cicho skrada się w ciemności, niosąc wirusa, który może być naszą ostatnią nadzieją, że ją powstrzymamy, albo stać się końcem świata.

Ze swojego więzienia próbuję dotrzeć do dziewczyny, którą przywrócili do życia. Jej oczami oglądam przebliski jej wspomnień, tak krótkie, że nie wyczuwa mojej obecności. Morze ludzi i kamer, kiedy opisuje katastrofę statku. Błysk trzymanego w palcach drogiego kamienia i twarz spoglądającego na nią młodego mężczyzny. Dom wybudowany pośród dziczy i niebo usiane gwiazdami.

I niebieskooki mężczyzna.

Za każdym razem, kiedy go widzę, napieram mocniej, ale umysł dziewczyny jest silny. Jest coraz bliżej mojego więzienia, a jednak nie potrafię pokonać jej zabezpieczeń. Potrzebuję tylko jednej szansy, jednej chwili, by wdrzeć się do jej umysłu i w końcu się oswobodzić.

Nagle kolejny błysk. Blondynka w sukni balowej z bronią w ręce. Rozdzierający huk. Oślepiający ból, który przeszywa nas oboje.

Lilac LaRoux na chwilę traci czujność.

GIDEON

Moje gardło zaciska się w panice i dopiero kiedy Sofia się porusza, odzyskuję oddech. Uspokajam swoje drżące dłonie, zginam i prostuję palce, po czym znów ruszam naprzód.

– Lilac, kochanie – odzywa się z podłogi *monsieur* LaRoux. – Nie możesz się ich wszystkich po prostu pozbyć?

Zdążyłem o nim zapomnieć. Sądząc po tym, jak pozostali gwałtownie odwracają głowy w jego kierunku, oni również.

– Ich zabaweczki sprawiają, że trudno mi ich namierzyć – odpowiada Lilac.

Osłona Sofii ma wystarczająco duży zasięg, by mnie chronić. Najwyraźniej chroni też pozostałych, skoro dotąd niczyje oczy nie zrobiły się czarne.

– Brakuje nam jeszcze Giddy’ego – mówi dalej Lilac, a za jej uśmiechem i za zdrobieniem, które mnie rozsierdza, kryje się wiadomość sprawiająca, że przechodzą mnie ciarki.

„Ofiara – mówi głos. – Tym właśnie jesteś. A ja się z tobą podroczę”.

– Cholerni Marchantowie, zawsze się spóźniają – mamrocze LaRoux.

– Mój ojciec nie rozumie – rzuca Lilac, zwracając się do Sofii, która nie rusza się z miejsca, lekko się chwieje i spogląda jej w oczy. – Postanowił widzieć to, co widzi teraz. Jak mógłby stawić czoła prawdzie? Odebrał mi wolność. Życie. Śmierć. Zabrał wszystko dla własnych zysków.

Przez chwilę wydaje się, że powie coś więcej, ona jednak zamyka oczy i zaokrąglą ramiona, a jej sylwetka staje się napięta. Bierze chrapliwy oddech i znów się prostuje.

– Pozostali... Oni także nie rozumieją – kontynuuje. – Inni przedstawiciele mojego gatunku po drugiej stronie szczeliny... Chcieli się dowiedzieć, czy warto poznać ludzkość, czy warto się od niej uczyć. Żyliśmy samotnie w naszym uniwersum, dopóki wasze statki nie zaczęły się przez nie przedzierać. Myśleliśmy, że wychodząc wam naprzeciw, coś zyskamy. – Lilac wypuszcza powietrze, a w jej oczach kryje się obrzydzenie. – Nic nie wiedzą. To ja byłem tu od początku. To ja zobaczyłam, kim naprawdę jesteście.

– Lilac? – Głos Rodericka LaRoux słabnie. Słysząc w nim podenerwowanie, coś surowego i szorstkiego. Ta część jego jestestwa wie, co się dzieje, pogrzebana pod warstwami świadomego niezrozumienia i rodzącego się szaleństwa.

– Wasza piątka – szepcze Lilac, ignorując ojca i spoglądając kolejno na każde z nas. – I Lilac. Ta bezbarwna, słaba idiotka, w której ciele muszą tkwić. Sześć dusz połączonych w sposób, którego nie zdołalibyście sobie wyobrazić, na

drodze prowadzącej was tutaj. Każde z was widziało najgorsze oblicze ludzkości. Mieliście nam pokazać, czy warto was znać.

Żałuję, że po tych słowach nie mam tego komfortu, by się zatrzymać i zachwiać. Myśl, że nasze drogi zostały zaprojektowane tak, by się złączyć... Że zawsze miałem tu wylądować i stawić czoła kobiecie, za którą zginął mój brat, zakochany w tej, której ojciec doprowadził do eksplozji, która złączyła Jubilee i Flynna, obserwować byłego dowódcę Lee, który spogląda na Lilac z uczuciem w oczach... Nie mogę oddychać.

– Prawda jest jednak taka, że nigdy nie potrzebowaliśmy żadnego z was – kontynuuje Lilac, a jej oczy błyszczą. – Nigdy nie musieliśmy szukać nikogo więcej niż mężczyzny, który otworzył pierwsze drzwi.

Dziewczyna odwraca się w końcu do LaRoux, wciąż skulonego na podłodze, który spogląda na nią z żalną nadzieją w oczach.

– Zaczniemy od naszego strażnika – szepcze. – Zadamy mu taki sam ból, jaki on zadał nam. Odbierzemy mu rodzinę i wszystko, co wie, każdą duszę, która kiedykolwiek go poruszyła. A potem na zawsze zamkniemy przed wami nasz świat, odetniemy was od siebie i powstrzymamy, żebyście przestali się mnożyć jak zaraza. Utrzymamy go przy życiu, żeby to wszystko widział. A na koniec, kiedy uświadomi sobie, co zrobił, zostawimy go zrozpaczonego w ciemności, która pochłonie was wszystkich.

Jubilee gwałtownie wypuszcza oddech i przyciska dłoń do brzucha, jak gdyby ktoś ją uderzył. Chwieje się na nogach i spogląda gdzieś w przestrzeń. Znajduje się teraz w jakimś innym wymiarze, w innym miejscu.

– Lee? – Tarver robi krok naprzód, ale zatrzymuje się gwałtownie, kiedy Lilac podnosi dłoń, nie pozwalając mu na dalszy ruch.

Ale Flynn już jest u jej boku, a jego palce zawisają nad bronią przy pasku. Nie wiem, czy stać go na to, żeby strzelić.

– Jeden z przedstawicieli mojego gatunku powiedział do niej coś takiego w innym miejscu – odpowiada szept. – Widziałam to w jej umyśle na statku, zanim... – Dłoń Lilac unosi się i opada w kierunku ziemi, z rozcapierzonymi palcami, które mają imitować katastrofę Dedala. – Podoba mi się, jak to brzmi. Bo brzmi sprawiedliwie, nie uważacie?

Resztką sił poruszam się dalej. Jestem teraz blisko szczeliny, czuję w kieszeni dysk przyciśnięty do mojego biodra. Tak niewielkie opakowanie, a tak śmiertelna broń, wirus, który stworzyłem, korzystając z notatek Sanjany. Moja jedyna kula. Jedyna szansa.

Lilac głośno wypuszcza powietrze, pochyla głowę i podnosi dłoń, by przeczesać włosy. To pierwszy znak, że coś nie gra – są rozczochrane.

– Ostrożnie – mówi Sofia, unosząc podbródek. – Zepsujesz sobie fryzurę i jak pokażesz się przed obiektywem? – Chce zyskać na czasie. Na czasie dla mnie.

– Nic podobnego – odpowiada Lilac, ale pod rozbawieniem kryje się napięcie. – Próbuja się tu dostać. Nie pozwolę im. – Te ostatnie słowa wypowiada szeptem, niemal do siebie, choć wzrok odwraca ku szczelinie, która stanowi wrota do jej świata.

– Lilac, ja... – *Monsieur* LaRoux zaczyna coś mówić, ale Lilac odcina go machnięciem dłoni.

– Musicie mu wybaczyć – mówi, a jej ton znów jest lekki, jak gdyby LaRoux był przynoszącym wstyd kłopotem, niczym wujek, który trochę za dużo wypił. – Rodzina. Wiecie, jak to jest.

Sofia robi krok naprzód i choć całe jej ciało drży, jakaś siła każe jej wyprostować plecy.

– Nie – mówi, cicho, ale wyraźnie.

– Słucham? – Lilac unosi brew.

– Przez to, co on zrobił, zginął mój ojciec. – Unosi dłoń, by drżącym palcem wskazać LaRoux. – Więc już nigdy się nie dowiem, „jak to jest”. Przez to, co zrobił, Jubilee straciła rodziców. Flynn stracił siostrę na wojnie. A Tarver... – Głos jej się łamie, więc bierze chrapliwy oddech i zmusza się, by mówić dalej. – Tarver stracił przez niego Lilac.

Robię kolejny krok. Jestem teraz tak blisko szczeliny, że przed oczami widzę niebieskie iskry. Trzask elektryczności zniekształca ich głosy w moich uszach, a włosy na przedramionach stają mi dęba. Przy każdym ruchu czuję się tak, jakbym przedzierał się przez pajęczyny.

„Próbuja się tu dostać”.

Tak powiedziała. Ma na myśli inne szepty. Niebieskie iskry wzbierają i rosną, a środek szczeliny jest jasno rozświetlony. Próbuja się tu dostać, a ona tego nie chce.

Co to oznacza?

– Więc nie możesz mu wybaczyć – stwierdza szept w skórze Lilac, spoglądając na buntowniczą Sofię. – Ja też nie. A jednak zdajesz się sprzeciwiać jego karze. Powinnaś ją pochwalić.

– Nie – mówi raz jeszcze Sofia.

– Nie?

– Mimo tego, co zrobił, ich serca pozostały otwarte. – Dłonie Sofii zaciskają się w pięści. – Wciąż kochają. Ufają. Nawet on kocha, choć jest potworem. Pozwolił, by miłość do córki kierowała jego czynami.

– Miłość – powtarza Lilac, a w jej ustach to słowo jest przesycone obrzydzeniem. – Kiedyś myśleliśmy, że to coś, co należy w was podziwiać, czego trzeba się od was nauczyć. Okazuje się jednak, że to tylko część choroby, którą nazywacie ludzkością.

Flynn i Jubilee stoją ramię w ramię ze splecionymi rękami. Flynn poprawia

chwyt na broni, a jego szczeka się zaciska.

Tarver wpatruje się w Lilac z desperacją.

– Miłość – powtarza Sofia miękko, a tęsknota w jej głosie stanowi dokładne przeciwieństwo tonu Lilac. – I zaufanie. A co najważniejsze, coś, o czym zapomnieliście, mówiąc o losie i predestynowanych ścieżkach... wybór. To właśnie czyni z nas ludzi. Miłość i zaufanie... To właśnie wybieraliśmy raz po raz.

Miłość i zaufanie. To, co czyni nas ludźmi.

Mogły być moje, gdybym tylko mógł wykonać skok. Gdybyśmy to my mogli go wykonać.

Wyciągam z kieszeni dysk i przechylam się do przodu nieskończenie wolno, nieskończenie ostrożnie. Promień światła, które sączy się z pękniętego boku Dedala, oświetla moją twarz, kiedy się zbliżam, a Sofia odwraca głowę, by na mnie spojrzeć, tak jakby nie mogła się powstrzymać.

Żałuję, że jej nie powiedziałem.

Rozpacz na twarzy żołnierza, kiedy uświadamia sobie, że nie jestem jego ukochaną. Przeważenie zalewające tysiąc umysłów, kiedy statek zaczyna spadać. Milion głosów stłumionych przez płonące miasto. Łatwość, z jaką mogę manipulować ich mózgami. Przejąłem siłę dziewczyny.

To wszystko błędnie, kiedy patrzę, jak umysł niebieskookiego mężczyzny rozpada się na kawałki. Jego desperacka wiara, że wciąż jestem jego Lilac, dziewczynką o brzoskwińowych włosach i rozmarzonych błękitnych oczach, którą trzyma w ramionach, to o wiele słodsza zemsta, niż sobie wyobrażałem.

Zostawię go na koniec. Pozwolę, by mnie ujrzał, by w głębi serca zrozumiał, że odebrałem mu córkę, podczas gdy będzie sobie powtarzać, że to kłamstwo. Tortura, jaką przeżywa jego dusza, jest o wiele większa niż ból, który mógłbym mu zadać.

Ale pozostała część ludzkości... zasługuje na sprawiedliwość.

SOFIA

Muszę odwrócić wzrok. Nie mogę pozwolić, by Lilac podążyła za nim i zauważyła Gideona. Nie mogę też pozwolić, by zobaczyli go Jubilee lub Flynn – mogliby spanikować i próbować zastrzelić Lilac. Nie mogę jednak oderwać od niego wzroku i spoglądam mu w oczy. Jego twarz jest skąpana w niebieskim świetle bijącym ze szczeliny.

Czuję na sobie spojrzenie Lilac, a ciężar jej nienawiści sprawia, że prawie upadam na kolana. Niczego w niej nie ma, ani grama dziewczyny, którą poznałam na Dedalu. Nagle obraca się i widzi Gideona na wpół ukrytego za szczeliną.

Wszystko dzieje się w jednej chwili, jak gdyby rozwijało się klatka po klatce. Tarver w desperacji rzuca się na Lilac, by Gideon mógł umieścić wirusa w szczelinie. Jubilee sięga po broń Flynn'a i przetacza się za zwalony blok marmuru. Lilac wyciąga rękę, by rzucić Jubilee i głazem, za którym się chowa, o przeciwległą ścianę. Flynn krzyczy i podbiega do ukochanej, która teraz leży bez ruchu...

Lilac odwraca się do Gideona. Ryczy w furii, a z jej ludzkich płuc wydostaje się nieludzki dźwięk. Unosi obie ręce, a statek zaczyna ryczeć wraz z nią, kiedy metal wykręca się i gnije w miejscu spoin. Po podłodze przebiega wstrząs, a posadzka pod Gideonem zrywa się i podnosi go w powietrze, przemieszczając z dala od szczeliny.

Zdaje się wisieć w powietrzu bez końca, a wraz z nim moje serce. Po chwili spada na ziemię, a dysk wylatuje mu z ręki. Podnosi się na czworaka i rzuca po urządzenie. Chcę go ostrzec, kiedy kawałek dachu wyłamuje się i spada na dysk, wgniatając go w podłogę. Wgniata w nią naszą ostatnią nadzieję. Chwieję się, nie mogę złapać tchu.

Płat sufitu ląduje na leżącym na ziemi rozbitym żyrandolu, a wokół rozpryskuje się lśniące szkło. Padam na posadzkę, próbując się osłonić przed śmiertelnościami odłamkami zataczającymi łuk w powietrzu.

– Lilac, błagam! – krzyczy Tarver. Chce się do niej przedrzeć.

Dziewczyna odwraca się w kierunku szczeliny, która pulsuje teraz jaśniej niż dotąd, zalewając niebieską poświatą każdy centymetr sali balowej. Tracę z oczu Flynn'a i Jubilee oraz *monsieur* LaRoux.

Lilac nawet się nie odwraca. Podnosi ramię i Tarver szybuje w powietrzu, po czym z budzącym mdłości chrupnięciem uderza o ścianę. Broń wypada mu z dłoni. Odbija się rykoszetem od falującej podłogi i ślizgając się, zatrzymuje u moich stóp. Chłopak podnosi się na nogi i wbija we mnie wzrok.

Broń znajduje się w moim zasięgu. Wirus przypadł, ale wciąż jest szansa. Muszę się tylko pochylić i podnieść pistolet. Wycelować w serce Lilac, która stoi przodem do szczeliny. Mogę to zrobić, zanim się odwróci.

Ta chwila trwa w zawieszeniu, a energia promieniująca ze szczeliny sprawia, że włosy stają mi dęba, na twarzy czuję impulsy, a w ustach metaliczny posmak.

Gideon z trudem podnosi się z podłogi i nasze oczy się spotykają. Powiedziałam mu, że mnie nie zna, więc nie może mnie kochać. Że nie może mi zaufać, więc nie może mnie kochać.

Ale nie chodziło o to. Nie chodziło o Gideona ani o to, że chciałam go do siebie dopuścić albo wierzyć, że to człowiek, który mógłby pokochać to, co we mnie znajduje.

Zawsze chodziło o mnie. Tak długo przekonywałam innych, żeby mi zaufali, że sama przestałam sobie ufać. Własnemu sercu. Własnym przekonaniom i instyktowi. Własnym wyborom.

Moje mięśnie się napinają, gotowe do ruchu. Znów patrzę Gideonowi w oczy, których ciepłą orzechowozieloną barwę zalewa niebieskie światło.

Wiem tylko jedno: kocham go.

Tylko temu ufam.

Nie jestem tym, co zrobił ze mnie LaRoux. Nie jestem już dziewczyną, którą byłam na Dedalu. Co dzień wybieram to, kim jestem. A teraz postanawiam, że będę sobą.

W tej chwili nie muszę czytać w umyśle Gideona, by zajrzeć do jego serca i zobaczyć jego myśli. On mnie kocha. Kocha mnie całą. To, co dobre, to, co złe, i walkę pomiędzy koszmarnymi impulsami, o których nigdy nikomu nie powiem, oraz przeblyskami nadziei na rzeczy, o których boję się nawet szeptać. Widzi we mnie wszystko.

„Próbują się tu dostać”, powiedziała Lilac i w tej chwili – która ciągnie się w nieskończoność – wiem, co robić. Wiem, że to, co wraz z Gideonem wyobraziliśmy sobie w pasażu, jest prawdą. Oni nas widzą. Znają nas. Szept Lilac sam przyznał:

„Mieście nam pokazać, czy warto was znać”.

Inne szeptu obserwują nas w swoim wszechświecie po drugiej stronie szczeliny. Osądzają, sprawdzają, ustawiają niczym pionki na planszy, żeby zobaczyć, kim jesteśmy. A jeśli Gideon może mnie znać i kochać, jeśli może mi ufać, a ja mogę wyciągnąć z tego jakąś naukę... Jeśli my i wszyscy nasi przyjaciele oraz sojusznicy możemy dokonywać pochodzących z serca wyborów i składać ofiary... Mogą mnie sądzić.

Wypuszczę szeptu. Doprowadzę do spięcia w szczelinie, tak jak kiedyś zrobili to Tarver i Lilac. Zdobędę się na akt wiary i zaufam wyborowi, jakiego dokonają.

Kiedy Gideon wyciąga dłoń, uświadamiam sobie, że rozumiem, co zamierzam, i że pod każdym możliwym względem jest po mojej stronie.

Odrzucam broń i wszystko to, co składa się na mnie. Zaczynam biec, a gdzieś w tle towarzyszy mi głos wykrzykującego coś Tarvera. Rozwścieczony pisk Lilac, która z nim walczy. Powinna móc go zmiażdżyć za pomocą myśli, a jednak się z nim zmaga, odpycha go i wrzeszczy, by ją puścił. Towarzyszy mi świadomość, że muszę się teraz znajdować poza zasięgiem osłon, a jednak wciąż jestem sobą. Potykam się o stos odłamków i znowu podrywam na nogi, obdrapując sobie dłonie i kolana i korzystając z zastrzyku adrenaliny, który przychodzi wraz z bólem, by poruszać się o wiele szybciej. Rzucam się naprzód i czuję, jak dłoń Gideona owija się wokół mojej, a ciepło jego dotyku jest bardziej rzeczywiste niż cokolwiek innego.

Wybieram ciebie.

Nasze palce się splatają, jak gdyby stworzone dla siebie, jak dwie połówki medalionu. Razem wskakujemy do szczeliny.

Pozostali, dzieci, które mieliśmy obserwować i oceniać, otaczają mnie w daremnej próbie, by zabić Lilac lub ją ocalić, ale teraz nic już nie znaczą. Zobaczyłem ludzkość. Jeśli moi bracia nie nauczyli się jeszcze dokonywać wyboru, dokonam go za nas wszystkich. A tych, którzy nie zginą, kiedy łącze do naszego świata zostanie przerwane, sam odzyskam i zniszczę.

Tak łatwo jest teraz zobaczyć wybory, których dokonało tych pięć dusz. Niektórzy będą próbowali mnie zabić, inni uratować. Bez względu na to, co wybiorą, poniosą porażkę.

Nagle widzę dwoje z nich biegnących w stronę szczeliny. Poruszają się zbyt szybko, bym mógł ich powstrzymać. To wybór, którego nie dostrzegłem. Decyzja, której nie potrafiłem przewidzieć. Sięgam, by wydrzeć z nich umysły, ale coś mnie odciąga, siła, która płynie z mojego wnętrza, głos mówiący:

NIE.

Lilac

Lilac.

Przychodzi niczym światło pośród ciemności. To nie głos ani myśl, ale muśnięcie czegoś nieuchwytnego jak ciepły wiatr... Choć powietrze ani ciepło nie istnieją. Jest tylko to wrażenie: Lilac.

Przywieram do niego, łaknąc przebłysku czegoś w świecie niczego, i prowadzi mnie on poprzez pustkę, aż czuję kolejny dotyk, a potem jeszcze kolejny, i nagle otaczają mnie inni tacy jak ja. Ogarnia mnie wrażenie, że znów staję się ich częścią.

Już kiedyś tu byłam.

Tak.

Na tej planecie... Byłam wtedy czymś innym. Kimś innym.

Lilac LaRoux.

Pamiętam. Wy...

*Jesteśmy... Imię, które sobie nadali, nie jest uformowane ze słów, ale z poczucia... jedności miliardów umysłów, nieskończonych myśli połączonych jak wszystkie barwy na świecie, by stworzyć białą prawdę powodującą, że gdybym miała oddech lub głos, wybuchłabym płaczem. *Przyprowadziliśmy cię do domu.**

Do domu?

Kiedy podarowaliśmy ci życie, powiedzieliśmy ci, że jeszcze nie czas, byś do nas dołączyła. Jeszcze nie teraz. Ale zobaczyliśmy to, co ci zrobiliśmy... Jeśli chcesz, możesz zostać z nami. Stać się jedną z nas.

Całe moje jestestwo wciąż boli i pulsuje od siły tych istot, a pragnienie, by do nich dołączyć i by naprawdę je zrozumieć, sprawia, że nie mogę zebrać myśli.

Ale... jest ktoś, kim powinnam być. Przyniósł mnie tu przyptyw, wspomnienia pojawiają się w postaci oderwanych od siebie przebłysków. Para złączonych rąk, dwie dusze, które postanowiły się poświęcić, otworzyły wrota do tego świata. To stworzenie w moim ciele próbuje ich powstrzymać, ale resztką sił udało mi się je odciągnąć. Nie... nie skrzywdzisz ich. Istoty po drugiej stronie wrót próbują dosięgnąć umęczonego stworzenia i wciągnąć je z powrotem do jego świata.

Jest ktoś, czyja twarz to jedyny obraz, który potrafią przywołać moje oszołomione myśli – przypomina powidok, jak wtedy, gdy zbyt długo patrzy się w słońce.

Tarver.

Jesteś energią, składasz się ze światła. On należy do gatunku ludzkiego, jest

jednym z wielu miliardów, jest wyjątkowy. Nie możemy go tu sprowadzić.

Chcę wrócić.

Musieliśmy podjąć wiele decyzji, odkąd pierwszy statek waszego gatunku rozdarł bezruch – to, co nazywacie hiperprzestrzenią. Musieliśmy zdecydować, czy zamknąć drzwi pomiędzy naszymi światami, czy zostawić je otwarte. Zalaliście nasz świat obrazami, słowami i ideami tak potężnymi, że niekontrolowane z pewnością nas zniszczą. Ból, samotność i nienawiść, a także piękne sprawy. Miłość do rodziny, kochanków, przyjaciół. Świata. Nauczyliśmy się tego od ciebie. I od piątki, która przybyła ci na ratunek.

Obserwowaliście nas? Przez ten cały czas?

Postrzegamy czas inaczej niż wy. Widzimy wszystkie możliwości. Musieliśmy podążyć za tymi, którzy mieli poznać ból, stratę i wściekłość, bo obserwowanie tych, których życie pozbawione jest smutku, nie jest miarodajne.

Czy to... przeznaczenie? To, że trafiliśmy tu razem, że znaleźliśmy się w tym miejscu?

Od czasu do czasu popychaliśmy was we właściwą stronę. W odosobnieniu klatek, które zbudował dla nas twój ojciec, niewiele możemy zrobić. Ale możemy wprowadzać małe zmiany... Upewnić się, że katastrofę statku przeżyją dwie osoby, sprawić, że eksplozja nie pochłonie życia buntownika, lub podsunąć hakerowi profil konkretnej osoby.

Nie. Nie uwierzę, że to wszystko zostało w jakiś sposób zapisane. Że jesteśmy po prostu marionetkami występującymi w jakiejś sztuce dla waszej rozrywki.

Nic podobnego. Widzimy możliwości, Lilac. Wiemy, co może się wydarzyć, a nie to, co wydarzy się na pewno. A jeśli jest coś, czego nauczyliśmy się, obserwując was, to to, że ludzkość nigdy nie przestaje nas zaskakiwać. Robicie, co chcecie. Wszelkich wyborów, jakich dokonałaś, dobrych czy złych, dokonałaś sama. Podobnie jak twoi towarzysze.

A decyzję, czy na zawsze odetniecie nas od hiperprzestrzeni, podejmiecie na podstawie tego, czy jesteśmy dobrymi ludźmi?

Nie mamy zamiaru zniszczyć twojego gatunku. Wiemy, że tylko on mógłby tego dokonać. Nam jednak zależy tylko na tym, by nasz świat dalej istniał. Pozwolilibyśmy waszym planetom przygotować się do separacji, stać się samowystarczalnymi lub przenieść swoje populacje w inne miejsca. Następnie wzniesiemy ściany pomiędzy naszymi wszechświatami, by wasze silniki i sygnały nie mogły już penetrować naszego.

Mówiliście, że musicie podjąć decyzję. Czy to oznacza, że jeszcze tego nie zrobiliście?

Czekaliśmy, aż ostatni emisariusz wróci do domu.

Macie na myśli istotę, która mnie opętała. Wykorzystała mnie, by zabić

tych wszystkich ludzi, zagrozić tym, których kocham, i całej naszej egzystencji.

Tak.

Mój ojciec torturował tę istotę, spotkał ją okropny los, ale nie możecie wydawać opinii o całym gatunku tylko na podstawie czynów jednego człowieka. Wśród nas są potwory, to prawda. Ale są też bohaterowie. Ludzie, którzy walczą z takimi jak on. Którzy nigdy nie przestaną walczyć z takimi jak on.

Wciąż jeszcze nie podjęliśmy decyzji. Możemy na dobre otworzyć szczelinę, by zbadać i zrozumieć wasz świat, nie ma jednak gwarancji, że wasze ludzkie cechy w końcu nas nie zniszczą, tak jak zniszczyły naszego ostatniego wysłannika. Albo na zawsze zerwać nić łączącą nasze światy, by mieć pewność, że nasz gatunek przetrwa, podobnie jak nasz dom. Możemy odesłać cię z powrotem do nich lub, jeżeli chcesz, zatrzymać cię tutaj, ale o tym, czy otworzymy wrota, by złączyć nasze światy, czy na zawsze je przed wami zamkniemy... nie możemy zadecydować.

Dlaczego nie?

Najdziwniejszą spośród nauk, jakie wyciągnęliśmy, obserwując ludzkość, jest wybór. Dla nas wszystko jest możliwe i wszystko, co może zaistnieć, zaistnieje. Wybranie jednej egzystencji kosztem innej... to potrafią ludzie. To wy potraficie kształtować własny los. Potrzebujemy waszej pomocy.

Pozwalam swoim myślom otworzyć się na nich, a świadomość własnej tożsamości się zaciera, kiedy próbuję czuć to, co oni, i rozumieć, co od nas przejęli. Czuję gniew, który buzuje we mnie jak mająca się rozpętać burza. Tego właśnie boją się szeptcy – płomienia trawiącego ich świat.

Pozwalam, by dotknęły mojej rozpaczcy po śmierci Simona, nowo otwartej rany wywołanej przez śmierć mojej matki przed laty, smutku i poczucia winy, że jestem jedną z dwojga ocalałych z katastrofy Ikara. Pozwalam, by zobaczyli moją wściekłość na ojca, bolesne rozczarowanie po tym, jak mnie zdradził, kipiący we mnie gniew na istotę, która wykorzystała mnie, by spowodować tak wielkie zniszczenia. Następnie z wysiłkiem sięgam po inne głębsze wspomnienia, przedzierając się przez warstwę bólu i nienawiści do tego, co znajduje się pod spodem.

Ponieważ pod spodem jest coś więcej – tęcza silniejszych mocy czekających na to, aż zostaną wezwane. Radość małej dziewczynki, której sny zostały pomalowane na odcień morza. Lojalność chłopca, który gołymi rękami i siłą woli jest gotowy bronić swojego domu. Miłość mężczyzny, którego wiara jest silniejsza niż śmierć, którego siła przypomina ogień i poezję.

Płomień dziewczyny, której odebrano wszystko, a która i tak znalazła w sobie siłę, by wskoczyć w nieznaną i otworzyć te wrota. Determinacja chłopaka, który wyciągnął rękę, by wskoczyć wraz z nią, który wierzył, że w tej chwili

wszystkich nas warto ocalić, jeśli otrzymamy szansę, by to udowodnić.

Tę szansę.

Od wewnątrz, otoczony radością, poświęceniem i lojalnością przyjaciół, płomień wściekłości buzujący wokół naszego istnienia jest niezwykle słaby.

Kiedy moje myśli się na nich otwierają, ja również łagodnie czuję ich umysły. Przekraczają wszystko, co kiedykolwiek znałam, czuję ciężar ich nieskończonych jaźni, splecionych ze sobą tak ciasno, że nie potrafię ich od siebie oddzielić. Czuję, co im podarowaliśmy, napływ emocji i idei, których nie rozumiem. Ale poza strachem, złością i pragnieniem bezpieczeństwa wyczuwam coś aż nazbyt znajomego... tęsknotę.

Zatrzymuję się, próbuję uformować słowa z oszołomionych myśli. Zawsze się zastanawialiśmy, czy gatunek ludzki jest sam we wszechświecie. Gdzieś poza wciąż przesuwającą się granicą nowych planet i terrauformowanych księżyców zawsze istniało wrażenie niekompletności, zawsze szukaliśmy czegoś innego. Czegoś więcej, czegoś większego niż my sami. Świadomość, że tylko my żyjemy w tym wszechświecie, niosła za sobą pustkę, z którą nikt z nas nie umiał sobie poradzić.

Czy to możliwe, że bez względu na dzielące nas różnice i to, że nie rozumiemy się teraz i zapewne nigdy nie zrozumiemy, szeptę też nie chcą być same?

Pomóż nam wybrać.

Nie mogę. Nie mogę wam powiedzieć, że jeśli zostanieie, będziecie się od nas uczyć i nas zrozumiecie, wasz gatunek będzie bezpieczny. Bo jeśli zostanieie, doświadczycie wściekłości, smutku i bólu. Życie składa się z tych emocji.

Więc zachęcasz nas, byśmy odeszli?

Po tej stronie szczeliny, na tym świecie nic nie jest pewne. Jedyne tarczami przeciw ciemności są momenty, które niosą ze sobą światło. Widzieliście je w tych ludziach, w ich opowieściach. Są wyjątkowi, a jednocześnie wszyscy są tacy sami. To najlepsza broja. Możemy was nauczyć, jak wykuć sobie tarczę.

Pomyślcie o wszystkim, czego się od nas nauczyliście, o wszystkim, co przeszliśmy, o wyborach, których dokonała nasza szóstka i które doprowadziły nas tutaj. Czy doświadczywszy tego, poznawszy życie, miłość, zaufanie, wiarę... Czy naprawdę potraficie z tego wszystkiego zrezygnować tylko po to, by być bezpieczni?

Czekam na odpowiedź, ale jej nie otrzymuję. Czuję, jak ich umysły się ode mnie odrywają, czuję też uporczywe szarpanie, a instynkt podpowiada mi, że to

łańcuch łączący mnie z moim własnym światem, z moim ciałem. Przez chwilę chcę przywrzeć do tego świata, do resztek innego rodzaju egzystencji, której żaden człowiek nigdy nie zdoła naprawdę zrozumieć.

Muszę jednak pozwolić mu odejść i zanurzyć się z powrotem w świetle, raz jeszcze otulając się huczącą ciszą. Do moich myśli wkrada się pojedynczy obraz, para zaciśniętych dłoni, a wraz z nim pojedynczy głos oznajmiający: „Wybieram ciebie”.

Nie wrócę. Ten ból jest wszystkim, co istnieje... Wszystkim, czym jestem, co mogę dać. Nie jestem już jednym z was i nie mogę do was dołączyć. Nie mogę wrócić do domu.

Jesteśmy częścią ciebie. Tak długo byłeś sam, ale zawsze będziesz należeć do nas.

Już nie. Jestem zemstą. Jestem strachem. Jestem wszystkim tym, co powinniście porzucić.

Nauczymy się radzić sobie z ciemnością. Oni nas tego nauczą.

Nie rozumiecie. Ja... Nie przyniosę wam tego bólu. Nie mógłbym patrzeć, jak się rozprzestrzenia. Proszę, puśćcie mnie. Pozwólcie mi umrzeć.

Jeśli naprawdę tego pragniesz, wybór należy do ciebie. Widzieliśmy jednak, jak mocno światło rozjaśnia ciemność, jak muzyka słodko wypełnia ciszę. Przez te wszystkie lata znałeś jedynie ciemność i ciszę. Mamy ci wiele do pokazania. Uratujemy cię.

Nie warto mnie ratować.

Wszyscy jesteśmy tego warci.

Skąd wiecie?

Nigdy nie będziemy wiedzieć na pewno. Ale mamy wiarę.

GIDEON

Wyczuwam na sobie jakiś ruch, a kiedy unoszę powieki, przed oczami wciąż mając niebieskie iskierki, na piersi czuję ciepło bijące od Sofii. Czy jesteśmy w mojej kryjówce? Czy położyła się po mojej stronie łóżka?

Przez chwilę znajduję się w niezwykle rozległym pomieszczeniu, a moje myśli rozwijają się wraz z nieskończoną przestrzenią... Chwilę później to miejsce zaczyna się kurczyć i szybuje w moim kierunku, aż świat znów przyjmuje właściwy rozmiar i kształt.

Prawda spływa na mnie, jak gdyby ktoś wylał wiadro zimnej wody, porażająca i nagła. Leżymy na ziemi na stercie gruzów obok szczeliny jak inne odłamki, a ja obejmuję Sofię ramionami.

– Udało się? – szepcze wyczerpanym i zachrypniętym głosem. Po chwili, jak gdyby dopiero o tym pomyślała, dodaje: – Czy my żyjemy?

Mam potłuczone żebra, a ramię boli mnie w miejscu, na które musiałem upaść, jednak podnoszę się do siadu i rozglądam za innymi.

Natychmiast dostrzegam Flynna i Jubilee. Dziewczyna mamrocze przekleństwo w języku, którego musiała się nauczyć od niego, skoro Flynn zdaje się je rozumieć. Nawiązuję kontakt wzrokowy z Flynnem, a on unosi dłoń na znak, że wszystko w porządku.

Podążam za jego wzrokiem do miejsca w centrum pomieszczenia, gdzie siedzi skulony Tarver. Gdy chłopak zaczyna się prostować, z jego ruchów wnoszę, że wszystko go boli. Jak staruszka.

– Co to, u diabła, było? – jęczy Jubilee.

– Zakłócenie funkcjonowania szczeliny wyzwała szepty – mówię, bezskutecznie próbując stanąć na nogi. – Udało się to na Elizjum, kiedy skoczyli Tarver i Lilac. Zadziało na Avonie, kiedy zrobiliście to wy. Powiedziała, że próbują się tu dostać, a skoro tego nie chciała... pomyśleliśmy, że może pomogą nam ją powstrzymać.

Kiedy wypowiadam imię Lilac, Sofia bierze gwałtowny oddech.

– Gideonie, gdzie jest Lilac?

– Ona... – Głos Flynna cichnie. – Zniknęła. Szczelina wciągnęła ją razem z wami.

Niespokojnie rozglądam się po pomieszczeniu i znów próbuję się podnieść, ale nogi się pode mną uginają. Potykam się i upadam na kolano. Nie, nie, nie. Czuję ją w szczelinie. W chwili, gdy przelatywaliśmy przez nieskończoną przestrzeń. Wyczułem ją tam. Na pewno.

Poranne słońce wlewa się do środka przez rozdarcia w kadłubie Dedala, przeganiając cienie i odsłaniając kryjówki, w których mogłaby się chować. Jej ojciec leży w rogu zniszczonego pomieszczenia i wpatruje się w szczelinę, jakby przeprowadzał w głowie jakieś obliczenia lub prowadził z kimś konwersację.

Kiedy z trudem nabieram powietrza do płuc i bezradnie zastanawiam się, co dalej, światło nagle się zmienia. Leniwe niebieskie iskry krążące po szczelinie nabierają tempa i wokół znów robi się ciemno, jak gdyby ten jeden centralny punkt wysysał całe światło.

Delikatne elektryczne buczenie szczeliny gwałtownie się wzmacnia, a kiedy iskry stają się niezdolnie jaskrawe, jeszcze się nasila i przechodzi w wysoki jęk, z każdą chwilą coraz głośniejszy.

Znajdująca się po drugiej stronie pomieszczenia Lee coś do nas krzyczy, ale hałas sprawia, że jej nie słyszę. W ostatniej chwili dociera do nas tylko: „Uciekajcie”. Sofia i ja jednocześnie wygrzebujemy się spod gruzów i rzucamy na drugą stronę, podczas gdy Tarver pędzi na przeciwległy koniec pomieszczenia, a Flynn i Lee przetaczają się i chowają za kamiennym blokiem. Serce mi wali, w uszach dzwoni, a moje płuca zaciskają się, kiedy pomieszczenie zaczyna drżeć. Mam wrażenie, że lada chwila Dedal się rozpadnie.

Ogłuszający huk pochłania wycie szczeliny, a tuż przed zamknięciem oczu widzę, jak rozświetlona metalowa konstrukcja eksploduje tysiącem połyskujących odłamków, które zawisają w powietrzu niczym gwiazdy. Niebieskie iskry wiją się na zewnątrz w szaleńczym tańcu, spadając wokół nas.

Zapada cisza. Zupełna cisza.

Sofia rusza się pierwsza. Z powrotem wchodzi na stertę gruzów, które nas chroniły, po czym wyciąga do mnie dłoń. Ujmuję ją, splatam palce z jej palcami i z trudem podnoszę się na łokcie. Pozostali także wynurzają się ze swoich kryjówek i patrzą... Światło znajduje się w tym samym miejscu i tworzy długi, owalny kształt szczeliny. Ale tam, gdzie wcześniej było widać zimny bładoniebieski blask, szczelina świeci złotym światłem, połyskującym i intensywnym.

A maszyna, w której były zamknięte – klatka – zniknęła.

Przez kilka długich sekund po prostu się temu przyglądamy, próbując zmusić wyczerpane umysły do działania i zastanowić się, co dalej. Wtedy kadłub Dedala przerażająco skrzypi i wszyscy nagle budzimy się do życia.

Tarver podnosi się na nogi i robi dwa niepewne kroki naprzód, jak gdyby zamierzał wejść do szczeliny. Ale zatrzymuje się i wpatruje w nią, a na jego umęczonej twarzy igra światło.

U podstawy szczeliny leży skulona postać. Niepewnie wstaje, wznecając chmurę pyłu, która znów powoli opada na posadzkę.

Biały pył osiada na rąbku jej czarnej sukienki, a jej rozczochrane włosy

spadają na plecy. Nie jest już idealna – jest cudownie, wspaniale, niedoskonale ludzka.

To Lilac.

Drży, jak gdyby nagle ogarnął ją chłód, a kurz sprawia, że jej rude włosy przybierają barwę popiołu. Jedyne niezmiennie ciepło dłoni Sofii w mojej dłoni podpowiada mi, że nie śnię ani nie mam halucynacji. Oczy Lilac przeczesują pomieszczenie, prześlizgując się od twarzy do twarzy, ale najwyraźniejsze jest to, na kogo nie patrzy. Spogląda na każdego, tylko nie na byłego żołnierza stojącego przy zerwanym żyrandolu, choć on nie spuszcza z niej wzroku.

Nikt się nie odzywa, zbyt się obawiając, co mogłaby odpowiedzieć... Nikt nie chce, żeby czar przysł, by zniknęła nadzieja, że znowu ma kontrolę nad swoim umysłem. W ciszy istnieje milion możliwości, a ona przez krótką chwilę znów może być Lilac, nawet jeśli następna sprawi, że wszystko się rozpadnie.

W końcu to ona przerywa milczenie.

– Niech ktoś coś powie – szepcze. – Proszę.

– Boże, to ona – mówi Jubilee, która podrywa się z ziemi i niepewnie podbiega do dziewczyny stojącej wśród gruzów, a Flynn rusza tuż za nią.

Błękitne oczy Lilac, okrągłe i przerażone, zwracają się w jej stronę. Złęknioma, przetyka ślinę i przez chwilę przeżywam jej niepewność, jak gdybym sam ją odczuwał. Jak ma przeproszać za to, że próbowała zniszczyć ludzkość? Zanim jednak udaje jej się odezwać, Jubilee bez wahania rzuca się przyjaciółce na szyję i wybucha śmiechem, który z powodu zmęczenia i ulgi wydaje się trochę histeryczny. Flynn otacza ramionami obie dziewczyny.

Nogi w końcu zaczynają słuchać moich poleceń. Schodzę ze stosu roztrzaskanego marmuru, za którym się chowaliśmy. Sofia ani na chwilę nie puszcza mojej ręki.

Lilac, która wciąż obejmuje Jubilee, unosi głowę i spogląda w naszą stronę. Mnie dostrzega najpierw, a ja rozpoznaję błysk przebiegający przez jej twarz – widzi we mnie ducha Simona i jej uśmiech łagodnieje.

– Dziękuję – szepcze.

Patrzy Sofii w oczy i coś się między nimi dzieje. Rozpoznanie, wspomnienie, zrozumienie, wybaczenie – wszystko to jednocześnie.

Wciąż jednak nie spogląda na Tarvera, który stoi nieruchomo wrośnięty w ziemię w miejscu, gdzie się znajdował, kiedy Lilac wróciła przez portal między wymiarami. Lilac wbija wzrok w punkt za ramieniem Jubilee, a jej ciało jest napięte, jak gdyby walczyła z jakąś niewidzialną siłą, która każe jej się zwrócić w stronę dziewczyny.

Jubilee zerka na dawnego dowódcę, ściska Lilac za ramię, po czym razem z Flynnem robią krok w tył.

– Lilac... – Tarver urywa i gdybym nie wiedział, że jego usta się poruszyły,

nie rozpoznałbym, że ten zachrypnięty, przygnębiony głos należy do niego. Robi kilka chwiejnych kroków w stronę ukochanej, ale zatrzymuje się w pewnej odległości od niej.

Na dźwięk jego głosu Lilac się krzywi. Jej oczy są mokre, wargi drżą, a dłonie mną brudny materiał sukienki. Zamyka oczy, a po jej policzku spływa pojedyncza łza. Pospiesznie odwraca się do Tarvera.

– Przepraszam! – mamrocze głosem pełnym emocji, a wypowiedane przez nią słowa łączą się i wylewają z ust jak potok. – Nie mogłam jej powstrzymać... Nie mogłam powstrzymać tego. Wszystko widziałam i słyszałam każde słowo, ale nie mogłam... To przypominało sytuację, którą opisywałam ci na Ikarze, tylko było tysiąc razy gorsze, milion razy gorsze, bo czułam także jego nienawiść. Boże, Tarverze, to wszystko było...

– Myślisz, że o to wszystko dbam? – przerywa jej Tarver. Podczas gdy jej głos jest jasny, głęboki, nasycony emocjami i niepokojem, jego jest niski i cichy. O tym, co przeżywa, świadczy jedynie chrypka i widoczne napięcie w linii jego ramion oraz nóg, kiedy stoi w bezruchu.

Lilac oddycha ciężko, potok słów został zatamowany i choć widzę jedynie jej profil, to wszystko, co zamilczała, maluje się na jej twarzy tak wyraźnie, że zaczynają mnie palić policzki. Palce Sofii zaciskają się wokół moich, kiedy dziewczyna się we mnie wtula.

– Nie poddałam się. – Lilac przełyka ślinę, spoglądając Tarverowi w oczy. Jej głos jest teraz cichutki, przypomina niemal szept. – Żeby móc do ciebie wrócić.

Nie wiem, które z nich pierwsze się złamie. Nagle Lilac rusza przed siebie, a Tarver idzie w jej stronę. Chłopak obejmuje ją tak mocno, że stopy Lilac odrywają się od ziemi, a ramiona zaplatają na jego szyi. Ich usta spotykają się i tak już zostają. Tęsknota, desperacja i lecznicza moc tego pocałunku rozchodzi się dalej, jak gdyby ciepły blask stojącej za nimi szczeliny i istoty po drugiej stronie portalu wysyłały swoje złamane światło w głąb zdewastowanej sali balowej, tak że wszystkich nas zalewa złota poświata.

Dopiero po jakimś czasie Jubilee odchrząkuje.

– Nie wiem, jak wy, ale ja umieram z głodu. Zostały chyba jakieś krakersy i masło orzechowe, jeśli nasze plecaki są jeszcze w jednym kawałku.

Spoglądam w stronę szczeliny i kształtu pojedynczej sylwetki, którą tworzą Tarver i Lilac wciąż złączeni w uścisku.

– A co z nimi?

Jubilee parska i odpowiada sucho:

– Teraz jesteśmy dla nich tylko rozmazanymi plamami.

Para nic nie odpowiada i przez chwilę mam wrażenie, że nawet nie słyszy jej słów... Aż nagle Tarver zdejmuje jedną rękę z pleców Lilac i unosi dłoń w wulgarnym geście przeznaczonym dla Jubilee, a ona wybucha śmiechem.

Kiedy Flynn i Jubilee wdrapują się na gruzy, żeby wyciągnąć plecaki spod odłamków, Sofia i ja powoli się do siebie zbliżamy. Spowijające nas teraz milczenie jest inne, wypełnione wszystkim tym, co przekazaliśmy sobie bez słów na chwilę przed wskoczeniem do szczeliny.

Wybór, by zostawić broń i zaufać nadziei, sprawił, że Sofia się zarumieniła i nie może złapać tchu. Jej usta powoli i z wahaniem układają się w uśmiech, który tak kocham. Skrzywiony uśmiech z jednym dołeczkiem, który potwierdza, że dziewczyna zrzuciła maskę, że nie gra w żadną grę. Ten uśmiech to cała ona. I jest przeznaczony dla mnie.

– Czuję się inaczej – szepcze, wciąż skąpana w złotym blasku światła emitowanego przez szczelinę.

– Nie zmieniłaś się – odpowiadam równie cicho. – Jesteś tą samą dziewczyną, którą zawsze znałem.

Sofia łagodnieje, zarzuca mi ręce na szyję i właśnie zaczynam myśleć, że Tarver i Lilac wybrali najlepszy sposób na świętowanie, kiedy nastrój burzy krzyk Jubilee.

Cała nasza czwórka gwałtownie się odwraca, ale nie widzimy zagrożenia... Zjawiała się Kumiko Mori. Obejmuje Jubilee, a Mae i Sanjana przeciskają się obok niej i wchodzi do zniszczonej sali balowej. Cała trójka jest brudna i nosi na sobie ślady stoczony na zewnątrz walki, ale wszystkie uśmiechają się ze zmęczeniem.

– Skorupy pokonane – mówi Sanjana. – Poległy, a teraz niektóre z nich zaczynają się budzić. Wiedzieliśmy, że pewnie... – Urywa, wpatrując się w nową szczelinę, otwartą i złotą.

Spoglądam na stojącą za nią Mae i napawam się jej uśmiechem. Nawet po tym, jak sprowadziłem na nią i jej rodzinę niebezpieczeństwo, przybyła mi na ratunek. Nie wiedziałem, że Walet mógł na to liczyć. Swoją drogą nie sądzę, by robiła to dla Waleta. Myślę, że zrobiła to dla mnie.

Jakiś odgłos dochodzący z kąta sali sprawia, że wymieniamy zdezorientowane spojrzenia. W nagłej ciszy niesie się echem delikatny jęk. Lilac odrywa się od Tarvera, a w jej spojrzeniu pojawia się niepokój. Dopiero kiedy zaczyna biec w kierunku tego dźwięku, przypominam sobie, że kiedy szczelina eksplodowała, było nas siedmioro.

Monsieur LaRoux.

Gdy reszta z nas dołącza do Lilac, dziewczyna klęczy na pokrytej pyłem popękanej podłodze i wyciąga rękę do skulonego mężczyzny leżącego metr dalej. Eksplozja sprawiła, że jego siwe włosy są przyprószone pyłem, a brud na poranej twarzy ustępuje smugom pozostawionym na policzkach przez łzy. LaRoux oplata się ramionami, wciśnięty w stos odłamków, a jego wodniste niebieskie oczy spoglądają gdzieś w przestrzeń na wysokości twarzy córki.

– Tatusiu? – szepcze Lilac. Jej głos jest drżący, niepewny. – Tatusiu... To ja,

Lilac.

Ale tytan z LaRoux Industries zdaje się jej nie słyszeć. Jego oczy są nieruchome. Mamrocze coś pod nosem i dopiero kiedy wypuszcza powietrze, jego głos staje się mocniejszy, a ja zaczynam rozumieć, co mówi.

– ... i wszyscy znowu będziemy szczęśliwi.

Zerkam na Sofię, której skórę pokrywa sadza. Podobnie jak ja ma wszelkie powody, by go nienawidzić, a jednak na jej twarzy widzę odbicie tego, co dzieje się w moim sercu. Kiedy spoglądam na niewielki cień człowieka skulonego na podłodze, trudno mi odnaleźć w sobie tę nienawiść, gorzką determinację, która napędzała mnie od śmierci Simona. Spoglądam na niego i nic nie czuję. Spoglądam na niego i czuję... litość.

Flynn przyciąga moją uwagę, cicho nabierając powietrza, a kiedy podnoszę głowę, wskazuje na szczelinę za moimi plecami. Obracam się i puls mi przyspiesza, kiedy moje ciało próbuje się przygotować na... coś. Ze szczeliny powoli wydobywa się złota mgiełka, jedwabista i ulotna, a jej pasma z każdą chwilą stają się silniejsze i jaśniejsze.

– Co to? – szepcze Tarver przykucnięty obok Lilac.

– To one – odpowiada dziewczyna łagodnie. – Porzucą bariery. Musimy się wiele od nich nauczyć. A oni chcą nas poznać, nauczyć się, co oznacza bycie człowiekiem.

– Myślę, że właśnie odbyli pierwszą lekcję – mamrocze Flynn.

– Co z nim teraz zrobimy? – pyta Jubilee niepewnie, spoglądając na Rodericka LaRoux.

– Nie ma już chyba niczego, co moglibyśmy z nim zrobić. – Smutek Lilac jest widoczny.

Przez chwilę wracam wspomnieniami na dziedziniec posiadłości LaRoux, słuchając, jak Tarver rozmawia z jej ojcem. „Być może to jedyna, ostatnia osoba w pańskim życiu, której naprawdę na panu zależało”, powiedział wtedy o Lilac jej ukochany.

– Co teraz zrobimy ze sobą? – Głos Sofii jest cichy, ale dziewczyna wypowiada te słowa tak blisko moich uszu, że czuję je w kościach.

Lilac zakrywa dłonią oczy i się prostuje, wypuszczając powietrze, a ramię Tarvera owija się wokół jej talii.

– Teraz... – zaczyna, prześlizgując się wzrokiem po nas wszystkich. – Teraz będziemy odbudowywać.

Znów jesteśmy całością. Umęczonymi istotami, które na wpół zapomniane czekały, aż uwolni je para ocalałych z katastrofy kochanków. Wściekłymi istotami, które zaciekle walczyły o to, by skrzywdzić tych, którzy skrzywdzili je. Silnymi istotami, które kochały i były kochane, odkrywały nadzieję w kradzionych snach i splecionych palcach.

Jesteśmy najciemniejszymi istotami, które żyły w bólu i gniewie, i odkryły, że nawet w ciszy i ciemności zawsze błyska jakaś iskra.

Jesteśmy i zawsze będziemy tym, co wybierzemy.

SOFIA

Drzwi do nowej kryjówki Gideona zamykają się za mną z cichym trzaskiem. Chłopak leży na materacu na podłodze, który służy za kanapę, i spogląda na mnie z uśmiechem. Na mnie albo na jedzenie, które ze sobą przyniosłam, roztaczające w powietrzu zapach kolendry, mleka kokosowego i limonki.

– Pani Phan przygotowała pierwszą porcję laksy – oznajmiam, przechodząc przez pokój i siadając obok niego na materacu.

W ciągu tych trzech tygodni od katastrofy Dedala Gideonowi udało się stworzyć całkiem przyzwoitą nową kryjówkę. Jest zadowolony z zabezpieczeń strzegących linii hipernetu i tym razem znajduje się tu lodówka, a jedzenie nie jest zawinięte w foliowe paczuszki. Planowałam wynająć coś dla siebie, znając niemal religijną obsesję, z jaką Gideon podchodzi do anonimowości, ale zanim w ogóle podniosłam tę kwestię, ułożył kod bezpieczeństwa dla mnie. Aby można było stworzyć więcej niż jedno hasło dostępu, musiał przeprojektować cały swój system, ale zrobił to – otrzymałam swoje hasło. Wraz z rzędem świetlików, które wpuszczają do środka prawdziwe światło za pomocą sprytnego mechanizmu luster prowadzących szybami na powierzchnię podziemnego miasta.

Gideon sięga do torby i niemal ją rozrywa, tak bardzo nie może się doczekać, aż skosztuje zupy.

– Dobra decyzja, Dołeczku – mówi, sięgając po pałeczki i łyżki. – Ten i następny sektor będą świętować ponowne otwarcie jej restauracji.

Ulice podziemnego miasta wciąż są pokryte gruzem, wciąż stanowią siedlisko ludzi, którzy nie mają gdzie się podziać, wciąż powiewają nad nimi żałobne flagi w kolorach czerni, bieli, błękitu i szarości, ale z dnia na dzień coraz więcej sektorów odzyskuje prąd. Jeden po drugim zaczynają działać lokalne przedsiębiorstwa, członkowie rodzin się odnajdują, a społeczność stawia pierwsze niepewne kroki na drodze do normalności.

Myślałam o tym, żeby sprawdzić, w jakim stanie znajduje się apartament Kristiny, ale prawdę mówiąc, chciałabym tu zostać. Z ludźmi, którzy najbardziej ucierpieli po tym, co się stało. Z ludźmi takimi jak ja i Gideon.

Choć w pierwszej kolejności Gideon zakupił do kryjówki kilka monitorów i twardych dysków, nie znalazł jeszcze fotela sterowniczego, który by mu odpowiadał. Mam jednak podejrzenie, że odkłada zakup, bo gdy siedzi na materacu, obok jest też miejsce dla mnie. Trzyma miskę jedną ręką, a drugą mnie obejmuje i przyciąga do siebie.

– Już zaczęli? – pytam, sięgając do jego miski pałeczkami, żeby podkraść

mu trochę makaronu.

Jego główny monitor, podłączony do transmisji przechwyconej z sieci centralnej, z lotu ptaka ukazuje tłum rojący się wokół miejsca katastrofy Dedala, zabezpieczonego teraz podporami strukturalnymi i rusztowaniami, za których pomocą odbudowują te warstwy miasta. Gideon zaciągnął rolety na świetlikach, więc kolory na monitorze są ostre i wyraziste.

– Chyba kilka minut temu. Muñoz peroruje... Czeka, włączyć głos. – Pstryka palcami w kierunku monitora i nagle z głośników zaczyna płynąć zduszony ryk tłumu i głos prezydent.

– Nie jesteśmy sami. – Filmujący wydarzenie dron zbliża się do prezydent Muñoz, która stoi na podium, spogląda na otaczający ją tłum i przemawia donośnym głosem: – To słowa, o których ludzkość myślała przez wieki, odkąd starożytne ludy spojrzały w gwiazdy i uczyniły z nich bogów. Dziś mam dla was odpowiedź: nie jesteśmy i nigdy nie byliśmy sami.

Tuż za kobietą znajduje się szczelina, a jej złoty blask jest widoczny nawet w jaskrawym południowym słońcu. Ponieważ wrota pomiędzy wszechświatami zostały trwale otwarte, szepty, oficjalnie nazwane Kolektywem, powoli eksplorują nasz świat, uwolnione z maszynerii LaRoux. Spotkały się z podejrzliwością, gniewem, ciekawością, szacunkiem, a zwłaszcza nadzieją. Dzięki ich pomocy odbudowa miasta po katastrofie odbywa się dwa razy szybciej, niż gdybyśmy musieli to robić sami.

Prezydent Muñoz urywa i obserwuje twarze otaczających ją ludzi.

– Teraz wiemy, że inteligencja, empatia i ciekawość to nie tylko ludzkie cechy. Musimy ich wiele nauczyć i uczyć się od nich. Wzajemnie wzbogacimy swoje życie, budując je na fundamencie zaufania i nadziei. Wiem, że wielu z nas ma pytania, a nawet obawy. Wiem, że wielu odkryło, iż w świetle ogromnych strat, jakie ponieśliśmy, zaufanie nie przychodzi łatwo. To dlatego stworzyłam nowe stanowisko, głos, który będzie się wypowiadał w imieniu Kolektywu i z nim rozmawiał. W świetle ostatnich wydarzeń niektórzy mogą być zaskoczeni moją decyzją. Ale nasza nowa ambasadorka jest elokwentna i jako pierwszy człowiek w historii dołączyła na krótko do Kolektywu po drugiej stronie szczeliny. Bardziej niż komukolwiek zależy jej na odbudowaniu pokoju i rekonstrukcji planety. Powitajmy ambasador LaRoux.

Pani prezydent się cofa i robi miejsce na podium dla nowej ambasador.

– Jest! – piszcze, klując Gideona w nogę pałeczkami. – Nieźle! Spójrz na jej sukienkę! Rany, naprawdę nie żartowała!

– Twoja i tak bardziej mi się podoba – mówi Gideon z ustami pełnymi makaronu. – Ta ze światełkami i frędzlami.

– Ta, która się podarła i ma teraz mnóstwo dziur, bo miałam ją na sobie w czasie katastrofy statku? – Spoglądam na niego z ukosa. – Obawiam się, że

większości sukienki brakuje...

– A jak myślisz, dlaczego mi się podoba?

Znów dżgam go w kolano pałeczkami.

– Cicho, bo nie słyszę.

Kiedy pani prezydent zaprzysięga Lilac na nowe stanowisko, dron filmuje delegatów z innych planet. Próbuję wypatrzyć celtycki węzeł i pojedynczą gwiazdę Avonu, ale najpierw dostrzegam w tłumie twarz Flynna. Chwytam Gideona za ramię, ale on już się uśmiecha. Jubilee siedzi obok Flynna, a w świetle zachodzącego słońca jej jasnobrzoskwiniowa sukienka wygląda pięknie. Gdyby specjalnie się nie przyglądać, można by nie zauważyć, że Flynn spogląda na nią, a nie na podium przy szczeliny.

Prezydent Muñoz ściska dłoń Lilac i zajmuje jedno z miejsc siedzących na podium. Lilac podchodzi do mikrofonu.

Kilka dni temu, kiedy cała nasza szóstka spotkała się na kolacji w hotelowym pokoju Flynna, pobladła Lilac przez większość czasu siedziała w kącie, zapisywała i rozdierała kolejne karteczki, a Tarver ostrzegł resztę z nas, żebyśmy nie wspominali o czekającym ją przemówieniu w czasie ceremonii zaprzysiężenia.

Teraz jednak nikt by się tego nie domyślił. Uśmiech, który większość ludzi zna z billboardów reklamujących kosmetyki i magazynów modowych, nie znika z jej twarzy, a jej dłonie nie drżą. Ubrała się na zielono – ma na sobie rozkloszowaną sukienkę skrojoną według trendów sprzed lat, ale i tak wygląda pięknie. Twarz Tarvera jest zdystansowana. Chłopak spogląda na Lilac ubraną w falującą na wietrze kreację.

– Mój ojciec – zaczyna Lilac, a jej głos niesie się echem w głośnikach rozstawionych w tłumie – to geniusz. Dorastając, wierzyłam, że jest nieomylny. Wyobrażałam go sobie jako jednego ze starożytnych bogów, o których mówiła pani prezydent, a który dla mnie błyszczał jak gwiazda.

Spogląda na twarze w tłumie i urywa, by zaczerpnąć tchu.

– Ale gwiazdy nie są bogami i mój ojciec także nim nie był. Był i jest... człowiekiem. Wierzył, że wszystko, co robi, jest właściwe, że wybiera właściwe ścieżki. Błędem, który popełnił, było nie to, że pożywał władzy, sławy czy bogactwa. Nie kierowała nim duma ani arogancja. Nie chodziło mu nawet o podporządkowanie sobie wszystkich gatunków.

Za jej plecami blask szczeliny słabnie, a ze środka wydobywa się kilka złotych lamentujących szeptów, które wplatają się w jej włosy i opadają wokół podium. Kolektyw także słucha tego, co Lilac ma do powiedzenia.

– Błędem Rodericka LaRoux było to, że wierzył, iż ma prawo podejmować za nas decyzje dotyczące całego świata. Wierzył, że to właśnie jego, i tylko jego, obciążono brzemieniem wyboru. Właśnie to go zniszczyło. Kiedyś nadał pewnemu

statkowi nazwę Ikar i wraz z resztą Galaktyki patrzył wstrząśnięty, jak spada z nieba w płomieniach. – Lilac zerka przez ramię, a kamera kieruje się w stronę Tarvera, który w ciągu tych kilku tygodni kontaktów z mediami do perfekcji opanował minę pokerzysty. – Ale człowieczeństwo to wolna wola i nikt nie może wyznaczyć nam ścieżki, którą podążymy przez ten świat. Wybór jest naszym najwspanialszym prawem, najwspanialszym prezentem i naszą największą odpowiedzialnością.

Lilac spogląda w dół, choć obraz z lotu ptaka pokazuje, że nie ma notatek. Tak długo milczy, że zerkam na Gideona, martwiąc się, iż zapomniała reszty przemówienia. Zapada cisza tak intensywna, że przez mikrofony nie słyszę nawet odgłosów tłumu. Jest tak, jakby cały Korynt – cała Galaktyka oglądająca transmisję za pośrednictwem hiperprzestrzeni – wstrzymał oddech.

Po chwili dziewczyna unosi głowę, a artystka we mnie rozpoznaje u niej te same umiejętności. To oratorka. Wcześniej nikomu nie przyszłoby do głowy, że jej opanowanie może mieć w sobie taką siłę.

– A więc teraz, tutaj, dzisiaj, wszyscy mamy wybór. – Głos Lilac się podnosi, a choć głośniki go zniekształcają, słyhać w nim pasję. – Teraz, kiedy otwarto szczelinę, świat zmienił się na zawsze. Już nigdy nie będziemy samotni w bezmiarze tego wszechświata. Możemy powitać te nowe istoty z podejrzliwością i nieufnością, poczuciem winy i złością. Albo pokazać im, dlaczego ludzkość jest warta poznania. Dlaczego warto do nas dołączyć i nas ocalić.

Urywa, jak gdyby czekała, aż jej widownia – setki tysięcy ludzi zebranych na ulicach Koryntu, miliardy oglądające ją na ekranach w całej Galaktyce, ja na tym wysłużonym materacu, otoczona ramieniem Gideona – sama dokona wyboru.

– Ja już zdecydowałam. – Lilac zadziera głowę, spogląda na rusztowania, z których tworzona jest struktura siedziby głównej LRI mająca otoczyć szczelinę. – Dlatego wraz z mężem przejmujemy LaRoux Industries i przeznaczymy jej znaczne fundusze na odbudowanie miasta i nauczenie się wszystkiego, czym zechcą podzielić się z nami nasi nowi sąsiedzi. Jak widać, odbudowywana właśnie nowa siedziba główna będzie miejscem, gdzie każdy, nie tylko istoty ludzkie, będzie mógł wejść, uczyć się i dzielić opowieściami i wspomnieniami na temat tego, co oznacza człowieczeństwo. Chcą poznać wszystko: to, co dobre i złe, ciemność i światło. Chcą, żebyście przynieśli im swoje opowieści.

Lilac znów spuszcza wzrok na widownię, a jej uśmiech – ten zaraźliwy, znany w całej Galaktyce uśmiech – powraca.

– „Ikar” to nazwa, którą nadano w arogancji. Teraz postaramy się, by tradycja nadawania nazw była czymś dobrym, by napawała nadzieją. Ten nowy projekt będzie się nazywał Eos na cześć starożytnej bogini brzasku, na cześć nowego świata, na którym się znaleźliśmy. Kiedy ten nowy dzień nadejdzie na wszystkich planetach w całej Galaktyce, obyśmy wszyscy ujrzeli nadzieję, jaką

daje świt.

Gdy Lilac kończy, zapada cisza, a ta krótka chwila ciągnie się i jest przepełniona mnóstwem możliwości. Ale nagle tłum wybucha, a poziomy głośności transmisji same się dopasowują, żeby zrównoważyć ryk. Widzę, że usta Lilac się poruszają, i choć nie słyszę jej w tym tłumie, bez trudu odczytuję jedno słowo: „Dziękuję”.

Prezenterzy zdyszanyymi głosami zaczynają komentować przemówienie, rozkładając je na czynniki pierwsze i analizując konsekwencje polityczne, jakie może za sobą pociągnąć, a kamera powietrzna pokazuje, jak Lilac schodzi z podium i wraca do Tarvera, który zaciska jej dłoń w swoich dłoniach i podnosi do ust.

Gideon macha ręką w stronę ekranu, żeby wyciszyć dziennikarzy, wtyka pałeczki w makaron i odchyła się do tyłu. Przez chwilę nic nie mówi, aż w końcu z cichym gwizdem wypuszcza powietrze.

– Cholera.

– Rozumiem, że kiedy byliście dziećmi, nie wygłaszała poruszających, imponujących mów – droczę się z nim, napierając na jego ramię.

– Woląła przeprogramowywać roboty w domu z moim bratem, żeby mówiły: „Giddy to palant, który mógłby już przestać nas podglądać”.

Wybucham śmiechem i wstaję z materaca, żeby włożyć resztki jedzenia do lodówki. Myjąc łyżeczki w zlewie, zaczynam myśleć o projekcie Eos i o tym, jaką opowieść do niego dołożę. Myślę o tym, jak ojciec uczył mnie tańczyć. Myślę o siostrze Flynna i o tym, jak powstrzymała chuligana przed wcieraniem mi błota we włosy. Myślę o pierwszym kancie, który zrobiliśmy z Danielą, o karafce wina, którą kupiliśmy za część zysków i którą wypiliśmy razem na dachu.

Prawdę mówiąc, nie wiem, która opowieść mnie definiuje. Tak długo byłam kimś innym, kimś zupełnie innym niż Sofia, że nie jestem pewna, kim ona jest. Nie ma już Kristiny, Lucy, nie ma Alexis ani Alice. Nie ma też Waleta, o ile Gideon nie postanowi go wskrzesić. Na razie jesteśmy tylko Gideonem i Sofią. Kimkolwiek oni są.

Kimkolwiek postanowimy być.

Gideon podnosi się z materaca, wyłącza monitory i sięga po rulon ze sznurkiem, który podnosi rolety, tak że światło słoneczne zalewa niewielkie pomieszczenie przypominające strych.

– Co chcesz teraz robić?

Odchylam głowę i pozwalam, by słońce ogrzało mi twarz. Może opowiem o dziewczynie, która dawno temu zamieszkiwała państwo na Ziemi zwane Iranem i która napisała najpiękniejszy utwór, jaki kiedykolwiek słyszałam. Utwór, który odmienił moje życie.

Kiedy otwieram oczy, w świetliku nad nami dostrzegam jakiś cień. Mrugam

i w świetle widzę zarys motyla, który po chwili odlatuje, trzepocząc skrzydłami.

Opuszczam wzrok. Gideon siedzi oparty o ścianę, a na półce obok jego zniszczonego egzemplarza *Alicji w Krainie Czarów* stoi oprawiony w ramkę portret mojego ojca. Chłopak obserwuje mnie z uśmiechem, który staje się jeszcze szerszy, gdy spoglądam mu w oczy.

Wyciągam rękę.

– Zatańcz ze mną.

PODZIĘKOWANIA

Kończąc naszą pierwszą – choć z pewnością nie ostatnią – wspólną serię, pamiętamy o wielu ludziach, którzy pomogli tym książkom pokonać drogę od nas do Was. Jesteśmy wdzięczne każdemu z nich.

Nasi agenci literaccy Josh i Tracey Adamsowie z firmy Adams Literary są po prostu niezwykli. Josh, Tracey, nie udałoby nam się bez Waszego wsparcia, doping, słów mądrości i wstawiennictwa. Nie dokonałybyśmy tego wszystkiego, gdybyście nie podtrzymywali nas na duchu. Dziękujemy agentowi filmowemu Stephenowi Moore'owi i niesamowitym łowcom literackim oraz zagranicznym agentom, którzy pomogli tym książkom zaleźć dom w językach, w których nie potrafimy nawet czytać.

Nasza seria miała to szczęście, że redagowały ją trzy wspaniałe kobiety. Chcemy podziękować Emily Meehan, Laurze Schreiber oraz Abby Ranger, które na różnych etapach pracy uczyły nas, wspierały i mobilizowały do stworzenia najlepszej opowieści, na jaką było nas stać. Jesteśmy Wam wdzięczne za wskazówki, pytania oraz zachęcające pochwały, którymi obsypywałyście nas w odpowiednich chwilach! Poza redaktorkami mamy w wydawnictwie Hyperion zespół, który uwielbiamy. Dziękujemy im za wszystko, co robią, żeby rozślawić nasze książki w świecie – jesteście wspaniali! Dziękujemy Jamie'emu Bakerowi, który ma niekończące się zasoby cierpliwości i wiedzy, oraz Whitney Manger, która podarowała tej serii okładki uwielbiane przez czytelników na całym świecie. Do Australii wysyłamy wyrazy wdzięczności i mnóstwo pysznych wypieków pracownikom Allen & Unwin, których kochamy bardziej niż miniaturowe babeczki. A to nie byle wyznaczenie.

W czasie pracy nad tymi książkami miałyśmy do czynienia z cudownymi czytelnikami i krytykami, a za *W sercu światła* dziękujemy Olivii Davis, Michelle Dennis, Kate Irving oraz Brendanowi Cousinsowi – za ich szybkość, entuzjazm i rady. Jesteście cudowni! Dziękujemy także lekarkom Ailie Connell oraz Kate Irving za porady medyczne, a także Michelle Dennis za podzielenie się z nami specjalistyczną wiedzą techniczną. Jak zwykle bierzemy odpowiedzialność za wszelkie popełnione błędy.

Przyjaciele z branży wydawniczej i spoza niej udzielili nam pomocy i wsparcia. Chciałybyśmy podziękować zwłaszcza Beth Revis i Marie Lu, które od samego początku wspierały tę trylogię, Kim Nguyen, która jest naszym guru od designu (i niezrównaną przyjaciółką!), a także osobom, bez których nie wyobrażamy sobie życia, a są to: Stephanie Perkins, Megan Shepherd, Leigh Bardugo, Jay Kristoff i Nic Crowhurst. Tym wszystkim cudownym ludziom tworzącym krąg naszych przyjaciół chciałybyśmy powiedzieć: kochamy Was!

Każdą część tej serii zadedykowałyśmy naszym rodzinom, a powodów jest tak wiele, że nie zdołałybyśmy ich tu wyliczyć. Za wsparcie, entuzjazm, cierpliwość i miłość dziękujemy rodzicom i rodzeństwu oraz liczny krewnym – rodzinom Cousinsów i Miske oraz panu Wolfowi. Dziękujemy Brendanowi, który towarzyszył nam od samego początku – jesteście wspaniali.

Chciałybyśmy podziękować także Wam. Nawet gdyby nikt nie czytał naszych historii, opowiadałybyśmy je sobie nawzajem, ale nasza radość jest dziesięciokrotnie większa, gdy wiemy, że wraz z nami śledziliście losy Lilac, Tarvera, Flynna, Jubilee, Gideona i Sofii. Wasze listy, maile, prace plastyczne, muzyka, a nawet przepisy zaskoczyły nas i zachwyciły! Dziękujemy sprzedawcom książek, bibliotekarzom, recenzentom, blogerom i czytelnikom, którzy wraz z nami odbyli tę podróż. Jeśli chcecie usłyszeć więcej o naszych planach na kolejne książki lub nie jesteście gotowi, by porzucić serię *Starbound*, mamy nadzieję, że zapiszecie się na listę mailingową dostępną pod adresem: www.thesebrokenstars.com. Bądźmy w kontakcie!

Tytuł oryginału: *Their Fractured Light*

Copyright © 2015 by Amie Kaufman and Meagan Spooner

Copyright © for the translation by Maria Borzobohata-Sawicka

Opieka redakcyjna: Agnieszka Urbanowska

Adiustacja: Anna Brynkus-Weber / d2d.pl

Korekta: Katarzyna Gniewko / d2d.pl,
Magdalena Mrozek / d2d.pl

Jacket photograph © 2015 Tom Corbett

Jacket design by Whitney Manger

CGI art © 2015 Bose Collins

Adaptacja okładki na potrzeby polskiego wydania: Andrzej Sierak

ISBN 978-83-7515-698-0

moondrive
www.moondrive.pl

www.otwarte.eu

Wydawnictwo Otwarte sp. z o.o., ul. Smolki 5/302, 30-513 Kraków

Plik opracował i przygotował Woblink

woblink

woblink.com

